

Delinsky Barbara

Ogród marzeń.

Prolog

LITTLE FALLS

Telefon zadzwonił o trzeciej nad ranem.

Dan O'Keefe wskoczył w mundur i pojechał do domu Clyde'ów, nie dlatego, że Darden Clyde o to prosił, nie dlatego, że należało to do jego obowiązków - aczkolwiek i jedno, i drugie było prawdą - ale dlatego, że martwił się o Jenny.

Powinien się już przyzwyczaić do troski o tę dziewczynę. Martwił się o nią, od kiedy - osiem lat temu - został zastępcą swego ojca, szeryfa. Była wtedy posiniaczoną szesnastolatką, zawsze trzymającą się na uboczu i unikającą wzroku innych. Niepokoił się o nią, gdy skończyła osiemnaście lat; jej matka zmarła, a ojciec trafił do więzienia. Lękał się o nią również przez te ostatnie sześć lat, widząc, jak Jenny stopniowo staje się pariasem miasteczka. Niewiele zrobił, by jej pomóc, więc męczyło go poczucie winy. Teraz to się jeszcze pogłębiło. Tak samo jak Jenny, nie cieszył się, że jej ojciec wyszedł z więzienia, ale nie zrobił nic, by temu zapobiec. Czuł się więc winny i dręczył go niepokój. Poza tym odezwał się bark. Zawsze bolał, gdy miało się stać coś złego. Ojciec uważał, że sam sobie winien, bo nigdy nie był dobrym futbolistą, ale te stare rany dawno się zagoiły.

Tylko stres sprawiał, że blizny dawały o sobie znać. Bark zaczął boleć poprzedniego dnia o osiemnastej dwanaście, gdy Darden Clyde wysiadł z autobusu i stanął w kurzu ulicy w Little Falls. Padał drobny deszcz, kiedy Dan, wyjechawszy z centrum miasta, przyspieszył na West Main, mijając domy tak ciemne, że nikt nie domyśliłby się ich istnienia. Dan znał jednak na pamięć każdy skrawek miasta.

Półtora kilometra dalej budynki się przerzedziły. Skręcił na zapuszczony podjazd przed jedynym oświetlonym domem, mocno

trzymając kierownicę, gdy dżip podskakiwał na wybojach wśród kałuż. Zaparkował koło uchylonych drzwi kuchennych, szybko pokonał parę zabłoconych stopni i pchnął siatkowe drzwi.

W kuchni stały zniszczone sosnowe szafki, stół i krzesła. Blaty z różowego laminatu i linoleum były tak czyste, że miały kolor ciała i stanowiły najbardziej ludzki element pomieszczenia. Darden siedział na podłodze na końcu smugi błota.

Opierał się o ścianę pod telefonem i wyglądał jak mokry szczur - jego włosy i ubranie były szare i przemoczone. Na twarzy miał plamy krwi. Trzymał się za prawe ramię i starał się odciążyć prawą stronę ciała. Podniósł tylko oczy, jakby nie miał sił na nic więcej. W oczach czaiło się zło.

- Potrafiła mnie – warknął gniewnie.

- Straciłem przytomność.

Leżałem w deszczu przez kilka godzin. Potem długo wlokłem się tutaj. Biodro mnie boli. Dan nie przejął się wcale biodrem Dardena. Podszedł do drzwi prowadzących do holu i nasłuchiwał przez chwilę. W domu panowała cisza.

-Gdzie ona jest?

- Skąd mam wiedzieć?

Dlatego zadzwoniłem.

Potrafiła mnie moim własnym cholernym samochodem i zwiąła.

Oznacza to: rabunek, spowodowanie wypadku i prowadzenie bez prawa jazdy.

Dan wiedział, że buick zniknął. Kiedy skreślił na podjazd, reflektory jego wozu oświetliły puste wnętrze garażu. Pomyślał jednak, że może Jenny zostawiła gdzieś samochód i wróciła. Owszem, powiedziała mu, że opuszcza miasto, i wspomniała o przyjacielu, ale nikt nigdy go nie widział. Samotna Jenny Clyde była nieśmiała i niepewna siebie. Dan nie mógł sobie wyobrazić, że po tylu latach nagle po prostu wyjechała. Już bardziej prawdopodobne, że kuli się gdzieś na dachu, ryzykując życie na śliskiej od deszczu stromiźnie. Ruszył więc, by jej poszukać.

- Hej! - krzyknął za nim Darden.

- Gdzie idziesz?

Nie zwracając na niego uwagi, Dan szybko obszedł dom. Obawiał się, że natknie się na przerażającą scenę, taką jak ta, którą zobaczył sześć lat temu, ale nie znalazł ani Jenny, ani żadnych śladów przemocy.

Jeśli nie liczyć mokrej sukienki na podłodze w sypialni, a także stosu poduszek, koców i wycinków prasowych na strychu, wszędzie panował porządek.

Dach był pusty, tak samo zresztą jak - na całe szczęście - ziemia pod nim.

Wrócił do kuchni.

- Mogłem ci powiedzieć, że jej tam nie ma - mruknął Darden.

- Wzięła mój wóz.

Ile razy mam powtarzać? Wzięła mój wóz.

Musisz jej szukać na dworze.

Dan właśnie miał taki zamiar.

Wiedział, że Jenny nie prowadzi dobrze.

Kilkakrotnie przyłapał ją za kierownicą Iza każdym razem palnął jej kazanie, ale co więcej mógł zrobić?

Wlepić mandat za jazdę wężykiem po ulicy?

Zabrać kluczyki?

Zatrzymać za prowadzenie bez prawa jazdy i wysłać do więzienia, między ćpunów i dziwki?

Bał się, że miała wypadek.

Wokół Little Falls było wiele miejsc, gdzie samochód mógł zjechać z szosy i nikt by go nie znalazł przez wiele dni.

Postanowił je przeszukać.

Przedtem jednak chciał wydobyć od Dardena wszystko, co wie.

Przysunął sobie krzesło i usiadł.

Na stole były jeszcze resztki jedzenia: zimny już gulasz wołowy i napoczęte bułki.

Przewrócona butelka cuchnęła ciepłym piwem.

- Co tu się stało?

Darden oparł głowę o ścianę.

- Już mówiłem.

Potrąciła mnie i uciekła.

- Dlaczego?

-A skąd, do cholery, mam wiedzieć?

Jadłem kolację. Powiedziała, że wyjeżdża. Kiedy starałem się ją zatrzymać, potrąciła mnie. - Jego wzrok był zimny i twardy. -Znajdź ją, O'Keefe. To twoja robota. Jeśli musisz ją przymknąć, to przymknij.

Tylko mi ją tu sprowadź.

- Dlaczego?

Ma dwadzieścia cztery lata i jej najdalsza wyprawa to odwiedziny u ciebie w więzieniu. Może już pora.

- Jasne, że tak. Już pora, żeby wróciła - warknął Darden, stukając palcem w podłogę. - Miała sześć cholernych lat.

- Na co? - uciął chłodno zastępca szeryfa.

- Żeby uciec? Niby jak? Kazałeś jej zająć się pilnowaniem wszystkich twoich spraw, a zawsze, kiedy cię odwiedzała, powtarzałeś jej, ile ci zawdzięcza.

Nie wspominałam już o rozmowach telefonicznych. Nawet nie chcę myśleć, co jej mówiłeś.

- Jest moja córka. Zrobiła, co zrobiła, bo mnie kocha.

Dan wstał.

Uznał, że jeśli nie robi użytku ze swoich nóg i nie wyjdzie, zaraz zaczną kopać Dardena Clyde'a.

Nie był zwolennikiem przemocy wobec zatrzymanych - w gruncie rzeczy jej nienawidził, co stanowiło jeden z wielu punktów spornych w stosunkach z ojcem - ale teraz odczuwał rosnącą pokusę. Naprawdę ogarnęła go wściekłość.

- Jedno niech będzie jasne, sukinsynu - powiedział Dan. - Jenny robiła to wszystko przez te lata, bo się ciebie potwornie boi. Po tym, co się tu stało, mogła sprzedać dom, ale jej nie pozwoliłeś. Powinna była go sprzedać albo spalić, albo po prostu zostawić i wyjechać.

Namawiałem ją, żeby tak zrobiła, ale ty ciągle jej zakazywałeś. Ty i twój chory umysł chcieliście, żeby na zawsze ugrzęzła we wspomnieniach. Biedactwo, cierpiała o wiele dłużej, niż ty byłeś w więzieniu, i to twoja wina. - Pochylił się, czując tak straszną nienawiść, że mógłby splunąć mu w twarz. - Więc słuchaj uważnie.

Jeśli znajdę dziewczynę i dowiem się, że ją skrzywdziłeś, to będziesz żałować, że nie umarłeś w więzieniu. Dotarło?

Darden warknął.

- Nigdy nie odważysz się mnie uderzyć.

Twój tatko może by mógł, ale nie ty.

Dan się wyprostował.

- Obserwuję go od ponad trzydziestu dwóch lat ostrzegł - więc może mnie nie doceniasz. Jeśli coś jej się stało, będziesz mógł się przekonać, czy się odważy.

Brzydę się tobą.

Z twarzy Dardena można było wyczytać, że odwzajemnia to uczucie.

Jego wzrok mógłby zabić.

Zastępca szeryfa pomasaował bark.

- Powiedziała, gdzie jedzie?

-Nie.

- Domyślasz się, gdzie pojechała?

-Wspomniała o kimś imieniem Pete.

- Znasz go?

-Skąd, kurwa, miałbym go znać?

Wróciłem niecałe dwanaście godzin temu!

- Może spotkała go w więzieniu?

Darden bez słowa zmierzył go wzrokiem, a Dan - nie po raz pierwszy - żałował, że nie skłonił Jenny do rozmowy o mężczyźnie imieniem Pete.

Nie nalegał, bo wydawała się raczej szczęśliwa, a szczęśliwa Jenny to było coś niezwykłego. Chciałby jednak mieć pewność, że uciekła z dobrym człowiekiem.

Z przyjemnością poinformowałby o tym Dardena.

- Czy kiedykolwiek wcześniej ci o nim mówiła? – spytał Dan.

-Czy kiedykolwiek wcześniej napomknęła o jakimkolwiek facecie?

Darden burknął, że nie.

- Więc co powiedziałaś, kiedy ci o nim wspomniała?

-Że nigdzie nie pojedzie – warknął Darden.

Zastępca szeryfa dałby głowę, że był dużo bardziej wymowny.

- A ona?

Co odpowiedziała?

- Że jedzie.

-Więc tak się przekomarzaliście.

Czy to wszystko?

- O co ci chodzi?

-Uderzyłeś ją?

- Nie uderzyłem. Kocham ją. To moja córka. Wróciłem, żeby się nią zaopiekować.

No tak.

Dan wiedział, co się za tym kryje, i spojrzał znacząco na Dardena.

- Dotknąłeś jej?

- Nawet się do niej nie zbliżyłem.

Znajdź ją, O'Keefe.

Kiedy ty tu siedzisz, zadając swoje cholerne pytania, ona jest coraz dalej.

I o to Danowi chodziło, jeśli przyjąć, że Jenny jest cała i zdrowa i ucieka od Dardena, jak powinna była to zrobić już wiele lat temu. Chciał jej dać tyle czasu na ucieczkę, ile tylko zdoła.

Jeśli jednak miała wypadek, musi ją znaleźć.

Podszedł do telefonu i połączył się ze szpitalem w sąsiednim mieście, prosząc, żeby po Dardena przysłano karetkę.

Pewien, że daleko nie odejdzie, zostawił go siedzącego na podłodze, zabrał z dżipa latarkę i zaczął szukać Jenny w pobliżu domu i w lesie. Jednocześnie rozglądał się za świeżymi śladami motocykla.

Dziewczyna powiedziała kiedyś, że Pete jeździ na motorze.

Nie znalazł jednak niczego.

Postanowił więc użyć do poszukiwań dżipa.

Do wschodu słońca przecesał okolice Little Falls, ale nie natknął się na buicka: ani zaparkowanego, ani porzuconego czy rozbitego.

Wpadł do domu rodziców, żeby poinformować ojca o sytuacji, ale ten stał przed aparatem radiowym i odszczekiwał się Imusowi, nie zwracając uwagi na Dana, zadowolony, że może pozostawić poszukiwanie Jenny synowi.

Danowi również to odpowiadało, wiedział, że ma większe szansę na odnalezienie dziewczyny, bo mu na tym zależy.

Jego ojciec, szeryf w Little Falls od prawie czterdziestu lat, był znużony pracą, niczym się już nie przejmował.

Dan był zupełnie inny.

Czując rosnące napięcie, wrócił do biura szeryfa i zadzwonił tu i tam. Kiedy już poinformował okolicznych szeryfów o poszukiwanym buicku, znów ruszył w drogę.

Sądził, że jest jedną z trzech osób w mieście, którym Jenny mogła się zwierzyć z planowanego wyjazdu.

Drugą była Miriam Goodman, która w swojej małej kuchni prowadziła catering o zasięgu stanowym, oraz wielebny Putty z kościoła kongregacjonistów.

Dan porozmawiał z obojgiem.

Żadne z nich nie domyślało się, gdzie może być Jenny.

Znów przemierzył okoliczne drogi, tym razem w świetle dziennym, ale wynik był ten sam.

Wrócił więc do miasta na kawę i jajecznicę, uznawszy, że jeśli ktoś coś wie, to i on się tego dowie.

Dowiedział się jednak tylko, jak dalece miejscowi źle życzą ojcu Jenny.

Chyba nikt się nie ucieszył, że Darden nie złamał nogi w biodrze, lecz był zaledwie trochę potłuczony i podrapany.

Doniesiono mu także, że kiedy Dardena opatrywano na ostrym dyżurze, cały czas złorzeczył zastępcy szeryfa.

- Mówił, że pomagasz przestępczyni i ją kryjesz.

- Mówił, że nie masz pojęcia o policyjnej robocie.

- Mówił, że gdybyś zamiast mózgu nie miał wiadomo czego, to sprowadziłbyś FBI.

Przyjaciele Dana, przekazując mu te wieści, nie mieli zamiaru go urazić, a i on nie poczuł się obrażony.

Tak naprawdę słuchał ich jednym uchem.

Okoliczności sprawy nie dawały mu spokoju.

Bark dokuczał.

Ścisnęło go w żołądku.

Obawa o Jenny rosła.

Znów ruszył w drogę, zatrzymując się, by przeszukać każdą nierówność i załamanie terenu, wierząc, że im wyżej stoi słońce, tym większa szansa, że rzuci światło na coś, czego do tej pory nie zauważył. Do południa nadal nie znalazł żadnego śladu.

Pojechał więc do kamieniołomu.

Był już tam dziś dwukrotnie, ale tym razem nie szukał Jenny.

Zaparkowawszy u stóp stoku, wysiadł z dżipa.

Choć w mieście powietrze było przejrzyste, tutaj panowała mgła.

Między innymi dlatego tu przyjechał.

Mgła uwalniała myśli.

Zacierала prawdę i budziła nadzieję.

Kamieniołom zawsze był miejscem marzeń.

Kiedy mgła gęstniała, marzenia stawały się bogatsze.

O czym marzył?

Zrobić coś dobrego.

Zrobić coś dobrego.

Choć brzmiało to naiwnie, był to jeden z powodów, dla których wybrał tę pracę.

Drugi powód to taki, że przedtem próbował swych sił jako malarz, ale nie mógł się z tego utrzymać.

Brakowało mu pieniędzy.

A trzeci?

Matka błagała go, by się zdecydował, bo ojciec nie mógł znaleźć nikogo innego na to stanowisko.

Praca w siłach porządkowych w Little Falls nie była interesująca.

Polegała na dostarczaniu wagarowiczów do szkoły, pijaków do więzienia, narkomanów do ośrodków leczniczych trzy doliny dalej na zachód, a także na łagodzeniu drobnych utarczek między mieszkańcami i interweniowaniu w awanturach domowych oraz przemierzaniu ulic Little Falls w późnych godzinach nocnych, aby dać ludziom poczucie, że są bezpieczni.

Czy byli?

Tutaj przynajmniej odnosiło się takie wrażenie.

Trudno było sobie wyobrazić, że zło może istnieć w takim miejscu – wśród szeptu wody obmywającej granitowe skały, szmeru igieł sosnowych schnących po deszczu, żuków przemykających przez poszycie czy też w wilgotnym powietrzu pachnącym świeżością. Mgła nie tworzyła cieni, których mogłyby się kryć strachy.

W dzień taki jak ten kamieniołom przypominał kościół, przystanek w drodze do nieba.

Była to zabawna myśl - z rodzaju tych, które jego ojciec nazywał śmieciami wielkowiejskiego wykształcenia uniwersyteckiego - ale utkwiała Danowi w pamięci.

To miejsce miało w sobie spokój, a nawet pewną świętość.

Stojąc tu, czuł się spokojniejszy.

Pełen nadziei.

Nawet bark bolał go mniej, co było dziwne, biorąc pod uwagę panującą tutaj wilgoć.

Potań bark.

Zdecydowanie lepiej.

Odetchnął głębiej, wciągając w płuca mgłę, i się rozejrzał.

Bez wątpienia pełen nadziei.

Jak to wytłumaczyć?

Kamieniołom miał kształt olbrzymiego czerpaka, którego granitowe dno wypełniała woda z górskiego źródła.

Półka skalna u szczytu sześciometrowej nóżki służyła za trampolinę dla miejscowych skoczków.

Dan obszedł dno kamieniołomu, ostrożnie stąpając po granicie, jeszcze mokrym po nocnym deszczu.

Przeszedł po drewnianym mostku nad ujściem z niecki, gdzie głośno bulgotała woda.

Spojrzał na drzewa po drugiej stronie, pojawiające się i znikające wraz z mgłą, która gęstniała, rozwiewała się i zbijała w kłęby.

Nie miał pojęcia, czego szuka.

Nagle zrozumiał.

Zszedł z granitowego szczytu wzgóрка na wąską ścieżkę wijącą się wśród drzew.

W miarę jak stąpał po igłach sosnowych i korzeniach drzew, przedzierał się przez zarośla, pod splątanymi konarami, nabierał pewności.

Jeszcze zanim dotarł na miejsce, wiedział, co znajdzie.

Stary buick Dardena Clyde'a ukryty był między drzewami w miejscu, które mało kto znał. Nie miał pojęcia, że Jenny o nim wiedziała. Nie docenił jej. Buick był pusty. Przeczynał to, zanim zajrzał do środka. Po prostu jakby spłynęło na niego olśnienie; domyślił się, co zrobiła Jenny.

Pochylił głowę. Smutek ścisnął mu serce. Dan jęknął i odchylił głowę.

Chwilę później smutek ustąpił miejsca poczuciu winy. Potrzebował jeszcze minuty, żeby się otrząsnąć. Wracając po swoich tropach do granitowego basenu, uważnie obejrzał jego krawędzie. Tutaj nie czuło się niczego tragicznego, trudnego czy mrocznego. Powietrze było jaśniejsze, lżejsze. Bark mu nie dokuczał.

To, rzecz jasna, nie miało sensu. Ale tak było. Mgła tańczyła nad wodą w rozigranych pasmach. Jedno cieńsze przykuło uwagę Dana. Śledził jego powolny ruch, wyżej i wyżej, aż sięgnął wzrokiem półki skalnej.

Wtedy zobaczył ubranie.

Poczuł kolejny skurcz serca, ale tym razem go nie sparaliżowało.

Szybko podszedł do przeciwnego krańca kamieniołomu i zaczął się wspinać.

Piął się od głazu do głazu, aż dotarł do szczytu. Od razu poznał, że to sukienka, którą Jenny kupiła u panny Jane i włożyła na potańcówkę w poprzedni piątek.

Teraz leżała ładnie złożona koło bielizny i znoszonych tenisówek, w których tylekroć pokonywała kilometry od domu do centrum miasta i z powrotem.

Ślady stóp były małe i delikatne. Mało komu przywiodłyby one na myśl Jenny, gdyż delikatność wiąże się z kruchością, ta zaś z bezbronnością, która powinna wywoływać instynkt opiekuńczy. A tymczasem Little Falls nie otoczyło Jenny opieką. Dan też nie. Teraz będzie musiał żyć z tą świadomością przez resztę swoich dni. Drobne, delikatne, samotne odciski stóp były jedynymi śladami na piasku, wygładzonym przez deszcz. Jeśli przyszła tu z kimś, to ten ktoś nie towarzyszył jej na szczyt.

Szlak był wyraźny od miejsca, gdzie stał teraz Dan, do tego, gdzie złożyła ubrania, a potem prowadził na skraj, gdzie wbiła się w ziemię piętami, podczas gdy palce stóp wisały nad przepaścią.

Dalej nie było już nic.

Dziwaczne zdarzenia, które usiłował zrozumieć, teraz nabrały sensu.

Wszystko to, co Jenny robiła przez ostatnie miesiące, a zwłaszcza przez ostatnie dni, ułożyło się w logiczny ciąg.

Gdyby był bystrzejszy, zdołałby może zrozumieć w porę, co się szykuje.

Nie, bystrość nie ma tu nic do rzeczy.

Nie uporządkował pewnych symptomów, bo nie chciał wiedzieć, co wyjdzie z układanki.

Zdawał sobie przecież sprawę, że wiedząc, musiałby działać, a w tym miasteczku był zdany tylko na siebie - w każdym razie nikt oprócz niego nie współczuł Jenny Clyde.

Przyjrzał się wodzie.

Trwała spokojna, nieruchoma, triumfująca w swej ciszy.

Trzeba będzie przeszukać nieckę, ale ciało Jenny równie dobrze mogło spłynąć do potoku na wezbranej po deszczu fali.

Trzeba będzie sprawdzać brzegi, na wypadek gdyby ciało wypłynęło,

lecz to się na ogół nie zdarzało.

W kronikach Little Falls zapisano już podobne samobójstwa, ale nigdy nie znaleziono ciała.

Według popularnego porzekadła, co kamieniołom połknał, tego nigdy nie zwraca.

Nie zauważywszy niczego w wodzie, Dan powoli przesunął wzrokiem po krawędzi niecki i skraju lasu.

Mgła płatała mu teraz figle, tworząc pozory czegoś ożywionego, czegoś ludzkiego, a potem -rozwierając się - ukazywała tylko kamień, drzewa i mech.

Samobójstwo było grzechem.

Dan nie mógł usprawiedliwić tego, co Jenny zrobiła.

Wiedział jednak, jak ograniczony był jej świat.

I w tym świecie wybrała to, co wydawało jej się mniejszym złem.

Nie potrafił się zdobyć na potępienie.

Co innego Darden Clyde.

Dana uderzyło, że Jenny dokonała aktu sprawiedliwości w najczystszej formie.

Odbierając sobie życie, pozbawiła Dardena tego, czego najbardziej i perwersyjnie pożądał.

Zostawiła go samego w piekle, jakie sobie zgotował.

Ta myśl sprawiła Danowi przyjemność.

Chciał, by Darden cierpiał i by Jenny odnalazła wolność.

Był smutny, ale spokojny.

Uznał, że dlatego ból w barku zniknął.

Nagle poczuł się zmęczony.

Wziął głęboki oddech, wypuścił powietrze i założył ręce za pasek spodni.

Miał coś do zrobienia.

Musiał przedstawić raport i wezwać pomoc w celu przeprowadzenia dokładniejszych poszukiwań.

Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze chwilę. To miejsce miało w sobie spokój, coś, co nie pasowało do myśli, że zeszłej nocy ktoś stracił tu życie.

Dan chciał wierzyć, że to duch Jenny Clyde owiewa las – duch Jenny wreszcie wolnej i szczęśliwej.

Wtedy mgła się rozpierzchnęła.

Jego wzrok zatrzymał się nagle na czymś czerwonym, daleko w dole.

W Danie obudziła się czujność.

Czerwona plamka poruszyła się ledwo dostrzegalnie, ale to wystarczyło, by przystąpił do działania. Pospieszenie schodząc ze skalnej półki, niespodziewanie poczuł się rozczarowany. Chciał, by Jenny się wyzwoliła. Tutaj nie miała życia, szczególnie teraz, gdy wrócił Darden.

Ta myśl przerodziła się w następną. Jeśli chciał czynić dobro, to tu los dawał mu szansę. Spuszczał się po głazach, niekiedy się ześlizgując, ale ból mu nie przeszkadzał. Na dole natychmiast ruszył w las, gdzie wcześniej dostrzegł czerwoną plamkę. Zbliżając się, zwolnił, żeby przestraszona dziewczyna nie uciekła. Jednakże Jenny Clyde ani drgnęła. Siedziała skulona, żalony kłębek drżącego ciała, z twarzą ukrytą między kolanami i czerwonymi włosami jaskrawo odcinającymi się od bladej skóry. Przemierzając ostatnie parę metrów, zdjął kurtkę. Ukląkł przy Jenny, okrył ją i podniósł. Bez słowa skierował się ku dziupli.

Dotarłszy do samochodu, ułożył dziewczynę na siedzeniu pasażera, wystarczająco nisko, żeby nikt jej nie dostrzegł. Następnie wsunął się za kierownicę i ruszył.

Wybrał boczną drogę, która - jak wiedział - była mało uczęszczana.

Ponieważ Jenny wciąż drżała, podkręcił ogrzewanie. Nadal zakrywała twarz i nie powiedziała słowa.

Jechał dalej. Kiedy znalazł się poza granicami miasteczka, w strefie, gdzie jego telefon miał zasięg, zadzwonił do informacji, zdobył numer i przez trzy minuty rozmawiał ze starym kolegą uniwersyteckim, który z przyjemnością zwolnił się na dwie godziny z pracy, żeby spotkać się z Danem w połowie drogi.

Jego ojciec nie pochwaliby go za to.

- Utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości! - krzyczałby, jak zawsze przywiązany do litery prawa. - Jesteś w poważnych kłopotach, Dan, i twój przyjaciel też. Czy po to cię wysyłałem na uniwersytet?

Ojciec nigdy się jednak nie dowie; nikt inny w miasteczku też nie.

Kamieniołom i dno potoku zostaną przeszukane.

Wszyscy zgodzą się, że ciało Jenny na pewno trafiło w głębsze, spienione wody rzeki i utknęło pod jakimś nawisem skalnym albo

zniknęło porwane przez tajemniczą siłę rządzącą kamieniołomem.

Przyczyna nie miała znaczenia, liczył się rezultat.

Z praktycznego punktu widzenia Jenny Clyde już nie żyła.

Rozdział pierwszy

BOSTON

Nabożeństwo żałobne odprawiano w ciemnym, wzniesionym z kamienia kościele przy Marlboro Street w Bostonie, niedaleko miejsca, w którym Cornelius Unger mieszkał i pracował.

Była słoneczna czerwcową środą.

Od śmierci Ungera upłynęły właśnie trzy tygodnie, czyli wszystko przebiegało zgodnie z zostawionymi przez niego wskazówkami.

Wcześniejsza ceremonia miała charakter prywatny.

Casey Ellis nie zaproszono do udziału w niej.

Siedziała w czwartej od końca kościelnej ławce.

Trudno sobie było wyobrazić bardziej wytworną publiczność.

Nikt nie pociągał nosem, nie szeptął, nie wzdychał ani nie jęczał i nie zawodził.

Smutek byłby nie na miejscu.

Odbywało się spotkanie profesjonalistów, mężczyzn i kobiet, noszących ubrania o stonowanych barwach, charakterystyczne dla osób, które wolą patrzeć, niż być widziane.

Zgromadzili się tu naukowcy i terapeuci, ponieważ Connie Unger przez ponad czterdzieści lat był czołową postacią na niwie psychologii.

Pełen ludzi kościół świadczył i o długowieczności zmarłego, i o jego geniuszu.

Casey była gotowa się założyć, że spośród kilkuset zgromadzonych - z żoną zmarłego włącznie - tylko ona jedna była

emocjonalnie zaangażowana.

Powszechnie wiadomo, że sławny doktor Unger trzymał żonę w uroczym domu na North Shore, gdzie zajmowała się swoimi sprawami, on natomiast mieszkał w Bostonie i odwiedzał ją czasem w weekendy.

Connie wolał spędzać czas w samotności.

Nie lubił spotkań towarzyskich.

Otaczał się znajomymi, nie przyjaciółmi, a jeśli miał jakąś rodzinę - siostry, braci, siostrzenice, bratanków czy kuzynów - nikt nic o tym nie wiedział.

Z żoną nie miał dzieci.

Casey była córką jego i kobiety, której nie poślubił i do której po jedynej wspólnie spędzonej nocy nie powiedział więcej niż kilkanaście słów.

Ponieważ nikt nie wiedział ani o tej nocy, ani o Casey, dla wszystkich stanowiła po prostu jeszcze jedną twarz w tłumie.

Znała tu jednak sporo osób, choć nie dzięki ojcu.

Nigdy jej nie uznał, nie skontaktował się z nią nie zaproponował pomocy, nie otworzył drzwi.

Nigdy nie dał ani grosza.

Matka Casey nie prosiła o pieniądze, a gdy dziewczynka w końcu poznała nazwisko ojca, była na etapie głębokiego buntu nastolatki i nie zwróciłaby się do niego, nawet gdyby od tego zależało jej życie.

Coś z tego buntu pozostało.

Dlatego zajęła miejsce w głębi kościoła - jeszcze jedna znajoma z branży, wykorzystująca przedłużoną przerwę na lunch.

Myślała z pewną satysfakcją, że zmarły nawet nie zasłużył sobie na jej obecność, a ona wyjdzie z kościoła i już więcej nie będzie się oglądać za siebie.

Łatwiej było o tym rozmyślać, niż przyznać, że poniosła stratę. Nigdy oficjalnie nie poznała Corneliusa Ungera, ale dopóki żył, miała nadzieję, że pewnego dnia ją odzyska.

Nadzieja ta rozwiązała się wraz z jego śmiercią.

"A czy sama kiedykolwiek próbowałaś się do niego zbliżyć? -pytała jej przyjaciółka Brianna. - Stanąc przed nim? Czy kiedykolwiek napisałaś do niego, wysłałaś mu e-mail czy prezent? "

Na wszystkie te pytania odpowiedź brzmiała: "nie".

Pewną rolę odgrywała duma, pewną gniew, pewną - lojalność wobec

matki.

Chodziło też o podziw dla bohatera.

Jak w klasycznym związku miłości i nienawiści, Cornelius Unger był nie tylko jej nemezis, ale i wzorem niemal, od kiedy po raz pierwszy usłyszała jego nazwisko.

W wieku szesnastu lat była tylko ciekawa, ale ciekawość szybko pchnęła ją do działania.

Unger wykładał na Harvardzie – złożyła tam podanie, ale nie została przyjęta.

Czy powinna była pójść do niego i powiedzieć, że się jej nie udało?

Uzyskała później licencjat w Tufts oraz magisterium w Boston College i została terapeutką.

Jej magisterium to nie to samo co doktorat Corneliusa, ale tak samo jak on doradzała klientom, a ostatnio zaproponowano jej nawet posadę wykładowcy.

Niebyła pewna, czy przyjmie ofertę, ale to inna sprawa.

Kochała udzielanie porad.

Wyobrażała sobie, że jej ojciec też - w jego kategoriach zaangażowania zawodowego.

W ostatnich latach przeczytała właściwie wszystko, co napisał, chodziła na wszystkie jego otwarte wykłady, wycinała wszystkie recenzje jego prac.

W pojęciu Ungera terapia była poszukiwaniem skarbów, a wskazówki do niego ukryto w różnych "pokojach" życia człowieka.

Opowiadał się za terapią w formie rozmowy, mającej pomóc w odszukaniu tych drogowskazów.

To dość paradoksalne, bo był znany z tego, że absolutnie nie potrafi prowadzić rozmowy towarzyskiej - wiedział jednak, jakie należy zadawać pytania.

Na tym właśnie polega terapia - mówił na wykładach -na zadawaniu właściwych pytań.

Słuchaniu, a następnie zadawaniu pytań, które poprowadzą pacjenta w odpowiednim kierunku, by sam mógł znaleźć odpowiedź.

Casey, sądząc z rozwoju jej praktyki, była w tym całkiem dobra.

Wśród zgromadzonych знаła kilka osób – kolegów po fachu.

Studiowała z nimi, dzieliła gabinety, uczęszczała na warsztaty i zwracała się o konsultacje.

Cenili ją jako terapeutkę na tyle, że kierowali do niej różne osoby. Z takich skierowań pochodziła spora część jej klientów. Nikt z kolegów nie wiedział jednak, co ją łączyło ze zmarłym.

Czerwcowe ciepło nie przekroczyło progu kościoła. Promienie słoneczne we wnętrzu nabierały przyćmionych barw, przefiltrowanych przez szkło witraży umieszczonych wysoko w kamiennych murach. Powietrze zachowało przyjemny chłód i pachniało dawnymi czasami, tak jak pachną wszystkie pamiątki z wojny o niepodległość. Casey kochała ten zapach. Dawał jej poczucie historycznej przynależności, której w jej życiu brakowało.

Znalazła pociechę w tej atmosferze, podczas gdy przed ołtarzem występował jeden mówca za drugim.

Żaden nie powiedział niczego, czego by Casey nie wiedziała.

W świecie zawodowym Conniego Ungera uwielbiano.

Jego milkliwość brano za nieśmiałość, zamyślenie, a odmowę uczestnictwa w przyjęciach na wydziale - za uroczą towarzyską niezręczność.

W pewnym okresie jego kariery zawodowej otoczenie zaczęło go chronić.

Casey często się zastanawiała, czy wynikało to z faktu, iż nie miał życia osobistego.

Wobec braku przyjaciół koledzy czuli się za niego odpowiedzialni.

Nabożeństwo dobiegło końca i ludzie zaczęli wychodzić z kościoła.

Podobnie jak Casey, musieli wracać do pracy. Uśmiechnęła się do jednego znajomego, kiwnęła głową innemu, zatrzymała się na chwilę na schodach, by zamienić kilka słów z promotorem swojej pracy magisterskiej, odwzajemniła uścisk przechodzącej koleżanki. Po czym zatrzymała się znów, tym razem na prośbę jednego ze współpracowników.

Ich zespół składał się z pięciu osób. John Borella był jedynym psychiatrą.

Z pozostałej czwórki dwoje terapeutów miało doktoraty, Casey i jeszcze jedna koleżanka - magisterium.

- Musimy się później spotkać - powiedział zdenerwowany

psychiatra. Casey nie przejęła się brzmieniem jego głosu. John był bowiem chronicznym panikarzem.

- Mam dziś mnóstwo pracy - ostrzegła go.

-Stuart zniknął.

To ją zatrzymało.

Stuart Beli był jednym z terapeutów z doktoratem. Co ważniejsze, zajmował się finansami zespołu.

- Co to znaczy "zniknął"? - spytała ostrożnie.

- Zniknął - powtórzył John nieco ciszej. - Jego żona nie dawno do mnie dzwoniła. Wczoraj wieczorem, wróciwszy z pracy do domu, stwierdziła, że dom jest pusty – puste szuflady, puste szafy, pusta książeczka czekowa. Sprawdziłem jego gabinet. To samo.

Casey była zaskoczona.

- A jego kartoteka?

-Znikła. Zaskoczenie zaczęło zmieniać się w przerażenie.

- A nasze konto?

-Puste.

- Auuuu. - Poczwała, że też zaczyna wpadać w panikę. -Dobra.

Pogadamy później.

- Ma nasze pieniądze na czynsz.

-Wiem.

- Za siedem miesięcy.

-Tak.

- Pierwszego dnia każdego z tych siedmiu miesięcy Casey dawała mu czek na swoją część. Przed tygodniem dowiedzieli się, że przez cały ten czas czynsz nie był płacony. Zapytany, Stuart twierdził, że po prostu zapominał, przytłoczony górą papierów, które zajmowały mu tyle czasu – a oni przyjęli to wyjaśnienie, bo wszyscy wiedzieli, jak to jest. Obiecał wszystko uregulować.

- Musimy zapłacić w przyszłym tygodniu - przypomniał teraz John. Będą musieli znaleźć pieniądze, bo inaczej czeka ich eksmisja. Casey nie była jednak w stanie teraz o tym rozmawiać. Nie mogła nawet o tym myśleć, bo Cornelius Unger patrzył i słuchał.

- Tonie czas ani miejsce, John -powiedziała. - Porozmawiamy później.

- Przepraszam -zatrzymał ją szczupły siwowłosy mężczyzna, który schodził po schodach z rzedniejącym już tłumem.

- Panna Ellis? John oddalił się, a Casey spojrzała na pytającego.

- Jestem Paul Winnig - przedstawił się. - Byłem prawnikiem doktora Ungera, teraz jestem wykonawcą jego testamentu. Czy możemy chwilę porozmawiać?

Miała ochotę zapytać, czego może chcieć od niej wykonawca testamentu doktora Ungera, ale w oczach prawnika wyczytała odpowiedź. Tak, wiedział, kim ona jest.

To ją zaskoczyło i zbiło z tropu.

- Hm, oczywiście - odpowiedziała z trudem. - Kiedy pan zechce.

- Może teraz?

- Teraz? - Lekko zniecierpliwiona, rzuciła okiem na zegarek.

Nie wiedziała, czy jej ojciec kazał czekać klientom, ale ona nie miała takiego zwyczaju. - Za pół godziny jestem umówiona.

- To nie zajmie więcej niż pięć minut - zapewnił ją prawnik.

Ujął ją lekko za łokieć, sprowadził po schodach i skierował ku wąskiej, wyłożonej kamieniami ścieżce, prowadzącej wzdłuż bocznej ściany kościoła. Casey mocno biło serce. Zanim jednak zdążyła zastanowić się, co prawnik ma jej do powiedzenia i co ona myśli o tej sytuacji, znaleźli się na maleńkim, niewidocznym z ulicy dziedzińcu. Puszczając jej łokieć, prawnik wskazał żeliwną ławeczkę.

Usiedli oboje.

- Doktor Unger polecił mi, bym skontaktował się z panią natychmiast po nabożeństwie żałobnym - powiedział.

- Nie wiem, po co - wtrąciła Casey, opanowawszy się nieco. - Wogóle się mną nie interesował.

- Wydaje mi się, że się pani myli - zaprotestował prawnik. Z kieszeni marynarki wyciągnął kopertę. Była niewielka, jak fiszka w kartotece, spięta u góry.

Casey wpatrzyła się w kopertę.

- Jest na niej pani nazwisko - pokazał jej prawnik. Rzeczywiście. Tym samym niewyraźnym pismem, które widziała dziesiątki razy na marginesach wykresów i tabel, wyświetlanych przez Conniego Ungera podczas wykładów, napisano: "Cassandra Ellis".

Cassandra Ellis. Jej imię i nazwisko, napisane ręką ojca.

To już było coś. Serce tłukło jej się w piersi. Spojrzała ponownie na prawnika.

Niepewnie wyciągnęła rękę po kopertę, niezupełnie wiedząc, co

chciałaby znaleźć w środku, bojąc się jednak, że i tak będzie to nie to. Wyczuła palcami coś twardego.

- W środku jest klucz – wyjaśnił Paul Winnig. - Doktor Unger zapisał pani swój dom.

Casey zmarszczyła brwi, zagryzła wargi i popatrzyła niedowierzająco na prawnika. Kiwnął głową, skupiła się więc na kopercie. Ostrożnie zsunęła spinacz i zajrzała do środka. Wytrząsnęła klucz, a potem wyciągnęła kartkę papieru, wielokrotnie złożoną, by zmieściła się w kopercie. W ciągu tego czasu, gdy zajęta była rozwijaniem - kilka sekund dłużej z powodu drżenia rąk - jej wyobraźnia intensywnie pracowała. Przez tę krótką chwilę wyobraziła sobie ciepłe słowa.

Wystarczyłoby kilka. Mogły być proste, choćby takie: "Jesteś moją córką, Casey.

Przyglądałem ci się przez te wszystkie lata. Jestem z ciebie dumny". Na kartce rzeczywiście widniały słowa, ale innego rodzaju.

Zobaczyła adres domu. Zobaczyła numer kodu alarmowego. Zobaczyła krótką listę nazwisk, a przy nich wyjaśnienia: "hydraulik", "malarz" i "elektryk".

Nazwiska pokojówki i ogrodnika opatrzone gwiazdkami.

- Doktor Unger chciał, żeby pokojówka i ogrodnik zostali - wyjaśnił prawnik. - Oczywiście ostateczna decyzja należy do pani, ale jego zdaniem oboje są dobrzy i kochają dom tak jak on go kochał.

Casey była zaskoczona. Na kartce nie było niczego osobistego.

- Kochał dom? - powtórzyła, urażona, i spojrzała prawnikowi w oczy. - Dom to rzecz. Czy on w ogóle kochał ludzi?

Paul Winnig uśmiechnął się smutno.

- Na swój sposób.

- To znaczy jak?

- W milczeniu. Na dystans.

- Obecny ciałem, nieobecny duchem? - rzuciła Casey, opanowana nagłą ochotą zmięcia i odrzucenia kartki. Była zła, że przez całe życie ojciec nie powiedział do niej ani słowa, zła, że na kartce nie było niczego, co chciałaby przeczytać. - A jeśli nie zechcę tego domu?

- Jeśli go pani nie chce, proszę sprzedać. Jest wart trzy miliony. To pani dziedzictwo.

Casey nie wątpiła, że dom jest tyle wart.

Znajduje się w bardzo atrakcyjnym miejscu: przy Leeds Court, a to z kolei jest bardzo atrakcyjny plac na Beacon Hill. Wielokrotnie koło niego przechodziła.

Nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, że pewnego dnia ten dom może stać się jej własnością.

- Czy była pani kiedyś w środku? - spytał prawnik.

- Nie.

-To piękne miejsce.

- Mam już mieszkanie.

-Może je pani sprzedać.

- I wziąć na siebie spłatę większej hipoteki?

-Nie ma żadnych spłat hipotecznych. Doktor Unger był w pełni właścicielem domu. I dawał go Casey? Całkowicie spłacony dom, wart trzy miliony? Musiał być jakiś haczyk.

- Zatem utrzymanie - ogrzewanie, klimatyzacja. No i podatki - pewnie sam podatek od nieruchomości wynosi znacznie więcej niż dwukrotność moich rocznych spłat hipotecznych.

- Podatki są płacone z funduszu powierniczego. Tak samo jak pensje personelu domowego. Jest także całkowicie płacony parking, dwa miejsca z tyłu z prywatnym podjazdem i dwa na samym Court. Jeśli zaś chodzi o ogrzewanie i całą resztę, ufał, że z tym sobie pani sama poradzi.

- Oczywiście, że poradzi - albo raczej mogłaby poradzić, gdyby Stuart Beli nie zniknął z czynszem za siedem miesięcy.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego to zrobił? Taki hojny dar po latach milczenia?

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

- Czy jego żona wie o domu?

- Tak.

-I nie ma nic przeciwko temu?

- Nie. Nigdy nie miała z tym domem nic wspólnego. I bez niego została znakomicie zaopatrzona w testamentcie.

-Od jak dawna o mnie wie?

- Od pewnego czasu. Casey poczuła przyływ goryczy.

- I nie mogła do mnie zadzwonić, powiedzieć mi, że umarł? Musiałam dowiedzieć się o tym z gazety. Jak mogłam się czuć?

- Bardzo mi przykro.

- Czy to on jej kazał unikać ze mną kontaktu? Prawnik westchnął.

Wydawał się trochę zmęczony.

- Tego nie wiem. Pani ojciec był skomplikowanym człowiekiem.

Chyba nikt nie wiedział, jaki naprawdę był. Ruth – jego żona - może najbardziej się do niego zbliżyła, ale wie pani, jak żyli.

Casey wiedziała. Nie była pewna, czy bardziej żałowała własnej matki, która utraciła Conniego Ungera, zanim go miała, czy żony Conniego, która niegdyś go miała, ale dawno utraciła.

- Mam wrażenie - oznajmiła Casey - że życie z nim niebyło miłe ani łatwe.

-Może nie - odrzekł prawnik i wstał. - Tak czy inaczej, dom należy teraz do pani. Wszystko jest na panią przepisane. Jutro przyślę papiery przez posłańca.

Radzę włożyć je do sejf. Casey nie ruszyła się z ławki.

- Nie mam sejf.

-Ja mam. Czy chce pani, bym je przechował?

- Tak, proszę. Winnig wyjął z kieszeni wizytówkę.

- Tu mnie pani znajdzie. Casey wzięła ją do ręki.

- A co z jego rzeczami? Czy wszystkie tam są?

- Osobiste rzeczy - tak. Praktykę przekazał Emmettowi

Walshowi, więc komputer, kartoteki klientów i wizytownik przeniesiono do niego. Okazało się, że jej marzenie to bańka mydlana. Czasami skrywała pragnienie: Connie cenił ją pod względem zawodowym na tyle, że kierował do niej swoich klientów.

A nawet zrobił z niej swoją protegowaną. A nawet zaproponował, by wspólnie pracowali, tworząc zespół ojciec córka. Rozczarowanie minęło szybko.

Przecież to marzenie nie opierało się na żadnych podstawach.

- Aha - wyjąkała. Wciąż nie ruszała się z ławki.

- Wygląda pani blado -powiedział prawnik. - Czy dobrze się pani czuje?

Kiwnęła głową.

- Jestem tylko trochę zaskoczona. Uśmiechnął się.

- Radzę tam pojechać i obejrzeć dom od środka. Ma pewien

urok. Tego dnia Casey nie mogła posłuchać rady prawnika. Przyjmowała klientów do ósmej, potem odłożyła kwestię domu na później i dołączyła do współpracowników w Sali konferencyjnej. Cornelius Unger, wzorzec godności, skreśliłby się z zażenowania, widząc scenę, która nastąpiła. Od samego początku panował wojowniczy nastrój.

Grupa często już toczyła wewnętrzne spory, a kryzys finansowy zdecydowanie pogorszył wzajemne relacje.

- Gdzie jest Stuart?
- Skąd mam wiedzieć? Dzwoniłem w kilkanaście miejsc.
- Musimy zawiadomić policję.
- Policję? To prywatna sprawa. Stuart to przyjaciel.
- Twój przyjaciel. Z dawnych lat.
- Co nam przyszło do głowy, żeby powierzyć mu finanse?
- Robił to, bo żadne z nas nie chciało.

- Zawsze zachowywał się bardzo racjonalnie, a nie o każdym terapeutę da się to powiedzieć - zauważyła Renee, koleżanka Casey, pracownica opieki społecznej z magisterium.

- Przepraszam - obruszył się John. - To mnie obraża.
- To był żart.
- Nie sądzę.

Ty i Casey nie zawsze rozumiecie, że to dzięki nam zyskujecie wiarygodność.

Tym razem obruszyła się Casey.

- Byłybyśmy wiarygodne i bez was.
- I pracowałybyśmy w przyjemniejszych warunkach.
- No to sobie idźcie - rzucił John. - Nie będziemy musieli wynajmować tak dużego pomieszczenia.
- A któż nam cokolwiek wynajmie?

- Hej, przecież myśmy się wywiązywali ze wszystkich płatności - zaprotestowała specjalistka od nastolatków, Marlene Quinn, czując potrzebę rozgrzeszenia się z faktu, że była najbardziej związana ze złodziejem. - To Stuart podpisał umowę najmu. Tylko jego nazwisko tam figurowało. Więc tylko on odpowiada za zaległości w płaceniu.

- Ma nasze pieniądze.
- Jak je odzyskamy?
- Nie chcę się przeprowadzać.

- Czy jesteśmy w stanie sami zebrać pieniądze?

- Casey martwi się o pieniądze? - zakpił John.

-Przecież masz takie miękkie serduszek, że przyjmujesz klientów za darmo.

- To, co robię - zaprotestowała Casey - niema nic wspólnego z filantropią - po prostu staram się zawsze doprowadzić sprawę do końca, bez względu na to, czy ubezpieczenie klienta to pokryje, czynie. Czy kiedykolwiek zalegałam z pieniędzmi za czynsz?

- Nie - odrzekła Renee - i ja też nie. Nie możemy dopuścić, żeby nas wyrzucono. Mam poumawianych pacjentów.

- Klientów - poprawił ją John. - To ja przyjmuję pacjentów.

Ty przyjmujesz klientów.

- Żadne z nas ich już nie zobaczy, jeśli nas wyrzucą -wtrąciła Casey. - A właściciel tego budynku wyrzuca najemców. Pamiętacie, jak postąpił z prawnikami z drugiego piętra?

- Spadli na cztery łapy -powiedziała Marlene - bo znaleźli znacznie lepsze lokum.

- Czy musimy pracować akurat przy Copley Square? Gdybyśmy przenieśli się cztery przecznice dalej, byłoby taniej.

- Nie będę pracować na South End - oznajmił John.

-W jaki sposób Stuart mógł wyczyścić konto? -spytała Casey z niedowierzaniem.

- Miał nasze upoważnienia. Bank nie miał podstaw, by cokolwiek kwestionować.

- Więc dlaczego to zrobił? Czy ma długi? Jest hazardzistą? Rozpada mu się małżeństwo? Renee podjęła temat.

- I żadne z nas nie widziało, że coś jest nie tak? Przenikliwość to podobno nasza zawodowa cecha.

- Do diabła, nie umiemy czytać w myślach- skonstatowała Marlene - Możemy się wykazać przenikliwością dopiero wtedy, gdy pracujemy z klientem dostatecznie długo, by przełamać jego brak zaufania. Casey nie widziała analogii do sytuacji, jaka im się przydarzyła.

- To nie to samo.

-To samo.

- Nie - upierała się, porzucając teorię na rzecz zdrowego rozsądku.- Jesteśmy ludźmi. Stuart pełnił tu pewną funkcję, więc

widzieliśmy to, co chcieliśmy widzieć.

- Cóż, to nas do niczego nie prowadzi – powiedziała Renee. - Potrzebujemy pieniędzy, i to szybko. Skąd je weźmiemy? Spotkanie zakończyło się, ale nie zapadły na nim żadne decyzje. Casey była wyczerpana.

Wyszła z biura i skierowała się z Copley Square wzdłuż Boylston Street do Massachusetts Avenue. Stawiała długie kroki i oddychała głęboko przeponą jak podczas ćwiczeń jogi.

Skręciła w lewo, potem w prawo, szła bocznymi uliczkami aż do Fenway, gdzie nad wstążką wody obrośniętą drzewami stał rząd domów z brązowej cegły.

Rozdział drugi

Głębokie oddechy zbyt nie pomogły. Już dawno brakowało jej łez, ale choć często tu przychodziła, nie potrafiła zachować spokoju. To nie w tym miejscu chciała spotykać się z matką. Gdyby mogła zmienić jedną rzecz w swoim życiu, zmieniłaby właśnie to. Wbiegła po pięciu kamiennych schodkach i weszła do środka.

Pomachała recepcjonistce i pokonała kolejne schody. Na drugim piętrze przywitała się z dyżurującą pielęgniarką.

- Cześć, Ann. Jak się dzisiaj czuje?

Ann Holmes miała macierzyński wygląd i emanowała spokojem sugerującym, że pogodziła się z opieką nad osobami z ciężkimi uszkodzeniami mózgu.

Caroline Ellis była pod jej pieczę od trzech lat. Ann machnęła ręką.

- Nienadzwyczajnie.

Tego ranka miała kilka niegroźnych drgawek. Doktor Jinsji chyba do ciebie dzwonił?

- Tak, zostawił wiadomość, że valium pomogło.

- Powiedział także, że martwi go rosnąca częstotliwość napadów, ale Casey wołała widzieć w tym zmianę na lepsze. Uznała, że po tylu miesiącach trwania w stanie wegetacji drgawki oznaczają, że Caroline zaczyna się budzić.

- Już się uspokoiła - powiedziała pielęgniarka. - Teraz śpi.

- Będę więc cichutko - szepnęła Casey. Przecięła hol i wślizgnęła się do pokoju matki. Lampy uliczne lekko go rozświetlały, ale Casey i po ciemku potrafiłaby się w nim poruszać. Poza kilkoma

sprzętami medycznymi, niezbędnymi do karmienia i nawadniania, w pokoju znajdowało się tylko łóżko, dwa fotele i komódka. Ponieważ Casey sama przywiozła tu fotele i komódkę, wiedziała, gdzie co stoi. Od wypadku trzy lata temu odwiedzała Caroline Ellis kilka razy w tygodniu. Po tylu spędzonych tu godzinach, chodzeniu po tych podłogach, patrzeniu na te ściany i dotykaniu tych mebli Casey znała każdy centymetr przestrzeni. Podeszła do łóżka i pocałowała matkę w czoło. Caroline pachniała niedawną kąpielą. Zawsze tak było, i między innymi dlatego Casey trzymała matkę w tym domu opieki.

Świeże kwiaty, co tydzień pojawiające się na komódce, świadczyły o tym, że zwracano tu uwagę na takie zwykłe, stanowiące o jakości życia sprawy, dbano także o higienę osobistą chorych, choć - tak samo jak kwiaty - miało to większe znaczenie dla rodzin pacjentów niż dla nich samych. Zwłaszcza odnosiło się to do Casey. Caroline, którą znała, wyrzucała gnój z obory, ale jedynym zapachem, który Casey się z nią kojarzył, był lekki, świeży zapach kremu eukaliptusowego, którego zawsze używała. Casey kupiła go więc na zapas i pielęgniarki stale ten krem stosowały. Nic nie świadczyło o tym, by pomagał Caroline, ale niewątpliwie działał uspokajająco na Casey. Siadając na łóżku koło matki, Casey ujęła jej sztywną rękę, delikatnie rozmasowała nadgarstek i wyprostowała palce, po czym przyłożyła je sobie do gardła.

Caroline miała zamknięte oczy.

Choć niebyła tego świadoma, jej ciało wciąż stosowało się do dobowych cykli snu i jawy.

- Cześć, mamó. Jest późno.

Wiem, że śpisz, ale musiałam do ciebie zajrzeć.

- Zły dzień? - spytała Caroline.

- Nie wiem, czy "zły".

Raczej dziwny. Connie zapisał mi swój dom.

- Co takiego?

- Zapisał mi dom.

- Ten na Beacon Hill? To pytanie obudziło w Casey pewne wspomnienie.

Nagle znów miała szesnaście lat i wróciła do domu po popołudniu spędzonym w Bostonie.

"Beacon Hill"? – powtórzyła Caroline, gdy zbuntowana i zirytowana Casey wykrzyknęła te słowa. Beacon Hill było miejscem historycznym,

oferującym wiele różnych rzeczy, ale wymienienie tej nazwy w ich domu budziło tylko jedną myśl: Connie Unger. "Czy poszłaś się z nim zobaczyć?" - spytała Caroline.

Casey zaprzeczyła, ale jak można się było spodziewać, matka czuła się dotknięta.

"Nigdy się tobą nie interesowałam, Casey. Nie pomagałam żadnej z nas, ale doskonale dałyśmy sobie radę". W tamtych czasach Caroline czuła gniew i ból. Teraz, jak się Casey wydawało, było to raczej zdumienie.

- Dlaczego zostawił ci dom?

-Może nie wiedział, co z nim zrobić. Caroline nie od razu odpowiedziała.

Casey wiedziała, że myśli, jak najlepiej wybrnąć z tej sytuacji. W końcu taktownie zapytała:

- I co o tym myślisz?

-Nie wiem. Dowiedziałam się dopiero dziś po południu. Casey nie wspomniała o nabożeństwie żałobnym. Niebyła pewna, czy Caroline zrozumie, dlaczego tam poszła, i nie chciała, by matka uznała, że oczekiwała czegoś od Conniego.

Caroline zawsze była doskonałą matką i osobą, która wie, czego chce, z wyjątkiem tego wszystkiego, co dotyczyło ojca Casey. Biorąc pod uwagę jej obecną sytuację i fakt, że koszty leczenia niemal całkowicie pochłonęły oszczędności, czułaby się zagrożona tak hojnym zapisem Conniego. Chcąc zmienić temat, Casey otworzyła usta, by opowiedzieć matce o kryzysowej sytuacji w zespole.

Zanim jednak powiedziała słowo, zrezygnowała. Kryzysy pojawiały się i znikwały.

Nie musi najnowszy z nich obciążać Caroline. Lepiej, żeby skupiła energię na zdrowieniu. Siedziała więc przez chwilę w milczeniu, na zmianę gimnastykując sztywne palce matki, by robiły wrażenie elastycznych, i ogrzewając je o swoją szyję. Gdy Caroline spokojnie spała, Casey delikatnie wsunęła rękę matki pod przykrycie i pocałowała ją w policzek.

- Dom nic nie znaczy. To ty jesteś najważniejsza. Jesteś całą moją rodziną, mamó. Wyzdrowiejesz dla mnie? W ciemności przyglądała się twarzy matki.

Po chwili cicho wymknęła się z pokoju.

Opuszczając Fenway z bólem serca, ruszyła w kierunku rzeki.

Po dziesięciominutowym spacerze dotarła do małego, dwupokojowego mieszkania w Back Bay; kupiła je przed dwoma laty i wciąż nie była pewna, czy może sobie na nie pozwolić.

Nie miałyby to znaczenia, gdyby zdecydowała się na przeprowadzkę do Providence i pracę na uczelni, ale dziś nie była w stanie zmierzyć się z tą decyzją.

Ledwie przejrzała pocztę i podgrzała sobie obiad, poczuła się wykończona.

Ponieważ następnego dnia miała spotkanie z klientem już o ósmej rano, położyła się spać.

W czwartek też nie dotarła na Beacon Hill, gdyż w przerwach między wizytami klientów wałkowała sprawę Stuarta z Renee, Marlene i Johnem.

Żona Stuarta upierała się, że nie ma pojęcia, gdzie przebywa mąż, w banku zaś twierdzono, że na koncie spółki nigdy nie było sumy równej siedmiomiesięcznemu czynszowi.

Rozmowy w sali konferencyjnej nie wносиły nic nowego.

Nie udało im się dojść do żadnych wniosków - działali sobie tylko wzajemnie na nerwy.

- Nie przyglądałeś się wyciągom bankowym? - spytała Marlene Johna.

- Ja? Dlaczego ja? To była działka Stuarta.

- Ale to ty jesteś psychiatrą. Ty masz najwyższą pozycję.

To ty chciałeś wynająć to pomieszczenie.

- Przepraszam, chciałem mieć gabinet w Government Center, nie na Copley Square.

- Skąd mamy wykombinować dwadzieścia osiem tysięcy dolarów? - myślała głośno Casey.

- Raczej trzydzieści osiem. Właściciel doliczył odsetki i chce za następne dwa miesiące z góry.

- Moglibyśmy wziąć pożyczkę.

- Nie mogę sobie pozwolić na jeszcze jedną pożyczkę.

- Co więc proponujesz?

- Przeprowadzić się do mniejszego pomieszczenia.

- Nie da rady. I tak potrzebujemy czterech gabinetów, sali konferencyjnej i miejsca dla księgowej.

- Księgowa może pracować w domu.

-To znaczy, że zachęcasz ją do okradania nas?

Casey wyszła z gabinetu o szóstej tak spięta, że ruszyła prosto do klubu

Bardziej potrzebna jej była joga niż wizyta na Beacon Hill, a po skończeniu ćwiczeń czuła się tak odprężona, że nie mogła myśleć o Conniem Ungerze.

Rozpaczliwie pragnąc pociechy, zafundowała sobie obiad z dwiema koleżankami z klubu, a gdy już skończyły chichotać po butelce merlota, był najwyższy czas iść do łóżka - i to na krótko.

W piątek już o szóstej rano jechała na warsztaty w Amherst.

Wracała do domu dopiero wieczorem. W drodze wysłuchała wiadomości z poczty głosowej. Jej współpracownicy w dalszym ciągu czepiali się drobiazgów i nagle Casey poczuła się tym wszystkim zmęczona.

Przeprowadzka na Rhode Island niewątpliwie pomogłaby jej uwolnić się od całego bałaganu. Nie zareagowała na ich telefony.

Czuła się zażenowana małostkowością swych partnerów, zanim jeszcze pomyślała, co Cornelius Unger powiedziałby o tak niespójnej grupie.

Znowu jej się nie powiodło - stwierdziłby. Jemu nigdy się nie zdarzyło, by partner go okradł. Oczywiście zawsze prowadził praktykę sam.

Casey też mogłaby się na to zdecydować, i pewnie tak zrobi, jeśli zacznie pracę na uczelni. Będzie przyjmować klientów tylko kilka godzin w tygodniu, w gabinecie na terenie uczelni. Nie mogła sobie wyobrazić całkowitego zaprzestania terapii, bo kochała tę pracę.

Z przeprowadzką do Providence wiązał się jednak inny problem. Nie była pewna, jak będzie się czuła tak daleko od matki - zresztą to wyglądało na gigantyczny paradoks. Casey dorastała bowiem w Providence, Caroline mieszkała tam aż do wypadku. Przez cały ten czas Casey rozpaczliwie pragnęła niezależności.

Matka stanowiła uosobienie ogniska domowego, wszystkiego, od czego dziewczyna uciekała. Im bliżej siebie mieszkały, tym było gorzej.

Pomijając już karierę zawodową Casey, trudno było dostosować się do wymagań Caroline.

Często ich nie respektowała - nawet teraz, gdy wróciwszy do domu, zamiast rozmrozić lodówkę, przejrzeć stosik poczty, rosnący na blacie kuchennym jak grzyby po deszczu, czy choćby przeczytać książkę, oglądała powtórkę Buffy, postrach wampirów, aż zasnęła na

kanapie. Wstała o północy i przeniosła się do łóżka, ale nie spała dobrze.

Jeśli nawet udawało jej się zapomnieć o brzydkim słowie "zaniepokojenie", znów użytym dziś przez lekarza, to w jej głowie tłoczyły się myśli o propozycji pracy na uczelni, na którą powinna była już dawno odpowiedzieć, o sytuacji w zespole, która stawała się nie do zniesienia, albo o tym, że ma trzydzieści cztery lata i żadnych korzeni. Potem pomyślała o tak niespodziewanie odziedziczonym domu na Beacon Hill i sama na siebie zaczęła zrzędzić. Unikała tego domu. Nie musiała pytać żadnego specjalisty, żeby to wiedzieć. Pokazywała swemu zmarłemu ojcu, jak bardzo nie odpowiada jej fakt, iż uznał ją dopiero w testamencie, i że nie potrzebuje jego rezydencji za trzy miliony dolarów.

Kazała mu czekać.

Było to takie proste i takie dziecinne.

W sobotni rano obudziła się w bojowym nastroju.

Chciałaby także poczuć się całkiem dorosła, ale chyba żądała zbyt wiele.

Wbrew obiegowej opinii, że skoro udaje się do najelegantszej dzielnicy Bostonu, powinna się odpowiednio ubrać, choćby z szacunku dla zmarłego ojca, zostawiła twarz bez makijażu, włożyła szorty i obcięty podkoszulek, a rudoblonde włosy przeciągnęła przez otwór najbardziej znoszonej bejsbolówki.

Zasnurowawszy dość wysłużone adidas oraz nasunawszy najciemniejsze i najmodniejsze okulary, wyruszyła do Beacon Hill. Pokonała zaledwie dwie przecznice, gdy musiała, niestety, zawrócić do domu po zapomniany klucz. Wrzuciła go do niewielkiego plecaka razem z telefonem komórkowym i butelką wody i ponownie ruszyła w drogę.

Poranek był prześlizgnięty.

Ledwo minęła dziewiąta, a biegających było niemal tyle samo ile samochodów.

Przebiegła swobodnie Commonwealth Avenue, w cieniu starych klonów i dębów, przeważających w centralnym pasie zieleni.

Przebierała nogami w miejscu, czekając, aż zmieni się światło na Arlington Street, po czym zagłębiła się w park.

Z przyjemnością okrążyła staw, mijając łódki w kształcie łabędzi, które

właśnie budziły się do życia, rodziców pchających wózki z niemowlętami, dzieci, które biegły wrzucać kamyki do wody. Każdy plusk przyciągał stado kaczek, dopóki nie zorientowały się, że kamyki to nie orzeszki.

Zakończywszy okrażenie, podążyła ku skrzyżowaniu Beacon Hill i Charles Street.

Pod wpływem kaprysu -w ostatniej próbie zagrania na nosie duchowi Conniego -przebiegła powoli wzdłuż całej Charles Street.

Wreszcie skręciła w prawo, ruszyła w górę Cambridge Street, następnie w Joy Street i zawróciła w Pinckney Street, po czym pobiegła w dół zbocza.

Zawsze lubiła Pinckney Street.

Stały tu takie same jak na całym wzgórzu szeregowy domki z brązowego kamienia i cegły, niekiedy urozmaicone domem z pruskiego muru.

Były tu takie same długie, wąskie zaułki, wyłożone ceglami i wciskające się między mury, takie same skrzynki okienne pełne kwiatów, takie same kunsztowne kraty przy oknach i drzwiach.

Zanim jednak zbiegła ze wzgórza, nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa.

Z Pinckney Street skręciła w lewo w West Cedar, a potem znów w lewo, na Leeds Court. Wąska uliczka wysadzana kocimi łbami biegła wzdłuż domów przy West Cedar, po czym nagle rozdzielała się, otaczając kępę drzew iglastych.

Zdyszana i spocona, Casey minęła zaparkowane samochody, przy każdym zakręcie zerkając na swoje dziedzictwo.

Dom wciśnięty między inne, stał w najbardziej oddalonym punkcie Leeds Court, a jego fasada skierowana była ku zachodowi.

Zbudowany z cegły koloru czerwonego wina, porośnięty bluszczem na całej wysokości czterech kondygnacji nad suteroną.

Pierwsze dwa piętra zostały wyposażone w wysokie okna i lśniące czarne okiennice; okna drugiego piętra miały szczyciki, trzecie zaś piętro, nieco cofnięte, przekrywała kopuła.

Casey zawsze intrygowało to trzecie piętro, tak uroczo zawieszony nad szczytami.

Dawniej wyobrażała sobie -wciąż tak uważała - że to czarująca kryjówka.

Jednak nie wpatrywała się w nie zbyt długo - czekało ją znacznie więcej rzeczy do obejrzenia. Ze skrzynek okiennych na parterze i pierwszym piętrze wylewały się różowe kwiaty.

Żelazny płotek sięgający jej do pasa okalał niewielki ogródek, w którym dywan małych niebieskich kwiatków otaczał kwitnące na biało drzewa po obu stronach ścieżki.

Dereń - zgadywała Casey - ale tylko zgadywała.

Nie знаła się na drzewach ani na kwiatkach.

Nigdy nie musiała, bo jej matka była ekspertem.

Nie chcąc z nią konkurować, Casey odpuściła sobie florę.

Te skromne wiadomości, które miała, jakoś w nią wsiąkły, całkiem przypadkowo.

Gdyby bawiła się w zgadywanie, powiedziałyby, że kwiaty w skrzynkach okiennych to goździki brodate, choć nie miała pojęcia, skąd jej ta nazwa przyszła do głowy.

Tak czy inaczej, były piękne.

Zadbane i pełne, przyćmiewały bodziszki w skrzynkach sąsiada po lewej i bratki w skrzynkach sąsiada po prawej.

Przypuszczała, że troszczył się o nie ogrodnik Conniego, który podobno kochał dom, pozwoliła więc sobie podziwiać jego dzieło dłużej.

Gdyby uważała, że Connie sam zasadził kwiaty, zapewne nie poświęciłyby im tyle uwagi.

Był to ostatni moment gry na zwłokę.

Czas mijał.

Nie chciała, żeby to trwało cały dzień.

Czekały ją jeszcze inne zajęcia.

Wyjęła z plecaczka butelkę wody, pociągnęła haust, zakręciła ją i wsunęła z powrotem na miejsce.

Znalazła starą paczkę gumy do żucia juscyc fruit.

Nie przejmując się, że może być wyschnięta, zerwała opakowanie i wsunęła gumę do ust.

Żując, wyzywająco wyprostowała ramiona, otworzyła żelazną furtkę i skierowała się ku domowi.

Rozdział drugi

Ścieżka wyłożona szarym piaskowcem w pewnym miejscu rozwidlała się, a jej odgałęzienie odchodzące w lewo kończyło się schodkami prowadzącymi na niższy poziom.

Drzwi frontowe i ościeżnice były drewniane, pomalowane na ten sam lśniący czarny kolor co okiennice.

Klamkę, kołatkę i listwę u dołu drzwi wykonano z wypolerowanego mosiądzu.

Z bijącym sercem, wciąż żując gumę, Casey wsunęła do zamka klucz, obróciła go i otworzyła drzwi.

Nauczyła się na pamięć kodu wyłączającego alarm, nie słyszała jednak żadnego odgłosu sugerującego aktywację systemu.

Wiedząc, że alarm może się włączyć bezszmerowo - i aż się wzdygając na myśl, iż sprowadzi to zaraz policję - pospiesznie pokonała maleńki przedsionek i weszła do holu.

W środku było ciemno -ciemne drewno, ciemny dywan, ciemne ściany.

To się Casey nie spodobało. Natomiast powietrze przyjemnie chłodziło jej skórę, i to było miłe. Zdjęła okulary i uniosła głowę, by lepiej widzieć spod daszka czapki.

Rozejrzała się i na ścianie po lewej stronie znalazła panel systemu alarmowego, jednak światelko było zielone.

Oznaczało to, że albo ostatnia wychodząca z domu osoba zapomniała włączyć alarm, albo ktoś był w domu.

- Dzień dobry! - zawołała, zawieszając okulary na dekolcie koszulki.

Przed nią, patrząc od lewej do prawej strony, znajdowały się kolejno: korytarz prowadzący na tył domu, schody na górę i dwoje lekko uchylonych drzwi.

Gdy zdjęła okulary przeciwsłoneczne, hol nie wydawał jej się tak bardzo ciemny.

Na podłodze i na schodach leżały wschodnie chodniki w kolorach bordo, oliwkowym, białym i czarnym. Słupki balustrady i poręcz były z mahoniu.

Ściany miały karmelowy kolor. Wszystko czyste i dobrze utrzymane.

W takim otoczeniu Casey poczuła się brudna, poza tym pociała się ze zdenerwowania. Wierzchem dłoni otarła kropelki potu z nosa. Schowawszy gumę między zębami a policzkiem, zawołała jeszcze raz, ostrożnie:

- Jest tam kto? Ledwie przebrzmiał jej głos, usłyszała tupot kroków osoby biegnącej po schodach w tylnej części domu.

Kroki były lekkie- niemożliwe, by należały do wielkiego bandyty. Zresztą - tłumaczyła sobie - intruz wyslizgnąłby się tylnym wejściem. To musiała być pokojówka.

Casey ledwie zdążyła rzucić okiem na niski kredens z dwoma rzeźbionymi krzesłami po bokach, gdy z korytarza wybiegła kobieta. Miała szeroko otwarte oczy i bladą twarz.

W ręce trzymała pogrzebacz. Tupot kroków powinien odpowiednio przygotować Casey. Pokojówka w dawnym stylu w dyskretnym szarym ubraniu i z gładko zaczesanymi siwymi włosami na pewno by nie biegła.

Mogła iść szybko, ale zachowywałaby się dystygowanie.

Ta pokojówka była całkiem inna.

To prawda, że jej spodenki koloru khaki nie były aż tak kuse jak nylonowe szorty Casey, ale koszulka polo - czysta i wyprasowana - wysuwała się jednak nieporządnie zza paska.

Kobieta miała na nogach białe tenisówki i zrolowane skarpetki.

Włosy odgarnięte z twarzy związała w koński ogon, niemal tak ciemny jak mahoniowa balustrada.

Jej gładka skóra świadczyła o tym, że nie jest starsza od Casey.

Co więcej, nie wydawała się bardziej od niej opanowana.

Błada i zdenerwowana, zamarła na miejscu. Casey natychmiast się rozluźniła.

- Meg Henry? - spytała.

Tak brzmiało nazwisko pokojówki na jej liście. Kobieta skinęła głową.

Dziewczyna - poprawiła się w myślach Casey.

Nie ma chyba nawet trzydziestki.

- A kim ty jesteś?- spytała Meg przestraszonym głosem.

- Casey Ellis. Córka doktora Ungera.

- Czyja? Jesteś córką Ruth?

- Nie, Caroline.

Meg przełknęła ślinę.

- Przykro mi, nie wiem, kim jest Caroline.

- Podeszła bliżej, zajrzała pod daszek czapeczki Casey i aż się zachłysnęła.

-Piegi!

- Tak. - Bez makijażu widać było ten defekt urody. -Mam piegi.

Meg uśmiechnęła się szeroko. Nie wiedząc, jak to rozumieć, Casey

mówiła dalej:

- Odziedziczyłam ten dom. Powiedziano mi, że tu pracujesz. Ale dziś jest sobota. - Zerknęła na pogrzebacz. - Czy kazał ci pracować także w soboty? Meg schowała pogrzebacz za siebie.

- Pracuję codziennie. Gdybym tego nie robiła, kto by się nim zajmował?

Casey powstrzymała się od przypomnienia dziewczynie, że Connie umarł.

Było w niej coś kruchego - wyraz oczu, pochylenie głowy, lekko opuszczone ramiona.

- Nie dawał ci wolnego?

-Dawał, gdy tylko chciałam- wyjaśniła Meg - ale nigdy nie potrzebowałam go wiele. Wspaniale pracowało się dla doktora Ungera. - Jej oczy wypełniły się łzami.

"Zastępcza córka" - pomyślała natychmiast Casey, zauważając, że Meg ma podobną do niej budowę i wzrost. -"Zastępcza córka, która sprząta". Zatem i pod tym względem Casey by go nie zadowolila. Sprzątanie nigdy nie było jej mocną stroną. Wsunęła dłonie do tylnych kieszeni i głęboko odetchnęła.

Powietrze w domu pachniało skórą, książkami, ciepłą i wilgotną ziemią. Ten zapach naprawdę był wyczuwalny. Marszcząc brwi, skupiła wzrok na donicy tuż za słupem balustrady. Naczynie wypełniały oplątwa i bujna paproć. Meg poszła za jej spojrzeniem i natychmiast przeprosiła.

- Zbyt obficie je podlałam.

Jordana dziś nie ma, a ja od tygodnia myślę, że wyglądają na suche. Musiał je wczoraj podlać.

Jordan był ogrodnikiem - Jordan z Daisy's Mum, według listy. Casey przypuszczała, że Daisy's Mum to jedna z tych eleganckich kwiaciarni, które zajmują się roślinami w domach yuppie. Connie Unger nie był yuppie, ale jeśli Daisy's Mum była dobra, a Jordan kochał dom, to Casey nie miała zamiaru protestować. Nieumiejętność obchodzenia się z roślinami stanowiła jej kolejny słaby punkt.

- Wytarłam, co wyciekło - mówiła Meg. - Tylko ziemia pachnie, póki nie wyschnie. Bardzo mi przykro.

- Nie ma sprawy – zapewniła ją Casey i ponownie odetchnęła głęboko, ale poczuła się niepewnie. Pomijając kwestię zastępczej córki, nie wiedziała, co robić z pokojówką. Nigdy przedtem żadnej nie miała.-

Chciałabym się trochę rozejrzeć. Może wrócisz do czyszczenia kominka?

- Miałam zamiar odkurzyć książki. Wiesz, że w bibliotece i gabinecie jest ich dziewięćset dwadzieścia trzy?

Casey była pod wrażeniem.

- Wygląda, jakbyś je odkurzała wielokrotnie.

-Tak było - powiedziała Meg z dumą.

- Nie ma nic gorszego niż kurz w nosie, kiedy się szuka książki, wejdzie się po schodkach, wyciągnie ją z półki. Tak było, gdy zaczęłam pracować dla doktora Ungera. Pani Wheeler była za stara, by się wspinać na górę i odkurzać książki.

Czy chciałabyś coś zimnego do picia? Doktor Unger zawsze lubił mrożoną herbatę.

- Ja nie. - Casey ucieszyła się, że może to powiedzieć. -Ja wolę mrożoną kawę. Ale w tej chwili nic nie chcę, dzięki. -Wskazała drzwi naprawo.

- Po prostu zwiedzę dom.

-Odwróciła się, ale usłyszawszy cichy okrzyk, spojrzała za siebie.

- Twoje włosy - powiedziała Meg. - Nie widziałam ich z przodu.

Nie spodziewałam się takiego koloru.

Casey uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i weszła do salonu.

Był to długi, wysoki, wąski pokój, składający się z dwóch wyraźnych części.

W pierwszej stały fotele i sofy pokryte aksamitem i brokatem, przyścienne stoliki z drewna i marmuru oraz wysokie lampy z ładnymi abażurami koloru kości słoniowej.

Drugą wypełniał fortepian.

Podłogę w obu częściach pokrywały wschodnie dywany i choć ich wzory trochę się różniły, dominował kolor burgunda, pasujący do klimatu pokoju.

Okna wychodziły i na front, i na tył domu; przesłaniały je firanki, a rozsunięte zasłony sięgały podłogi.

Tuż przy nich na eleganckich żelaznych żardinierkach stały bujne paprocie, oświetlone padającymi przez okna promieniami słońca.

Casey spojrzała na stoliki pod ścianami, spodziewając się na nich fotografii.

Wiedziała, że na żadnej nie odnajdzie siebie, ale chętnie zobaczyłaby zdjęcia rodziny Conniego.

Znając jego powściągliwy i zdecydowanie niesentymalny charakter, ludzie zakładali zazwyczaj, że nie ma żadnej rodziny, ale musiał przecież skądś pochodzić.

Jeśli miał jakieś fotografie, to tu właśnie byłoby dla nich odpowiednie miejsce - a jeśli nie zdjęcia krewnych, to przynajmniej jego samego z lat dziecińczych.

Stare sepiowe odbitki doskonale pasowałyby do tego pokoju.

Niczego jednak nie znalazła.

Także na fortepianie, eleganckim instrumencie z wysoko podniesioną przykrywą, było pusto.

Pomimo urody tego miejsca Casey nie miała pojęcia, co nietowarzystki Cornelius Unger mógł robić w tym pokoju. Trudno jej było sobie wyobrazić, aby tu często przebywał. Meble wydawały się mało używane, a fortepian stanowił zapewne tylko dekorację. Na ścianach wisały stare olejne obrazy, przedstawiające lasy i pola, na stołach zaś stały oryginalne świeczniki, ale w sumie pokój wydawał się dziełem dekoratora wnętrz. Wątpiła, by cokolwiek w tym pomieszczeniu miało jakieś znaczenie dla człowieka, który był jej ojcem. Nie chodziło tylko o fotografie - nie widziała tu niczego, co miałyby osobisty charakter.

Wycofawszy się z pokoju, stała przez chwilę w holu.

Spojrzała do góry.

Jeśli chciała znaleźć coś osobistego, powinna szukać "na górze".

"Góra" była jego prywatną przestrzenią.

Ta myśl wytrąciła ją z równowagi.

Nie była pewna, czy jest gotowa, by się tam zapuścić.

Przypomniała sobie, że ten człowiek nie żyje.

Trochę pomogło.

W końcu jednak zwyciężyła ciekawość i Casey wspięła się po schodach.

Poręcz była gładka i wypolerowana; jeśli ojciec jej dotykał, ślady jego palców zostały już starte.

Podest na szczycie schodów ubarwiał duże donice pełne roślin.

Ostrożnie podeszła do pokoju po lewej stronie i zajrzała do środka.

Cały był w odcieniach błękitu: od szaroniebieskiego po granatowy.

Stało w nim wielkie łóże z baldachimem, biurko i krzesło, kominek i mała kanapa.

Pokój mógłby się Casey podobać - niebieski był jej ulubionym kolorem – gdyby nie sprawiał wrażenia opuszczonego, mimo wiszących przed oknami koszów z bluszczem.

Za pokojem znajdowała się łazienka.

Casey zerknęła na miękkie niebieskie ręczniki, tapety, które do niebieskich dodawały tony morelowe, i jasnoniebieski szlafrok - wszystko to wyglądało na całkiem nowe.

Zamknęła drzwi i wróciła na podest.

W pokoju naprzeciwko zapewne mieszkał.

Domyśliła się tego, podchodząc do drzwi, które były lekko uchylone.

Zobaczyła bardziej zniszczony z jednej strony dywan.

Mając wrażenie, że jest intruzem, delikatnie pchnęła drzwi i zajrzała do środka.

Przez okna wychodzące na front i tył domu padało jasne światło, ale wewnątrz pozostawało zdecydowanie ciemne.

Została tu na tyle długo, by dostrzec drzewka w doniczkach przy oknach, solidne łóże, meble do siedzenia, dwie komody i drzwi do łazienki.

Cofnęła się i natychmiast poczuła się lepiej, ruszyła więc na następne

piętro.

Na tym podejście nie było roślin, tylko olejny obraz przedstawiający las, dalej kolejne schody i dwoje zamkniętych drzwi. Otwierając jedno z nich, znalazła się w pokoju gościnnym, urządzonym na fioletowo - stały tam dwa łóżka, toaletka, kanapa. Pokój służył jednak przede wszystkim jako składzik. Większość powierzchni podłogi zajmowały kartony i pudła. To samo zobaczyła w drugim pokoju, utrzymanym w tonacji beżowej. Ponieważ zainstalowano tu piętrowe łóżko, pozostawało więcej pustej przestrzeni, ale ona także została zastawiona.

Liczba pudeł trochę przeraziła Casey. Kartotekę Conniego przekazano jego koledze, podejrzewała jednak, że pozostała tu cała masa papierów i książek. Z jednej strony, wielbiąc ojca jako profesjonalistę, była ciekawa, czy zostawił instrukcje, żeby oddać papiery jakiejś bibliotece. Z drugiej, bardzo pragnąc poznać go jako człowieka, była ciekawa, czy jest tam coś osobistego.

Poszuka. Będzie musiała. Nawet gdyby nie paliła jej ciekawość, i tak powinna coś z tym wszystkim zrobić, zanim sprzeda dom.

Zamknąwszy drzwi drugiego pokoju, wspięła się na ostatni odcinek schodów. Były bardziej strome niż pozostałe i prowadziły pod kopułę, którą tak podziwiała z ulicy. Ta przestrzeń miała całkiem inny charakter.

Było to niewielkie, ale otwarte pomieszczenie z widocznymi krokwiami, jasnymi dębowymi belkami, przeszkloną ścianą od frontu i z tyłu.

Wyrzała przez okno i przez chwilę przyglądała się Leeds Court, po czym cofnęła się na tyły domu. Za trzema rosnącymi w donicach fikusami stała pojedyncza sofa, oddzielona od tarasu drewnianymi przesuwanymi okiennicami.

Okiennice były odsunięte, przestrzeń dzieliły parawany. Casey przeszła po nagich deskach podłogi, przesunęła jeden parawan i wyszła na taras. Miał najwyżej cztery na cztery metry, był wyłożony cedrowymi deskami i otoczony ścianką sięgającą jej do pasa, zrobioną z tego samego drewna.

W długich ceramicznych skrzynkach i misach, pokrytych szkliwem w różnych odcieniach zieleni, rosły liczne rośliny i kwiaty.

Pośrodku stało jedno smutne krzesło. Casey odczuła jego samotność. Przeszedł ją dreszcz, ale otrząsnęła się i skupiła na widoku. Pod sobą miała wierzchołki drzew; po obu stronach widziała tarasy sąsiednich domów. Dalej dachy –ozdobione jasną zielenią drzew, ciemną zielenią bluszczy, czerwienią i różem kwiatów i parasoli na patio - ciągnęły się w górę wschodniego zbocza Beacon Hill.

Na jednym z tarasów stał jakiś mężczyzna.

Gdy poczuł na sobie jej wzrok, pomachał ręką.

Uśmiechnęła się i odpowiedziała tym samym, po czym odwróciła się i spojrzała na własny dom.

Własny dom.

Tak –przynajmniej na jakiś czas.

Taras stwarzał wiele możliwości i na pewno podniesie cenę nieruchomości.

Jeśli postawi się tu grill, stół i krzesła, a także kilka pochodni, będzie to wspaniałe miejsce na przyjęcia.

Oczywiście Connie nie był człowiekiem lubiącym spotkania towarzyskie.

To jedna z wielu dzielących ich różnic.

Odziedziczyła jednak po nim kolor włosów, choć Meg Henry nie mogła tego wiedzieć.

Zmarł w wieku siedemdziesięciu pięciu lat, a przez ostatnich piętnaście był siwy i łysiał.

Przedtem jednak miał włosy blond, a jeszcze dawniej –według matki Casey- o takim samym jak u niej rudawym odcieniu.

Casey miała także oczy niebieskie jak ojciec, ale doskonały wzrok odziedziczyła po matce.

Nigdy nie nosiła okularów, natomiast Connie musiał używać grubych szkieł, które rozmywały błękit i sprawiały, że podobieństwo było trudno dostrzegalne.

Wróciła do wnętrza i zaczęła schodzić po schodach.

Zamknięte drzwi na drugim piętrze kryły wyzwanie.

Była ciekawa, czy w zgromadzonych tam kartonach znajdzie zdjęcia młodego Conniego, a może są tam fotografie dawno zmarłych krewnych lub farmy w Maine, na której dorastał.

Jego oficjalna biografia ograniczała się do miejsca i daty urodzenia.

Wiedziała o farmie, ponieważ matce wymknęła się kiedyś ta

informacja, gdy porównywała jego talenty towarzyskie do talentów osła.

Caroline Ellis nie była zgorzkniałą kobietą.

Mówiła o Conniem jedynie wtedy, gdy Casey ją do tego zmuszała - a wówczas, owszem, była złośliwa i miała do tego prawo.

Ten mężczyzna ją kochał i opuścił, nie tyle zaprzeczając, że istniał między nimi związek, ile wydając się o nim nie pamiętać.

Caroline nigdy nie prosiła go o pomoc, ale gdyby ją ofiarował, przyjęłaby to z radością.

Gdy córka dorosła i zaczęła się sama utrzymywać, matce nie był on już do niczego potrzebny.

Casey żywiła własne urazy.

Jednakże między nią a Conniem istniał związek krwi.

Ta biologiczni więc usprawiedliwiała jej ciekawość.

Interesujący dla niej był fakt, że wszystkie te kartony zostały zapakowane i schowane za zamkniętymi drzwiami, w miejscu, które każdy mógł minąć obojętnie.

Niektórzy ludzie na takim stanowisku jak Connie chętnie przechwalaliby się swymi osiągnięciami, ale nie on.

Może był skupiony na sobie i krótkowzroczny, ale nie pyszałkowaty.

Musiała mu to przyznać.

Z drugiej strony, być może tylko on jeden wspinał się po tych schodach.

Między sofą za ścianką z drzewek w doniczkach a pojedynczym krzesłem na tarasie ciągnęła się przestrzeń, gdzie samotny człowiek mógł przyglądać się światu, z którego zrezygnował.

Casey nie pozwalała sobie jednak na żadne współczucie.

Jeśli Cornelius Unger był samotny - stwierdziła, schodząc dalej po schodach - mógł za to winić tylko siebie. Miał żonę, którą ignorował.

Miał kolegów, którzy mogli być także przyjaciółmi, gdyby ich do tego zachęcił. Miał córkę, która przybiegłaby na pierwsze zaproszenie taka była prawda, choć nie chciała się do tego przyznać nawet przed samą sobą. Wprawdzie żywiła do niego niechęć, ale gdyby tylko ją wezwał, już by z nim była. Czując ogarniający ją smutek, zeszła na pierwsze piętro.

Gdyby Connie był innym człowiekiem, mogłaby pomyśleć, że ten niebieski pokój urządził dla niej. Musiałby jednak na nią od czasu do

czasu patrzeć, żeby zauważyć, że to jej ulubiony kolor. W tej sprawie zachowała sceptycyzm.

Zeszła na parter.

Korytarzem po lewej stronie, pod łukowym sklepieniem przeszła do kuchni.

Zupełnie inni niż salon, kuchnia była otwarta i jasna - miała białe ściany, podłogę z białej terakoty, szafki i stoły dębowe.

Blat roboczy ciągnął się wzdłuż tylnej ściany domu, zlew zaś i szafki wypełniały przestrzeń między oknami o niewielkich szybkach, teraz otwartymi, przez które wpadało świeże powietrze.

Przy wysokich oknach wychodzących na ogródek przed domem znajdowało się miejsce do spożywania posiłków. Stół był okrągły, z czterema swobodnie stojącymi krzesłami. Na krzesłach leżały poduszki w biało-zieloną dużą kratę.

Z tego samego materiału uszyto zasłonki, serwetki w koszyku i pokrowiec na toster.

Casey czuła się w tym pomieszczeniu lepiej niż w innych, choć przypuszczała, że w pewnej mierze wiąże się to z zapachem świeżo zaparzonej kawy, stojącej w dzbanku na blacie. Zobaczywszy wiszące kubki, wyrzuciła gumę do kosza na śmieci pod zlewem i naląła sobie kawy.

Stojąc przyfrontowych oknach, pociągnęła kilka łyków i wyjrzała z za zardrostek.

Wyobraziła sobie, że ojciec często tak stawał, na wpół ukryty, tak samo jak leżał na sofie na poddaszu: chciał widzieć świat, nie będąc widziany. Pod wpływem impulsu szeroko rozsunęła zasłonki.

Zadowolona, że zostawiła tu swój pierwszy drobny ślad, wyszła z kuchni, trzymając w ręku kubek z kawą, i ruszyła na dół.

Na kremowych ścianach klatki schodowej wisiały akwarele przedstawiające morskie krajobrazy.

Obrazy były interesujące, malowane delikatną ręką.

Casey przyglądała się im, aż w jednym rogu zauważyła nazwisko malarza:

Ruth Unger.

Żona Conniego.

Z lojalności dla własnej matki odwróciła wzrok.

W suterenie, po prawej stronie, zobaczyła zamknięte drzwi.

Czuając, że wchodzi w zawodową przestrzeń Conniego, ostrożnie ujęła klamkę, nacisnęła ją i zajrzała do niewielkiej poczekalni dla klientów. Jedne drzwi, prowadzące na zewnątrz, były zaryglowane. Drugie, na przeciwległym końcu pomieszczenia, wiodły do gabinetu ojca.

Niezupełnie jeszcze gotowa, by je otworzyć, Casey wróciła przez hol do pokoju po drugiej stronie schodów.

Tu drzwi stały otworem.

Był to pokój wypoczynkowy, przytulny, sięgający zaledwie połowy głębokości domu, z dwoma niedużymi oknami umieszczonymi wysoko od frontu.

Dzięki ciemnozielonym ścianom, miękkim meblom, rzuconym tu i ówdzie poduszkom oraz zrobionemu szydełkiem pledowi panowała w nim atmosfera spokoju i harmonii.

Między półkami na książki stały telewizor i wieża. Akurat w tym momencie do pokoju weszła Meg, z pochyloną głową, niosąc odkurzacz. Zanim spojrzała w górę, znalazła się tuż obok Casey i aż podskoczyła, przestraszona. Kilka sekund trwał powrót skądś, dokąd powędrowały jej myśli. Dostrzegła kubek z kawą w ręce Casey i zrobiła zawiedzioną minę.

- Nalałaś sobie kawy, zanim zdążyłam zrobić z niej mrożoną. Casey się uśmiechnęła.

- Już zdążyłam ochłoniąć, więc gorąca mi odpowiada. Kawa jest świetna. Twarz Meg się wypogodziła.

- Tak się cieszę! Czy mogę ci coś jeszcze przygotować?

- Nie, dzięki, mam wszystko, czego mi trzeba.

-Naprawdę nie wiedziałam, że ma córkę. Jesteś chyba w moim wieku, a on był o tyle starszy. - Uniosła brwi, nagle przestraszona. W brwiach migały te same rudawe błyski co we włosach. - To znaczy, ja, ja go nie krytykuję.

- Wiem- powiedziała łagodnie Casey. - Mam trzydzieści cztery lata.

On miał czterdzieści jeden, gdy się urodziłam. Wyraz twarzy Meg znów się zmienił. Pojaśniała.

- Ja mam trzydzieści jeden. Urodziłam się w sierpniu, jestem Lwem.
A ty?

- Strzelcem.

-Och, to taka dobra pora roku. Zawsze robiłam obiad dla doktora Ungera na Święto Dziękczynienia. To znaczy, chadzał także na inne obiady, ale tutaj też zawsze jedliśmy smaczny posiłek.

- Z jego żoną?

-Nie, tylko we dwoje.

Poprzedniego dnia, bo na samo święto jechał do Ruth.

Zawsze nazywam ją Ruth.

Tak mi kazała.

Dlaczego nie spędzał Święta Dziękczynienia z tobą?

- Nie byliśmy ze sobą blisko - powiedziała Casey spokojnie.

-Byłaś z mamą?

- I przyjaciółmi.

Zawsze było nas dużo, takich bez rodzin.

- To tak jak ja -powiedziała Meg z udawaną bez troską. - Nie mam rodziny, zastępował mi ją doktor Unger. -Jej bez troska nie trwała długo. - Był dobrym człowiekiem. -Podbródek jej zadrżał. - Brak mi go.

- Może mi kiedyś o nim opowiesz. - W gruncie rzeczy, uznała Casey, to doskonały pomysł. Jeśli niezdrowe polowanie na informacje o życiu Conniego było grą ta dziewczyna z pewnością miała do niej klucz.

Meg kiwnęła głową ale się nie odezwała.

Z zaciśniętymi ustami, wzburzona, przeszła przez pokój i wspięła się po schodach.

Patrzącej za nią Casey przyszło do głowy, że być może Meg żałuje Conniego najbardziej ze wszystkich, a to byłoby bardzo smutnym podsumowaniem jego życia.

Casey mogłaby odczuwać żal po śmierci ojca, gdyby nie równoważył tego gniew.

Odetchnęła głęboko, napiła się kawy i wróciła do pokoju. To było miejsce na odpoczynek.

Jednak nic, co znajdowało się w tym pokoju, nie zainspirowało jej; nie mogła wyobrazić sobie Conniego właśnie tutaj. Był sztywniakiem. Nigdy nie widziała go bez krawata i marynarki, a przecież w domu nie mógł ich nosić. Nie nosi się krawata, oglądając Toy Story, Ostatniego Mohikanina czy Bezesność w Seattle, a to jedynie kilka tytułów z bardzo różnorodnej kolekcji taśm wideo i płyt DVD, stojącej na półkach.

Równie zróżnicowany był zbiór książek.

Między starymi, oprawnymi w skórę tomami znalazła sporo powieści i współczesnych dzieł niebeletrystycznych - wszystkie ze śladami używania.

Connie czytał te książki.

Casey wzdrygnęła się na myśl, że świat poza swoim życiem zawodowym poznawał tylko z książek i filmów.

Zupełnie innego rodzaju była kolekcja płyt.

Wszystkie longplaye w szafce pod sprzętem grającym wyglądały na bardzo wyeksploatowane, ale ten zbiór był jednolity, całkowicie pasujący do fortepianu na górze.

Najwyraźniej Connie był wielbicielem muzyki klasycznej.

Casey nigdy w życiu nie grała na fortepianie ani nie odtwarzała muzyki z czarnych krążków.

Zresztą muzyka klasyczna nie była jej ulubionym gatunkiem.

Wolała bluegrass.

To wskazywało na kolejną różnicę między ojcem a córką.

Pomijając włosy i oczy, najwyraźniej byli dwójkiem zupełnie różnych ludzi - a jedną z różnic stanowiło upodobanie Casey do otwartych przestrzeni i świeżego powietrza.

Domyślała się, że jeśli gabinet znajduje się w suterenie, tak jak ten pokój, zapewne będzie się w nim czuła klaustrofobicznie.

Wykorzystując nagły przypływ odwagi, wróciła do holu.

Na jego końcu widziała drzwi prowadzące bezpośrednio do gabinetu.

Otworzyła, wślizgnęła się do środka i zamknęła je za sobą.

Z bijącym sercem opadła na nie plecami i się rozejrzała.

Niemal spodziewała się, że spotka tu Conniego, który czeka i obserwuje.

Nie było go, oczywiście.

Gabinet stał pusty.

Niewątpliwie weszła do największego pokoju w domu, ciągnął się bowiem przez całą szerokość.

Także i tu dominowały ciemne kolory i materiały.

Zauważyła dużo drewna i regały wzdłuż wszystkich ścian.

W niektóre regały na dole wbudowano szafki, inne sięgały od podłogi po sufit.

Poczuła lekki zapach dymu.

Ścianę regałów za jej plecami przerywał kominek, a pogrzebacz wisiał teraz spokojnie z innymi przyborami na stojaku.

Po lewej stronie znajdowały się duże biurko i wysoki skórzany fotel.

Prawą część pokoju wypełniał niewielki stół konferencyjny z sześcioma krzesłami o siedzeniach pokrytych sztruksowym obiciem.

Środek pokoju zajmowała strefa wypoczynkowa: wokół niskiego kwadratowego stolika stała z jednej strony długa kanapa, z drugiej -

dwa fotele.

Kanapa i fotele były pokryte ciemną kraciatą tkaniną, a na podłodze leżał dywan, którego kolorystyka - ciemna czerwień, granat i ciemna zieleń - pasowała do obicia mebli.

Wzrok Casey nie zatrzymał się jednak na meblach.

Choć wyglądały

na wygodne, jej spojrzenie przyciągnęły otwarte, wyjątkowo ładne drzwi balkonowe, a raczej to, co było za nimi - obraz jak z bajki, pełen słońca, kwiatów i drzew.

Gdy zrozumiała, na co patrzy, wstrzymała oddech.

Może w ten sposób podświadomie chciała się zatrzymać, ale Si nie udało.

Była to miłość od pierwszego wejrzenia.

Casey przepadła z kretesem.

Rozdział trzeci

Później Casey przypuszczała, że przyciągnęło ją słoneczne światło w ogrodzie, kontrastujące z panującym w gabinecie mrokiem.

A może spodobało się jej to, że ogród tak bardzo nie pasował do obrazu Conniego.

Albo też ogród sprawił, że poczuła się jak w domu, ponieważ wychowała ją matka, która kochała wszystko, co wiązało się z otwartą przestrzenią.

Tak czy inaczej, przyciągał ją nieubłaganie.

Prześlizgnęła się przez siatkowe drzwi i pod pergolą przeszła na ścieżkę ułożoną z dużych kamieni.

Szczeliny między nimi wypełniała porośnięta mchem ziemia.

Po południu będzie tu cień, ale teraz słońce stało wysoko i rozświetlało nie tylko ścieżkę, ale i duży klomb po prawej stronie.

Zobaczyła kępy białych i różowych kwiatów, a za nimi fioletowe i niebieskie.

Po lewej stronie, przed dwiema rozrośniętymi brzożami, znajdowało się patio.

Na środku kamiennej podłogi stał stylowy stolik o stalowych nóżkach ze szklanym blatem, otoczony trzema krzesłami i ozdobiony doniczką z

fioletowo-białym hiacyntem.

Pochyliła się nad kwiatem i wciągnęła jego zapach.

Wyprostowała się, obejrzała, uśmiechnęła.

Nie chciała lubić niczego, co należało do Conniego, ale nie mogła się powstrzymać.

Ogród był zaskakująco duży, początkowo na szerokość domu, dalej jednak rozszerzał się trapezowe. Na zboczu wzgórza leżały trzy tarasy.

Pierwszy, na którym teraz stała, był najbardziej uporządkowany.

Próg z podkładu kolejowego prowadził na kolejny taras, a tam wyłożona kamieniami ścieżka biegła wokół swobodnie rozmieszczonych roślin, kwitnących krzewów, bulgocącej fontanny, dwóch klonów i dębu.

Trzeci taras miał całkowicie leśny charakter.

Ścieżka biegła wśród zimozielonych krzewów oraz choin.

Przy końcu ogrodu w jednym z narożników rósł wielki kasztanowiec - Casey uznała, że musi mieć kilkadziesiąt lat.

Jego pień był pozbawiony gałęzi aż do miejsca, gdzie oświetlało go słońce; tam zaczynała się korona wiosennych liści i różowych kwiatów. Pod kasztanowcem stała wiejska, drewniana ławka.

W drugim narożniku ogrodu przy wysokim drewnianym płocie stała szopka.

W połowie drogi między kasztanowcem a szopą w ogrodzeniu widać było furtkę.

Zaciekawiona Casey podeszła do niej, odsunęła zasuwę i otworzyła.

Po drugiej stronie, zgodnie z informacją prawnika, znajdowało się wyłożone ceglami miejsce parkingowe na dwa samochody.

Zamknąwszy furtkę, powoli wróciła przez ogród na patio, osunęła się na krzesło i przyciskając kubek z kawą do brzucha, patrzyła przed siebie zauroczona.

Ogród - jasny, zadbane, doskonale zaprojektowany - był skarbem.

Liściaste drzewa przesłaniały jej widok na sąsiednie domy i nie pozwalały sąsiadom zaglądać do środka, nie zamykały jednak przestrzeni.

Boczne ogrodzenia zbudowano z kamienia, ale mury już porośły bluszczem.

Pachniały ziemia i bujna roślinność.

Powietrze było przyjemnie ciepłe.

Zauważyła parę żeb, jak nurkowały pod jeden z klonów i potem wskakiwały w oka siatki otaczającej wiszące korytko z ziarnem. Przez chwilę wydziobywały nasionka, a ledwo odleciały, pojawiła się kolejna para.

Casey uniosła twarz do słońca.

Zamknęła oczy i delektowała się ciepłem.

Oddychała głęboko, ciesząc się kolejnymi minutami ciszy i wytchnienia.

Osłabło napięcie z powodu sytuacji w zespole, gniew na ojca, obawa o matkę i poczucie samotności, które czasem nie dawało jej zasnąć.

Tu, w ogrodzie, znalazła nieoczekiwany spokój.

Odłożyła plecak na stół, zsunęła się niżej na krzesło i poddała się działaniu słońca.

Od czasu do czasu unosiła głowę, by łyknąć kawy, ale przede wszystkim wsłuchiwała się w szum drzew, świergot ptaków i bulgotanie fontanny.

To było zaczarowane miejsce, samo w sobie uzasadniające wartość domu.

Casey nie odróżniała może kaliny od barwinka, ale wiedziała, że ogród w mieście po prostu nie może być lepszy.

Szczęknięły siatkowe drzwi, a gdy Casey uniosła głowę, zobaczyła wychodzącą z domu Meg, która niosła dużą tacę.

Postawiła ją na stole, przy którym siedziała Casey, i zaczęła zdejmować z niej jedzenie.

Do nosa Casey dotarł jakiś kuszący zapach, usiadła więc wyprostowana.

- O rany, te rogaliki francuskie pachną jak świeżo upieczone.

Czy sama je zrobiłaś?

- Nie, moja przyjaciółka Summer - odrzekła Meg. - Ma piekarnię na rogu.

Zachodzę tam codziennie w drodze do pracy. Na pewno znasz to miejsce - Wskazała w kierunku Charles Street. - To znaczy, bywałaś tu już, prawda?

- Właściwie nie.

- Nawet wieczorem, gdy mnie tu nie było?

- Nie.

Na twarzy Meg w ułamku sekundy pojawiły się kolejno różne emocje - od zaskoczenia przez niezrozumienie do zażenowania. Jednak równie szybko, zdając sobie sprawę, że tego nie pojmie, wróciła do tacy z jedzeniem.

- Zrobiłam omlet - powiedziała, zdejmując przykrywkę z patelni.

- Dodałam ser, pieczarki i pomidora.

Dodałabym jeszcze cebulę, lecz doktor Unger za nią nie przepadał.

Casey też nie przepada.

- Ale widzę szczypiorek.

- Odrobina - przyznała Meg - jest świeży i z ekologicznej uprawy.

- To mówiąc, sprawnie przesunęła filiżankę Casey, naląła z karafki mrożony napój, postawiła cukier i śmietankę. - Rośnie tam, koło szopy. Jordan zrobił grządkę, na której jest szczypiorek, zielona pietruszka, bazylia, szalwia i tymianek.

Doktorowi Ungerowi szczypiorek nie przeszkadzał.

Casey nie wiedziała, czy szczypiorek jej odpowiada, ale omlet wyglądał wspaniale, a ona nagle poczuła się głodna jak wilk.

Przykryła kolana serwetką w zielono-białą kratkę i zaczęła jeść.

Meg została tylko, żeby zobaczyć, czy zabrała się do jedzenia, po czym wróciła do domu. Casey nie odeszła od stolika, póki nie zniknął cały omlet, półtora rogalika i szklanka soku pomarańczowego. Czując się rozpieszczana, położyła się na ciepłych kamieniach, naciągnęła bejsbolówkę na oczy i oddała się trawieniu.

Nie zamierzała zasnąć, ale gdy się obudziła, słońce stało wyżej, a na uprzątniętym stoliku zobaczyła szklankę świeżej mrożonej kawy.

Otrząsając się z oszołomienia, usiadła i się rozejrzała. To wszystko należy do niej? Tak trudno w to uwierzyć. Oczywiście musi się zastanowić, co z tym zrobić.

Pojawiła się Meg. Wyglądała teraz trochę porządniej –chyba uczesała włosy i poprawiła ubranie.

W jej spojrzeniu było pytanie.

- Myślałam, żeby na lunch przygotować sałatkę z kurczaka. Robię ją z żurawiną i orzechami włoskimi. Jest naprawdę dobra.

- Och, nie wiem, czy zostanę tak długo – powiedziała Casey, a gdy Meg rzuciła jej nierozumiejące spojrzenie, dodała: - Mam własne

mieszkanie w Back Bay.

-A nie przeprowadzisz się tu teraz?

W tym domu jest tyle miejsca, i sypialnie, i gabinet, i ogród, i ten pokój na dole.

Mogę pomóc zrobić miejsce na twoje rzeczy - no, opróżnić z jego ubrań.

Och, ale pewnie chcesz to zrobić sama.

Po prostu mi powiedz, zrobię, co zechcesz- no, naprawdę, co tylko zechcesz.

Casey uważała, że jeśli ktoś ma się zająć zawartością szaf Conniego, tą osobą powinna być jego żona.

- Czy pani Unger tu zachodziła?

- Tak.

Ale niczego nie zabrała.

- Nawet osobistych fotografii?

- To by wyjaśniało brak zdjęć.

- Nigdy nie widziałam żadnych fotografii.

-Może są w tych zapakowanych kartonach na drugim piętrze.

Meg okręciła się na pięcie, słysząc dzwonek gdzieś w głębi domu.

Potem zaśmiała się z samej siebie.

- To tylko suszarka. Piore ponownie pościel z głównej sypialni, żeby była świeża.

To teraz twój pokój.

Casey chciała powiedzieć, że ma własną sypialnię, ale Meg wyszła, zanim Casey zdążyła sformułować zdanie.

Pewnie dobrze się stało, bo dziewczynę zdenerwowałaby informacja, że Casey myśli o sprzedaży domu.

Usłyszawszy ciche dźwięki telefonu komórkowego, Casey wyciągnęła go z plecaczka, otworzyła i spojrzała na numer dzwoniącego.

- Cześć, Brianno - zaśpiewała, czując nagły przyptyw beztroski.

Z Brianną Faire mieszkała w jednym pokoju i w college'u, i na studiach magisterskich.

Po dyplomie świadomie zrezygnowały z otwarcia wspólnej praktyki i zatrudniły się w różnych placówkach.

Brianna pozostała najbliższą przyjaciółką Casey.

W minionych latach stanowiła koło ratunkowe, wypełniając pustkę,

zrodzoną z braku rodziny.

Świadomość, że to Brianna jest na drugim końcu linii, sprawiła, że Casey poczuła się bardziej sobą, co niewątpliwie wyjaśniało jej podekscytowanie.

Brianna, obdarzona intuicją, spytała:

- Co się dzieje?

-Musisz coś zobaczyć. Jesteś zajęta?

- Dopiero się obudziłam. Późno poszłam spać.

- Przyjęcie?

- Kłótnia.

-Ojejku. Brianna westchnęła.

- To samo, zawsze to samo. Chce, żebym była kimś, kim nie jestem.

Teraz go nie ma, pojechał na weekend do Filadelfii. Popraw mi humor. Co muszę zobaczyć?

- Podam ci adres. Na Beacon Hill.

Jak szybko możesz tu dotrzeć?

Brianna była jedyną osobą, której Casey opowiedziała o swoim pokrewieństwie z Corneliusem Ungerem. Jej milczenie trwało o sekundę za długo.

- Czy mówimy o Leeds Court? - spytała ostrożnie.

- Tak jest. - Casey niejednokrotnie przejeżdżała z Brianna koło tego domu.

-Pamiętasz, jak tu trafić?

- Z zamkniętymi oczyma.

Czy mam się ubrać elegancko?

Casey się uśmiechnęła.

- Raczej niedbale. Ja tu dosłownie przybiegłam.

- Daj mi dwadzieścia minut.

*

-Twój? - spytała Brianna, gdy stały koło siebie przy furtce, patrząc na dom.

-Najwyraźniej.

- Fantastyczne!

-Można tak powiedzieć.

Można też powiedzieć, że to żałosne.

Więcej radości sprawiłby mi telefon od niego przed śmiercią.

Albo list.

List byłby miły.

- Wiedziałaś, że nie jest człowiekiem tego rodzaju.

-Wiedziałam.

Ale jakiś głos we mnie zawsze mi mówił, że jest po prostu wstydlivy albo nieśmiały, albo jakiś taki, że nie wie, jak to zrobić. Zawsze miałam odrobinę nadziei, że znajdzie sposób.

- Może to właśnie jest jego sposób.

-Taki gest?

- Mówię poważnie - upierała się Brianna. - To jego dom. To on.

Po drugiej stronie Leeds Court brzęknęła furka.

Obejrzały się akurat w chwili, gdy wychodził przez nią jakiś mężczyzna.

Miał trzydzieści parę lat, był wysoki, a opięty kostium rowerzysty - barwna koszulka i czarne szorty - doskonale podkreślał jego budowę. Przechylił się przez ogrodzenie i wyjął zza niego lśniący żółty rower wyścigowy.

- O rany - szepnęła Casey. Brianna pochyliła się ku niej.

- Kto to jest? - spytała szeptem.

- Nie mam pojęcia, ale jest pięknie zbudowany.

Mężczyzna wsiadał na rower, równocześnie zapinając kask.

Usadowił się na siodelku, wsunął jedną nogę w uchwyt pedału i już miał zamiar ruszyć, gdy dostrzegł Casey i Briannę.

Zsiadł, podszedł do nich, prowadząc rower, i się uśmiechnął.

- Jeśli myślicie o kupnie tego domu - ostrzegł - uprzedzam, że mieszka w nim duch.

Nazywa się Angus i urzęduje w głównej sypialni.

- Naprawdę? - Casey się uśmiechnęła.

- Tak słyszałem, ale ostatecznie o większości tych domów

opowiada się takie historie.

Rzeczywiście zamierzacie go kupić?

- To zależy -powiedziała Brianna. - Czy poleciłbyś sąsiedztwo?

Zastanowił się nad pytaniem.

- Poprawia się.

Powoli młodnieje, bo stara gwardia wymiera.

Casey wskazała głową dom Conniego.

- On też należał do starej gwardii?

-Sądząc z wyglądu, to tak. Nigdy z nim nie rozmawiałem.
Trzymał się na uboczu, nie był towarzyski, jeśli wiecie, o co mi chodzi.
Fajnie byłoby mieć tu świeżą krew.
Czy jesteście spokrewnione?

Nie pierwszy raz zadano im to pytanie.
Co prawda Brianna była brunetką, a Casey blondynką, ale miały ten sam wzrost, tę samą budowę i często - na przykład teraz - podobnie się ubierały.

- Jesteśmy przyjaciółkami - powiedziała Brianna.

- Mieszkałyśmy razem w college'u - wyjaśniła Casey.

- To mnie interesuje ten dom.

Ona przyszła dla towarzystwa. - A żeby nie zrozumiał źle tego, co je łączy, dodała: - Ma chłopaka.

- Z którym się właśnie pokłóciła - powiedziała szybko Brianna - natomiast ona - wskazała kciukiem Casey - ciągnie za sobą aż dwóch.

- Nieprawda - zaprotestowała Casey.

- Dylan to tylko kumpel, a Olie to przeszłość.

- Spojrzała na sąsiada.

- Co taki miły facet robi w tak nadętej okolicy jak ta?

Roześmiał się szeroko.

- Uznałem, że powiodło mi się w banku inwestycyjnym, więc kupiliśmy z żoną ten dom. Teraz rynek osłabł, a my oczekujemy dziecka. Chyba po prostu lubię być zadłużony po uszy.

Brianna zwiesiła głowę.

- Ma żonę.

Casey westchnęła.

- Ci dobrzy zawsze mają.

Kiedy termin porodu?

- W sierpniu.

Jeździła ze mną na rowerze, ale jej doktor zabronił.

Ale jeśli macie inne pytania na temat okolicy, zadzwońcie do naszych drzwi.

Żona nazywa się Emily i będzie zachwycona, mogąc pogadać.

Ja jestem Jeff i muszę już lecieć.

Uniósł dłoń do kasku o opływowym kształcie, ponownie wsunął nogę w uchwyt pedału i ruszył.

Rozmyślnie nie usiadł na siodełku, póki nie wyjechał poza kocie łby.

Po chwili skręcił w West Cedar i już go nie było.

Nie mając w zwyczaju rozpaczać nad rozlanym mlekiem, Casey poprowadziła Briannę po ścieżce.

- Chodź. Musisz zobaczyć ten dom.

Przeszły przez salon, weszły na górę, zajrzały do gościnnej sypialni - "twoje kolory", zauważyła Brianna mimochodem - i zerknęły tylko do pokoju Conniego.

Otworzyły i zamknęły drzwi do pokoiów na drugim piętrze, zachwyciły się tarasem na dachu i zeszły do kuchni.

Jeśli Brianna zauważyła, że obrazy na klatce schodowej prowadzącej na niższy poziom namalowała żona Conniego, miała dość rozsądku, by tego nie skomentować.

Wsunęły głowy do pokoju w suterenie, potem do gabinetu, ale wszystko to stanowiło jedynie wstęp, główną atrakcją był ogród.

Briannę, tak samo jak Casey, ogród natychmiast zauroczył.

Słońceprzesunęło się tak, że oświetlało ławkę pod kasztanowcem, tam właśnie usiadły.

To miejsce było tak kameralne jak pokój.

Brianna przyglądała się domowi.

- To coś, co rośnie na pergoli, to glicynia. Piękna. Wszystko tu jest piękne.

Casey podciągnęła kolana i objęła je rękoma. Nie patrzyła na dom, ale na ogród. Zieleni ją uspokajała.

- Szkoda, że nie zdarzyło się to w lepszym momencie. W tej chwili tyle się dzieje w moim życiu.

- Czy zdecydowałaś się przyjąć tę pracę na uczelni?

- Jeszcze nie.

- Do kiedy musisz dać odpowiedź?

- Do zeszłego tygodnia.

- Czy to sprawa Caroline cię powstrzymuje?

- Częściowo.

Mogłabym ją przenieść do Providence. Gdyby tam była, przyjaciele mogliby ją częściej odwiedzać. Tylko że nie podobał mi się ten ośrodek, który oglądałam.

Ten tutaj jest lepszy.

- Zawsze chciałaś uczyć.

Casey spojrzała na dom. Wyobraziła sobie Conniego stojącego przy

oknie i mówiącego to samo, ale karcącym tonem.

- Przeprowadzka to problem i chodzi nie tylko o mamę.

Także o praktykę. Przyjaciół.

- Czy z Olivierem naprawdę koniec?

Casey zmarszczyła nos.

- Tak. Może jestem stuknięta. To miły facet.

- Wszedł w tygodniu był wspaniałym facetem.

- Naprawdę chciałam, żeby taki był, ale nie jest.

Wiesz, pewno jakaś kobieta uzna, że jest, ale ja? Nie. Różnimy się zasadniczo.

On już ma wszystko - kancelarię prawniczą, bmw, dom na przedmieściu.

- I dzieci.

- Tak, co drugi weekend, ale kocham dzieciaki, są wspaniałe, naprawdę fajne, interesujące, spontaniczne.

- To brzmi tak, jakbyś wolała je od Oliego.

- I tak jest.

Dlatego właśnie między nami koniec; później dzieci będą z tego powodu cierpiały.

- A Dylan?

Naprawdę tylko kumpel?

Casey się zakołysała.

- Tak.

Zero chemii.

- Uznając dyskusję za zakończoną, westchnęła głęboko.

- Te kwiaty wspaniale pachną.

Cały ogród to klejnot.

- Przez co przeprowadzka do Providence jest jeszcze trudniejsza.

- Nie.

Mogę sprzedać dom - powiedziała, nie dopuszczając myśli, by Connie miał ją zatrzymać.

Znacznie ważniejsze były inne przyczyny.

- To takie miejsce, o jakim zawsze marzyłaś.

Dlaczego chcesz sprzedać ten dom?

- Bo był jego.

- Właśnie dlatego powinnaś go zatrzymać.

- Jeśli zatrzymam, to jakbym dała mu prawo osądzać wszystko,

co robię.

Brianna potrafiła analizować uczucia i myśli tak samo jak inni klinicyści, ale Casey najbardziej ceniła w niej to, że przede wszystkim kierowała się zdrowym rozsądkiem.

Teraz Brianna powiedziała:

- Casey, on nie żyje.

-Na rozum biorąc, to prawda - zgodziła się Casey.

- Ale emocjonalnie nie jestem w stanie tego przyjąć.

Wydaje mi się, że jest w całym domu.

- On czy duch, który mieszka w głównej sypialni?

-Angus?

Dobre imię dla ducha, ale nie.

Mówię o Conniem. On tu jest, w całym tego słowa znaczeniu.

- No, ja go nie widziałam.

To miejsce jest tak samo bezosobowe jak twoje mieszkanie.

- O przepraszam, moje mieszkanie nie jest bezosobowe.

Wszędzie leżą moje rzeczy.

- Bałagan nie oznacza indywidualizmu.

Bałagan znaczy tylko, że jesteś nieporządna, a ja nie o tym mówię.

Twoje ściany są puste. Twoje półki wypełniają tylko fachowe książki.

W twojej lodówce nie ma niczego, co mówiłoby o tobie lub twoich przyjaciółach.

- Moja korkowa tablica jest pełna osobistych zdjęć.

-Przyczepionych, przyklejonych.

Jedne na drugich, jakbyś nie była pewna, czy się utrzymają, i jakby cię to nie obchodziło.

Od kiedy masz mieszkanie, mówisz o zawieszeniu zasłon, ale nawet ich jeszcze nie kupiłaś.

- Zasłony są drogie.

Muszę oszczędzać, żeby spłacać kredyt.

Jeśli sprzedam ten dom, będę mogła dziesięć razy spłacić całą hipotekę.

Ten porażający fakt uciszył je obie. Zapadło milczenie i wtedy dotarły

do nich odgłosy miasta. Na Beacon Hill słyszało się ruch uliczny z

autostrad, przerywany dźwiękiem syreny czy klaksonu. Nad State

House przeleciał helikopter.

Na Beacon Street warczał autobus. Wszystkie odgłosy były

przytłumione.

Casey zdawało się, że znajduje się poza światem zewnętrznym. Tu, w ogrodzie, pachniało ziemią, kwiatami i wodą pluskającą po starych kamieniach.

A syrenę, klakson i warkot łagodził szelest liści, wywołany przez wiewiórkę, przebiegającą po pobliskim dębie do karmnika dla ptaków. Z gałęzi zeskoczyła na siatkę otaczającą korytko z ziarnem, a gdy nie potrafiła się przecisnąć przez oka siatki, próbowała przegryźć druty w jednym, potem drugim i trzecim miejscu. Po chwili poddała się, zeskoczyła na ziemię i odbiegła.

- Czy się zniechęciła - zastanawiała się Casey na głos. - Czy się zagubiła?

Czy czuje się nieudacznikiem w oczach rodziców? Nie. Po prostu idzie naprzód. Chyba lubiłabym być wiewiórką.

- Nie, wcale nie. Idąc tutaj, zobaczyłam jedną rozjechaną na ulicy.

A wszystko dlatego, że nie ma rozumu, by się rozejrzeć na boki.

- Brianna uśmiechnęła się kwaśno.

- Ty też nie zawsze rozglądasz się na boki.

- Spoważniała. - Opowiesz o tym Caroline?

Casey ścisnęło się serce, jak zawsze, gdy myślała o matce.

- Już jej powiedziałam. Nie mrugnęła nawet okiem.

- Och, Casey.

- Mówię poważnie.

Myślałam, że to ją może pobudzić -no wiesz, poruszyć na tyle, żeby spojrzała mi w oczy i powiedziała coś z właściwym jej zdrowym rozsądkiem i krytycyzmem.

- Spojrzała na Briannę. - Ani słowa.

Brianna też nie powiedziała ani słowa.

Mogłaby próbować wyjaśnić: "Nic dziwnego.

Jej mózg jest tak martwy, jak może być martwy mózg osoby żyjącej".

Ale Casey nie chciała tego słyszeć.

Nieraz się o to spierały.

Casey wierzyła uparcie, że Caroline coś słyszy, coś czuje, coś myśli.

Zgodnie z naukami medycznymi, nie ma na to wielkiej szansy.

Jednakże fale mózgowe wciąż istniały.

Słabe, ale istniały.

- Czy cieszyłaby się z tego, Brianno? - spytała Casey.

- Tak.

Caroline cię uwielbia.

Pragnie dla ciebie wszystkiego, co najlepsze.

Byłaby zachwycona, że to dostałaś.

Casey chciałaby w to wierzyć, ale miała wątpliwości.

Czuła się jak zdrajca przez sam fakt, że siedzi w ogrodzie Conniego.

Pod ciężarem tej myśli ześlizgnęła się z ławki na ziemię.

Najpierw uklęknęła, potem przysiadła na piętach i ostrożnie pochyliła się, aż jej piersi spoczęły na udach. Dotknęła czołem ziemi. Jej ręce

bezwładnie leżały na ziemi dłońmi do góry; zamknęła oczy i powoli

wciągnęła powietrze. Ziemia pachniała, pod jej czołem była wilgotna.

Oddychając głęboko, Casey starała się oczyścić umysł.

Skupiła się na odrzucaniu zmartwień, relaksie, na pozytywnej sile energii wytwarzanej przez ciało.

- Czy to pomaga? - spytała Brianna gdzieś z góry.

Casey skupiła się teraz na pierwotnej wilgoci ziemi. Oddychała powoli i głęboko.

- Uhm.

- Czy to twój telefon wibruje na stole?

- Nie zwracaj uwagi - mruknęła między jednym a drugim oddechem.

Po chwili zaczęła przekręcać głowę w lewo i w prawo, delikatnie naciągając mięśnie karku.

- Wciąż wibruje – powiedziała Brianna, idąc ku stołowi na patio.

-Dowiedz się, o co chodzi – powiedziała Casey.

Matka nigdzie się nie wybiera.

Lekarze panikują.

Przyjaciele mogą poczekać, nie chce rozmawiać ani z Olivierem, ani z Dylanem, a klienci nie dzwonią na telefon komórkowy.

- Halo?

Nie, tu Brianna.

Kto.

A, cześć, John.

Casey nie może podejść do telefonu.

Nie, jeszcze przez chwilę.

Oczywiście, że nie dzwoniłbyś, gdyby to nie było ważne, ale teraz nie może rozmawiać.

Casey wypuściła powietrze.

Prostując się, wyciągnęła rękę akurat w chwili, gdy Brianna wracała z telefonem.

Przykładając aparat do ucha, powiedziała:

- Mam nadzieję, że to coś naprawdę ważnego.

-Tak sądzę - powiedział John beztrósko.

- Podjąłem decyzję. Odchodzę z zespołu. Casey zeszywniała.

- Odchodzisz dokąd?

-Do Waltera Ambrose'a i Gillian Bosch. Mają dla mnie gabinet.

Recepcjonistka już dzwoni do pacjentów i informuje o zmianie.

- A co z nami? Co z naszym zespołem? I co z czynszem?

- Dla mnie sprawa jest jasna -co miesiąc płaciłem czynsz.

Jeśli Stuart postanowił go sobie zatrzymać, to problem właściciela lokalu.

Niech ściga Stuarta.

Jeśli zaś chodzi o zespół, to dla mnie on już nie istnieje. Wynoszę się, Casey.

Mam praktykę i reputację, o które muszę dbać.

- Ja też - powiedziała Casey.

-Mam coś lepszego do roboty, niż się z wami użerać.

- Ja też - powtórzyła Casey.

-Odchodzę.

- Ja też - niemal wykrzyknęła Casey i nie dała sobie przerwać.

Oburzona jego protekcyjnym zachowaniem, powiedziała Johnowi, jakie ma plany, choć one akurat na bieżąco rodziły się w jej głowie.

Dopiero gdy się rozłączyła, spojrzała na przyjaciółkę szeroko otwartymi oczyma, w których malowało się pytanie: "Co ja najlepszego zrobiłam?"..

Rozdział czwarty

Casey zamilkła, wstrzymała oddech i spojrzała na Brianę.

Po chwili przyjaciółka przerwała milczenie.

- Ty też nie rozglądasz się na boki.

-Dobra -przyznała Casey, myśląc głośno.

- Postępuję ryzykownie i na wycucie, ale to wcale nie jest szaleństwo.

Mam tu gabinet, gotowy do użytku.

Jest poczekalnia z osobnym wejściem.

Nie płacę czynszu.

- Dopiero co powiedziałaś, że zamierzasz sprzedać dom.

-Tak było, zanim John się od nas odłączył.

Bez niego niema zespołu.

- W tym momencie rzeczywistość uderzyła ją z całą mocą.

-Musielibyśmy znaleźć innego psychiatrę, ponieważ zespół terapeutyczny musi mieć przynajmniej jednego, a to oznacza zamieszczanie ogłoszeń i rozmowy z kandydatami.

Ale przede wszystkim rodzi się pytanie, czy w ogóle chcę zostać z Marlene i Renee.

No i trzeba by znaleźć nowy gabinet, ponieważ nie ma mowy, żeby nam się udało spłacić zaległy czynsz, szczególnie teraz, gdy John umywa ręce.

Ma rację, wszyscy płaciliśmy naszą część czynszu.

To Stuart podpisał umowę najmu, Stuart zbierał od nas pieniądze, Stuart wsadził je sobie do kieszeni i odjechał w siną dal.

Jeśli właściciel zechce odzyskać należność, to musi ścigać właśnie jego.

Może powinnam się martwić, czy nie przytrafiło mu się coś złego, ale jakoś nigdy się między nami nie układało. Teraz rozumiem, dlaczego.

Rzucił żonę, której naprawdę mi żal. A Stuarda nie. To śliski gad.

Gdzieś tam sobie żyje z moich ciężko zarobionych pieniędzy. Cóż,

mam dobrze zorganizowaną praktykę i muszę znaleźć miejsce, w którym mogłabym przyjmować klientów. - Spojrzała w kierunku gabinetu.

-Wyobrażasz sobie, jak klienci zasiadają w tym pokoju, patrzą przez okno i natrafiają wzrokiem na taki widok? To będzie miało niesamowicie terapeutyczny wpływ.

- To gabinet twego ojca.

-To był gabinet mego ojca.

Ojciec nie żyje. Sama mi to przypomniałaś.

- To prawda, ale wtedy ty powiedziałaś, że w twojej głowie wciąż żyje.

Casey odetchnęła głęboko.

- Cóż, po prostu będę musiała nad tym popracować.

I ty, i ja dobrze wiemy, że najlepszym sposobem na to jest konfrontacja. Z nim. Konfrontacja z lwem w jego jaskini.

A jego jaskinia jest tutaj.

- Sprzedasz swoje mieszkanie?

-Nie wiem.

Moje plany nie sięgają jeszcze tak daleko.

No wiesz, nie mówimy o żadnych nieodwołalnych decyzjach.

Mogę tu zamieszkać na pewien czas.

- Jak długi?

Providence nie będzie bez końca na ciebie czekać.

- Nic nie zdarza się bez powodu- powiedziała Casey, biorąc do ręki telefon.

- Jeśli podejmuję wysiłek zorganizowania tutaj gabinetu, telefonów do klientów, zaczynania odnowa -nawet na krótki czas - może to oznacza, że powinnam pozostać w Bostonie.

Może moja mama się obudzi.

Może książkę z bajki mieszka tu na Beacon Hill i zobaczy mnie, jeśli będę dość często przebywać na tarasie.

Może wolę jednak praktykę od uczenia. - Wybrała kciukiem właściwy numer z książki adresowej i nacisnęła klawisz połączenia. -A jeśli tak, to może zniknięcie Stuarta i rejterada Johna od początku były w kartach.

- Nie spuszczać oczu z Brianny, czekała, by przyjaciółka, do której zadzwoniła, odebrała telefon.

- Cześć – odezwała się automatyczna sekretarka.- Tu Joy.

Nie mogę teraz odebrać, więc zostaw wiadomość.

Oddzwonię.

Casey zaczęła na sygnał.

- To ja – odezwała się - i żałuję, że cię nie ma, bo zgodnie z planem A powinnaś tu teraz być, razem z Brianną i ze mną.

Ale skoro nie ma cię w domu, przejdziemy do planu B.

Jutro rano urządzam przyjęcie przeprowadzkowe i jesteś mi potrzebna. Będziemy pakować mój gabinet na Copley Square i przeprowadzać na Beacon Hill, a nagrodą za pomoc jest wczesny lunch w Ogrodach Edenu.

Więc bądź w moim gabinecie o dziewiątej rano.

Wiem, że to wcześnie, ale wierz mi, że będziemy się dobrze bawić. Do zobaczenia. - Uśmiechała się, kończąc nagrywanie, i szybko wybrała inny numer z zapisanych w książce telefonicznej.

- Lunch?- spytała Brianna.

Casey nacisnęła klawisz i przyłożyła telefon do ucha.

- Uhm.

-Twoja pokojówka?

Casey kiwnęła głową.

- Powinnaś spróbować jej omletów.

- Kątem oka zauważyła ruch przy drzwiach gabinetu.

-No właśnie. Spójrz. Pojawiła się Meg, niosąc kolejną tacę.

Gdyby zamierzała wyrzucić wrażenie na Briannie, nie mogła wybrać lepszego momentu.

- Cześć, Darryl - odezwała się Casey. - Jesteś mężczyzną, którego potrzebuję.

- Czy to romantyczna propozycja?

- Gdyby mi coś takiego przyszło do głowy, twoja żona by mnie zabiła.

- Wstając, by lepiej widzieć pyszności na przyniesionej przez Meg tacy, Casey mówiła do telefonu: -Potrzebuję was oboje jutro rano.

A najbardziej potrzebuję twojej furgonetki.

- Wyjaśniła, że chodzi o przeprowadzkę, a tymczasem Meg postawiła tacę na stole w patio i położyła dwa nakrycia.

-Jenna będzie zachwycona, bo od samego początku nienawidziła mojego zespołu.

- Jenna, żona Darryla, była koleżanką Casey, Brianny i Joy na studiach magisterskich.

-Powinna więc tam być, gdy się wynoszę.

A na koniec jest nagroda - lunch w ogrodzie na Beacon Hill. -Talerze wypełniała sałatka z kurczaka, o której Meg wcześniej wspomniała.

Wyglądała wspaniale.

- Będziesz zachwycony, Darryl.

- Hej, muszę lecieć. Będzie fajnie.

Możesz mi pomóc?

- Jak najbardziej - obiecał Darryl.

Rozłączywszy się, Casey przyjrzała się nakryciom na stole.

Salatka z kurczaka leżała na liściach sałaty.

Towarzyszyły jej plastry melona, sałatka z marchewki i rodzynek oraz chrupiący chleb i oliwa z oliwek do zamaczania. Jakby tego jeszcze nie było dość, Meg nalewała coś z dzbanka do szklanek.

- Czyżby to była świeża lemoniada? - zgađła Casey.

Meg się rozpromieniła.

- Tak.

Doktor Unger bardzo ją lubił, przedkładał nad nią chyba tylko mrozoną herbatę.

Brianna uratowała Casey przed komentarzem, mówiąc szybko:

- Uwielbiam domową lemoniadę.

Casey też ją uwielbiała.

Poza tym chciało jej się pić.

Pociągnęła duży haust z jednej szklanki i zwróciła się do Meg.

- Mam pytanie.

Gdyby jutro między jedenastą a dwunastą odwiedziło mnie kilkanaście osób, mogłabyś namprzygotować wczesny lunch?

Oczy Meg rozświetlił dziecięcy entuzjazm.

- Mogłabym.

Kiedyś pracowałam w wytwornej kuchni. Często podawałyśmy wczesne lunchy.

Kilkanaście osób to proste jak kaszka z mlekiem. Co byś chciała?

Casey i Brianna wymieniły pełne oczekiwania spojrzenia.

- Ouiche. - zaproponowała Brianna ostrożnie.

- Mogę zrobić quiche - odrzekła Meg.

-Omlety, rogaliki francuskie i bułeczki drożdżowe - dodała

Casey.

- To łatwe.

-Mimosa. Lemoniada. Coś z bąbelkami. Kawa.

- Mam w kuchni wszystko, co trzeba.

-I sałatka. Z kurczaka?

Placek z kruchego lub francuskiego ciasta wypełniony farszem.

Drink z soku pomarańczowego, ginu i wytrawnego wina

musującego z kostkami lodu.

- Skoro teraz jecie sałatkę z kurczaka – zasugerowała Meg - to jutro może zrobię sałatkę z szynki i drugą z homara?

-Sałatka z homara. - rozmarzyła się Brianna.

- Moja szczególnie ulubiona. - Casey uniosła obie ręce.

-Doskonale - powiedziała.

Po czym usiadła przy stole jak dama, rozłożyła kolejną z tych uroczodowych zielono-białych serwetek i gestem zaprosiła Briannę, by poszła w jej ślady.

W niedzielny poranek było ich na lunchu czternaścioro.

Sprzyjała im słoneczna i ciepła pogoda.

Meg ustawiła w ogrodzie stół, przykryła obrusem i przygotowała wszystkie dania, o których rozmawiały poprzedniego dnia.

Ponieważ nie wspomniwały o deserze, z własnej inicjatywy kupiła w North End włoskie ciasteczka.

Goście Casey byli pod wrażeniem.

Zasłużyli sobie na dobry lunch po paru godzinach szybkiego pakowania rzeczy w gabinecie Casey i przewożenia kartonów na Beacon Hill.

Ponieważ Casey nie zajrzała jeszcze do szuflad Conniego, rozpakowali jedynie karton zawierający kartotekę klientów, która doskonale się pomieściła w miejscu opróżnionym uprzednio przez kolegę Conniego. Reszta kartonów pozostała w holu.

Gdy komputer Casey, zawierający jej plan przyjęć, notatki na temat poszczególnych przypadków i informacje potrzebne do rachunków, został ustawiony na bocznym stoliku i podłączony do Internetu przez Evana, komputerowca, wszystko już było gotowe i mogłaby zacząć pracować - gdyby przyjaciele sobie poszli.

Ale im się nie śpieszyło.

Nalewali kolejne mrożone kawy, skubali kolejne ciasteczka, wyciągali się na ziemi w miejscach, gdzie padały promienie słońca, i odpoczywali.

Zostali tak długo, jak tylko mogli, do ostatniej chwili odwlekając powrót do własnego życia.

Potem, po kilkoro, bardzo niechętnie, powędrowali do domu.

Późnym popołudniem zapanował wreszcie spokój.

Z ogrodu zniknęły wszelkie ślady przyjęcia, Meg także odeszła.

Casey usiadła na drewnianej ławce pod kasztanowcem, z Brianną po lewej i Joy po prawej stronie, ale w końcu one również musiały iść. Kiedy została sama w swym leśnym ogrodzie, rozejrzała się w oszołomieniu, które nie wynikało z tego, że przeholowała z drinkami.

Jeszcze tydzień temu nawet w najśmielszych fantazjach nie mogłaby wyobrazić sobie tej sceny.

Owszem, posiadłość wiązała się z wielką odpowiedzialnością i otrzymała ją od człowieka, który przez trzydzieści cztery lata nie poświęcił jej ani chwili.

Kochała jednak ten ogród.

Była to oaza spokoju, z drzewami, bujnymi kwiatami, cienistymi ścieżkami;

ptakami, wiewiórkami i fontanną.

Wartość samego domu umiała ocenić racjonalnie. Natomiast z ogrodem czuła się związana emocjonalnie. Ta myśl sprawiła, że opanowało ją poczucie winy.

Wkrótce potem Casey ruszyła z wizytą do matki.

W linii prostej Beacon Hill i Fenway nie leżały daleko od siebie, ale Casey wstąpiła jeszcze do mieszkania w Back Bay, by się przebrać. Wciagu czterdziestu minut, jakie jej to zajęło, myślami pobiegła z powrotem do Providence.

Przez lata tak często pokonywała drogę z Providence do Bostonu i z powrotem, że mogłaby to zrobić nawet we śnie. Od kiedy skończyła trzynaście lat, jeździła z przyjaciółkami pociągiem. Chodziły po Common, jadły lunch na Copley Place, przyglądały się wystawom na Newbury Street.

W sklepie na Baylston przekłuła sobie uszy, gdy skończyła piętnaście lat, gdy zaśmiała szesnaście i dowiedziała się, że jej biologiczny ojciec mieszka w Bostonie, odkryła Beacon Hill.

Miała już wówczas prawo jazdy, rozpoczęła więc podróż, którą w tej chwili powtarzała w myślach.

Różne były tylko punkty startu, bo Caroline przeprowadzała się z jednego domu do drugiego.

W pierwszych wspomnieniach Casey był ceglany dom w eleganckiej dzielnicy Blackstonew Providence.

Caroline niemal się zrujnowała, kupując go, ale jako samotna matka, potrzebująca z jednej strony dochodów, z drugiej wolnego czasu,

postanowiła zająć się sprzedażą nieruchomości.

Reprezentacyjny dom zaś był częścią niezbędnego w tym zawodzie wizerunku.

Przez kilkanaście lat zmagala się i z domem, i z karierą zawodową.

W końcu poddała się i kupiła wiktoriański domek z póthektarową działką na obrzeżach miasta.

Tam wykorzystywała swoje talenty artystyczne, tkając drobne rzeczy użyteczne w gospodarstwie domowym.

Z jednych niewielkich krosien z czasem zrobiły się cztery, do nich dołączył duży warsztat tkacki, potem drugi oraz pomocnica, która tkala materiały projektowane przez Caroline.

Stojący osobno garaż zamienił się w studio, ale szybko okazał się za ciasny, zresztą pole działania Caroline znacznie się rozszerzyło.

Kupiła farmę jeszcze dalej od miasta i zaczęła od hodowli owiec, przędzenia i farbowania wełny, z której następnie tkala.

Do chwili wypadku miała jeszcze kilka owiec, ale jej zainteresowanie już dużo wcześniej przeniosło się na króliki angorskie.

Trzymała je w specjalnych pomieszczeniach, dobudowanych z tyłu domu, z kontrolowaną stałą temperaturą i klimatyzacją.

Co dwa dni czyściła ich klatki, co cztery dni szczotkowała sierść, komponowała im posiłki.

Karmiła je zgodnie z dietą wysokobiałkową, uzupełnioną błonnikami i świeżą wodą.

Za to króliki cztery razy w roku dawały jej doskonałą/słodko pachnącą wełnę, na którą było wielkie zapotrzebowanie - i na surowiec, i na gotowe wyroby.

Czekając teraz w bostońskim korku, Casey przypomniała sobie zakręt wiejskiej drogi i malowaną ręcznie skrzynkę na listy, stojącą na początku podjazdu na farmę.

Owce pały się na płaskich, szerokich łąkach.

O tej porze roku trawa była świeża i zielona, a drzewa obsypane dopiero co rozwiniętymi liśćmi.

Droga na farmę była niewątpliwie ładna, wręcz sielankowa.

Casey nie mogła uciec od porównań.

Zastanawiała się nad emocjonalnym związkami, jaki czuła z ogrodem na Beacon Hill.

Nigdy nie przeżyła czegoś takiego na farmie matki.

Tamto miejsce było tak zwyczajne i naturalne jak Caroline, tak bezpośrednio, proste i otwarte.

Bez tajemnic. A Casey pociągała wieloznaczność, złożoność.

Ukryta w niej terapeutka lubiła zdzierać zasłony, kryjące osobowość miejsca czy wydarzenia.

Farma jej matki była uroczym miejscem na odwiedzin, ale nigdy nie potrafiła na dłużej jej zainteresować.

Z rosnącym poczuciem winy Casey zaparkowała swoją małą czerwoną miatę trochę dalej od domu opieki.

Miała na sobie białą bluzkę i czarne spodnie, na nogach sandały na wysokich obcasach. Włosy spięła szeroką klamrą. Przerzuciła przez ramię skórzaną torbę, wspięła się po schodkach i weszła do środka. Byli tu teraz także inni goście.

Wszystkich ich znała z widzenia, choć nie z nazwiska, więc cicho powiedziała im dzień dobry. Nie zwlekając, wbiegła po schodach na drugie piętro, pomachała pielęgniarce dyżurnej i ruszyła do pokoju matki. Był to jeden z tych dni.

Casey nigdy nie wiedziała, co było przyczyną takiej reakcji - czy sposób, w jaki promienie słoneczne padały przez okno, czy kąś, pod jakim pielęgniarzka położyła głowę Caroline, czy coś, co miało źródło w tej zewnętrznej powłóce, w której, zdaniem lekarzy, nic już właściwie nie było - ale stanęła w progu porażona okrucieństwem, z jakim los potraktował jej matkę.

Caroline wyglądała pięknie.

Miała zaledwie pięćdziesiąt pięć lat, długie i gęste włosy, które z latami przybrały niezwykle srebrny kolor, ale ani trochę jej nie postarzały.

Skórę zachowała gładką, choć bladą.

Nieliczne zmarszczki na twarzy były mimiczne- Caroline bowiem często się uśmiechała.

"Dawniej" - dodała w myślach Casey, ponieważ teraz jej twarz stale pozostawała bez wyrazu.

Caroline wyglądała na tak samo nieobecną jak podczas każdej wizyty w ciągu minionych trzech lat.

Gdyby jej orzechowe oczy były szeroko otwarte, a nie półprzymknięte, promieniowałyby z nich ciepło. Gdyby mówiła, jej wargi byłyby wilgotne.

Gdyby wciągnęła ją rozmowa, siedziałyby pochylona, z brodą opartą na

dłoni i zachwytem w żywych orzechowych oczach.

Gdy Casey została poczęta, Caroline miała dwadzieścia lat i studiowała na ostatnim roku college'u.

Jednym z przedmiotów była psychologia, którą wykładał Connie.

Casey zawsze sobie wyobrażała, że Conniego zafascynowała uroda Caroline, choć w gruncie rzeczy nie miała pojęcia, kto się komu spodobał i jak naprawdę doszło do romansu.

Matka nigdy o tym nie mówiła, Casey zaś, mimo buntowniczego charakteru, nie miała serca pytać.

Jej narodziny na zawsze zmieniły życie Caroline.

Gdyby nie ta jedna noc, kto wie, gdzie Caroline byłaby teraz?

Może kontynuowałaby studia i uzyskała wyższy stopień naukowy?

Może rozwijałaby zamiłowanie do sztuki i albo by uczyła, albo pisała?

Może zostałaby sławną projektantką mody i podróżowałaby po świecie?

Gdyby nie przypała jej los samotnej matki, może wyszłaby za mąż i miała dom pełen dzieci oraz mężczyznę płacącego rachunki i zdejmującego zmartwienia z jej barków?

Jedno było pewne: nie leżałaby w tym łóżku.

Caroline przyjechała z wizytą do Casey do Bostonu.

Przechodziła przez ulicę i wtedy potrącił ją samochód.

Doznała uszkodzenia mózgu i pozostawała w stanie niedotlenienia tak długo, że skutki wypadku były jeszcze poważniejsze.

Choć oddychała samodzielnie oraz dostosowywała się do normalnych cykli snu i jawy i od czasu do czasu wykonywała spazmatyczne ruchy, nie dawała znaku, że cokolwiek dzieje się w jej mózgu.

Musiała być sztucznie karmiona – pojona.

Gdyby Casey nie istniała, Caroline nie wyruszyłaby w tę podróż i byłaby zdrowa i cała.

Casey nie była w stanie uwierzyć, że jej matka nie będzie już nigdy sobą.

Oderwała się od drzwi i podeszła do łóżka.

- Cześć, mamó.

Pocałowała ją, ujęła jej dłoń i zasiadła na swym zwykłym miejscu na brzegu łóżka.

- Cześć, kochanie – powiedziała Caroline z wyraźną przyjemnością, jak zawsze.

W Providence byłaby boso, w za dużej koszuli z powiewającymi połami i w splewiałych dzinsach, podkreślających jej szczupłą sylwetkę. Gdyby właśnie wyszła Spod prysznic, otaczałby ją eukaliptusowy zapach, owinęłaby mokre włosy wokół dłoni i zgrabnie spięła na czubku głowy bambusowym drutem do robótek. Tak, robiła też na drutach. Nie tylko hodowała angorskie króliki, zbierała ich wełnę, przędła ją, farbowała i tkala, ale także robiła swetry. I rękawiczki.

I szale.

Nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła coś zrobić dla wnuka. Ciągle to Casey powtarzała.

- Cieszę się, że jesteś – powiedziała teraz. - Mam nastrój na gotowanie.

Może zrobię gulasz z baraniny?

Casey ścisnęło się serce.

- Och, nie. Rambo?

Oczy Caroline wypełniły się łzami.

- Odszedł spokojnie.

Byłam z nim. Miał za sobą długie życie. Usiłowała mówić rozsądnie. Rambo należał do ulubionych baranów matki. Casey wiedziała, że będzie go jej brakowało.

- Tak mi przykro, mammo.

Caroline wytarła nos dłonią.

- Cóż.

Odszedł.

Gdzieś tam na górze jest szczęśliwy.

Chcę to uczcić.

Casey nie chciała.

Już to przerabiała, w minionych latach, z innymi owcami.

- Wiem, wiem – Caroline uprzedziła jej odpowiedź – absolutnie nie potrafisz zrozumieć, jak mogę jeść coś, co kochałam, ale tak już jest w przyrodzie, kochanie.

Zwierzę, takie jak Rambo, czerpie dumę nie tylko z tego, że wciąż życia dawało wełnę, ale i z tego, że staje się pożywieniem, gdy życie się już skończyło.

Bardzo bym chciała, żebyś to tak traktowała.

- Może kiedy indziej - powiedziała Casey.

- Teraz trochę się śpieszę.

- To zrobię kotlety.

Będzie szybciej.

- Chciałam ci tylko coś powiedzieć.

Caroline szeroko otworzyła oczy.

- Dobre wieści?

Dobre wieści w języku matki oznaczały mężczyznę. Caroline chciała mieć zięcia niemal tak bardzo jak wnuki.

Casey masowała palce Caroline, aż je wyprostowała, i teraz splotła ze swoimi.

- Tak, to chyba dobre wieści.

Odchodzę z zespołu, Caroline drgnęła, zaskoczona.

- Ojej. Dlaczego?

- Kłopoty finansowe, konflikty osobowości. I nie tylko ja odchodzę.

Zespół się rozpadł. Wszyscy szukamy innych rozwiązań.

- I to akurat teraz, gdy dorobiliście się solidnej praktyki?

-Praktyka nie ucieknie. Moi klienci pójdą za mną.

- Dokąd?

-Mam nowy gabinet.

Chwila ciszy, a potem Caroline zgadła, kierowana intuicją:

- Mówisz o domu Conniego, prawda?

-To niezwykle miejsce, mamo.

Cztery kondygnacje, poza tym taras, ogród i miejsce do parkowania.

Nie wspomniała o pokojówce i ogrodniku.

Biorąc pod uwagę, że Caroline spełniała te wszystkie funkcje nawet wtedy, gdy czuła się wykończona, byłoby to sypanie soli na otwartą ranę.

- Cztery kondygnacje, z tarasem, ogrodem i miejscem do parkowania na Beacon Hill?

- spytała Caroline tonem pośrednika w handlu nieruchomościami.

-To musi być warte ze dwa miliony.

- Prawnik uważa, że trzy.

-Czy zamówiłaś wycenę?

- Jeszcze nie.

W tym domu mam teraz gabinet.

Nie mogę go zgłosić do sprzedaży, póki nie znajdę innego miejsca na

spotkania z klientami.

- Ile czasu ci to zajmie?

-Nie wiem.

- Nie czekaj zbyt długo, Casey.

Rynek jest teraz dobry, ale niema żadnych gwarancji, że będzie taki za miesiąc czy rok.

Koszty utrzymania takiego domu muszą być gigantyczne.

Jakie jest obciążenie hipoteczne?

- Żadne.

Caroline umilkła na chwilę, zaskoczona.

- No, to już coś.

- Szybko doszła do siebie.

-Ale to dodatkowy powód do wystawienia domu na sprzedaż.

Takie pieniądze, zainwestowane, zapewnią ci bardzo bezpieczne gniazdko.

Ja nie jestem w stanie tak cię zaopatrzyć.

Moja farma jest warta zaledwie ułamek tej sumy.

Jeśli sprzedasz dom i zainwestujesz pieniądze, z samych dywidend będziesz mogła wynająć sobie doskonały gabinet. Casey była tego świadoma.

- Zrobisz to? - spytała Caroline.

Casey nigdy nie umiała przekonująco kłamać.

- Pewnie kiedyś.

-Niedługo? -prosiła Caroline.

- A co, jeśli postanowię zachować dom przez jakiś czas?

Caroline przygryzła wargę. Spojrzała na Casey, potem na podłogę. Gdy znów podniosła wzrok, w oczach miała cierpienie.

- Toby mnie zabolalo.

Casey ścisnęło się serce.

Caroline mówiła szczerze i za to Casey była jej wdzięczna, ale nie zmniejszało to poczucia winy.

- Dobra, mam.

Mamy tu pewną analogię.

Pamiętasz, co właśnie powiedziałaś o Rambo?

- Kochałam Rambo - zaprotestowała Caroline, doskonale rozumiejąc, do czego zmierza Casey.

- Przez całe życie tylko dawał, dawał i dawał.

- Ale już go nie ma, a ty masz lodówkę pełną baraniny i masz rację, że zgodnie z najbardziej pierwotnym scenariuszem myślistwa i zbieractwa Rambo urodził się, by zostać zjedzonym.

I czemu nie?

Nie żyje.

Tak samo jak Connie.

Tak jak ciało Rambo należy do ciebie, tak dom Conniego należy do mnie.

Mogę tam robić, co chcę - pokryć ściany graffiti, obrażać sąsiadów czy organizować przyjęcia, od których dawny właściciel będzie się przewracać w grobie. - Złagodniała. -I są też pozytywne strony. Mogę wykorzystać to miejsce dla siebie. Potrzebuję gabinetu, a teraz, gdy się tam urządziłam.

- Już się przeprowadziłaś? - spytała zaniepokojona Caroline.

-Mieszkasz tam?

- Nie.

-A zamierzasz?

- Nie wiem.

Ale dom jest wspaniały, mam. Chodź ze mną i go obejrzyj. Caroline odetchnęła głęboko.

- Nie mogę.

-Dlaczego? On odszedł.

- Nie o to chodzi, kochanie. Chodzi o mnie. Czuję się bardzo zmęczona.

- Oczywiście, że jesteś zmęczona - przekonywała Casey.

- Jesteś zmęczona tym pokojem, zmęczona leżeniem w łóżku.

Te drgawki to znak, mam. Pokazują, że w środku zdrowiejesz.

Niedługo się obudzisz. Caroline na chwilę wstrzymała oddech.

- A jeśli nie? spytała spokojnie.

- Obudzisz się - upierała się Casey. - Musisz się obudzić. Mamy wiele do zrobienia, ty i ja - tak jak matka z córką.

- Cassandro - powiedziała Caroline karcącym tonem – takie rzeczy nigdy cię szczególnie nie bawiły.

-Dawniej może mnie nie bawiły, ale to się zmieniło. Jesteś częścią mego życia. Dlatego tak bardzo chcę, żebyś poszła tam zemną, do tego domu.

- Przykro mi, kochanie, ale nie. Mam swoją dumę.

- Tu chodzi nie tyle o dumę, ile o praktyczne rozwiązanie. Potrzebuję miejsca do pracy. W domu jest gabinet.

Caroline przytknęła palce do ust. Nie musiała nic mówić. W jej oczach widać było wielki smutek. W końcu opuściła rękę i westchnęła.

- Gdyby chodziło wyłącznie o praktyczną stronę, sprzedałabym dom, wzięła pieniądze i uciekła. Ale zawsze miałaś obsesję na punkcie tego człowieka.

- Nie miałam obsesji.

-No to byłaś nim zafascynowana. Masz podobny zawód. Znalazłaś zespół w jego mieście. Kupiłaś mieszkanie dziesięć minut od jego domu. Czy kiedykolwiek przysłał ci klienta? Czy kiedykolwiek zaprosił cię do siebie? Nastawiłaś się na klęskę, i to właśnie cię spotkało. Nie udało ci się przyciągnąć jego uwagi.

- Ależ udało – zaprotestowała Casey. - Zapisał mi dom.

- Niewątpliwie.

Nie spytał, czy go chcesz, co z nim zrobisz, po prostu rzucił ci go. Nie miał dla ciebie czasu za życia, ale teraz, gdy umarł, chce, żebyś wysprzątała po nim szafy. Casey nie myślała o szafach.

- Musisz zobaczyć ogród, mamó.

-Mam własny. - Rzeczywiście miała. Caroline Ellis nie zadowoliliby grządka ziół. Uprawiała sałatę, fasolkę szparagową, cukinie i brokuły.

Nawet pomidory.

- Ten jest całkiem inny -powiedziała Casey.

-Och ,kochanie. Każdy jest inny. Ale to nie wystarczy.

Zasługujesz na więcej.

- Powiedziałabym - zaoponowała Casey- że dom wartości trzech milionów dolarów to nie jest mało.

- Czy zapewni ci stabilizację?

Casey zwiesiła głowę. Tę dyskusję też już kiedyś prowadziły. Westchnęła i podniosła wzrok.

- Chcesz, żebym miała męża i dzieci, i ja też tego chcę, ale nie o to teraz chodzi. Nie prosiłam o dom, mamó. Byłam gotowa pochować tego człowieka i iść dalej. Ale zostawił mi spadek, a to stwarza mnóstwo nowych możliwości i problemów.

- To prawda – przytaknęła Caroline.

-Chciałabym, żebyś mi w tym pomogła.

- Moja rada brzmi: sprzedaj. To najlepsza rada, jakiej ci mogę udzielić.

- Chciałabym, żebyś go najpierw zobaczyła. - Caroline wpatrywała się w nią intensywnie. Powoli pokręciła głową.

- To dom, mamó. Cegły i zaprawa. Dlaczego czujesz się tym tak zagrożona?

Caroline uniosła dłoń, rzucając Casey ostrzegawcze spojrzenie. Nie analizuj mnie - mówiło.

Casey ustąpiła na tyle, żeby nie mówić jak terapeutka. Jako córka powiedziała:

- To nie ma nic wspólnego z miłością. Kocham cię. Wychowałeś mnie.

Poświęcałeś się dla mnie. Chodzi tylko o to, że nigdy nic o nim nie wiedziałam.

Nie chciałeś mi powiedzieć.

- Nie mogłam - przerwała Caroline. Nie mam nic do powiedzenia.

Ten człowiek przed nikim się nie otwierał.

- Musiał coś powiedzieć. przed... po..

No wiesz, przecież wyście...

- Spali ze sobą?

Ledwo otwierał usta.

- Caroline rzuciła jej niechętnie spojrzenie.

-Nigdy nie pociągali cię mroczni, milczący faceci? Connie nie był mroczny, ale niewątpliwie był milczący. Milczenie tworzy tajemnicę, a tajemnica pociąga.

Każda kobieta uważa, że to jej właśnie uda się przebić do środka. Mnie się nie udało. Więc przegrałam.

- Masz mnie.

-Wiesz, o co mi chodzi.

- A ty wiesz, o co chodzi mnie - nalegała Casey, rozpaczliwie pragnąc, by matka zrozumiała.

- Nie potrafiłaś się przebić. Inni też nie potrafili. Ale ja mam szansę.

- On nie żyje.

-Ale żyje jego dom.

Może coś mi opowie. Spójrz na to w ten sposób. Gdy będę miała dzieci, połowa ich genów będzie moja, czyli twoja i jego. Dzieci będą cię znać i kochać, a to, czego same nie zobaczą, usłyszą ode mnie. Czy nie byłoby miło, gdybym mogła im coś powiedzieć także i o nim ?

Caroline myślała o tym przez chwilę.

A potem, jak każda matka, która chce dla dziecka czegoś więcej, niż miała sama, uśmiechnęła się.

- Ale obiecaj, że najpierw będziesz miała męża.

Siedząc w samochodzie na Fenway, mając świeżo w pamięci reakcję matki, Casey zatelefonowała do pośrednika nieruchomości, przez którego kupiła swoje mieszkanie.

Nagrany głos na drugim końcu linii poprosił o zostawienie wiadomości.

Nabrała powietrza, żeby to zrobić, zawahała się i rozłączyła.

Jak mu powiedzieć, że nagle stała się posiadaczką domu na Beacon Hill i chce go sprzedać?

Czy znalazłby się ktoś, kto przedłożyłby maleńkie mieszkanie nad dom na Beacon Hill?

Pośrednik uzna, że postradała zmysły.

Osobista rozmowa będzie lepsza niż sucha wiadomość.

Spróbuj zadzwonić kiedy indziej.

Caroline ma rację -chyba rzeczywiście lepiej będzie sprzedać dom, zainwestować pieniądze i położyć krzyżyk na Connii. Zasłużył sobie

na to. Najpierw musi obejrzeć dokładnie cały dom, dowiedzieć się o Conniem wszystkiego co możliwe, upewnić się, że niema w nim niczego interesującego. Przede wszystkim jednak musi powiadomić klientów o zmianie adresu. Postanowiła od tego zacząć i pojechała wprost na Beacon Hill.

Zaparkowała przed domem, otworzyła drzwi i weszła do środka. Kiedy zbiegała po schodach, przez głowę przeleciała jej myśl, że jeśli ma tu zostać dłużej, będzie musiała czymś zastąpić obrazy Ruth Unger. Gdy jednak weszła do gabinetu, skupiła się na rzeczach najważniejszych: obejrzała w komputerze listę klientów i zaczęła telefonować.

Otwierając drzwi do ogrodu, powiedziała sobie, że robi to tylko po to, by wpuścić do środka wieczorne powietrze.

Wychodząc na dwór między jednym telefonem a drugim, tłumaczy ła sobie, że to dla rozprostowania nóg.

Gdy zostawiła wiadomości wszystkim klientom zapisanym na poniedziałek i wtorek, wyłączyła komputer, odłożyła telefon i przestała walczyć ze sobą.

Wieczór w ogrodzie był porą szczególną.

Ścieżkę oświetlały niskie lampy, natryskiwacze schowane za krzewami zraszały rośliny.

Nie było słycać teraz ptaków, nie było widać wiewiórek, ale fontanna nadal bulgotała.

Z sąsiednich posesji dochodziły stłumione dźwięki.

Ktoś smażył coś na grillu - chyba steki, sądząc po zapachu.

Wyciągnąwszy się na ławce pod kasztanowcem, Casey spojrzała w górę.

Widziała więcej gwiazd niż zwykle w mieście.

Zastanawiała się, czy dlatego, że niebo jest bezchmurne, czy to tylko siła sugestii.

Ogród był miejscem magicznym.

Odpnęła się naprawdę, dopiero gdy zamknęła oczy.

Zapach zimozielonych krzewów, kwiatów o pięknym aromacie, których nazw nie znała, świeżej ziemi i smażonego steku, w połączeniu z lekką wieczorną bryzą przyniósł spokój i odprężenie.

Opanowały ją nieokreślone emocje.

Gdyby wierzyła w reinkarnację, uznałyby, że w poprzednim życiu była

nimfą leśną.

W ogrodzie czuła się jak w domu.

Casey obudziła się zwinięta w kłębek, na boku.

Była druga nad ranem.

Zmarzła.

Zdumiona, że zasnęła na ławce -i tak długo spała - weszła do domu, by pogasić światła, włączyć alarm i pojechać do siebie.

Na schodach panowała ciemność, nie musiała więc patrzeć na obrazy Ruth, ale zanim doszła do kuchni, poczuła się wyczerpana.

Wspięta się do gościnnej sypialni, rozebrała, umyła i włożyła wiszącą w łazience bladoniebieski szlafrok.

Był nowiutki, nigdy przedtem nienoszony, ze starannie zawiązanym paskiem.

Niecałkiem rozbudzona, udawała, że kupiono go specjalnie dla niej i cały ten czas na nią czekał.

To zdecydowanie był jej kolor.

W pokoju zamknęła drzwi, ponieważ sypialnia Conniego znajdowała się na przeciwko, po drugiej stronie holu.

Tak, już nie żył.

Wiedziała to.

Ale coś po nim w tym pomieszczeniu zostało.

Duch Angus? Chyba nie. Pomijając żarty, nie wierzyła w duchy. A jednak zdecydowanie czuła tam czyjąś obecność. Uznawszy, że nie chce tu spać, zeszła dwa piętra w dół, do pokoju w suterenie. Tak, tu też wyczuwała Conniego, ale pokój był przytulny. Zwinąwszy się na sofie, przykryła stopy szydełkowym pledem, wsunęła poduszkę pod głowę i zasnęła.

Obudziła się przed piątą, gdy tylko zaczęło się robić widno, i w pierwszej chwili poczuła się całkowicie zdezorientowana. Gdy już zdała sobie sprawę, gdzie jest, niebyła w stanie zasnąć ponownie. Podniósłszy się z sofy, stała przez chwilę pośrodku pokoju i zastanawiała się, co robić, gdzie pójść i jak się czuć.

Jeszcze nigdy w życiu nie budziła się w domu ojca. To nie było normalne.

Potrzebowała czegoś zwyczajnego.

Kawa była napojem najzwyczajniejszym.

Poszła więc na górę do kuchni i nastawiła ekspres.

Czekając, aż się zaparzy, wyrzała przez okno do ogrodu, ale tam panował jeszcze mrok. Choć niebo na wschodzie jaśniało z minuty na minutę, słońce nie stało dość wysoko, by oświetlić tę stronę wzgórze. Napełniwszy kawą kubek w kolorze zielonego mchu, wróciła na dół, tym razem do gabinetu.

Tam znajdował się jej komputer i wizytownik.

Zazwyczaj w poniedziałek rano, o przyzwoitej godzinie, przy użyciu jednego i drugiego pracowała przez telefon, albo kłócąc się w imieniu klientów z towarzystwami ubezpieczeniowymi, albo przygotowując materiały potrzebne do wystawienia rachunków.

Dlatego właśnie nigdy nie umawiała nikogo na poniedziałkowy ranek przed dziesiątą.

Dzisiaj oczekiwała pierwszego klienta o jedenastej, ale przedtem musiała wpaść do mieszkania po ubranie.

Była jednak zaledwie piąta rano, miała więc mnóstwo czasu.

Rozgrzana kawą, rozejrzała się po gabinecie, szukając śladów po ojcu.

Jedynymi rzeczami noszącymi jego nazwisko były wiszące na ścianie dyplomy, ale nie mówiły jej one nic, czego by już nie wiedziała.

Zauważyła też kilka botanicznych rycin w prostych oprawach, ale choć były piękne, świadczyły wyłącznie o tym, że Connie umiał kupować.

To wszystko.

Gość w tym gabinecie nigdy by nie zgadł, że człowiek, który tu mieszkał i pracował, był znaną osobistością w swojej dziedzinie, że w trakcie kariery zawodowej zebrał wiele wyróżnień, że jego książki wielokrotnie wydawano.

Przeglądając półki, nie mogła jednak żadnej znaleźć – a przecież rozpoznałaby je natychmiast, bo miała wszystkie.

Zauważyła natomiast kilka pozycji, które miała także w swojej bibliotece.

Były podstawową lekturą każdego terapeuty - dokładnie tym, co przekazałby ojciec synowi czy córce, rozpoczynającym pracę w tej samej dziedzinie.

Odstawiła kubek na biurko, wyciągnęła jedną z książek i otworzyła, mając nadzieję, że może znajdzie dedykację: "Dla Casey od ojca, z miłością i najlepszymi życzeniami udanej kariery zawodowej".

Nawet gdyby nie było nic o miłości, też byłaby szczęśliwa.

Jednakże patrzyły na nią czyste strony.

Wyjęła drugą książkę i również znalazła puste strony.

To samo w trzeciej.

Rozczarowana, przyjrzała się innym książkom stojącym na półkach.

Te, do których najłatwiej było sięgnąć, siedząc przy biurku, dotyczyły psychoanalizy w większym stopniu, niż to się jej podobało.

Nagle zbuntowana, wyciągnęła najbardziej okazałe i przeniosła na odległe półki.

To samo zrobiła z resztą, aż dwie najbliższe półki zostały całkowicie opróżnione.

Wtedy przejrzała kartony stojące w holu, a gdy znalazła własne ulubione książki, szybko przeniosła je na honorowe miejsce i porządnie ustawiła.

Uznała, że półki wyglądają teraz znacznie sympatyczniej.

Zachęcona takim rezultatem, zwróciła uwagę na biurko.

Było ogromne, wykonane z mahoni, z trzema szufladami po każdej stronie i płytką szufladą na ołówki części środkowej.

Fotel, także wielki, skórzany, miał wysokie oparcie.

Usiadła w nim, próbując się obracać.

Okręciwszy się w lewo, otworzyła najwyższą szufladę po tej stronie i znalazła zapas żółtego liniowanego papieru.

W drugiej szufladzie znajdowały się zszywacz i zszywki, pudełka ołówków czarnych i czerwonych, pudełka spinaczy, odtwarzacz na małe kasety i paczka taśm.

Wzięła odtwarzacz, tak samo, jak on musiał to wielokrotnie robić, i włączyła, mając nadzieję, że usłyszy jego głos -ale taśma była pusta.

Odłożyła odtwarzacz na miejsce i wysunęła najniższą szufladę. Metalowe pręty wskazywały, że kiedyś mieściła kartotekę.

W tej chwili była pusta – ale tylko przez moment.

Casey szybko wypełniła ją własnymi teczkami.

To samo zrobiła z dolną szufladą po prawej stronie.

W szufladzie nad nią znajdował się urzędowy papier listowy Conniego, z nagłówkiem Harvardu, którego miał prawo używać jako profesor tego uniwersytetu, i jego osobista papeteria.

W kolorze kości słoniowej z czarnym nadrukiem: CORNELIUS B.

UNGER.

Nie miała pojęcia, co oznacza B.

Przez lata pytała o to wiele osób, ale nikt nie wiedział.

Z papeterią wiązała kolejną nadzieję.

Gdyby Casey była na miejscu Conniego i zostawiała nieznanemu dziecku dom z całą zawartością tu właśnie schowałaby list.

Oba stosiki papeterii leżały równiutko i na żadnej kartce nie zauważyła najmniejszego nawet znaczka.

Rozczarowana, zamknęła szufladę, wysunęła górną po tej samej stronie i znalazła kilka niewielkich pudełek.

W jednym leżały gumki recepturki, w drugim gumki do ścierania, w trzecim karteczki samoprzylepne.

Pozostałe wypełniały irysy firmy Callard Bowser.

Na widok cukierków Casey drgnęła, zaskoczona.

Uwielbiała irysy.

Na studiach magisterskich jadła je nieustannie, do tego stopnia, że uszkodziła sobie kilka zębów, ponieważ woląa gryźć cukierki, niż ssać. Mogłaby sobie wyobrazić, że Connie napełnił pudełeczka z myślą o niej, gdyby nie było to tak zupełnie nieprawdopodobne.

Sięgnęła po cukierek, pomyślała chwilę i cofnęła rękę.

Zamknawszy szufladę, wyciągnęła ostatnią - płytką, środkową.

Na niewielkiej tacce leżało kilka długopisów Bic i ich widok ją ucieszył.

Nienawidziła biców i nigdy ich nieuk ywała.

Pisała piórem marki Mont Blanc.

Dostała je w prezencie od matki.

Czując pewną satysfakcję, że przynajmniej pod tym względem jest inna niż Connie, wysunęła szufladę dalej.

Za tacką na pióra leżała drewniana linijka, a za nią brązowa koperta.

Gdy ją wyjęła, puls jej przyspieszył.

Nagórze widniała litera "C", zdecydowanie napisana jego ręką.

"C" mogło oznaczać Corneliusa, ale nie wiedziała, dlaczego miałby na kopercie zapisywać pierwszą literę swego imienia.

"C" mogło oznaczać także Casey.

Z bijącym sercem odgięła zakładkę, otworzyła kopertę i wyciągnęła plik zadrukowanych kartek, spiętych jak w segregatorze.

Flirt z Pete'em - przeczytała na środku pierwszej strony, a pod spodem,

mniejszymi literami - Dziennik.

Flirt z Pete'em.

Dziennik.

Casey przerzuciła kartki.

Były całe zadrukowane, z podwójnym odstępem, numerowane.

Wróciła do pierwszej strony.

Flirt z Pete'em.

Dziennik.

"C" oznaczało Casey.

Coś, co jej powiedziało, że tak właśnie jest, kazało jej posunąć się dalej.

Usunąwszy klamrę, położyła kartki na biurku, odłożyła stronę tytułową i zaczęła czytać.

Rozdział piąty

LITTLE FALLS

Mgła w piątkowy poranek była tak gęsta, że Jenny Clyde mogła dostrzec tylko kępy trawy po prawej stronie, pas wyboistej drogi po lewej i zniszczone czubki własnych znoszonych tenisówek, prowadzących ją prosto do miasta.

Zbaczając w lewo, widziała więcej drogi niż trawy.

Jeszcze trochę w lewo -i trawa znikwała.

Trzymając się środka drogi, patrzyła prosto przed siebie, nie zwracając uwagi na nic oprócz cętkowanej szarzyny szosy i kłębow białej mgły.

Mgła była zjawiskiem typowym dla późnego lata w Little Falls.

Ściśnięte w dolinie między dwoma wysokimi szczytami miasteczko staowało się wtedy polem bitwy między ciepłymi dniami i chłodnymi nocami.

Jenny zawsze sobie wyobrażała, że obłoki zaplątane w tę wojnę po prostu rozbijają się o stoki, spływają na sam dół i tkwią tam, bezradne i wyczerpane.

Niemniej jednak mgła wcale jej nie przeszkadzała.

Pozwalała sądzić, że miasteczko jest opiekuńcze, wybaczące i dobre.

Odcinała ją od twardej, trudnej rzeczywistości.

Zbliżał się samochód: najpierw zduszony pomruk, potem warkot, coraz głośniejszy, w miarę jak nadjeżdżał. Warkot zmienił się

w ryk motoru. Jenny szła dalej. Dźwięk był coraz głośniejszy i bliższy. głośniejszy i bliższy. Głośniejszy i bliższy.

W ostatnim momencie uskoczyła przed niebezpieczeństwem.

Nasuwając niżej na czoło bejsbolówkę, wciągnęła brodę, wsunęła dłonie w kieszenie dżinsów i starała się być niezauważalna.

Lecz Merle Little i tak ją dostrzegł.

Jadąc do domu na południową kawę, widział ją prawie codziennie mniej więcej w tym samym miejscu.

- Nie chodź po jezdni, Mary Beth Clyde!

- krzyknął przez okno samochodu, a za parę sekund mgła znów go pochłonęła.

Jenny podniosła głowę.

- Dzień dobry, panie Little! - mogłaby powiedzieć, gdyby zwolnił.

-Jak się pan ma?

- Całkiem nieźle - odpowiedziałby stary Merle, gdyby był w bardziej towarzyskim nastroju. - A ty, Jenny?

Ależ dziś ładnie wyglądasz.

Mogłaby się słodko uśmiechnąć i zarumienić.

Mogłaby nawet podziękować mu za komplement i udawać, że nań zasłużyła.

Na pewno pomachałaby mu na pożegnanie, bo to taki przyjacielski gest, jakiego się używa wobec osoby, którą się zna od zawsze, której rodzina założyła miasteczko i która mieszka na tej samej ulicy, nawet jeśli Merle tego żałuje i życzy sobie, żeby było inaczej.

Szła dalej.

Kundle Boothów czekały, ale nie widziała ich we mgle.

Nie widziała też zardzewiałych zawiasów na bramie Johnsonów ani kwiatów kwitnących w ogródku Farinów, ale dobrze wiedziała, że to wszystko kryje się w oparach.

Słyszała skrzyp bramy i czuła zapach kwiatów.

- Sza! - ostrzegłaby dzieci, gdyby je miała. -Mówcie cicho.

Stary Farina ma zły charakter.

Nie należy go denerwować.

- Ale przecież nie złapie nas, mamó! - zauważyłoby któreś z dzieci.

-On nie może chodzić.

- Właśnie że może - powiedziałyby inne. - Ma kule.

Uderzył kulą Joeya Battle'a, nawet zastępca szeryfa Dan powiedział

mu, że nie ma prawa tego robić.

Mamo, dlaczego to zrobił, jeśli szeryf Dan mu zakazał?

- Bo niektórzy ludzie są źli - odpowiedziałaaby Jenny, gdyby miała dzieci, jednocześnie przygarniając niemowlę do piersi, słodką, małą dziewczynkę o jedwabistych, puszystych włosach, odwzajemniającą jej miłość to czego Jenny tak bardzo w życiu brakowało.

Nie mogłaby się z nią rozstać nawet na chwilę.

-Niektórych nie obchodzi, co jest zgodne z prawem, a co nie.

Niektórzy w calenie słuchają zastępcy szeryfa.

Mgła uniosła się na tyle, że widać było gałęzie brzozy, ich wrześniową zielenią, a także łuszczącą się białą korę.

Za dwa tygodnie liście żółkną.

"Wtedy mnie już tu nie będzie" - pomyślała Jenny.

Mgła znów zgęstniała, a Jenny wyobrażała sobie, że kryje się za nią inne miasto.

Coś na kształt Nowego Jorku, z wieżowcami, długimi alejami, gdzie nikt by nie wiedział, skąd pochodzi, gdzie była, co robiła; a jeśli nie Nowy Jork, to coś przypominającego Wyoming, z niekończącą się otwartą przestrzenią.

Tam również mogłaby się zgubić.

Najpierw jednak musiała uciec z Little Falls.

Znów zboczyła w lewo, zamykając oczy i odmierzając tenisówkami krok na asfalcie według bęc- bęc -bęc szmacianego chodnika, którym Essie Bunch uderzała o poręcz werandy.

Zboczyła dalej w lewo, jeszcze trochę dalej, aż domyśliła się, że idzie środkiem szosy, i ruszyła prosto przed siebie.

W myślach liczyła anteny satelitarne, do jej uszu docierał głos Sally Jessy Raphael z otwartego okna Websterów, odgłosy teleturnieju Dobra cena od Cleegów, QVC od Myry Ellenbogen.

Im bliżej miasta, tym gęstsza była zabudowa.

Słyszała stłumione głosy, łopot flagi na maszcie, zgrzyt piły tnącej drewno do kominka na zbliżające się zimne wrześniowe noce.

Dźwięki były bardzo rzeczywiste, ale kiedy otwierała oczy, opary mgły dawały poczucie świata niezemskiego ,na przykład Perłowych Bram, najwspanialszego ze wszystkich marzeń.

Jedno było pewne, Jenny Clyde nie szła do nieba. We mgle pojawił się

kolejny samochód. Silnik był nowszy, cichszy, pracował bardziej równomiernie.

Sądząc po szumie opon na nierównym asfalcie, jechał z mniejszą prędkością.

To wóz patrolowy. Znała ten dźwięk. Ten samochód należał do Dana O'Keefe'a. Jenny dalej szła środkiem szosy. Jeszcze trochę. Jeszcze trochę. Jeszcze trochę. Uskoczyła na pobocze tuż przed maską wynurzającego się z mgły dżipa.

Jak można się było spodziewać, zrównując się z nią, zahamował.

- Jenny Clyde! - krzyknął zastępca szeryfa.

-Widziałem cię.

Wzruszyła ramionami, nie spuszczać wzroku z tyłu dżipa.

Mgła tańczyła, otulając zderzaki, potem okna, potem dach.

- To, co robisz, jest bardzo ryzykowne- mówił dalej głosem pełnym troski.

Nieczęsto jej zaznawala.

Nie po ojcu odziedziczył zyczliwość dla ludzi.

Edmund O'Keefe był twardy.

Może jako szeryf musiał.

A jednak Dan był inny.

-Któregoś dnia jakiś kierowca cię nie zobaczy - powiedział.

- Zawsze uskakuję w porę.

-Oczywiście, bo wiesz doskonale, kto prowadzi wóz i jak szybko będzie jechał. Ale któregoś dnia nadjedzie samochód, którego się nie spodziewasz.

Poczekasz trochę za długo i bach! Wyrzuci cię w powietrze i Bóg wie, gdzie wylądujesz. Słuchaj, Jenny Clyde, grasz w rosyjską ruletkę.

- Nie - odparła Jenny. -Jakbym grała w rosyjską ruletkę, zatkałabym sobie uszy.

- Na litość boską, nawet o tym nie myśl - jęknął. Odruchowo potarł bark.

- A więc to już w tym tygodniu.

Wzruszyła ramionami, ale jedno ramię odmówiło nonszalancji, jaką starała się wyrazić reszta ciała.

- Radzisz sobie z tym?

Wbijając wzrok w ziemię, uśmiechnęła się.

- Czemu nie? To mój ojciec.
- Jakoś mnie to nie uspokaja.

Starła się myśleć pozytywnie.

- Czekam na niego.

Dbałam o dom, jak prosił, więc wszystko jest tak, jak zostawił.

Jasne, że parę rzeczy zrobiłam sama, na przykład kupiłam nowy piec, bo starego nie dało się naprawić, albo załatałam dach, kiedy zwałił się na niego ten stary dąb, ale nie miałam wyboru, a poza tym pozwolił mi, więc się nie będzie gniewać.

- Jenny wiedziała, że wściekły Darden Clyde to koszmar.

- Upłynęło sześć lat -zauważył Dan.

"Sześć lat, dwa miesiące i czternaście dni" -pomyślała Jenny.

- Nie masz nic przeciwko temu, że wraca?
- Nie.

Cóż innego mogła powiedzieć?

- Na pewno?

Wcale nie była pewna, ale nie miała wielkiego wyboru.

Kiedy się nad tym zastanawiała, brzuch zaczynał ją boleć, a w myślach rozpoczynała się walka: "Zostań, uciekaj, zostań, uciekaj", aż jej kości drętwiały, po prostu drętwiały.

Dlatego też nieczęsto o tym myślała.

Łatwiej było wpatrywać się we mgłę i dumać o czymś przyjemniejszym.

- Idę dzisiaj na tańce- powiedziała Danowi.
- Naprawdę?

To świetny pomysł.

Od lat nie byłaś na potańcówce w mieście.

- Kupię sobie nową sukienkę na tę okazję.
- Kolejny dobry pomysł.
- U panny Jane.

Coś ładnego. Umiem tańczyć.

- Na pewno, Jenny.

Zrobiła krok w stronę dziapa i przygryzła górną wargę.

Skupiwszy wzrok na punkcie, w którym wyraźna żyła na przedramieniu zastępcy szeryfa dotykała opuszczonej szyby, wydusiła:

- On nie wie, że używam imienia Jenny.

Myślę, że toby mu się nie spodobało.

To moje drugie imię; on lubi MaryBeth, bo tak się nazywała moja matka.

- Właśnie dlatego nie znosiła tego imienia, dlatego jego dźwięk wywoływał ból brzucha.

A jednak ból był lepszy niż to, czego mogła się spodziewać ze strony rozżłoszczonego Dardena.

- Więc może od teraz mógłbyś zacząć nazywać mnie MaryBeth, tak na wszelki wypadek?

Dan nie odpowiedział, więc odważyła się spojrzeć mu w twarz. To, co tam zobaczyła, w żaden sposób jej nie ukoilo.

Wiedział dużo lepiej niż inni, co się stało i dlaczego Darden sześć lat, dwa miesiące i czternaście dni temu trafił do więzienia.

To, czego nie wiedział na pewno, odgadł.

Pokręciła głową w błagalnym geście, ale natychmiast odwróciła wzrok.

- Jenny lepiej do ciebie pasuje - stwierdził.

Od tej życzliwości zebrało jej się na płacz.

Ale znów wzruszyła tylko ramionami, teraz oboma.

- Jenny.

MaryBeth.

Naprawdę powinnaś wyjechać z miasta, zanim wróci.

Czubkiem buta zaczęła grzebać w pękniętym asfalcie przy skraju szosy.

- Zmień nazwisko i zacznij nowe życie gdzieś Dalek ostąd.

Rozumiem, dlaczego nie zrobiłaś tego wtedy, miałaś tylko osiemnaście lat i nikogo, kto mógłby ci pomóc, ale teraz masz dwadzieścia cztery lata.

Zdobyłaś doświadczenie zawodowe.

Wszędzie pełno restauracji, które z radością zatrudnią tak rzetelną kelnerkę jak ty.

Nigdy nie uda mu się ciebie znaleźć.

Musisz wyjechać.

To zły człowiek, Jenny.

Dan nie powiedział nic, czego Jenny nie powtarzałaby sobie setki, tysiące razy.

Poczucie bezpieczeństwa, jakie ją ogarnęło, gdy ojca zabrano, znikło zupełnie w ciągu ostatnich paru tygodni.

Każda myśl o nim sprawiała, że stawała się kłębkim nerwów.

Więc starała się o nim nie myśleć.

Zamiast tego, kiedy we mgle podjęła na nowo drogę do miasteczka, skupiła się na sukience, jaką miała zamiar kupić.

Wisiła w oknie wystawowym panny Jane prawie przez całe lato, patrząc na nią, jakby mówiła: "Uszyto mnie specjalnie dla ciebie, Jenny Clyde".

Była bordowa w drobne kwiatki, miała krótki rękaw, okrągły dekolt i wysoką talię.

Na manekinie sięgała do pól łydki.

Jeśli na Jenny będzie wyglądała tak samo, to zakryje blizny na jej nogach.

Jeśli nie, będzie musiała włożyć ciemne rajstopy.

Może i tak je włoży.

Jenny widziała zdjęcie Meg Ryan, która nosiła ciemne rajstopy do prawie identycznej sukienki.

Jasne, że Jenny nie wygląda jak Meg Ryan, niema jej uśmiechu ani wdzięku.

Zresztą Jenny nie zniosłaby, żeby ludzie się na nią gapili tak jak na Meg Ryan.

Jenny była bardzo, ale to bardzo skromną osobą.

Dziś wieczór coś się jednak stanie.

Dziś wieczór pozna kogoś tak przystojnego, jak Najseksowniejszy Mężczyzna Świata.

Będącego w mieście przejazdem w drodze do miejsca, gdzie ma dobrą pracę i ładny dom.

Tak strasznie się w niej zakocha, że przed upływem tygodnia będzie ją błagać, by z nim uciekła ,a ona się zgodzi.

Nie zamierza się wcale zastanawiać, bo on będzie tym jedynym, na którego zawsze czekała.

Kiedy skręcała w Main Street, mgła rozrzedziła się na tyle, że widać było markizy, jakie w marcu władze miasteczka postanowiły zainstalować w ramach renowacji.

Były ciemno zielone z dużymi białymi literami, wskazującymi po kolei sklep żelazny, aptekę, kiosk z prasą, drogerię, sklep z artykułami po 10 centów i piekarnię po jednej stronie ulicy, a po drugiej - sklep spożywczy, ogrodnicy, kawiarenkę, lodziarnię i sklep odzieżowy.

Jenny nie była świadoma idei renowacji.

Nie rozumiała, co mogą zmienić markizy, jeśli poza nimi nic się nie zmienia.

Samochody zaparkowane były tam, gdzie stały o tej porze każdego ranka.

Ci sami ludzie robili sprawunki w tych samych sklepach.

Ci sami ludzie siedzieli na tych samych drewnianych ławkach.

Ci sami ludzie gapili się na nią, gdy przechodziła.

Jenny nie mogła ich powstrzymać od wlepiania w nią wzroku, ale nie musiała patrzeć, jak się gapią.

Opuszczając głowę tak, aby daszek bejsbolówki zakrywał jej twarz, włożyła ręce do kieszeni i szła dalej.

Nie spodziewała się słów pozdrowienia i żadnych nie usłyszała.

Przed sklepem panny Jane rzuciła sukience spojrzenie pełne oczekiwania i pchnęła drzwi.

Panna Jane była drobną kobietą o potężnym głosie.

Jeśli miała jakieś trudności w rozkładaniu i układaniu wielkich płacht papieru pakowego, jakimi starała się opakować najwyraźniej duże sprawunki Blanche Dunlap, to w pełni nadrabiała te niedociągnięcia głośną gadaniną :Więc pojechała do Concord i kupiła te naczynia po pełnej cenie!

Sukienkę, to mogłabym zrozumieć -powiedziała z naciskiem - ale naczynia?

Naczynia będą pełne gulaszu, krwistych steków, wątróbki, na litość boską, a potem resztek, których będzie mnóstwo, bo ta dziewczyna nie ma przecież pojęcia o gotowaniu.

Martwię się, mówię pani.

- Wtedy właśnie zauważyła Jenny.

Zamarła w bezruchu. A potem kiwnęła głową.

-Mary Beth.

- Dzień dobry - przywitała się Jenny, przybierając, miała taką nadzieję, miły wyraz twarzy.

Trzymała się blisko drzwi, patrząc to na twarze kobiet, to na podłogę, aż obie kobiety wróciły do pakowania sprawunku.

Pośród szelestu papieru Jenny zastanawiała się, co powiedzieć, ale jedyne, co przychodziło jej do głowy, to myśl, że może i lepiej, że większość ludzi w miasteczku nie nazywa jej Jenny.

Tak jest bezpieczniej.

A potem nic już nie musiała mówić, bo zasłona przebiegła rozchyliła się i wyszła zza niej córka Blanche, Maura.

-Mamo, potrzebuję pomocy.

Odwróciła się, mocując się z paskiem na ramieniu.

Należał do nosidełka dla niemowląt, zwisającego krzywo z przodu.

Jenny chodziła z Maurą do szkoły.

Choć nigdy się szczególnie nie przyjaźniły, Jenny uśmiechnęła się do niej.

- Cześć, Maura.

Maura zdziwiona podniosła wzrok.

Potem przeniosła go z Jenny na matkę, a następnie na pannę Jane.

Podchodząc do matki, kręciła paskiem.

- Cześć, Mary Beth. Rany, nie widziałam cię szmat czasu. Jak się masz?

- Dobrze.

Czy to twój dzidzius?

- Uhm.

Dziecko ledwie było widać w nosidełku.

Jenny zrobiła krok do przodu - na więcej się nie odważyła - i wyciągnęła szyję.

Nie dostrzegła wiele.

- Chłopiec czy dziewczynka?

-Chłopiec.

Co się tu stało, mamó?

Coś pękło. Czy moja sukienka już spakowana? Spóźnię się.

Panna Jane szybko zabrała się do roboty, wsadzając owinięte papierem pakunki do torby.

Blanche mocowała się z paskiem od nosidelka.

Maura zakładała czapeczkę na łysą główkę niemowlęcia.

Jenny poczuła bolesną pustkę.

Od tak dawna starannie jej unikano, nerwowo obchodzono ją z daleka, podejrzliwie obserwowano, że powinna się była do tego przyzwyczać.

Nigdy jednak nie straciła nadziei, że coś się kiedyś zmieni.

Nadal marzyła, że któregoś dnia miejscowi powitają ją z taką samą życzliwością, jaką okazywali sobie nawzajem. Marzenie szybko stawało się nierealne.

Darden Clyde wracał.

Potrzebowała pomocy.

Blanche ostentacyjnie poprawiała pasek.

Nosidelko nadal było przekrzywione, ale Maura gorączkowo porządkowała sprzączki, wraz z matką dziękując pannie Jane szybkim uśmiechem i porozumiewawczym spojrzeniem.

Uśmiechy stężały ,gdy natrafiły na Jenny. Ustąpiła, by pozwolić im przejść.

- Jestem strasznie spóźniona - powiedziała Maura.

- Trzymaj się, Mary Beth.

Jenny ledwie miała czas podnieść rękę na pożegnanie, kiedy drzwi się za nimi zamknęły.

Zacisnęła palce i odczekała chwilę, by bolesna pustka minęła.

- W czym mogę ci pomóc, Mary Beth? - spytała uprzejmie panna Jane.

Jenny odwróciła się do sukienki w witrynie.

- Chciałabym ją kupić.

-Co?

Jenny wskazała sukienkę podbródkiem.

- Patrzyłam na nią całe lato.

Chciałabym ją włożyć na tańce dziś wieczór.

- Dziś wieczór?

Tę sukienkę?

Och, moja droga, obawiam się, że to niemożliwe.

Już jest sprzedana.

Jenny pękło serce.

- Dlaczego nadal wisi w witrynie, jeśli jest sprzedana?

-Ta akuratnie jest, ale to chyba nie twój rozmiar.

Tę w twoim rozmiarze już sprzedawałam.

Patrząc na sukienkę od tyłu, Jenny widziała, gdzie przypięto ją do manekina.

Manekin był jednak chudy, a Jenny tylko szczupła.

Może będzie pasować.

- Czy mogę ją przymierzyć?

- Owszem, żeby zobaczyć, czy styl i kolor pasuje, ale byłaby to strata czasu.

Żadną miarą nie uda mi się sprowadzić twojego rozmiaru przed dzisiejszym wieczorem. W ogóle wątpię, czy uda mi się go zdobyć. Sukienka była w kolekcji letniej, a teraz dostaję ubrania jesienne i zimowe. Jenny myślała o potańcówce od tygodni. I tak samo długo wyobrażała sobie siebie w tej sukience. Podeszła do witryny i pomacała materiał. Był tak miękki, jak sądziła.

- Robi pani poprawki krawieckie, prawda?

- Drobne poprawki owszem, ale nie krój.

Ta sukienka będzie dla ciebie śmiesznie za duża, Mary Beth.

- Proszę mi mówić Jenny- odparła cicho, bo coś jej mówiło, że panna Jane będzie nazywać ją Mary Beth do końca życia i nie stanowi żadnego zagrożenia, jeśli chodzi o ojca. -Chciałabym ją jednak przymierzyć.

Jeden rzut oka na trzyskrzydłowe lustro w przymierzalni i Jenny prawie się rozmyśliła, ale miała straszną ochotę na sukienkę. Odwróciła się więc i zrzuciła tenisówki, nie rozwiązując sznurówek. Zdjęła bejsbolówkę i – nadal tyłem do lustra - poprawiła gumkę we włosach.

Starła się zaczesać luźne kosmyki, kiedy panna Jane z kwaśnym wyrazem twarzy przyniosła jej sukienkę.

Jenny wyciągnęła rękę.

Zamiast jednak podać sukienkę albo zawiesić ją na haczyku i odejść,

panna Jane wsadziła do przebieralni głowę, ramiona i biust i czekała.

Jenny nie spodziewała się widowni.

Od ponad sześciu lat, dwóch miesięcy i czternastu dni nikt nie widział jej nagiej.

Wzrok panny Jane był równie nieprzyjemny jak odbicie w lustrze.

Nic jednak nie można było na to poradzić.

Jenny miała przecucie, że panna Jane nie odda sukienki bez walki, więc chciała jej coś udowodnić.

Zrzuciła dzinsy i podkoszulek, a potem schowała się w fałdach sukienki, nie pozwalając niczego dostrzec.

Podczas gdy układała fałdy z przodu, panna Jane zapięła guziki na plecach, obciągnęła rękawy i wyrównała ramiona.

- Cóż - przyznała, wzdychając.

- Nie jest tak duża, jak myślałam, ale i tak nie sędzę, żeby była dla ciebie dobra.

Talia jest za wysoko.

Jenny zerknęła w dół.

- Chyba właśnie tu powinna być.

-To prawda.

Może to problem z rękawami, wydają się niewygodne.

Jenny poruszyła rękami.

- Nie, wszystko w porządku.

Zmartwiona panna Jane potarła ręką podbródek.

Pokręciła głową.

- Dekolt nie wygląda dobrze.

Osobom tak piegowatym jak ty lepiej pasują mniejsze dekolty.

No i kolor sukienki.

Szczerze powiedziawszy, zupełnie nie pasuje do barwy twoich włosów.

- Tak naprawdę - odparła Jenny - nic nie pasuje do moich włosów, ale i tak potrzebna mi jest sukienka na potańcówkę.

-Może jakaś inna będzie lepsza.

Jenny dotknęła fałd, łagodnie spływających od talii, która według panny Jane była zbyt wysoko.

- Ale właśnie ta mi się podoba.

-Wiesz, moja droga, ludzie przychodzą do mnie, bo szanują moją opinię.

Wiedzą, że jeśli przymierzają sukienkę, w której im nie do twarzy, to im

powiem.

Wszyscy w mieście widzieli tę sukienkę u mnie w witrynie.

Będą wiedzieli, gdzie ją kupiłaś.

Pomyślą, że nie zadbałam o ciebie, a to sprawiłoby mi przykrość.

Jenny przebiegła opuszkami palców po linii dekoltu, tak spokojnie spoczywającego na jej piegowatych ramionach.

- Wytłumaczę im.

Powiem, że kupiłam ją wbrew pani opinii.

Powiem, że nalegałam.

- Spójrz w lustro, Mary Beth -rzuciła panna Jane gniewnie.

- To po prostu nie ty.

Jenny wyobraziła sobie, że ma ciemne rajstopy i pantofle.

Wyobraziła sobie, że jest świeżo po kąpieli i słodko pachnie, że ma rozczesane włosy, zaróżowione policzki i przyciemnione rzęsy.

Widząc to wszystko oczyma duszy, gotowa, by zignorować prawdziwe odbicie, odwróciła się do lustra i wolno podniosła oczy.

Wstrzymała oddech z zachwyty.

Sukienka była śliczna.

Akurat dosyć długa, dosyć słodka, dosyć barwna.

Była to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek włożyła, i w dodatku idealnie leżała.

Może panna Jane ma rację, może w tej sukience to nie ona.

Ale osoba, którą widziała w lustrze, była właśnie taka, jaką chciałaby być- a to wystarczyło, biorąc pod uwagę, jakie nadzieje pokładała w tym wieczorze.

Rozdział szósty

Jenny w znakomitym nastroju przemierzała trzy kilometry, dzielące ją od budynku Klubu Weterana, gdzie odbywała się potańcówka.

Nie martwiło jej, że za ciasne zamszowe pantofle - pożyczone od szefowej - uciskają ani że żaden z mijających ją samochodów nie zatrzymał się, by ją podwieźć.

Nie poznali jej – to dlatego, że wygląda tak ładnie.

Rzeczywiście wyglądała ładnie.

Sprawdziła.

Musiała tylko odkleić z lustra nalepkę z pudełka zapalek z przyjęcia zaręczynowego Lisy Pearsall, naklejkę MOONY NA GUBERNATORA z autografem i drukowany jadłospis na przyjęcie z okazji złotych godów Helen i Avery'ego Philppenów, aby odsłonić trochę miejsca na twarz.

Całą sylwetkę obejrzała w tafli matowej szyby w drzwiach wejściowych.

Obraz był ciemny i trochę niewyraźny, ale przyjemny.

Już dawno nie wyglądała tak atrakcyjnie.

Wreszcie zobaczyła budynek klubu.

Blask światła rozpraszał mrok wieczoru, rzucając żółte, świetliste smugi na parking, gdzie śmiechy i głośne powitania mieszały się z trzaskiem zamykanych drzwi samochodów.

Jenny zwolniła, żeby przyjrzeć się strumieniowi miejscowych wspinających się po stopniach i wchodzących do budynku.

Ci, którzy umieli piec, nieśli smakołyki zawinięte w folię.

Jenny również przygotowała cytrynowe ciasteczka, z których słynął Neat Eats, firma cateringowa Miriam.

Ich ciężar w jej rękach był zobowiązaniem.

Oznaczał, że nie może zawrócić z drogi.

Tym razem nie będzie przyglądać się tańcom zza kasztanowca.

Tym razem wejdzie do środka.

Ostrożnie trzymając jedną ręką foliową paczuszkę, pochyliła się, żeby drugą zmieść kurz z pantofelków Miriam. Podnosząc się, zauważyła, że brzeg jej sukienki też się zakurzył. Szybko ją otrzepała. Widząc, że zabrudziła dłoń, wytarła ją o tył sukienki; tam nic nie będzie

widać.

Wzięła głęboki oddech.

Wtem pomyślała o włosach.

Wypuszczając powietrze z płuc, przesunęła dłonią po głowie, żeby sprawdzić, czy nigdzie nie wystają kosmyki, które umknęłyby zarówno piance, jak i francuskiemu warkoczowi.

Wszystko było jednak na miejscu.

Przyklepała włosy po bokach dla pewności i wzięła kolejny głęboki oddech, ale znów przypomniała sobie, żeby przycisnąć opuszki palców do czubka nosa.

Całe szczęście, bo odkryła tam kropelki potu.

Nie była pewna, czy o skutek marszu, czy nerwów, ale starała się zetrzeć, nie rozmazując makijażu.

Nie umalowała się mocno, ale próbowała zamaskować piegi w strategicznych miejscach, szczególnie na nosie.

Duże rude piegi odstraszały mężczyzn.

Przyglądała się twarzom przybywających, szukając obcej, ale wszystkie były znajome.

Z nerwów rozbolał ją żołądek.

Położyła rękę na brzuchu i zmusiła się, by pójść dalej.

Zaledwie parę sekund później dołączyła do ludzi wchodzących po schodach.

Z ulgą stwierdziła, że chyba nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Mogła nawet być jedną z nich, tak swobodnie się zachowywali.

Wszedłszy do budynku, rozejrzała się szybko.

Miriam poradziła jej iść prosto do stołu z napojami, więc pośpiesznie zdjęła folię z ciasteczek i położyła je między innymi deserami.

Następnie odwróciła się w stronę parkietu.

Niewiele tam się działo, więc znów skierowała się ku stołowi, żeby przyjrzeć się smakołykom, bo dziwnie się czuła, stojąc beczynnienie.

Na blacie ustawiono trzy talerze ciasteczek czekoladowych, trzy talerze owsianych, dwa talerze biszkoptów z czekoladą, dwa z masłem orzechowym oraz ciasto marchewkowe, kawałki sernika i pierniczki.

Pośrodku stołu, obok deserów, stały misy z chipsami, dipami i popcornem.

Napoje były na drugim końcu stołu.

- Świetnie to wygląda - powiedziała, kierując swe słowa do kobiet za

stołem, ale kiedy odważyła się rzucić im spojrzenie, wydało się, że żadna jej nie usłyszała.

Patrząc znów na jedzenie, odezwała się głośniej: -Ktokolwiek przygotował stół, zrobił to doskonale.

Miriam i ja tak samo przygotowujemy nasze bufety.

Kiedy tym razem podniosła wzrok, dwie kobiety patrzyły prosto na nią.

Uśmiechnęła się.

- Wygląda znakomicie.

Wydawały się trochę skrępowane.

Nie, nie skrępowane, uznała. Zakłopotane. Postanowiła im pomóc.

- Nazywam się MaryBeth Clyde.

Wiem, że wyglądam inaczej.

To przez sukienkę.

- Następnie ułatwiła im życie, odwracając się.

Orkiestra grała jakiś łatwy, melodyjny utwór, ale ludzie jeszcze nie tańczyli.

Kraźyli po sali - więcej par nóg, niż Jenny mogła zliczyć.

Nogi odziane w dżinsy i w spodnie koloru khaki.

Gołe nogi.

Te nogi, które podobały się Jenny najbardziej, były obleczone w ciemne pończochy, tak jak jej.

Należały do eleganckich kobiet, kobiet z towarzystwa.

To dobrze wróżyło.

- Ale tłum- powiedziała, zwracając się ponownie do pań za stołem.

- Czy mogę jakoś pomóc?

- Nie, dziękuję.

-Wszystko w porządku.

Jenny skinęła głową i przesunęła się pod ścianę, stając w luce między krzesłami.

Był to dobry punkt widokowy i tak go potraktowała.

Ludzie nadal napływali tłumnie.

Przyglądała się ich twarzom, potem znów rzuciła okiem na obecnych już w sali.

Wydawało się, że całe miasto zebrało się, by obchodzić koniec lata.

Pamiętała, że AK samo było wiele, wiele lat temu.

Miała wtedy dwanaście lat i przyszła z rodzicami, ale nie stanowili szczęśliwej rodziny: jej ojciec był wściekły na matkę, że nie kupiła Jenny nowej sukienki, a matka była wściekła na Jenny, że takowej potrzebowała.

Cóż, teraz miała nową sukienkę, w dodatku śliczną.

Uśmiechnięta podniosła oczy na scenę.

Piosenka się skończyła.

Lider zespołu - wielbny George Putty ze Wspólnoty Chrystusowej - zamachał rękami nad głową, a potem trzymał je wysoko, tylko palcami wybijając rytm.

Jenny poderwała się, gdy cymbały i perkusja zaczęły grać fanfary.

Ledwie odetchnęła, a już wielbny Putty zaczął podskakiwać na palcach.

Kiedy parę sekund później orkiestra zaczęła wygrywać szybką, głośną melodię, Jenny uderzyło, jak niepodobna jest do czegokolwiek, co można było usłyszeć w zimnych, kamiennych ścianach kościoła wielbnego Putty'ego.

Tłum bił brawo i kołysał się w rytm muzyki.

Jenny wybijała takt pantoflem.

Przez chwilę klaskała też w rytm muzyki.

Zaplotła ręce na piersi, apotem, przypomniawszy sobie artykuł o mowie ciała w "Cosmopolitan", opuściła je po prostu wzdłuż sylwetki.

Poddając się nastrojowi tłumu, uśmiechała się, kiedy nagle napotkała wzrok Dana O'Keefe'a, który obserwował ją z drugiego końca sali.

Palcami dotknął daszka niewidzialnej czapki.

Pokiwała mu głową w rytm muzyki i znów odwróciła wzrok w poszukiwaniu jakiejś nieznanym twarzy.

Obcy mężczyzna zauważyłby ją i spojrział, jak nikt inny tutaj na nią nie patrzył.

Porozmawiałby z nią.

Zaprosił do tańca.

Na oczach całego miasta.

Ależ byłoby wspaniale.

Objęła spojrzeniem salę, zanim zwróciła wzrok na drzwi.

Miała nadzieję, że przyjdzie.

Owszem, była niecierpliwa, ale to rozumiało.

Potrzebowała odwagi, żeby tu przyjść, wielokrotnie zmieniała zdanie w ciągu ostatnich tygodni, aż pojęła, że nie ma innego wyjścia.

Teraz albo nigdy.

Kiedy jej ojciec wróci do domu, nie będzie już tańców, nie będzie mężczyzn, nie będzie nadziei.

A dziś wyglądała ładnie, naprawdę ładnie.

Nagle wstrzymała oddech.

Ktoś stał w cieniu tuż obok drzwi. Stał tam. Nie spieszył się. może się rozglądał. oceniał sytuację.

Wyprostowała się, zwilżyła wargi i czekała, czekała, czekała, aż wyjdzie z cienia. Wreszcie wyszedł.

Był to jednak tylko Bart Gillis.

Pod pięćdziesiątkę.

Brzuchaty.

Żonaty, piątka dzieci, bezrobotny.

Westchnęła.

Był dopiero wczesny wieczór.

Miała czas.

Minuty płynęły, mieszkańcy Little Falls tańczyli w rytm melodii kolejnych piosenek.

Parkiet zapełniły wirujące pary, młode i stare, tej samej płci, mieszanej, rodzeństwa, rodzice z dziećmi.

Jeśli tancerze byli dobrzy- to świetnie; jeśli niemieli pojęcia, co robią - to też świetnie.

Co się tyczy Jenny, nie wygłupiała się.

Przenosiła ciężar ciała z nogi na nogę, żeby ulżyć ściśniętym palcom, czekając na właściwą muzykę.

Wreszcie się doczekała.

Orkiestra zaintonowała melodię country i tancerze ustawili się w rząd.

Jenny знаła ten taniec.

Ćwiczyła przed telewizorem i radziła sobie nie gorzej niż inni.

Co ważniejsze - nie trzeba było mieć partnera.

Idąc na parkiet, zobaczyła, że tańczący zajmują miejsca koło siebie: przyjaciele koło przyjaciół, kochankowie przy kochankach, przy siostrach i ciotkach.

Nawet nieznośni mali chłopcy popisywali się swoimi umiejętnościami w mieszaniu wirujących łokci i pup.

Ależ pokaz!

Niestety, zanim Jenny przestała się przyglądać i ruszyła, by do nich dołączyć, właściwy moment minął.

Wróciła na swoje miejsce pod ścianą i obiecała sobie, że następnym razem będzie szybsza.

Kiedy orkiestra zagrała Blue Moon, tłum, który do tej pory podskakiwał na parkiecie, podzielił się na pary, sunące romantycznie policzek przy policzku, właśnie tak, jak Jenny wielokrotnie tańczyła w domu, mając za partnera poduszkę i najsłodsze marzenia.

Nie podnosiła wzroku, patrzyła tylko na pantofle i nogi dotykające się intymnie i czuła się coraz bardziej samotnie i dziwnie.

Nagle w jej pole widzenia wdarła się mała, znajoma twarz.

Miała cerę koloru alabastru, upstrzoną jaskrawo rudymi piegami.

Górowała nad nimi czupryna ognistych włosów, a to zawsze ją w tym dziecku pociągało.

Chłopiec darzył ją wzajemną sympatią, jeśli za jej oznakę można uznać rączkę, która wsunęła się w jej dłoń.

Zawsze tak było, kiedy się spotykali.

Byli kumplami.

Nazywał się Joey Battle i choć jego rodzina usilnie temu zaprzeczała, Jenny była przekonana, że w jakiś odległy sposób są spokrewnieni.

Znała tylko dwie osoby o takiej samej karnacji jak ona: swoją matkę i Joeya.

Gdyby chłopiec był starszy, Jenny mogłaby sądzić, że jest jej biologicznym bratem, zaadoptowanym przy urodzeniu.

Joey miał jednak zaledwie pięć lat, co znaczyło, że urodził się dwa lata po śmierci jej matki.

Ściskając ją mocno za rękę, chłopczyk wślizgnął się w wąską przerwę między nią a krzesłem.

Uklękła koło niego.

- Hej, Joey, co nowego?- spytała.

- Mama mnie szuka - szepnął.

-Coś nie tak?

- Mówi, że mogę zostać tylko do dziewiątej.

Ale nikt inny nie wychodzi.

Nie rozumiem, dlaczego ja pierwszy muszę iść do łóżka.

"Bo twoja mama ma chrapkę na brata twojego taty" – pomyślała Jenny.

Słyszała plotki.

Trudno ich było nie słyszeć, stojąc przy kasie w każdym sklepie w mieście.

Nie żeby ją to zdziwiło.

Chodziła z Seleną Battle do szkoły.

Widziała ją w akcji.

Selena miała trójkę dzieci z trzema facetami i najwyraźniej pracowała nad czwartym.

Nie zamierzała pozwolić, by Joey wszedł jej w drogę.

- Może twoja mama uważa, że potrzebujesz snu, bo niedługo pójdziesz do przedszkola.

-Ale to dopiero za trzy dni, więc dlaczego teraz muszę iść spać?

- Joey Battle, gdzieś ty się podziewał?

- Selena zauważyła jego koszulkę i wyciągnęła synka z kryjówki.

Rzuciła Jenny nerwowe spojrzenie.

- Hej, Mary Beth, zawracał ci głowę?

-Nad uchem Joeya syknęła zaś:- Co ty wyrabiasz?

Ma co innego do roboty, niż cię niańczyć.

- On nie przeszkadza.

- zaczęła Jenny, ale Selena już odciągała Joeya: duży zegar nad estradą wskazywał dziewiątą.

Jenny zerknęła na niego; starała się nie martwić.

Już od pewnego czasu nie napływali nowi goście, choć - jak przypuszczała -to nic nie znaczyło.

Spóźniał się, to wszystko.

Przypuszczała, że zatrzymała go praca albo korek na autostradzie.

Wyobraziła sobie, że może w ostatnim momencie odkrył, że nie ma czystej koszuli - i oczyma duszy widziała, jak miota się od pralki do suszarki, a potem prasuje albo przynajmniej się stara, bo nigdy mu to nie szło.

Nie, naprawdę potrzebował kogoś takiego jak Jenny do prasowania koszul.

Była ekspertem w tej dziedzinie.

Przewidując, że jeszcze chwilę go nie będzie, Jenny dała sobie spokój z uśmiechem i pozwoliła odpocząć mięśniom twarzy.

Wokół niej ludzie robili to samo ze stopami.

Anita Silva opadła na krzesło po prawej i zwróciła się w drugą stronę, by zamienić słowo z Bethany Carr.

Po lewej Johnny Watts rozmawiał ze swoją żoną, więc Jenny widziała tylko jego szerokie barki i plecy.

Oparła się o ścianę.

Zsuwała na przemian lewy i prawy pantofel i starała się, jak mogła ,wyglądać na zmęczoną po tańcu i wdzięczną za przerwę -jak wszyscy inni.

- Panie proszą panów! - krzyknął wielebny Putty, a panie w całej sali zabrały swoich partnerów i zawiodły ich na parkiet.

"Wybierz kogoś" - powiedziała sobie Jenny, szybko rozglądając się po sali.

"Kogokolwiek" - powtórzyła, ale za skarby świata nie widziała nikogo, z kim chciałaby tańczyć, zwłaszcza kogoś w swoim zasięgu, a już z pewnością nikogo, kto by się zgodził, gdyby go poprosiła.

Po minucie głupio jej się zrobiło, że w ogóle szuka.

Dotknęła więc gardła, pokazując, że ma pragnienie, i prześlizgnęła się wzdłuż parkietu tanecznego w stronę stołu z napojami. Stała tam długa kolejka.

Za każdym razem, kiedy przychodziła jej kolej, ktoś spragniony wypychał się przed nią ,ale nie warto było się kłócić.

Kiedy wreszcie dostała swój sok jabłkowy, wycofała się do nowej kryjówki po przeciwnej stronie sali.

Piła powoli z kubeczka.

Na przemian wybijała rytm stopą, wystukiwała go dłonią na biodrze i kiwała głową w takt muzyki.

Ledwo skończyła sok, tancerze zaczęli formować szeregi do "elektrycznego ślizgu".

Szybko, żeby się nie rozmyślić, Jenny przeszła przez salę i zajęła miejsce na parkiecie.

Serce biło jej mocno, bo "elektryczny ślizg" to był jej taniec.

Jej ciało znało ruchy na pamięć.

Nie musiała się nad nimi zastanawiać.

Zanim miała czas zauważyć ,kto na nią patrzy, a kto nie patrzy lub jak nie ufnie patrzy, przemierzała parkiet w rytm z pozostałymi.

Po raz pierwszy od wielu dni odprężyła się, jej ciało poddało się

muzyce.

Ramiona, nogi, biodra - wszystko swobodnie poruszało się w tańcu i jaka to była zabawa!

Nie myślała ani o włosach, ani o piegach, ani o swoim ojcu.

Rzucała uśmiechy wielebnemu Putty'emu i ludziom obok.

Niezwykłe było, że odpowiadali na jej uśmiech.

W tym momencie stała się taka, jaka nigdy nie była w Little Falls: ładna, szczęśliwa, jedna z tłumu.

Tańczyła, aż przebrzmiała ostatnia nuta, a potem biła brawo wraz z innymi.

Rząd tancerzy zbyt szybko rozpadł się na małe grupki i rozszedł.

Nie chcąc, by chwila minęła, Jenny wzniosła ręce nad głowę i zaczęła bić brawo.

Jednak tym razem jej oklaski były samotne.

Pozostali już się rozeszli.

Czując rumieniec na policzkach, Jenny ruszyła do drzwi.

Gdy tylko wyszła na taras, uderzyła ją fala orzeźwiającego, chłodnego powietrza.

Wachlując się ręką, zastanawiała się, co robić dalej.

W końcu znalazła wolne miejsce i siadła na starej drewnianej poręczy.

- Cześć, Mary Beth.

Rozejrzała się.

W pobliżu stał Dudley Wright III.

Był wysoki, smukły i nadal wyglądał na nastolatka, choć uznała, że musi mieć co najmniej dwadzieścia sześć lat, jako że był dwie klasy wyżej w szkole.

W każdym razie nie był mężczyzną z jej snów.

Był natomiast reporterem lokalnej tygodniówki, założonej przez jego dziadka i obecnie prowadzonej przez jego ojca.

Wszyscy wiedzieli, że Dudley Wright III chce zostać redaktorem naczelnym przed ukończeniem trzydziestego roku życia, ale doczeka się tego, tylko jeśli wykaże się uporem, wyobraźnią i talentem, co jego dziadek, Dudley senior - który, choć na emeryturze, nadal o wszystkim decydował - uważał za konieczne, by mógł kontynuować rodzinną tradycję.

Jenny czasami zastanawiała się nad tym, pod jaką presją musi żyć biedny Dudley. Nie teraz jednak. Jako że Wrightowie zbliżali się do

Clyde'ów tylko z jednego, jedyne go powodu, była ostrożna. Podeszła bliżej.

- Widziałem, jak tańczysz. Wydawałaś się szczęśliwa. Z powodu tańca czy dlatego, że Darden wychodzi na wolność? Jenny potarła kark i napotkała luźne kosmyki. Wetknęła je z powrotem w warkocz.

- Strasznie tam gorąco.

-To już we wtorek, tak?

Nie chciała o tym myśleć. Nie tego wieczora.

- Jak się z tym czujesz? Ile to pięć lat?

"Dudley wie, że to sześć lat - pomyślała - nie pięć".

Przypuszczała, że rozmawiał o tym ze swoim ojcem.

Jego ojciec śledził sprawę od aresztowania do procesu i wyroku.

Sądziła więc, że teraz uznali, że nadeszła kolej Dudleya Wrighta III.

Wypatrywała w mroku kasztanowca, gdy go dostrzegła, pożałowała, że nie stoi teraz koło niego.

- Wypuścili go przed terminem - zauważył Dudley.

-Wypuszczają wcześniej za dobre sprawowanie.

- Jednak. Chociaż miał wyrok za morderstwo.

- Nieumyślne zabójstwo - poprawiła.

-Zastanawiam się, jakie to uczucie wiedzieć, że pozbawiło się kogoś życia.

- Możesz go zapytać - powiedziała, choć dobrze wiedziała, że gdyby Dudley Wright III przyszedł do domu, Darden zatrzaskałby mu drzwi przed nosem.

Darden był odludkiem.

Twierdził, że więzienie stanowiło ulgę po nagonce prasowej.

- To co zrobi po powrocie? - zapytał Dudley. - Chyba musi znaleźć pracę, nie? Czy nie takie są warunki przedterminowego zwolnienia?

- Ma firmę przewozową.

-Miał. - Dudley przypomniał jej uczynnie.

-Po tylu latach wszystkie kontakty się pourywały, nie mówiąc już o tym, co się stało z ciężarówką. Jeszcze jeździ?

Jenny nie miała ochoty o tym mówić. Naprawdę nie miała. Wyobraziła sobie, że jest pod swoim drzewem, opiera się o pień w mroku nocy i rozmawia z kimś, komu na niej zależy.

Mężczyzna, na którego czekała, miał więcej ciepła w małym palcu niż Dudley Wright III w całym swoim żyłastym ciele.

- Muszę cię ostrzec - powiedział, jakby oddawał jej przysługę. - Ludzie się martwią.

Nie są pewni, czy chcą mieć w miasteczku byłego skazańca.

Nie boisz się, że nie znajdzie sobie miejsca?

- Nigdy nie znalazł - odparła z roztargnieniem.

Mogłaby przysiąc, że zauważyła ruch pod drzewem.

Ktoś tam był.

- Być niezależnym to jedno - zaproponował Dudley - a odizolowanym, to drugie. Jak sobie z tym poradzi twój ojciec? Czy przemyślał to sobie?

Z parkingu wyjechał samochód.

Reflektory omiotły mężczyznę stojącego pod kasztanowcem, obserwującego otoczenie. Miejscowy odpoczywający po tańcu? Jenny uznała, że nie.

Żaden z miejscowych nie był tak wysoki.

Żaden nie nosił skórzanej kurtki i butów tak błyszczących, że odbijały światła reflektorów.

Żaden nie miał kasku motocyklowego.

- Czy zastanawiał się, co to znaczy wrócić do miasteczka, w którym wszyscy wiedzą, gdzie przebywał i dlaczego? - zapytał Dudley.

Jenny ledwie mogła usiedzieć z podniecenia.

Nie mogła się zdecydować, czy zostać na miejscu i pozwolić obcemu się do niej zbliżyć, czy też raczej podejść do niego, ale Dudley nie dawał za wygraną.

- Mary Beth?

-Tak?

- Spytałem, czy Darden zdaje sobie sprawę z trudności powrotu na miejsce zbrodni.

-Co? - Zmarszczyła brwi.

- Niektórzy sądzą, że powinien się wyprowadzić, zacząć odnowa gdzie indziej.

Jenny też tak uważała, ale wiedziała, że tak się nie stanie.

Darden jasno wypowiedział się na ten temat, kiedy ostatnio go odwiedziła.

Powiedział, że Little Falls to jego dom.

Ma prawo wrócić, mówił, i nie obchodzi go, czy mieszkańcom się to podoba, czy nie.

Powiedział, że dla odmiany będą musieli poradzić sobie z czymś, co im się nie podoba.

- Wiele złego mu się tu przydarzyło kontynuował Dudley. - Może nie powinien wracać.

- Czy ludzie tak mówią?

-Niektórzy. A prawdę mówiąc, wielu.

- Ty też?

-Jestem dziennikarzem. Nie zajmuję stanowiska.

Jenny uznała, że Dudley jest tchórzem.

Pomyślała, że nie jest wart jej czasu ani sekundy dłużej, i odwróciła się ku swemu drzewu.

Jednak przeczucie obecności motocyklisty, które pojawiło się wcześniej, teraz zniknęło.

Ośloniła dłońmi oczy, żeby nie raziło jej światło i mogła lepiej widzieć. Mimo to nie zdołała go dostrzec.

To wszystko wina Dudleya.

Nieznajomy zobaczył ją z Dudleyem i uznał, że ma chłopaka.

- Boisz się Dardena? - spytał Dudley.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Dlaczego miałabym się go bać? Dlaczego mnie o to pytasz?

Czego ty ode mnie chcesz?

- Wywiadu.

Ludzie chcą wiedzieć, co czujesz, kiedy czekasz na Dardena, który wychodzi z więzienia i wraca do miasta.

Chcą wiedzieć, co ma zamiar robić.

Chcą wiedzieć, co ty zamierzasz zrobić, kiedy wróci.

Są ciekawi, niepokoją się, a ty jedyna możesz im to wyjaśnić.

To największe wydarzenie w okolicy, od czasu gdy kuzyn Merle'a ożenił się ze striptizerką.

To materiał na pierwszą stronę.

Jenny stanowczo pokręciła głową.

Ciekawość miejscowych nie była jej problemem. Ich zmartwienia też nie.

Miała dość własnych kłopotów.

Wywiad na pierwszej stronie?

Boże drogi, toż to ostatnia rzecz, której by sobie życzyła.
Darden by ją zabił.

- Idź, proszę - powiedziała, bo oświeciło ją, że może nie jest za późno.

Może mężczyzna pod kasztanowcem wycofał się do lasu.

Jeśli zobaczy, że Dudley się oddała, znów się pokaże.

- Możesz pozwolić im zrozumieć, jak to jest nalegał Dudley.

- Nikt nie może zrozumieć - warknęła, choć wiedziała, że przekonywanie go to strata czasu.

Nic, co Dudley Wright III mógł powiedzieć, zrobić albo napisać, nie mogło wpłynąć na jej życie.

Zsunęła się z poręczy.

- Chcesz powiedzieć, że sytuacja jest bardzo trudna? - spytał.
Odwróciła się i zaczęła schodzić z tarasu.

- Zapłacę ci, MaryBeth.

Nie wiedziała, czy splunąć mu w twarz, czy modlić się, żeby ziemia się otworzyła i pochłonęła ją.

Wpatrywali się w nią wszyscy zgromadzeni na przestronnym tarasie.

- Czy nie sądzisz, że jesteś to winna miastu?

Trzymając głowę wysoko, z zaciśniętymi zębami obeszła taras i zbiegła po schodach.

Nikt nie odważył się odezwać.

Skierowała kroki prosto ku drzewu.

Jego druga strona była przyjazna i mroczna.

Oparła się o pień, aż gniew zelżał, a potem stała jeszcze chwilę, bo czuła się też zażenowana.

Nie powinna była uciec, nie na oczach wszystkich.

To tylko utrudniało powrót.

Musiała jednak.

Przed przybyciem Dardena nie będzie już takiego wieczoru jak ten. To była jej ostatnia szansa. Musiała wrócić na salę. Oderwała się od pnia i spojrzała na taras.

Muzyka zmieniała się kilkakrotnie, więc obecny tłum różnił się od tego, który był świadkiem jej ucieczki. Dudleya nie było widać.

Wargi ściągnięte. Ręka na włosach. Opuszki palców na piegach. Wilgotne dłonie poprawiające sukienkę. Zacerpnęła powietrza, pomyślała o swych marzeniach i wróciła na salę.

Minęły dwie godziny.

Jenny obserwowała przebieg wieczoru z lewej strony sali, z prawej strony, od stołu z napojami, ze stopni koło estrady.

Uśmiechała się.

Kiwała głową w rytm muzyki.

Starła się wyglądać zachęcająco.

Tylko Dan O'Keefe obrzucił ją uważnym wzrokiem, tylko Miriam przemówiła do niej, zadyszana, mijając ją w tańcu.

- Jak twoje stopy? - zapytała ją za pierwszym razem.

-Dlaczego nie tańczysz? - po kolejnym okrążeniu. -Widzimy się jutro o dziesiątej, tak? - padło ostatnim razem.

Odpłynęła, zanim Jenny miała czas odpowiedzieć.

Im bliżej było do końca wieczoru, tym częściej orkiestra grała utwory w wolnym tempie.

W miarę jak opuszczały salę kolejne rodziny, grupy przyjaciół czy pary, strach Jenny narastał.

To miała być jej noc.

Nie zostało już wiele czasu.

Wytrwała do ostatniej piosenki, aż sam wielbny Putty nagroził oklaskami orkiestrę.

- Dziękuję, dobranoc, niech was Bóg błogosławi.

Odczekała, aż ostatni tancerze opuszczą salę, aż komitet organizacyjny zbierze śmieci do toreb, przetrze stoły i złoży krzesła. Dopiero wtedy wyszła.

Taras był pusty.

Na parkingu zobaczyła zaledwie kilka samochodów.

Zeszła po schodach i chwilę postąła na podjeździe, uparcie wpatrując się w kasztanowiec.

Potem ruszyła w drogę.

Noc była bezksiężycowa i czarna jak smoła.

Mgła zaplatała się w korony drzew, podobna do kurtyny, gotowej opaść i zakończyć przedstawienie.

"No już, pospiesz się!" – strofowała się Jenny.

W drodze do domu przekonywała samą siebie, że dzisiejsza porażka to nie koniec świata.

Serce jednak nie chciało w to uwierzyć, było ciężkie niczym ołów.

Tyle z nowej sukienki.

Tyle z makijażu i pianki.

Tyle z pożyczonych od Miriam pantofelków i cierpienia ściśniętych palców.

Zatrzymała się, by je zdjąć, i szła dalej tylko w rajstopach.

Wolność była tak cudownym uczuciem, że parę chwil później znów zatrzymała się, by zdjąć rajstopy.

Wyrzuciła je do lasu i szła dalej.

Zaraz potem rozplotła francuski warkocz.

Jej krok stał się długi i pewny.

Ukoła stopy, idąc przez chwilę po zimnej trawie, potem zeszła na środek drogi i tam już została.

Nie miała nic do stracenia, nic a nic.

Z tyłu nadjechał samochód i zatrąbił.

Jenny niespiesznie i tylko trochę zboczyła.

Samochód minął ją, zjeżdżając niemal na pobocze, a kierowca obrzucił dziewczynę stekiem wyzwisk.

Chwilę później wóz pochłonięła gęstniejąca mgła.

Dan O'Keefe nie użył klaksonu i nie wykrzyknął żadnego przekleństwa.

Zahamował przed nią i poczekał, aż się z nim zrówna.

- Wsiadaj.

Jenny zauważyła, w jaki sposób światła dżipa przecinały mgłę, i pomyślała o mieczu świetlnym Luke'a Skywalkera.

- Dobrze mi tak iść.

-Mgła niesie ochłodzenie.

Przeziębisz się i będziesz się musiała tłumaczyć Dardenowi.

Daj spokój, Jenny, podwożę cię do domu.

Jenny nie miała jednak ochoty tak szybko wracać.

W domu z całą mocą dopadnie ją rozczarowanie dzisiejszym wieczorem.

Nie była na to gotowa.

- Jesteś pewna? - zapytał zastępca szeryfa.

- Tak.

Westchnął, potarł bark, poczekał.

Nie ruszała się.

- Cóż, zaproponowałem - powiedział wobec tego.

Wrzucił bieg i odjechał.

Jenny patrzyła, jak tylne światła samochodu giną we mgle. Wtedy siadła pośrodku drogi i rzuciła wyzwanie kolejnemu samochodowi.

Żaden nie nadjechał.

Mając na sobie tylko cienką sukienkę, rzeczywiście poczuła wilgoć i chłód.

Wstała więc, znalazła pasmo miększego, cieplejszego piachu na poboczu i ruszyła w drogę.

Nie uszła daleko, kiedy z mgły za nią wynurzył się motocykl i minął Jenny, żeby zaraz szybko zahamować i zwolnić.

Zatrzymał się na skraju drogi, oświetlając teren pełen strzępków mgły.

Kierowca oparł nogę w wysokim bucie na asfalcie i obejrzał się.

Po chwili zdjął kask.

Jenny z trudem złapała oddech.

Rozdział siódmy

BOSTON

"Jenny z trudem złapała oddech".

Casey powtórnie przeczytała te słowa, a potem chwyciła kopertę i wsunęła rękę do środka, szukając dalszego ciągu tekstu.

Nic nie wymacała, zajrzała więc do niej, ale nic tam już nie było - żadnej wizytówki, żadnej notatki, która mogłaby jej podpowiedzieć, czym jest przeczytana właśnie historia i dlaczego się tu znalazła.

Jedynie litera "C" na kopercie, która mogła oznaczać C jak Casey, C jak Cornelius albo C jak kiepska ocena.

Casey dałaby tekstowi najwyższą ocenę.

Być może stylowi brakowało wyrafinowania, ale wynagradzała to treść. Niewątpliwie opowiadanie ją wciągnęło.

Koniecznym chciała się dowiedzieć, czy facet na motocyklu jest zły, czy dobry, czy zabierze Jenny przed powrotem jej ojca, a jeśli nie, to co się z nią stanie.

To z kolei wywołało wiele pytań na temat Jenny i jej ojca.

Casey terapeutka wyczuwała rozpacz dziewczyny; ciekawa była, czy Connie też to dostrzegł.

Ta myśl zapoczątkowała całkiem inny ciąg wątpliwości.

Zupełnie nie zależnie od samej historii, Casey chciała wiedzieć, kto to napisał, co robiły te kartki w biurku Conniego, skoro wszystkie inne rzeczy usunięto, i czy zostawiono je specjalnie dla niej.

Nie znała odpowiedzi.

Natrafiała na mur.

Zirytowana, odsunęła się z fotelem i wyciągnęła środkową szufladę na całą długość.

Nic nie znalazła, żadnych pozostawionych kartek czy na wpół zapisanych notatników.

Szuflada zawierała jedynie długopisy i ołówki na tacce oraz tę brązową kopertę.

"C" oznaczało Casey.

Czuła to.

A może po prostu chciała to czuć.

Odsunęła tę myśl i zaczęła szukać dalszego ciągu opowieści. Obmacała tył wszystkich szuflad, by sprawdzić, czy za pierwszym

razem czegoś nie przegapiła.

Nic nie znalazłszy, okręciła się z fotelem i systematycznie przeszukała szafki wbudowane w dół regałów.

Gdy przyjaciele przywieźli jej papiery, po prostu założyła, że szuflady tych szafek są puste, i wrzuciła do nich swoje rzeczy.

Teraz wyciągnęła każdą po kolei, przejrzała wszystko, co się w nich znajdowało.

Niczego nie znalazła, zajrzała więc do szafek, których nie ruszali.

Puste.

Wstała i dokładnie przyjrzała się regałom, szukając koperty wystającej zza książek lub spomiędzy nich.

Coraz bardziej zdenerwowana, przeszukała inne miejsca w gabinecie, gdzie mógł zostać ukryty dziennik.

Przechodząc, rzuciła okiem na ogród.

Wypełniał go teraz ranny brzask, a złotawa poświata na zieleni zapowiadała, że czekają kolejny ciepły czerwcowy dzień.

Chcąc się stać jego częścią, otworzyła drzwi na zewnątrz i natychmiast przyciągnął ją zapach drzew.

Właśnie zamierzała odsunąć siatkowe drzwi, gdy zauważyła ruch w głębi ogrodu.

Otworzyła się furtka.

Do środka wślizgnął się jakiś mężczyzna.

Był wysoki, jego ramiona zaś wydały się Casey absurdalnie szerokie -dopóki nie zdała sobie sprawy, że coś na nich niesie.

Gdy doszedł do szopy, dostrzegła, że dźwiga płaskie pojemniki z sadzonkami.

Ogrodnik.

Casey nawet nie drgnęła.

Przykłęknąwszy przy szopie, mężczyzna zsunął pojemniki z sadzonkami na ziemię.

Wstał, rozwinął wąż ogrodowy, przyczepiony z boku szopy, i podłączył do zraszacza.

Gdy na kwiaty zaczął padać drobny deszczyk, wyszedł przez furtkę na zewnątrz.

Mogła dostrzec, że wyciąga coś przez otwartą klapę zakurzonego dżipa. Pojawił się ponownie, niosąc dwa worki z ziemią na ramieniu i jeden

pod pachą.

Ułożył wszystkie przy szopie i wszedł do środka.

Ogrodnik.

"Fantastyczny ogrodnik" - poprawiła się w myślach Casey, gdy mężczyzna znów się pojawił, niosąc narzędzia.

Był naprawdę fantastyczny.

Miał ciemne włosy, szerokie ramiona- nawet gdy nie dźwigał na nich pojemników z sadzonkami - tors zwężający się ku biodrom i długie nogi.

Był w czarnym podkoszulku z rozerwanym rękawem, dzinsach spłowiałych w strategicznych miejscach, a w innych zabrudzonych, i wysokich roboczych butach, częściowo tylko zasznurowanych.

Nagie przedramiona miał muskularne, dłonie silne.

Musiał być chyba parę lat starszy od Casey.

"Wyjdź i przedstaw się- pomyślała Casey.- Jesteś nową panią na włościach, a on należy do personelu".

A jednak się nie ruszyła - a w każdym razie tak sądziła -coś jednak musiało dać mu znać, że nie jest sam.

Unióśł głowę i spojrzał na nią szeroko rozstawionymi oczyma, początkowo zaniepokojony, potem przez chwilę zaskoczony.

Miała czas, by zauważyć cień zarostu, zanim skinął jej głową i wrócił do pracy.

Casey nigdy niebyła zbyt nieśmiała w kontaktach z mężczyznami.

Odsunęła siatkowe drzwi i beztrasko ruszyła ścieżką przez ogród - najpierw przez pierwszy taras, w górę na drugi i dopiero w połowie drogi zastanowiła się, czy mądrze postępuje.

Bosa, mając na sobie tylko szlafrok, wyglądała, jakby dopiero co wstała z łóżka.

Nie był to najlepszy sposób na zawarcie znajomości z dość podejrzanie wyglądającym osobnikiem, który był jej pracownikiem.

Nie mogła jednak zawrócić.

Patrzył na nią.

A poza tym uwielbiała podejrzanie wyglądających osobników.

- Cześć- powiedziała, wchodząc na trzeci, ostatni taras.

- Jestem Casey Ellis.

A ty zapewne jesteś Jordanem.

Z bliska wyglądał jeszcze bardziej interesująco.

Miał ciemno brązowe oczy i włosy tego samego koloru, dość krótkie, by odsłaniały płaskie uszy, ale tak długie i rozwichrzone, jakby i on dopiero co wstał z łóżka.

Skóra wokół zarostu zaczynała zdradzać ślady opalenizny, była bowiem czerwono-brązowa na nosie i policzkach.

W kącikach oczu rysowała się siateczka zmarszczek.

Te zmarszczki sprawiły, że zmieniła zdanie na temat jego wieku. Ona miała trzydzieści cztery lata, on zaś około czterdziestki, i nie tylko z powodu zmarszczek.

Te brązowe oczy znały życie.

Były zaskakująco przejrzyste i głębokie.

Nie odrywał od niej spojrzenia, a Casey miała wrażenie, jakby jej dotykał.

- Jestem córką doktora Ungera - oznajmiła.

Kiwnął głową.

- Odziedziczyłam ten dom.

- Tak, adwokat mi mówił – odezwał się głębokim głosem.

- Nie spodziewałem się takiego podobieństwa.

- Naprawdę je widzisz?

Znow kiwnął głową.

Przez chwilę przyglądał się jej twarzy, potem powiódł spojrzeniem wzdłuż niebieskiego szlafroka aż do bosych stóp.

- Nie wiedziałem, że się wprowadziłaś.

- Nie wprowadziłam się.

Po prostu zasnąłam tu wczoraj wieczorem i nie chciało mi się już wracać do domu.

Muszę tam zaraz pojechać, przebrać się.

O jedenastej jestem umówiona z klientem.

- Spojrzała na kwiaty, które zamierzał zasadzić.

Część była różowa, część fioletowa, kilka białych.

Wszystkie były małe.

- Czy to begonie?

- Niecierpki.

- Wyglądają na trochę.

- Słabe?

Zmieniają się w ciągu paru tygodni.

Niecierpki szybko rosną.

- Aha.

To ci zdradziło, ile wiem o roślinach.

Jak się nazywają te przed domem?

- Goździki brodate w skrzynkach.

Barwinek na ziemi.

A drzewo to dereń.

Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak typowała.

- Nieźle.

Trafiłam dwa na trzy.

A niecierpków po prostu nie znam.

- Więc wszystko ci jedno, gdzie je posadzę? Wszystko jedno?

Mógł je posadzić nawet w zlewie kuchennym, byleby tylko mogła patrzeć.

- Posadź je tam, gdzie będą najlepiej rosły.

Wskazał szpadlem środkowy taras.

- Niecierpki lubią cień.

Zazwyczaj wsadzaliśmy je tam, przy drzewach.

- My?

-Doktor Unger i ja.

- Czy on się zajmował ogrodem?

- spytała i zdając sobie sprawę, jak dziwnie musiało zabrzmieć to pytanie, dodała wyjaśniająco: - Nie znałam go. -I dorzuciła nonszalancko: -Jestem owocem jednej nocy.

Ogrodnik nie spuszczał z niej oczu, a jego spojrzenie było bardzo męskie i pełne zrozumienia.

- To niema znaczenia -dodała pośpiesznie -ale kładzie kres dalszym pytaniom.

Mam jednak kilka do ciebie.

Jak często przychodzisz?

Nawet nie mrugnął.

Być może lekko drgnął mu kącik ust.

Zanim zdążyła zareagować, zanim udało jej się znaleźć właściwe słowa, nie mówiąc już o tym, co wyczytała w jego oczach, odpowiedział spokojnie:

- W poniedziałki, środy i piątki.

Skinęła głową i trudem wykrztusiła kolejne pytanie.

- Zawsze o tej porze?
- Albo wcześniej, albo późno.

Wiedziała już, co znaczy wcześniej.

- Co znaczy późno?
- O piątej czy szóstej wieczorem.

Najlepiej podlewać kwiaty, gdy nie pada już na nie południowe słońce. Gdy coś sadzę, jak dzisiaj, potrzebuję trzech godzin. Gdy już z tym skończę, dwie godziny wystarczą. W zimie przychodzę tylko na godzinę dwa razy w tygodniu.

- A co tu jest do roboty w zimie?
- Niewiele – odparł - ale rośliny w domu też wymagają opieki. Znów skinęła głową i się uśmiechnęła.

Odruchowo przytrzymała dłoń szlafrok przy szyi.

- Wszystkie są piękne.

Doktor Unger chyba lubił rośliny.

- Tak.
- Stoją we wszystkich pokojach.
- Z wyjątkiem gabinetu.

Nie chciał ryzykować, że pojawię się tam, podczas gdy on będzie przyjmował klienta.

Casey też by to nie odpowiadało.

Nie byłaby w stanie się skoncentrować.

- Powiedz mi więc, kiedy nie powinienem wchodzić do domu - dodał Jordan.

- Och, to nie problem. Mogę się dostosować do twoich godzin.
- Więc nie przyjmujesz tu klientów?
- Przyjmuję. - Przerwała.

Najwyraźniej wiedział o niej więcej, nie tylko to, że odziedziczyła po Conniem dom. - Czy to adwokat ci powiedział, że jestem terapeutką? Ogrodnik nie odwracał wzroku.

- Nie. Twój ojciec kiedyś o tym wspomniał.
- Naprawdę? - To było interesujące.

- Czy mówił coś jeszcze?

- Nie.

A powinien był?

Uśmiechnęła się.

- Nie, oczywiście, że nie. - Nie powiedziała nic więcej na temat

Conniego.

Włączanie ogrodnika w osobiste sprawy byłoby niewłaściwe. Co prawda nie robił wrażenia ogrodnika, z tym spojrzeniem, które mówiło, że zna życie, i sposobem mówienia, nieprzypominającym miejscowych robotników.

Choć widać było, że pracuje fizycznie, różnił się od najemnych pracowników, których matka zatrudniała do prac polowych. Zakołysała się na piętach i ruchem głowy wskazała dywan zielonych liści pod kasztanowcem.

- Co to za roślina?

-Runianka japońska.

- A ta, która się pnie po szopie?

-Clematis. Za jakieś dwa tygodnie będzie kwitł.

Kwiaty są różowe.

- Aha. - Przeniosła wzrok na krzewy koło choiny. -A te?

- Te rozłożyste to jałowce. Wysokie to cisy.

Patrząc na niższy taras, dostrzegła ładne białe kwiatki wśród zielonych liści pod dębem.

- A tamte?

-Trójlist.

Roślina kłączowa, kwitnie na wiosnę.

Dobrze się czuje pod drzewami liściastymi.

Zacisnęła wargi, skinęła głową i spojrzała w stronę domu.

Po chwili popatrzyła ponownie na Jordana, który wciąż -niepokojąco – wpatrywał się w nią.

- Czy wiesz, która godzina?

Spojrzał na zegarek.

Był to sportowy zegarek na znoszonym czarnym pasku.

- Siódma trzydzieści pięć.

Zaimponował jej.

Zdażył już zabrać pojemniki z sadzonkami niecierpków i pewnie wiele innych rzeczy dla klientów i dotrzeć do pracy.

- Wcześniej wstajesz.

-Nic nie trzyma mnie w łóżku. - Przez chwilę jeszcze wytrzymał jej spojrzenie, po czym zajął się niecierpkami.

Uznając rozmowę za zakończoną, Casey oddaliła się ścieżką. Kamienie pod jej stopami wydawały się chłodne.

Im była bliżej domu, tym szybciej szła, a ostatnie kilka kroków wręcz przebiegła.

Wszedłszy do gabinetu, zamknęła za sobą siatkowe drzwi.

Nie obejrzała się na ogrodnika.

Przecięła pokój, zamierzając wejść na górę, napić się jeszcze kawy i ubrać, ale przy drzwiach zawróciła.

Jeśli ogrodnik miał swobodę poruszania się po domu - a była to skądinąd podniecająca myśl - powinna zachować nieco ostrożności.

Zebrała strony dziennika, spięła je i zamierzała wsunąć znów do koperty, gdy coś ją zatrzymało.

Wyciągnęła ponownie kartki i rozłożyła na biurku, tym razem drukiem do dołu, by znaleźć to coś, o co zahaczyła wzrokiem.

Na odwrocie ostatniej kartki zobaczyła pismo Conniego - ołówkiem, tak blade, że łatwo było je przeoczyć.

Zapis był krótki, lecz treściwy: "Należy do rodziny. Jak jej pomóc?".

To wszystko zmieniało.

Jeśli Jenny "należy do rodziny", wszystko jedno, czy "C" oznacza Conniego, czy Casey.

Każdy, kto jest członkiem rodziny Conniego, wchodzi też do rodziny Casey. To zmieniało wszystko.

Odsunąwszy się od biurka, znów przyjrzała się wypełnionym książkami regałom.

Dziennik musiał mieć ciąg dalszy. Po prostu musiał. Tylko gdzie się znajduje?

Przeszukała półkę po półce, książkę po książce, ale nie znalazła nic, co by choć trochę przypominało kopertę, taką jak ta leżąca na biurku.

Meg tu odkurzała, ale nawet gdyby coś leżało, niewątpliwie zostawiłaby to na miejscu.

Casey nie sądziła, by Meg odważyła się wyrzucać jakieś papiery.

Równie dokładnie przejrzała boczne regały. Nic nie znalazłszy, przeszła do pokoju w suterenie. Tu także były regały. Znów stawała przed każdym, coraz wyżej podnosząc wzrok, wodząc nim po półkach. Zdając sobie sprawę, że powinna przesunąć książki, część wyjąć i sprawdzić za nimi, rozejrzała się za krzesłem, na którym mogłaby stanąć, ale wszystkie meble były duże i za ciężkie, żeby zdołała któryś ruszyć. Natomiast fotel z gabinetu był na rolkach. Właśnie po niego

wracała, gdy dotarło do niej coś, co zauważyła wcześniej. Przez chwilę stała z rękoma na biodrach przed bocznymi półkami, zanim dostrzegła to, o co jej chodziło.

Ten regał nie miał wystającej szafki, na której mogłaby stanąć, więc przyciągnęła pod niego fotel i ostrożnie się na niego wspięła. Trzymając się brzegu półki, sięgnęła, jak

mogła najwyżej, i dotknęła kilku książek.

Czuła, że fotel się odrobinę przesunął, więc dostosowała do tego ułożenie ciała.

Właśnie zdejmowała tomy i ostrożnie osuwała się niżej, gdy siatkowe drzwi nagle się otworzyły.

- Spadniesz - ostrzegł Jordan.

Słyszała, jak się zbliża.

- Nie, nie dotykaj.

Dam sobie radę.

Kilka sekund później udało jej się chwycić za oparcie fotela i kucnąć nasiedzeniu.

Nie był to ruch szczególnie wdzięczny i niewątpliwie nie pasował do damy, ale poradziła sobie.

To było dla niej ważne.

Trzymając w jednej ręce książki, a drugą przytrzymując szlafrok, wysunęła spod siebie stopy, opuściła je na podłogę i stanęła. Jordan był od niej wyższy na tyle, że musiała zadrzeć głowę, by na niego spojrzeć.

Jej uśmiech był tak szeroki i triumfujący, że to kompensował.

- Widzisz? - powiedziała. - Nie było tak źle. - Uniosła książki. - I mam to, czego szukałam. To chyba mój dobry dzień. - Z taką godnością, na jaką było ją stać w tych warunkach, przeszła obok ogrodnika i skierowała się ku schodom.

Znalazła w atlasie Little Falls - jedno w Minnesocie, drugie w stanie Nowy Jork, jeszcze inne w New Jersey.

Siedząc przy kuchennym stole, gdzie Jordan nie mógł jej dostrzec, Casey odszukała w atlasie wszystkie trzy miejscowości.

Natychmiast wykluczyła New Jersey; tamtejsze miasteczko Little Falls znajdowało się za blisko dużego miasta, by mogło mieć tak wiejski charakter jak Little Falls Jenny Clyde.

Te w Minnesocie i w stanie Nowy Jork były bardziej prawdopodobne, bo leżały na uboczu.

Domyślała się, że są też inne miejscowości o tej nazwie, tak maleńkie, że nie występują na mapie, a także przysiółki, które nie otrzymały statusu odrębnej miejscowości. Little Falls mogły stanowić część South Hadley Falls w Massachusetts, River Falls w Wisconsin czy Idaho Falls

w Idaho.

Mogły należeć do Great Falls w Montanie albo w Południowej Karolinie.

Mogła to być także nazwa wymyślona przez autora dziennika dla zachowania anonimowości.

Wydawnictwa Sierra Club, które zdjęła z półki razem z atlasem, dotyczyły północnej Nowej Anglii, ale i tak sprawdziła indeks nazw. Gdy nic nie znalazła, naląła sobie kawy i podeszła do okna.

Jordan wciąż był w ogrodzie, widoczny między kępami drzew, sadził niecierpki.

Poruszał się między pojemnikiem z sadzonkami a workiem z ziemią, przysiadł na piętach albo pochylał się nad ziemią.

Jak na tak wysokiego mężczyznę, pracując w ziemi, poruszał się bardzo swobodnie.

Podziwiała go.

Ogrodnicy, cieśle, drwale - ceniła ludzi, którzy potrafili tak zwinnie operować swoim ciałem. Nie musieli biegać dla sportu czy ćwiczyć jogi dla odprężenia.

Zazdrościła im prostoty życia. Rzucił okiem w jej kierunku.

Mogła się cofnąć, by jej nie widział, ale zamiast tego uniosła kubek w milczącym pozdrowieniu i piła gorący napar. Mogła patrzeć, jeśli miała ochotę.

To ona była tu szefem.

Wciąż przyglądała się Jordanowi, gdy furka ponownie się otworzyła i weszła Meg.

Zamieniła z Jordanem kilka słów, rzuciła zaskoczone spojrzenie w kierunku domu i pośpieszyła do środka, ale nie przez gabinet.

Casey widziała, jak Meg znika w rogu ogrodu, zaraz potem usłyszała trzask drzwi i kroki wbiegającej po schodach dziewczyny.

Casey zaczęła, aż Meg pojawiła się w jej polu widzenia.

- Jak weszłaś do środka? - zawołała z góry.

- Wejściem dla służby - powiedziała Meg, wbiegając wyżej.-

Jest z boku.

Przepraszam, nie wiedziałam, że zostaniesz na noc. Przyszłabym wcześniej. Kupiłam po drodze świeży chleb. Czy przygotować ci coś na śniadanie? Casey pokręciła głową, ale widząc, jak twarz Meg się chmurzy, przytaknęła.

- Bardzo by mi odpowiadało następujące śniadanie: jedno jajko sadzone, na bardzo niewielkiej ilości tłuszczu, jedna grzanka, sucha, i jeszcze jedna kawa.

Może być? Meg się rozpromieniła.

- Dziecinnie proste - powiedziała i wzięła się do roboty.

Casey weszła na górę do sypialni po ubranie, zamierzając wziąć prysznic dopiero po powrocie do mieszkania.

Jednak łazienka była kusząca- wszystko nowe, wszystko czyste, wszystko czekające tylko na użytkownika.

Znalazła mydło.

Znalazła szampon.

Znalazła mleczko do ciała.

Znalazła nawet szczoteczkę do zębów i pastę w małych opakowaniach podróŜnych.

Dwadzieścia minut później, wyszorowana i czysta, choć we wczorajszym ubraniu, wyszła z łazienki.

Miała zamiar zejść na dół, kiedy usłyszała ciche mruczenie dochodzące z sypialni Conniego.

Zatrzymała się, by posłuchać.

Podeszła cicho do drzwi i starała się zrozumieć słowa, ale wszystko umilkło.

Kilka sekund później z pokoju wynurzyła się uśmiechnięta Meg.

- Sprzątałam po nocy.

Wyglądasz pięknie.

Twoje śniadanie jest już gotowe.

Czy chcesz jeść w kuchni, czy na patio?

Jordanowi to absolutnie nie przeszkadza, będzie sobie spokojnie pracować.

Możesz tam usiąść i poczytać gazetę.

Leżała przed domem, więc ją przyniosłam.

- Mam lepszy pomysł - powiedziała Casey.

- Muszę coś sprawdzić w Internecie.

Czy możesz przynieść śniadanie do gabinetu?

Jedząc, Casey szukała informacji o Little Falls.

Znalazła te, które wyszukała już w atlasie, ale wydawało jej się, że żadna z tych miejscowości nie pasuje. Connie pochodził z Maine.

Twierdził, że Jenny Clyde należy do rodziny. Casey przejrzała

informacje dotyczące Maine, ale nie znalazła żadnej miejscowości pod nazwą Little Falls.

Natrafiała na Island Falls, Lisbon Falls, Kezar Falls i Livermore Falls. Teoretycznie Little Falls mogło być przysiółkiem każdej z tych miejscowości.

Spróbowała użyć drugiej wyszukiwarki, potem trzeciej, a później nie miała już czasu.

Po powrocie do swojego mieszkania zrobiła makijaż, związała włosy w odrobinę bardziej profesjonalnie wyglądający węzeł, włożyła lniane spodnie i jedwabną bluzkę.

Już od drzwi zawróciła po strój do biegania.

Po chwili namysłu wrzuciła do torby jeszcze kosmetyki i ubranie na zmianę, poczym zeszła do samochodu.

Przejechała wąską alejką i zaparkowała przy tylnej furtce do ogrodu.

Dżipa Jordana już nie było, ale nie zdążyła poczuć rozczarowania - ledwo przecięła ogród i weszła do domu, pojawił się pierwszy klient.

Nie miała teraz czasu na rozważania nad Little Falls.

Nie miała nawet czasu, żeby uświadomić sobie, jak dziwnie jest przyjmować klientów w dawnym gabinecie ojca.

Od czasu do czasu przemykał jej przez głowę obraz małej dziewczynki udającej dorosłą w fotelu za wielkim biurkiem, ale w rzeczywistości większość czasu z klientami spędzała na fotelu koło stolika, było to bowiem znacznie wygodniejsze miejsce.

Przyjmowała klientów od jedenastej, co godzina, spędzając z każdym pięćdziesiąt minut, a przez dziesięć minut robiąc notatki.

Między drugą a drugą trzydzieści zjadła kanapkę, równocześnie telefonując.

Potem pojawiło się kolejnych czterech klientów.

Pierwszym z nich była Joyce Lewellen.

Casey darzyła sympatią Joyce, która, choć wyglądała zawsze elegancko i lubiła mieć uporządkowane życie, daleka była od obsesji w tych sprawach.

Miała łatwość mówienia i odznaczała się przenikliwością, także bez trudu potrafiła zidentyfikować problem.

Casey zawsze podejrzewała, że Joyce potrzebowała tych spotkań głównie po to, by przedstawić swe przemyślenia obiektywnemu

słuchaczowi.

Joyce miała niewiele ponad czterdzieści lat.

Półtora roku przedtem jej mąż umarł na skutek komplikacji po operacji –rutynowym usunięciu przepukliny.

Nie mogąc pogodzić się z jego śmiercią, a tym bardziej wyjaśnić ją dzieciom, Joyce musiała znaleźć kozła ofiarnego.

Zdecydowała się na drogę sądową i wystąpiła z oskarżeniem przeciwko lekarzom o zaniedbanie.

Nie miała mocnych dowodów i dopiero trzeci adwokat, do którego się zwróciła, zgodził się ją reprezentować.

Swego czasu Casey spotykała się z nią przez kilka miesięcy co tydzień. Głównym problemem Joyce był gniew.

Nie pozwalał jej spać, przeszkadzał w codziennej pracy i uczynił z niej kobietę owładniętą jedną myślą.

Terapia polegała głównie na próbach rozładowania tego gniewu.

- Nie widziałyśmy się jakiś czas - powiedziała Casey, gdy usiadły naprzeciwko siebie, Joyce na kanapie, Casey na fotelu.

- Cztery miesiące - przytaknęła Joyce.

Na zewnątrz robiła wrażenie opanowanej, jedyną oznaką niepokoju były mocno splecione palce rąk.

- Dawałam sobie radę.

Tak samo dziewczynki.

Znów zajmują się tym co zwykle - piłką nożną/ skautingiem, baletem.

Za tydzień jadą na obóz.

- A ty? Pracujesz?

Przed wyjściem za mąż Joyce projektowała witryny sklepowe.

Gdy dziewczynki poszły do szkoły, znów się tym zajęła, ale nieregularnie, po śmierci Normana zaś zrezygnowała w ogóle.

Casey rozmawiała z nią o podjęciu pracy, jeśli nie dla pieniędzy - które by się jej przydały- to przynajmniej dla celów terapeutycznych.

Teraz zmarszczyła nos.

- Nie.

Chciałam być w pełni dyspozycyjna dla adwokata.

Tak, wiem, wiem.

Mówiłaś, że to tylko podsycą gniew, ale nic na to nie poradzę.

Muszę to zrobić dla Normana. Ale daję sobie radę, naprawdę daję sobie radę.

Adwokat działa. Mój gniew jest pod kontrolą.

- Czy spotykasz się znów z przyjaciółmi?

-No, na lunchu. Wieczorami jeszcze nie.

- Wciąż nosisz żałobę.

-Wydawało mi się to właściwe, dopóki trwa proces.

W zeszłym miesiącu byłam na przesłuchaniu przed sędzią.

Obie strony przedstawiły dowody i wygłosiły mowy.

Druga strona wносиła o natychmiastowe rozstrzygnięcie, twierdząc, że nie jesteśmy w stanie udowodnić zarzutów przed ławą przysięgłych.

Sędzia ma ogłosić decyzję pod koniec tygodnia.

- I co ty o tym sądzisz?

- Odbija mi- powiedziała Joyce piskliwie. - Dlatego tu jestem.

Tak, potrzebuję pieniędzy, ale chodzi o coś więcej. Chodzi o zasadę.

Norman nie powinien był umrzeć. Ma dwie córeczki, które za nim tęsknią.

Nigdy nie zobaczy, jak dorastają, wychodzą za mąż czy mają dzieci.

A dla mnie był oparciem. Mieliśmy się razem zestarzeć.

Teraz nie możemy. I ktoś powinien za to zapłacić.

Casey wciąż słyszała ten sam gniew.

Na początku rozmawiały o tym, że czasem złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom.

Joyce nie potrafiła tego wówczas zaakceptować i to się najwyraźniej nie zmieniło.

- Nie mamy wielkich szans na wygraną - mówiła dalej Joyce.

- Mój adwokat powiedział to, gdy go zatrudniałam, i powtórzył po zakończeniu przesłuchań.

Niektóre posunięcia sędziego i pytania, jakie zadawał, nie rokowały wygranej.

Więc co mam zrobić?

Co, jeśli wyda werdykt dla nas niesprzyjający?

No wiesz, to nie musi oznaczać końca.

Możemy się odwołać do sądu wyższej instancji.

Ale mój adwokat tego nie zrobi.

Twierdzi, że musimy pogodzić się z decyzją sędziego, i być może ma rację.

Czasami mam tego wszystkiego tak dość, że nie mogę się doczekać końca.

A potem znów łapię wiatr w żagle i chcę wygrać.

Po prostu chcę.

- A jeśli wygrasz, co wtedy?

- Coś udowodnię. Będę mogła uznać sprawę za zamkniętą i ruszyć dalej.

- A jeśli nie wygrasz?

Tym razem Joyce nie odpowiedziała od razu.

- Nie wiem.

Dlatego tak się denerwuję.

Rozmawiamy wciąż o gniewie, ty i ja.

Ale co zrobię z tym gniewem, gdy nie będę miała kogo obwiniać?

Po kolejnych trzech rozmowach z klientami Casey wciąż myślała o słowach Joyce.

Łatwo jej było podsycać gniew, póki Connie żył.

Póki żył i oddychał, mógł do niej zadzwonić, wysłać e-mail czy napisać list, a nawet przekazać wiadomość przez trzecią osobę.

Teraz, gdy umarł, te drogi zostały zamknięte.

A jej gniew?

Idąc w kierunku ogrodu, nie była w stanie się gniewać.

Próbowała.

Myślała, żeby przesunąć stół i krzesła na patio w inne miejsce, po prostu dlatego, żeby zrobić coś według swojej woli.

Ledwo jednak wyszła spod pergoli, już uznała, że trudno byłoby znaleźć dla stołu lepsze miejsce niż to, na którym stał.

Ogród był czarną dziurą dla negatywnych myśli, wciągał je, sprawiał, że znikwały.

Niebo było zachmurzone, powietrze parne, ale w ogrodzie nie odczuwało się braku słońca.

Rozproszone światło nadawało mu nawet łagodniejszy nastrój.

Drzewa różniły się między sobą bardziej odcieniem niż fakturą liści.

Kwiaty miały stonowane kolory, kamienie okrągłejsze kształty.

Gdy tylko odpięła szeroką klamrę, przytrzymującą włosy, zaczęły się kręcić i stały się puszyste.

Przezesanie ich palcami przyspieszyło ten proces.

Uniosła masę włosów i zamknęła oczy, ale musiała je po chwili otworzyć, bo Meg odsunęła siatkowe drzwi i wyszła z domu.

Niosła butelkę wina i talerz pełen maleńkich szaszłyków z grillowanej

wołowiny i warzyw.

Casey zastanawiała się, jak da radę to wszystko zjeść, gdy przybyła pomoc.

- Tak sobie myślałam, że cię tu znajdę - wyjaśniła wesoło Brianna, szybko robiąc spustoszenie na talerzu.

- Mogłabym się do tego przyzwyczaić.

Casey uznała, że ona też.

Odkładając na bok szpadkę po szaszłyku, Casey rozsiadła się w fotelu na patio z kieliszkiem wina w rękę i spróbowała przeanalizować swoje uczucia.

- Bardzo, bardzo dziwne.

Cały czas myślałam: Co ty tu robisz, Casey?

Pisał przy tym biurku.

Rozmawiał przez ten telefon.

Myśli, które mu tu przyszyły do głowy, czytają ludzie na całym świecie.

A teraz wszystko, co zostało, to biedna mała ja.

- A co jest nie tak z biedną małą tobą?

-Do pięt mu nie dorastam.

Jestem jak pewna klientka, z którą spotkałam się dziś o pierwszej.

Naprawdę inteligentna, przedsiębiorcza, odnosi sukcesy - jest właścicielką trzech wysokiej klasy restauracji, które naprawdę znakomicie prosperują - ale wciąż cierpi na poważny kompleks niższości.

- Wynikający z czego?

-Jej ojciec miał sklep delikatesowy.

Matka zajmowała się domem.

Uważali, że idąc do szkoły gastronomicznej, córka marnuje życie.

Ostrzegali ją przed kupnem pierwszej restauracji, powiedzieli, że całkiem jej odbiło, gdy otworzyła drugą a kiedy założyła trzecią, wykreślili ją z testamentu.

- Dlaczego?

-Stwierdzili, że działa ryzykownie i nie życzą sobie, by roztrwonila ich ciężko zarobione oszczędności.

No więc, z jednej strony, solidnie stoi na nogach i z roku na rok lepiej sobie radzi, a z drugiej, ma wrażenie, że te restauracje to domek z kart, który się zaraz zawali.

Rodzice tak uważają i udało im się jej to wmówić.

- Ale to nie jest twoja historia.

Connie nigdy nie powiedział, że jesteś do niczego.

- Nie słowami - powiedziała Casey, pocierając kieliszkiem o wargi.

-Czy zostawiłby ci to miejsce, wiedząc, że otworzysz tu gabinet, gdyby uważał, że jesteś beznadziejna?

Casey wzruszyła ramionami.

Nie miała pojęcia, co Connie o niej myślał - czy dobrze, czy źle.

- Masz znakomitą praktykę, Casey.

Joy i ja poszłyśmy łatwą drogą, jesteśmy na etacie.

- Joy pracowała dla władz stanowych, Brianna w centrum rehabilitacji.

- Nie nazwałabym łatwym tego, co robisz.

-Ale nie musimy się martwić o klientów.

Zawsze przychodzą.

Ty musisz sama o to zadbać i zobacz, jaką praktykę sobie wyrobiłaś.

Opowiedz mi, kogo przyjąłeś dzisiaj.

Casey mogła liczyć na Briannę, wiedziała, że przyjaciółka poprawi jej nastrój.

- Dwie fobie, niska samoocena, trzy problemy dostosowawcze, jeden atak paniki.

-Twój czy jej?

- Jej.

Nie mogła znaleźć domu.

Wpada w panikę, gdy coś nie idzie dokładnie tak, jak powinno, i zaczyna sobie wyobrażać różne rzeczy.

- Na przykład jakie?

-Głos męża.

Od tyłu lat małżonek mieszają z błotem, że naprawdę słyszy, jak jej wymyśla.

A to sprawia, że zaczyna dygotać.

- Czy doszła do takiego etapu, że wie, iż tak naprawdę go tam nie ma?

- spytała Brianna.

- Na rozum tak.

Emocjonalnie nie.

Czasami ją to paraliżuje.

- Czy powinna od niego odejść?

-Tak - gdyby chodziło wyłącznie o jej własne samopoczucie.
Ale sprawa jest bardziej złożona.
Mają czworo dzieci jeszcze mieszkających w domu, a ona całe życie
była jedynie gospodynią domową.
Uważa go za swego pracodawcę.
Jeśli odejdzie, dokąd pójdzie, czym się zajmie, co się stanie z dziećmi?
Nie, nie odejdzie od niego.
Wszystko, co mogę zrobić, to pomóc jej nabrać nieco dystansu -
uspokoić ją, ocenić, co robi dobrze, nauczyć radzenia sobie z tym, co od
niego słyszy.
Ona naprawdę słyszy jego głos.

Brianna siedziała podejrzanie cicho, popijając wino,
najwyraźniej zamyślona.

- Jak twoja mama?

- spytała cicho po chwili.

Casey rzuciła jej spojrzenie.

- Chodzi ci o słyszenie głosów?

-A wciąż ci się to zdarza?

- W pewnym sensie.

-Casey - skarciła ją łagodnie Brianna.

- Wiem.

Skoro jest w stanie wegetatywnym, jak twierdzą lekarze, to nie słyszy,
nie myśli, nie wie.

Ale ja ją tam wyczuwam, Bria.

Przysięgam.

Wiem, co myśli.

- Jest jakaś poprawa?

-Dzisiaj znów miała atak drgawek.

Lekarz uważa, że odchodzi.

- I jak się z tym czujesz?

-Powinnam czuć ulgę.

Stan, w jakim jest, trudno nazwać życiem.

- Więc jak się z tym czujesz?

-Jeśli odchodzi, to wiem, że tak jest lepiej.

Już nie płaczę.

Po trzech latach już nie mam łez.

Nawet nie zaczynam się trząść, jak na początku.

Już się przyzwyczaiłam, że wygląda tak, a nie inaczej.

- Więc jak się z tym czujesz?

- nieustępowana Brianna.

- Załamana - powiedziała Casey, kładąc dłoń na bolące miejsce w piersi.

Po trzech bolesnych latach Casey wiedziała, że z załamaniem najlepiej sobie radzić, wypełniając umysł innymi sprawami.

Wszystko było w porządku, gdy siedziała z klientami, a jej zajęciem było wysłuchiwanie ich zwierzeń.

Wszystko było w porządku, gdy ćwiczyła jogę, biegała lub bawiła się z przyjaciółmi.

Ale tego wieczoru, gdy Brianna wyszła, myślała tylko o Conniem i Flircie z Pete'em.

Jeśli maszynopis stanowił element poszukiwania skarbów, była na nie gotowa.

Centymetr po centymetrze przeszukała pokój w suterenie.

Nie znalazła niczego, co w najmniejszym stopniu wiązałoby się z dziennikiem, natrafiła natomiast na osobiste papiery Conniego -

wyciągi bankowe, nieważne czek, kopie zeznań podatkowych.

Znajdowały się w plastikowych pojemnikach w dolnych szafkach, opisane i ułożone chronologicznie.

Przeglądając je, dowiedziała się, że czek wypisywał ręcznie, rachunki płacił w terminie i co roku dawał sporo pieniędzy na ochronę środowiska w Maine.

Urodził się w Maine.

Maine wciąż go obchodziło.

Casey była gotowa się założyć, że miasteczko Little Falls, fikcyjne czy nie, też leżało w Maine.

Przejrzała wszystkie pokwitowania dotyczące Maine, szukając wzmianki o miejscowości.

Przekartkowała druki, na których wypełnił zgłoszenia na wędrowniki, wycieczki canoe, wyprawy na obserwowanie ptaków i wspinaczki górskie.

Kilka wyglądało tak, jakby ich nigdy nie wysłano -w gruncie rzeczy było ich sporo, niektóre nawet miały czek przypięte do pierwszej strony.

Inne zapewne wysłał, bo

towarzyszyły im listy potwierdzające, że dotarły do celu.

Przeczytała wszystkie.

Nigdzie nie było wzmianki o Little Falls.

Zanim odłożyła papiery na miejsce, była zbyt zmęczona, by wracać do mieszkania.

Ponieważ pierwszy klient był zapisany już na ósmą rano, nie miało to sensu.

Tym razem poszła wprost do gościnnej sypialni.

Connie wciąż przebywał po drugiej stronie holu, ale po przejrzeniu rachunków, zdając sobie sprawę z wielkiej odpowiedzialności, jaką ją obarczył, poczuła się dzielna.

Ostatecznie- tłumaczyła sobie - skoro to ona będzie teraz płacić te rachunki, a nie jakiś duch, ma prawo spać, gdzie tylko zechce.

Zasnęła, myśląc o bezpiecznych, praktycznych rzeczach, takich jako ogrzewanie, klimatyzacja, pokrycie dachu, malarze pokojowi i deratyzatorzy - obudziła się jednak nagle o północy, pewna, że słyszała jakiś hałas.

Usiadła na łóżku i się rozejrzała.

Pokój oświetlały lampy gazowe z Leeds Court.

Było całkiem widno.

Niczego nie zobaczyła.

Wstrzymała oddech i nasłuchiwała.

Miasto spało, cicho pochrapując za oknem.

W pokoju panowała cisza.

W holu panowała cisza.

Stwierdziwszy, że coś jej się musiało przyśnić, położyła się z powrotem i zamknęła oczy.

Po sekundzie jednak znów się poderwała i tym razem wysunęła z łóżka.

Narzuciła szlafrok, podkradła się do drzwi i zaczęła nasłuchiwać.

Przedtem zostawiła drzwi na wpół otwarte i nadal były naw pół otwarte.

Chociaż to nic nie znaczyło.

Duchy potrafiły przenikać przez drzwi.

Tylko że ona nie wierzy w duchy.

Wysunęła się do holu, zatrzymała i nasłuchiwała.

Słyszała jakiś pomruk gdzieś w głębi domu, ale był to dźwięk mechaniczny, nic dziwnego czy niesamowitego.

Podeszła na palcach do drzwi Conniego, wciąż nasłuchując.

I rzeczywiście coś do niej dotarło.

Dźwięk był bardzo cichy i nie potrafiła go sprecyzować.

Drzwi były jak zwykle lekko uchylone. Nie dotykając ich, zajrzała do środka, ale niewiele mogła dostrzec. Nie miała zamiaru wchodzić. Nie była aż tak dzielna.

Tłumacząc sobie, że musi być jakieś racjonalne wyjaśnienie przyczyny dźwięku i że Meg rano wszystko jej wyjaśni, wycofała się.

I wtedy zobaczyła oczy.

Rozdział ósmy

Casey nie zatrzymała się ani chwili dłużej.

Błyskawicznie wróciła do pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Wyobraziła sobie te oczy.

To nie żadna psychoza, tylko siła sugestii.

Sąsiad wspomniał o duchu, więc właśnie ducha zobaczyła.

W gruncie rzeczy nie różni się to tak bardzo od rozmów z matką.

Lekarze twierdzili, że Caroline nie powiedziała ani słowa od trzech lat, więc jak Casey może twierdzić coś innego?

Jeśli słyszy głos, to znaczy, że go sobie wyobraża.

Rzecz jasna, słyszała głos Caroline, bo go chciała słyszeć, ale z duchem było inaczej.

Co więc pobudziło jej wyobraźnię?

Obcość tego domu?

A może fakt, że pokój po drugiej stronie holu należał do ojca i jakaś jej część chciała, by tam naprawdę był, skoro za prosił ją do siebie?

Bardzo cichutko wróciła do łóżka.

Nie zdjęła szlafroka -nie zamierzała pokazywać się nago żadnym wyobrażonym duchom – i położyła się na plecach pośrodku łóżka.

Leżała bardzo spokojnie, z dłońmi splecionymi na brzuchu, wpatrując się w drzwi.

Nic się nie ruszało.

Nie dochodziły jej żadne dźwięki.

Patrzyła i słuchała przez godzinę, aż w końcu zasnęła, ale spała źle, często się budząc, by się wsłuchiwać i wpatrywać w ciemność.

Gdy w końcu zaczęło świtać, bardziej niepokoiła się swoim stanem niż czymkolwiek innym.

Wyjęła z torby żółtą koszulkę i szorty, szybko je włożyła i ściągnęła włosy gumką.

Przez chwilę zastanawiała się nad nocnymi odgłosami, gdy otwierała drzwi do pokoju;

rzuciła okiem ku wąskiemu paskowi ciemności w uchylonych drzwiach do pokoju Conniego.

Dotarła jednak do schodów bez problemów.

Stamtąd bez przeszkód zbiegła na dół, przez hol frontowy, koło

obrazów Ruth - nie patrząc na nie - przez gabinet i wprost do ogrodu.

Wychodząc spod pergoli, natychmiast poczuła, jak ogarnia ją lepszy nastrój.

Świt w ogrodzie był orzeźwiający, choć zapowiadał się kolejny ciepły dzień.

W powietrzu unosił się zapach bzów, tak, zdecydowanie czuła bzy.

Ta woń sprawiła, że spojrzała w prawo, gdzie za kwietnymi rabatami rosły dwa krzewy o wspaniałych fioletowych kiściach ujętych w zielone, liściaste bukiety.

Uśmiechnęła się, zamknęła oczy i rozkoszowała się zapachem.

Po paru minutach, podczas których zapach kwiatów zapewnił jej coś w rodzaju duchowego przygotowania, wybrała miejsce w zadrzewionej części ogrodu i położyła się na ziemi.

Przez piętnaście minut prowadziła rutynowe ćwiczenia, przechodząc przez pozy witania słońca i skupiając się na oddychaniu w takim samym stopniu, jak na płynności ruchów i rozciąganiu mięśni.

Rozluźniała jedną część ciała po drugiej, koncentrowała się – naprawdę koncentrowała się – na usuwaniu napięcia, wywołanego strasznymi myślami o duchach, klęsce zawodowej w gabinecie Conniego i Caroline, która umierała i zostawiała ją samą na świecie.

Napełniając ciało pozytywną energią z każdym pełnym oddechem, czuła, jak ustępuje napięcie w karku, krzyżu, brzuchu i nogach.

Gdy jej myśli zaczęły się plątać, powtórzyła ćwiczenie.

Znowu robiła głębokie oddechy przeponowe i wydychała powietrze powoli i do końca.

Przerobiła cały cykl trzykrotnie, tak że po zakończeniu czuła się znacznie bardziej zrelaksowana.

Jak zwykle, najlepsze zostawiła na koniec.

Wykorzystując pień starego kasztanowca jako podpórę, oparła czubek głowy o ziemię, objęła pień, splótła dłonie w tyle i powoli uniosła ciało - biodra, nogi, w końcu stopy; stała teraz spokojnie na głowie, całkiem wyprostowana.

Stanie na głowie przywracało jej siły. Zawsze to czuła, a tym bardziej po źle przespanej nocy. Siła ciężkości, ciągnąca ciało głową do dołu, dała jej krążeniu odświeżający bodziec. Ciało mrowiło, skóra oddychała, piersi się uniosły.

Jak chłodna woda na rozpalonych gorączką policzkach, stanie na

głowie ją orzeźwiało.

Ogród widziany do góry nogami był innym światem kolorów i kształtów.

Nie było tu żadnych duchów.

Wszystko wydawało się geometryczne i solidne - nawet mężczyzna, który pojawił się przed nią nagle i po cichu.

Wszedł przez tylną furtkę, gdy koncentrowała się na głębokich oddechach, ale był tak samo realny jak jałowce i cisy stanowiące tło jego widzianego do góry nogami ciała. Przynajmniej wydawało się jej, że jest realny.

Potem zmieniła zdanie. Wtorek nie był jego dniem.

Po prostu chciała, żeby tu był - chciała, by zobaczył, jaka jest wysportowana, jak atrakcyjnie wygląda w żółtym stroju gimnastycznym.

Chciała go kusić, chciała czuć nad nim władzę, by zrekompensować sobie słabość, jaką czuła w stosunku do swoich rodziców.

Chciała, by tu był, także z damsko-męskich względów.

Jego obecność dodawała ogrodowi uroku, jak Adam Ewie.

Wyobrazenie sobie Jordana wynikało nie tyle z siły sugestii, ile z pobożnego życzenia.

Ogrodnik doskonale się nadawał na przedmiot działania wyobraźni - wyglądał intrygująco w odwróconej pozycji.

W ten sposób wydawał się jak z kamienia, a ciężar ciała spoczywał na ramionach, wystarczająco szerokich, by je utrzymać.

To są wspinała ramiona - uznała.

Bez przerośniętych mięśni, po prostu dobrze umięśnione.

Widziała je wyraźnie, bo wyobraziła go sobie w podkoszulku bez rękawów.

Czarnym, wciśniętym w dżinsy, które z kole i były wciśnięte w na wpół zasnurowane robocze buty.

Wiedziała, że dżinsy i buty chronią go podczas robót ogrodniczych, przypuszczała jednak, że jest mu w nich gorąco.

To zresztą sugerował rumieniec na jego policzkach.

Brazowe oczy patrzyły nieruchomo.

Ciemnobrazowe włosy znów były rozwichrzone.

Patrząc na tę scenę do góry nogami, wyobrażała sobie, że rośnie tu, w ogrodzie jej ojca, zakorzeniony włosami.

Zresztą wyglądałby na solidnie zakorzonego niezależnie od miejsca, w którym by się znalazł - robił wrażenie bardzo stabilnego faceta.

Wizja się poruszyła.

Był to drobny ruch, przeniesienie ciężaru na jedno biodro, ale na tyle rzeczywiste, że aż drgnęła.

Zachwiała się i zaczęła tracić równowagę.

Ruszył do przodu, wyciągając rękę.

- Nie, nie, nie -ostrzegła szybko.

W tej pozycji jej głos był wyższy niż zwykle.

-Nie dotykaj.

- Opanowała się.

-Wszystko w porządku.

- Skoncentrowała się, odetchnęła głęboko dla uspokojenia i znów spojrzała.

Wciąż tu był.

- Dziś nie środa - powiedziała tym wyższym niż normalnie głosem.

Zazwyczaj się nie chwiała, nie traciła równowagi.

Jej instruktor jogi zawsze się dziwił, że tak długo potrafi stać na głowie.

Tym razem ten pokaz nie był najlepszy.

- Niecierpki potrzebują wody - odparł.

Wyjaśnienie było całkowicie rozsądne, ale pociągało za sobą kolejne pytanie.

- Ojciec miał w domu wszelkie możliwe udogodnienia.

Dlaczego nie zainstalował tu automatycznego zraszania?

- Nie było takiej potrzeby. Miał mnie.

- Ale musisz tu przychodzić, by podlewać kwiaty.

To czasochłonne i kosztowne.

Jordan uniósł jedno ramię w geście, który mózg Casey prawidłowo odczytał jako wzruszenie ramion.

- Nie przeszkadza mi to.

-Lubisz podlewać.

- Lubię podlewać.

-Ale przyjeżdżać taki kawał drogi.

- Sklep jest niedaleko.

-Aha.

- Zastanawiała się nad jego domem.

Trudno jej było wyobrazić sobie, że mieszka tu, na wzgórzu.
Nawet najmniejsze mieszkania w tej okolicy były bardzo drogie.

-Od jak dawna zajmujesz się jego ogrodem?

- Od siedmiu lat.

-A przed tobą?

- Nikt.

To miejsce było zarośnięte trawą i chwastami.

- I pięknymi starymi choinami, klonami, brzoźami i dębami -
przypomniała mu.

-Tak - przyznał po chwili milczenia. - Rzeczywiście tu były.

- A te krzewy na tarasie poniżej? Te, których pąki lada dzień
rozkwitną?

Wyglądają na dość stare.

- Te duże to rododendrony, mniejsze to azalie. Nie. To my je
posadziliśmy.

- A kto zaprojektował ogród? - Trzymała się teraz równo, nawet
zaczęła się już przyzwyczajać do swego głosu.

-Ja.

- Przez Daisy'sMum?

-Tak.

- Czy studiowałaś projektowanie zieleni?

-Nie. Po prostu znam rośliny.

- A on?

-Kto?

- Mój ojciec. Ustaliliśmy, że je kochał. Czy się na nich znał?

- Wiedział, co lubi.

-A ty się dostosowałaś. Przez chwilę nie odpowiadał.

- Czy to ci przeszkadza? - spytał z ciekawością.

Był to ten rodzaj pytania, jakie zadałaby Brianna, ten rodzaj, który
zapewne wywołałby aprobujące skinienie u Conniego, ponieważ
zdecydowanie było to właściwe pytanie. A odpowiedź? Tak, Casey to
przeszkadzało.

Można to było nazwać zazdrością czy zawiścią. Albo niechęcią.

Wydawało jej się, że ojciec darzył zaufaniem i szacunkiem - nawet
życzliwością - swoich pracowników, natomiast pozbawił tego córkę.

Nie mogła jednak obwiniać o to ogrodnika.

Najwyraźniej był dobry w tym, co robił.

- Stworzyłeś wspaniały ogród - przyznała.

- Ale nie powiedziałaś mi, czy on też zajmował się ogrodnictwem.

- Twój ojciec?

Od czasu do czasu mi pomagał.

- Więc on, po prostu też lubił to robić?

- Nie.

To był jego sposób dziękowania mi za pomoc w innych sprawach.

- Jakich?

-Zwyczajnych. Przesuwaniu mebli. Przenoszeniu rzeczy na górę.

- Jakie rzeczy przенiosłeś na górę?

- Kartoteki.

Ilekrót zamykał jakiś przypadek, wkładał teczkę do specjalnej szuflady.

Gdy szuflada się zappełniała, przenosił jej zawartość na górę.

- Dowolnych sypialni?

To niemożliwe, żeby wszystkie kartony były wypełnione teczkami.

- Są też książki.

-Jeszcze więcej książek?

O rany.

- I listy.

Korespondencja zawodowa.

- Nic osobistego?

-W kartonach oznaczonych "M".

"M"? "Moje" tecki Conniego?

Jeśli istnieje dalszy ciąg dziennika, będzie tam.

Myśli Casey tak szybko pobiegły dowolnych sypialni, że znów się zachwiała.

Ogrodnik ponownie wyciągnął rękę.

- Nie dotykaj - ostrzegła tak samo jak poprzednio. Skupiła się.

- Wszystko w porządku.

Ledwo zdążyła odzyskać równowagę, gdy zapytał:

- Masz coś przeciwko temu?

-Czemu?

- Dotykaniu. Twój ojciec miał. Nie lubił, gdy się go dotykało.

Wszelkie dotknięcia ręki czy ramienia zawsze były całkiem przypadkowe.

Starał się utrzymywać fizyczny dystans.

Casey wielokrotnie to czuła, ale widywała Conniego jedynie w sytuacjach zawodowych, gdy zachowywanie fizycznego dystansu było właściwe.

Praca w domu i ogrodzie to co innego. Spytałaby o to Jordana, gdyby nie wytrąciło jej z równowagi jego pytanie.

Czuła jednak, że musi sprawę wyjaśnić.

- Nie, nie mam nic przeciwko dotykaniu.

- To może chodzi o to, że jestem najemnym pracownikiem?

Już trzy razy powiedziałaś mi, że bym cię nie dotykał.

Trzy razy.

Ach, tak.

Raz w gabinecie wczoraj wieczór, dwa razy teraz.

- Nie - odpowiedziała cierpliwie.

- To kwestia niezależności.

Nie zamierzałam spaść z tamtego fotela i teraz też nie zamierzam upaść.

- Jakby dla udowodnienia swoich słów, powoli ugięła nogi w kolanach. Objęła dłońmi ramiona i ostrożnie przechyliła ciało, opuszczając nogi, aż dotknęła stopami ziemi.

Choć w tej pozycji niewątpliwie zaprezentowała mu widok swej wypiętej pupy, nie śpieszyła się.

Powoli uniosła głowę, by bezpiecznie przyzwyczajać się do nowej pozycji.

Gdy już była pewna, że się nie przewróci, odetchnęła głęboko, podniosła się do pozycji stojącej i się odwróciła.

Ogrodnik był wysoki, znacznie wyższy niż mająca sto sześćdziesiąt trzy centymetry wzrostu Casey.

Zadarła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Niektórzy mężczyźni uważają że kobiety są kruche.

Ja nie jestem.

Wyglądał na lekko rozbawionego.

Nie – zdała sobie sprawę - wyglądał na lekko podnieconego.

W tych ciemnych oczach najwyraźniej dostrzegła błysk podziwu.

Pobudzona tym spostrzeżeniem - i, prawdę mówiąc, ogarnięta wspomnieniem namiętej lady Chatterley i jej super męskiego leśniczego z powieści Lawrence'a - Casey podeszła do niego.

- Jeśli chodzi o dotykanie - powiedziała, kładąc mu rękę na piersi - bardzo je lubię.

- Nie spuszczała z niego wyzywającego spojrzenia, jakby chciała sprawdzić, czy się odsunie.

Przesunęła dłońią po jego ramieniu, przedramieniu, nadgarstku.

Splotła palce z jego palcami, poczuła, jak przez moment odwzajemnił uścisk.

- Kocham dotykanie - wyznała cicho.

- Nigdy nie miałam z tym problemu.

A jeśli chodzi o to, że jesteś najemnym pracownikiem, to dorastając, jadałam kolacje z najemnymi pracownikami.

Z jednym mieszkałam podczas studiów w college'u, a z innym straciłam dziewictwo.

-Nie powinna była tego mówić, bo nagle w powietrzu wytworzyło się napięcie - ten błysk w jego oku stał się czymś więcej niż uścisk palców, czymś, co płonęło w miejscach, gdzie stykały się ich ciała - a sucha informacja o seksie nie pomogła.

Starając się szybko ugasić pożar bez odsuwania się ,ponieważ nie tylko tak miło się go dotykało, ale i pachniał jak prawdziwy mężczyzna,

kontynuowała: - Więc nie mam problemu z najemnymi pracownikami.

Mam natomiast problem z duchami. Co wiesz o Angusie?

Jordan patrzył na nią w milczeniu.

Brazowe oczy jeszcze bardziej pociemniały, policzki się zarumieniły.

Casey czuła ruch jego torsu, ledwie parę centymetrów od jej ciała.

Nie stał już tak nieruchomo. Zakreśliło się jej w głowie. Nagle zdała sobie sprawę, że Jordan tłumi śmiech. Wysunęła rękę z jego dłoni i zrobiła krok do tyłu.

- Czy Angus to dowcip? - spytała z pewną irytacją.

- Nie - odpowiedział spokojnie, choć kącik jego ust wciąż drgał.

- To kot.

- Kot?

-Nie spotkałaś go?

Oczy świecące w ciemności, lekkie kroki w nocy, dźwięk, który równie dobrze mógł być mruczeniem jak oddechem ducha.

I cichy głos Meg. Oczywiście. Powinna była zgadnąć. Czując się jak idiotka, zmarszczyła brwi.

- Nie, nie spotkałam go. Nikt mi nic nie mówił o kocie.

- Jeśli go nie chcesz, chętnie go wezmę. Nie miała zamiaru na to pozwolić.

- Skoro należy do domu, jest mój.
- Angus i ja dobrze się dogadujemy.
- Może mnie też się uda z nim porozumieć.- Widziała jednak

pewien

problem. - Czy zawsze przebywa w głównej sypialni?

- Jordan przestał się uśmiechać.

- Podczas dnia tak.

Być może spaceruje sobie po nocy, ale od śmierci Conniego nie odchodzi daleko.

Czeka, żeby jego przyjaciel wrócił.

Casey ścisnęło się serce.

- Jakie to smutne.

- Ruszyła w kierunku domu, ale przystanęła i spojrzała na Jordana.

-Czy będzie mnie tolerować?

- Nie wiem.

-Czy drapie i syczy?

- Nigdy tego nie robił.

Uniosła brwi, zacisnęła wargi, zrobiła krok do tyłu, rzuciła ogrodnikowi spojrzenie mówiące: "zamierzam to sprawdzić" i odeszła. Przeszła przez gabinet, pokonała jeden ciąg schodów, potem drugi. Zwolniła na pierwszym piętrze.

Posuwając się ostrożnie, skierowała się ku pokojowi Conniego.

"Nie duch, ale kot, nie duch, ale kot" - powtarzała sobie, ale i tak serce waliło.

Jakiś metr od drzwi usiadła na dywanie i podwinęła nogi.

Znała koty.

Jej matka zawsze trzymała je w stodole.

Dwa mieszkały tam w chwili wypadku.

Casey zabrałyby je z sobą, gdyby nie poprosiła o nie jedna z tkaczek Caroline.

Ta kobieta miała duży dom, wielkie serce i wielką pustkę w życiu, ponieważ rok wcześniej, zupełnie niespodziewanie, straciła męża.

Jak Casey mogła odmówić?

Jej własny dom był mały, jej serce wypełniała Caroline, a poza tym przyzwyczała się już nie zwracać uwagi na małą pustkę w środku - co nie znaczy, że nie myślała o zabraniu tych zwierząt.

Lubiłaby mieć w nocy towarzystwo.

Być może jeszcze bardziej chciałaby móc powiedzieć Caroline, że się sama zatroszczyła o koty.

Caroline by się to podobało.

- Angus! - zawołała cicho i przesunęła się nieco bliżej.

-Jesteś tam, Angus?

- Czekwała, słuchała, ale nie docierał do niej żaden dźwięk.

Przyszło jej do głowy, że kot pewnie śpi gdzieś w pokoju, a ona lepiej spędzi czas – te chwile, które jej zostały, zanim będzie musiała się umyć i ubrać - przeglądając kartony Conniego oznaczone literą "M".

Jednakże dziennik był relacją - może prawdziwą, może nie, ale w każdym razie nie musiała się nim zajmować natychmiast.

Kot natomiast to żywe stworzenie.

Był tam, czekał na Conniego już od blisko czterech tygodni.

Casey musiała dać mu znać, że ona też może się o niego zatroszczyć.

- Angus! - wołała pieszczotliwie, podsuwając się.

Kot Conniego, teraz jej?

Nie widziała go jeszcze, ale już miała wobec niego zaborcze uczucia.

- Chodź się przywitać, śliczny kotku - śpiewała, ponieważ nie spotkała jeszcze takiego kota, który by nie był ładny i nie lubiłby być chwalony.

Podsunęła się jeszcze, na wyciągnięcie ręki od drzwi.

Pochyliwszy się, wpatrzyła się w kilkunastocentymetrową szparę w drzwiach.

Wydało jej się, że widzi oczy, więc cofnęła się nieco.

"To nie duch, Casey.

To kot"- skarciła się.

Wyciągnęła rękę i lekko pchnęła drzwi.

Oczy tam były, rzeczywiste, wcale nie wyobrażone.

Znajdowały się jakieś pół metra za drzwiami i świeciły w smudze cienia.

Sączące się z tyłu światło obrysowywało sylwetkę zwierzęcia.

Casey dostrzegła zarys uszu sterczących po obu stronach głowy, ale niewiele więcej.

Czeka na powrót przyjaciela.

Serce jej zmiękło.

Mogła mieć pretensje do Conniego Ungera o wiele rzeczy, w tym także o to, że czuła się niechciana, niekochana i niegodna, żeby być jego córką.

Nie miała jednak do niego żalu, że zostawił jej kota.

Kot był najbliższy żywemu, oddychającemu Connieniu, był jakby jego częścią.

Kot był ważniejszy niż dom.

Z kotem da sobie radę.

Bardzo dobrze da sobie radę.

Wyciągnęła rękę w kierunku świecących oczu.

- Och, Angus, tak mi przykro.

Nie jestem Conniem, ale kocham koty.

Bardzo chętnie się tobą zajmę.

- Znów przesunęła się trochę do przodu, co sprawiło, że znalazła się na tyle blisko progu, na ile starczyło jej odwagi.

Trzymała wyciągniętą rękę, zachęcając kota, by ją powąchał.

- Chodź się przywitać, wielki chłopaku - namawiała go pieszczotliwie.

- Skąd wiesz, że jest wielki? - spytał Jordan, wchodząc po schodach.

- Wielkie oczy, wielkie uszy, wielki kot - powiedziała Casey, dodając ostrożnie: - A nie? Jordan znał przecież kota.

Jordan znał także ogród.

Znał również dom.

Casey mogłaby mieć za złe temu nieznanemu, że zna wszystko, co dla niej jest tajemnicą, gdyby nie myślała o jednym.

O tym mianowicie, że mimo pozornego niedbalstwa ten człowiek pachniał mydłem, że gdy przesunęła dłonią po jego piersi, pod podkoszulkiem wyczuła miękkie włosy, że mimo porannego chłodu jego ciało było ciepłe.

O tym pamiętała, a teraz, gdy do niej podszedł, serce zabiło jej mocno.

- Tak- potwierdził, obchodząc filar przy schodach.

Pozwoliła sobie popatrzeć na niego przez chwilę, a potem jak dobra dziewczynka wróciła wzrokiem do kota.

- Ile ma lat?

-Osiem.

Będzie jeszcze długo żył.

Connie dobrze się nim opiekował.

- Przykucnął koło Casey i zawołał cicho: -Hej, Angus.

Wyjdź tu do nas.

Jestem twoim kumplem.

-Cmoknął językiem przyzywając.

- Czy on ma tam jedzenie i kuwetę? - szepnęła Casey.

- Wszystko, czego potrzebuje. Koty są dość samowystarczalne. -

Przesunęła się na kolanach i otworzył nieco szerzej drzwi. -Chodź tu, Angus.

Ona nie gryzie.

Casey mogła teraz dobrze widzieć kota. Westchnęła z zachwytem.

- Jest piękny.

- Szary, z białymi i czarnymi pręgami, miał kwadratowy pyszczek, lekko spłaszczony nos i futrzaną kryzę, rozkładającą mu się na piersi. Patrzył wprost na Jordana dużymi zielonymi oczyma - dużymi zielonymi, błagającymi oczyma, w których malowało się nieszczęście, zmieszanie, może strach.

- To chyba Maine Coon? - spytała Casey.

- Tak. - Jordan wyciągnął rękę do kota, ale ten się cofnął. -Hej! - skarcił go chropawym głosem. -O co chodzi? Znasz mnie. Jestem twoim kumplem.

Angus to wiedział. Mówiło o tym spojrzenie, jakie rzucił Jordanowi.

Może jesteś moim kumplem, ale kim, do diabła, jest ona? - Kot patrzył teraz na Casey nieufnie.

- To córka Conniego. Jest w porządku. Angus nie wyglądał na uspokojonego.

- Nie sądziłam, że Connie był miłośnikiem zwierząt -myślała na głos Casey.

Zawsze wydawał jej się taki sztywny.

- Kotów.

A właściwie tylko Angusa.

Doktor Unger nie przepadał za innymi zwierzętami, nawet innymi kotami.

Angus odwzajemniał to uczucie. Siadywał na kolanach wyłącznie doktora Ungera.

- I Connie na to pozwalał? - spytała Casey, zaskoczona, spoglądając na Jordana.

Popatrzył na nią.

- Chodzi ci o dotykanie? To chyba dotyczyło tylko ludzi. Jeśli chodzi o Angusa, miał miękkie serce.

- Dlaczego?

-Dlaczego kochał Angusa?

- Dlaczego nie kochał ludzi?

Jordan wzruszył ramionami.

Wzruszenie ramionami nie wystarczyło Casey, a choć ten

człowiek niewątpliwie więcej wiedziało kompoście niż ludzkim umyśle, tylko jego miała w tej chwili pod ręką.

- Czy kiedykolwiek napomknął, dał do zrozumienia, że ojciec go bił?

Albo że dorastał z ludźmi, którzy nie znosili być dotykani?

Albo że był molestowany seksualnie?

Ogrodnik rzucił jej suche spojrzenie.

- Jeśli tak było, to najwyraźniej to przewyciężył, skoro cię spółdził.

-Jedna noc.

Tylko tyle czasu spędził z moją matką. A jego układu z żoną nie nazwałabym małżeństwem.

- A jednak wyglądali razem na dość szczęśliwych.

A poza tym może to ona chciała zamieszkać osobno, kto to wie?

- Jeśli tak było – Casey snuła swoje przypuszczenia- to może właśnie dlatego, że nie chciał jej dotykać.

To chyba może doprowadzić kobiety do szaleństwa.

- Nie wszystkie kobiety są takie jak ty.

-Przepraszam! - Cofnęła się.

- Nie wszystkie kobiety traktują siebie jako obiekt seksu.

-Ja też nie.

- Więc tam w ogrodzie, o co chodziło?

- O pokazanie, że jestem inna niż mój ojciec - poinformowała go.

- Lubię być z ludźmi. Lubię dotykać ludzi. Moim największym marzeniem jest budzić się rano koło czyjegoś ciepłego ciała. I nie mówię o psie czy kocie. -Sama nie mogła uwierzyć, że to powiedziała. Nie mogła nawet uwierzyć, że to prawda, ale już się stało. - Nie potrafię sobie wyobrazić, z jakiego powodu mój ojciec tego nie chciał -mówiła dalej. -Miewałam dysfunkcyjnych klientów.

Dysfunkcyjnych społecznie i dysfunkcyjnych seksualnie, ale bardzo niewielu z nich było tak samotnych jak Connie Unger. Był nienormalny. Niezwykle inteligentny, ale nienormalny.

- A ty jesteś normalna -zauważył Jordan. - I też niezwykle inteligentna?

Nie spuściła wzroku.

- Nie.

Nie byłabym w stanie napisać doktoratu, choćby od tego zależało moje

życie.

Miałam trudności w szkole średniej, miałam trudności w college'u, a na kursie magisterskim też nie rzuciłam akademickiego świata na kolana.

Ale jestem bardzo dobrą terapeutką.

- Zerknęła na zegarek. - O rany. - Wstała. - Muszę ruszać. -

Przypomniała sobie o kocie.

Odwróciła się w jego stronę, ale już go nie było.

Spojrzała pytająco na Jordana.

- Wrócił do środka- wyjaśnił. - Czekać. Casey znów zmięкло serce.

- Jakie to smutne. - Podeszła do progu. - Angus? Wróć tu.

- Możesz wejść i go zobaczyć. Mogłaby. Ale jeszcze nie teraz.

- Może później.

- Nie boisz się chyba kota?

Casey rzuciła mu spojrzenie, które mówiło, że się nie boi, i ruszyła przez podest do swego pokoju.

W połowie drogi nagle się odwróciła. Jordan właśnie zdążył się podnieść.

- Te kartony na górze - te z osobistymi rzeczami. Czy są ustawione w jakiś specjalny sposób?

- To znaczy?

- Chronologicznie?

- Nie wiem.

- Pomagałeś mu przenosić rzeczy.

- Nie zaglądałem do środka. To do mnie nie należało. Jestem tylko ogrodnikiem. Casey miała absurdalne wrażenie, że był czymś więcej.

Nie wiedząc, czy to prawda - a jeśli tak, to co to oznacza - poczuła się zagrożona.

- Skoro jesteś tylko ogrodnikiem, to co tu robisz?

- Nie widziała konewki, sekatora ani spryskiwacza.

- Czy nie powinieneś być na dole i zajmować się tulipanami?

- Nie mamy tulipanów.

- No to bratkami.

- Mamy kalinę, agapant, gardenie, werbenę, łubin, orliki,

heliotrop.

Żadnych bratków.

- Tylko tyle?
- Na początek.
- No, to masz sporo pracy.

Przyglądał jej się przez chwilę.

W końcu, unosząc w górę obie dłonie, wycofał się ku schodom.

- Kot jest twój. Rób, co chcesz.

Casey chciałyby spędzić rano, na zmianę przeglądając kartony pozostawione przez Conniego i próbując wywabić Angusa z pokoju. Zanim się jednak ubrała, był już najwyższy czas, by przejrzeć notatki na temat przychodzących tego dnia klientów.

Zrobiła to, jedząc śniadanie, które Meg przygotowała, nie chcąc słyszeć odmowy, a gdy już skończyła jeść, musiała zadzwonić w kilka miejsc. Trzeba było podać nowy adres osobom zapisanym na środę i czwartek, księgowej oraz różnym firmom, z których usług najczęściej korzystała, a także zatelefonować do psychiatry, który będzie wystawiał recepty jej klientom, skoro John opuścił zespół.

Ledwo zdążyła to wszystko zrobić, przybył pierwszy klient.

Później nie miała już czasu myśleć ani o Angusie, ani o pudłach Conniego.

Przebywając z klientem, była skoncentrowana na jego problemach.

Dzisiaj lepiej się czuła w gabinecie - co nie znaczy, że poczęstowała się irysem, choć się nad tym zastanawiała.

Były to bardzo dobre cukierki.

Nieraz chętnie by się podbudowała małą dawką słodczy.

To były jednak cukierki Conniego.

Natomiast dzisiejsze lepsze samopoczucie wynikało z faktu, że urządziła gabinet po swojemu.

Rozłożyła papiery, przesuwając je, i pozostawiła w nieporządnym stosach.

Conniemu by się tonie podobało.

Ale ona nie była Conniem.

Nie była taka porządnicka.

Zorganizowana- tak.

Wiedziała, co jest w każdym stosie papierów.

Ale to były jej papiery, leżące przy jej komputerze, a na półkach z tyłu stały jej książki.

I przychodzili jej klienci. Była im winna całą swoją uwagę. Dopóki

ostatni nie wyszedł, myślała tylko o nich. Była już szósta. Casey czuła się umyślowo wyczerpana. Chcąc chwilę odpocząć, poprosiła Meg o mrożoną kawę i zabrała ją z sobą do ogrodu. Panował upał, było parno.

Jordan przycinał krzewy.

Zaskoczył ją swoją obecnością.

Wciąż był wtorek, niecierpki zostały podlane rano.

Chciała powiedzieć coś inteligentnego, ale czuła się zbyt zmęczona.

Zaniosła kawę na stolik w patio, padła na krzesło i patrzyła, jak pracuje.

Widać po nim było całodzienny wysiłek.

Włosy miał wilgotne, zarost na szczęce wyraźnie ciemniejszy, dzinsy brudne na kolanach i siedzeniu.

Na podkoszulku widniały plamy potu, skóra błyszcząca.

Chciała zaproponować mu coś zimnego do picia, nie był jednak przecież gościem na przyjęciu.

Nie patrzył na nią, ale wiedziała, że jest świadomy jej obecności.

Siedziała, odpoczywała i przyglądała mu się, czując w środku leniwe ciepło.

Nie śpieszył się, obciął najpierw jedną gałązkę, potem drugą.

Odrzucił je, odsunął się parę kroków, przyjrzał się krzewowi, podszedł do niego i przyciął jeszcze coś w paru miejscach.

Wytarł czoło przedramieniem.

Po chwili przesunął wierzchem dłoni po nosie.

Mokre włosy sterczały mu we wszystkie strony.

Skóra na ramionach lśniła wokół paru blizn.

Było mu gorąco.

Już rzeczywiście chciała zaproponować coś zimnego dopicia, gdy upuścił sekator i ściągnął podkoszulek przez głowę.

Wytarł nim twarz, odrzucił, podniósł sekator i wrócił do pracy, ale po paru minutach sięgnął po wąż ogrodowy - którym nawadniał korzenie krzewu - uniósł go w górę, odchylił głowę i pozwolił, by woda swobodnie spływała mu na twarz, ściekała na tors i dzinsy.

Był to wspaniały widok.

Casey z trudem oddychała.

Patrzyła na silną szyję, lekko wystające jabłko Adama, szczupłe, lecz umięśnione ciało i owłosioną pierś.

Biodra miał wąskie, ale nie był zbyt chudy.

Dżinsy opierały mu się na biodrach tak nisko, że widać było strzałkę włosów i zapowiedź pępka.

Patrząc, jak spływa po nim woda, siedziała jak w transie.

A on o tym wiedział.

Niemiała co do tego wątpliwości, ponieważ ani razu na nią nie spojrział.

Rano w jego oczach płonął ogień.

Teraz grał chłodnego faceta, nie zdradzało go nawet naturalne świadectwo męskiego pożądania.

A ona chciała, żeby był podniecony.

To nie byłoby w porządku, gdyby nie czuł tego samego ognia co ona.

Oczywiście zdarzało się pożądanie nieodwzajemnione.

Pociągała biednego Dylana, a sama nic nie czuła.

I to dlatego – stwierdziła kwaśno - że czekała na ogrodnika ojca.

Chemia działała tu na całego.

Jej ciało tętniło.

Nie pamiętała, czy kiedykolwiek jakiś mężczyzna pociągał ją fizycznie w aż takim stopniu.

Przyglądanie się, jak pracuje, było przyjemnością na granicy grzechu.

Ociekając wodą, Jordan zawiesił wąż na gałęzi pośrodku krzewu i wrócił do przycinania.

Nie spuszczała z niego wzroku.

Nie ruszała się, popijała jedynie powoli kawę.

Po prostu siedziała i podziwiała jego ciało, gdy się schylał i prostował, obracał, przycinał i odrzucał gałązki.

Jednak z czasem przyjemność przyglądania się Jordanowi zaczęła słabnąć, wypierana przez coś mroczniejszego, co pojawiło się jak burzowe chmury na błękitnym niebie.

Wiedziała, jak smakuje samotność.

Żyła z nią od dawna, a ostatnio odczuwała ją coraz dotkliwiej.

Teraz, nadchodząc zaraz po tamtych gorących odczuciach, była jeszcze głębsza i smutniejsza - a Casey nie zdążyła się na to przygotować.

Gdy jej oczy wypełniły się łzami, nie mogła nic zrobić, by je powstrzymać.

Nie potrafiła też odejść.

Nie wiedziała, czy to nagłość i gwałtowność uczuć, które na nią spadły, czy też przemęczenie po ciężkim dniu - ale coś trzymało ją w miejscu.

Zażenowana, przycisnęła palce do górnej wargi.

Ten ruch przyciągnął wzrok Jordana. Popatrzył na nią, zmarszczył czoło i ruszył w jej kierunku.

Nie wiedząc, co zrobić, pochyliła się, schowała twarz między kolana i cicho płakała. Chciała przestać, rozpaczliwie chciała przestać, ponieważ wcale nie zamierzała pokazywać się Jordanowi z tej strony. Jednak inne potrzeby były tak wielkie, że nie zdołała ich powstrzymać. Pragnęła czyjejś bliskości. Pragnęła mieć rodzinę. Pragnęła być kochana.

Jordan niewątpliwie nie był tym jedynym. Fizyczny pociąg nie wystarcza, by zbudować związek. W tym momencie dałaby jednak wszystko, by ją objął, przytulił tak mocno, że samotność pękłaby jak balon i znikła.

Choć siedziała z opuszczoną głową/ po bliskości jego głosu wyczuła, że przykucnął tuż przed nią.

- Czy mogę coś zrobić?

- spytał tak łagodnie, że jej ból jeszcze się spotęgował. Cóż on może zrobić?

Nie sprawi, by Caroline się obudziła, nie sprowadzi Conniego na powrót do świata żywych. Nie może przecież opowiadać mu historii swego życia.

Nie był jej terapeutą. Nie był nawet przyjacielem.

Pokręciła przecząco głową.

Wtedy poczuła dotyk, najpierw tak lekki, że mógł być złudzeniem, potem silniejszy.

To była jego ręka.

Położył jej dłoń na głowie, a to dotknięcie przyniosło zaskakującą pociechę.

Przynajmniej przez chwilę nie była zupełnie sama.

Nie poruszyła się, nie chciała, by zabrał rękę.

Jej płacz stopniowo ucichł.

Czasem jeszcze tylko wstrząsał nią spazm, ale powoli się uspokoiła.

- Skończę jutro- powiedział tym samym łagodnym głosem.

Po chwili zabrał dłoń z jej głowy.

Nie podniosła się.

Była zbyt zażenowana.

Słyszała jak sprząta narzędzia, znosi je do szopy, wychodzi przez furtkę ogrodową.

Słyszała, jak zapuszcza silnik, ale odjechał dopiero po kilku minutach. Dopiero wtedy wyprostowała się, wytarła dłońmi oczy i weszła do domu.

Dwadzieścia minut później zadzwonił dzwonek do drzwi. Casey zdążyła przemyć oczy chłodną wodą i poprawić makijaż, czuła się więc bardziej sobą. Mimo wszystko wołałaby, żeby to Meg otworzyła drzwi. Jednakże Meg już niebyło.

Casey zeszła po schodach i wyjrzała przez boczne okienko. Przed drzwiami stała ciemnowłosa i ciemnoskóra kobieta. Ubrana była w obszerną koszulę i spodnie, pod pachą trzymała plik papierów i miała najpiękniejszą cerę, jaką Casey kiedykolwiek widziała - najpiękniejszą cerę i bardzo wystający brzuch, choć poza tym była elegancko szczupła.

Casey otworzyła drzwi z ostrożnym uśmiechem.

Uśmiech, który otrzymała w odpowiedzi, był znacznie swobodniejszy.

- Jestem Emily Eisner i przyszłam, by cię powitać w sąsiedztwie.

Parę dni temu poznałaś już mego męża, Jeffa.

Mieszkamy tu, przy LeedsCourt - machnęła ręką za siebie -po drugiej stronie.

- Pamiętam Jeffa.

Mówił, że jesteś w zaawansowanej ciąży, nie powiedział jednak, że jesteś bardzo piękna.

- I założę się, że nie wspomniał, że jestem czarna - dodała Emily z bezpośredniością która się Casey natychmiast spodobała.

- To ludzi szokuje. Chyba jestem pierwszą osobą mojej rasy, która mieszka tu na Courtna górnych piętrach, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Casey rozumiała.

Wyciągnęła dłoń.

- Jestem Casey Ellis.

Miło cię poznać.

- Wzajemnie - powiedziała Emily, ściskając jej rękę.

Spoważniała.

- Jeff nie wiedział, że jesteś spokrewniona z doktorem Ungerem.

Nie zna ploteczek pomocy domowych.

Moje kondolencje.

- Dziękuję. Ale właściwie go nie znałam.

- To nie ma znaczenia.

Ojciec to ojciec.

Strata to strata.

I wiem, że dopiero co się wprowadziłaś i masz mnóstwo roboty, ale chciałam ci to zwrócić.

- Wyciągnęła papiery-zeszyty z nutami, jak teraz dostrzegła Casey.

-To nuty.

Doktor Unger i ja się wymienialiśmy.

Te należą do niego.

Casey przejęła stosik.

- Grasz na fortepianie?

-Nie tak dobrze jak on.

Uczyłam się, ale aż do niedawna nie bardzo miałam czas na granie.

W gruncie rzeczy chyba bym zwariowała z nudów, gdyby nie pianino.

Zawsze pracowałam, ale potem doszliśmy do wniosku, że bardziej potrzebne nam jest dziecko niż dodatkowy dochód.

W ciągu ostatnich trzech lat dwa razy poroniłam, więc tym razem jesteśmy bardzo ostrożni.

Casey odsunęła się od drzwi.

- Może wejdziesz na chwilę i usiądziesz?

-Och, nie.

- Emily zachichotała. -Uwielbiam stać. -Znów spoważniała. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że brak mi twego ojca.

Nie zadawał się z ludźmi mieszkającymi tu przy Court.

Należałam do tych nielicznych, którzy zapukali do jego drzwi.

Pewnego dnia usłyszałam, jak gra, i nie mogłam się powstrzymać.

- Nie wiedziałam, że umie grać, póki nie zobaczyłam fortepianu.

I mówisz, że był dobry?

Emily uśmiechała się teraz w zamyśleniu.

- Był. precyzyjny.

Nie miał naturalnej łatwości, nie potrafił po prostu wziąć nut i zagrać.

Musiał nad tym pracować, studiować i ćwiczyć, ćwiczyć, ćwiczyć, ale dochodził do dobrych rezultatów.

- Czy brał lekcje?
- Nic o ty mnie wiem.
- Nigdy?
- Tak mówił.

Tym bardziej jego gra była godna podziwu.

Doskonale mógłby grać w zespole kameralnym, ale chyba nikt poza mną i Meg go nie słyszał.

Dla niego było to pewnie coś bardzo osobistego.

- Był nieśmiały -powiedziała Casey. Po raz pierwszy w jej ustach nie miała to być krytyka, tylko obserwacja, i to pełna empatii.

-Bardzo.

Nigdy nie rozmawialiśmy wiele, tylko graliśmy razem.

- Powiedziałaś, że wymienialiście się nutami.

Czy miał jakieś swoje?

- Kilka zeszytów - machnęła ręką lekceważąco –ale mogę wpaść po nie kiedy indziej.

Casey ponownie i bardziej zdecydowanym gestem zaprosiła Emily do środka.

- A gdzie je trzymał?

-W ławeczce przy fortepianie.

Wszystkie nuty tam zawsze przechowywał.

- No to łatwo je znaleźć -powiedziała Casey, prowadząc Emily przez hol do salonu.

Na samym końcu, w cieniu fortepianu, stała ławka.

Zrobiona była z tego samego drewna co instrument i miała tapicerowane siedzenie.

Casey nie przyszłoby do głowy, że się otwiera.

Właściwie dziwniejsze było to, że się zamykała, biorąc pod uwagę, że zawierała trzy stopy zeszytów z nutami, ułożone jeden koło drugiego i.

dużą brązową kopertę, przyklejoną od spodu do kłapy.

Rozdział dziewiąty

LITTLE FALLS

Opierając się stopą na asfalcie, z kaskiem w dłoni, motocyklista krzyknął przez polanę:

- Trochę późno na samotne spacery! - Miał niski, chropowaty głos.

Jenny się nie poruszyła.

- I chłodno -dorzucił. - Gdzie twój transport?

- Ja znaczy on. pojechał.

Skrzywił się, patrząc na mgłę.

- Jest szansa, że ktoś jeszcze będzie tędy przejeżdżał?

Pokręciła głową.

- Więc lepiej wsiadaj. - Przesunął się trochę na siodełku.

Jenny tylko patrzyła, nie mogła się zdobyć na nic więcej.

Rozpoznała kurtkę i buty. I kask.

Teraz dostrzegła także dzinsy i kilkunastu zarost.

Włosy miał równie czarne jak kurtka, buty i motocykl.

Poza tym z bliska wydawał się większy, nawet niebezpieczny.

Darden nienawidziłby go, bo był większy i młodszy niż on.

Poczułby się zagrożony.

Jenny uszczypnęła się w zgięcie łokcia.

Ból był rzeczywisty; seksowny mężczyzna na motocyklu nie zniknął.

Przebiegła przez polanę, zanim zdążył wycofać propozycję przejażdżki.

Jak najlepiej usadowić się na motocyklu?

Nigdy przedtem nie jechała ta kim środkiem lokomocji, a jej ubranie utrudniało sprawę.

Po rozpatrzeniu wszystkich możliwości otuliła sukienką kolano i przerzuciła nogę nad siodełkiem.

Upchnęła fałdy materiału między udami i była gotowa.

- Nieźle - zauważył. W jego głosie usłyszała rozbawienie.

- Dziękuję.

-Włóż to. - Zabrał jej buty, a w zamian wręczył kask.

- A co ty włożysz?

-Nic.

- Ale.

-Jeśli się rozbijemy i zginiesz, będę musiał żyć z poczuciem

winy.

Już lepiej w razie czego, żebym to ja zginął.

Jenny doskonale rozumiała tok jego myśli.

Wiedziała, czym jest poczucie winy.

Nie miała jednak zamiaru teraz zaprzętać sobie tym głowy.

Włożyła kask, który krył jej twarz, był ciepły i pachniał mężczyzną.

Poza tym jego dłonie- duże, zwinne -złapały ją za kolana i przyciągnęły blisko.

Nadal starała się z tym oswoić, kiedy odepchnął się nogą od asfaltu i ruszyli prosto we mgłę.

Serce podeszło jej do gardła.

Uchwyciła rękami kurtkę z boków, za każdym podskokiem motocykla starając się zagarnąć więcej i stopniowo przysunąć się do niego, aż wreszcie pozostało jej tylko otoczyć go ramionami i modlić się o przeżycie.

Była przerażona, ale gdyby się zatrzymał i zaproponował, żeby zsiadła, odmówiłaby.

To było zbyt wspaniałe, żeby zrezygnować.

Nagle motocykl zwolnił.

Zatrzymując się, kierowca postawił stopę na asfalcie.

Była gotowa oponować, bo za żadne skarby świata nie chciała zsiąść, ale wtedy poczuła, że on zmienia pozycję, usłyszała zgrzyt suwaka i szelest skóry.

Podał jej kurtkę.

- Lepiej to włóż.

Trzęsiesz się z zimna.

Rzeczywiście drżała, ale może od wilgoci albo ze strachu, albo z ulgi czy nawet ekscytacji.

Może głównie z ekscytacji.

Dopiero włożywszy kurtkę - dużo za dużą, ale jak cudownie ciepłą -zauważyła, że został w cienkiej bawełnianej koszuli.

- A ty? - zapytała.

- Jest mi gorąco. - Włączył silnik.

Motocykl ruszył z miejsca z rykiem, aż zachrząścił żwir.

Jenny łatwiej było teraz się trzymać.

Motocyklista nie miał grama tłuszczu; jego brzuch był twardy jak deska i przyjemnie ciepły tam, gdzie położyła dłonie.

Zastanawiała się, skąd jest.

Zastanawiała się, gdzie jedzie i czy może zostać, a jeśli może, to na jak długo.

Dojechali do rozdroża.

Wskazała kierunek, a potem jeszcze raz przy kolejnym zakręcie.

Tym razem nie było mowy o strachu.

Czuła, że kierowca ma kontrolę nad motocyklem, więc się odprężyła.

Prując przez noc, miała wrażenie, że okropne szczegóły jej życia tracą na ostrości.

Wyrazisty był jedynie ten mężczyzna, jego motocykl i poczucie, że zaraz zdarzy się coś cudownego.

Ostatni kawałek drogi do domu przebyli z taką łatwością, że po prostu wiedziała, że to przeznaczenie.

Kiedy wjechał na podjazd i zatrzymał się przybocznych, zazwyczaj używanych drzwiach, zdjęła kask i potrząsnęła włosami.

Nie zrobiła jednak żadnego ruchu, by zejść.

- To tu? - spytał.

- Tak.

Odwrócił głowę i zerknął na nią, starając się odgadnąć jej rysy w słabym świetle, padającym z ganku.

- Ktoś jest w domu?

Odwróciła wzrok.

Spojrzała na mgliste zarysy garażu, gdzie stał stary buick Dardena.

- Hm, tak.

- Nie skrzywdzę cię - powiedział ciepłej.

- Zastanawiałem się po prostu, dlaczego nie zsiadasz.

Jeśli dom jest pusty i dlatego się niepokoisz, odprowadzę cię.

- Nie. - Poczowała się głupio. - Nie ma potrzeby. - Dobrze jej było w jego kurtce. Podobał jej się dotyk jego bioder, które obejmowała udami.

Nie chciała, by odjechał.

- Może wejdiesz? - spytała szybko, schodząc z motocykla.

Spojrzał na nią przeciągle, potem pokręcił głową.

- Nie jestem typem faceta, którego byś chciała w domu na dłużej.

Odwróciła wzrok.

Była to delikatna odmowa, ale delikatność była dla niej czymś nowym,

więc znów na niego spojrziała.

- Dlaczego nie?

- Po prostu nie jestem.

-Ale dlaczego?

Westchnął.

- Bo jestem przejazdem. Faceci przejazdem robią różne rzeczy, nie myśląc. Czują się samotni. A kiedy są samotni, stają się samolubni. Ja jestem samolubny, czy to samotny, czy nie. -Znów pokręcił głową. - Na twoim miejscu nie ryzykowałbym.

Jenny nie miała jednak wyboru.

Żadnego wyboru.

- Skąd jesteś? - zapytała, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie, jakby po prostu prowadziła konwersację, jak by taka sytuacja była dla niej chlebem powszednim.

Nie chciała, żeby wiedział, jak strasznie czuje się zdesperowana.

To by go wystraszyło.

Poza tym naprawdę chciała znać odpowiedź.

Nie był z tej okolicy - można to było wyczuć po jego sposobie mówienia.

I ten wygląd - ta smagła tajemniczość.

Nie mogła oderwać od niego oczu.

- Gdzie się urodziłem? Na zachodzie.

- Naprawdę? Gdzie?

- W Wyoming, kawałek na południe od Montany.

Nie wierzyła własnym uszom.

Marzyła, żeby pojechać do Wyoming, kawałek na południe od Montany.

Konie, bydło, bizona.

Wielkie, otwarte przestrzenie.

Mili ludzie, pragnący żyć i dać żyć innym.

- Już od dawna tam nie byłem - powiedział.

-Masz tam rodzinę?

- I to jaką.

Wprost nie mogła uwierzyć. Jej marzenie!

- Dużą rodzinę?

-Jeszcze jak.

Duża rodzina, duża odpowiedzialność, duże poczucie winy.

Jak powiedziałem, od dawna tam nie zaglądałem.

- To gdzie byłeś?

-Tu i tam.

- Nie znam tych miejsc.

Wydał z siebie dźwięk, który mógłby być śmiechem, gdyby rozwarł wargi.

- No to gdzie? - nalegała.

Już rozmawiała z nim dłużej niż z kimkolwiek innym w tym miesiącu, a on nadal nie odchodził i nie patrzył na nią, jakby była niczym.

- W Atlancie, Waszyngtonie, Nowym Jorku i Toronto.

-Co robiłeś w tych wszystkich miastach?

- Udowadniałem, że nie jestem głupszy od innych.

-A nie jesteś?

- Oj, nie.

-Więc co tu robisz?

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Staram się zrozumieć, dlaczego bycie mądrym mnie nie uszczęśliwia.

-Znalazłeś już odpowiedź?

- Nie. Nadal szukam.

I ona spojrzała mu w oczy; dostrzegła w nich coś ciepłego.

-Jesteś głodny?

- Głodny i zmęczony. Jadę od świtu.

- Mogę ci zrobić coś do jedzenia.

-To znaczy, że musiałbym wejść do domu.

Już ci mówiłem, że to niedobry pomysł.

- Samotny i samolubny.

-Właśnie.

- Co to znaczy?

-Zgadnij.

- Nie wiem.

Dopiero po chwili powiedział:

- Ty naprawdę nie wiesz. Pokręciła głową.

- Widziałem cię dzisiaj na tańcach.

Wiedziałaś?

Potaknęła.

- Nie zwróciłem uwagi na nikogo innego.

Nie mogłem, po tym jak ujrzałem ciebie.

Jenny mu nie wierzyła.

- Na pewno widziałeś Melanie Harper. Była na schodach.

Wiesz, blond włosy. - Gestem pokazała duże piersi.

- Blond jest dużo mniej atrakcyjny niż rudy.

Jenny dotknęła swoich włosów, gotowa się sprzeczać, ale spojrzawszy na niego, dała spokój.

Uśmiechnęła się więc, a potem roześmiała.

A potem jeszcze zakryła twarz dłonią.

Odsunął jej dłoń.

- Jesteś niezwykle atrakcyjna.

Znów chciała zaprotestować, ale patrzył na nią, jakby był szczery, a potem spojrzał na jej piersi- tylko przez chwilę, ale zrobił to specjalnie.

- To ta sukienka - powiedziała.

Pokręcił głową.

- Więc lepiej, żebyś nie wchodził.

Już od zbyt dawna nie jadłem domowego posiłku.

- Znów miał chropowaty głos, zaśpiew odpowiadający jej wyobrażeniom o Wyoming, kawałek na południe od Montany.

Zapomniała o włosach i piersiach.

- Domowa kuchnia to moja specjalność.

Prowadzę usługi cateringowe.

- Było to drobne kłamstwo, nic takiego, zaledwie jedno zmienione słowo.

-Jutro organizuję obiad i przypadkiem mam w lodówce klopsy domowej roboty.

Mogę je podgrzać w minutę.

- Klopsy domowej roboty?

-Nadziewane papryką, cebulą i bakłażanem.

Jęknął cicho.

- Jeśli je zjem, co podasz jutro?

-Mam ich tyle, że mógłbyś zjeść całe tuziny i nikt by nie zauważył.

Wydawał się poważnie rozpatrywać jej propozycję.

- Proszę - powiedziała, starając się, by jej głos nie brzmiał błagalnie.

Motocyklista był po prostu zbyt przystojny.

Taki, jakiego pragnęła spotkać dziś wieczorem.

A poza tym wyglądało na to, że mu się podoba.

Znów uszczypnęła się w zgięcie łokcia i poczuła ból.

Nie, to nie sen. I owszem, naprawdę mu się podoba. Widziała to po sposobie, w jaki na nią patrzył. Sprawiał, że ich oczom łatwo się było spotkać.

Musi zostać. Gdyby teraz odjechał, umarłaby.

- Dobrze - zgodził się. - Tylko coś zjem. Jeśli nie sprawi cito kłopotu.

Odwróciła się od motocykla i weszła tylnymi schodkami do kuchni, nie oglądając się za siebie ani razu.

Wiedziała, że za nią pójdzie, bo nadal miała jego kurtkę i kask.

Położyła kask na blacie i podeszła do lodówki.

Czekały tam na nią cztery tace nadziewanych klopsów.

Wyjęła dwie i włączyła piekarnik.

Tylne drzwi się zamknęły.

Odwróciła się i wstrzymała oddech.

Od lat żaden mężczyzna nie wszedł do jej kuchni, a ten był nawet wyższy, niż myślała.

Mierzył chyba ze dwa metry.

Solidny jak skała.

Był też niezwykle przystojny.

Może nie tak przystojny jak gwiazdorzy filmowi –na przykład Tom Cruise czy Brad Pitt –ale lepszy niż ktokolwiek, kogo widywała w Little Falls.

Poza tym podróżował po całym kraju, a to w jej oczach jeszcze dodawało mu uroku.

Przełknęła ślinę i starała się wymyślić coś, co mogłaby powiedzieć.

Omiotła kuchnię wzrokiem, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Pomógł jej.

- Masz bardzo czystą kuchnię.

Odchrząknęła.

- Zawsze sprzątam po gotowaniu.

Zrobiłam klopsy dziś popołudniu.

I ciasteczka cytrynowe na potańcówkę.

-Żałowała, że nie zostawiła kilku, żeby go poczęstować, ale podejrzenie szybko zniknęły zaraz po tym, jak położyła je na stole.

Może te starsze panie je wyrzuciły.

Ich strata.

Ten mężczyzna zjadłby je do ostatniego okruszka.

- Jak masz na imię?

- spytała.

- Pete.

Pete.

Ładnie.

Brzmiało prawdziwie.

- Ja nazywam się Jenny.

-Nie tak cię nazywał ten facet na tarasie.

Nabrała powietrza.

- Słyszałeś to?

Co jeszcze?

- Tylko końcówkę.

Zachowywał się wstrętnie.

Jeszcze minuta i zmusiłbym go, żeby się zamknął.

Jenny się zaczerwieniła.

Nikt i gdy jej dotąd nie bronił.

Był tak idealny, że aż nie mogła uwierzyć; taki wysoki i przystojny, że nie wiedziała, gdzie podziać oczy.

Starła się odwrócić wzrok, ale zamiast tego spojrzała na jego tors.

- Oj, rany, masz mokrą koszulę.

Chcesz suchą?

Mój ojciec ma ich pełną szafę.

- Suchych i ładnie uprasowanych.

Ależ, to głupie Jenny", Pete nie chciałby wyprasowanej koszuli.

Może w mieście.

Ale nie w Wyoming, kawałek na południe od Montany.

I nie tu.

Teraz zauważyła, że jego koszula jest batystowa, miękka jak puch, wcale nie wyprasowana.

Miała ochotę znów jej dotknąć, jak w czasie jazdy na motocyklu, ale bała się, że uzna ją za zbyt bezpośrednią.

Zamiast tego wskazała w kierunku przedpokoju.

- Łazienka jest tam. Po prawej. Chcesz piwa?

- Pewnie. - Zniknął w przedpokoju.

Jenny włożyła tace do piekarnika i zostawiła drzwiczki leciutko uchylone.

Temperatura rosła.

Odsunęła się i przycisnęła dłonie do policzków.

Promieniowały gorącem, domyśliła się, że są czerwone jak piwonie.

Nie żeby ją to obchodziło.

Nie dzisiaj.

"Nie zwróciłem uwagi na nikogo innego.
Nie mogłem, po tym jak ujrzałem ciebie".

Starła się zachować spokój, ale w głębi czuła się tak lekka - tak lekka i równocześnie tak pełna, tak bliska eksplozji, że prawie tańczyła, otwierając lodówkę.

Stały tam cztery zgrzewki piwa Sam Adams, kupione na zamówienie Dardena, na jego powrót.

Uznała, że nie zauważy, jeśli będzie brakować jednej butelki.

A jeśli zauważy, to powie mu, gdzie zniknęła, a jeśli mu się to nie spodoba, to porozmawia o tym z Pete'em.

Pete nie da sobie w kaszę dmuchać.

Nie Pete, który teraz właśnie wracał, jak zapowiadały to pewne siebie kroki i mroczny baryton.

- Jestem pod wrażeniem.

Jeśli sądzić po tamtym lustrze, jesteś rozchwytywana.

Jego wygląd znowu zrobił na niej wrażenie.

Świeżo umyta skóra wokół oczu i ślady przeczesań palcami gęstych czarnych włosów sprawiły, że wyglądał jeszcze lepiej.

- Dużo przyjęć - powiedział.

- Na pewno masz mnóstwo przyjaciół.

Zacytowała ulubione zdanie Miriam:

- "Przyjaciele zjawiają się nie wiadomo skąd, jeśli to ty gotujesz".

- Podała mu butelkę Sama Adamsa.

Wziął ją za szyjkę, ale nie uniósł od razu do ust, tylko trzymał i patrzył na Jenny.

- Catering, tak?

"Powiedz mi prawdę".

- Neat Eats.

-Fajna nazwa. Od dawna to prowadzisz?

"Powiedz prawdę, Jenny".

- Pracuję od. - spojrzała w sufit -jakichś pięciu lat.

Tonie było kłamstwo.

Skończyła szkołę z rocznym opóźnieniem ze względu na śmierć matki i te inne rzeczy.

Nieco później Dan załatwił jej pracę u Miriam.

- Zaczęliśmy od imprez lokalnych.

Potem zaczęli dzwonić ludzie spoza miasta.

Teraz czasem musimy jechać dwie albo trzy godziny.

Zorganizowałyśmy nawet imprezę w Salem.

To koło Bostonu.

Rozejrzał się po kuchni.

- Chyba nie gotujesz tego wszystkiego tutaj?

-Och, nie.

Mamy duży lokal w mieście.

I samochody, i ciężarówkę - dorzuciła, bo z pewnością się zastanawiał.

-Specjalnie zachowałam staromodną kuchnię.

Przypomina mi o moich korzeniach.

Tu nauczyłam się gotować.

- Nie miała pojęcia, dlaczego to powiedziała.

Dobra, to była prawda, ale nie lubiła sobie o tym przypominać.

Wydawał się zadowolony.

- To miła odmiana spotkać w obecnych czasach kobietę, która przyznaje, że lubi gotować.

Jesteś jedną z niewielu poznanych przeze mnie dziewczyn, które zajmują się kuchnią, jeśli nie liczyć moich sióstr.

Polubiłabyś je.

No pewnie, że by polubiła.

Zawsze chciała mieć siostrę i byłaby szczęśliwa, mając tylko jedną. Pete miał ich kilka.

- Mogę się założyć, że masz książkę ze starymi rodzinnymi przepisami - powiedział.

-Nie, prawie wszystko przekazywaliśmy sobie ustnie.

- Wyraźnie usłyszała wrzask, jakby jej matka stała tuż obok, a nie umarła wiele lat temu.

"Na litość boską, Mary Beth, nie masz się co zastanawiać.

Po prostu posiekaj, co tam jest, i wrzuć na patelnię z jajkami i masłem.

Będiesz miała posiłek".

Jenny poczuła drapanie w gardle.

- Jak jest w Wyoming?

-Pusto i przestronnie.

Wzięła głębszy oddech.

- Ile was jest w rodzinie?

-Według najnowszych danych?

Trójka dziadków, dwoje rodziców, pięcioro rodzeństwa, czwórka szwagrów i szwagierek oraz jedenaścioro siostrzeńców i bratanków.
A u ciebie?

- Nikogo.

-Jak to nikogo?

- Moi rodzice nie żyją.

- "Wstydz się, Jenny!" - Nie, to nieprawda. - Obejrzała sobie paznokcie.

-Mój ojciec żyje. Ale już dawno go nie ma.

- Czyje to ubrania na wieszaku? W przedpokoju.

Zapomniała o nich.

Dwie kurtki Dardena, prochowiec, a poniżej buty.

Wszystko wyglądało świeżo i czysto, bo też było świeże i czyste.

Przyniosła je z garażu, przewietrzyła, przetała i powiesiła na wieszaku jakiś tydzień temu, żeby Darden myślał, że zawsze tu wisiały, tak jak sobie życzył.

Usłyszała skwierczenie.

- Och, Boże! -jęknęła.

Obróciła się i otworzyła piekarnik.

Klopsy były już aż nazbyt gotowe.

Położyła tacę na blacie i sięgnęła po talerz i widelec.

- Czy mogę pomóc?

Pokręciła głową i wskazała mu krzesło.

Za chwilę podała pełny talerz.

Zjadł wszystko, a potem dokładkę i jeszcze drugą, ale nie rzucił się na jedzenie.

Miał dobre maniery.

Jeśli przerywał, to żeby powiedzieć, że jedzenie jest pyszne.

Jenny wystarczyło siedzieć i patrzeć, jak je, uśmiechać się, jeśli na nią spoglądał, podawać dokładki.

Jednocześnie cały czas szczypała się w zgięcie łokcia, bo nigdy przedtem nie miała tyle szczęścia i chciała być pewna, że to nie sen.

- To najlepszy posiłek od lat - powiedział wreszcie Pete, kiedy w końcu odsunął krzesło.

Zerknął na tacę.

- Zjadłem wszystkie klopsy.

Jesteś pewna, że nie narobiłem ci kłopotów?

- Nawet nikt tego nie zauważy - powiedziała Jenny i zaniósła

talerz do zlewu.

Obmyła go i spłukała.

Właśnie kładła go na suszarkę, kiedy Pete zawołał ją po imieniu.

Obejrzała się.

Marszczył czoło, patrząc na jej łydki.

Obciągnęła sukienkę.

- Słucham?

-Co to za ślady?

- Och, to nic.

Wypadek, kiedy byłam mała.

- Uśmiechnęła się.

-Pokazać ci coś?

- Jasne.

Zaprowadziła go do przedpokoju i schodami w górę.

Musieli przejść przez jej sypialnię, ale nic nie można było na to poradzić.

Zachowywała się normalnie, jakby zapraszanie mężczyzn do sypialni było dla niej czymś zwyczajnym, i tak to zresztą wyglądało, z powodu tego dużego łóżka i jedwabnych prześcieradeł, które Darden jej kupił. Te również dopiero co wyciągnęła ze schowka.

Zerknęła za siebie na Pete'a - dla otuchy.

Potem otworzyła drzwi do schowka, odsunęła zagradzającą drogę starą koldrę i ściągnęła drabinę wiodącą na strych.

Później wystarczyło parę kroków po szorstkiej, drewnianej podłodze, żeby dostać się do frontowego szczytu domu.

Okno łatwo się otworzyło.

Bóg wie, że często je otwierała.

Siadła na parapecie i przerzuciła nogi na zewnątrz.

- Jenny, co robisz? - zapytał Pete za jej plecami.

Wyprostowała się i ześlizgnęła.

- Mój Boże, Jenny.

Nagimi stopami z dużą wprawą oparła się na rynnie.

Przesuwała się, aż szczyt się skończył i zamienił w połacie dachu, a potem posunęła się jeszcze trochę, żeby zrobić miejsce dla Pete'a.

- Jenny! – ostrzegł ją z okna, tak jak robił to Dan O'Keefe zakaz dym razem, kiedy któryś z sąsiadów doniósł, że widział ją na dachu.

Uśmiechnęła się.

- Spójrz na ten widok. Czy nie jest genialny? Pojawiła się noga.
Obcas zahaczył o rynnę.

- Widzę mgłę.

-Zaczekaj, mgła się przesuwa.

Pojawiła się druga noga i wyprostowała. Dołączył do niej bez żadnego wysiłku. Tak jak ona oparł się na łokciach. Wtedy mgła się podniosła.

- Miasteczko wygląda jak zbudowane z klocków dla dzieci - powiedział.

- Opowiedz mi, co jest co.

- Ten równy rząd świateł - wskazywała palcem -to centrum miasta.

Te chaotyczne światełka to boczne ulice.

Tam? To szkoła. A tam? Biblioteka.

I wieża kościelna.

- A to co? - Wskazywał daleko na lewo.

- Kamieniołom. Sto lat temu wydobywali tu granit.

Kiedy skończyli, wyrwa po prostu wypełniła się wodą, więc ludzie z miasteczka mają gdzie chodzić pływać.

Legenda mówi, że jeśli chcesz mieć udane małżeństwo, to tam trzeba się oświadczyć.

Ja chcę tylko kąpieli o północy, księżycu, gwiazd, no wiesz.

Te światła, które widzisz, to reflektory samochodów.

Ludzie parkują tuż nad brzegiem.

- Przyjeżdżają się kąpać?

-Raczej nie.

Uśmiechnął się do niej tak znacząco, że poczuła ucisk w brzuchu.

- Aha, kochankowie.

No proszę.

Byłaś tam kiedyś?

- Dziesiątki razy - powiedziała nonszalancko, jakby była rozchwytywana.

Potem pomyślała o wszystkich tych Selenach Battle, które naprawdę były tam dziesiątki razy.

Nie chciała, by Pete wziął ją za jedną z nich.

Przyznała więc: - Skłamałam. Byłam tam tylko parę razy. - Urwała i

dodała cicho: - Popływać. Za dnia.

Uśmiechnął się wtedy do niej szerokim, jasnym uśmiechem, odstaniającym zęby, a potem poprawił wszystkie niesforne kosmyki na jej głowie.

- Cieszę się - powiedział. Była szczęśliwa, słysząc to.

Chciała, żeby lubił ją mimo wszystkich okropności.

A ponieważ uśmiechnął się, kiedy wyznała mu prawdę, dorzuciła również:

- Skłamałam też, mówiąc, że prowadzę catering.

Pracuję w cateringu, ale nie jestem właścicielką firmy.

- Ale gotujesz.

-Tak.

- I podajesz, i czyścisz, i robisz wszystko, co ci powie szef.

Skinęła głową.

- Więc prowadzisz catering - uznał.

- A poza tym – rzucił okiem na miasteczko - nie musisz mieć firmy, jeśli masz taki widok.

- To prawda - powiedziała z przekornym uśmiechem. -Mam ten widok.

- Wiedziała, że zrozumie. Dlatego go tu zaprowadziła.

Skrzyżowała nogi, wzięła głęboki oddech - taki, który wypełnił jej płuca po raz pierwszy od wieków - i rozkoszowała się chwilą.

- Mówią, że niebezpiecznie tu przychodzić.

Że mogę się poślizgnąć.

Ale ja się nie boję.

Poza tym tutaj jestem kimś. To mój widok. Mogę na niego patrzeć albo zamknąć oczy, albo nawet odwrócić się plecami.

Mogę robić, co zechcę.

Tutaj tylko ja decyduję.

- Większość ludzi nazywa to władzą - powiedział Pete.

-Ja nazywam to wolnością - odparła Jenny.

- To tak jak być wysoko na wzgórzach nad ranczem, mając twardą ziemię pod stopami i nieskończone niebo, i gwiazdy, i księżyc nad głową.

Trochę jak twój kamieniołom, tylko bez wody. Spodobałoby ci się tam.

Na pewno.

Jednak wolność smakowałaby inaczej, gdyby Jenny była tam z Pete'em.

Tak jak była inna w jego towarzystwie tutaj i teraz.

Mniej samotna.

Lepsza.

Mogła być wolna i cieszyć się wolnością.

- Zostań na noc - szepnęła.

Kiedy spojrział jej w oczy, dodała szybko: - Tylko się przespać.

Powiedziałeś, że jesteś zmęczony.

Mam wolny pokój.

- Narzucam się.

-Nie.

- Ledwie mnie znasz.

-Znam wystarczająco.

Prześlizgnęła się nad nim - "Och, Boże!

" Ciepło i twardość jego ciała pod nią!- i wróciła na strych.

Ale to on pierwszy zszedł po drabinie, a potem odchylił kołdrę, żeby bezpiecznie wróciła do domu.

Zaprowadziła go do pokoju gościnnego i wróciła do swojej sypialni.

Zostawiając drzwi otwarte, zdjęła sukienkę, która tak wspaniale posłużyła jej tego wieczoru, a potem starannie ją odwiesiła.

Włożyła koszulę nocną i wślizgnęła się do łóżka, wyobrażając sobie, jak Peteśpi po drugiej stronie holu.

Jedwabne prześcieradła drażniły ją jednak, więc wyczołgała się z łóżka zupełnie rozbudzona.

Jej wzrok padł na czasopismo leżące na krześle.

Sięgnęła po nie i przewracając strony, przeniosła się raz jeszcze do Jeffrey City, Shoshoni, Casperi Cheyenne.

Po chwili zamknęła czasopismo i odłożyła na półkę.

Noc była cicha.

Stojąc pośrodku pokoju, nasłuchiwała uderzeń serca Pete'a.

Ale jej puls bił zbyt głośno, odzwierciedlając nawałnicę szalejącą w dziewczynie.

W przeszłości takie burze przeżywała z powodu strachu i obrzydzenia, teraz jednak odczuwała coś nowego i wspaniałego.

Zdjęła koszulę nocną przez głowę.

Opuszkami palców przesunęła po rowku między swymi piersiami.

Zamknęła oczy.

Odrzuciła głowę w tył.

Wyobrażała sobie, że Pete ją widzi, że ją kocha, i to dało jej takie poczucie pełni, że prawie krzyknęła.

Nie chciała jednak krzyczeć.

Nie chciała go obudzić.

Wzięła więc starą kołdrę, której przedtem dotknął, i – nadal naga -otuliła się nią od stóp do głów.

Potem wyciągnęła się na podłodze i oparła głowę na miękkiej poduszce nadziei.

Rozdział dziesiąty

Jenny obudziła się z odciskiem poduszki na policzku i przecuciem, że Pete'a nie ma.

- A czego się spodziewałaś?- spytała swego odbicia w lustrze z buzią pełną pasty do zębów.

-Dlaczego miałby zostać tu z tobą, kiedy może mieć, kogo chce, a one są przecież ładniejsze i bystrzejsze, i czystsze niż ty?

- Splunęła do umywalki.

-Masz szczęście, że został, ile został!

Przeplukwała usta, potem jeszcze raz, a potem kolejny raz, bo znów czuła gęsty smak strachu.

Zostało jej trzy dni. "Zrób coś, Jenny". Ale co?

Wyszorowała już i tak czystą łazienkę.

Wyszorowała już i tak czystą kuchnię.

Opróżniła szafę w przedpokoju, wszystko wytrzepała i włożyła z powrotem.

Wreszcie –ubrana w niebieską koszulkę polo, szorty, podkolanówki i tenisówki, czyli uniform Neat Eats na imprezy nieformalne - wyjęła tace z faszerowanymi klopsami z lodówki i zapakowała je do torby termicznej Miriam.

Przewiesiwszy torbę przez ramię, ruszyła do miasta.

Mgła nie była tak gęsta jak zazwyczaj.

Niezaszła daleko, kiedy minął ją fair lane Merie'a Little'a.

Wbiła wzrok w pobocze, nie oczekując pozdrowienia, które i tak nigdy by nie nadeszło.

Powitały ją za to kundle Boothów.

Ledwie zrównała się domem, kiedy zerwały się z werandy i rzuciły przez trawnik, szczekając na całe gardło.

Nie było sposobu, żeby się z nimi zaprzyjaźnić.

Jenny wyobraziła sobie, że wiedzą o niej wszystko i po prostu bardziej otwarcie niż ludzie okazują niechęć.

- Och, cicho już - mruknęła, przechodząc, i znów wbiła wzrok w drogę.

Brama wjazdowa Johnsonów zaskrzypiała, a dalej ukazał się śliczny widok.

Mgła podniosła się i Jenny mogła zobaczyć kwiaty wypełniające ogródek Farinów.

Kochała kwiaty.

Najlepsze dni - naprawdę najlepsze - to te, kiedy kwiaciarze wynajmowani wraz z cateringiem zostawiali resztki przy drzwiach. Czasem pąki były już zwiędłe, ale czasem, jeśli zaopiekowała się nimi wystarczająco wcześnie, miała bukiet do domu.

Kwiaty zamieniały jej kuchnię w jakąś wyśnioną krainę.

Kwiaty Farinów były piękne -wiele klombów o różnych kolorach i kształtach - zmieniające się wraz z porą roku.

Jenny nie umiała powiedzieć, czy woli wiosenny róż, czerwień i błękit lata, czy żółcie i brązy jesieni.

Takie właśnie barwy przybrał ogród teraz - pomarańczowe nagietki i jej ulubione złocistobrazowe rudbekie.

Zachłysnęła się i prawie upuściła torbę, kiedy stary Farmanagle wstał z za kwiatów.

- Myślisz, że lepiej byś sobie poradziła?- rzucił kłótliwie.

-Wcale nie.

Tak mało deszczu było tego lata, że wszystko uschło.

- Machnął laską w jej stronę.

-Więc nie patrz na mnie z góry, panienko.

Nie masz ani jednego kwiatka na całym swoim podwórku.

Hańba. Wielka hańba.

Nie zwracając uwagi na jego gadanie, skupiła się na brzozech po drugiej stronie drogi i szła dalej.

Brzozy przy najmniej nie szukały z nią zwady.

Nie mogły też zrealizować jej marzeń, choć Bóg wie, że o to błagała.

Zapisywała kolejne życzenia na pasmach kory brzozowej i wrzucała je do ognia, ale żadna z jej próśb się nie spełniła.

Mimo to kochała brzozy.

W dni takie jak ten ich pnie wyglądały jak perły.

Albo skóra.

Zmarszczyła brwi.

Kurtka? Buty? Czy były tam?

Przeszukała wzrokiem cienie między drzewami, przeszukała drogę.

Nic. "To kto cię teraz uratuje, Jenny Clyde?". Nie wiedziała.

Minęła szybkim krokiem dom Essie Bunch, dźwięki telewizora, warkot kosiarki.

Na przecznicy przed kuchnią NeatEats zajechał jej drogę Dan O'Keffe.

- Właśnie zadzwonił do mnie John Millis.

Będzie kuratorem sądowym Dardena.

Dopytywał się o ciebie.

Poczuła skurcz w brzuchu.

Kuląc się z bólu, położyła torbę na krawężniku, klęknęła i złapała za suwak.

- Co chciał wiedzieć?

-Pytał, czy pracujesz, a jeśli tak, to czy przestaniesz, kiedy Darden wróci.

- Dlaczego miałabym rzucić pracę?

-Żeby pomóc mu rozkręcić na nowo firmę.

Darden pewnie im powiedział, że tak zrobisz.

Przypomniała sobie, co powiedział Dudley Wright: "Może mu to zająć trochę czasu".

- Czyli dalej będziesz pracować u Miriam?

Nie miała wyboru.

Nie chciała pracować z Dardenem.

Nie chciała widzieć Dardena, słyszeć Dardena, czuć Dardena.

Nie chciała być nigdzie w pobliżu Dardena.

- Poproszę ją o więcej godzin pracy.

Chcę być dłużej zajęta, rozumiesz?

Była to jej przedostatnia deska ratunku, bo ostatnia to ktoś taki jak Pete, kto zabierze ją gdzieś, gdzie Darden jej nie znajdzie.

Powrót Dardena był jej karą.

On odsiedział swoją, teraz nadeszła jej kolej.

Zanim Dan zdołał coś powiedzieć - coś, co i tak już wiedziała, ale czego nie mogła zmienić - wstała, zasunęła torbę i odeszła.

- Och, Jenny, tak mi przykro - powiedziała Miriam, kiedy Jenny wreszcie zebrała się na odwagę, żeby przedstawić swoją prośbę.

Minęło już czterdzieści minut czterdziestopięciominutowej trasy do domu od miejsca, gdzie organizowały obiad.

Reszta ekipy - trzy osoby -jechała drugim samochodem.

Była sama z Miriam w furgonetce.

Do tej pory żadna z nich się nie odezwała.

Ale cieszę się, że poruszyłaś ten temat.

Nie wiedziałam, jak zacząć tę rozmowę.

Jenny nie podobał się sposób, w jaki Miriam na nią patrzyła.

- Zamykam Neat Eats.

Jenny uznała, że musiała się przesłyszeć.

Znieruchomiała, mając nadzieję, że słowa znikną.

- Nie przyjąłam żadnych zamówień na następne miesiące.

Zamykam firmę.

Wiadomość była jasna, ale dla Jenny nie do przyjęcia.

- Nie możesz zamknąć.

-Też to sobie mówiłam: dobrze mi tu, mam spore zamówienia, nieźle zarabiam.

Więc dawałam sobie miesiąc, potem jeszcze miesiąc, ale teraz jestem w sytuacji bez wyjścia.

- Ja kto?

-Pamiętasz mojego brata, tego, co ma restaurację w Seatle?

Już dawno prosił mnie, żebym przyjechała do niego na szefa kuchni, a ja mu mówiłam, że nie mogę zostawić firmy.

Ale teraz będzie musiał zamknąć lokal, chyba że coś się diametralnie zmieni.

A ja jestem jego jedyną szansą na tę zmianę, rozumiesz?

Jenny nie rozumiała.

Wiedziała tylko, że pracuje w Neat Eats, a jeśli firma zniknie, to ona znajdzie się bez pracy.

A Darden wraca do domu.

Zrobiło jej się niedobrze.

Przełknęła ślinę.

Miriam rzucała jej nerwowe spojrzenia.

- Nikt w mieście jeszcze nie wie.

Chciałam wam powiedzieć za tydzień.

Będiesz miała czas, żeby rozejrzeć się za inną pracą.

Wiem, że dla ciebie to wszystko wypada w złym momencie, ale nie mam innego wyjścia.

Jenny szukała przyczyny.

- Czy moje klopsy były niesmaczne?

-Twoje klopsy były pyszne.

To nie ma nic wspólnego z tobą.

- To nie z powodu zielonego talerza?- Wyślizgnął jej się z rąk.

- Zielony talerz. wykałaczkę. śmietana wylewająca się z sosjerki. miałas dziś zły dzień. Chyba wiem, dlaczego.

Jenny przycisnęła rękę do brzucha. - Jestem trochę zdenerwowana.

-Nie powinnaś.

To twój ojciec.

Nigdy nie podniósłby na ciebie ręki.

Poza tym przecież nie będziesz go widziała po raz pierwszy.

To prawda.

Jenny jeździła z wizytą co miesiąc.

Była to długa, gorąca, mdląca podróż autobusem, którą odbywałaby radośnie do końca życia, gdyby tylko chcieli tak długo trzymać Dardena.

Odwróciła się teraz do Miriam błagalnie.

- Jego powrót nic nie zmieni. Będę tak skrupulatna jak zawsze.

Obiecuję. Potrzebuję tylko więcej pracy.

- A co z nim?

On też może pracować.

- Nie chodzi o pieniądze.

Chodzi o zajęcie.

- Neat Eats było jednym z nielicznych miłych aspektów jej życia.

-Przyjmij więcej zamówień, Miriam.

Będę ciężko pracować.

Nie musisz mi nawet płacić za dodatkowe godziny.

Miriam zaśmiała się nerwowo.

- Jenny, to nie ma nic wspólnego z tobą.

-Więc z Dardenem, ma coś wspólnego z Dardenem, prawda?

Boisz się, co się stanie, kiedy wróci.

Ale on nic ci nie zrobi.

Nie jest mordercą.

- Jenny - powiedziała Miriam, wzdychając, ze wzrokiem wbitym w szosę.

- Proszę.

Nie utrudniaj czegoś, co już i tak jest niełatwe.

Znajdziesz inną pracę.

- Gdzie?

-Może jako kelnerka w zajeździe koło Tabor?

Jenny pokręciła głową.

Taka praca nie miała wiele wspólnego z tym, co robiła dla Miriam.

Miriam dawała jej zajęcia głównie na zapleczu, a nawet jeśli podawała jedzenie, to nie było to samo.

Jadłospis był ustalony.

Nikt nie zamawiał nic osobno.

Rzadko kiedy musiała rozmawiać z gośćmi.

Tymczasem praca kelnerki oznaczała, że będzie musiała podawać milion różnych Dan milionowi różnych ludzi, którzy znali miliony sposobów, żeby powiedzieć, jaka jest beznadziejna.

Pracując jako kelnerka, musi patrzeć ludziom w oczy.

Musi wyjść im naprzeciw, bezbronna.

- Do Tabor nie jeździ żaden autobus.

- Może ojciec mógłby cię podwozić.

Jasne, że mógłby.

Uwielbiałyby intymność podróży samochodem tam i z powrotem, uwielbiałyby w ten sposób ingerować w jej życie.

Z radością też odstraszałyby przyjaciół, jakich mogłaby poznać - tak jak przedtem.

Oszalałyby.

Miriam chyba wyczuła jej sprzeciw, bo powiedziała:

- To może spróbuj w piekarni u nas w mieście.

Annie jest w zaawansowanej ciąży.

Mark będzie potrzebował kogoś na zastępstwo.

Jenny złapała za klamkę drzwi samochodu i spojrzała przez okno.

Mark Atkins nie da jej pracy, szczególnie po powrocie Dardena.

- Jenny?

- Miriam rzucała krótkie spojrzenia na jej ramię.

-Co to za czerwony ślad?

Nieo parzyłaś się przypadkiem?

Jenny potarła ślad w zgięciu łokcia.

Nie mogła powiedzieć, że sama się szczypała.

Miriam pomyślałyby, że oszalała.

- Musiałam się gdzieś uderzyć - odparła więc.

-Dzisiaj?

Przy pracy?

- Nie, wczoraj wieczorem.

-Uff.

Już się martwiłam.

Obrażenia przy pracy to ostatnia rzecz, której mi trzeba teraz, kiedy staram się zamknąć firmę.

Pracodawców ciąga się po sądach z coraz bardziej absurdalnych powodów.

Nie żebym cię o to podejrzewała.

- Zwolniła, wjeżdżając do Little Falls, i skręciła w pierwszą przecznicę w lewo.

Podjechawszy pod markizę Neat Eats, odwróciła się do Jenny.

- No dobrze.

Jutro o piętnastej?

Nic nie gotujesz.

Tylko przychodzisz.

Ubrana tak jak dzisiaj, w wypranym uniformie.

Dobrze?

Wracając do domu, Jenny starała się odprężyć.

Skupiła się na chodzie: lewa noga, prawa noga, lewa noga, prawa noga.

Szła równo: lewa noga, prawa noga, lewa noga, prawa noga.

Trzymała się prosto: lewa noga, prawa noga, lewa noga, prawa noga.

Odpędziła myśli o kłopotach, potem znów odgoniła je, kiedy chciały wrócić.

Robiła wszystko, co czasopisma zalecały w celu odprężenia: lewa noga, prawa noga, lewa noga, prawa noga.

Mimo to, wchodząc bocznymi schodkami do domu, odniosła wrażenie, że zamiast żołądka ma galarete.

Wtedy dostrzegła kwiaty.

Stały na stole kuchennym w ciemnoniebieskiej butelce po wodzie mineralnej, którą po balu jubileuszowym wyciągnęła ze śmietnika.

Trzy rudbekie.

Kochała rudbekie.

Rozejrzała się, pobiegła z kuchni do przedpokoju, z przedpokoju do salonu, z salonu do przedpokoju i z powrotem do kuchni, ale nigdzie

go nie było.

Wtedy usłyszała silnik motocykla.

Rzuciła się do wyjścia i zobaczyła, że podjeżdża pod drzwi, ale nie zsiadał z motoru.

Zdjął tylko kask.

Wydawał się niespokojny.

- Ciągłe wyjeżdżam i wracam, wyjeżdżam i wracam
-powiedział.

- Gdybym miał za grosz rozumu, przejechałbym już następny stan.

-Przyjrzał się jej twarzy.

- Nie wyjechałem poza następne hrabstwo.

"Spytaj go, dlaczego" - mówiła sobie Jenny, a potem zmieniła zdanie, bo nie chciała, żeby się zastanawiał, dlaczego musi odjechać. Chciała, żeby został."Spytaj, jak się ma. Spytaj, jak spał. Spytaj, czy utkwiał w korku albo czy jadł, czy jest głodny. Zaproś go do środka, na litość boską".

- Przyniosłem ci kwiaty -odezwał się znowu.

- Zastanawiałem się nad różami albo liliami, ale najbardziej podobały mi się rudbekie.

Może obudził się we mnie wiejski chłopak.

"Są śliczne" - pomyślała, ale bała się powiedzieć to na głos.

Bała się w ogóle odezwać z obawy, że Pete znów zniknie.

Przygryzł wargę.

- Wciąż o tobie myślę.

Jesteś niepodobna do innych znanych mi kobiet.

Dlatego jesteś interesująca.

Zaczęło się od twoich włosów.

Nigdy takich nie widziałem.

I piegów.

- Są okropne.

-Są piękne.

- Nie.

-Tak.

I to nie wszystko.

Nigdy nie spotkałem kobiety -a przynajmniej od czasu, kiedy opuściłem dom, czyli wieki temu -która by brała los we własne ręce, wspinając się na dach domu tylko dla czystej radości, by mieć dla siebie

taki widok.

- Ludzie myślą, że jestem stuknięta.

-Jeśli być stukniętym oznacza, że umie się samodzielnie myśleć, to jestem za.

Poznałem wielu ludzi, którzy robili właśnie to, czego od nich oczekiwano, i byli strasznie nudni.

Ty jesteś indywidualistką.

Sama się o siebie troszczysz, zamiast siedzieć i czekać, aż inni to zrobią.

Tego najbardziej nienawidziłem u siebie w domu.

Jenny chciała wiedzieć więcej.

- Czego najbardziej nienawidziłeś?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Ty pierwsza.

Dlaczego mieszkasz sama?

Powoli wciągnęła powietrze.

- A z kim miałabym mieszkać?

-Z mężem.

- Nie ma żadnego męża.

- I nigdy nie będzie, dopóki żyje Darden.

Przysiągł to.

Przysiągł, że jedyne, co trzyma go przy życiu w więzieniu, to myśl, że wróci do domu, do niej.

Powiedział, że jest mu to winna, i może miał rację.

Ale to było chore, chore, chore.

- Gdzie twój ojciec?

-Na północy.

- To jego ciężarówka stoi za garażem?

- Pokiwała głową.

-Jego buick w garażu?

- Znów skinęła.

-Czemu nim nie jeździsz?

- Nie mam prawa jazdy.

-Dlaczego?

- Dużo się działo i jakoś zapomniałam.

Ale nie szkodzi.

Mogę iść piechotą do miasta, a do innych miejsc jeżdżą autobusy.

Więc czego najbardziej nienawidziłeś?

- Jak umarła twoja matka?

Nie mogła odpowiedzieć.

- Czego najbardziej nienawidziłeś w domu?

Poddał się.

- Ludzi bezwolnych.- Bezwola to luksus.

Nieraz może być miła.

- Nieraz, ale nie cały czas.

W życiu trzeba czegoś dokonać.

-Wciągnął powietrze.

- Nie to, żebym był w tym względzie przykładem.

- Dlaczego nie?

-Cóż, spójrz na mnie.

Jeżdżę sobie, w pół drogi stąd donikąd, i brak mi odwagi, żeby zrobić, co mam do zrobienia.

- Czy lico?

-Wrócić do domu.

- Uśmiechnął się krzywo, zęby załśniły wśród ciemnej szczeciny zarostu.

-To dziwne.

Zazwyczaj nie opowiadam ludziom o swoich ułomnościach, ale ty to po prostu e mnie wyciągasz.

Przestraszyła się.

- Nie miałam takiego zamiaru.

Zapomnę, co powiedziałaś, i nie musisz już nic mówić.

Nie chciałam być wścibska, po prostu rozmawiam z tobą i jesteś interesujący, i chyba nie pamiętam, kiedy ktokolwiek rozmawiał tak ze mną.

Urwała, zdumiona tym, co powiedziała.

Teraz Pete zrozumie, jak żałosna, samotna i zrezygnowana jest naprawdę.

On jednak się uśmiechnął.

- Zawrzemy umowę?

-Jaka?

- Nie odważyła się budzić w sobie nadziei.

- Kolejny domowy posiłek w zamian za cokolwiek, czego brak twemu sercu.

-Chyba nie powinieneś tego proponować.

- Czemu nie?

-Bo mogę się zgodzić.

Zastanowił się.

Przez chwilę oglądał z zainteresowaniem kask.

Zsiadł z motocykla, położył kask na siodełku i jeszcze chwilę stał do Jenny tyłem.

Wreszcie odwrócił się i podszedł do niej.

Trzymała się siatkowych drzwi.

Kiedy wyciągnął rękę, poczuła serce w gardle.

Palcami pogładził kostki jej dłoni przez oczka metalowej siatki.

- W porządku - powiedział, obserwując swój gest.

- Niema takiej rzeczy, o którą mogłabyś poprosić i której nie mógłbym ci dać, przynajmniej dzisiaj. Nie wiem, co będzie jutro ani pojutrze. Nie sprawdzam się, jeśli chodzi o długotrwałe obietnice. Nie mam się czym pochwalić. Często znikam, kiedy sytuacja się komplikuje. Ludzie mnie za to przeklinają.

- Więc teraz masz okazję do poprawy - powiedziała, ale dalsze słowa uwięzły jej w gardle, kiedy podniósł wzrok i przez siatkę spojrzął jej w oczy.

Jego spojrzenie było ciepłe i zapraszające, nigdy dotąd nikt tak na nią nie patrzył.

Poczuła na policzkach pulsujące ciepło, które spłynęło przez gardło do piersi, kojąc serce, aż w końcu zatrzymało się w brzuchu.

Spojrzął na jej wargi.

- To niebezpieczne - szepnął.

- Wiesz, czego chcę?

Chciał seksu.

Seks z mężczyzną takim jak Pete byłby oszałamiająco piękny.

Otworzyła drzwi.

Wszedł i stanął przed nią, tak wysoki, że musiała patrzeć w górę, tak potężny, że czuła się bezpieczna.

Gdzieś w środku budziło się gorąco, gorąco i drżenie, właśnie tak, jak w czasopismach opisywano spotkanie z właściwym mężczyzną.

Miał zamiar ją pocałować.

Wiedziała to.

Nagle się przestraszyła, że wszystkie dobre uczucia znikną.

Potrzebowała go jednak.

Był wszystkim, co jej pozostało.

Był jedną jedyną nadzieją na ucieczkę.

Jego wargi spoczęły na jej ustach.

Zeszytywniała, oczekując poczucia osaczenia, ale nie nadeszło.

Ani osaczenie, ani nudności, ani strach.

Tylko czułość i lekkość oraz- i to było nowe -ochota na więcej.

On jednak szeptał.

Całował, lizał, pieścił – cały czas szepcząc.

Nie spodziewał się niczego w zamian, co ją cieszyło, bo nie byłaby w stanie się odwdziżyć, choćby jej życie od tego zależało.

Nowe doznania zbyt ją przytłaczały, żeby mogła robić coś więcej, niż tylko stać tam na sztywnych nogach z odchyłoną głową, zamkniętymi oczyma i rozchylonymi wargami.

Zastanawiała się, co jeszcze w czasopiśmie naprawdę opisano, kiedy odsunął się i nabrał powietrza.

Wyprostował się.

Odchylił głowę i znów głęboko odetchnął.

Jenny dla równowagi oparła się o ścianę, opuściła podbródek i czekała, aż Pete powie coś brutalnego i przykrego.

Nic jednak nie mówił, więc odważyła się podnieść wzrok.

Uśmiechał się.

- Widzisz? - powiedział. -To było interesujące. A nadal jesteśmy ubrani.

Przełknęła ślinę.

Był niesamowity. Musi go zatrzymać.

- Nie musimy być.

Uśmiechnął się tylko i przejechał kciukiem po jej piegach.

- Mamy czas.

Jenny stopniało serce.

Pete był dokładnie takim mężczyzną, o jakim zawsze marzyła.

Pomyślała, że powinna się uszczypnąć, żeby sprawdzić, czy jest prawdziwy, ale czy to możliwe, by taki duży człowiek nie był prawdziwy?

Patrząc na niego, widziała czułość w jego uśmiechu i po raz pierwszy w życiu zrozumiała, co to znaczy zakochać się, chcieć dawać, dawać i dawać mężczyźnie.

Niestety, nie miała wiele do zaoferowania.

- Lubisz fajitę z kurczakiem? - spytała.

- Uwielbiam fajitę z kurczakiem.

-Zrobiłam tę potrawę na przyjęcie, ale przygotowałam za dużo i mnóstwo zostało w zamrażalniku.

Łatwo ją przyszykować, chyba że wolisz wołowinę a la Wellington.

- Fajita z kurczakiem.

-Trafny wybór.

- Uśmiechnęła się.

- Zrób to jeszcze raz – ten uśmiech.

-Jaki uśmiech?

- Ten.

Rozświeć cię.

- Raczej rozświeć mi piegi.

-Sprawia, że wyglądasz na szczęśliwą.

Była szczęśliwa.

Wtedy zadzwonił telefon i Jenny zamarła.

Telefon do Jenny nigdy nie oznaczał niczego dobrego.

Nigdy.

Nie chciała odebrać, ale jeśli to był Darden, nie byłoby końca pytaniom: gdzie była, co robiła i dlaczego nie siedziała przy telefonie.

- Halo?

-Mówi Dan.

Mam problem, Mary Beth.

Stary Nick Farina robi straszny rwetes, mówi, że mu ukradłaś kwiaty.

Ja wiem, że jest jakieś wytłumaczenie, ale nie chce mnie słuchać.

Powtarza, że mam do niego przyjechać i stwierdzić straty.

Mówi, że ukradłaś mu rudbekie z ogrodu.

Ukradłaś?

- Czemu miałabym to robić?

-O to samo go spytałem.

Rudbekie rosną dziko w całej okolicy.

Przysięga, że widział, jak kradłaś trzy duże kwiaty w jego ogrodzie.

- Byłam na drodze.

Nie mam jak wrócić do domu z pracy, nie przechodząc koło jego domu.

- Tłumaczyłem mu to- westchnął Dan.

- Powiem mu, że z tobą rozmawiałem.

Przygotuj się jednak, że jutro może narobić rabanu, kiedy będziesz przechodzić koło jego ogrodu.

Jenny podziękowała za ostrzeżenie i odłożyła słuchawkę. Odwróciła się, wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się do Pete'a, bo nadal tam stał.

- Chcesz piwo, kiedy będę przygotowywać obiad?

-Jasne.

Wyjęła z lodówki Sama Adamsa - braku drugiej butelki też nikt nie zauważył - i podała mu.

Potem otworzyła zamrażalnik.

Już po chwili kawałki kurczaka i warzywa smażyły się na wielkiej żelaznej patelni, salsa gotowała się w garnku, tortille podgrzewały się w piekarniku, a ona niczego nie upuściła, bo niebyła zdenerwowana. Pete był niepodobny do kogokolwiek, kogo znała.

Gotowała, a on siedział spokojnie, patrząc na nią, jakby to samo w sobie było przyjemnością.

Przy nim nie czuła się skrzepowana.

Nie zadawał pytań, na które nie chciała odpowiedzieć, nie klął i nie groził zemstą.

Wciąż proponował, że pomoże jej gotować, a ona wciąż odmawiała, aż w końcu rozśmieszyło ich to, ale śmiać się też było łatwo.

Śmiech był cudowny!

Nagle stwierdziła, że jest odprężona, co było całkiem nowym doznaniem.

Skończyli posiłek i siedzieli przy stole naprzeciwko siebie, w dobrym nastroju, aż nagle Jenny poczuła się niepewnie, myśląc o wyborze, jakiego miała dokonać.

Czego jej serce zapragnie w zamian za posiłek?

Nie mogła się zdecydować, co wybrać.

W końcu zapytała:

- Dlaczego powiedziałeś, że jesteś samolubny?

Zmarszczył brwi, więc dorzuciła: - Wczoraj wieczorem.

Zaprosiłam cię do środka.

Powiedziałeś, że jesteś samolubny, niezależnie od tego, czy jesteś samotny, czy nie.

Upłynęła chwila, zanim odpowiedział.

- Nie byłem miły.

-W stosunku do rodziny?

Nie było mu łatwo mówić.

- Jestem najstarszym dzieckiem.

Dorastając, miałem zawsze więcej obowiązków niż pozostali.

Ojciec zwałił je na moje barki i powiedział, że mam być przykładem dla młodszych. Nie znosiłem tego. Więc kiedy zaistniała możliwość pójścia na studia, skorzystałem i pojechałem najdalej, jak mogłem. Uznałem, że młodszy mogą się nauczyć pracować, tak jak ja musiałem. I tak się stało.

Tylko że pojawiły się problemy, a ja nie pomogłem. Stałem się mistrzem w nieodpowiadaniu na telefony.

- Dlaczego? - spytała Jenny.

Nie mogła oderwać od niego oczu, wciąż mu się przyglądała.

Lubiła gesty jego rąk: silne, ale niegroźne, i przedramiona pod zakasanyimi rękawami, tak samo silne, ale niegroźne.

Nawet zbiegające się brwi, które świadczyły o mądrości.

- Na początku byłem po prostu wściekły - odparł.

- Sądziłem, że zasłużyłem na odrobinę wolności.

Nie chciałem wysłuchiwać ich kłopotów i dawać się w nie wciągać.

Nie chciałem odmawiać ani czuć się winny, że odmówiłem. Nie

chciałem szukać odpowiedzi. Teraz naprawdę nie mam odpowiedzi.

Czuję się jak sparaliżowany.

- Chciałbyś wrócić, ale nie możesz się na to zdobyć.

-Właśnie.

- Wiesz, co należy zrobić.

Zebrałeś wszystkie argumenty i ludzie ci je podali, ale nadal nie możesz nic postanowić.

- Tak!

-Ze wszystkich możliwości tylko ta jedna ma sens, ale tak trudno ci się na nią zdecydować.

Wydawał się zaskoczony.

- A więc rozumiesz.

Oczywiście, że rozumiała.

Znała ten stan paraliżu, znała zdradę i poczucie winy.

- Jak umarła twoja matka?

-W wypadku.

- Byłyście zżyte?

Jenny pokręciła głową.

- Nie byłam chłopcem, jak sobie życzyła.

Urodziła przede mną synka, a lezmarł, jak był mały.
Miałam go zastąpić, lecz okazałam się dziewczynką.
Nigdy mnie nie lubiła.

- Nie wierzę.

-To prawda, nie lubiła mnie z tego powodu i paru innych.

- Jakich?

Jenny jednak i tak za dużo już powiedziała.

Spuściła oczy.

- Nie mamci co zaoferować.

Pete zaśmiał się, przyciągając jej wzrok.

- Robisz wyśmienitą fajitę - powiedział.

Oparł łokcie na stole, spojrzeniem zdjął chłód z jej oczu - czarne, długie
rzęsy nie z tej ziemi - i uśmiechnął się do niej zaczepnie.

Jenny stopniała.

- A więc co?

Czego pragnie twoje serce?

"Zostać tak, jak jesteśmy tu i teraz. Utrwalić twój wyraz twarzy i
zawiesić go na lustrze na tych wszystkich zaproszeniach, które
ukradłam. Zatrzymać ten moment i zostawić go na później, kiedy,
kiedy.."

- Przejazdźki - powiedziała.

- Jest taka pełna zakrętów droga - Nebanonic Trail.

Dech zapiera, jak się jedzie szybko.

- Już próbowałaś?

-Nie. - Darden nie chciał jej tam zabrać, kiedy była mała, a
potem nie miał kto. Słyszała jednak, co dzieciaki opowiadały w
mieście, więc często marzyła, żeby tam pojechać. Pete klasnął dłońmi o
stół i wstał.

- No to w drogę.

Rozdział jedenasty

Dwie godziny później Jenny nadal nie mogła zdobyć się na wejście do domu.

W mroku nocy położyła się za budynkiem pod osłoną zwisających sosnowych gałęzi i przeżywała na nowo przejażdżkę drogą Nebanonic Trail.

Wszystko, co przez lata słyszała, było zgodne z prawdą.

Trasa była przerażająca, ale i niewyobrażalnie ekscytująca.

Na motocyklu Pete'a przeżyła coś niesamowitego: dwadzieścia minut jazdy zakręt za zakrętem, podczas gdy wiatr smagał, mgła zwodziła, a noc chroniła swe sekrety aż do ostatniej, naprawdę ostatniej chwili, kiedy motocykl ślizgał się na zakrętach albo podskakiwał na wybojach. Cały czas czuła się żywa, wolna i odważna.

Gdyby się rozbili, umarłaby szczęśliwa.

Gałęzie rozchyliły się i pojawił się Pete.

Musiał pochylić się, żeby wejść do kryjówki, po czym umościł się na trawie, krzyżując nogi jak ona.

Dotykali się kolanami.

Mimo ciemności widziała jego uśmiech i uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Wiedziała, że to wygląda głupio, że jej włosy są potargane od wiatru, ale Pete'a to nie odstraszało.

Inaczej przecież mógłby sobie pójść, mógłby powiedzieć na przykład:

"No dobra, spełniłem życzenie twego serca, czas na mnie".

Nie zrobił tego jednak.

Chciała mu za to podziękować, również za to, że zawiózł ją na Nebanonic Trail, więc podarowała mu kawałek siebie samej.

- To moje specjalne miejsce.

Chowałam się tu całymi godzinami, kiedy byłam mała.

- Chowaaś się?

- Matka biła mnie, kiedy była zła.

A często była zła.

Chowałam się, aż jej przeszło.

- To ona zrobiła ci te ślady na nogach, tak?- spytał.

Jenny wzięła głęboki oddech.

- Używała laski ojca- powiedziała.

- Laska miała na dole mosiężne okucie ,umocowane śrubami.

- I tym cię biła?

Jaka matka mogła robić coś takiego?

- Złościłam ją.

-Dobra, to mogła cię skrzyknąć.

Ale bić do krwi?

Zostawić ci blizny na nogach?

Ktoś powinien ją był powstrzymać.

Na pewno ktoś zauważył.

- Nosiałam długie spodnie.

Albo podkolanówki.

- No to twój ojciec.

Musiał wiedzieć.

Dlaczego jej nie powstrzymał?

- Miał firmę przewozową.

Czasem wyjeżdżał na cztery czy pięć dni.

- Nigdy nie widział twoich nóg?

-Widział.

Ale chyba odpuszczał jej to, bo się czuł winny.

- Winny czego?

Jenny opuściły siły.

Podciągnęła kolana do piersi, oparzana nuch brodę i pokręciła głową.

Pete wziął jej rękę i kołysał powoli między swoimi dłońmi.

Z każdym ruchem przeszłość bladeła. Bladeła, bladeła.

Skupiła się na jego palcach.

Miały okrągłe czubki, były szczupłe i tak rzeczywiste, że wszystko inne też takie było.

Na przykład jego postawna sylwetka i siła.

Na przykład jego zapach, czysty i przypominający wiatr.

Na przykład ciepło jego skóry, łaskotanie w jej brzuchu, a - głębiej - pożądanie.

Nigdy przedtem nie czuła takiego pożądania ani związanej z nim ciekawości, ciekawości dotyczącej jego ciała.

Na przykład czy ma włosy na piersi albo jak ciemne ma sutki, albo czy ma pieprzyki na plecach.

Taka myśl powinna być odpychająca, ale nie była.

Jenny zastanawiała się, czy on również jest jej ciekawy.

Sądząc po oddechu, nie był spokojny.

Czy było to jednak pożądanie seksualne?

Czy coś głębszego?

Czy sobie to wszystko wydumała?

Nadal nie wiedziała, dlaczego mężczyzna taki jak Pete mógł być nią zainteresowany.

Mimo to on przysunął się bliżej, dotykając jej karku, szyi, wodząc palcem po brzegu wyciętej w karo koszulki.

Nagle znalazła się na kolanach, kurczowo trzymając się jego ramion, chcąc czegoś, czego nie umiała ubrać w słowa, bo było zbyt nowe.

- Powiedz mi -szepnął.

Jego dłonie były blisko jej piersi.

Poczuła, że pręży się, by go dosięgnąć, ale na próżno – może specjalnie, bo piersi bolą podczas seksu –co nie tłumaczy jednak, dlaczego tak pragnie dłoni Pete'a na swoim ciele.

Wcale tego nie tłumaczy.

- Możesz robić, co chcesz, naprawdę! - wykrzyknęła zmieszana i podniecona.

Wziął ją w ramiona i przygarnął do siebie, a potem tulił, po prostu tulił, aż trochę ochłonęła.

Wtedy położył ją na ziemi.

Poczuła ciężar jego ciała na swoim brzuchu i piersiach, nawet między nogami - tak krótko jednak, że nie miała czasu się przestraszyć -ale zaraz przewrócili się na bok, a on ukrył jej głowę na swoim ramieniu.

Żadnej groźby, żadnego przymusu, tylko czuły uścisk.

Odetchnęła niepewnie i przytuliła się mocniej.

Bolesne uczucie w środku osłabło.

Zastąpiła je przyjemność, która potem - kiedy wniknęło w nią jego ciepło - przerodziła się w zadowolenie.

Twarz Jenny rozjaśnił uśmiech.

- Ach, Jenny –powiedział Pete chrapliwie.

- Dlaczego nie spotkaliśmy się w innym czasie?

- Bo potrzebowałam cię teraz - odparła i wsłuchała się w odgłosy nocy.

- Wierzysz w Boga?

- Czasami.

Dlaczego pytasz?

- Pamiętam, że jak byłam mała, chodziłam do kościoła i patrzyłam na sutanny kapłanów.
Sądziłam, że Bóg też tak się ubiera.
Więc chowałam się tutaj i wyobrażałam sobie, że schowałam się w połach Jego sutanny.
Czułam się bezpiecznie.
Teraz też tak się czuję.
Jakbyśmy byli odcięci od świata.
Jakby brzydota nie mogła nas dosięgnąć.
Wiesz, o czym mówię?

Pete znów poszedł spać do pokoju gościnnego.
Przedtem zaniósł Jenny do domu, żartując przy tym, że przecież rycerskość jeszcze nie umarła.

Wcale nie musiał być tak rycerski.
W jego ramionach miała wrażenie, że świat jest miejscem możliwości i obietnic.
Chciałaby tak spędzić noc.
W uścisku.

Tymczasem znów leżała na starym kocu na podłodze swojego pokoju.
Nie potrafiła się zmusić, żeby się położyć do łóżka, na tej wstrętnej jedwabnej pościeli -nie teraz, kiedy Pete jest w domu.
Czułaby się brudna.
Poza tym i tak nie była zmęczona.
Położyła się, usiadła, zmieniała pozycje.
Wreszcie podeszła na palcach do drzwi i nasłuchiwała, potem zakradła się przez hol do drzwi Pete'a i znów nastawiła uszu.
Słyszając regularny oddech śpiącego, wślizgnęła się do sypialni i przywarła do ściany.

Leżał na brzuchu.
Jedną rękę wsunął pod poduszkę, druga zwisała.
Miał smukłą rękę, ale szerokie barki.
Ponad cieniem włosów pod pachą skóra była gładka i lśniąca.
Tors przechodził w wąską talię i biodra.
Nie włożył bielizny.
Niżej prześcieradło zakrywało długie i muskularne nogi.
Podkradła się bliżej.

Nie obudził się, więc zbliżyła się jeszcze, aż mogła dostrzec szczegóły jego ucha, wzgórek jabłka Adama, szorstką skórę na łokciu.

Nagle poczuła się, jakby jej wewnątrz wchłonęło litry emocji gotowych do wybuchu.

Rozedrgana tym uczuciem, ale najspokojniej jak mogła, ułożyła się na pleconym dywaniku blisko śpiącego mężczyzny.

Nie chciała wybuchnąć.

Toby znaczyło stracić coś, co kryła w sobie, a bała się to utracić.

Skuliła się więc, zamknęła oczy i liczyła oddechy Pete'a, aż ją ukołysały do snu.

Obudziła się późno i czuła się rozbita.

Kiedy zadzwonił telefon, robiła właśnie herbatę, żeby się rozbudzić.

Dzwonek telefonu natychmiast postawił ją na nogi.

Była godzina ósma trzydzieści pięć.

Wiedziała, kto dzwoni.

Jej żołądek też wiedział i natychmiast skurczył się w kłębek drgających nerwów.

"Nie odpowiadaj, Jenny".

Ale musiała.

"Wróci za dwa dni.

Naprawdę nie może poczekać?

"Siedzi w więzieniu od sześciu lat- dla niej.

"No to co? Nie odbieraj".

- Halo?

-Cześć, córciu.

Z trudem przełknęła ślinę.

Już sam głos - monotonny, oślizgły, przymilny - przyprawiał ją o mdłości.

- Cześć, tato.

-Jak się ma moja dziewczuszka?

Podniecona?

"Powiedz, że nie. Powiedz, że cię nie zastanie, kiedy wróci. Powiedz, że wyjeżdżasz".

- Zrobiłam wszystko, o co prosiłeś.

- To nie była prawda, ale musiała przecież coś powiedzieć.

- Wyrzuciłaś rzeczy twojej matki?

-Tak. - Kłamstewko.

Okropna robota.

Wyrzuci jednak, zanim on wróci.

- Wszystko z szuflad?

-Tak.

-Jutro.

Jutro się tym zajmie.

- Nie ma po co trzymać pamiątek.

Zaczynamy od zera, córciu.

Wszystkie stare sprawy należą do przeszłości.

Jenny pochyliła się nad zlewem, starając się oddychać przez nos.

- Nie to, żebyśmy jej nie kochali - powiedział Darden -ale była zbyt zazdrosna i nie wyszło jej to na dobre.

Zazdrosna i podła.

Mamy prawo to powiedzieć.

Zapłaciliśmy za jej śmierć.

Więc teraz złączą się dobre czasy.

Jeszcze dwie noce tutaj i wracam do domu.

Mówią, że nie uda się załatwić papierów przed obiadem we wtorek.

Wyobrażasz sobie?

Cholerni, głupi biurokraci - mruknął.

- Ale to nie szkodzi, nie szkodzi.

To znaczy, że możesz trochę pospać, ubrać się bez pośpiechu, uczesać.

Pamiętaj, żeby dla mnie rozpuścić włosy, dobrze?

Tak cię lubię najbardziej.

- Nie mogę przyjechać – wyrzuciła z siebie.

- Co takiego?

- Głos mu stwardniał.

- Nie mogę po ciebie przyjechać.

Mam pracę.

- Twój stary ojciec wychodzi z pudła, a ty musisz pracować?

Myślę, że to wystarczający powód, żeby się zwolnić na jeden dzień.

Jenny cała się trzęsła, ale cóż znaczyło jedno małe kłamstwo, jeśli jego przeciwwaga była tak ohydna?

- Organizujemy wielki obiad, największy do tej pory.

Gdzieś w górach, w posiadłości kogoś z otoczenia gubernatora.

Ludzie zjeżdżają się ze wszystkich stron, prywatnymi samolotami, nawet helikopterami.

Miriam nie potrzebuje.

- Na rany, ja cię potrzebuję.

Gniję tu przecież dla ciebie.

Więc kogo wybierzesz, Miriam czy mnie?

Miała łzy w oczach.

Zawsze wszystko utrudniał.

- Nie wybieram między tobą a nią.

To po prostu bardziej sensowne, żebym poszła do pracy.

Jakbym mogła pojechać po ciebie samochodem, to byłoby co innego, ale nie mogę.

Skończę pracę na czas, żeby spotkać cię na przystanku autobusowym w mieście.

- Nie w mieście. Tutaj, MaryBeth.

- Nie mogę, tato - powiedziała błagalnie, a potem wpadła na pomysł.

- Słuchaj, tato.

Jeśli pojedę na ten duży obiad, to Miriam nie będzie protestować, kiedy powiem, że w następnych dniach nie mogę pracować, więc więcej

czasu spędzę z tobą.

To go uspokoiło.

- Nie będziesz pracować do końca tygodnia?

-Nie.

- Dobra, w porządku.

-Może nie tak.

Chcę powiedzieć, że będę ci zawadzać.

Będziesz miał ochotę spotkać się z ludźmi, których nie widziałeś od lat.

- Urwała, zanim powiedział słowo.

Nie musiał jej mówić, że opowiada głupoty.

Nie chciał się z nikim zobaczyć.

Z nikim – oprócz niej.

Zaczął mówić tonem, jakiego najbardziej nienawidziła; tonem, który jasno dawał do zrozumienia, że sprzeciw na nic się nie zda.

- Masz czekać na przystanku autobusowym w tej kwiciastej sukience, którą zamówiłem z katalogu.

Chcę, żebyś umyła włosy, żeby były miękkie i kręcone.

Teraz muszą ci już sięgać co najmniej do talii.

Zmierzę je po powrocie, na gołej skórze, więc postaraj się mieć miękką skórę pod tą śliczną sukienką.

Będziesz czekać na przystanku autobusowym, słyszysz mnie?

Ledwie zdążyła odłożyć słuchawkę i zwymiotowała do zlewu tę odrobinę, którą miała w żołądku.

Nawet potem czuła mdłości.

Ochlapała twarz pod kranem.

Zmoczyła kark.

Nabrała wody w usta i płukała, płukała i płukała.

Wtedy już zaczęła płakać, łkanie wstrząsało nią, bo zostały jej tylko dwa dni, a ona była chora i przerażona. i wściekła, że tonie ona trafiła do więzienia albo nie ją zamordowano tu obok, na podłodze salonu, bo wszystko to było niesprawiedliwe, a teraz będzie coraz gorzej.

Nie obchodziło jej, że rzekomo zrobił to dla niej.

Zrobił to dla siebie i teraz ma to, czego chciał, a jeśli będzie starała się go powstrzymać, to przypomni jej, odświeży wspomnienia, aż ona się rozpłacze i będzie mógł ją objąć i głaskać jej włosy.

Znalazła w szufladzie nożyce kuchenne, złapała garść swoich znieawidzonych rudych włosów i ucięła.

Złapała drugą garść i ucięła ,a potem znów i znów, aż wstrętne ogniste loki zasłały blat kuchenny, podłogę i stół.

- Hej, hej, hej – powiedział Pete dźwięcznym głosem, w którym słyszeć jednak było niepokój.

-Jenny, Jenny, co robisz?

- Wyjął jej z dłoni nożyce.

-Dobry Boże, Jenny, co się stało?

- Musnął jej twarz i spojrzał w oczy.

- Nienawidzę tych włosów!

Są wstrętne!

Kciukiem ścierał jej łzy.

- Ależ nie.

-Naprawdę!

Nienawidzę ich!

Przysięgam, że wolałabym być łysa!

Wolno, stanowczo zaprzeczył.

- Nieprawda.

-Prawda. Nie rozumiesz! Właśnie dzwonił mój ojciec. Wraca do domu we wtorek. Wiesz, gdzie jest? W więzieniu. Od sześciu lat.

Wiesz, za co? Za morderstwo. Wiesz, kogo zabił? Moją matkę! -

Poczuła, że wywracają jej się wnętrzności, tak jak podczas procesu.

Po raz pierwszy od tego czasu powiedziała to tak otwarcie i poraził ją strach.

Nic się nie zmieniło, nic a nic.

Była jednak jedna zasadnicza różnica.

Nie powiedziała tego ścianom: powiedziała Pete'owi.

Teraz wiedział to, co wiedziało całe miasto; wiedział, dlaczego przez te wszystkie lata ludzie odwracali się od niej plecami.

Czekała, żeby się odsunął, była pewna, że spojrzy na nią z

obrzydzeniem, a jeśli nie ze wstrętem, to z litością, a jeśli nie z litością, to ze strachem.

Nie odsunął się jednak, a jego spojrzenie wyrażało tyle czułego współczucia, że zaczęła płakać.

- Och, Jenny - szepnął i przytulił ją.

- Tak mi przykro.

Rozpłakała się na dobre.

Przycisnął jej głowę do piersi, potem objął ją ramionami.

Schowwała głowę, pozwalając jego rękom odgrodzić się od świata. W miarę jak płakała, odpływały z niej także najmroczniejsze myśli. Na ich miejsce pojawiło się coś ciepłego i jasnego.

Dawało jej siłę.

- Uwielbia moje długie włosy - powiedziała przez czkawkę.

- Wplata w nie palce.

Robi mi się od tego niedobrze.

- Nienawidzisz go?

-Tak ,nie. - Zaszlochała. -Co mam powiedzieć?

Przeraża mnie. Innych też. Kontroluje ludzi.

Zanim go zamknęli ,dał do zrozumienia, że jeśli ktoś mnie skrzywdzi, gorzko tego pożałuje. Jeśli ktoś mnie dotknie, też tego pożałuje. -

Podniosła wzrok na Pete'a.

-Więc ludzie są uprzejmi, ale trzymają się na dystans. Rzykujesz, przychodząc tutaj.

Stał ostatnie łązy, żeby mogła zobaczyć jego zaczepny uśmiech.

- Moim zdaniem najwyższy czas. - Uśmiech stał się cieplejszy.

Spojrzał na jej włosy, obejrzał je ze wszystkich stron. -Wiesz, wygląda nieźle.

Całkiem nieźle. Bez tej masy włosów lepiej widać twarz.

Chyba jesteś na dobrej drodze. - Zamachał nożycami. -Mogę trochę wyrównać?

Przez kilka minut obcinał, krążąc wokół niej.

Potem ugiął kolana, tak że byli tego samego wzrostu, ujął jej podbródek i obrócił głowę w obie strony.

- Nieźle - powiedział z uśmiechem. - Ty idź pod prysznic. Ja tu posprzątam.

Obrócił ją w stronę holu i lekko popchnął.

Miriam nie wierzyła własnym oczom, kiedy Jenny pojawiła się w obramowaniu tylnych drzwi furgonetki Neat Eats.

Otworzyła, zamknęła i znów otworzyła usta.

- Jenny?

Jenny dotknęła swoich włosów.

Była pewna siebie, kiedy oglądała nową fryzurę w domu, ale tę pewność odbierały jej spojrzenia, jakimi ją obdarzano w drodze do firmy.

Teraz myślała to samo, co gapiący się ludzie: "Darden mnie zabije".

- Miałam ochotę coś zmienić - powiedziała.

-Niewątpliwie ci się udało odparła Miriam.

Odłożyła tacę na półki furgonetki, wytarła ręce o ścierekę wiszącą u pasa i wzięła Jenny za ramię.

- Może przynajmniej je wyrównam.

-Och nie, nie trzeba, Pete już to zrobił.

- Pete? Jaki Pete?

Jenny niemal żałowała, że cokolwiek powiedziała. Stało się.

- To przyjaciel - stwierdziła i poczuła dumę tak niespodziewaną, że aż się zarumieniła. Bawiła się zasuwą w drzwiach furgonetki. - Nie znasz go. Nie jest stąd.

- Skąd jest?

-Z zachodu.

- Jak go poznałaś?

-Och, przypadkiem, po piątkowej potańcówce.

Wysoki, postawny facet, skórzana kurtka i wysokie buty.

Może go zauważyłaś?

- Odważyła się spojrzeć na Miriam, dość zmieszana.

- Nie.

Na pewno bym zwróciła uwagę na kogoś takiego.

- Stał na zewnątrz. Może dlatego go nie widziałaś.

- Ja też byłam na zewnątrz. Skórzana kurtka i wysokie buty? Z pewnością bym go zauważyła.

- Był tylko przez chwilę. Jakoś przychodził i odchodził.

Może wtedy, kiedy mogłabyś go zobaczyć, stał za drzewem, więc go nie widziałaś.

Jeździ na motocyklu.

- Aha -powiedziała Miriam z nagłą wesołością.

- Wątek się komplikuje.

Co u nas robi?

- Jest po prostu przejazdem.

-I mieszka u ciebie?

Jenny, to trochę dziwne.

- Nie ma w tym nic niestosownego - odparła Jenny, zanim zrozumiała, że Miriam sobie z niej żartuje.

Poczuła się głupio i wzruszyła ramionami.

- Pete, tak?

I to on obciął ci włosy?

- Ja obcięłam, on tylko wyrównał.

-No dobrze - powiedziała Miriam. - W takim razie wyrównam je jeszcze trochę.

Jenny uważała, że włosy są w porządku, ale Miriam była jej szefem, a w dodatku niezwykle czystą i schludną osobą. Poza tym Jenny nie mogła jej obrazić odmową.

- Gotowe- orzekła Miriam parę minut później. - Tak naprawdę tylko tył wymagał poprawki.

Najwyraźniej nie tylko tył, stwierdziła Jenny, gdy z lekkim niesmakiem zobaczyła długość pasm leżących na ziemi.

Miriam teraz jednak wzięła grzebień i próbowała uczesać Jenny na różne sposoby; mierzwiła jej włosy i nawet się uśmiechała.

- Naprawdę wygląda dobrze. Bardziej elegancko.

Włosy cię tak nie przytłaczają. - Odwróciła Jenny do lustra.

Jenny dotknęła kosmyków wijących się koło uszu i przyjrzała się przedziałkowi z boku, który zastąpił zwyczajny przedziałek pośrodku.

"Bardziej elegancko". Brzmiało dobrze. Wyglądało też dobrze.

Można byłoby to nazwać fryzurą na polkę, gdyby nie loki.

Potem loki i cała reszta stały się ofiarą zręcznych dłoni Miriam, która upięła jej włosy w kok, mówiąc, że to bardziej higieniczne.

Jednak choć teraz fryzura robiła wrażenie bardziej surowej, Jenny długo jeszcze rozkoszowała się poprzednim wizerunkiem.

"Bardziej elegancko".

Rzeczywiście jej się podobało.

Darden będzie wściekły.

Ale Pete nie.

Pete będzie zachwycony.

Nie mogła się doczekać, kiedy mu się pokaże.

Nie mogła się doczekać, kiedy go w ogóle zobaczy.

Nawet teraz, przywołując wspomnienia, poczuła znów ciepło, ja^J3 ogarnęło, kiedy odprowadził ją do drzwi i wyprawił do miasta.

- Może cię jednak podwiozę?

Odmówiła.

Nie chciała, był udzie pytali, kto to taki i dlaczego jej towarzyszy.

Niechciała, żeby opowiadali o tym Dardenowi, przynajmniej póki sama

nie będzie wiedziała, co powiedzieć.

- Potrzeba mi czasu na zastanowienie.

Muszę zdecydować, co robić.

Wtedy ujął jej twarz w dłonie - chyba lubił to robić - potem obramował skronie dłońmi, jakby to były klapki na oczy dla konia, odcinające ją od wszystkiego poza samą sobą.

- Jak mogę ci pomóc?

Obiecała sobie, że nie będzie błagać, ale rzeczywistość kryła się tuż za przesłoną jego dłoni.

- Nie odchodź.

Zostań jeszcze trochę.

Bądź tu, kiedy wrócę.

Pocałował ją w usta, w nos, w zamknięte teraz powieki.

Widok jego twarzy już jej nie rozpraszał, więc głos wydawał się głębszy:

- Będę czekał.

Wracaj szybko.

Jenny pracowała szybko.

Biegiem zaniosiła ostatnie tacę z kuchni do furgonetki, a potem z samochodu do domu, w którym odbywało się barbecue, a stamtąd do ogrodu, gdzie ustawiono grille.

Biegła wokół basenu, od stołu do stołu, rozkładając serwetki i rozstawiając świece.

Biegiem zaniosiła napoje z kuchni na skraj bufetu, koszyki z bułkami i podstawki z przyprawami na środek stołu, papierowe talerze, serwetki i plastikowe sztuce postawiła na końcu stołu, tuż koło grilla.

- Zwolnij - powiedziała którymś momencie Miriam, ale Jenny nie mogła się na to zdobyć.

Wydawało jej się, że im szybciej wszystko naszykuje, tym szybciej wróci do domu.

Do Pete'a.

Niestety, jej ręce nie były tak szybkie jak nogi.

Musiała na nowo rozłożyć serwetki, bo Miriam powiedziała, że wyglądają nieporządnie.

Musiała wytrzeć podłogę, na którą wylała całą dwulitrową butelkę Mountain Dew.

Musiała zwrócić pełną tacę opiekanych ziemniaków do kuchni, bo

postawiła ją zbyt blisko brzegu stołu i taca spadła.

- Jenny - szepnęła Miriam, kiedy goście już przyszli – opanuj się.
Nie ma co się spieszyć.
Spokojnie.

Jenny była od tej pory ostrożniejsza. Skupiała się na każdym zadaniu, jakie przydzieliła jej Miriam, i poradziłaby sobie wcale nieźle, gdyby gospodyni przyjęcia nie powierzała jej setki drobnych spraw. Jeśli tonie było: "pan w zielonej marynarce potrzebuje sosu", to słyszała: "szklanke zimnej wody dla tamtej pani w błękicie" albo: "proszę postawić sól i pieprz na każdym stole", albo: "trzeba napełnić butelkę dla dziecka mlekiem z lodówki i podgrzać trochę, ale tylko trochę. Wie pani, jak sprawdzić temperaturę, prawda?".

Jenny robiła, co mogła, ale starając się spełnić życzenia i Miriam, i gospodyni, oczywiście nie nadążała, a kiedy próbowała nadrobić zaległości, popełniała błędy. Miała zły dzień. Jeden zły dzień to nic strasznego. Jedzenie i tak było dobre.

A poza tym co za różnica, czy wszystko dobrze poszło, jeśli Miriam i tak zamyka firmę?

Te myśli nie podniosły jej na duchu, choć po powrocie Miriam wzięła ją na stronę.

- Słuchaj, Jenny, chcę, żebyś wzięła urlop na parę dni.

Wydajesz się rozkojarzona.

- Nic mi nie jest. Naprawdę.

- Mam inne wrażenie.

Weź urlop, póki Darden nie wróci i nie zadomowi się.

Wtedy poczujesz się lepiej.

- Ależ ja muszę pracować – nalegała Jenny i zaczęła wycierać długi blat z nierdzewnej stali.

- On chce, żebym pracowała.

Rozeźli się, jeśli będę na urlopie.

Daję słowo.

Lepiej, jeśli pracuję.

Miriam przytrzymała jej rękę i zmusiła, by przerwała

wycieranie.

- Nie sędzę.

Słuchaj, w tym tygodniu i tak mam tylko dwa zamówienia, i to nieduże. Anne Marie i Tyler się nimi zajmują.

Musisz spędzić trochę czasu z ojcem, powinnaś także poszukać innej pracy.

- Nie znajdę.

-Znajdziesz.

Dam ci znakomite referencje.

Jenny wiedziała, że nie pomogłyby nawet referencje od samego papieża.

Ludzie jej nie chcieli.

Wszystko jedno, czy to z powodu włosów, piegów czy nazwiska - nie pasowała do pozostałych.

Nie umiała swobodnie rozmawiać ani się uśmiechać, szczególnie do nieznanym, którzy pewnie zajrzeliby w jej oczy i od razu odgadli, kim jest.

Miriam była wyjątkiem.

Miriam jednak wyjeżdża.

- Możesz pracować przy weselu De Wittów w przyszłą niedzielę.

Zgoda?

Jenny przytaknęła.

Niemrawo przetarła stół i zawiesiła ścierkę przy zlewie.

Potem wyszła w zapadającą szybko noc i ruszyła w drogę powrotną do domu.

Pod żadnym pozorem nie chciała myśleć o tym, co może się zdarzyć do czasu następnego spotkania z Miriam, ale myśli te i tak ją osaczały, nie tylko mnożąc się, ale wypełniając mózg tak szczelnie, że zakręciło jej się w głowie.

Niedoszła nawet do następnej przecznicy, a już była zmuszona usiąść na krawężniku.

Objęła rękoma kolana.

Oparła na nich policzek i zmrużyła oczy, aż Main Street zmieniła się w smugę światła i cienia, taką samą jak Londyn, Paryż czy Wyoming kawałek na południe od Montany.

Wtedy przyszedł jej na myśl Pete.

Podniosła się, ale natychmiast znów opadła.

Nie wiedziała, czy lepiej siedzieć tu i wyobrażać sobie, że czeka na nią, czy też wrócić do domu i odkryć, że odszedł.

Obiecał, że zostanie, ale to było wcześniej, zanim miał okazję zastanowić się nad tym, co mu powiedziała.

Teraz, kiedy dowiedział się części prawdy, pewnie już go nie ma.

Nie miała muza złe.

Jenny zawsze przyciągała kłopoty.

Duże kłopoty.

Wyplątała spinki z włosów i jedną po drugiej rzucała na ziemię, rozgniatając dłońią.

Przestała dopiero, kiedy mała postać schyliła się nad nią, a drobna rączka dotknęła jej nogi.

Zdobyła się na uśmiech.

- Cześć, Joey Battle, co nowego?

-Nic. -Jego skóra lśniła blado, prawie błękitnie, a piegi błyszcząły w mroku tak mocno, jak - była tego pewna - jej własne.

- Kto cię tak ostrzygł?

- Ja sama.

- Starala się zdjąć mu bejsbolówkę założoną tyłem na przód, żeby zobaczyć jego włosy, ale stanowczo przytrzymał plastikowy pasek na czole.

- Moje są głupie - powiedział. - Wszystko ostrzygła, bo powiedziała, że są za długie i trudno je rozczesać.

Ja w każdym razie będę nosił tę czapkę do szkoły, choćby nie wiem co mówiła.

Mówi, że twój tata wraca.

Że zabił twoją mamę.

To prawda?

Jenny podkuliła kolana i wcisnęła łokcie w podolek.

- To prawda?

-Nie.

- To dlaczego jest w więzieniu?

-Bo sąd uznał, że to zrobił.

- Dlaczego?

-Bo powiedział, że to zrobił.

- Więc zrobił?

-Nie.

- Joey?

Joey Battle, gdzie się podziewasz?

Joey jak błyskawica pomknął w dół ulicy.

Jenny odwróciła się, zgarbiła i spuściła głowę, żeby Selena jej nie zauważyła i nie domyśliła się, gdzie podziewał się chłopiec.

Odczekała, aż odgłos kroków ucichł.

Wtedy - z plecami wciąż zgarbionymi i ściśniętym żołądkiem -ruszyła w drogę do domu.

Lewa, prawa, lewa, prawa.

Szła równo, wysuwając jedną nogę przed drugą.

Starła się wyprostować, tak jak radziły panie w czasopiśmie, ale ramiona odmawiały jej posłuszeństwa, a kiedy próbowała przepędzić smutek, twarz Dardena pojawiała się przed oczyma.

Darden i brak pracy, i obcięte włosy, i żadnej możliwości ucieczki.

Zaczęła biec z łokciami przy ciele, jej włosy żyły własnym życiem w gęstniejącej mgle.

Poddała się dopiero, kiedy kolka w boku spowolniła jej ruchy, ale nawet wtedy się nie zatrzymała.

Musiła sprawdzić, czy Pete na nią czeka.

Musiła wiedzieć.

Był jedynym jasnym punktem w jej życiu.

Gdy dochodziła do domu, była już jak w amoku.

Przedarła się przez gęstą mgłę po bocznych schodkach wpadła do kuchni.

Nie było go tam.

Przebiegła przez przedpokój, mimo gryzącego chłodu zaglądając po kolei do wszystkich pokoi -pierwsze piętro, drugie piętro, każdy zakamarek, każda szafa, nawet pod łóżka, w razie, gdyby po prostu wykręcił jej głupi kawał, choć wiedziała, że nie jest tak okrutny.

Zdyszana, przeczesła włosy palcami.

Jeśli odszedł, to koniec.

Żadnej otuchy, żadnego ciepła, żadnej ostatniej próby znalezienia takiego szczęścia, jakie było udziałem innych.

Jeśli odszedł, jej marzenia umarły.

Drżąc z zimna, schowała głowę w ramionach, zacisnęła powieki i odetchnęła z głębi swego ciała, z najbardziej obolałych jego

zakamarków.

Wtem otwarła szeroko oczy, myśląc o sosnowym namiocie za domem.

Odwracając się na pięcie, wybiegła z pokoju i wpadła wprost na dużą ludzką postać.

Rozdział dwunasty

BOSTON

Casey drżała, odkładając ostatnią kartkę maszynopisu na stosik. Jej reakcja wynikała częściowo z tego nagłego pojawienia się męskiej postaci, ale przede wszystkim z informacji, że ojciec Jenny poszedł do więzienia za zabójstwo jej matki.

Casey nigdy nie miała klienta, który miałby jakiś związek z morderstwem.

Ze śmiercią - tak.

Często pomagała ludziom pogodzić się ze śmiercią jednego z rodziców, współmałżonka czy bliskiego przyjaciela.

Natomiast morderstwo było czymś zupełnie innym, dotyczyło takiego poziomu przemocy, z jakim Casey się nie zetknęła.

Jej rodzice nigdy z sobą nie walczyli - oni nigdy z sobą nie rozmawiali.

Choć był to dziwny układ - i wielokrotnie przypasowywała różne psychoterapeutyczne terminy do ich konkretnej formy dysfunkcji - uznawała, że osobne życie jest lepsze od takiej nienawiści, która prowadzi do morderstwa.

Connie napisał jednak, że Jenny to rodzina.

W takim razie to konkretne morderstwo jej także dotyczyło.

Nie – zatrzymała bieg swoich myśli.

Connie napisał: "należy do rodziny".

Być może "do rodziny" należała osoba, która napisała dziennik jako powieść, a "jak jej pomóc" odnosiło się do pomocy przy publikacji.

Tu Casey nic nie mogłaby zrobić.

Nie mogła jednak także odwrócić się od Jenny Clyde.

Świat Jenny zamykał się wokół niej.

Jej desperacja rosła.

Casey musiała wiedzieć, co się z nią stało.

Coś jej mówiło, że Jenny istnieje naprawdę.

A jednak nie wszystko było w porządku - w części, którą właśnie przeczytała, wyczuwała jakiś zgrzyt.

Nie potrafiła jednak wskazać, o co chodzi.

Już podenerwowana, podskoczyła na dźwięk dzwonka telefonu. W salonie nie było aparatu, a tu właśnie siedziała od wyjścia Emily Eisner.

Nie było także zegara, zgadywała jednak, że musi być koło dziesiątej. Meg dawno już wyszła, a przyjaciele Casey zazwyczaj nie telefonowali o tak późnej porze.

Zaniepokojona, odłożyła strony dziennika, przebiegła przez hol do kuchni i chwyciła słuchawkę.

Dziesięć minut później, po szybkiej jeździe przez na szczęście nie bardzo zatłoczone ulice, Casey wbiegła po schodach do domu opieki, otworzyła drzwi wejściowe i szybko pokonała dwa piętra. Przy dyżurce stał lekarz jej matki, czekając na nią i wpisując spostrzeżenia do karty Caroline.

Casey zatrzymała się z bijącym sercem.

Lekarz był spokojnym, dość oschłym człowiekiem o ciemnych włosach i drobnej budowie.

Choć wiedziała, że oschłość stanowi cechę i kulturową, i osobowościową, odgadła, że w ten sposób broni się przed osobistym zaangażowaniem.

Niewiele jego pacjentów wracało do zdrowia.

Mogli trwać, tak jak Caroline, ale w końcu niemal wszyscy umierali.

Casey spojrzała na niego z niepokojem.

Uśmiechnął się lekko, by ją uspokoić.

- Już lepiej.

Tym razem dłużej to trwało, ale sama z tego wyszła.

Pod Casey ugięły się kolana.

Dwa lata temu, gdy Caroline była już w stanie śpiączki tak długo, że szansę na wyleczenie jej zmalały niemal do zera, Casey podpisała oświadczenie, by nie podejmować prób resuscytacji.

Zanim zdecydowała się, konsultowała się z wieloma lekarzami, rozmawiała z pastorem w Providence, który znał Caroline, przedyskutowała wszystkie za i przeciw z przyjaciółmi Caroline. Z rozumowego punktu widzenia Casey uważała, że podjęła właściwą

decyzję.

Nie wiedziała jednak na pewno, co by czuła, gdyby Caroline umarła, choć można by ją jeszcze utrzymywać przy życiu.

- Skoro wyszła z tego własnymi siłami - powiedziała teraz

Casey lekarzowi - to chyba coś znaczy.

Wcale nie jest gotowa umrzeć, a ja nie chcę pozwolić jej odejść.

Uśmiech lekarza był smutny.

Nic nie mówił.

Casey pokonała krótki, dzielący ich dystans.

Szanowała tego człowieka.

Inaczej już dawno zabrałaby Caroline spod jego opieki.

- Proszę mi powiedzieć, co pan myśli -poprosiła.

-Już to przerabialiśmy. - Mówiliśmy o infekcjach. - W ciągu trzech lat zdarzyło się ich kilka. -Nie o drgawkach, bo to coś nowego.

- To prawda.

Nie podobał jej się sposób, w jaki na nią patrzył.

- Myśli pan, że stara się umrzeć?

Podniósł jedną brew.

- Tak bywa.

-Więc dlaczego nie umiera?

- Zgodnie z definicją, stan wegetatywny to taki, w którym funkcjonowanie ciała pacjenta nie ma nic wspólnego ze świadomym życiem.

Funkcje wegetatywne nie ustają, tak samo jak reakcje odruchowe.

Prawdopodobnie właśnie te odruchowe reakcje sprawiły, że pani matka wyszła z tej serii napadów drgawkowych.

- Serii?

-Tak.

- Więc to był więcej niż jeden napad? - spytała Casey, zdezorientowana.

- Trzy, cztery, pięć niezbyt silnych w ciągu ostatniej godziny.

-Ale niezbyt silnych.

I wyszła z tego.

Naprawdę myślę, że to coś znaczy. - Skierowała się ku pokojowi Caroline, ale zawróciła. Zawsze targały nią sprzeczne odczucia. Casey zdawała sobie sprawę, że może zachodzić rozbieżność między tym, czego pragnie, a tym, co jest naprawdę.

Splotła ramiona.

- Jeśli ma pan rację - spytała cicho - to co się będzie teraz działo?

-Może nic.

Może pokona ten zakręt i zostanie w tym stanie trochę dłużej.

Czytała pani raporty o takich przypadkach.

Casey czytała.

Wiedziała o Karen Ann Quinlan, Nancy Cruzan i dziesiątkach innych, którzy żyli latami sztucznie odżywiani.

Wiedziała, jak rosły rachunki szpitalne.

Wiedziała, jak niszczący wpływ wywiera długotrwały stan wegetatywny na rodzinę chorego.

Wypracowała własny sposób radzenia sobie z tym problemem.

W pewnym sensie było to przekształcenie teorii jej ojca o szukaniu skarbów.

Connie uważał, że samoświadomość przychodzi wtedy, gdy ktoś potrafi otworzyć wszystkie drzwi do swego życia.

Casey nie zgadzała się ze słowem "wszystkie".

Była doskonale funkcjonującą kobietą.

Odnosiła sukcesy zawodowe, była aktywna w sprawach osobistych, racjonalna i szczęśliwa.

Jeśli zawartość jednego "pokoju" w jej życiu wypełniał ból i nie było żadnego sposobu, żeby mogła to zmienić, wchodziła do tego "pokoju", jeśli musiała, ale poza tym trzymała drzwi do niego zamknięte.

Często odwiedzała Caroline.

Gdy była przy niej, całkowicie się na tym skupiała.

Ale gdy wychodziła, zamykała te drzwi za sobą.

Nie zawsze chciały zostać zamknięte i gdy zaczynały się zza nich wydostawać troski, robiła, co w jej mocy, by je tam wepchnąć z powrotem. Czy oznaczało to, że jest nieczuła? Być może. Nie wiedziała jednak, co jeszcze mogłaby zrobić.

Ból, frustracja i bezsilność, towarzyszące myślom o Caroline cały czas, codziennie, od ponad tysiąca dni, zniszczyłyby ją całkowicie. Teraz jednak była tu i kierowana ciekawością zapytała:

- Jeśli ma pan rację i moja matka stara się umrzeć, to czy nie podejmie tej próby na nowo?

- Niewykluczone.
- Czy objawi się to drgawkami?
- Niekoniecznie.

Miałem pacjentów, którzy przeżywali okres stałych drgawek - status epilepticus - ale przez niego przechodzili i nigdy więcej już go nie doświadczali.

Zmianę stanu mogą znamionować różne symptomy.

Pacjenci w trwałym stanie wegetatywnym na ogół zachowują dobowy cykl snu i jawy.

Tak jak pani matka.

Możemy spowodować u niej reakcje na ostre światło, gdy jest obudzona, ale nie wtedy, kiedy śpi.

Jednym z objawów zbliżającej się śmierci może być zmiana tej reakcji. Może coraz więcej spać i coraz trudniej ją będzie obudzić.

To sygnalizuje zmianę w metabolizmie.

Jej kończyny mogą się wyziębiać, co z kolei będzie świadczyć o zmianach w układzie krążenia.

Jeśli złączą zawodzić funkcje autonomiczne, w gardle może się gromadzić wydzielina z nosa i jamy ustnej, przez co oddychanie stanie się nie tylko głośniejsze, lecz przede wszystkim trudniejsze.

- Pięknie - stwierdziła Casey.

-Ale nie cierpi - powiedział lekarz cieplejszym tonem.

Najwyraźniej bardzo chciał to Casey wyjaśnić.

- Musi pani o tym pamiętać.

Nie czuje bólu.

W ogóle nie ma żadnych doznań.

Jej mózg za słabo funkcjonuje.

- Ale z kolei jeśli to, co się z nią dzieje, to pierwszy krok ku obudzeniu, może zacząć odczuwać ból - zauważyła.

-Będziemy wiedzieć, jeśli tak się stanie.

Nawet jeśli nie przemówi, dowiemy się o tym - jeśli nie ja, to pielęgniarki.

Głęboko szanuję ich instynkt.

Zawsze pierwsze wiedzą, gdy pacjent jest gotów odejść.

Odejść.

Czyli umrzeć.

Casey nieraz słyszała i od pielęgniarek, i członków rodzin pacjentów na

tym samym piętze, że pielęgniarki rzeczywiście wiedzą.
Dlatego nie zamierzała teraz nikogo o nic pytać.
Nie chciała znać odpowiedzi.

W pokoju Caroline panował półmrok i spokój.
Jedynym śladem wcześniejszych niepokojów była kroplówka zvalium,
stojąca u wezłowania.
Caroline leżała na boku, podparta dwoma poduszkami.

Casey pocałowała ją w policzek i poczuła znany i kojący zapach
eukaliptusa.
Wolała uznać to za oznakę życia.

- Cześć, mamó - szepnęła.

- Słyszałam, że było dzisiaj trochę zamieszania.

Ujęła Caroline za rękę, która niebyła chłodniejsza niż zwykle. Przyjrzała się jej twarzy: z zamkniętymi oczyma matka wyglądała na odprężoną.

Oddychała spokojnie, niebyło słyszeć żadnego rżenia.

- Te napady są po to, by wszyscy koło ciebie skakali?

-Uśmiechnęła się.

- To dla ciebie typowe.

Tak jak wtedy, kiedy mnie nauczyłaś, żeby sprawdzać, czy w baku jest benzyna.

- Casey miała szesnaście lat, właśnie dostała prawo jazdy i jeździła tylko po okolicy, więc nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo, jedynie mogła narobić sobie kłopotu.

Pewnego dnia Caroline nie przypomniała córce o kupieniu benzyny i Casey stanęła w polu z pustym bakiem. - Ale nie mam ci za złe.

Sporo nas kosztuje twój pobyt tutaj.

No tak –poprawiła się -nie my płacimy, niebezpośrednio.

Ale wpłacałaś pieniądze przez te wszystkie lata, gdy miałaś znakomite zdrowie.

Więc teraz zasługujesz na wszystko, co najlepsze.

Delikatnie gimnastykowała nadgarstek Caroline.

- Mówiąc o najlepszym - ciągnęła, wciąż szeptem – może zaplanujemy wycieczkę? Zawsze chciałaś pojechać do Hiszpanii.

Chyba powinnyśmy to zrobić.

- Gdy Caroline milczała, dodała: - To nie musi być tak od razu.

Możemy pojechać wiosną lub latem przyszłego roku albo nawet jeszcze za rok.

Zarezerwuję miejsce - Casey w rzeczywistości zrobiła to przed rokiem - ale możemy odwołać rezerwację, jeśli zmienimy zdanie - co musiała zrobić.

- A może w ogóle tonie powinno być latem, tylko wiosną lub jesienią bo wtedy nie będzie takich tłumów.

Jak myślisz, mamó? Będziemy się do tego przygotowywać?

- Czy będę się dość dobrze czuła?

-Oczywiście.

- I będę mogła chodzić godzinami?

To przecież właśnie się robi na wycieczkach. Pamiętasz, gdy pojechaliśmy do Waszyngtonu? Cały czas narzekałaś, że cię bołą nogi. Casey wspominała tę wyprawę z rozgoryczeniem.

- Byłam w siódmej klasie.

Nie chciałam być w Waszyngtonie z tobą. Chciałam być z przyjaciółmi, którzy jechali do Waszyngtonu na szkolną wycieczkę, ale ty mi na to nie pozwoliłaś.

- Ponieważ chciałam, żebyśmy byli razem, Casey.

Za szybko dorastałaś i wiedziałam, że będziesz spędzać z przyjaciółmi coraz więcej czasu.

Poza tym nie byłam pewna, czy nie dojdzie do jakiejś rozróby, gdy pojedziesz z przyjaciółmi.

Casey trudno było zaprotestować, ponieważ razem z przyjaciółmi często brała udział w różnych szaleństwach, w dodatku to ona najczęściej była przywódczynią.

Uwielbiała przyjęcia z przeschmuglowanym nielegalnie piwem, uwielbiała chodzić na filmy dla dorosłych, gdy dorosła jeszcze nie była, uwielbiała takie pomysły, jak przefarbowanie włosów na zielono, by pasowały do strojów drużyny koszykówki w szkole średniej, w tym roku, gdy reprezentacja szkoły wygrała mistrzostwa stanowe.

- Uwielbiałam przeginać - powiedziała teraz - ale wiesz, o co chodziło.

Testowałam, zawsze testowałam.

Musiałam wiedzieć, że mnie kochasz, nawet z zielonymi włosami.

Poza tym jaka byłaby przyjemność z dorastania, gdyby nastolatki nie doprowadzały rodziców do szału ?

- Aha.

To była freudowska pomyłka, moja droga.

Powiedziałaś "rodziców", w liczbie mnogiej, i o to właśnie ci przez cały czas chodziło, gdy rozrabiałaś. Nie miałaś ojca. Miałaś mi za złe, że ci jakiegoś nie zapewniłam.

- Nie chciałam, żebyś mi zapewniała jakiegoś. Chciałam mojego prawdziwego.

Caroline nie odpowiedziała.

Nie było do powiedzenia nic, czego by już wielokrotnie nie mówiła - a Casey mogłaby się nawet zgodzić, gdyby nie to, że u niej wiele się

zmieniło.

- Zawsze mówiłaś, że nie wiesz, co było dla niego ważne w życiu- powiedziała na głos.

- Ale on teraz nie żyje, a jego dom należy do mnie.

Mogę ci o nim opowiedzieć.

Caroline się nie odezwała.

- Czy wiedziałaś, że grał na fortepianie?

Albo że godzinami siadywał sam na tarasie na dachu?

Albo że jego najlepszym przyjacielem był kot?

Myślę, że był samotnym człowiekiem.

Wiesz, przez te wszystkie lata, kiedy miałam muza złe, że mnie ignoruje, zapewne prowadziłam szczęśliwsze życie niż on.

Caroline nadal milczała.

- Zmarł nagle – wyrzuciła z siebie Casey, chcąc wywołać jakąś reakcję.

- Na rozległy zawal.

W ciągu ostatnich trzech lat życia Caroline były takie chwile, typowe dla pacjentów w podobnym stanie, że ruszała lekko głową, ręką lub ustami.

Teraz jednak nic takiego nie nastąpiło.

Nie mrugnęła, nie skrzywiła się, nie jęknęła.

- Może to lepsze niż taka powolna śmierć jak moja- usłyszała Casey albo tak się jej wydawało.

-Nie umierasz powoli, tylko zdrowiejesz.

Caroline zasnęła - a w każdym razie tak chciała o tym myśleć Casey.

Inaczej kłóciłaby się z matką. Nie zamierzała pozwolić, by się nad sobą użalała.

Użalanie się do niczego nie prowadzi. Chciała, by Caroline wyzdrowiała.

Czując znów przyływ emocji, szepnęła:

- Muszę już iść, mam. - Pocałowała dłoń Caroline i ostrożnie położyła na pościeli. -Wrócę niedługo. Wtedy porozmawiamy. - Wstała. -O Hiszpanii.

- Zastanowiła się. -A jeśli Hiszpania to za dużo, pojedziemy na Hawaje. To długi lot, ale na miejscu możemy się przez tydzień w ogóle nie ruszać.

Żadnego wysiłku fizycznego. Żadnego zwiedzania.

Tylko słońce, piasek i pinacolada, więc gdybyś nie czuła się zbyt dobrze, to będzie w sam raz. Hej. A jeśli boisz się drugiego lotu, możemy zrobić to samo w Kostaryce.

Jest tam niesamowity luksusowy kurort.

Znajdę jego nazwę, dobrze?

Po powrocie do domu Casey spała twardo od północy do piątej rano, ale gdy się obudziła, nie mogła już zasnąć. Nie mogła nawet leżeć w łóżku.

Jej myśli pędziły w zbyt wielu różnych kierunkach.

Najpierw włożyła strój dobiegania, związała włosy i przeciągnęła przez otwór z tyłu bejsbolówki, po czym wyruszyła w równo padającym deszczu, by zobaczyć, jak się czuje matka.

Wiedziała, że ktoś zadzwoniłby do niej, gdyby Caroline się pogorszyło. Sama też mogła zatelefonować do domu opieki i zaoszczędzić sobie tej wyprawy.

Była jednak niespokojna, a to nie zdarzało się jej często.

Chciała zobaczyć na własne oczy, że Caroline dobrze się czuje.

Poza tym bieg do Fenway i z powrotem oznaczał, że równocześnie poćwiczy, więc miało to sens.

Stan Caroline, jak się wydawało, nie uległ zmianie.

Leżała, co prawda, inaczej niż poprzedniego wieczoru, ale Casey, choć chciałyby wierzyć, że zmieniła pozycję sama, wiedziała, że tak nie było. Pielęgniarki przewracały ją co kilka godzin.

Teraz spoczywała na plecach i była karmiona.

Ze stojaka do kroplówek zwisała rurka z pokarmem, a siła ciężkości sprawiała, że jej zawartość trafiała wprost do żołądka Caroline.

Casey zrobiło się trochę niedobrze.

Nie wiedziała, dlaczego.

Widywała to już przedtem, więcej razy, niż mogła zliczyć, nie był to więc odruch obrzydzenia, niechęci czy nawet zaskoczenia.

Po pierwszym szoku, jaki przeżyła trzy lata temu, nauczyła się traktować te posiłki jako coś naturalnego.

Coś się jednak zmieniło.

Lekarz uważał, że Caroline stara się umrzeć, a Casey nie mogła pozbyć się myśli, że jest to możliwe.

Poczuła się pusta i samotna, niewyobrażalnie smutna, pozbawiona nadziei na bliskość, jaka powinna je łączyć teraz, gdy już dorosła.

Chciała odizolować tę mroczną wersję Caroline w "pokoju" życia, ale drzwi nie chciały dać się zamknąć.

Casey rozpaczliwie pragnęła, by matka otworzyła oczy, by inteligentnie przemówiła, uśmiechnęła się.

Nie została długo.

Była zbyt przemoczona i zbyt przestraszona.

Zatrzymała się przy łóżku Caroline tylko na chwilę, a potem zawróciła i ponownie wyszła na deszcz.

Pogoda, duszna, parna i gorąca, odpowiadała jej nastrojowi.

Casey biegła szybko i zdecydowanie, a krople deszczu mieszały się z kroplami potu i łzami, aż w końcu nogi odmówiły posłuszeństwa.

Dopiero wtedy zwolniła do rozsądniejszego tempa.

Przebiegła park, pobiegła wzdłuż Charles Street i w górę Chestnut do alejki na tyłach domu, gdzie zostawiła samochód.

Miała nie stała samotnie.

Obok był dżip Jordana.

Zdyszana po biegu, Casey pochyliła się, oparła dłonie na kolanach i starała się wyrównać oddech.

Deszcz spływał z daszka bejsbolówki, z drzew, z nieba.

Wyprostowała się, odchyliła głowę i pozwoliła, by krople obmyły jej twarz.

Oddech uspokoił się, ale żołądek wciąż miała ściśnięty.

Głód?

Zapewne, ale nie mogła myśleć o jedzeniu.

Jednak to nie głód był przyczyną wewnętrznej pustki.

Nie musiała wyjmować klucza, bo Jordan zostawił otwartą zapadkę.

Wsunąwszy się do środka, zamknęła furtkę, ale chwilę trwało, zanim go dostrzegła.

Stał po lewej stronie, za szopą, na wpół schowany za choinami, których najniższe gałęzie wisały mu tuż nad głową.

Choć chroniły go od deszczu, wyglądał, jakby schował się pod nimi dopiero co, bo cały był mokry.

Dzisiaj miał szary podkoszulek.

Stał, trzymając się jedną dłonią za ramię.

Drugą ręką zwisała luźno wzdłuż ciała.

Ciemne szorty sięgały do połowy uda, odstawiając dobrze zbudowane i

bardzo proste nogi.

W jego pozie nie było nic niedbałego.

Patrząc na nią ciemnymi, szeroko otwartymi oczyma, robił wrażenie zaniepokojonego.

Nie, stwierdziła Casey, nie zaniepokojonego.

Niepełnego.

Nie, poprawiła się, nie niepewnego.

Oczekującego.

Nagle zamknęły się wszystkie drzwi w domu jej życia -poza jednymi.

Te jedne zostały otwarte i zapraszające.

Jordan był żywiołowo męski.

Chemia między nimi silnie działała.

Od samego początku coś ją do niego ciągnęło, coraz bardziej i bardziej.

Był ogrodnikiem jej ojca.

To ją powinno powstrzymać, ale działało się wręcz przeciwnie.

Fakt, że był tym, kim był, sprawił, że wydawał jej się bardziej atrakcyjny.

W tym momencie, wyzwoliwszy się z bezradności i smutku, nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby znaleźć coś lepszego dla siebie na koszt Conniego.

A potem przestała myśleć także i o Conniem, ponieważ to, co przeżywała, było najważniejsze.

Nie spuszczać wzroku z Jordana, przecięła ogród i podeszła do niego.

- Czy wszystko w porządku?

- spytał, jakby wiedział, gdzie była.

Nie odpowiedziała, tylko przycisnęła swoje ciało do jego i wzięła go za rękę.

Ani przez chwilę nie wątpiła, że czuje to samo co ona.

Wiedziała.

Po prostu wiedziała.

Gdy uniosła głowę, zdjął z niej bejsbolówkę, apotem długie palce objęły jej twarz.

Jego usta spotkały się z jej wargami bez cienia nieśmiałości.

Casey zatraciła się w tej chwili.

Nie myślała, nie analizowała i nie fantazjowała.

Skupiła się na czystych doznaniach-gorących ustach, gdy pogłębiał

pocałunek, pieszczocie jego języka w od dawna samotnych zaułkach. Czowała, jak topnieje w środku, gdy zaczął gładzić jej piersi, a potem przyплыw satysfakcji -i pożądania - gdy ściągnął jej koszulkę i pieścił nagą skórę dłońmi i ustami.

I nagle rozpaczliwie zaprzagnęła pójść na całość.

Dotykała wszystkich miejsc na jego ciele, do jakich zdołała sięgnąć.

W pewnej chwili dotarł do niej jego głos, niski i chrapliwy.

- Czy jest coś, co powinno nas powstrzymać?

Chłopak, obawa przed ciążą czy jakaś inna przeszkoda?

Nie była w stanie myśleć o przeszkodach, nie teraz, gdy cała tak bardzo pragnęła jego i pełni, jaką oferowało jego ciało.

Z trudem zdołała ściągnąć z siebie mokre szorty, podczas gdy on zdejmował swoje, i pośpiech został nagrodzony.

W połączeniu z Jordanem osiągnęła doskonałą pełnię i jedność.

Później nieraz przypominała sobie, jak zmieniali pozycje, kołysali się w przód i w tył, skupiając się na swoich doznaniach. Poczucie pełni wyzwoliło w niej nowe potrzeby, zmieniając chęć działania w chęć istnienia.

Spowolniło jej ruchy, więc trwała w chwale posiadania, w bogactwie urywanych oddechów i deszczu na liściach, sile umięśnionego ciała, drapaniu zarostu, zapachu mokrego mężczyzny i drzew, i ziemi.

Tak jak podczas oddychania w jodze starała się wyjść poza normę, także i teraz otwierała się coraz bardziej, otwierała bez zastrzeżeń, oferując każdą część ciała jego rękom, ustom, językowi, aż jej ciało wybuchło orgazmem.

To doznanie głębią i wspaniałością przewyższało wszystko, czego kiedykolwiek doświadczyła.

Zadowolenie.

To była pierwsza konkretna myśl, jaka jej przyszła do głowy.

Siedząc na kolanach Jordana, który wspierał się plecami o drzewo - nie wiedząc, jak udało im się dojść do tej pozycji- była całkowicie usatysfakcjonowana.

Obejmowała go rękoma za szyję, czoło oparła o kłujący zarostem policzek.

Chwytała jeden oddech po drugim, coraz dłuższe i równiejsze.

Pozostał w niej przez te przeciągające się minuty, już bez erekcji, ale wciąż ją wypełniając.

Gdy w końcu westchnęła głęboko i uniosła głowę, patrzył na nią.

W jego oczach było to samo bogactwo doznań, którego doświadczyła Casey, ale teraz przeraziła się ich siłą.

Nie знаła tego mężczyzny.

Nigdy dotychczas nie kochała się z nikim tak żywo.

Nie żałowała tego, co się zdarzyło, zbyt dobrze się czuła.

Jordan był jednak dużą niewiadomą.

Nie chcąc zajmować się teraz rzeczywistością, nie chcąc, by cokolwiek zmniejszyło błogość, która ją przepęłniała, i wyczuwając, że Jordan chce się odezwać, położyła mu palce na ustach.

Nie wiedziała, co może powiedzieć, ale nie chciała, by mówił cokolwiek.

Przekazała mu to spojrzeniem i czuła, jak ustępuje.

Dopiero wtedy zabrała dłoń i zsunęła się z niego.

Wstała i spróbowała włożyć mokre ubranie jak najszybciej, ale nie było to łatwe.

Jordan siedział dalej, przyglądając się jej z coraz większym rozleniwieniem – albo dobrze się czując nago, albo zbyt zmęczony miłością.

Tak czy inaczej, jego uważny wzrok znów ją podniecał.

Ubrała się, przygotowała do wyjścia z cienia choin, nawet dała krok ku ścieżce, ale zatrzymała się, zmieniła kierunek i wróciła.

Znów przysiadła na jego kolanach, wsunęła mu palce we włosy i przytrzymała głowę do ostatniego pocałunku.

Trwał, przynosząc równocześnie zawrót głowy i zadowolenie.

Chętnie zostałaby dłużej, nawet zdjęłaby ubranie dla samej przyjemności przytulenia się do niego nagim ciałem.

Wkrótce jednak przyjdzie Meg, a także klienci.

I nie chciała, żeby myślał, że się od niego uzależnia.

Raz jeszcze musnęła go wargami, oparła się na jego ramionach, wstała i podeszła do końca osłony z choin.

Nie oglądając się, odetchnęła głęboko i pobiegła w deszczu do domu.

Mokra i brudna, skierowała się ku wejściu dla służby, które było zrzęcznie ukryte w narożniku i osłonięte bluszczem.

Ledwo jednak wsunęła klucz do zamka, rozmyśliła się, wyciągnęła go, podniosła głowę i przeszła do drzwi gabinetu.

Chciała, by Connie zobaczył, jak wygląda, i wiedział, co zrobiła.

Odsunawszy siatkowe drzwi, otworzyła z zatrasku kolejne drzwi i weszła do środka.

Nie chciała zabrudzić dywanu, obeszła go więc dookoła po drewnianej podłodze.

Jeśli Connie był zgorzony, nie dał tego poznać.

Drewno nawet nie skrzypnęło.

Nie wyczuwała także obecności żadnego oburzonego ducha.

Poczucie winy wywoływały w niej jedynie mokre ślady na podłodze.

Zdjęła więc adidasy i skarpetki, wbiegła do pralni, znajdującej się koło kuchni, i postawiła je tam, by wyschły.

Pod wpływem impulsu zdjęła również koszulkę i szorty i naga pobiegła do pokoju.

Nie chciała jeszcze wejść pod prysznic.

Jej ciało wciąż pachniało Jordanem.

Otuliła się więc ręcznikiem, wyszła z sypialni i przeszła na drugą stronę holu.

Poczuła się tak odważna, że bez oporów pchnęła drzwi do pokoju

Conniego, otwierając je na całą szerokość.

Nie przekroczyła progu, ale po raz pierwszy przyjrzała się dokładnie jego sypialni.

Pokój prezentował się naprawdę ładnie.

Nieliczne meble były duże i solidne.

Na środku dywanu siedział Angus, przyglądał się jej i czekał.

Nagle odwaga i nonszalancja wydały jej się głupie.

Jak zwykle widok kota ją rozczulił.

Biedne stworzenie było samotne.

Chciał tylko, żeby ktoś go kochał tak samo jak ona.

- Biedny Angus.

- Trzymając ręcznik, przykucnęła i wyciągnęła rękę.

-Chodź tu, zwierzaku.

Chodź tu do mnie i pozwól się solidnie potarmościć na początek dnia.

- Angus wpatrywał się w nią zielonymi oczyma.

Cmoknęła językiem, jak przedtem Jordan, strzeliła palcami.

Żałowała, że nie ma żadnego kociego przysmaku, by mu

zapropnować, i obiecała, że sprawdzi, czy Meg trzyma coś takiego w spiżarni.

- Chodź do mnie, kotku – szepnęła i posunęła się, aż palce jej stóp dotknęły progu.

Kucała nisko, trzymając ręcznik owinięty wokół ciała i wpatrując się w kota, aż ciekawość w niej zwyciężyła i rozejrzała się wokół.

Za Angusem stało łóżko, obok łóżka -nocna szafka.

To, co początkowo uznała za dwie komody, było dwoma szafami, ustawionymi przy przeciwległych ścianach pokoju.

Do siedzenia służyły skórzana sofa i fotel, które wyglądały na dość wysłużone.

Była ciekawa, czy pochodzą z wcześniejszego okresu w życiu Conniego.

Być może udałoby jej się odkryć, skąd się tu wzięły.

To byłoby ciekawe.

Zresztą cały pokój był ciekawy, stanowił kopalnię wiadomości pomocnych w ustaleniu odpowiedzi na pytanie, kim był Connie.

Jeśli liczyła na osobisty dziennik czy książkę adresową, przeszukanie tych szaf i szuflad nie wymagało wielkiego wysiłku.

Ale jeszcze nie teraz.

Najpierw musi przejrzeć kartony na górze.

Taki był plan.

A zanim przepatrzy kartony, musi pojechać do mieszkania i przywieźć sobie więcej ubrań, przyjmując umówionych klientów i załatwić mnóstwo spraw administracyjnych.

Wszystko to wymagało dużej koncentracji.

Cieszyła się z tego.

Nie chciała, by jej myśli biegły do Caroline, ponieważ nie miała żadnej kontroli nad tym, co się z nią dzieje.

Niechciała też myśleć o Jordanie, mniej więcej z tego samego powodu.

Tam, w ogrodzie, zdecydowało jej ciało.

Nie miała nic dopowiedzenia.

Czy powinna była zrobić to, co zrobiła?

Oczywiście, że nie.

Jednak ostrożność nigdy nie odgrywała większej roli w jej życiu.

Na szczęście Jordana już nie było, gdy wyszła spod prysznic.

Gdyby chodził po domu, zajmując się podczas deszczu roślinami w pokojach, może trudniej by jej było wyrzucić z pamięci to, co się stało

pod choinami.

Jedyną osobą w domu - poza nią – była teraz Meg.

Pod wpływem impulsu Casey zaproponowała, by pojechała z nią do mieszkania - potem dopiero zdała sobie sprawę, że w miacie było niewiele miejsca i należało je zostawić na ubrania.

Ale Meg tak się rozpromieniła, słysząc zaproszenie, że Casey nie miała serca go odwołać.

Entuzjazm Meg okazał się błogosławieństwem, ponieważ nie pozwalał Casey myśleć o tym, o czym myśleć nie chciała.

Meg podobała się mała winda, którą wjeżdżały domieszkania Casey, mała kuchnia, cegły, na których stał tapczan.

Wpadła w zachwyty na widok ubrań Casey i rozwdziła się na temat jedwabnej bluzki, lnianych spodni, sandałów na wysokich obcasach.

W pewnym momencie, gdy Casey stała przed szafą, nie mogąc się zdecydować, co z sobą wziąć, Meg wyciągnęła lniane ogrodniczki.

- Są fan-tas-ty-czne - powiedziała z zapartym tchem.

Casey się uśmiechnęła.

- Są twoje.

-Moje?

- Nie nosiłam ich od lat.

Wyglądały na zapomniane i pewnie dlatego twoja ręka do nich powędrowała.

Przemówiły do ciebie, Meg.

- Wyjęła ogrodniczki i podała je dziewczynie, która była wdzięczna i tak wyraźnie wzruszona, że Casey dała jej także inne rzeczy – koronkową koszulkę, podkoszulek bez rękawów do noszenia z ogrodniczkami, trzy różne kłamy do włosów.

Meg natychmiast spięła włosy jedną z nich.

Casey uważała, że wygląda znakomicie, i powiedziała jej to.

Komplement pochodził z serca, a Meg się zrewanżowała.

Chciała wszystko dla Casey zrobić: nosiła rzeczy na dół do samochodu, zapakowała bagażnik, potem przez całą drogę do domu siedziała, trzymając na kolanach stos pakunków, a następnie oświadczyła, że wszystko rozpakuje, wyprasuje i ułoży porządnie w sypialni.

Casey nie była przyzwyczajona do takiej obsługi.

Zanim jednak dotarli na Beacon Hill, zrobiło się późno.

Za chwilę miał się pojawić pierwszy klient, więc Casey przystała na

propozycję Meg.

Uwolnienie się od tych obowiązków przyniosło jej wielką ulgę. Usunawszy z myśli Jordana, Caroline, Conniego i nawet Angusa, tak skupiła się na pracy, że znakomicie jej poszło.

Zdarzały się dni, kiedy z trudem znajdowała właściwe pytania, oraz takie, kiedy nie zadawała żadnych, tylko słuchała.

Tego dnia miała natchnienie.

Klientka, która przyszła o dziesiątej, cierpiała na depresję poporodową.

Casey skupiała się przedtem na jej niechęci do matki, która po każdym z kolejnych sześciorga dzieci robiła się coraz grubsza, bardziej zaniedbana i mniej interesująca.

Dzisiaj Casey zapytała, jak ojciec klientki to znosił.

Strzał w dziesiątkę.

Ojciec nie był dla niej dobry. Wymyślał matce, zaniedbywał ją i zdradzał.

Kobieta była przerażona, że teraz, gdy sama urodziła dziecko, mogłaby podzielić los swojej matki.

Klientka Casey z godziny dwunastej była kobietą mniej więcej w jej wieku; pracowała w trzech różnych miejscach i w każdym znakomicie jej szło, dopóki nie zaczynała rysować się szansa na wyższe stanowisko.

Wtedy popełniała jakiś błąd, który uniemożliwiał awans.

Sabotowała sama siebie.

Przyznawała to otwarcie.

Swobodnie dyskutowała o lęku przed przyjęciem większej odpowiedzialności w życiu, które wypełniały jej dzieci, dom i praca zawodowa.

Tego dnia Casey spytała o męża - nie o jego zawód, bo to już omówiły, ale o to, jakie ma szansę na awans i ile zarabia.

Okazało się, że zarobki klientki były równe zarobkom jej męża.

W razie zajęcia wyższego stanowiska zarabiałaby więcej i mogłaby czuć niechęć ze strony męża, że jej kariera rozwija się lepiej niż jego.

Klientka Casey z godziny trzeciej popołudniu, kobieta po siedemdziesiątce, od śmierci męża była emocjonalnie sparaliżowana. Podczas poprzednich czterech spotkań mówiła, jak bardzo jej go brakuje, jaki był troskliwy i uzdolniony, jak bardzo dominował w ich

związku.

Casey zakładała, że kobieta boi się myśli, że teraz musi się sama sobą zająć.

Dzisiaj jednak nawiązała do tematu, o którym wspomniały jedynie przelotnie - dzieci.

Było ich troje, wszystkie zajęte własnym życiem.

Panika, jaką wywołało pytanie Casey, świadczyła o tym, że kobieta robi wszystko, co uważa za konieczne, by pozyskać ich uwagę i bardziej włączyć je w swoje życie.

Trzy przełomowe seanse terapeutyczne w jeden dzień to jest coś.

Casey nie wiedziała, czy jej intuicja brała się z fizycznego zaspokojenia, które wciąż czuła.

Choć bardzo starała się nie myśleć o Jordanie, niektóre ruchy powodowały skurcz w mięśniach ud lub uświadamiały wrażliwość piersi.

Inspirację mogła też czerpać z tego, że Connie szeptał jej wskazówki do ucha.

Może czuł się zaszokowany tym, co robiła z Jordanem, ale z przyjemnością myślała, że aprobowałby to, co robiła z klientami.

Nagrodziła się jednym iryskiem.

Zdjęła papierek, wrzuciła go do kosza naśmieci stojącego pod biurkiem, dokładnie tak, jak musiał to robić Connie, i włożyła cukierek do ust.

Ssała, dopóki nie zrobił się z niego cienki płatek.

Potem, uznawszy, że ktoś tak maniakalnie porządny jak Connie zapewne ssał, aż nic nie zostało, rozgryzła resztę i połknęła.

Był to dobry koniec dobrego dnia pracy, dlatego też odczuwała radość, gdy pojawiła się Brianna.

Poszły natychmiast do ogrodu -jak można było nie pójść, skoro tak wspianiale wszystko kwitło?

Choć przestało padać, powietrze pozostało wilgotne i parne, wypełnione zapachem choin, bżów i ziemi.

Meg już wyszła, ale zostawiła talerz grillowanych kanapek z włoskiego ziołowego chleba z łososiem.

Brianna niosła tacę, Casey ściereczkę i puszki z napojami.

Casey wytarła ścierką stół i dwa krzesła na patio, by Brianna mogła postawić tacę, ale przyjaciółka była rozkojarzona.

Patrzyła na kwiaty z wyrazem twarzy świadczącym, że żadnego nie widzi.

- Co jest, Bria?

Brianna spojrzała na Casey.

- Postawisz tacę?

Brianna wykonała polecenie, po czym opadła na krzesło.

Casey usiadła naprzeciwko niej.

- Mów, o co chodzi.

Brianna spojrzała na nią ponuro.

- Muszę z tym skończyć.

Casey wiedziała, że mówi o Jamiem.

Ostatnio coraz częściej słyszała od Brianny kąśliwe uwagi na jego temat.

Zaczynało to wyglądać znajomo.

- Dlaczego? - spytała, otwierając puszkę coli i podając ją

Briannie.

- Chce, żebym była kimś, kim nie jestem.

-To ty tak mówisz.

Uważa, że powinnaś otworzyć prywatną praktykę.

Dla pieniędzy?

- Nie.

Wie, że moje zarobki mogą być mniejsze niż teraz.

Nie jest chciwy na pieniądze, tylko na mnie.

Chce mego czasu.

Chce, żebym mu towarzyszyła w podróżach służbowych.

- Są kobiety, które dałyby się za to pokrajać w kawałki.

-Ty też?

Jasne, że nie. Masz własne życie. Masz karierę zawodową. Cenisz sobie niezależność. I ja też. Natomiast Jamie chciałby mieć żonę na własność.

- Czy tak powiedział?

-Nie słowami, ale tak myśli.

Wiem, że tak myśli.

Casey, on mówi o dzieciach.

O dzieciach.

A przecież nie jesteśmy nawet zaręczeni.

- A czyja to wina? - spytała Casey.

- Nienawidzę mężczyzn.

-To nieprawda.

- Dlaczego starają się urządzić nam życie?

Popatrz na przykład, co zrobił Stuart.

Ukradł wam pieniądze, rozbił zespół, zmusił was wszystkich do przeprowadzki.

Są jakieś nowiny?

Casey pokręciła głową. - Marlene dzwoniła jakiś czas temu.

Nikt nic nie wie.

- Nawet żona?

-Twierdzi, że nie.

Jeśli za tydzień ona z kolei zniknie, będziemy mieli podstawy do podejrzeń.

Policja prowadzi śledztwo, ale kradzieżą dwudziestu ośmiu tysięcy dolarów nie są specjalnie zainteresowani.

Wątpię, żeby go znaleźli.

- A co z waszymi pieniędzmi?

-Zniknęły.

Albo muszę go sama wysledzić, albo machnąć na nie ręką.

Powinnam odpuścić.

- Pomyślała o Joyce Lewellen i spróbowała zastosować do siebie udzielane jej rady.

-Mogę się złościć, ile tylko chcę, ale po co?

Brianna nie odpowiedziała.

Nagle wydała się bardziej ożywiona.

Patrzyła ponad ramieniem Casey w tylną część ogrodu.

- Kto to? - szepnęła.

Jordan otworzył sobie furtkę i układał worki z kompostem przy ścianie szopy.

- Mój ogrodnik – odszepnęła Casey.

Gdyby miała komukolwiek o nim opowiedzieć ,to właśnie Briannie, ale nie była to odpowiednia chwila - ani dla Brianny, w środku tej akurat dyskusji, ani dla Casey.

Czuła, jak po jej ciele rozplywa się fala gorąca, co oznaczało, że kochanie się z nim wcale nie zmniejszyło pożądania.

Poza tym jednak nie wiedziała, co myśleć o tym człowieku.

Jordan kiwnął im głową i wrócił do dżipa po więcej worków.

- Jest świetny- szepnęła Brianna.

- Tak, jest dobrym ogrodnikiem.
- Nie uważasz, że jest fantastyczny?
- Jest ogrodnikiem Conniego.
- Żonaty?
- Nie.

- W każdym razie nie sądziła, by miał żonę.

Zadał jej przecież pytania o przeszkody w uprawianiu seksu, takie jak chłopak.

Wynikało stąd, że z jego strony nie było żadnych przeszkód.

- Ile ma lat?
- Nie mam pojęcia.

Pod czterdziestkę, po czterdziestce?

- Gdzie mieszka?
- Nie mam pojęcia -powtórzyła Casey, teraz nieco dotknięta.

Niechciała słuchać pytań Brianny.

Przypominały jej tylko o tym, jak mało wie o tym człowieku.

- Chciałabym go wynająć.
- Wyjdź za Jamiego, a wtedy proszę bardzo.

Brianna przyjęła pozycję obronną.

- Czy powinnam się zgodzić wyjść za faceta, który nie jest dla mnie odpowiedni?

- Jesteś pewna, że nie jest?

Czy przestanie cię kochać, jeśli nie zgodzisz się na zmianę pracy?

- Nie.

Ale czuję, że jestem ponaglana.

- Ponaglana?

Brianna, jesteś z nim blisko dwa lata.

Nie masz już siedemnastu lat.

Oboje macie po trzydzieści cztery.

Jeśli wasz związek jest dobry, powinnaś już o tym wiedzieć.

Jordan wyszedł przez furtkę ogrodową.

Szczęknęła zamykana zasuwa.

- Jamie to naprawdę miły facet. Jest przystojny. Seksowny.

Pracuje dla tej samej firmy od. jak dawna?

- Od dwunastu lat - jęknęła Brianna.

- Poszedł tam od razu po college'u i zostanie tam, aż mu dadzą złoty zegarek i wykopią.

- To dobra firma.
- Dobra. Ale nie wspaniała.
- Brianna!
- On nie ma ambicji, Casey.

No wiesz, mówi mi o zmianie pracy, a nie przyjdzie mu do głowy, że sam mógłby to zrobić.

Mówi, że tam, gdzie pracuje, jest stabilizacja.

Mówi, że z czasem dojdzie do stanowiska wiceprezesa.

- Dojdzie?
- Brianna wzruszyła ramionami.
- Prawdopodobnie.
- Casey wzięła kanapkę.

Musiła szeroko otworzyć usta, by ugryźć razem chleb, łososia, kielki, sałatę i coś tam jeszcze, ale mieszanka okazała się wyśmienita.

Gryzła i połykała, resztę kanapki położyła na serwetce.

- Według wszelkich obiektywnych standardów Jamie jest wspaniałym facetem - powiedziała. - Wyraźnie jest w tobie zakochany. Wydawało mi się, że ty także go kochasz.

I nagle robisz się nerwowa - podobnie było z Rickiem, a przedtem z Michaeliem, a jeszcze przedtem z Seanem.

Brianna nie oponowała, patrzyła tylko na nią, czekając.

- Jamie jest z nich wszystkich najlepszy - ciągnęła Casey.- To naprawdę porządny facet. Pochodzi z dobrej rodziny, skończył dobre szkoły, pracuje w dobrej firmie.

Dobrej, ale nie wspaniałej?

Wspaniałym firmom zdarzały się niezapowiedziane bankructwa.

Dobre firmy są często stabilniejsze.

A więc. -Pytanie za milion dolarów, żaden strzał w ciemno, ponieważ Casey znała historię Brianny. - Co by twój tata powiedział o Jamiem?

Ojciec Brianny był niegdyś dyrektorem wspaniałej firmy.

- Powiedziałyby, że Jamiego stać na więcej.

-Twój tata nie żyje od dwunastu lat.

Za jego czasów świat był inny.

- Ale szanuję jego zdanie.

Nie zostałby tym, kim został, będąc człowiekiem nieśmiałym i bojącym się ryzyka.

- Jamie nie jest ani nieśmiały, ani nie boi się ryzyka.

-Dlaczego tak popierasz Jamiego?

- Bo dobrze cię znam - odparła Casey - i uważam, że jeśli jest taki mężczyzna, który cię uszczęśliwi i zadba, żebyś była szczęśliwa przez następnych pięćdziesiąt lat, to jest nim właśnie on.

Naprawdę, Bria, jeśli chodzi o waszą kompatybilność, to na dziesięciostopniowej skali dałabym mu dziewięć i pół.

- A ja chcę dziesięć.

-To doskonałość.

- Czemu nie mierzyć wysoko?

-Doskonałość nie istnieje.

Mężczyźni mają wady, tak samo jak my.

Chcesz doskonałego faceta?

Doskonały facet nie jest realny.

Ledwo wypowiedziała te słowa, gdy jej myśli poleciały do Jenny Clyde i jej Pete'a.

W tym momencie znalazła to, co jej nie pasowało w tej historii.

Pete był zbyt doskonały, żeby mógł być prawdziwy.

Z tego wynikało, że dziennik albo był fikcją literacką, albo historią prawdziwą, ale bardzo przerysowaną.

Jak było naprawdę?

Nie wiedziała.

Wiedziała jedynie, że skoro Flirt z Pete'em był czymś, co powierzył jej ojciec, musi się tym zająć.

Rozdział trzynasty

Casey nie wspomniała Briannie o dzienniku, obawiała się bowiem, by przyjaciółka nie orzekła, że to fikcja literacka.

Nie chciała tego usłyszeć, chciała, by dziennik był prawdziwy.

Chciała mieć kuzynkę imieniem Jenny, która by potrzebowała jej pomocy.

Pragnęła, by stanowiła ogniwo łączącej z rodziną Conniego.

Problemem było odnalezienie Jenny.

Casey nie potrafiła zlokalizować Little Falls.

Potrzebowała więcej informacji, począwszy od nazwy miasta, w którym

Connie dorastał.

Jeśli ktokolwiek znał Jenny, to Ruth.

Jednak Casey niedojrzała jeszcze do tego, by się z nią spotkać, jak też przeszukać sypialnię Conniego.

Głupota?

Być może.

Jednak chodziło tu o kwestie emocjonalne, a one bywały trudne do rozwiązania.

Poza tym Casey nie wyczerpała jeszcze innych możliwości.

Jedną z nich był Emmett Walsh, psychoterapeuta, który przejął praktykę Conniego razem z jego komputerem, kartoteką i wizytownikiem.

Casey odszukała numer jego telefonu w książce telefonicznej Bostonu i podniosła słuchawkę.

Zanim jednak odezwał się sygnał, uznała, że wizyta osobista będzie skuteczniejsza, i przerwała połączenie.

Szybko, aby nie zdążyć zmienić zdania, związała włosy w węzeł, chwyciła klucze i wyszła z domu.

Wiedziała, gdzie mieszka Emmett Walsh.

Chodziła na jego zajęcia, a jedna sesja odbywała się u niego w domu, na szczycie wzgórza, odległym zaledwie o pięć minut drogi spacerem.

Choć zaczęła wiać lekka morska bryza, powietrze wciąż było bardzo parne.

Wokół Leeds Court stały mokre od deszczu samochody, bruk był wilgotny i lśniący.

Przez mknące po niebie chmury przebijały się promienie słońca, rozbłyskując w kropelkach wody na drzewach i kwiatach na werandach.

Dostrzegła urok tego miejsca.

Idąc po chodniku, czuła się jak gość, przejęty widokiem tak idyllicznego miejsca, lub jak intruz.

Czy to było jej miejsce?

Nie wiedziała.

Właśnie dotarła do węższego miejsca Leeds Court, gdy skręcił w nie sąsiad.

Był w garniturze, niósł teczkę i uśmiechnął się na jej widok.

"Dzień dobry" - powiedział, mijając Casey.

Nazywał się Gregory Dunn i mieszkał z żoną po wschodniej

stronie Leeds Court.

Był znanym prawnikiem, którego fotografie często ukazywały się w gazetach.

Jeśli zaskoczył go widok nowej twarzy na Leeds Court, nie dał tego po sobie poznać.

Gdyby Casey była na jego miejscu, zastanawiałaby się: Czy to gość?
A może złodziej?

A może córka Conniego Ungera, która zgłosiła się po spadek.

Córka Conniego Ungera?

Nie wiedziałem, że miał córkę.

Za jego życia nigdy tu nie przychodziła.

Ciekawe, dlaczego.

Skręciła w West Cedar, doszła do Chestnut i stanęła na czerwonych światłach.

Ludzie mijali ją gęstym strumieniem, wykorzystując długi czerwcowy wieczór.

Przeszła na drugą stronę Charles Street i kontynuowała spacer do Brimmer.

Dom Emmetta Walsh'a był tu jedynym drewnianym budynkiem.

Od frontu nie miał schodków ani ogródka.

Drzwi wejściowe otwierały się wprost na bardzo wąski chodnik.

Zadzwoiła, modląc się w duchu, by ta chwila odwagi nie poszła na marne i Walsh był w domu.

Drzwi otworzyła żona.

Pracowała w archiwum uniwersyteckim, była dość wiekowa i wystarczająco poważna, by wyglądać na archiwistkę.

Casey się uśmiechnęła.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam państwu w kolacji.

Nazywam się Cassandra Ellis.

Moim ojcem był Cornelius Unger.

Czy zastałam doktora Walsh'a?

Kobieta patrzyła na nią zaskoczona.

- Nie wiedziałam, że Connie miał córkę.

- Ja wiedziałem – powiedział mężczyzna, który pojawił się za nią.

Ubranie luźno wisiało na jego chudej postaci.

- Adwokat mi o pani powiedział, gdy spytałem, co się stanie z domem.

Dostrzegam podobieństwo do Conniego – te same włosy, te same oczy, to samo napięcie.

Napięcie.

Casey raczej nie użyłaby tego słowa w opisie samej siebie.

Teraz jednak rzeczywiście czuła się spięta.

Dla rozluźnienia zażartowała:

- Jednak nie zauważył pan podobieństwa, gdy uczęszczałam do pana na zajęcia z zespołów obsesyjno-kompulsywnych.

-Była pani moją studentką?

- Najwyraźniej było mu z tego powodu przyjemnie.

-Nie.

Nie zauważyłem, ale też i nie szukałem wówczas podobieństwa.

Casey wiedziała, że to tylko uprzejma odpowiedź.

Nie mógł jej pamiętać.

Studiowała u niego przed niemal dziesięciu laty, a nawet gdyby było to niedawno, to przecież w każdym semestrze uczył setki studentów, a miał tych semestrów za sobą więcej niż Casey lat.

- Widzę je jednak teraz -mówił dalej Emmett.

- Znałem Conniego, gdy był w pani wieku.

Co więcej, znałem go nawet wcześniej.

Studiowaliśmy razem.

Założę się, że pani o tym nie wiedziała.

- Odsunął się na bok, by przepuścić żonę, która zawróciła do domu, poczym kontynuował: -College i studia magisterskie.

Naprawdę mnie zdziwiło, że przekazał przypadki, które prowadził, takiemu staremu człowiekowi jak ja.

Co prawda nie zostało tych spraw wiele.

Żaden z nas nie ma już tylu klientów co dawniej, a większość z nich to stali, płacący gotówką.

Firmy ubezpieczeniowe nie lubią, gdy się latami chodzi do terapeuty.

Powiem pani jedno: to ułatwia sprawę, gdy człowiek chce trochę odpocząć.

Nie trzeba zamykać spraw, robią to za nas urzędnicy ze służby zdrowia.

Ale przecież nie przyszła tu pani na wykład.

Czy zechce pani wejść?

- Chętnie.

Ale jeśli to nie jest właściwa chwila.

Rzucił okiem na zegarek, duży, na znoszonym pasku, wyglądający na ręcznie nakręcany.

- Mam kilka chwil przed kolacją. Zaprosiłbym panią do stołu, ale szczerze mówiąc, nie polecam. Jemy resztki posiłku, który od samego początku nie był szczególnie smaczny. Muszę pani jedno powiedzieć- starzenie się nie jest przyjemne. Kiedy trzeba przygotowywać posiłki, mając na względzie cukrzycę, wysokie ciśnienie i zespół wrażliwego jelita, jedzenie robi się obrzydliwe. - Odsunął się na boki gestem zaprosił ją do środka. -Proszę. Porozmawiamy o Conniem. Po to pani przyszła, prawda? Adwokat powiedział mi więcej, niż zapewne powinien był, ale umiem zadawać pytania, a chciałem się dowiedzieć czegoś o córce dawnego kolegi.

Czy kiedykolwiek spotkała pani Conniego?

Uścisnęła mu dłoń? Przywitała się? - Wprowadził ją do pokoju i wskazał fotel.

- Nie – odrzekła Casey.

Siadła na fotelu z wyściełanym siedzeniem i rattanowym oparciem. - Chodziłam na jego wykłady.

Czasami później stałam obok i przyglądałam się, jak rozmawia z innymi ludźmi.

Wiedział, że tam jestem, ale nigdy mnie nie zaprosił, więc nigdy nie poszłam.

Czy kiedykolwiek mówił panu o mnie?

- Nigdy.

-Co z nim było nie tak?

- Nie tak?

-W sensie klinicznym.

Znał go pan.

Proszę, niech pan przedstawi mi swoją diagnozę.

Emmett usiadł na kanapie.

- Nie mogę tego zrobić – powiedział i wcale nie przez lojalność.

Znałem go pewnie równie dobrze jak inni psychiatrzy, ale to niewiele tłumaczy.

Był spokojnym człowiekiem.

Nie mówił o sobie.

Patrzył i słuchał.

Zadawał pytania.

Był doskonałym przyjacielem, szczególnie dla kogoś takiego jak ja. Jaz kolei dużo mówię - na wypadek, gdyby pani nie zauważyła.

Casey zauważyła.

Uznała, że w ciągu dwóch minut przy drzwiach wejściowych Emmett Walsh powiedział pewnie więcej niż Connie Unger przez pięć lat przy swoich.

- Więc Connie i ja byliśmy dobraną parą - mówił dalej Emmett.

- Nie przepychaliśmy się do mikrofonu, że tak powiem.

Nigdy nie stanowił wyzwania ani zagrożenia, nigdy nie wysuwał żądań. Od początku jasno dał do zrozumienia, że woli o sobie nie mówić, więc nasza przyjaźń rozwijała się zgodnie z jego życzeniem.

Niewątpliwie był nieśmiały.

Ale czy była to cecha wrodzona, czy nabyta - nie wiem.

-Uśmiechnął się sceptycznie.

- Może to coś mówi o moich zdolnościach jako terapeuty albo ich braku, ale czasami trzeba wyznaczyć sobie granicę.

Connie był Conniem; to, dlaczego był Conniem, schował tak głęboko, że nigdy się przypadkowo nie ujawniło.

Uważałem, że to nie moja sprawa, więc go nie analizowałem, nie zadawałem właściwych pytań.

A potem zrobił się dość sławny i postawiono go na piedestale, więc zrozumienie jego wnętrza stało się bezprzedmiotowe.

Mogę pani jedno powiedzieć - cenił sobie nasz układ.

Po tych wszystkich latach, ilekroć miałem jakieś pytanie i zostawiałem mu wiadomość, zawsze oddzwaniał po paru godzinach.

Czy kiedykolwiek graliśmy razem w golfa?

Nie. Nie grywał w golfa.

Raz czy dwa miałem bilety na jakieś przedstawienie i zadzwoniłem do niego z propozycją, by zemną poszedł, ale nie lubił chodzić do teatru.

Ani do kina.

Lubił jednak oglądać filmy.

Casey widziała jego zbiór.

- Czy miał agorafobie?

-Nie, skądże.

Przecież cały czas był na widoku publicznym, prawda?

- To był jego czas zawodowy.

Mógł dobrze funkcjonować na płaszczyźnie profesjonalnej, ale mieć różne dysfunkcje na płaszczyźnie domowej -różne stany umysłu w różnych "pokojach" życia.

Emmett uśmiechnął się i pochylił głowę.

- Bardzo trafne spostrzeżenie - powiedział. Casey nie przyszła po komplementy, ale było jej miło.

- Wie pan że jestem terapeutką?

-Tak. Winnig mi powiedział.

Czy zajęła się pani tym ze względu na niego?

- Oczywiście - przyznała.- Ale lubię ludzi.

Zawsze dobrze sobie z nimi radziłam.

Fascynuje mnie to, co ludzi nakręca.

- Ale gdy chodzi o Conniego, nie kieruje panią tylko ciekawość - domyślił się Emmett.

-Nie.

Był moim ojcem.

Nie mam pojęcia, dlaczego odmówił uznania mnie.

Naprawdę chciałabym wiedzieć.

- Obawiam się, że niewiele mogę wyjaśnić.

-Czy wie pan, gdzie się wychowywał?

Emmett kiwnął głową.

- W małej miejscowości w Maine.

-Jak się nazywa?

Emmett uśmiechnął się lekceważąco.

- Mała miejscowość w Maine. Nigdy nikt o niej nie słyszał.

Casey uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- A może jednak?

Emmett parsknął śmiechem.

- To wszystko, co wiem.

Cytowałem Conniego.

"Mała miejscowość w Maine. Nigdy nikt o niej nie słyszał".

- A pan się nie dopytywał?

-Nie - powiedział Emmett bez zażenowania.

- Było oczywiste, że nie chce mówić, a nie widziałem powodu, dla którego miałbym to wiedzieć.

Casey spróbowała podejść z innej strony.

- Czy kiedykolwiek wspominał o rodzeństwie?

-Nie, ani słowem.

Gdy byliśmy w college'u, mówił czasem o matce, ale sądzę, że już od dawna nie żyje.

- Czy poznał ją pan?

Może na rozdaniu dyplomów?

- Nie, nie przyjechała.

Co więcej, Connie też nie przyjechał.

W tamtych czasach to nie była taka wielka uroczystość jak teraz.

Spora część absolwentów po prostu odbierała dyplomy w biurze dziekana, i tyle.

- Czy kiedykolwiek wspomniał o miejscowości o nazwie Little Falls?

Emmett rozciągnął wargi w uśmiechu, zmrużył oczy, myślał przez chwilę.

- Nie.

-Czy kiedykolwiek wspomniał o człowieku nazwiskiem DardenClyde?

Emmett znów pomyślał i znów pokręcił przecząco głową.

- Jenny Clyde?

-Nie.

- Mary Beth Clyde?

-Nie.

- Czy któreś z tych imion może znajdować się w jego kartotekach?

-Na to pytanie mogę łatwo odpowiedzieć – stwierdził Emmet, wstając z kanapy. - Proszę poczekać.

Zaraz wracam.

- I rzeczywiście po zaledwie minucie wrócił z albumem pod pachą i wizytownikiem Conniego w ręce. -Clyde, C-1. - Zaczął przerzucać karty. -Cardozo. Chapman. Cole.Curry. Przykro mi, żadnych Clyde'ów.

- Czy możliwe, by zapisał kogoś pod imieniem, nie nazwiskiem?

-A czemu miałby tak zrobić?

- Gdyby byli jego krewnymi.

Emmett unióś ramiona i pokręcił głową, ale cały czas przerzucał kartotekę.

- Żadnego Dardena.

- Kartkował dalej.

-Żadnej Jenny -ciągle szukał - ani Mary Beth.

Casey zapytała inaczej.

- Czy w jego notatkach znalazł pan jakąkolwiek wzmiankę odnoszącą się do dziennika zatytułowanego Flirt z Pete'em?

-Dziennika?

- Dziennika, pamiętnika, książki?

-Flirt z Pete'em? Nie. Kim jest Pete?

- Nie wiem - jęknęła z na wpół tylko żartobliwą rozpaczą.

- Emmett? - dobiegło z głębi domu.

- Zaraz idę! - odkrzyknął.

Unosząc krzaczaste brwi, szepnął konspiracyjnie: - Mam zdjęcia.

Casey na chwilę przestało bić serce.

- Zdjęcia Conniego?

-Z college'u. Chce pani zobaczyć?

- Bardzo.

- Przeniosła się na sofę, usiadła koło Emmetta i czekała niecierpliwie, gdy przerzucał strony albumu.

Wyobrażała sobie zdjęcia roześmianych przyjaciół, twarze przybliżone do obiektywu, fotografie z przyjęć, być może jednoczy dwa kłopotliwe ujęcia - takie fotografie znajdowały się w jej albumie i albumach przyjaciół.

Gdy Emmett w końcu znalazł właściwą stronę i wskazał jedno spłowiałe czarno-białe zdjęcie, potem drugie i trzecie, zobaczyła, że ten zbiór jest całkiem inny.

Na twarzach malowała się powaga, postacie stały wyprostowane, przyzwoicie ubrane.

Najczęściej były to grupy młodych ludzi siedzących przy stole lub stojących przed oknem.

Jedyną rzeczą sugerującą, że jest to ich wolny czas, były kufle piwa w dłoniach.

Emmett zaczął śpiewać niepewnym głosem.

- "Napełnij kufle starego Maine - krzycz, aż dach się uniesie - wznos toast raz po raz - niech śpiew ten Maine się poniesie".

- Napotkał pytające spojrzenie Casey.

-To piwna piosenka uniwersytetu Maine.

Connie czasem ją śpiewał, jeśli udało nam się wlać w niego jedno, dwa

czy trzy piwa.

To najbardziej osobiste wspomnienie z przeszłości, jakim się z nami dzielił.

Connie w studenckich latach zafascynował Casey.

Bardzo przystojny, z jasnymi prostymi włosami, miłym uśmiechem i w druczanych okularach.

Choć drobniejszy od innych, ubrany był tak samo.

Stał na końcu szeregu po prawej.

Tak było na wszystkich zdjęciach - spostrzegła, odwracając stronę, by wrócić do poprzednich.

Nigdy nie stał w środku, zawsze na skraju.

Wyglądał na nieśmiałego.

Ale dało się wyczytać z tego coś więcej, jakiś wyraz twarzy sugerujący niepewność i nadzieję, jak gdyby chciał być z przyjaciółmi, ale nie odważał się podejść bliżej, by go nie odrzucili.

Casey była ciekawa, czy on także czuł się jak intruz, a jeśli tak, to dlaczego.

- Przecież nie studiował na uniwersytecie w Maine - zauważyła.

-Ale jego ojciec tam pracował - powiedział Emmett. -Nie uczył, pracował. Był dozorcą. Casey westchnęła ze zdziwienia.

- Dozorcą?

A Connie studiował w Harvardzie? Jego ojciec musiał być strasznie dumny.

- Zmarł, zanim Conniego przyjęto.

Chyba nie bardzo się zgadzali.

- Emmett?

-Idę! - odkrzyknął niecierpliwie.

Ostrożnie wyjął jedno ze zdjęć z małych czarnych rożków, które przytrzymały fotografię, i podał je Casey.

- To jest chyba najlepsze.

-Na zdjęciu stało tylko trzech mężczyzn.

- To ja, w środku.

Ten po lewej to Bili Reinhertz.

Zmarł już jakiś czas temu.

Casey wzięła fotografię.

Rzeczywiście była najlepsza -zrobiona z mniejszej odległości niż pozostałe, ukazywała młodzieńczą twarz, włosy opadające na czoło,

okulary lekko przekrzywione.

Connie wyglądał na niej sympatycznie.

Zawsze chciała, by był sympatyczny.

Emmett zamknął album.

- Czy zachowa pani dom?

To pytanie dotarło do Casey dopiero po chwili, tak bardzo była skupiona na fotografii.

- Dom?

Jeszcze nie wiem.

- Gdyby chciała pani sprzedać, mam kupca.

Nie będzie się targował.

Od dawna uwielbia to miejsce.

- Pan?

-Och, nie.

Mój makler.

Mnie nie stać na taki dom.

- A jak było stać Conniego? - spytała Casey.

Zdawała sobie sprawę, że trzydzieści lat temu, gdy kupował dom, kosztował on znacznie mniej, ale wszystko było względne.

- Podręczniki, moja droga – powiedział Emmett.

- Wstęp do psychologii Ungera jest podstawowym tekstem od dwudziestu lat.

Zdaje sobie pani sprawę, jakie honoraria napływają z każdego wydania? Niewykluczone, że część z nich przypadnie pani.

Czy adwokat nic o tym nie mówił?

Casey pokręciła głową.

- To kto wie, może spadkobiercą praw autorskich została Ruth.

Nawiasem mówiąc, poznała ją pani?

- Nie.

-Nieźła z niej malarka.

Casey zgodziła się z tym, choć niechętnie.

Mijała jej obrazy za każdym razem, wchodząc po schodach lub schodząc do suterenu.

Były wieloznaczne, ale doskonale oddawały różne morskie klimaty.

Jednak to nie talent malarski Ruth ją intrygował.

- Jakie było ich małżeństwo?

-Wydaje mi się, że całkiem normalne, tyle że mieszkali osobno,

ale jestem w stanie to zrozumieć, wiedząc, jak spokojną osobą był Connie.

Ruth jest znacznie bardziej towarzyska.

Lubi przyjmować gości.

Mieszka w Rockport, fantastycznym miejscu, szczególnie na wizytę w niedzielne popołudnie.

Często mi się wydawało, że Connie ożenił się z nią, by mu pomogła w kontaktach z ludźmi, a potem uznał, że nie daje sobie z tym rady.

- Emmett!

Emmett rzucił ku drzwiom niechętnie spojrzenie.

- Jedno pani powiem - mruknął. - Czasem mi się wydaje, że

Connie znalazł właściwe rozwiązanie.

Casey poszła na spacer.

Cały czas czuła, że w kieszeni ma fotografię Conniego.

Czasem wyjmowała ją i oglądała.

Usiadłszy na ławce w parku, zrobiła to znowu.

Potem, wsunąwszy ją z powrotem do kieszeni, wyciągnęła telefon komórkowy.

Wybrała numer do dyżurki pielęgniarek na piętrze, na którym leżała matka, i wkrótce rozmawiała z Ann Holmes.

- Jak się czuje?

-Mniej więcej tak samo -odrzekła spokojnie Ann.

- Niebyło więcej drgawek.

Przez chwilę miała problem ze skurczem mięśni szyi.

- Skurczem mięśni szyi?

- To było coś nowego.

Casey pochyliła głowę i potarła palcami czoło.

- To nie jest nic niezwykłego -wyjaśniła pielęgniarka -ale chyba dobrze, że cię tu nie było, bo dźwięki, jakie wtedy wydaje, brzmią niepokojąco.

Oddychała z trudem przez jakiś czas, ale teraz wszystko wróciło do normy.

Na szczęście.

Caroline nie odzyska świadomości, jeśli jej stan skomplikują przypadłości fizyczne.

- Skurcz mięśni szyi - powtórzyła Casey. - Dlaczego?

- To taki sam skurcz jak każdy inny.

Może wynikać z wielu powodów. Prawdopodobnie wiąże się z krążeniem.

Jeśli krążenie jest wolniejsze, może się coś takiego przytrafić.

Wolniejsze krążenie? To nie brzmiało dobrze.

- Czy mogło to być w jakimś stopniu świadome?

-Chciałabym powiedzieć, że wydawała się bardziej świadoma, Casey, ale tak nie było. Ani przez chwilę. Casey zacisnęła mocno powieki i westchnęła.

- Dobra.

Wpadnę jutro.

Zadzwonisz, jeśli coś się będzie działo?

- Oczywiście.

Z bolącym sercem Casey się rozłączyła.

Poczuła wypełniającą ją pustkę.

Wsunęła telefon do kieszeni, koło fotografii Conniego.

Wsparłszy ręce na biodrach, opadła na oparcie ławki, wyciągnęła nogi, skrzyżowała je w kostkach i przyglądała się ludziom, którzy ją mijali.

Niektórzy spacerowali parami, bardzo w siebie wpatrzeni.

Inni szli grupami i również byli zajęci sobą.

Ci, którzy szli sami, poruszali się szybciej, najwyraźniej zmierzając do celu.

Przez chwilę, przyglądając się strumieniowi ludzi, z których nikogo nie znała, Casey poczuła się niewidoczna.

Pomyślała o Conniem, siedzącym w fotelu na tarasie na dachu, jak przygląda się osobom na innych tarasach, rozmawiającym, grillującym, bawiącym się.

Casey miała wielu przyjaciół, ale w tej chwili czuła przejmującą samotność.

Wtedy zobaczyła Jordana.

Stał, opierając się o żelazne ogrodzenie, jakieś dziesięć metrów dalej. On także był sami patrzył na nią.

W każdym razie wydawało jej się, że to Jordan.

Ten mężczyzna miał tak samo ciemne włosy, tak samo szeroko

rozstawione, brązowe oczy, tak samo wysoką, smukłą sylwetkę, ale poza grzesznie przystojną twarzą nie było w nim nic podejrzanego.

Był gładko ogolony, włosy wyglądały na wilgotne i świeżo uczesane.

Miał na sobie szorty w kolorze khaki, sięgające do pól uda, i granatową

koszulkę bez kołnierzyka, z trzema guzikami, w tej chwili rozpiętymi. Gołe nogi były długie i opalone, a stopy tkwiły w birkenstockach.

Czy to był Jordan?

Oczywiście, to musiał być on.

Serce by jej się tak nie tłukło w piersi, gdyby to nie był Jordan -chyba że po prostu widok tego mężczyzny przywołał wspomnienie porannej namiętności.

Siedząc tu na ławce w parku, wśród tłumu mijających ją ludzi, ze zdjęciem ojca, który umarł, nie przemówiwszy do niej ani słowa, zatroskana o matkę odległą o mniej niż dziesięć minut marszu, a jednak tak zupełnie niedostępną, że sama myśl o tym łamała jej serce, Casey rozpaczliwie pragnęła bliskiego z kimś związku.

Odwróciła wzrok.

Po chwili spojrzała ponownie.

Wciąż tam był.

Bez wątpienia Jordan.

Delikatnym skinieniem głowy zaprosiła go do siebie.

Jednym płynnym ruchem oderwał się od ogrodzenia i ruszył ku niej, nie spuszczać wzroku z jej twarzy.

Musiła zadrzeć głowę, gdy podszedł, ale nie byłaby w stanie spojrzeć na coś innego, nawet gdyby chciała.

Wydawało jej się, że w jego spojrzeniu jest niepewność, odważyła się więc uśmiechnąć.

- Tak mi się wydawało, że to ty. Mam tu całą pustą ławkę.

Może usiądziesz?

Dołączył do niej, zostawiając między nimi wolne miejsce.

Pochylił się, oparł łokcie na kolanach i zwiesił dłonie między nimi.

Trudno było nie zauważyć tych dłoni.

Były szczupłe, ale silne i opalone.

Znikł zegarek na starym zniszczonym pasku.

Zastąpił go tagheuer, nie całkiem rolex, ale ładny, bardzo modny i z pewnością nietani.

Przez chwilę patrzył przed siebie, tak jak wcześniej Casey.

- Wyglądałaś na smutną - powiedział w końcu, zwracając się ku niej.

Było to proste stwierdzenie.

Nie musiała odpowiadać.

Jednakże był tu koło niej, a ona wciąż pamiętała pełnię przeżyć, jakiej doświadczyła tego ranka, znacznie lepszą od samotności, dlatego nie chciała milczeć.

- Moja mama jest chora. Trzy lata temu wpadła pod samochód. Od tamtej pory nie odzyskała świadomości. Jest w domu opieki dla przewlekle chorych na Fenway. - Poklepała telefon komórkowy.

-Właśnie rozmawiałam z pielęgniarką.

Mama ostatnio ma problemy. Staram się nie tracić nadziei – powiedziała z przelotnym uśmiechem, który zaraz znikł. - Wiesz, ona się musi obudzić.

Ma dopiero pięćdziesiąt pięć lat, jest za młoda na umieranie. Poza tym jej potrzebuję. Jest jedyną rodziną, jaką mam. Jednak coś się zmienia. Boję się, że ona się, poddaje.

- A co mówią lekarze?

-Że się poddaje.

Może powinna, skoro nie ma nadziei.

- A nie ma?

Casey usiłowała znaleźć odpowiedź.

Cały czas starała się chwytać nawet najmniejszych promyków nadziei. Jednak siedząc tuż Jordanem - po prostu nie wiedziała.

- Najpierw, zaraz po wypadku, wszyscy mieli nadzieję.

Potem minęły trzy miesiące, a ona się nie obudziła, i już nie było dobrze.

Sześć miesięcy, dziewięć miesięcy, rok.

To było okropne, ta pierwsza rocznica jej wypadku.

Teraz minęła trzecia rocznica i czasami mam wrażenie, że już tylko ja podtrzymuję światełko nadziei.

- Tak mi przykro.

Przesunęła wzrokiem po parku.

- Dawniej udawało mi się jakoś wyłączyć. Ale w tym tygodniu - nie wiem- jest trudniej.

- Czy dlatego, że odziedziczyłaś dom?

-Nie.

- Mogła być szczerą - i z nim, i z sobą. -Coś się zmienia.

Pielęgniarki to czują. Ja też – dodała cicho. - Chcę myśleć, że przygotowuje się do obudzenia. Ale to mało prawdopodobne.

- Czy byliście z sobą blisko?

-Tak jak większość matek i córek.

- To znaczy?

-Raz tak, raz siak.

Miałam nadzieję, że będzie lepiej, jak się trochę zestarzejemy. Naprawdę tak myślałam. - Spojrzała na niego i zmusiła się do uśmiechu. -Więc znasz już przyczynę smutku na mojej twarzy.

- To piękna twarz.

Ta uwaga mogłaby być niewinna, gdyby nie zdarzyło się to, co się zdarzyło rano. Ale to było. Wyraz jego twarzy mówił, że pamięta to tak samo wyraźnie jak ona.

- Bałem się, czy nie chodzi o coś innego - powiedział, wciąż siedząc w tej samej pozycji, z łokciami opartymi na kolanach. - Bałem się, że żałujesz.

Czując nową falę gorąca, zacisnęła wargi i pokręciła głową. Wydawało jej się, że mu ulżyło. Odetchnął i usiadł wygodniej na ławce.

Casey czuła, jak gorąco zalewa jej wnętrze.

Wypełniało pustkę, tak samo jak rano. Odsunawszy myśli o Caroline, patrzyła, jak toczy się świat. W tej chwili była pogodzona z losem.

- Dlaczego się nie ożeniłeś? - spytała po chwili.

Roześmiał się, zaskoczony.

Spojrzała na niego.

- To uzasadnione pytanie.

-Ale zadałeś je w bardzo obcesowy sposób.

- Dlaczego się nie ożeniłeś?

Znam facetów w twoim wieku, którzy mają już trzecią żonę.

- Ja też znam takich.

Dlatego czekam.

Kiedy natrafię na właściwą kobietę, małżeństwo będzie trwałe.

- Czy twoi rodzice wciąż są małżeństwem?

-Tak. - Przerzucił ręce za oparcie ławki i wyciągnął przed siebie nogi.

-Już od blisko czterdziestu lat.

Casey poczuła przyptyw zazdrości.

- Twój ojciec też jest ogrodnikiem?

- Wyobraziła sobie oddaną rodzinę, w której ojciec i syn dzielą zamięłowanie do ziemi.

Jordan natychmiast rozwiązał tę wizję.

- Rany, nie. Jego zdaniem uprawa ogrodu to zajęcie dla kobiet.

Jest policjantem.

- Ojejku.

To krańcowo odmienne.

A ty nie chciałeś pójść w jego ślady?

- Nie, nigdy nie chciałem być policjantem.

-Tylko ogrodnikiem.

- To łatwiejsze życie.

Znajdujesz chwast, to go wyrывasz.

Z ludźmi się tak nie da.

Nawet ci źli mają swoje prawa.

- Można powiedzieć, że w tym sensie ogrodnictwo to czystsza praca.

-Tak, w tym sensie -przytaknął, uśmiechając się.

Casey zaparło dech.

Po raz pierwszy zobaczyła jego uśmiech.

Rozświetlił mu twarz, zmieniając przystojnego mężczyznę w kogoś, na czyj widok zabiło jej serce.

- Co się stało? - spytał, wciąż uśmiechnięty.

Przycisnęła rękę do piersi, pokręciła szybko głową i spojrzała przez park ku łodziom w formie łabędzi.

- Pływałaś kiedyś taką łodzią? – spytała po chwili.

- Nie.

-A ja tak. Mama mnie zabrała. To moje pierwsze wspomnienie z

Bostonu.

Mówię mamie, że musi wydobrzeć, żebyśmy obie mogły zabrać na te łodzie moją córeczkę. Jeśli ją kiedykolwiek urodzę. Oczywiście urodzenie córki nie było w tej chwili sprawą pierwszo planową. Najważniejsze było, żeby Caroline wydobrzała.

Casey poczuła, że coś ją ścisną w środku, przygryzła więc wargę.

Nie wiedziała dlaczego, ale bardziej się teraz denerwowała - niewątpliwie trudniej jej się było wyzwolić od tego uczucia i częściej się ono pojawiało.

- Jadłaś obiad? - spytał Jordan.

Pochyliła się.

- Meg zostawiła mi kanapki. Zjadłam pół.

Wystarczy, chyba nie byłabym teraz w stanie nic więcej przełknąć.

- Zbyt zdenerwowana?

-Uhm. - Wstała. -Muszę iść.

Ruszyła przed siebie z rękoma w kieszeniach, jedną trzymając telefon komórkowy, leżący na zdjęciu Conniego.

Jordan natychmiast znalazł się koło niej i dostosował do jej tempa.

Gdy po przecięciu Beacon Hill, pokonaniu Charles Street i skrócie w Chestnut wciąż szedł koło niej, z dała sobie sprawę, że odprowadza ją do domu.

- Nie musisz tego robić - powiedziała.

Szedł dalej, a onanie protestowała.

Nie chodziło o bezpieczeństwo ani o niezależność.

Ani jedna, ani druga sprawa nie była dla niej istotna.

Milczała ,bo czuła, jak ją do niego ciągnie.

Im bardziej zbliżali się do Leeds Court, tym to uczucie było silniejsze.

Im bliżej domu, tym bardziej znów go pragnęła.

Gdy skręciła w brukowaną drogę, prowadzącą na Leeds Court, Jordan się zatrzymał.

Ona też przystanęła i się obejrzała.

Ich spojrzenia splotły się w wieczornym półmroku.

Zawróciła i podeszła do niego bardzo blisko.

- Nie musisz tego robić- powtórzyła miękko, nadając tym słowom inne znaczenie.

-Muszę - powiedział, także miękko, i trudno było nie usłyszeć, jak nierówno oddycha.

Nie spuszczał oczu z jej twarzy.

Czuła się pożądana. Co więcej, czuła się potrzebna.

A ponieważ potrzebował jej mężczyzna tak silny jak Jordan, uderzało jej to do głowy.

Weszła na Leeds Court u boku Jordana.

Żadne z nich nie zdradzało niecierpliwości, ale gdy doszli do drzwi frontowych i Casey chciała włożyć klucz do zamka, ręka jej drżała.

Wziął od niej klucz, otworzył drzwi, wpuścił ją do środka, wszedł za nią i zamknął drzwi za sobą.

Natychmiast przyciągnął ją do siebie i w chwili, gdy spotkały

się ich usta, wszystkie te uczucia, które rano płonęły w Casey, znów powróciły.

Co więcej, czuła, że są odwzajemnione.

Całowali się przy drzwiach coraz głębiej i goręcej, dotykali się, siadając na schodach.

Ale Casey chciała, by tym razem wszystko odbyło się bez pośpiechu. Chciała przedłużyć czas posiadania, poza tym był to najlepszy sposób spędzenia nocy.

Zaprowadziła go do pokoju, który uznała za swój.

W miękkości łóżka było coś, co skłaniało do powolności, nawet gdy oboje płonęli.

Całowali się, dotykali, smakowali.

Najpierw sfrunęła koszulka Jordana, potem bluzka Casey, a dotyk jej wciąż wrażliwych piersi do skóry jego torsu był niebiański.

Reszta ich ubrania spłynęła na podłogę.

Choć Casey była tak samo podniecona jak Jordan, nie od razu się połączyli, lecz poznawali siebie, do czego rano nie mieli dość cierpliwości, a co spotęgowało ich ekstazę.

Gdy Jordan w końcu uniósł się i wszedł w nią, Casey była bliska eksplozji.

Czuła go w sobie, jak osiąga własny szczyt, gdy ona wciąż jeszcze drży; to zwiększało intensywność doznań.

A nie był to koniec.

Nie wycofując się, leżał i całował jej ucho, szyję, rowek między piersiami, jedną pierś, potem sutek drugiej - i szybko znów jej pożądał. Och, był dobry.

Umiał się powstrzymać, pozwalając jej poznać swoje pożądanie tylko przez to, że ją wypełniał, a w gardle rodziły mu się ciche, głębokie dźwięki.

Casey kochała ich słuchać.

Kochała sposób, w jaki wciągał powietrze, gdy jej usta dotarły do zagłębienia pod jego żebrami, kochała sposób, w jaki drżał jego oddech, gdy językiem śledziła cienką linię włosów pod pępkiem.

Przyjemność, jaką czerpała z tych dźwięków, była całkiem świadoma.

Byłaby dumna z siebie, że potrafi tak go podniecić, ale nie to uczucie ją w tej chwili przepełniało.

Nie chodziło o władzę.

Czuła przyjemność wynikającą z wiedzy, że jest ona obopólna.

Szczytował pierwszy, potem pieszczotami też doprowadził ją do orgazmu, ani na chwilę z niej nie wychodząc, czego Casey nigdy dotychczas nie doświadczyła.

Nie doświadczyła także kochania się tak szybko jednego po drugim, a przecież zaraz przyszło trzecie.

Łagodniejsze; wieczność wypełniona delikatnością, która równocześnie była mocna i stanowcza.

Nie wiedziała, jak on to robi, ale tak właśnie czuła.

Pieszczoty zwieńczył kolejny orgazm, głębszy i niosący większe zadowolenie niż poprzednie - ponieważ to, co przeżywała, wykraczało poza doznania czysto fizyczne.

W grę wchodziły emocje - kochał się z nią, jakby było to naprawdę najważniejsze.

W końcu wyczerpani leżeli na łóżku ze splątanymi nogami, a Casey ogarnął spokój.

Myśląc o tym, słuchając, jak wyrównuje się jego oddech, gdy zasypia, wyobraziła sobie, że znalazła się w miejscu zakotwiczonym i solidnym. Nie wiedziała, czy uda jej się tu dłużej zostać, ale teraz było jej naprawdę dobrze.

Albo się zdrzemnęła, albo gdzieś odpłynęła.

Gdy otworzyła oczy i odwróciła głowę, twarz Jordana znajdowała się tuż obok.

Oczy miał zamknięte, rysy twarzy spokojne.

Przyglądając się im, znów doświadczyła poczucia stabilności i bezpieczeństwa.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Ostrożnie, by go nie obudzić, wysunęła się z łóżka, włożyła szlafrok i na palcach wyszła do holu.

Otworzyła drzwi naprzeciwko tylko na tyle, by się wślizgnąć do środka.

W pokoju panowała ciemność.

Przez chwilę macała po ścianie przy drzwiach, aż znalazła przełącznik.

Zapaliła się lampa stojąca na stoliku naprzeciwko starej sofy i fotela.

Pokój, oświetlony łagodnym światłem, był mniej imponujący.

Pachniał skórą, drewnem i wyglądał całkiem przytulnie.

Najpierw rozejrzała się za Angusem, sprawdziła wszystkie możliwe zakamarki, nawet zajrzała do łazienki, ale nie znalazła żadnego śladu

kota, poza miseczką z wodą ,na wpół opróżnioną miseczką z jedzeniem i kuwetą.

Zaczęła więc badać pokój.

Otworzyła jedną szafę i stwierdziła, że wypełniają ją spodnie, swetry i blezery takie, jakie Connie najczęściej nosił, a także kilka garniturów oraz frak.

W drugiej szafie, po lewej stronie znalazła coś całkiem przeciwnego -zbiór kurtek i spodni z goretexu, wełnianych pulowerów, golfów i butów takiego rodzaju, jakiego używają osoby uprawiające turystykę pieszą.

Casey nigdy sobie nie wyobrażała Conniego w takim ubraniu.

Większość rzeczy wyglądała na nowe, niektóre miały jeszcze sklepowe metki.

Przypomniała sobie materiały turystyczne, które znalazła, wypełnione, ale nie wysłane zgłoszenia na wycieczki i przypięte do nich czeki.

Przyszło jej do głowy, że Connie też miał marzenia, które częściowo pozostały niezrealizowane.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek marzył o kontaktach z nią.

Ponieważ nie mogła znaleźć żadnego zgłoszenia, wypełnionego i niewysłanego, być może nigdy już się tego nie dowie.

Chcąc odgonić smutne myśli, otworzyła prawą stronę szafy.

Tę wypełniały szuflady.

Zawahała się przez krótką chwilę, świadoma, że jest to być może najbardziej osobiste miejsce, i niepewna, czy chce je naruszyć.

Jeśli nie teraz, to kiedy?

Poza tym nie szukała intymnych drobiazgów.

Szukała dużej brązowej koperty, zawierającej kartki dziennika.

Jeśli tu się znajduje, nawet schowana pod skarpetkami, to ją zauważy.

Zaczęła wysuwać szuflady.

Zawierały skarpetki i kalesony, podkoszulki i chustki do nosa.

W jednej szufladzie znalazła piżamy, w innej wełniane szaliki i równo złożone flanelowe koszule.

Otworzyła szufladę z bilonem, fiszbinami do usztywniania

kołnierzyków i spinkami do mankietów.

Nie znalazła nic, co przypominałoby dużą brązową kopertę.

Zamknęła drzwi szafy i podeszła do stolika, na którym stała

lampa.

Obok niej leżał stosik specjalistycznych pism i książek.

Przerzuciła je, większość rozpoznała, odłożyła dwie czy trzy do późniejszego przejrzenia.

Pod blatem wbudowano drugą, mniejszą półkę, ale także i tam nie było dużej brązowej koperty.

Weszła do łazienki i przeszukała rzeczy do czytania, leżące przy wannie.

Tu było zastępcze życie w najlepszym wydaniu - magazyny "People" i inne, dotyczące wypraw i wędrowek: "Fieldand Stream", "Outdoors" i "Adventure".

Została jej do przeszukania tylko szafka nocna.

Casey wyszła z łazienki i natknęła się na Angusa.

Pojawił się niewiadomo skąd, a teraz siedział przy łóżku i patrzył na nią.

Nie wiedziała, czy wędrował po ciemnym domu i właśnie wrócił, czy też przez cały czas znajdował się w pokoju i się jej przyglądał.

Wydawał się tak ulotny jak uczucie Conniego.

Szepcząc jego imię, podeszła bliżej.

Przykucnęła na odległość ramienia i wyciągnęła rękę.

Choć marszczył nos, nie spuszczał z niej oczu.

- Czy to twoje łóżko? - spytała, zerkając na obciążony wełnianą tkaniną puf przy jednej z szaf.

W środku widać było zagłębienie. - Na pewno jest wygodny i ciepły.

Angus nie odpowiedział. - Widziałam twoje rzeczy w łazience. Meg dobrze czyści twoją kuwetę. I w miseczce masz dużo jedzenia. I wodę obok. Angus wciąż patrzył.

Westchnęła. - No dobra. Idźmy dalej.

Może wiesz, gdzie znajdę następną część Flirtu z Pete'em?

Kot mrugnął.

Było to powolne mrugnięcie.

Casey pamiętała, że koty jej matki robiły to na znak zaufania. Uznała to za zachętę.

Uniosła dłoń, by dotknąć głowy Angusa, ale kot się cofnął. Nie było wątpliwości, co chce powiedzieć. Mówiła bardzo, bardzo cicho.

- Chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi, Angus. Rozumiem, że tęsknisz za Conniem, a ja tu nie pasuję. I nie wiem, co będzie za tydzień

czy dwa. Ale nie zostaniesz sam. Obiecuję. Connie cię kochał.
Ja też mogę.

Angus znów mrugnął.

Musiła chwilę na to poczekać, ale mrugnął, i poczuła się
wynagrodzona za rozmowę z nim.

Powoli wstała.

Kot siedział tuż przed szafką nocną.

Nie chciała go przestraszyć, więc powolutku sięgnęła nad nim i
otworzyła szufladkę.

W środku znalazła skarbonkę drobiazgów: okulary, długopisy bić w
różnych kolorach, karteczki samoprzylepne i niewielkie notatniki ze
spiralnym grzbietem.

Były tam paczka chusteczek do nosa i wazelina do warg.

Krzyżówka, wyrwana z jakiegoś pisma i na w pół rozwiązana.

I dyktafon.

Wyjęła dyktafon i przez chwilę trzymała w dłoni, świadoma, że
ostatnią osobą, która go dotykała, był Connie. Podobny znalazła w
biurku na dole.

Tamten był pusty. Starając się nie budzić w sobie nadziei, nacisnęła
"play", ale nic
nie usłyszała.

Nacisnęła "stop", przewinęła kawałek taśmy i znów puściła.

Tym razem usłyszała jego głos.

Był to znany jej dźwięk, słyszała ten głos niezliczoną ilość razy.

Connie Unger jak zawsze mówił cicho; potrafił przekazać informacje,
nie podnosząc głosu.

Teraz jego głos był jeszcze cichszy.

Bardziej prywatny.

Introspektywny.

Nie oczekiwała osobistego przesłania.

Ostatecznie żadnego nigdzie nie zostawił.

Jednak poczuła wzruszenie, gdy zaczął mówić.

Mówił urywanymi zdaniem, o tym, że świat się zmienia, a psychologia
powinna za tym nadążać.

Co kilka zdań wtrącał przypomnienie na użytek własny: "Powiedzieć,
że." Zdała sobie sprawę, że układał przemówienie.

Słuchała do końca.

Tym razem przewinęła taśmę do samego początku.

Pierwszą rzeczą, jaką usłyszała po naciśnięciu "play", było "zadzwoń do Ruth".

Dalej następował numer telefonu, a zaraz potem pierwsze słowa przemówienia, rozpoczynające się od podziękowania dla gospodarzy. Casey wysłuchiwała całej taśmy, zatrzymała ją, gdy Connie skończył, i odłożyła do szuflady.

Angus miauknął.

- Och, biedaku -szepnęła i uknęła.- Ty też poznałeś jego głos.

Angus miauknął jeszcze żałośniej.

- Wiem, wiem - powiedziała pieszczotliwie.

Tym razem nie cofnął się, gdy uniosła rękę.

Dotknęła czubka jego głowy najpierw lekko, potem z większym przekonaniem, głaszcząc jedwabiste futerko, drapiąc kota za uszami. Cały czas nie spuszczał z niej wzroku; robił wrażenie niepewnego.

Wykorzystując chwilę, przesunęła palcami wzdłuż jego kręgosłupa, a gdy uniósł zad, także wzdłuż ogona.

Był to gęsty ogon, dość długi, w uniesionej jak teraz pozycji sięgający szuflady nocnej szafki.

Po chwili Angus opuścił ogon, a jego koniuszek wskazał wprost na gałkę otwierającą szafkę pod szufladką.

Casey jeszcze chwilę głaskała kota, po czym sięgnęła za niego i otworzyła szafkę.

Zawierała poustawiane egzemplarze "National Geographic".

Jedyną rzeczą, przerywającą szereg żółtych grzbietów, była wsunięta w środek duża brązowa koperta.

Wyciągnęła ją.

Na wierzchu widniało znajome już "C".

Gorączkowo otworzyła kopertę i zajrzała do środka: był tam plik zapisanych kartek.

Krótkie spojrzenie na pierwszą stronę powiedziało jej to, co chciała wiedzieć.

Siedząc na podłodze obok Angusa, oddała się lekturze.

Skończywszy, została w tej samej pozycji, myśląc o tym, co przeczytała.

W końcu zamknęła kopertę i przytuliła do piersi, razem z pismami, które zabrała.

Kierowana impulsem, potrzebując pocieszenia, pochyliła się i spróbowała pocałować Angusa w głowę, ale najwyraźniej posunęła się za daleko.

Wycofał się i wyglądał, jakby miał zamiar syczeć.

Uśmiechnęła się więc tylko i szepnąwszy "do zobaczenia wkrótce", podeszła do drzwi.

Rzucając kotu ostatnie spojrzenie, zgasiła światło, wymknęła się do holu i wpadła wprost na dużą ludzką postać.

Rozdział czternasty

LITTLE FALLS

Jenny krzyknęła. Pete chwycił ją za łokcie, żeby nie upadła.

- To tylko ja, to tylko ja.

-Myślałam, że odszedłeś! - krzyknęła.

Ciężko dyszała, nadal bojąc się uwierzyć, bo ziać, który ją uprzednio przeniknął, był tak rzeczywisty, tak lodowaty, że nadal drżała. Jego dłonie były jednak ciepłe, a oczy jeszcze cieplejsze.

Pachniał tym tanim mydłem, które kupiła podczas ostatniej wyprawy do centrum handlowego.

Jego ramiona przyciągnęły ją i przytulały, jakby mówił: "Powiedziałem, że poczekam, więc jestem".

Lecz to, co ją ostatecznie przekonało, to sposób, w jaki jego głowa ocierała się o jej włosy, skroń i policzek. Ogolił się. Szorstki zarost podróżnika zniknął, ustępując miejsca gładkości skóry człowieka, który trafił do celu.

Wtuliła się w niego.

- O Boże, o Boże, o Boże - szeptała w kółko.

-Nie - mruknął. - To tylko ja.

Podniosła ku niemu wzrok, chcąc mu opowiedzieć, jaki okropny miała dzień, ale nagle jej myśli się rozpierzchły. Panika, strach, chłód - wszystko zniknęło. Desperacja umknęła, przegnana westchnieniem.

- Lepiej teraz? - spytał.

Skinęła głową.

Pocałował ją tak szybko, że nie miała czasu się zjeżyć. -

Wszystko w porządku? - spytał.

Potaknęła, a on znów ją pocałował, ale teraz pamiętała już poprzednie pocałunki i poczuła na nowo pragnienie, jakie ją wówczas ogarnęło.

Wypełniło tak, że nie było miejsca na strach.

- Pocałuj mnie -szepnęła, więc pocałowała.

Wydawało się jej to naturalne: położyć usta na jego ustach, rozewrzeć wargi i posmakować go.

- Jak wspinałaś to robisz -jęknął cicho, a ona mu uwierzyła.

Czuła jego reakcję, czuła rosnące napięcie, napierające ciało.

Kiedy przesunął palcami w dół jej kręgosłupa i mocno przytulił, Jenny poczuła jego erekcję.

Powinno ją to odrzucić. Nie czuła jednak obrzydzenia. Raczej ciekawość. I ucisk w brzuchu.

Podniósł głowę i odsunął się łagodnie.

Zobaczyła głęboki błękit jego oczu.

- Znów nadeszła pora życzeń serca - powiedział.

-Twojego czy mojego?

- Twojego.

-A twojego byłoby jakie?

- Wiesz dobrze.

Ale staram się ustępować kobiecie.

Więc powiedz mi, czego sobie życzysz.

"Tego samego, co ty" - pomyślała Jenny, sama się sobie dziwiąc.

Myśl ta zażenowała ją, więc opuściła wzrok na klamrę jego paska.

Dotknęła go tam i poczuła gorąco.

Mruknął.

- Zastanów się.

Życzenie twego serca.

Co zawsze miałaś ochotę zrobić w Little Falls i nigdy nie mogłaś?

Nie zastanawiała się długo.

- Wybrać się na przejażdżkę.

Inne pary robiły to cały czas, chociaż nie miały motocykla.

- To wszystko?

Zastanowiła się chwilę.

- Może zatrzymać się i coś przekąsić.

To też robiły inne pary.

Jenny słyszała, że Miriam bez przerwy rozmawia o tym z Tylerem i Marie Anne.

Najlepsze miejsce nazywało się Giro's, całodobowa restauracja, dwadzieścia minut jazdy od miasta.

- Żaden problem - powiedział Pete. - Ale musisz się ciepło ubrać.

Na motorze będzie zimno. - To raczej wyklucza kamieniołom, jak rozumiem?

Przypomniał sobie jej życzenie.

Widziała to w jego oczach.

- Pływać? Za zimno.

Ale możemy tam podjechać i zaparkować.

Pomysł spodobał się Jenny.

Myślała o nim w drodze do sypialni, gdzie ściągnęła uniform Neat Eats, rozebrała się i naga przeszła przez hol do łazienki, mając nadzieję, że Pete ją zobaczy.

Wchodząc pod prysznic, miała miękkie kolana, a czekając, aż będzie lecieć gorąca woda, dotknęła swego ciała.

W żadnej ze swoich fantazji - a były ich setki, a nawet tysiące - nie posunęła się aż tak daleko.

Obracały się wokół miłości, czułości i normalności, które -jak uznała - powinny poprzedzić seks, ale nigdy nie nasyciła się dość pierwszą fazą, żeby przejść do drugiej.

Aż do teraz.

Czuła się kobieco.

Po raz pierwszy z przekonaniem przypudrowała ciało perfumowanym talkiem i włożyła wycięte majtki i stanik leżące w szufladzie.

Uczesała włosy, szcزتokując je tak długo, że kędziory się trochę rozprostowały.

Czuła się lekka.

Pewnie dlatego zdobyła się na to, by pójść do komody z rzeczami matki i ze środkowej szuflady wyciągnąć owiniętą materiałem paczuszkę, schowaną w kieszeni ulubionej bluzki jej matki.

W środku kryła się para perłowych kolczyków.

Przypięła je i porównała ich długość z długością włosów.

Włosy okazały się za długie, więc założyła je z jednej strony za ucho.

Teraz lepiej.

Wciągnęła dzinsy i luźny sweter, po czym poszła szukać botków.

Boty Pete'a najbardziej przypominała para wysokich gumowców, które nosiła w słotne dni.

Jak wszystko inne w domu, były wypucowane do połysku.

Włożyła je.

Wyciągnęła anorak, który Miriam podarowała jej parę lat temu. Będzie tęsknić za Miriam.

Może wpadną na siebie kiedyś tam na zachodzie.

Seattle nie było znowu tak daleko od Wyoming.

Pete czekał przy bocznych drzwiach, stojąc na skrzyżowanych nogach i opierając się biodrem o ścianę.

Wyprostował się, obejrzał ją od stóp do głów i uśmiechnął się.

- Fajnie wyglądasz.

-Ty też. - Odwzajemniła uśmiech.

- Fajne kolczyki. Dotknęła pereł.

- Należały do mojej babci.

Jako pierwsza kobieta w okręgu poszła do szkoły medycznej.

Wróciła tu później, bo miała poczucie misji, choć mówiono jej, że to szaleństwo.

Chciała leczyć, więc otworzyła gabinet.

Jeździła głównie na wizyty domowe.

- Miejscowi musieli za nią przepadać.

-Nie. Nie lubili jej. Za bardzo od nich odstawała.

- Była matką twojej matki czy ojca?

Jenny starała się zdecydować, co byłoby bardziej prawdopodobne.

W końcu - ponieważ zabrała kolczyki z szuflady matki - powiedziała:

- Tak naprawdę była siostrą mojej matki, ale dużo starszą i zupełnie inną.

Zawsze traktowałam ją jak babcię. Kochała mnie. Miałam dziesięć lat, kiedy umarła.

- Przykro mi, że jej tu nie było, kiedy zaczęły się kłopoty.

Jenny również żałowała, przynajmniej w marzeniach.

Ale nie wszystko w tej opowieści było fantazją. Istniała starsza siostra.

Jenny spotkała ją raz, a potem wymyśliła całą historię. Każdy potrzebował takiej krewnej.

- Ale gdyby tu była - ciągnął Pete - zabrałaby cię, więc nigdy byśmy się nie spotkali, ty i ja.

- Podniósł rękę, do tej pory ukrytą za plecami.

Trzymał dwa kaski.

- Tym razem masz wybór.

Jenny ledwo zrozumiała znaczenie faktu, że kupił drugi, kiedy wysunął je do przodu.

- Który wolisz?

Nie musiała się zastanawiać.

Wybrała ten, który przedtem nosiła - pachnący Pete'em.

Kilka minut później już jechali szosą, mijając domy sąsiadów, którzy przez lata traktowali Jenny z góry.

"Myśleli, że jestem nic nie warta. Myśleli, że nie zajdę daleko. Myśleli, że nigdy nie spotkam mężczyzny bardziej obytego i przystojniejszego niż oni".

Z każdym zdaniem podnosiła głowę trochę wyżej i myślała z satysfakcją: "Powinni mnie teraz zobaczyć".

Oczywiście nie mogli.

Może usłyszeli warkot motocykla, ale zbyt szybko pędził, żeby dostrzegli, kto nim jedzie –nawet gdyby nie miała kasku.

Poza tym było mgliście i ciemno.

Wiedziała też, że jest zimno, ale nie czuła chłodu.

Rozgrzewało ją podniecenie.

Gdy przejeżdżali przez centrum miasta, objęła go w pasie.

Na dalekim krańcu Main Street zmienił kierunek i skręcił w boczne uliczki, jadąc każdą po kolei, tak że po chwili przemierzyli wszystkie drogi w kwadracie trzech przecznic na trzy.

Gdyby nie znała go lepiej, pomyślałaby, że stara się obudzić śpiących w mieszkaniach nad sklepami i w domach, żeby ukarać ich za okrucieństwo wobec niej.

Pete nie był jednak mściwy, czego gdzieś w głębi duszy trochę żałowała.

Był ciekaw, i tyle.

Wyobrażała sobie, że zanim wyjadą, ma ochotę zobaczyć wszystko, co składało się na jej przeszłość.

Ona zresztą też.

Przejechali obok szkoły podstawowej, prostokątnego budynku z łuszczącą się farbą i zniszczonym placem zabaw na tyłach.

Jenny uwielbiała chodzić tu do przedszkola.

Lubiła nawet pierwszą i drugą klasę.

Poczynając od trzeciej, zaczęła jednak zdawać sobie sprawę, że jest inna.

Nie mogła zapraszać koleżanek do domu, bo rodzice wiecznie się kłócili.

Poza tym dziewczynki bały się jej ojca, który w dziwny sposób brał ją w ramiona i podrzucał, niechętnie patrząc na obecnych.

Pomijano ją więc w popołudniowych i weekendowych zabawach, a ponieważ w szkole o niczym innym nie mówiono, tu też poczuła się odizolowana.

Została autsajderką i chłopcy robili jej złośliwe kawały, za które Darden złoiłby im skórę, gdyby się dowiedział, a to tylko pogorszyłoby sytuację, dlatego też nic mu nie mówiła.

Bezpieczniej było cierpieć w cichości ducha.

- Widzisz to puste pole? – krzyknęła do Pete'a za chwilę. To Town Field.

Tu organizujemy uroczystości.

Pikniki na Święto Niepodległości, parady na Dzień Pamięci Poległych, wyścigi ochotniczej straży pożarnej i konkursy na rzeźbę lodową w zimie.

- Brzmi fajnie.

"I to jak" - pomyślała Jenny, ale nie chciała okazać goryczy, nie chciała też czuć goryczy, nie teraz, kiedy zbliżał się wyjazd z Little Falls.

Pokazała za to Pete'owi dom Miriam, dom jej wychowawcy z przedszkola, a nawet dom szeryfa O'Keefe'a i jego żony, choć poczuła się niezręcznie.

Pokazałaby mu dom Dana O'Keefe'a – w jego garażu mieściło się biuro szeryfa, a budynek był naprawdę ładny -ale Pete wybrał inną trasę.

Jechali dalej, aż dotarli do Klubu Weterana i zaparkowali pod kasztanowcem, gdzie Jenny po raz pierwszy go zobaczyła.

Siedli pod drzewem, zbierając siły.

Potem popędzili raz jeszcze na Nebanonic Trail, w górę i w dół, kierując się ku autostradzie.

Zjechał z autostrady za szybko, ale poczucie władzy ich nie opuściło.

Było jeszcze silniejsze, kiedy Pete- jakby sam znał właściwą drogę skręcił w stronę Giro's.

Zaparkował motor, przymocował kaski do siodełka, wziął ją za rękę i zaprowadził do restauracji.

Marzenie Jenny się spełniło.

Wreszcie była jedną z tych dziewczyn, które przyjeżdżały tu z facetami, siadały za stołem i jak ona zamawiały wielkiego, soczystego hamburgera, te same tłuste frytki, to samo piwo beczkowe.

Kiedy Pete uruchomił szafę grającą i zaciągnął ją na niewielki parkiet w głębi za barem, Jenny znalazła się w siódmym niebie.

Tańczyła tak spontanicznie, jak przedtem sama przed telewizorem, nie gorzej niż inni.

Kiedy przyciągnął ją bliżej i zaczęli tańczyć w powolny, zmysłowy sposób, jakiego Jenny nigdy nie widziała, o jakim nigdy nie czytała i o jakim nawet nie marzyła, uleciała wysoko ponad siódme niebo.

- Jesteś fantastyczna- mówił często, a im częściej to mówił, tym bardziej tak się czuła.

Łatwo trzymać głowę wysoko i wyprostować ramiona, kiedy ktoś patrzy na ciebie, jakby nikogo innego nie było w pobliżu.

Łatwo spojrzeć w oczy, kiedy kryje się w nich wszystko, co kiedykolwiek chciała zobaczyć.

Łatwo się uśmiechać, kiedy pokazał jej tak wspaniałą fragment jej przyszełego życia.

W dodatku nie skończyło się na kolacji.

Ruszyli do kamieniołomu - wtedy już prawie pustego - i przejechali przez specjalną kryjówkę Jenny.

Łagodnie wznoszącą się dróżką dotarli na przeciwległy brzeg basenu pełnego smolście czarnej wody.

Położyli kaski na trawie i zamienili się miejscami, tak że ona siadła za kierownicą, opierając się plecami o jego pierś.

Objął ją ramionami, nie zadając pytań, wsunął dłonie pod anoraki głaskał po brzuchu.

- Niektórzy mówią, że tam żyje potwór - powiedziała.

-Mówią, że wynurzył się ze skały, kiedy zatopili kamieniołom, a teraz żyje głęboko na dnie.

- Wierzysz w to? - zapytał.

Zastanowiła się, potem skinęła głową.

- Wolę myśleć, że mieszka tam cała rodzina, więc nie jest sam.

To spokojne stworzenie.

Jeszcze nigdy nikogo nie skrzywdziło.

- Czy ktoś go naprawdę widział?

-Niektórzy tak twierdzą.

- A ty?

-Nie jestem pewna.

Często tu przychodzę, siadam na brzegu i po prostu patrzę się w wodę i patrzę.

Tyle razy wyobrażałam sobie tego stwora, może za którymś razem widziałam go naprawdę.

Pete przesunął ręce wyżej, aż jego kciuki otarły się o dół jej piersi.

Zamknęła oczy.

- Czasem trudno stwierdzić, co jest prawdziwe, a co nie.

-Dotykał jej piersi tak delikatnie, że było to miłe.

Nie, bardziej niż miłe.

Było cudowne.

Ale nie wystarczało.

Pomógł jej obrócić się na siodełku, tak że siadła przodem do niego i objęła go za szyję.

Tym razem włożył rękę pod jej sweter i dotknął koronki stanika.

- Cudownie - szepnął.

Zamknął jej usta pocałunkiem, który nie trwał wieczność tylko dlatego, że obojgu zabrakło powietrza.

Następnie odpiął jej stanik i zaczął pieścić nagie piersi.

- Dobrze ci?

Jenny skinęła głową.

Było tak dobrze, że aż nie mogła znaleźć słów, a nawet gdyby znalazła, nie przeszłyby jej przez gardło.

Całe ciało nabrzmiewało, w miarę jak jego dłonie głaskały ją i pieściły, w miarę jak rozkoszowała się obietnicą ukrytą w jego oczach.

- Chcesz wrócić do domu? - spytał zmysłowym szeptem.

Znów szybko potaknęła.

Już po chwili siedziała za nim w kasku na głowie.

Motor ruszył.

Tym razem Jenny nie wiedziała, którądy jechali.

Zamknęła oczy i rozkoszowała się uczuciem, jakie ją ogarnęło - bo naprawdę pochłonęło ją całą.

Czuła tętnienie i pulsowanie swego ciała, czyniącego rzeczy, których nigdy przedtem nie zaznało, nakazującego jej myśleć o rzeczach, których nigdy przedtem nie robiła, na przykład pieściła brzuch Pete'a i przesuwała dłonie niżej.

Cicho jęknęła pod naporem nowych doznań.

Przesunął jej dłonie na bezpieczniejsze terytorium.

- Jeśli nie przestaniesz, zjedziemy z drogi! - krzyknął zduszonym głosem.

- Przepraszam!

- Nie ma za co! Rzeczywiście, nie miała za co przepraszać.

Naprawdę.

Czuła się tak lekko, jak wtedy kiedy pędzili autostradą albo jedli w Giro's, albo pieścili się pod kamieniołomem.

Czuła się, jakby miłe wydarzenia naprawdę były możliwe.

Przemknęli ulicą, ostro skręcili na podjazd i zatrzymali się dopiero u stóp bocznych schodów, ale kiedy wziął ją za rękę, żeby zaprowadzić do środka, Jenny się cofnęła.

- Złe wspomnienia- powiedziała, kręcąc głową.

Wydawał się rozumieć, bo zaprowadził ją pod sosnę za domem i uchylił kurtynę z gałęzi, żeby mogła wejść.

Może było zimno, ale ona tego nie zauważyła.

Oblała ją taka fala gorąca, że pospiesznie zrzuciła ubranie, a potem czerpała ciepło z jego ciała.

Całował ją i pieścił, aż go błagała, by zrobił coś, żeby ukoić napięcie w dole brzucha.

Uspokajał jednak, że nie ma pośpiechu.

Chciał, by wreszcie poczuła to, co czuć powinna kobieta.

Pragnął, by czuła, jak jest piękna, kobieca i kochana, a jeśli uzna, że nie jest gotowa, by przyjąć go w siebie -dodał - to też nie szkodzi.

Ona jednak już na to czekała.

Pete w najmniejszym stopniu nie przypominał jej przeszłości.

Ciało Jenny płonęło.

Wtedy to zrobił.

Wszedł w nią powoli, aż ledwie mogła oddychać, a kiedy zaczął się poruszać, myślała, że umrze.

Czuła każdy ruch, każdy dotyk, żywy, gorący i zwycięski, aż wygięła się w łuki wybuchła.

- Nigdy dotąd nie miałam orgazmu wyznała.

-Cieszę się.

- Nigdy dotąd tak naprawdę się nie kochałam.

Podniósł jej rękę do ust i pocałował palce.

Siedzieli na strychu, pod spadzistym dachem, na posłaniu zrobionym z poduszek i koców.

Obok nich płonąła samotna świeca.

Pete miał na sobie tylko dżinsy, w których zasunął suwak, ale nie zapiął guzika.

Jenny ubrana była tylko w perłowe kolczyki i jego batystową koszulę.

Była to scena jak ze snów, coś, o czym mogłaby czytać w "Cosmo".

Czuła się tak normalna, tak szczęśliwa, że jest normalna, tak fizycznie zaspokojona i emocjonalnie pełna, że prawie chciało jej się płakać.

Dotknęła jego twarzy, szeroko rozstawionych oczu i brwi, wysokich kości policzkowych, prostego nosa, kwadratowej szczęki. Potem przesunęła dłonią po smolście czarnych, gęstych, długich włosach.

Obrysowała palcami kontur ucha, dotknęła lewej poduszczeni, gdzie mógłby nosić kolczyk, wyobraziła sobie, że ma tam malutki diamencik.

Kciukiem musnęła obojczyki, dotknęła twardych mięśni ramion, pozwoliła palcom bawić się włosami na jego piersi.

Westchnęła i patrząc mu w oczy, spytała:

- Co ty we mnie widzisz?

-Jużci powiedziałem. Jesteś inna.

- Nie jestem ładna.

-Ja uważam, że jesteś.

- Nie mam tak długich nóg jak modelki.

- Nie szkodzi.

Cała energia idzie u nich w nogi, więc nie mają wiele gdzie indziej.

Długie nogi mnie nie podniecają. -Rozpiął jej koszulę i rozsunął poły.

- Za to to - owszem.

Poczuła pieśczoję jego wzroku na sobie, poczuła, że znów zalewa ją gorąco i pragnienie.

Powiedziała coś, co brzmiało jak jego imię.

- Co w tobie widzę? - spytał. -Widzę świeżość. Nowość. Niewinność.

- Nie jestem niewinna. Nie jestem nawet przyzwoita.

Prowadziłam okropne życie. - Nie chciała się zastanawiać, jak okropne.

Przeszkadzało jej, że Pete nie wie.

Ale gdyby mu powiedziała, a on by odszedł, nie wiedziałaby, co począć.

- Ja też popełniłem błędy -powiedział.

-Nie takie jak ja - zapewniła go.

Nagle się zachmurzył.

- Chcesz się założyć?

Poderwałem dziewczynę mojego najlepszego przyjaciela.

Uważasz, że to w porządku?

Jenny domyśliła się, że to nie koniec historii.

- Kiedy to było?

-Kiedy wyjechałem.

Wszyscy błagali, żebym został, mówili, że jestem im potrzebny, że zależą ode mnie, ale ja poczułem zew wolności.

Oni ciągle się kłócili, błagali i przemawiali mi do rozsądku.

Wtedy potrzeba wolności nie dawała mi już spokoju, nie mogłem o niej zapomnieć, bo czułem się wystarczająco winny, nawet bez ich lamentów.

Uznałem, że pokażę im, jaki to ze mnie święty, jednym ciosem zniszczę ich ufne spojrzenie. Więc zabrałem ją z sobą.

- Kochałeś ją?

-Nie - powiedział, unikając jej wzroku.

- Co się dalej stało?

-Potrwało miesiąc.

Dałem jej pieniądze i odesłałem do domu, ale już nigdy nieczuła się tam dobrze.

Znów wyjechała, tym razem sama.

Nie wiem, co się później z nią stało. -Wreszcie spojrział na Jenny. -

Wiem, co się stało ze mną. Jeździłem z miejsca w miejsce, ale nie mogłem znaleźć spokoju.

Jakbym miał znanie Kaina na czole. Spotykałem złe kobiety. Aż cię zobaczyłem.

Nie zasługuję na ciebie, Jenny, ale i tak cię pragnę.

Chcę się zmienić, żeby być z tobą.

Razem zaczniemy odnowa.

Serce Jenny wezbrało, więc niewiele mogła odpowiedzieć, poza pełnym nadziei:

- Kiedy to mówisz, wydaje się takie łatwe.

- Będzie łatwe, jeśli się tylko postaramy.

Jenny chciała uwierzyć, ale myślała o najgorszym.

- A co z innymi ludźmi? Twoją rodziną, przyjaciółmi? Co się stanie, jeśli oni nie zechcą, żebyś zaczął od nowa?

- Zechcą. Czasy są ciężkie. Potrzebują pomocy.

- Mój ojciec powie to samo. Nie zgodzi się, żebym wyjechała.

- To nie to samo. Twój ojciec nie potrzebuje pomocy. Jego potrzeby są samolubne. Ale ty byłaś mu wierna przez wszystkie te lata. Przedłożyłaś jego potrzeby nad swoje. Teraz twoja kolej.

- Ale to mój ojciec.

- Jesteś dorosła. Masz prawo sama podejmować decyzje.

- Nie rozumiesz. On mi nie da wyjechać.

- Nie, to ty nie rozumiesz - odparł stanowczo.

- Nie jesteś jego własnością, nie może ci pozwalać albo zakazywać. Należysz tylko do siebie.

Niech on podejmuje decyzje co do własnego życia.

Ty masz prawo decydować o swoim.

Boże, ileż razy to sobie powtarzała.

To samo mówili Dan, wielebny Putty i Miriam.

- A co, jeśli się nie zgodzi? Pete się uśmiechnął.

- Pomogę ci go przekonać.

Porozmawiam z nim jak równy z równym.

- Oparł między jej piersiami dłonie złożone jak do modlitwy.

Wnętrzem dłoni musnął jej sutki. Następnie dotknął ich wargami.

Ujęła jego głowę w obie ręce.

- Chcę zacząć od nowa.

Od tak dawna o tym marzę.

Tylko mi się nie udawało.

Podniósł głowę, aż jego wargi znalazły się tuż koło jej ust.

- Mnie też nie, bo myślałem, że uda mi się samemu.

Ale sam sobie nie poradzę. - Spojrzał jej w oczy.

Wydawał się kruchy. - Wyjedziesz ze mną, dobrze? - Nabrała powietrza.

-Wyjedziesz za mnie? Dasz mi dzieci?

- Zakryła mu usta dłonią.

Nie mogła uwierzyć, jak wspaniały prezent jej oferował: wszystko, o czym zawsze marzyła.

- Kocham cię, Jenny.

Zatrzymała się, myśląc znowu wciąż myśląc - że jest zbyt wspaniały, żeby mógł być prawdziwy.

- Naprawdę?

-Naprawdę.

- Jak możesz być tego pewny?

-Byłem w wielu związkach.

Nigdy przedtem nie powiedziałem kobiecie, że ją kocham.

- Jest tyle rzeczy, których o mnie nie wiesz.

-Wiem dość.

- A co, gdybym kryła coś tak okropnego, że zmroziłoby cito krew w żyłach?

-Opowiedziałem ci moją mroczną tajemnicę.

Twoja nie może być wiele gorsza.

Poza tym krew nie marznie.

- Wiesz, co chcę powiedzieć.

Co by było, gdyby tak się stało?

- Gdyby coś takiego było, poczułbym się mniej winny mojej własnej, nagannej przeszłości.

Przypominałoby mi, że tym razem ma być inaczej.

Kocham cię, Jenny.

Przypieczętował słowa pocałunkiem, który odwzajemniła, ale jakoś nie wydawało się to wystarczające.

Chciała zrobić coś niezwykłego, coś innego, coś, czego inne kobiety w jego życiu nie umiały, nie chciały zrobić albo do czego nie wystarczająco go kochały.

Nadal go całując, popchnęła Pete'a do pozycji leżącej.

Lizała mu podbródek i szyję.

Przygryzła delikatnie skórę na jego piersi wzdłuż linii włosów prowadzącej do pępka, jednocześnie mocując się z suwakiem rozporoka.

Kiedy dotarła do niego ustami, był już rozpięty.

Czuła ciepło Pete'a na wargach, gładkość na języku, piżmowy zapach przegnał jej z głowy myśli, które mogłyby zmącić obecne doznania. Ku swojemu zaskoczeniu zaczęła, chcąc zrobić przyjemność jemu, skończyła, odczuwając ją na równi z nim.

Tak mijała noc.

Rozmawiali, kochali się i spali; rozmawiali, kochali się i spali. Tuż przed świtem wyszli na dach i patrzyli na wschód słońca i wolno rozpełzającą się mgłę.

Z mgłą minął również chłód, a z chłodem zniknęła ostrożność. Rozpostarli koc i leżeli nago w bladych promieniach słonecznych, a po chwili było oczywiste, że chcą się kochać.

Ktoś mógłby uznać, że kochając się w ten sposób, Jenny mściła się na mieszkańcach miasteczka.

Sama Jenny powiedziałaaby - gdyby spytał ją o to ktoś, komu nic do tego – że chrzciała w ten sposób swój nowy, spadzisty dach.

Tak naprawdę jednak świętowała zmianę w swym życiu.

Nigdy przedtem nie czuła się tak szczęśliwa ani tak odważna, a już na pewno tak pewna siebie, jak teraz z Pete'em.

I spokojna.

Nawet jeśli Darden miał wrócić nazajutrz.

Zasnęła więc głęboko, kiedy wróciła do sypialni, a słońce stało już wyżej.

Obudziła się dopiero, gdy dzwonek do drzwi zrobił się natarczywy.

Rozdział piętnasty

Zbiegając ze schodów, Jenny pospiesznie wkładała koszulę nocną. Przytrzymałszy kołnierzyk, żeby materiał ukrył jej piersi, uchyliła drzwi wejściowe i zmrużyła oczy, oślepiona światłem słonecznym.

Wielebny Putty już odchodził.

Szybko zawrócił i podszedł do drzwi.

- Boże miłosierny, ależ się martwiłem - powiedział, wzdychając.

- Dzwonię do drzwi od dziesięciu minut.

Już myślałem, że coś się stało.

Normalnie uznałbym, że poszłaś na przechadzkę albo nawet do miasta, choć stamtąd idę i nie widziałem cię po drodze, ale Dan poprosił,

żebym z tobą porozmawiał o dachu, bo i tak tu szedłem, a kiedy nie odpowiadałaś na dzwonek, pomyślałem. - Spojrzał w niebo i przeżegnał się.

- Spałam - powiedziała Jenny.

-Właśnie widzę. - Zerknął na zegarek. -Ale jest jedenasta. Już prawie pół dnia minęło. - Znów westchnął. -Dobrze, powiem Danowi, żeby wytłumaczył Merle'owi, że to, co zobaczył na dachu, było nieprawdą.

Przecież stoisz tu odziana od stóp do głów w skromną koszulę nocną. Merle powiedział, że byłaś nago, wyobrażasz sobie?

"Naga na dachu na chłodzie", tak powiedział.

Zapytałem Dana.

Zgodziliśmy się, że musiałybyś stracić rozum, żeby zrobić coś takiego.

Jenny ziewnęła.

- Choć gdyby ktokolwiek miał powód, żeby oszaleć, to już najprędzej ty - ciągnął wielebny Putty.

- Wiele przeszałaś, Mary Beth.

Cieszyłem się, że przyszałaś na piątkowe tańce.

Miałem potem nadzieję, że w niedzielę przyjdiesz na mszę.

Napisałem kazanie z myślą o tobie.

Właściwie to o Dardenie.

Mówiłem o miłości Bożej i o znaczeniu przebaczenia.

Uznałem, że kilku wiernym należało o tym przypomnieć, aczkolwiek rozumiem ich uczucia. Są przerażeni. Darden wydawał się groźny nawet przedtem.

Ale myślę, że teraz musimy zostawić przeszłość za sobą.

Odpokutował za swoją zbrodnię.

Naszym obowiązkiem, jako dobrych chrześcijan, jest godnie go powitać.

Jenny już sobie wyobrażała, że akurat tak będzie.

- To było płomienne kazanie. Żałuję, że go nie słyszałaś.

Jeśli chcesz, wydrukuję ci je.

Muszę to przyznać komputerom - przydają się, kiedy ktoś po prostu nie może przyjść i wysłuchać kazania.

Kiedyś lubiłaś chodzić do kościoła, Mary Beth.

- Chodziłam, bo Darden chodził. - Zabierał ją z sobą.

Niemiała wyboru.

Nie miało znaczenia, że jej matka nie chciała iść na mszę albo że wiara Dardena w Boga była wątpliwa.

Chciał, żeby całe miasto widziało, jak Jenny stoi koło niego na mszy.

- Pamiętam, że przychodziłaś nawet po wyjeździe Dardena.

-Kilka razy.

- Dlaczego przestałaś?

Jenny mogła wzruszyć ramionami i odwrócić wzrok.

Wiedząc jednak, co będzie dalej, chciała wreszcie wyrazić swoje myśli.

- To były ciężkie czasy. Byłam samotna i chora, czułam się winna.

Tak chciałam, żeby ktoś powiedział mi, że nie jestem okropna, ale nikt w mieście tego nie zrobił.

Myślałam, że może w kościele, w domu Bożym, ludzie będą miłsi.

Spojrzą na mnie życzliwiej.

Nie spojrzeli.

Wtedy im by się przydało to kazanie.

- Postaraj się zrozumieć, MaryBeth.

Sytuacja ich przerażała.

Nie wiedzieli, co powiedzieć.

Jenny potarła kark, żeby rozmasować obolały mięsień-pamiętkę po nocy na strychu.

- Chcieliby, żebyś wróciła.

- Tak powiedzieli?

-Kiwali głowami przez całe kazanie.

Jenny świetnie mogła to sobie wyobrazić.

Kazania wielebnego Putty'ego zawsze usypiały Dardena.

- Ja też chciałbym, żebyś wróciła. I Darden też.

Może w przyszłą niedzielę?

Dla miasta byłby to znak, że jesteś gotowa wybaczyć i zapomnieć. -

Przestąpił z nogi na nogę, wydawał się rozbawiony. -Uznaj to za osobiste zaproszenie – znów rzucił okiem w niebo - wiesz od Kogo i Jego sługi, niżej podpisanego. Bóg cię kocha, Mary Beth.

- Czyżby?

-Ależ oczywiście.

Nie była pewna, czy w to wierzy.

- Czekałam, żeby mi pomógł. Nic dla mnie nie zrobił.

- Ależ owszem.

Zostawił cię samą, żebyś popracowała nad swoimi problemami, żebyś stała się silniejszym człowiekiem.

Już widzę, że tak się stało.

Nosisz cudowne kolczyki.

Należały do twojej matki, prawda?

Właśnie.

Nosiła je w dzień swojego ślubu. Jeśli dobrze pamiętam, powiedziała, że były prezentem od twojego ojca. Wiesz, że to ja udzieliłem im ślubu.

Żyję tu już od dawna. Byli wtedy szczęśliwi. Och, moja droga.

Teraz możemy mieć tylko nadzieję, że spoczywa w pokoju i że wybaczyła Dardenowi. - Pokiwał głową. - Bardzo ją kiedyś przypominałaś.

Może teraz trochę mniej.

Zresztą wyglądasz inaczej.

Jenny czuła się inaczej.

- Spotkałam kogoś, kto mnie pokochał.

Nazywa się Pete.

- Pete? Jaki Pete? Znam go?

- Nie, przyjechał z zachodu. Pewnie minęliście się po drodze.

Jeździ na motocyklu.

Wielebny Putty podrapał się po głowie.

- Nie pamiętam, żeby mijał mnie jakiś motocykl.

-Jechał do miasta, żeby przywieźć nam śniadanie.

Kawę i pączki.

- Zupełnie jak najwspanialszy faceci w "Cosmo".

Uśmiechnęła się na myśl o tym. -Jest fantastyczny.

Pastor nie wydawał się przekonany.

- Chyba usłyszałbym silnik motocykla.

- Nie, bo to dobrze naoliwiony silnik -odparła Jenny.

-Aha.

No to wspaniale.

Cieszę się za ciebie, Mary Beth.

Zasługujesz na dobrego człowieka.

- Wyjeżdżam z nim z miasta.

-Wyjeżdżasz z Little Falls?

Skinęła głową.

- Darden jedzie z wami?

-Nie, jego dom jest tutaj.

- Ale jesteś jego córką. Jesteś wszystkim, co ma.

- Tak, ale teraz, kiedy wielebny wygłosił kazanie o przebaczeniu i zaprosił go z powrotem do kościoła, ma również wielebnego i wiernych, czyż nie?

Pete wrócił z dwoma wielkimi kubkami kawy i tuzinem pączków.

- Mam słabość do słodyczy - wyznał i pożarł trzy pączki w czasie, jaki jej zabrało zjedzenie jednego.

Jenny martwiłaby się taką żarłocznością, gdyby jego ciało nie było tak muskularne.

Ona jednak również była głodna i tuzin pączków zniknął w mgnieniu oka.

Odchylił się na krześle i poklepał po brzuchu.

- Było pyszne.

Nie czuję się ani trochę winny. Jenny też nie.

Kwestia poczucia winy była jednak jak mina przeciwpiechotna.

Leżała tuż pod powierzchnią, niewidoczna gołym okiem, ale gotowa wybuchnąć w każdej chwili.

- A gdybyś czuł się winny, co byś zrobił?

-Porąbał drewno.

Przebiegł parę kilometrów.

A w domu?

Naprawiłbym siatkę w ogrodzeniu.

Poczucie winy by minęło, zanim by mi znów zaczęło burczeć w brzuchu.

- A inne rodzaje winy? Na przykład wobec rodziny?

- Nie mogę zawrócić czasu i zmienić tego, co zrobiłem albo czego nie zmieniłem. Mogę tylko przeciw naprzód.

- Czyli wybaczyłeś sobie?

-To by znaczyło, że to, co zrobiłem, było w porządku, a tak nie jest.

Ale mogę iść naprzód, uczyć się na błędach i pracować nad sobą.

- Iść naprzód, znaczy wrócić do rodziny.

Jeśli się zmieniłeś, to możesz naprawić swoje błędy.

Ja nie mogę.

Więc co zrobić z poczuciem winy?

- Jakiej winy?

-Winy za to, co zrobiłam.

Czego nie zrobiłam.

- Krążyła wokół tej miny, niebezpiecznie się do niej zbliżając.

-Czy jestem to winna Dardenowi, żeby z nim zostać?

- A chcesz zostać?

-Nie! Nie!

Ale Darden dla mnie poszedł do więzienia.

- Poszedł do więzienia za zamordowanie twojej matki.

-Ale zrobił to dla mnie.

- Chciała powiedzieć więcej, chciała tak bardzo, że prawie czuła smak słów na języku.

Jednak jakaś jej częśćka wciąż nie potrafiła wyzbyć się strachu i nie pozwoliła przemówić.

- Jenny?

Odwróciła wzrok.

Przednie nogi krzesła stuknęły o podłogę, Pete ujął ją pod brodę i obrócił twarzą do siebie.

- Kocham cię, Jenny.

-Nie znasz mnie.

- Znam wystarczająco.

-A jeśli nie? A co, jeśli są rzeczy.

- Które zmrożą mi krew?

-Mówię poważnie, Pete.

- Ja też.

Kocham cię. - Uderzył się w pierś. -Czuję to tu, gdzie może nie ma rozumu, ale gdzie czuję to tak prawdziwie, jak wszystko inne na tym świecie.

Właśnie tu coś mnie ściska za każdym razem, kiedy na ciebie patrzę. Jakbyś była kluczem.

Jakbyś mogła mi pomóc robić to, co słuszne.

Dobra, brzmi to dziwnie.

Tydzień temu jeszcze cię nie znałem.

A gdybym przejeżdżał przez Little Falls dzień wcześniej albo dzień później, może.

może byśmy się nie spotkali.

Ale nie wierzę w to.

Myślę, że w ten czy w inny sposób byliśmy sobie przeznaczeni.

Kocham cię- powiedział z patosem i znów uderzył się w pierś.

"Dlatego go kocham" – uzmysłowiła sobie i już wiedziała, że musi powiedzieć mu więcej.

Może nie wszystko, ale z pewnością więcej.

Wzięła go więc za rękę i zaprowadziła na piętro, przez swoją sypialnię, i po drabinie na strych.

W głębi, pod okapem dachu, stało pudełko z wycinkami prasowymi.

Mówiły o śmierci jej matki, aresztowaniu ojca za zbrodnię i o procesie.

Pete przyciągnął pudełko podokno wychodzące na tyły domu i siadł do lektury.

Jenny skuliła się w ocienionym kącie po drugiej stronie strychu i patrzyła, jak czyta kolejno każdy artykuł.

Znała je na pamięć, czytała niezliczoną ilość razy, wiedziała więc

dokładnie, co Pete przebiega oczyma i robiła to w myśli razem z nim.

Czekała na spojrzenie lub dźwięk, które pokazałyby, że poczuł to samo obrzydzenie co ona.

Urywany oddech wydawał się wyrywać z tego ukrytego miejsca w jej duszy, gdzie schowała się przeszłość.

Jenny jednocześnie dotykała tego samego miejsca na swej piersi,

którego przedtem on dotykał na swoim torsie, czując tam skurcz strachu i nadziei.

Wreszcie złożył ostatni artykuł, wsunął pudełko na powrót pod okap i zbliżył się do niej.

Strach w Jenny rósł nieprzerwanie.

Jego twarz nie wyrażała jednak ani odrazy, ani nienawiści.

Rysował się na niej smutek, ale i czułość.

Wiedziała, że to cud -miłość, której tak desperacko potrzebowała, nie znikła.

Uklęknął i przyciągnął ją między swoje kolana.

Ukrył twarz w jej włosach i oddychał tak samo długo i boleśnie jak ona przedtem.

Po chwili przysiadł na piętach.

Złożył pocałunek na jej rękach, położył je sobie na sercu i milczał, a tego Jenny potrzebowała najbardziej.

Nadeszła jej kolej, by mówić.

Wylewały się z niej rzeczy, które tak długo kryła przed światem.

- Nigdy nie mogliśmy się z matką dogadać.

Byłyśmy bardzo podobne - choć ona miała dwadzieścia lat więcej - ale nawet kiedy się urodziłam, z kępką włosów na głowie, bardzo ją przypominałam.

Nazywała się Mary Beth June Clyde, a ja –Mary Beth Jennifer Clyde.

To był pomysł mojego ojca, żebyśmy nosiły to samo imię.

Tak mi powiedziała.

Chciał jej sprawić przyjemność, lecz mu się nie udało.

Nie mogło się udać, bo nie byłam Ethanem.

Urodził się dwa lata wcześniej, ale zmarł przed ukończeniem roku.

Pragnęła, żebym zajęła jego miejsce; tego nie mogłam zrobić, więc mnie nienawidziła i znienawidziła mojego ojca.

- Dlaczego jego też?

-Bo zdradził Ethana, kochając mnie. - Wzruszyła ramionami.

-Chora, chora, chora.

- Twoja matka?

- Cała ta historia!

-Jenny czuła puls Pete'a, gdy przesuwiał ręką po jej ramieniu.

Uspokajał, koił, przyjmował ją taką, jaka jest.

Dodawał siły, by wróciła myślą do tych okropnych wydarzeń.

- Nienawidziła mnie, bo on zwracał uwagę na mnie, a nie na Ethana, ale Ethan nie żył, choć ona nie umiała tego przyjąć do wiadomości, a kiedy Darden nie mógł już znieść jej krzyków, wtedy zajmował się mną, co jeszcze bardziej ją rozwścieczało.

- Byłaś pionkiem w ich grze.

-Tamci wszyscy też tak mówili.

- Jacy tamci?

-Prawnicy, pracownicy socjalni, policja.

Mówili, że to nie moja wina, i wciąż przepraszali, ale to nie im zadawano te wszystkie pytania.

To nie oni starali się dawać dobre odpowiedzi.

Musiałam im wszystko opowiadać od początku za każdym razem.

- Zgodzisz się opowiedzieć ten jeden, ostatni raz?

Zgodziła się.

Dla Pete'a.

Nie uciekł, nadal tu był, mówiąc, że ją kocha, klęcząc zaledwie w odległości szeptu, trzymając ją za rękę, uspokajając.

Poza tym jak dobrze było mówić po tak długim, trudnym milczeniu, dobrze było dzielić się tym po raz pierwszy.

Czuła, że z każdym słowem ciężarna jej piersi robi się mniejszy.

- Matka była wściekła, bo zapomniałam odebrać jej lekarstwa w drodze ze szkoły. To były pigułki nasenne.

Nie mogła bez nich przespać nocy.

Powiedziałam, że wrócę po nie do miasta, ale ona twierdziła, że są jej potrzebne natychmiast, że jestem głupia i samolubna i że jestem wiedźmą, która zniewoliła Dardena jakimiś czarami.

Zaczęła mnie bić.

- Laską z okuciami.

Jenny jęknęła i potaknęła.

Tak, laską z okuciami.

- Co zrobiłaś?

Potała ręką piersi.

Nawet teraz, gdy czuła się spokojniejsza i silniejsza niż kiedykolwiek, gdy czuła ulgę, że może się zwierzyć, trudno jej było przypomnieć sobie przeszłość.

Słabość i drzenie wracały.

Serce Pete'a biło jednak miarowo, a dłonie okazywały zrozumienie.

Miała wrażenie, że nagle otworzyła drzwi, a jakaś siła po drugiej stronie wyrывa jej słowa z ust.

- Cofnęłam się i chciałam się obronić, ale wobec takiej laski niewiele można zrobić.

Podcięła mi nogi, kiedy chciałam uciec, upadłam na podłogę i nie miałam już gdzie się podziać, mogłam tylko podczołgać się pod ścianę. Ona wrzeszczała i biła mnie tą laską, a ja w głębi ducha wiedziałam, że na to zasłużyłam.

- Nie zasłużyłaś.

Jenny przełknęła ślinę.

- Nie byłam taka, jak chciała.

- To nie była twoja wina.

- Ale ja pogorszyłam sprawę.

- Jak?

- Pozwalając ojcu mnie kochać.

- Pozwalając mu?

Byłaś dzieckiem, Jenny. Dzieci potrzebują miłości. Jeżeli jedno z

rodziców im jej nie daje, to szukają u drugiego. Gdzie był twój ojciec, kiedy ona cię biła?

- W pracy.

Kiedy wrócił do domu, wszędzie było pełno krwi. Przestraszył się.

- Więc wziął laskę i ją uderzył. Jeden cios, pisały gazety.

Jenny usłyszała znów ten dźwięk i skrzywiła się.

Przypomniała sobie ten widok, ten zapach i znów przełknęła ślinę, zwalczając nudności.

- Kiedy ludzie są zdesperowani, gdy myślą, że umrą, a potem boją się, że nie umrą, robią różne rzeczy, do których inaczej nie byliby zdolni.

-A teraz on wraca. Skinęła głową.

- Boisz się go?

Znów potaknęła.

- To czemu wciąż tu jesteś?

Jej wzrok błagał, by również i to zrozumiał.

- Bo zrobił to dla mnie. Nie rozumiesz?

Zrobił to, żeby była wolna.

Tylko że nie jestem.

Powiedział, że mam tu na niego czekać i pilnować domu, aż wróci.

Więc to jest moje więzienie.

Nie mogę wyjechać, bo jestem mu to winna i muszę być ukarana.

- Za pozwalanie mu?

Nie, Jenny.

"Wy tłumacz - załkała. - Powiedz mu całą prawdę. Kocha cię. Nie odejdzie".

Nie mogła jednak.

Jeszcze nie.

Ryzyko było zbyt wielkie.

- A poza tym gdzie bym poszła?

Gdzie będę bezpieczna?

W wiadomościach nieustannie mówią tylko o bombardowaniach, strzelaninach i gwałtach.

Tu mieszkałam całe życie.

Nie znam nikogo nigdzie indziej, a nawet gdybym znała, nie mam dosyć pieniędzy, żeby mieszkać sama, i nie mam szans na znalezienie innej pracy, kiedy Miriam zamknie Neat Eats.

Jestem beznadziejna!

Spojrzał na nią tak, jak patrzył już przedtem, tylko teraz w jego dłoniach i wzroku była moc.

- To nieprawda.

Zacisnęła powieki.

- Beznadziejna, słaba i winna.

To wszystko by się nie wydarzyło, gdyby nie ja.

- Nie prosiłaś się na świat.

To oni o tym zdecydowali i to oni zniszczyli ci życie.

- Beznadziejna, słaba i winna.

Uścisk Pete'a stał się bardziej stanowczy.

- Otwórz oczy, Jenny.

Nie mogła.

Bała się, co mogłaby zobaczyć.

- Otwórz oczy- powtórzył, ale tym razem łagodniej, a jego ręce nie trzymały jej twarzy, lecz raczej ją otaczały; dziesięć palców mówiących, że jest delikatna i krucha i trzeba ją chronić za wszelką cenę.

Otworzyła oczy.

- Gdybyś była beznadziejna albo słaba, nigdy nie zniosłabyś ostatnich sześciu lat. Nie było ci łatwo. Nikt ci nie pomógł.

- Dan sprawdza, jak się mam.

-Nie jego ojciec?

- Nie, tylko Dan. Ale to nie szkodzi. Bardziej go lubię.

- Zaprosił cię kiedyś na obiad?

Zawiózł cię do centrum handlowego, kiedy potrzebowałam nowych ubrań?

Trzyma cię za rękę, kiedy śnią ci się koszmary?

- Wielebny Putty często tu zaglądał.

-Mówisz w czasie przeszłym.

- Nie, nadal przychodzi, tylko już nie tak często.

-I pewnie tylko wtedy, kiedy Dan go o to prosi, prawda?

Dobra, masz Miriam.

Zatrudniła cię, choć nikt inny by tego nie zrobił, w zamian za o harowałaś jak wół.

Nic na tym nie straciła, a poza tym chcę przypomnieć, że chyba ci nie zaproponowała, żebyś pojechała z nią do Seattle.

Nie, Jenny, nie jesteś beznadziejna i słaba, a co do poczucia winy, to jest względne.

Większość rzeczy brzmi kiepsko, jeśli wyjąć je z kontekstu. Spójrz na całość.

Miałaś zaledwie osiemnaście lat, kiedy twoja matka umarła.

Zaledwie osiemnaście lat. Jenny się wzdrygnęła.

- Czasem mam wrażenie, że to było wczoraj. Widzę to bez przerwy, z otwartymi oczyma, z zamkniętymi oczyma, w nocy, w dzień - bez znaczenia.

- To ciężar, jakim oni cię obarczyli. Czy ktoś cię za to przeprosił?

- Nikt. Absolutnie nikt.

- Tak też sądziłem - ciągnął Pete. - I ty chcesz mi wmówić, że po tym wszystkim jesteś coś Dardenowi winna, że musisz z nim zostać do końca życia?

Jeśli chcesz znać moje zdanie, nie musisz nawet czekać, aż wróci!

Sama już to sobie wielokrotnie powtarzała.

- Myślę, że powinnam.

-Dlaczego?

- Bo tak powinno być.

Chciał, żebym czekała na niego pod bramą więzienia. Nie zgodziłam się. Nie mogłabym się zmusić, nawet ten ostatni raz. Ale obiecałam, że będę tutaj, więc jeśli mnie nie zobaczy.

cóż, Boże, nie wiem. Ale i tak będzie źle. Nie zgodzi się, żebym wyjechała.

- Zdołałby cię przekonać?

-Nie chcę, żeby mu się udało wykrztusiła. - Nic dobrego z tego nie będzie, nigdy nie było, ale to mój ojciec, to jedyna bliska mi osoba.

- Teraz masz też mnie. Możesz wybierać.

- Wiem, wiem, wiem.

-Mimo to jesteś rozdarta.

- Gdyby się zmienił, złagodniał, to rozumiesz, że nie mogłabym tylko powitać go w progu: "dzień dobry", i zaraz powiedzieć "do widzenia".

Ale jest taki sam –przypomniała sobie i umocniła się w decyzji. -

Widuję go co miesiąc.

Nie zmienił się ani na jotę. A ja nie mogę zawrócić czasu. Nie mogę po

prostu zacząć znów tam, gdzie przerwaliśmy. Nie mogę. Nie chcę. Jest wstrętnym człowiekiem. Nie dba o niczyje uczucia poza własnymi. A poza tym jest zazdrosny, Pete. Nie wyobrażam sobie nawet, co zrobi, kiedy mu o tobie powiem.

- Cóż - rzeki Pete, prostując ramiona, zaciskając szczęki, jakby szykował się stawić czoło Dardenowi.

- Ja bym powiedział, że raczej niecierpliwie wyczekuję spotkania.

Jenny starała się nie martwić.

To nie znaczy, że w poniedziałek po południu nie sprawdziła trzy razy, czy wszystkie cztery zgrzewki Sama Adamsa są w lodówce, jak kazał Darden;

albo że nie porównywała bez przerwy leków na nadkwasotę w domowej apteczce z listą, jaką sporządził jej Darden, żeby upewnić się, czy mają odpowiedni skład, markę i dawkę; albo że nie ściągnęła jedwabnej pościeli, nie zwinęła jej w kłębek, nie zaczęła po niej skakać i nie powtórzyła całej operacji dwukrotnie, żeby wyglądało, że spała w niej cały tydzień.

Nadal nie sprzątnęła większości rzeczy swojej matki.

Obiecała sobie, że zajmie się tym nazajutrz rano, już na pewno.

Na razie jednak najbardziej chciała spędzać czas z Pete'em i to właśnie robiła.

Siedzieli na strychu, na pościeli z poduszek i koców, czasem nago, czasem nie, kochając się na okrągło. Jenny okazała się w tym dobra. Znała pozycje, o jakich Pete nigdy by nie pomyślał.

On jednak uczył się szybko. Jego ciało było gibkie, oplatało ją, dopasowywało się, wiodąc ją dalej i dalej. Miał więcej energii -dziesięciokrotnie więcej energii - niż wyobrażała sobie, że to możliwe. To było dopiero jej pierwsze odkrycie.

Odkryła też, jak piękne może być męskie ciało, jak czułe i szczodre, jak może czerpać z niego przyjemność i stawać się kimś innym.

Odkryła słodkie chwile spoczynku i ten rodzaj pewności siebie, który pozwala godzinami patrzeć mężczyźnie w oczy, nie odwracając wzroku.

Stwierdziła, że pocałunki mogą zablźniać rany.

Zrozumiała, co znaczy być kochaną tak głęboko i czule, że brudy z przeszłości stawały się czyste, a przyszłość wydawała się pełna obietnic.

Nie miało znaczenia, że został jej niecały jeden dzień.
Nie miało znaczenia, że czasami dopadały ją krótkie, bolesne momenty strachu, kiedy myślała, co będzie, gdy Darden wróci do domu i zacznie rozmawiać, i co wtedy zrobi Pete.

Nie miało znaczenia, że poczucie winy nie znikło, było niezmiennie, zawsze obecne.

Będąc z Pete'em, czuła się szczęśliwa po raz pierwszy w całym swoim dorosłym życiu.

We wtorek przed południem Jenny ruszyła do miasta. Włożyła zwykłą bluzę, tenisówki i džinsy, ale bejsbolówkę zostawiła w domu.

Miała dość ukrywania się.

Jej włosy kręciły się, były czyste i lśniące i odzwierciedlały jej nastrój, bo mimo telefonów tego poranka była pełna odwagi i nadziei.

Darden próbował trzykrotnie. Trzykrotnie zignorowała dzwonek telefonu.

Wiedziała dobrze, że to on. Nie mogła mieć wątpliwości. Nikt inny nigdy nie dzwonił. Nie chciała jednak słyszeć jego głosu. Poza tym nie miał do powiedzenia niczego, co by nie mogło poczekać.

Teraz więc szła ku centrum miasta wyprostowana i silna, jak kobieta mająca misję. Jenny Clyde była gotowa rozpostrzeć skrzydła. Chciała, żeby Little Falls się o tym dowiedziało.

Rozdział szesnasty

BOSTON

To oczywiście był Jordan.

Któż inny mógł wędrować po jej domu w środku nocy?

Chwycił ją za ramiona, by nie upadła, i zerknął na to, co niesie.

- Odwiedzałam Angusa - wyjaśniła.

- A skoro już tam byłam, wzięłam sobie kilka rzeczy do czytania.

-Nie wyjaśniała dogłębnie, a on nie pytał.

W ogóle nie powiedział ani słowa, ujął ją tylko za rękę i zaprowadził z powrotem do łóżka.

Tym razem nie kochali się, leżeli tylko przytuleni, aż znów zasnęli - i tego właśnie Casey potrzebowała.

Choć wychodząc z pokoju Conniego, niepokoiła się o los Jenny,

obecność Jordana ją ukoïła.

Jak ogród, który był jego dziełem, także i on sam emanował spokojem. Samolubnie, wiedząc, że nie ma zbyt wiele czasu, przyjmowała oferowany przez niego spokój.

Oczywiście z pierwszym brzaskiem wstał, by pójść do domu.

Została w łózkku kilka minut dłużej, ciesząc się zachowanym w pościeli jego zapachem.

Jednak w miarę jak ciepło jego ciała ulatniało się, rosła jej niecierpliwość.

Gdy myśli zaczęły wirować, wstała, wzięła prysznic, zrobiła sobie kawę i zabrała kubek do gabinetu na dół.

Tym razem zatrzymała się przy obrazach Ruth.

Wszystkie przedstawiały morskie krajobrazy.

Na jednym chodziło o uchwycenie efektu słońca odbijającego się w falach, na drugim było widać port rybacki, na trzecim - małą wysepkę.

Casey przyglądała się im kolejno.

Wszystkie emanowały ufnością.

Więcej, emanowały nadzieją, i z tą właśnie myślą minęła gabinet i rozsunawszy drzwi, wyszła do ogrodu.

Panującą tu ciszę przerywał tylko słodki świergot ptaków krążących wokół karmnika.

W ten czerwcowy poranek Boston jeszcze spał.

Słońce ledwo wynurzyło się zza portu na wschodzie.

Popijając kawę, Casey ruszyła ścieżką.

Przyklękęła przy niecierpkach Jordana, a ich uniesione główki zdawały się jej przyglądać.

Wstała i powędrowała wśród białych kwiatów, wokół różowych, do kępy niebieskich.

Jordan wymienił swobodnie wszystkie ich nazwy, ale nie miała pojęcia, która się do czego odnosi.

Nie, właściwie nie całkiem tak było.

Przyglądając się uważniej, potrafiła kilka nazwać.

Zobaczyła dzwonki wśród niebieskich kwiatów i lilie wśród białych.

W różowej kępie rosły serduszka - ich kształtu nie sposób było pomylić z niczym innym.

Dzwonki, lilie i serduszka.

Czuła się z siebie dumna.

Jordan nie wymienił żadnego z tych kwiatów.

Były to słowa z jej dzieciństwa, nazwy pasujące do kształtów.

Coś z nauk Caroline zostało.

Zapach?

Cóż, to co innego.

Nie potrafiła rozróżnić poszczególnych zapachów, ale cały bukiet był niezwykle słodki.

Niosąc w sobie tę słodycz, wspięła się na następny taras, ku azaliom, które otwarły się na tyle, by ukazać małe kwiaty w morelowym kolorze.

Także i rododendrony rozwinęły się znacznie w ciągu ostatniego dnia. Ich kwiaty były większe i - jak już widziała- białe.

Przeszła do dywanu z trójliści pod dębem, uklękła i dotknęła rośliny.

Płatki były trójkątne, słały się nisko, ale dekoracyjnie.

"Te rośliny lubią rosnąć pod drzewami liściastymi" - mówił Jordan.

Rzuciła okiem na klon po drugiej stronie ścieżki.

Także i pod nim był dywan z kwiatów, lecz innych.

Maleńkie, znacznie mniej efektowne niż trójliście, ale za to były ich dziesiątki, w niebieskim kolorze.

"Flokсы szydlaste" - przemknęło jej przez myśl. Caroline miała takie w ogrodzie.

Jej były różowe. Casey się wyprostowała.

Przeszła na koniec ogrodu i napawała się wonią rosnących tam zimozielonych roślin. Odetchnęła kilka razy. Stała wśród rumianków, potem wróciła do lilii, pochyliła się i wdychała ich zapach.

To były chwile pełne wyciszenia, ale gdy tylko usiadła w fotelu na patio, by dopić kawę, znów opanował ją niepokój.

Jenny Clyde była coraz bardziej zdesperowana.

Tak samo, w pewnym sensie, Casey.

Jej matka odchodziła; do ojca nie potrafiła się zbliżyć; a czuła, że Flirt z Pete'em ma jeszcze dalszy ciąg.

Dopiła kawę i wróciła do domu.

Dla nadziei czy na szczęście dotknęła, przechodząc, jednego z obrazów Ruth, po czym weszła na górę.

Przeszukała już główną sypialnię i znalazła schowany tam fragment.

Teraz zostały tylko kartony, które powinna przejrzeć podczas tego

dziwnego polowania na skarb.

Najpierw Casey znalazła książki.

Kilka było autorstwa różnych psychologów, ale w większości były to książki Conniego.

W niektórych paczkach, przysyłanych wprost przez wydawcę, było po dwadzieścia egzemplarzy jednego tytułu.

W innych kartonach znalazła mieszankę różnych napisanych przez niego książek.

Każda nosiła jego podpis na stronie tytułowej.

"Podpisane egzemplarze -usłyszała w głowie głos matki.- Możesz je sprzedać drożej, niż wynosi cena książki. Po co ci tyle egzemplarzy tego samego tytułu?"

Powinna zostawić sobie po jednym.

Jednakże taki sposób wejścia w posiadanie podpisanych egzemplarzy sprawiał jej przykrość.

Odwracając się od kartonów, spojrzała na pudła przyniesione tu z gabinetu przez Jordana.

Zawierały kartoteki osób, które zakończyły terapię.

Casey przejrzała je tylko po to, by zobaczyć, czy nie znajdzie teczki z nazwiskiem Clyde.

Nie znalazła, więc przejrzała kolejne pudła.

Przerwała, gdy przyszła Meg z wiadomością, że pojawił się wyznaczony na dziewiątą klient, ale w południe wróciła na górę. Dzięki temu, że ktoś odwołał spotkanie, miała dwie godziny, które mogła przeznaczyć a poszukiwania.

Próbowała ocenić, ile pudeł zdoła przejrzeć w tym czasie, gdy Meg zaofiarowała swoją pomoc, a Casey ją przyjęła.

Meg otwierała i zamykała kartony, Casey przeglądała ich zawartość.

Znalazła więcej książek i więcej kartotek.

Znalazła oryginał dysertacji doktorskiej Conniego, napisany na maszynie, która nie odbijała dobrze litery "w".

Znalazła oryginalne rękopisy jego książek.

- Czego właściwie szukasz? - spytała Meg, gdy Casey z jękiem pchnęła w jej stronę kolejne pudło.

- Jego osobistych rzeczy -odpowiedziała, przysiadając na piętach.

Oryginalne rękopisy były żyłą złota. Harvard się ogromnie ucieszy.
Casey nie były potrzebne. - Zdjęć, listów, albumów - dodała.
To było coś, o czym marzyła. - Szkolnych roczników.
Dużej brązowej koperty z literą "C" na wierzchu.

Czy widziałaś coś takiego?

- Nie. - Meg pokręciła głową, zamykając karton. - Nigdy mnie nie prosił o pomoc, gdy tu pracował. - Naśladując Casey, przysiadła na piętach. - Czy to on na pisał te książki?

- Tak.

- Lubisz czytać?

- Lubię.

- Czy przeczytałaś jego książki?

- Wszystkie.

- Czy uważasz, że też powinnam spróbować? – spytała Meg nieśmiało.

- Przeczytać jego książki? Nie, to książki naukowe. Niełatwo się je czyta.

- Casey odwróciła się do następnego otwartego przez Meg kartonu.

- Ach.

Pudło "M".

- Maine.

- Słucham?

- M oznacza Maine - wyjaśniła Meg.

Casey patrzyła na nią ze zdumieniem, po czym zaśmiała się z samej siebie.

- M to Maine. Racja. To mi umknęło.

- Doktor Unger miał fioła na punkcie Maine - powiedziała Meg z entuzjazmem. - Dlatego w ogrodzie rośnie, to co rośnie. Wiesz, tam z tyłu, gdzie są trójliście, jałowce i choiny. Kiedyś mi powiedział, że ten zapach przypomina mu dom. I miał rację, ja też dorastałam w Maine.

- Zawiesiła głos. - To znaczy dorastałam w New Hampshire - poprawiła się - ale urodziłam się w Maine, a krajobraz jest podobny tu i tam, chyba że się pojedzie na wybrzeże.

Wybrzeże wygląda inaczej z powodu słonego powietrza i wiatru.

- Więc odtworzył ten zapach tutaj. - Casey była zbulwersowana: to też nie przyszło jej do głowy.

- Ale nie od razu.

Zanim Jordan zaczął tu pracować, ogród był płataniną trawy i chwastów.

Potem doktor Unger za tęsknił za domem.

Powiedział mi to, bo ja też czasami tęsknię za domem.

- Czy był tam kiedyś z wizytą?

-Nie wiem.

- A ty? Meg pokręciła głową.

- Nie ma tam nikogo, kogo chciałabym zobaczyć. - Nagle się rozpromieniła. -Czy chciałaś kiedyś mieć ciemne włosy?

Casey uśmiechnęła się z tej nagłej zmiany tematu, ale szybko skupiła się na zawartości pierwszego pudła z Maine.

Także i to wypełniały książki, ale innego rodzaju.

Te były stare i zniszczone.

Także i na nich Connie się podpisał, ale nie jako autor.

Na stronie przedtytułowej już nie dziecinnymi jeszcze nie dorosłym pismem napisał: "Cornelius B. Unger".

Znalazła Wyspę skarbów i Szwajcarską rodzinę Robinsonów, Moby Dicka i Podróże Guliwera, Hans Brinker and the Silyer Skates, Przygody Tomka Sawyera i O czym szumią wierzby.

- To stare książki - powiedziała Meg.

Wyglądały na wielokrotnie czytane, cenne osobiste pamiątki.

Connie je zachował, gdyż były to zapewne jego skarby z dzieciństwa.

W pudle było ich więcej, także klasyka.

Casey obejrzała każdą książkę z osobna, po czym przesunęła pudło ku Meg.

- Więc jak, lubisz swoje włosy? - spytała Meg.

Własne spięła jedną z klamer, które podarowała jej Casey.

Klamra miała odcień lawendy i naprawdę ładnie wyglądała na kasztanowych włosach.

- Tak.

-A piegi? Casey się uśmiechnęła.

- Teraz je lubię. Dawniej nienawidziłam.

- Naprawdę? - Meg szeroko otworzyła oczy.

- Chowałam je pod makijażem, zanim jeszcze miałam prawo się malować.

-Naprawdę? - Meg była zachwycona.

- Tak. - Casey zajrzała do kolejnego pudła.

To także wypełniały książki dla dzieci. W trzecim również je znalazła.

- Chyba naprawdę lubił czytać - powiedziała Meg.

- Jak sądzisz, dlaczego je zachował?

To niewątpliwie było właściwe pytanie.

Casey żałowała, że nie zna na nie odpowiedzi.

- Może dlatego, że lubił czytać.

A może dlatego, że dostał je od kogoś, kogo kochał.

A może wiedział, że te wydania będą kiedyś cenne.

- A ja myślę, że je chował dla wnuków - powiedziała Meg.

-Nie miał wnuków.

- Ale będzie miał.

Czy nie zamierzasz mieć dzieci?

Casey wątpiła, by Connie myślał o przekazaniu książek wnukom, skoro nie rozmawiał nawet ze swoim dzieckiem.

Nie myślał też zapewne o urządzeniu pokoi dla wnuków.

Zastanawiała się, w jakim wymyślonym świecie mieszkał, sam w tym pięknym domu.

- Nie? - spytała Meg.

- Co nie?

-Nie zamierzasz mieć dzieci?

- Może kiedyś.

-Nie martwisz się swoim zegarem biologicznym? - Jeszcze nie.

-A ja tak. Chcę mieć dzieci.

- Masz narzeczonego?

Meg pokręciła przecząco głową. Cicho i niepewnie powiedziała:

- Może kiedyś. - Uniosła głowę. -A ty masz chłopaka?

Casey się zastanowiła.

Nie mogła przecież nazwać Jordana swoim chłopakiem. Spała z nim jednak, więc kimś dla niej był. Poszła na kompromis.

- Coś w tym rodzaju.

Przynajmniej w tej chwili.

Ale nic więcej nie powiem.

- Zerknęła na zegarek i sięgnęła po kolejne pudło.

-Jeszcze to jedno, apotem wracam do pracy.

W ostatnim kartonie były zeszyty szkolne Conniego.

Casey dowiedziała się z nich, że uczył się chemii, łaciny i francuskiego, historii Stanów Zjednoczonych i historii sztuki.

Nie powiedziały jej jednak, gdzie chodził do szkoły, a tej informacji najbardziej poszukiwała.

Choć starannie przeglądała każdy zeszyt, nie znalazła ani nazwy szkoły, ani miasta.

Zanim doszła do końca, czekał już na nią klient, musiała więc odłożyć przeglądanie na później.

Joyce Lewellen przyszła o trzeciej.

Miała szarą twarz, wykręcała palce.

- Nie śpię, nie jem, siedzę tylko w domu i chodzę z pokoju do pokoju.

Tak samo jak wtedy, kiedy umarł.

- Czy znasz już decyzję sędziego?

-Nie.

Ma ją wydać jutro.

Więc na razie nastawiam się na prze graną i czuję, jak wciąż ogarnia mnie ten sam gniew.

Nie mogę rozmawiać z rodziną, nie mogę rozmawiać z przyjaciółmi.

Widziałam, jak wznoszą oczy do nieba i tak.

wzdychają.

Są już zmęczeni wysłuchiwaniami moich opowieści.

Nie rozumieją, co czuję.

To jasne.

Być może kochali Normana, ale nie stanowił części ich codziennego życia.

Nie stanowił dla nich klucza do przyszłości.

Casey podejrzewała, że rodzina i przyjaciele po prostu stracili zainteresowanie trwającą walką. Ich życie nie stanęło w miejscu. Szli do przodu, tak samo jak córki Joyce. Tylko ona jedna od miesięcy się nie posunęła.

- Czy możesz przywrócić go do życia? - spytała spokojnie Casey.

- Nie, nie mogę.

Wiem. Ale wygranie tej sprawy coś mi da.

Położy kres tej historii.

- Zamknij.

-Tak, zamknij.

- A jeśli nie wygrasz?

-Tonie zamknij.

- Dlaczego?

-Zawsze się będę zastanawiać, dlaczego umarł.

- Co mówili lekarze? - spytała Casey.

Znała odpowiedź, ale nie zaszkodzi, jeśli Joyce powie to na głos.

- Powiedzieli, że była to reakcja na narkozę. Nigdy przedtem nie miał narkozy.

Skąd miałam wiedzieć?

- Ty? Dlaczego właśnie ty? Skąd miałabyś wiedzieć?

- Ktoś powinien był wiedzieć.

-Dlaczego ty?

Dlaczego nie jego matka?

- Skąd miała wiedzieć?

Właśnie powiedziałam, że nigdy przedtem nie miał narkozy.

- No właśnie.

Nikt nie wiedział, że tak zareaguje. Ani jego matka, ani on sam, a już na pewno nie ty.

Z drugiej strony zrobiłaś wszystko, co możliwe, by znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego umarł. Niezależnie od orzeczenia sędziego, możesz to uznać za zamknięcie. Joyce wyglądała na rozdartą.

- A jeśli nie?

Rozumiesz, można powiedzieć, że nie ma wystarczających dowodów, by ława przysięgłych wydała wyrok. Ale to nie znaczy, że w ogóle nie ma dowodów. Kto mówi, że dowody są niewłaściwe? Dlatego właśnie muszę wygrać. Potrzebuję konkretnej decyzji. Stwierdzenie "brak wystarczających dowodów" tego mi nie zapewnia. Potrzebuję rozstrzygnięcia.

Casey to rozumiała.

Zanim wróciła na górę, było już późne popołudnie.

Nakręcana własnymi postanowieniami, czuła w sobie wiele energii.

Uznała, że w obu pokojach zostało jej do przejrzenia jeszcze kilkanaście kartonów.

Była teraz sama, więc zabrała się do nich natychmiast, ciągnąc, pchając i pochylając się nad nimi, nie siadając, by szybciej sprawdzić ich zawartość.

Właściwie tylko jedno pudło zawierało rzeczy interesujące z jej punktu widzenia.

Najbardziej osobisty ze wszystkich kartonów mieścił pamiątki z dzieciństwa Conniego.

Był tam nieco podarty zrobiony szydełkiem pled, maleńkie zniszczone brązowe buciki, kilka fotografii ukazujących Conniego na różnych etapach życia przed wiekiem szkolnym.

Wyglądał na słodkie, bezbronne dziecko, którego rysy wydały jej się bardzo znajome, ale dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę, że widzi w nich siebie.

Tak samo włosy.

Znalazła celofanową kopertę z loczkiem o tym samym kolorze co jej włosy.

Ścisnęło ją w gardle, gdy wsunęła palce do środka i ich dotknęła.

Jeszcze bardziej wzruszyła ją małpka.

Była spłowiała, brązowa, pluszowa, z nierównymi nogami i miejscami wyłysiałym futerkiem.

Jedno mętne oko wisiało na nitce, drugiego wcale nie było.

Najsłodsza rozpadająca się zabawka, jaką Casey kiedykolwiek widziała.

Wyjęła ją ostrożnie i przytknęła nos do brzuszka małpki.

Pachniała wiekową stęchlizną.

Łatwo było zgadnąć, że Connie ją kochał.

Zapewne spał z nią jeszcze wtedy, gdy miał już od dawna nie spać z przytulankami.

Prawdopodobnie wymyślił jej życiorys, nadał imię i osobowość, więc wyrzucenie małpki równałoby się morderstwu.

Takie same uczucia żywiła przecież do swojej pluszowej kaczuszki Jaffy.

Niezbyt oryginalnie, ale tak właśnie się nazywała.

Jaffy.

Jej skrzydełka sterczały w różne strony, a dziób był przekrzywiony, ale Casey nigdy nie potrafiła zdobyć się na to, by ją wyrzucić.

Nawet teraz Jaffy siedziała na toalecie w mieszkaniu, a jej bezkształtne ciało opierało się o lampę.

Jaffy kochała Casey całą mocą wypchanego serca w tym okresie, gdy dziewczynka bardzo chciała mieć oboje rodziców.

Casey nie wiedziała, jakie potrzeby Conniego zaspokajała małpka, czuła jednak, że nie może włożyć jej na powrót do pudła.

Nie może nawet zostawić jej z Angusem na łóżku Conniego.

Zaniosła więc małąkę na dół i oparła o poduszkę w swoim bladoniebieskim pokoju, odwróciwszy ją ku nocnej szafce, na której leżała fotografia Conniego.

Chyba postąpiła właściwie, ponieważ małąka wyglądała na zadowoloną ze swego nowego miejsca.

Stanowiło to dla Casey pewną pociechę wobec faktu, że nie dowiedziała się niczego nowego na temat Flirtu z Pete'em.

W żadnym z kartonów nie natrafiła na nic, co by przypominało dużą brązową kopertę oznaczoną literą "C".

Nie przychodziły jej do głowy inne miejsca poszukiwać.

Zniechęcona, ruszyła do ogrodu, ale po drodze usiadła na pokrytych chodnikiem schodach prowadzących na dół do gabinetu i przyjrzała się obrazom Ruth.

Jeśli centrum życia Conniego były lasy, jej centrum niewątpliwie stanowił ocean.

Podczas gdy on lubił ciemne odcienie zieleni, czerwieni i błękitu, sztuka Ruth mieniła się pastelowymi kolorami.

Te obrazy wyraźnie mówiły o różnicy między dwojgiem ludzi.

Casey po raz kolejny zastanawiała się, co takiego ich do siebie przyciągnęło.

Obrazy Ruth były pełne nadziei i jasne, nawet o zmierzchu w cieniu klatki schodowej.

Stanowiły zaproszenie.

Casey czuła pokusę, ale była rozdarta.

Czwartkowe wieczory przeznaczała na jogę, ale choć bardzo przydałyby się jej ćwiczenia, jeszcze bardziej potrzebowała rozmowy z matką.

Uznała, że Caroline może mieć coś do powiedzenia na temat Ruth.

Tego wieczoru Caroline nie miała jednak nic do powiedzenia na żaden temat.

Spała, chyba oddychała z większym trudem niż zazwyczaj, choć nie brzmiało to niepokojąco.

Czując wielki kamień w żołądku, Casey usiadła koło matki, trzymała jej skurczone palce i przyglądała się twarzy w słabym wieczornym świetle.

Nie wspomniała imienia Ruth.

Nie miała serca, widząc, jak ciężko musi walczyć Caroline.

Po chwili odezwała się łagodnie:

- Mamo?

- Czekąca, szukając mrugnięcia, skrzywienia, nawet najmniejszego tiku, wskazującego na przebłysk świadomości. -Wiesz, że tu jestem, mamo?

- Czekąca, patrzyła, ogarnęła ją lęk.

-Muszę wiedzieć, co się z tobą dzieje. To mnie zaczyna denerwować.

Caroline tylko leżała, podparta na jednym boku, z zamkniętymi oczyma. Casey pochyliła się niżej.

- Czy mnie słyszysz? - spytała na głos. Czekąca chwilę, ale Caroline leżała bez ruchu, lekko charcząc. W końcu, nie mogąc przemóc strachu, Casey pocałowała matkę w policzek i pogłaskała po włosach.

- W porządku, mamo - powiedziała. - Jesteś zmęczona.

Pogadamy następnym razem.

Będziesz się czuła lepiej. Kocham cię. - Głos jej się załamał.

Raz jeszcze pocałowała Caroline w policzek i przycisnęła do niego czoło, by przejąć nieco ciepła od matki.

Potrzebowała tego ciepła.

Zawsze na nią czekało, nawet gdy od niego uciekała w imię niezależności.

Jakaż była wówczas krótkowzroczna!

Teraz dopiero to dostrzegała.

Można zachować niezależność i jednocześnie być spragnionym serdeczności.

W dobrych i złych chwilach Caroline czekała, lojalna i kochająca. Casey nie chciała jej stracić.

Bojąc się, że może się to zdarzyć, a nie zamierzając teraz rozważać tej możliwości, delikatnie odłożyła dłoń matki na prześcieradło i wyszła z pokoju.

Casey uważała piątek za dzień doskonalenia zawodowego. Najczęściej uczestniczyła wówczas w seminariach, spotykała się z kolegami w sprawach zawodowych i czytała profesjonalne pisma. Czasami chodziła na plażę.

Nazywała to wtedy terapią wzmacniającą.

W ten piątkowy ranek też skierowała się na plażę, ale nie dla odpoczynku.

Szukała odpowiedzi na wiele pytań, a Ruth Unger była jedyną osobą, która mogła je znać.

Oczywiście najpierw zatelefonowała.

Nie zamierzała pokonywać drogi do Rockport po to, by stwierdzić, że Ruth nie ma.

Ruth odebrała telefon.

Casey odłożyła słuchawkę.

Tak.

To dziecinne zachowanie.

Na chwilę powróciła do dzieciństwa.

Jej niechęć do Ruth sięgała okresu, gdy była nastolatką i pierwszy raz odkryła istnienie tej kobiety.

Nie umiejąc inaczej wyjaśnić faktu, że Connie tak ją ignorował, obsadziła Ruth w roli czarnego charakteru.

Ruth ukradła go Caroline - tak było według pierwszego scenariusza.

Connie miał właśnie zatelefonować do Caroline, gdy pojawiła się Ruth, zawróciła mu w głowie i odwiodła od wszelkich prób nawiązania kontaktów.

Zgodnie z drugim scenariuszem Ruth judziła przeciwko Casey. Gdy Connie wyraził chęć skontaktowania się z Casey, Ruth wpadła w szał zazdrości.

Chciała, by się skupił na spółdzeniu dziecka z nią, a nie zajmował się owocem jednej nocy.

Casey być może nie jest jego córką – wyobrażała sobie, że słyszy słowa Ruth - bo przecież nie wiemy, z kim jeszcze w tym czasie spotykała się Caroline Ellis.

Casey przypuszczała nawet, że Ruth posunęła się do kradzieży listów, które Connie pisywał do Casey.

Z czasem wszystkie scenariusze się rozpadły.

Im więcej Casey dowiadywała się o tym, jak funkcjonuje ludzki mózg, im dłużej przyglądała się Conniemu- tym bardziej jego obarczała odpowiedzialnością za sytuację.

Co nie znaczy, że całkowicie uwolniła Ruth od winy.

Casey nie rozumiała, dlaczego nie skłoniła Conniego do wykonania choćby najmniejszego gestu ku jedynej córce - szczególnie że miały lata, a oni pozostawali bezdzietni.

Casey nie rozumiała, dlaczego sama Ruth nie wykonała tego gestu - nie zadzwoniła do niej, choćby po to, by poinformować o śmierci Conniego

- ani dlaczego od tamtej pory się z nią nie skontaktowała.

Takie myśli kłębiły się jej w głowie, gdy zmierzała na północ autostradą 1-93.

Ich temperatura rosła, gdy skierowała się na północny wschód drogą 128, a gdy dojeżdżała do Gloucester, była już tak wysoka, że Casey zaczęła rozważać, czy nie zawrócić.

Niemiała jednak innego wyjścia.

Poza tym - mówiła sobie- nawet jeśli straci panowanie nad sobą i nawrzeszczy na Ruth, to przecież ta kobieta właśnie na to zasługuje.

Skręciwszy w drogę 127, podążała wzdłuż łuku Cape Ann aż do Rockport.

Znała drogę do domu Ruth z centrum miasta.

Jeździła tędy już wcześniej - nie, nie przyjeżdżała aż z Bostonu, żeby zobaczyć dom Ruth, ale mijała go cztery czy pięć razy, gdy przebywała w Rockportna wypoczynku.

Dom być może jeszcze trochę bardziej zszarzał, smagany wiatrem niosącym sól, ale poza tym niewiele się zmienił.

Stał na końcu ulicy porośniętej krótką trawą i otoczonej nadbrzeżnymi krzewami.

Był to dom w stylu Cape Cod, zdłużym spadzistym łupkowym dachem, nadwieszonym nad typowym wejściem z oknami po obu stronach drzwi.

Casey zaparkowała przed domem i pokonała kamienną ścieżkę.

Zadzwoiła i czekała z pochyloną głową zastanawiając się, po co tu w ogóle przyjechała, zbyt uparta, by teraz odjechać.

Drzwi się otworzyły.

Casey wiedziała, jak wygląda Ruth.

Widywała ją u boku Conniego podczas oficjalnych obiadów, a niedawno także podczas nabożeństwa żałobnego.

Zawsze przemyskało jej przez myśl, że jak na malarkę, wygląda raczej banalnie.

Teraz jednak Ruth nie robiła wrażenia osoby konwencjonalnej.

Przede wszystkim od zeszłego tygodnia zmieniła się, bo obcięła włosy: uczesanie na pazia zastąpiła krótka, lekka fryzurka.

Szpakowate włosy, przedtem przylizane, teraz lśniły i rozwiewał je wiatr.

Była szczupłą kobietą, kilka centymetrów wyższą niż Casey.

W tej chwili miała na sobie luźną bladoniebieską koszulę, zarzuconą na bluzeczkę na ramiączkach, i szorty. Paznokcie bosych stóp pomalowane na pomarańczowo.

Wyglądała. jej wygląd tak bardzo odpowiadał wyobrażeniom Casey o tym, jak będzie wyglądać Caroline za dziesięć lat, że aż ścisnęło ją w gardle.

Ruth wydawała się równie zaskoczona jak Casey, ale pierwsza odzyskała panowanie nad sobą. Jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, pełen szczerego ciepła.

- Casey. Tak się cieszę. - Wyciągnęła rękę. - Wejdz, proszę.

Casey się nie opierała.

Tak jak zaskoczył ją wygląd Ruth, tak też nie oczekiwała, że Ruth ucieszy się na jej widok.

Tona chwilę wytrąciło ją z równowagi, i to w momencie, gdy ściśnięte gardło nie pozwalało jej nic powiedzieć.

Poza tym wielkie wrażenie wywarł na niej dom.

Za typową dla Cape formą zewnętrzną kryło się wewnątrz pełne wysokich okien, świetlików i szklanych drzwi prowadzących na taras, z którego roztaczał się widok na ocean.

To był dom malarki, ze sztalugami, na których stały tworzone właśnie prace, i innymi płótnami na różnym etapie wykończenia, rozstawionymi wokół.

- Tak się cieszę -powtórzyła Ruth, wciąż się uśmiechając.

Stopniowo Casey na tyle rozeznała się w swoich uczuciach, żeby zdać sobie sprawę, iż w jakiejś mierze też się cieszy.

Ruth była kimś najbardziej zbliżonym do rodziny, poza tym wydawała się naprawdę uradowana z jej przyjazdu.

Casey nie potrafiła jednak pominąć milczeniem historii tej "niemal rodziny".

- Dlaczego?- spytała więc wprost.

Uśmiech Ruth nieco zbladł, ale wciąż pozostał ciepły.

- Ponieważ jesteś córką Conniego. Teraz, gdy go nie ma, twój widok koi moje serce.

Casey nagle znów poczuła przypływ gniewu.

- Dlaczego teraz, gdy go już nie ma?

-Bo mi go brakuje. - Ruth już się nie uśmiechała, ale jej twarz wciąż emanowała łagodnością. -I ponieważ to powinno było się zdarzyć

już dawno. Od jakiegoś czasu pragnęłam cię poznać.

- Czemu czekałaś?

Ruth zawahała się, po czym powiedziała ostrożnie:

- Bo Connie nie chciał kontaktów.

- Dlaczego? - spytała Casey.

Po to właśnie tu przyjechała.

Ruth nabrała powietrza w płuca.

- Nie ma na to prostej odpowiedzi.

Może wejdiesz i usiądziemy na tarasie?

Casey najchętniej wysłuchałaby wszystkich odpowiedzi tu, przy drzwiach, po czym odwróciłaby się i odjechała.

Jednak w szczerości Ruth, a także w jasności jej domu i nadziei czytelnej w jej sztuce było coś takiego, co przemówiło do Casey.

Pozwoliła więc zaprowadzić się na werandę przez salon, koło dużej, ustawionej w kształt litery U kilkuczęściowej kanapy, której towarzyszył niski kamienny stół z książkami o sztuce, rzeźbami i dużymi żelaznymi lampami, potem koło sztalug i płócien.

- Chciałabyś się napić czegoś zimnego?

- spytała Ruth, gdy wyszły na taras.

Casey pokręciła przecząco głową.

Chwyciła za poręcz i spojrzała na ocean.

Był odpływ i na odsłoniętym dnie leżały liczne wodorosty i kamienie. Mewy wołały do siebie, pikując ku ziemi i wznosząc się na prądach powietrznych.

Fale toczyły się, rozbijały i wycofywały w kojącym rytmie.

Gniew Casey rozpląnął się bez jej udziału. Ruth także stanęła przy poręczy.

Również i ona patrzyła na wodę.

- Zawsze czułam związek z oceanem.

Connie nie. Wołał rzeczy bardziej ograniczone i zamknięte. Casey odwróciła ku niej głowę.

- Dlaczego?

Ruth spojrzała na nią.

- Bezpieczeństwo.

Nie dowierzał rzeczom, które sprawiały, że czuł się bezradny.

- I skąd to się brało?

-Znasz odpowiedź.

- Z dzieciństwa, tylko że absolutnie nic nie wiem o jego dzieciństwie.

Nie znam nawet nazwy miasta, w którym się wychował.

- Abbott.

- Nie Little Falls? - rzuciła wyzwanie Casey.

- Nigdy nie słyszałam o Little Falls. Pochodził z Abbott.

- Abbott.

Nazwa tak długo szukana i tak prosto ujawniona.

- To mała miejscowość w Maine - wyjaśniła Ruth – ale nic więcej nie potrafię ci powiedzieć. Nigdy tam nie byłam. Niedługo po ślubie zaproponowałam, żebyśmy się tam wybrali, ale odmówił. Nie chciał wracać. Lata tam spędzone nie były szczęśliwe.

- Dlaczego?

Ruth zwróciła smutne spojrzenie na ocean.

Popatrzyła na Casey dopiero po dłuższej chwili.

- Zawsze tak bardzo strzegł swojej prywatności, nie chciał, by ktokolwiek znał jego przeszłość.

Ale jego już niema, a ty jesteś z jego krwi i kości.

Jeśli jest ktoś, kto powinien wiedzieć, to właśnie ty.

Zresztą nie zdarzyło się tam nic strasznego, żadna przemoc czy perwersja.

Dawni tak myślałam - przyznała.

- Wyobrażałam sobie jakieś wielkie, potworne wydarzenie, które na zawsze wycisnęło na nim swoje piętno.

Tak samo myślała Casey.

- A nic takiego nie było?

-Nie.

Żaden pojedynczy akt, po prostu długie lata cierpienia.

Connie urodził się mały, słaby i bardzo inteligentny.

Żadnej z tych cech w Abbott nie ceniono.

Od najwcześniejszego dzieciństwa był przedmiotem szyderstw.

Wyśmiewany, bezlitośnie wydrwiwany, cel okrutnych żartów.

Odsuwał się od ludzi już przed pójściem na studia, a potem nie potrafił się z tego wyzwolić.

Casey z łatwością dostrzegła drogę rozwoju od dziecka opisanego przez Ruth do dorosłego mężczyzny. Ale przecież można było to zmienić.

- A co robili z tym jego rodzice?
- A cóż mogli zrobić?
- Sprzedać farmę. Ruth uśmiechnęła się smutno.
- Nie było żadnej farmy.

Nie takiej, jaką ty i ja możemy sobie wyobrazić.

Jeśli jego matka uprawiała warzywa i hodowała kurczaki, to po to, by postawić jedzenie na ich stole.

Mieszkali blisko centrum miasta w malutkim domku na niewielkiej działce.

Nie jestem nawet pewna, czy do nich należała.

Tak czy inaczej, nie mogli sobie pozwolić na przeprowadzkę.

Brakowało im pieniędzy, a życie w Abbott było tanie.

- Więc dla pieniędzy pozwalali prześladować swoje dziecko?

- Nie – powiedziała Ruth.- Chodziło także o ojca Conniego.

Franka.

Frank był zwalistym, silnym facetem, zaprzeczeniem Conniego.

Był przekonany, że jeśli cokolwiek może "wyleczyć" Conniego z bycia maminsynkiem, to panująca w Abbott kultura macho.

To najwyraźniej nie zadziało.

Connie był głęboko nieszczęśliwy.

Mógł przeżyć, jedynie budując wokół siebie ściany.

- A co z matką Conniego?

Jak mogła spokojnie na to patrzeć?

- Chyba nie było jej łatwo, tak sędzę.

Kochała Conniego, ale przede wszystkim była posłuszną żoną.

Jej mąż żywił ugruntowane przekonania, a ona nie śmiała mu się przeciwstawiać.

I ja niewątpliwie jestem ostatnią osobą, która miałaby prawo ją krytykować.

Moje postępowanie nie różniło się tak bardzo. Nazywamy to poszanowaniem dla życzeń współmałżonków.

Casey nie dostrzegała analogii.

- Ależ Connie był dzieckiem. Cierpiał.

Nie wyobrażam sobie, jak matka może widzieć, że dziecko cierpi, i nie starać się temu zapobiec.

- Starła się mu pomóc. Po cichu robiła, co mogła.

- Co takiego, na przykład?

-Zachęcała go.

Ojciec nie był przekonany, że Connie powinien studiować w college'u.

- Nie chciał, by jego syn miał lepiej w życiu? - spytała Casey niedowierzająco.

- Nie chciał, żeby jeszcze bardziej odbiegał od wzorca, który uważał za normalny i zdrowy. Może pogodziłby się z tym, że syn chce się dalej uczyć, gdyby Connie poszedł na uniwersytet Maine, bo sam tam pracował, ale Harvard? -Pokręciła głową. - To było osiągnięcie Conniego, ale nie doszedł do niego sam.

Matka stała za nim, milcząca i niewidzialna, ale cały czas go popychała. Uzyskał stypendium, wyjechał z Abbott i nigdy nie wrócił.

- Nawet żeby spotkać się z rodzicami?

-Ojciec umarł tuż przed jego wyjazdem na Harvard, a matka przeprowadziła się do innej miejscowości.

To wszystko było bardzo, bardzo dawno temu.

- Ale zostawiło niezatarte ślady - powiedziała Casey.

-Tak, Connie nigdy się z tego nie wyzwolił. Jego życiem osobistym rządził strach przed drwiną i odrzuceniem. Więc wzbogacał swoje życie zawodowe. Każdy zdobyty stopień, każdy wygłoszony wykład, każda opublikowana książka usprawiedliwiały w jego oczach dalsze zwiększenie dystansu. Jego reputacja stała się czymś w rodzaju tarczy. Casey dostrzegła to wyraźnie.

- Został profesorem, tak genialnym, że wybaczano mu ekscentryczność.

I to także zaczęło funkcjonować jak błędne koło.

Im dłużej trwało, tym trudniej mu się było angażować w osobiste związki, a bez osobistych związków nie groziło mu cierpienie.

- W tej układance wciąż brakowało jednak kilku kawałków.

-Ale jak w ogóle mógł się związać z moją matką?

Ruth uśmiechnęła się smutno.

- Tak samo jak ze mną. Nadzieja umiera ostatnia. Zawsze pragnął akceptacji.

Marzyło miłości.

- Wszyscy o niej marzymy - zaprotestowała Casey – ale przynajmniej toczymy z przyjaciółmi osobiste rozmowy.

Connie tego nie robił, a jednak miał romans z moją matką. Jak

przemógł lęk przed odrzuceniem?

- Zakończył związek, zanim mogło dojść do odrzucenia

-przynajmniej tak było z twoją matką. W związku ze mną skutecznie położył kres intymności.

Wycofał się w siebie. A może -powiedziała w zamyśleniu - cały czas taki był, tylko mnie się zdawało, że gdy się pobierzemy, coś się zmieni. Sądziłam, że po prostu jest staroświecki i czeka do ślubu, żeby móc podzielić się swymi najgłębszymi i najczarniejszymi myślami.

- Myślałaś, że uda ci się go zmienić.

-Nie - poprawiła ją Ruth cierpliwie. - Myślałam, że jest inny.

-Znów się zamyśliła.

- Ale i czasy były inne.

Poznaliśmy się, przez pewien czas spotykaliśmy się, postanowiliśmy się pobrać i po prostu to zrobiliśmy.

Ta decyzja wynikała w równej mierze z kwestii praktycznych, jak z miłości.

Gdy poznałam Conniego, był już uznanym profesorem, z wielką liczbą publikacji.

Rzeczywiście, był straszliwie nieśmiały, ale to tylko budziło we mnie czułość.

Przede wszystkim zaoferował mi finansową stabilizację, a tego potrzebowałam.

Poza tym, szczerze mówiąc, nie lubię, jak mi ktoś przeszkadza, gdy maluję, więc byłam zadowolona z tego, że Connie ma własne aktywne życie zawodowe.

- A miłość?

-Kochałam Conniego.

Im więcej się o nim dowiadywałam, tym bardziej go kochałam. -

Uniosła dłoń. -Tak, wiem, że to brzmi dziwnie, ale chyba rozumiesz?

Connie był ofiarą dzieciństwa, które pozostawiło głębokie, niezabliźnione rany.

- Czy nigdy nie korzystał z terapii?

Ruth pokręciła głową.

- Paradoks, prawda?

Oto lekarz, który nie chce słyszeć o leczeniu.

Gdyby był psychiatrą, zapewne zmuszono by go do poddania się terapii.

Ale w jego dziedzinie nie był to warunek uzyskania stopnia uniwersyteckiego, a on sam tego nie szukał.

- Czuł się zbyt zagrożony.

-Zdecydowanie zbyt zagrożony.

Kiedyś to zasugerowałam.

Dawno temu, gdy nie wiedziałam, czy się z nim rozwieść, czy po prostu wyprowadzić, zasugerowałam mu, że potrzebuje terapii.

Powiedziałam, że traci tyle dobrego z życia.

Zaproponowałam, że poddam się terapii razem z nim.

-Pokręciła głową.

- Zdecydowanie za bardzo mu to zagrażało.

Więc się wyprowadziłam i nasz związek od razu stał się lepszy.

- Connie czuł się mniej zagrożony.

- Szczerze mówiąc, mnie też było lepiej.

Zmieniły się moje oczekiwania.

Jak tylko zaakceptowałam go takiego, jaki był, zrozumiałam, do czego jest, a do czego nie jest zdolny, od razu wszystko stało się prostsze.

- Ale. mieszkać tyle lat z dala od męża?

Ruth się uśmiechnęła.

- Mam przyjaciół. Nie byłam samotna. Poza tym może jesteś za młoda, żeby to zrozumieć, ale jest wiele kobiet, które uznałyby, że osobne życie to idealna sytuacja.

Miałam najlepszą część mego męża oraz całkowitą wolność.

- Ale bez dzieci- zauważyła Casey. Ruth spojrzała jej w oczy.

- Nie mogę mieć dzieci.

Wiedziała o tym, zanim wyszłam za mąż.

Casey natychmiast poczuła wyrzuty sumienia.

- Przykro mi.

- Czasem tak jest lepiej.

Miałam bogate życie.

Zdarzało mi się fantazjować, że mam córkę, ale być może teraz skakałybyśmy sobie do gardeł.

Mam siostrzenice i siostrzeńców, a teraz nawet jestem cioteczną babką.

To przywołało kolejną kwestię.

- W domu, w Bostonie, te urządzone sypialnie na górze? - spytała Casey. -Czemu miały służyć?

Ruth uśmiechnęła się łagodnie.

- Marzeniom - powiedziała spokojnie.- Connie marzył o wielu rzeczach.

Może w to nie uwierysz, ale wiele tych marzeń krążyło wokół ciebie.

Casey znów przeszył gniew.

- Dlaczego nie mógł podnieść słuchawki telefonu?

- zawołała, ale w następnej chwili sama sobie odpowiedziała: -Strach. Strach przed odrzuceniem.

- Strach przed porażką.

Casey sama na to cierpiała, ale nigdy nie przypuszczała, że Connie także.

- Porażką?

-Strach, że okaże się ojcem do niczego. Wprawdzie nie korzystał z terapii, ale znał swoje ograniczenia.

- I nie potrafił ich przemóc? - spytała Casey, poddając się powoli.

Jej serce rzeczywiście zmiękło. Zmiękło wobec Ruth, która przestała być zaledwie imieniem i twarzą/ a stała się bardzo rzeczywista, współczująca, nawet sympatyczna.

I zmiękło wobec Conniego.

- Nie, nie potrafił.

-Ale wiedział o mnie. Wiedział, gdzie jestem i co robię.

- Tak.

-I obchodziło go to?

- Zostawił ci dom. Kochał to miejsce, naprawę je kochał. Mógł sprzedać dom i przeznaczyć pieniądze na cele dobroczynne, ale dał go tobie. Więc ty mi powiedz, czy go obchodziło.

Casey nie mogła odpowiedzieć, bo gardło miała ściśnięte.

Ruth odpowiedziała za nią.

- Obchodziło, wierz mi. Obchodziło. Connie czuł tak samo jak ty czy ja.

Tylko wyrażał te uczucia inaczej. W relacji ze mną były to telefony. Dzwonił o szóstej wieczorem codziennie, każdego dnia, którego nie spędziliśmy razem, by się upewnić, że ze mną wszystko w porządku. W odniesieniu do ciebie było to urządzenie domu w taki sposób, jaki - uznał - będzie odpowiadał twoim gustom. Tak, tak go urządził.

Jeśli idzie o twoją matkę - kwiaty.

- Kwiaty?

-Kazał co tydzień dostarczać do jej pokoju świeże kwiaty.

- Nie - zaprotestowała Casey. - Dom opieki o to dba.

Powoli i zdecydowanie Ruth pokręciła głową.

I nagle nabrało to sensu.

Casey nigdy nie widziała kwiatów w pokojach innych długoterminowych pacjentów.

Zresztą pielęgniarki nie zachwycałyby się bukietami, jak to często robiły, gdyby wchodziły one w normalny zakres opieki. Casey po prostu z góry tak przyjęła.

W poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, kim naprawdę był Connie, Casey natrafiła na żyłą złotą, a jednak, wyjeżdżając z Rockport, czuła się przygnębiona.

Dowiedziawszy się tak wiele, tak wiele musiała zmienić.

Jak może wciąż czuć gniew wobec Ruth?

Niebyła wrogiem.

Jak czuć gniew nawet wobec Conniego?

On też był w pewnym sensie ofiarą.

Casey zaś potrzebowała wroga.

Potrzebowała kogoś, kogo mogłaby oskarżyć o to, że Connie był Connem, że Caroline nie reaguje, że rano zatelefonowano do niej z Providence, domagając się decyzji w sprawie pracy na uniwersytecie, a ona musiała błagać, by dano jej więcej czasu.

Ostateczna odpowiedź w poniedziałek?

Tak, dobrze, postara się.

Tu nie było wroga.

Jeśli Casey nie przyjmie tego stanowiska, wydział zaoferuje pracę innemu terapeutcie.

Też mają terminy.

Nie mogła ich winić.

Kogo zatem oskarżać o całe zło tego świata?

Dobrym kandydatem był Darden Clyde, a teraz miała już jakąś wskazówkę.

Abbott w stanie Maine.

To jeszcze nie Little Falls, ale może tam zacząć.

Planowała to zrobić od razu z samego rana.

Blżej jednak miała Jordana.

Może czuć gniew na Jordana.

Nie przyszedł rano do ogrodu, choć to piątek i powinien był się pojawić.

Na wszelki wypadek bardzo długo ćwiczyła jogę, ale się nie pokazał i to ją martwiło.

Zapewne przyszedł podczas jej wizyty w Rockport; czuła instynktownie, że nie zaniechałby ogrodu. Ale ona nie była ogrodem. Była myślącą, czującą ludzką istotą z którą robił bardzo intymne rzeczy. A jednak nie pojawił się w czwartek wieczorem.

Nie przyszedł, nie zadzwonił, nie dotknął jej.

Oczywiście nie miał obowiązku. Nie są przecież przyjaciółmi. Trudno było nawet powiedzieć, że są kochankami. Wiąże ich tylko seks. To wszystko. Po prostu seks.

Właściwie nic o nim nie wiedziała.

Nagle poczuła, że zupełnie nie właściwie to ocenia.

Pojechała więc prosto do domu.

W miarę zbliżania się do niego ogarniał ją nastrój oczekiwania.

Próbowała określić, czy dotyczyło to bardziej spotkania z Jordanem, czy powrotu do domu - cóż za zaskakująca myśl. Skręciła w alejkę z tyłu i wjechała na miejsce parkingowe za ogrodem.

Dżipa nie było.

Rozczarowana, zajrzała do ogrodu, na wszelki wypadek - i teraz naprawdę poczuła się jak w domu.

Nie mogąc się powstrzymać, weszła do środka i stanęła w leśnej części. Gdy przesunęła się pod choiny, także nie widziała nic poza zielonymi gałęziami, i odetchnęła głęboko, mogła poczuć się jak w środku lasu; zmysłowy efekt był taki sam.

Przyroda to silne lekarstwo.

"Bóg jako lekarz" – pomyślała z uśmiechem.

Boska aromaterapia.

Już spokojniejsza, ruszyła pieszo do Daisy's Mum, pod adres wydrukowany na potwierdzeniach wypisanych przez Conniego czeków. Szła wzdłuż domów z brązowej cegły, pod lipami, wzdłuż rosnących w skrzynkach okiennych bodziszków, w dół West Cedar do Revere, potem w dół Revere do małej bocznej uliczki tuż przed Charles Street. Sklep był jedynym takim przybytkiem wśród szeregowych domów, ale trudno było by go nie zauważyć, nawet gdyby nie krążyli wokół niego klienci.

Witrynę i drzwi frontowe osłaniała długa markiza w pasy bordo i białe, harmonizująca kolorem z cegłą sąsiednich domów.

Bogactwo roślin pod markizą spychało na dalszy plan skrzynki kwiatowe na oknach sąsiadów.

Rośliny stojące z przodu, oblane słońcem, oferowały obfitość żółtych, białych, fioletowych i niebieskich kwiatów.

W cieniu markizy wisiało kilka innych roślin kwitnących i dziesiątki zielonych.

Zapach przyciągnął Casey do środka.

Na zaskakująco małej przestrzeni o kamiennej podłodze i takich że ścianach stały stopy ozdobnych donic i rzeźb ogrodowych.

Rośliny tutaj były zielone; barwne plamy tworzyły różno kolorowe cięte kwiaty, zgrupowane według rodzajów w cynowych wazach różnej wielkości.

Lada miała formę kamiennej płyty.

Stojąca za nią ładna kobieta w białej bawełnianej koszuli i dżinsach – zapewne sama Daisy, sądząc z emanującej z niej pewności siebie – wypisywała paragon.

Miała chyba czterdzieści parę lat.

Casey czekała na swoją kolej bez cienia niecierpliwości.

Choć powierzchnia sklepu stanowiła ułamek powierzchni jej ogrodu, panowała tu taka sama atmosfera spokoju.

To dzięki roślinom -uznała.

Są naturalne i piękne.

Poza trującym bluszczem i jemu podobnym i nie ranią tak, jak potrafią ranić ludzie.

- Słucham panią? - spytała Daisy.

Casey podeszła do kontuaru.

- Jestem Casey Ellis, córka doktora Ungera.

Czy pani jest Daisy?

Kobieta uśmiechnęła się promiennie.- Tak -powiedziała i wyciągnęła rękę.

- Cieszę się, że mogę panią poznać. Uwielbialiśmy pani ojca. - Spoważniała. -Tak mi przykro, że umarł. Był bardzo miłym człowiekiem.

Casey kiwnęła głową.

- Zapisał mi w spadku dom.

Chciałam tylko powiedzieć, jak wspaniały jest ogród.

Daisy znów się uśmiechnęła.

- Dziękuję.

To dzieło Jordana.

- Czy jest tutaj?

- Teraz? Nie.

Ale powinien się niedługo pojawić.

Wiem, że musi sprzątać, bo jest umówiony na spotkanie o czwartej.

- Rzuciła spojrzenie w górę. - Jego telefon wciąż dzwoni.

Casey też spojrzała w górę.

- Tam jest biuro?

- Och, nie. On tam mieszka.

- Aha.

- Bardzo wygodnie jest kogoś tu mieć. Odbiera telefon po godzinach i w ogóle.

- Aha.

- Wydaje mi się, że planował zajść do pani po tym spotkaniu.

Czy mam mu przekazać jakąś wiadomość?

- Nie. - Casey pokręciła głową. - To nic ważnego, złapię go, gdy przyjdzie.

Cieszę się jednak, że tu zajrzałam. Sklep jest cudowny. - Wzięła wizytówkę z talerzyka przy kasie. Nazwę kwiaciarni wypisano na niej eleganckimi literami. - Naprawdę ładny.

Daisy się uśmiechnęła.

- Dziękuję. Proszę wpaść znowu. - Na pewno. - Casey wsunęła wizytówkę do kieszeni i wyszła, czując, że sklep i Daisy będą nowymi przyjaciółmi.

W drodze do domu myślała jednak o Jordanie.

To śmieszne, zakładała, że jej ogród jest najważniejszy w jego planie dnia.

Oczywiście chciała tak myśleć.

Jednak widząc kwiaciarnię i klientów, słuchając, jak Daisy mówi o telefonach i spotkaniach, zdała sobie sprawę, że ogród to tylko jeden z przystanków na jego codziennej trasie.

Był zajęтым człowiekiem.

Miał życie, które nie toczyło się wokół jej ogrodu.

Cóż, ona też.

Dała mu ostatnią szansę.

Kiedy jednak przyszła do domu i nie zastała go, włożyła do torby rzeczy potrzebne na noc i trzy odcinki Flirtu z Pete'em.

Stojąc w drzwiach pokoju Conniego, przemówiła cicho do Angusa. Potem powiedziała Meg, że pewnie nie będzie jej dzień czy dwa, i zaszła do gabinetu Conniego po mapę.

W końcu wrzuciła torbę do bagażnika miaty, wsiadła i ruszyła do Maine.

Rozdział siedemnasty

Im bardziej Casey oddalała się od Bostonu, tym większe ogarniało ją napięcie.

Caroline znów walczyła o oddech; Casey zatelefonowała z drogi i tak jej powiedział lekarz.

Szukano śladów infekcji.

U pacjentów takich jak Caroline infekcja stanowiła jedną z głównych przyczyn śmierci.

Casey zastanawiała się, czy nie zawrócić, ale nie znosiła uczucia bezradności.

Poza tym, jeśli Caroline ją czegoś nauczyła, to postępowania zgodnie ze swymi przekonaniem.

Być może nie aprobowałaby sprawy, o jaką Casey chodziło, ale pochwalaby, że córka w tej sprawie działa.

Connie, przeciwnie, aprobowałaby sprawę -przynajmniej tę jej część, która dotyczyła Jenny Clyde.

Rozdział siedemnasty

Tym razem Casey miała przyzwolenie obojga rodziców i wydawało jej się to właściwe.

Teraz nie mogła się wycofać.

Trzymała więc nogę na pedale gazu i kierowała się na północ.

Po godzinie przecięła południowo-wschodni narożnik stanu New Hampshire.

W drodze odpowiedziała na telefon przyjaciółki z jogi, zaniepokojonej, że Casey nie pojawiła się na ćwiczeniach w czwartek wieczór, i klienta, który chciał przenieść termin wizyty.

Gdy wjechała do Maine, autostrada opustoszała.

Trochę samochodów zatrzymało się przy sklepach fabrycznych w Kittery, inne zjechały na Ogunquit, jeszcze inne, gdy mijała Portland, ale po dwóch godzinach nawet Portland zostało już za nią.

Zatrzymała się, zatankowała paliwo, sprawdziła mapę i jechała dalej. Zanim dotarła do Augusty, minęły trzy godziny; przyjęła zgłoszenie nowego klienta i poczuła się zmęczona autostradą.

Dopiero po kolejnej godzinie dotarła do Bangoru.

Tam zjechała z autostrady, zamieniając szybką jazdę na oglądanie krajobrazów.

Droga biegnąca na północ była jednopasmowa.

Los chciał, że Casey znalazła się za przerdzewiałą furgonetką z lokalną rejestracją, jadącą niespełna pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Wykluczyła użycie klaksonu, uważając to za miejską reakcję.

Wykluczyła wyprzedzenie jako samobójcze.

Bardzo rozsądnie odetchnęła kilkakrotnie jak w jodze, uplasowała się wygodnie za furgonetką i zaczęła podziwiać przyrodę.

Po obu stronach drogi rosły sosny i jodły, mieniąc się zielenią i błękitem w subtelnej, kojącej pałecie barw.

Od czasu do czasu otwierał się widok na pola z zabudowaniami gospodarskimi, przybudówką czy garażem.

Z rzadka mijała domki, tak zręcznie ukryte wśród drzew, że nie zauważyła by ich, gdyby jechała szybciej.

Czasem między drzewami migąło jezioro.

Omam nie przegapiła Abbott.

Czterdzieści minut po zjeździe z autostrady dotarła do miejscowości, która była niewiele większa niż wybój na drodze.

Znalazła w niej budynek rady miejskiej, pocztę i sklep ogólnospożywczy.

Porządnie głodna, Casey zaparkowała przed sklepem.

Na ławce siedziało trzech kilkunastoletnich chłopaków z kolczykami w uszach i tatuażami, w podkoszulkach z groźnymi napisami, trzymających ukryte w dłoniach papierosy.

Unoszące się smugi dymu i tak ich zdradzały.

Casey potrafiła się utożsamiać z buntownikami.

Sama się kiedyś buntowała.

Jednak nie chciałyby spotkać tej trójki w ciemnej uliczce.

Wyobraziła sobie Conniego jako dziecko, według słów Ruth "małe,

słabe i bardzo inteligentne", i nie potrafiła opędzić się od myśli, że jeśli w jego czasach chłopcy w mieście wyglądali na takich brutalni jak ci tutaj, to nie miał szans.

Starając się nie rzucać zanadto w oczy, Casey zaparkowała samochód, wspięła się po drewnianych schodkach i weszła do sklepu. Ucieszyła się, znalazłszy się w środku, nie tylko z powodu wyrostków, ale także dlatego, że poza półkami zastawionymi artykułami spożywczymi zobaczyła kontuar baru serwującego szybkie dania. Wspięła się na wysoki stołek z siedzeniem z popękanej skóry, rzuciła okiem na menu wypisane ręcznie na tablicy i zamówiła makaron z serem oraz colę.

Jako jedyny klient nie musiała długo czekać ;Tylko tyle, ile kobiecie za kontuarem zajęło odwrócenie się do garnków na kuchni, sięgnięcie chochlą w głąb jednego i nałożenie na talerz jej zawartości.

- Przejazdem? - spytała, stawiając talerz przed Casey. Makaron z serem miał z wierzchu chrupką skórkę. Był to ten rodzaj jedzenia, który poprawia nastrój, a Casey bardzo na tym zależało.

- Nie wiem - odrzekła z widelcem w rękę.

- To zależy.

Szukam informacji o rodzinie nazwiskiem Unger.

Mieszkali tu jakiś czas temu.

Kobieta oparła się łokciami o kontuar i zmarszczyła brwi.

- Unger?

Hm. Mieszkam tu całe życie, czyli czterdzieści pięć lat, ale nigdy nie słyszałam tego nazwiska.

Casey sądziła, że kobieta jest starsza. Wyglądała na zmęczoną życiem.

Głębokie zmarszczki między brwiami i opuszczone ramiona sugerowały, że nosi ciężar zmartwień dłużej niż od czterdziestu pięciu lat.

- Pewnie jest pani za młoda- powiedziała Casey.

- Wydaje mi się, że ta rodzina opuściła miasto raczej jakieś pięćdziesiąt pięć lat temu, mniej więcej.

-Zabrała się do jedzenia.

- Powinna się pani spotkać z Deweyem Hellerem.

Ma siedemdziesiąt lat, ale jest urzędnikiem miejskim od chyba stu.

Urzęduje w biurze na tyłach budynku rady.

Jeśli ktoś będzie pamiętać, to właśnie on, ale teraz już jest po godzinach jego pracy.

- A nie mogę odwiedzić go w domu?

-Mogłaby pani.

Casey czekała, ale kobieta nic więcej nie powiedziała.

- Czy poda mi pani jego adres?- spytała w końcu.

Kobieta pokręciła głową.

- Wylałby mnie. Jest właścicielem tego sklepu.

- Rozejrzała się. -To był sklep wielobranżowy, póki Dewey nie skończył sześćdziesiątki i nie stracił zainteresowania. Nie przepada za ładnymi ludźmi w wymyślnych sportowych samochodach. Ten pani jest naprawdę ładny.

Nie boi się pani, że chłopaki zechcą się nim przejechać?

Casey przelknęła kolejną porcję makaronu i się uśmiechnęła.

- Jestem dziewczyną z miasta.

Ten samochód ma wszelkie zabezpieczenia antywłamaniowe, o jakich pani kiedykolwiek słyszała, i jeszcze kilka innych.

Nie, to nie problem.

Problemem jest to, że jutro jest sobota.

Czy urząd będzie czynny?

- Od dziewiątej do jedenastej.

Dewey bierze sobie za to wolny poniedziałek.

To uspokoiło Casey, ale tylko na krótko.

Do końca dnia było jeszcze kilka godzin i nie mogła znieść myśli, że zmarnowałyby ten czas.

- Skoro nie mogę dziś porozmawiać z urzędnikiem, to może z kimś z wydziału policji?

-Wydziału? - Kobieta uśmiechnęła się krzywo. -Raczej z policjantem. Jednym.

Jasne, może pani z nim porozmawiać, ale jest młody, a mieszka tu zaledwie od dziesięciu lat.

Trudno ich tu zatrzymać, bo pensja jest niewielka.

- Rzuciła okiem ku drzwiom. -Ale proszę spróbować.

Właśnie idzie.

Ubrany w mundur koloru khaki policjant nazywał się Buck Thorman.

Był rok czy dwa starszy od Casey, wysoki blondyn, dobrze zbudowany.

Kobieta przedstawiła ich sobie i poszła do innej części sklepu. Siadając okrakiem na stołku oddzielonym od Casey dwoma innymi, zadał takie pytania, jakie policjanci w małych miasteczkach zazwyczaj zadają obcym.

Casey odpowiadała, bo czemu nie?

Tak, to jej samochód.

Nie, nie był nowy, kupiła używany.

Tak, ma ręczną skrzynię biegów.

Odtwarzacz kasetowy, nie; odtwarzacz CD, tak.

Sto dwadzieścia osiem koni.

Nie, nigdy nie przekracza stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

- A co pani tu robi - zapytał załatwiwszy najważniejsze sprawy.

- Odtwarzam swoje drzewo genealogiczne.

Jego częścią jest rodzin nazwiskiem Unger.

Jakiś czas temu mieszkali w Abbott.

- Musiało to być dawno.

Nigdy nie słyszałem o Ungerach.

Casey nie wytknęła mu, że jest w miasteczku dopiero od dziesięciu lat, a więc niedługo.

Wdzięczył się teraz, wciąż siedząc okrakiem na stołku, ale tyłem do kontuaru, opierając się o niego łokciami w sposób uwydatniający jego szeroką pierś.

Nie budził jej zainteresowania, ale nie zamierzała mu tego mówić.

Przyjechała tu w konkretnym celu.

Jeśli może jej pomóc, niech sobie myśli, co chce.

- A Clyde? - spytała. -Darden Clyde? Mary Beth Clyde?

Podrapał się po brodzie.

- To brzmi znajomo. Gdzie ja słyszałem to nazwisko?

Wstrzymała oddech.

Po chwili wzruszył ramionami z rezygnacją.

- A może zna pan miejscowość Little Falls? - spytała.

Policjant wydał wargi, pokręcił głową.

- Nie, nie słyszałem o Little Falls. Znam Duck Ridge, West Hay i Walker.

Znam Dornville i Eppick. Ale Little Falls? Nie.

Casey westchnęła.

Czuła się zmęczona brakiem efektów.

- Chciałaby pani zwiedzić miasto?

- spytał, jak gdyby to mogło złagodzić jej rozczarowanie.

-Abbott to nie takie złe miejsce.

- Pochylił się i powiedział ciszej: - Niezbyt ekscytujące, dlatego dobre dzieciaki wyjeżdżają, a nam zostają tacy geniusze jak ci z frontu.

- Nie należy sądzić książki po okładce- ostrzegła.

- Też byłam kiedyś buntowniczką.

A dokąd jadą "dobre dzieciaki"?

Wzruszył ramionami.

- Do Bangoru, Augusty, Portland.

Tam jest co robić.

Więcej miejsc pracy.

Ja tu po prostu płacę podatki, jeśli rozumie pani, o co mi chodzi.

To dość spokojne miejsce, brak interesujących zbrodni. - Strzelił

palcami. -Już wiem, dlaczego to nazwisko wydało mi się znajome.

Jakieś czternaście, piętnaście lat temu doszło do morderstwa w rodzinie Clyde'ów.

Casey poczuła iskierkę nadziei.

- Tak jest - powiedziała z entuzjazmem. - Mąż i żona.

Czternaście czy piętnaście lat temu?

- Nie jestem pewien. Mniej więcej.

- Zdarzyło się w Little Falls. Policjant Thorman pokręcił głową.

- Być może, ale tu w okolicy nie ma takiej miejscowości. Może to było w innej części stanu.

- Pamięta pan, gdzie to się stało, z tego, co pan czytało morderstwie?

-Nie, głównie pamiętam proces, a ten musiał się toczyć w Augustacie lub w Portland.

Pewnie zwracałbym na to większą uwagę, gdybym był starszy albo gdyby chodziło o sprawy międzynarodowe, na przykład terroryzm.

Ale przemoc w rodzinie? - Wyciągnął długie, silne nogi i westchnął głęboko. -Dorastałem, słysząc o przemocy w rodzinie.

Po jakimś czasie robi się nudna, wszystko jedno, czy się ją widzi, czy stara jej zapobiec.

Spędzę tu jeszcze parę lat, a potem złożę podanie do FBI.

Ale hej, wie pani co?

Może obwiozę panią po mieście, to będzie dla mnie wydarzenie

tygodnia.

Cholera, to będzie nawet wydarzenie miesiąca.

Casey rzeczywiście chciała obejrzeć Abbott.

Jej ojciec tu dorastał.

Niemiała powodu, by wątpić w słowa Ruth.

Zjadła do końca makaron z serem, przelała resztę coli w kubek jednorazowy, zapłaciła rachunek i wsunęła się nasiedzenie w wozie patrolowym, podczas gdy Thorman ostrzegał trójkę chłopaków, że jeśli choćby dotkną miaty, wsadzi ich za trawę, którą palili na tejsze ławce dwa dni wcześniej.

Skręciwszy w boczną uliczkę, zawiózł ją najpierw do lokalnego warsztatu samochodowego i wszystkim przedstawił.

Następnie przejechali koło pralni automatycznej i zakładu naprawy sprzętu gospodarstwa domowego. Potem koło ruin dużego budynku na brzegu strumienia.

- To stara fabryka butów - wyjaśnił.

- Podobno dawniej niemal wszyscy tu byli z nią jakoś związani.

Casey przyglądała się z zainteresowaniem.

W tych fabrykach działały się ważne rzeczy.

Wyobraziła sobie, że pracowała tu matka Conniego – jej babcia!

- i poczuła rodzinną więź.

Chętnie obejrzałaby dokładniej to miejsce, ale Thorman jechał dalej, tym razem do szkoły.

Tam nie potrafiła się opanować. - Zamknięta na wakacje?

- spytała, prosząc gestem, by zatrzymał się przy popękany cementowym chodniku.

- Zamknięta na dobre - odparł.

- Dzieci chodzą teraz do szkoły rejonowej.

Wysiadła z wozu patrolowego, stanęła przy starym drewnianym budynku i próbowała zobaczyć tu Conniego.

Nie był to Harvard, ale dzięki temu Casey łatwiej było zrozumieć.

Connie miał dwoistą naturę: z jednej strony odnoszący sukcesy zawodowe człowiek, z drugiej nieśmiałe, samotne dziecko, potem chłopiec, potem mężczyzna.

Mogła sobie go tu wyobrazić, siedzącego u stóp pokręconego dębu, patrzącego, jak bawią się inne dzieci.

Gdy wróciła do wozu, policjant przewiózł ją po ulicach

obudowanych bardzo starymi domami i obrzeżonych bardzo starymi drzewami.

I domy, i drzewa wyglądały na zaniedbane, ale Casey domyślała się, że nie zawsze tak było.

Niewielkie domy zbudowano z sensem i ustawiono w wygodnej odległości jeden od drugiego.

Niektóre były większe, ale nie pięły się w górę, lecz rozszerzały na boki, mając dodatkowe pomieszczenia dobudowane po lewej stronie, po prawej lub z tyłu.

Gdziekolwiek widziała tu ludzi, i starych, i młodych.

Niektórzy siedzieli na werandach, inni na schodkach.

Od czasu do czasu pojawiało się dziecko przebiegające przez podwórko, wspinające się na zawieszoną oponę czy drabinki.

Casey, podekscytowana, poprosiła Thormana, by jechał wolno, a potem, by raz jeszcze przebył tę samą trasę.

Tym razem szukała wzrokiem kwiatów, zaglądała w podwórka, jeśli nie widziała ich przed domem. Skoro Connie odtworzył w Bostonie swoje rodzinne Maine, powinny rosnąć tu te same kwiaty. Ale nie rosły.

Widziała drzewa i trawę. Widziała zaniedbane krzewy.

Widziała kamienie, mech i kurz.

Zawiedziona, opadła na siedzenie.

Policjant podwiózł ją do miaty.

- Może zjemy razem obiad? - spytał, gdy sięgała po klamkę.

Uśmiechnęła się.

Była mu wdzięczna za czas, który jej poświęcił, ale nie chciała go zachęcać.

Poza tym czyż nie powiedział, że pokazanie jej miasta będzie dla niego wydarzeniem tygodnia?

Nie musiała iść z nim na obiad.

- Dzięki, ale ten makaron z serem zupełnie mi wystarczył.

Poza tym jestem zmęczona.

Muszę zatelefonować w kilka miejsc i przeczytać trochę papierów, no i muszę nieco pospać.

Nie widziałam tu motelu.

Spochnurniał, ale tylko na chwilę.

Przyjął odmowę z wdziękiem.

- Nie, nie ma tu motelu - powiedział.

- Ani obok, w Duck Ridge.

Czekała, ale zamilkł.

Przyszło jej do głowy, że to taka typowa dla Abbott gra.

W końcu spytała cierpliwie:

- A w kolejnej miejscowości?

- Tak, jest tam takie miejsce.

- Miejsce?

- Coś w rodzaju pensjonatu.

- Czy może mi pan powiedzieć, jak tam dojechać?

West Hay House wynagradzał braki wystroju atmosferą spokoju, co stwarzało doskonałe warunki do ponownego przeczytania Flirtu z Pete'em.

Casey była jedynym gościem.

Mogła sobie wybrać sypialnię.

Mogła sobie wybrać łazienkę.

Mogła sobie nawet wybrać drożdżówki na śniadanie.

- Co dzień rano piekę drożdżówki tylko jednego rodzaju - wyjaśniła gospodyni przed pójściem spać - więc może pani wybrać.

Casey zdecydowała się na jagodzianki, które okazały się zaskakująco duże, wilgotne i smaczne.

Uznała to za dobry znak.

I rzeczywiście jej się powiodło.

Wróciwszy do Abbott dobrze przed dziewiątą rano, znów zwiedziła miasto, tym razem na własną rękę.

Znów zaparkowała przy szkole i przespacerowała się po boisku.

Zatrzymała się przy ruinach fabryki butów i zapuściła między kamienie.

Potem pojechała do dzielnicy mieszkaniowej.

Dzisiaj widać było więcej ludzi, zajmujących się sobotnimi pracami: przy domu, trawniku czy samochodzie.

Jej auto rzucało się w oczy i przyciągało uwagę.

Uśmiechała się, kiwała głową, powoli jeżdżąc po ulicach i zastanawiając się, w którym domu mógł mieszkać Connie.

Wybrała w końcu niewielki drewniany domek, pomalowany na żółto, z białymi wykończeniami.

Farba zbladła i na domu, i na ogrodzeniu, a podwórko wyglądało na zaniedbane, ale na werandzie stał bujany fotel.

Wyobraziła sobie, jak jej babka się na nim kołysze.

Musiała być drobnej budowy jak Casey.

Pewnie miała białe włosy, pomarszczoną twarz i łagodny uśmiech. Nosiła suknie w kwiaty oraz biały fartuch i pachniała domowym chlebem.

Chlebem anadama.

Zaraz, Casey nie wiedziała, skąd jej to przyszło do głowy. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek jadła chleb anadama, ale chyba musiała.

Na pewno piekło się go z kaszką kukurydzianą i melasą.

Chleb anadama, tak samo jak makaron z serem, był potrawą na pocieszenie.

Pociechę zapewniały babcie- nagle dowiedziała się czegoś o sobie.

Czując się samotna, wróciła do centrum miasta i zaparkowała w miejscu, gdzie komórka miała najlepszy zasięg.

Sprawdziła swoją pocztę głosową.

Kilka informacji zostawiły przyjaciółki, ale nie oddzwoniła, bo nie chciała wyjaśniać, gdzie jest i dlaczego.

Ważniejsze było to, że nie telefonowano z domu opieki.

Zadowolona z tego, pojechała do budynku rady miejskiej tuż przed dziewiątą i zaparkowała miatę przy tylnych drzwiach, koło starego klasycznego kombi, akurat w chwili, gdy Dewey Heller przekładał tabliczkę: "Zamknięte" na "Otwarte".

- Niezły samochód - powiedziała z pełnym podziwu uśmiechem. Mogła nie pamiętać chleba anadama, ale pamiętała stare samochody.

- Moja mama miała taki dawno temu.

- Założę się, że nie miał drewnianych boków.

- Właśnie miał - odparła Casey z dumą.

- Ale jej nie był taki stary jak mój.

Ten skonstruowano w czterdziestym siódmym roku i wtedy nie nazywaliśmy ich jeszcze kombi.

Mówiono o nich: samochody plażowe -choć ja osobiście nie wozilem nim nigdy ludzi na plażę, tylko na dworzec.

Właśnie wypilem kawę w sklepie.

Donnami powiedziała, że będę miał gościa.

Powiedziała, że szuka pani Ungerów.

No, to musi chodzić o Franka i Mary i ich syna Corneliusa.

Kiepski wybór imienia dla dziecka, nawet w tamtych czasach.

Każdy widział, jaki jest mały i słaby.
Powinni byli dać mu solidne imię.
Na przykład Rock.

Casey tak się ucieszyła ze spotkania kogoś, kto znał imię jej ojca, że się uśmiechnęła.

- Rock nie pasowałoby do tego, kim został.
- A kim został?
- Sławnym psychologiem.

Zmarł miesiąc temu.

Przyjechałam tu częściowo po to, by się dowiedzieć, czy nie mieszka tu jakaś rodzina.

- Nie.

Nie była to zresztą duża rodzina.

Jak umarł ojciec, została tylko matka, a ona dawno wyjechała.

A poza tym?

Casey nie zrozumiała.

- Co poza tym?
- Powiedziała pani "częściowo".

Więc co poza tym?

Jednak Casey nie miała jeszcze zamiaru zdradzać więcej.

- Proszę mi opowiedzieć o matce.

Jaka była?

- Ładna i drobna, z bardzo długimi włosami, trochę bardziej rudymi niż pani.

Miała. - Gestem pokazał duży biust. -Oczywiście w tamtych czasach wszystkie kobiety tak wyglądały - powtórzył gest - bo nosiły takie fartuchy.

- Była miła?
- Dość miła.
- Czy pracowała w fabryce butów?
- Wszystkie tam pracowały.

A poza tym? -powtórzył.

Uśmiechnęła się prosząco, by jeszcze okazał jej odrobinę cierpliwości.

- Czy mieli tu jakąś rodzinę, nawet daleką?

Kuzynów, kogoś takiego?

- Nic o tym nie wiem.

Więc co poza tym?

Casey się poddała.

- Próbuje znaleźć miejscowość o nazwie Little Falls.

Teraz to mężczyzna westchnął, ale z ulgą i uśmiechem.

- Little Falls.

Od dawna nie słyszałem, by ktoś to miejsce nazywał Little Falls.

Chodzi o Walker.

- Walker? - spytała szeptem, podekscytowana.

Więc naprawdę istnieje.

A jeśli istnieje Little Falls, to istnieje i Jenny Clyde.

- Jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd – mówił dalej Dewey Heller.

- Najpierw nazywało się Little Falls, nie dlatego, żeby był tam jakiś wodospad, bo niema, tylko dlatego, że to miasto założyła rodzina Little'ów, którzy co roku, gdy liście stawały się żółte, czerwone i tak dalej, organizowali wielką imprezę.

Mniej więcej w okresie wielkiego kryzysu ludzie uznali, że ich miasteczko musi mieć poważniejszą nazwę. Rozumie pani, co mam na myśli? Więc przegłosowali to i wybrali nazwę Walker.

Przez dłuższy czas miejscowi wciąż mówili Little Falls, ale potem przysły kody pocztowe i telefoniczne i coraz częściej słyszało się Walker.

Jest kilka osób, które wciąż mówią Little Falls.

Moim zdaniem Little Falls ma więcej charakteru jako nazwa miasta niż Walker.

-Skrzywił się. - Walker. Trochę. nijakie, nie?

Falls (ang.) - wodospad; fali(amer.)- jesień.

Casey wcale nie uważała, że jest nijakie.

Było jej zresztą zupełnie obojętne, jak się nazywa - najważniejsze, że jest prawdziwe.

Uradowana, pożegnała się i znów skierowała na północ. Nie przeszkadzało jej, że na wąskich drogach pięćdziesiąt kilometrów oznaczało pięćdziesiąt minut, bo była blisko, tak blisko odnalezienia Jenny Clyde.

Dotarła tu dzięki swemu uporowi.

Connie byłby dumny.

"Granica miasta Walker"- widniał napis na tablicy.

Casey zwolniła nieco, chcąc dobrze przyjrzeć się wszystkiemu, co mija. Tutejsze domy były równie stare jak w Abbott, ale nieco większe i lepiej utrzymane.

Tak samo podwórka.

Na niektórych rosły kwiaty, inne miały trawniki.

I jedne, i drugie były zadbane.

Chcąc nie tylko widzieć, ale także słyszeć i wahać, wyłączyła klimatyzację i otworzyła okno.

Miała świeżo w pamięci Flirt z Pete'em.

Uznała, że dość szybko uda jej się stwierdzić, czy jest to właściwe miasteczko.

Zaczęła jechać wolniej, gdy zabudowa stała się gęstsza, a na widok tabliczki z nazwą ulicy West Main serce zabiło jej żywiej.

Jenny Clyde mieszkała przy West Main.

Zakładając, że dziennik oparty był na faktach, Casey zapewne minęła już jej dom.

Oparwszy się pokusie zawrócenia i sprawdzenia, jechała dalej i gdy tylko dotarła do centrum miasteczka, została nagrodzona.

Main Street była taka jak opisana w dzienniku.

Witryny sklepów ocieniały zielone markizy z białymi literami.

Zieleń lekko spłowiła, a biel nie była tak czysta, jak to przedstawiono w dzienniku, z czego wynikałoby, że od wspomnianej przez Jenny "odnowy miasta" minęło już trochę czasu.

Po jednej stronie ulicy znajdował się sklep żelazny, apteka, redakcja gazety i Dunkin' Donuts.

W dzienniku w miejscu Dunkin' Donuts był sklep z artykułami po 10 centów i piekarnia, ale to się przecież mogło zmienić - uznała Casey.

Po drugiej stronie ulicy Casey zobaczyła sklep spożywczy, ogrodnicy, kawiarenkę, sklep zmrożonym jogurtem i kolejny - z używanymi ubraniami.

Także i tu kilka szczegółów uległo zmianie - sklep z mrożonym jogurtem zastąpił lodziarnię, a używana odzież - sklep panny Jane.

Zamiana lodów na jogurt odpowiadała duchowi czasów, jeśli zaś chodzi o pannę Jane - właścicielka sklepu nie była miłą dla Jenny.

Casey uznała, że plajta byłaby aktem sprawiedliwości.

Wzdłuż ulicy, ukosem, parkowały samochody.

Wjechała na wolne miejsce akurat przed wejściem do redakcji gazety.

Białymi literami na zielonej markizie napisano: "Obywatel Walker".
Casey uznała, że warto zacząć właśnie tu.

Zostawiła samochód i weszła do środka.

Stały tam trzy biurka.

Przy pierwszym siedziała młoda kobieta i pisała na komputerze.

Przy drugim nikogo nie było, choć stały na nim dwa telefony i leżało dużo papierów.

Trzecie biurko, na końcu pokoju, zdawało się informować, że pracująca przy nim osoba ma wyższą funkcję, było bowiem większe i ustawione na podium.

Stał na nim komputer, ale Casey natychmiast skupiła się na siedzącym przy nim mężczyźnie.

Był chudy i mimo że wyraźnie łysiał, sprawiał dziwne wrażenie -nie mężczyzny, lecz wyrostka.

Wiedziała, kim jest.

Och, tak.

Podeszła wprost do biurka i wyciągnęła rękę.

- Nazywam się Casey Ellis, a pan zapewne jest Dudleyem Wrigthem Trzecim.

Dudley wstał, wysoki i tyczkowaty, i uśmiechnął się szeroko.

- Tak jest.

Zerknęła na tabliczkę na jego biurku.

- Redaktor naczelny? - spytała. -Jest pan na to za młody.

Jego uśmiech zyskał na pewności siebie.

- Zostałem redaktorem naczelnym, mając trzydzieści dwa lata.

Jeśli wierzyć dziennikowi, chciał zostać naczelnym, mając trzydzieści lat.

- Trzydzieści dwa? - powtórzyła. -To godne uwagi.

Miałam znajomą, która została naczelną w lokalnej gazecie w wieku dwudziestu dziewięciu lat.

Jest świetną dziennikarką - dodała, by mu trochę dogryźć.

Ten człowiek też nie okazywał Jenny zrozumienia.

Jenny mówiła, że ma dwadzieścia sześć lat.

- A ile ma pan teraz?

- Trzydzieści trzy - powiedział i usiadł, nieco przygaszony.

- Co mogę dla pani zrobić?

Siedem lat, jeśli wierzyć dziennikowi - siedem lat minęło od wydarzeń

w nim opisanych.

- Szukam Jenny Clyde – to znaczy Mary Beth - poprawiła się Casey.

-Nie warto. Niema jej.

- A gdzie jest?

-Umarła.

Casey zabrakło tchu.

- Nie!

-Tak.

- Jest pan pewien?

Uśmiechnął się z wyższością.

- Sam pisałem nekrolog.

Casey była oszołomiona. Przyjmowała możliwość, że Jenny jest postacią fikcyjną.

Nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, że może nie żyć. To nie miało sensu wobec notatki Conniego: "Należy do rodziny". Czas terazniejszy. "Jak jej pomóc?". Pytanie implikujące czas przyszły.

Connie poprosił ją o pomoc, a nie można pomóc komuś, kto umarł. Musiało zajść nieporozumienie. Musi poszukać dokładniej. Jenny to jej zadanie.

Im bardziej wydawała się załamana, tym pewniejszy siebie był Dudley Wright III.

Odchylił się na krześle i splótł palce na wklęsłym brzuchu.

- Utopiła się. Tutaj, w kamieniołomie.

- To niemożliwe - zaprotestowała odruchowo. Jenny pojechała do kamieniołomu z Pete'em. To było magiczne miejsce. Była tam szczęśliwa.

Casey nie umiała sobie wyobrazić, jak Jenny mogłaby tak szybko przejść od szczęścia do załamania.

A jednak, jednak powinna to sobie móc wyobrazić. W dzienniku wyczuwało się desperację. I niewątpliwie istniały kartki, których Casey jeszcze nie znalazła. W każdym razie zakładała, że jest jakiś ciąg dalszy. Historia nieostała doprowadzona do końca.

- Cóż mogę powiedzieć - stwierdził dziennikarz. To niebyło pytanie.

W głowie Casey rodziły się przypuszczenia.

Wiedząc, jak mało miasteczko się nią przejmowało, Jenny mogła po

prostu wyjechać, zostawiając za sobą ludzi chcących wierzyć, że znikła na dobre.

Śmierć oczywiście była najlepszym rodzajem zniknięcia.

Tak sobie mogli mówić ludzie.

Utonięcie w kamieniołomie stanowiło zręczne wyjaśnienie jej nieobecności.

- A Darden Clyde? - spytała.

- Och, ciągle tu jest.

Wciąż na jego widok ludziom ciarki chodzą po plecach.

Ma teraz inną kobietę.

Wprowadziła się do niego z dwójką dzieci.

Nikt nie wie, czy się pobrali, ale widocznie zaspokajają jego potrzeby, skoro ją zatrzymał.

Jednak zmienił się od czasu, gdy Mary Beth utonęła.

Przedtem był trudny, lepiej było krzywo na niego nie patrzeć.

Teraz jest znacznie gorzej.

Zrobił się złośliwy i nie do życia.

Casey nie potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego jakaś kobieta miałaby narażać siebie i swoje dziecina takie traktowanie, ale niebyła to sytuacja wyjątkowa.

W pracy stykała się z wieloma maltretowanymi na różne sposoby kobietami, które jednak nie miały siły odejść.

- Czy on ma tu jakąś rodzinę? - spytała.

Krewni Dardena mogą być także i jej krewnymi.

- Nie taką, która by się do tego przyznała.

-Więc ktoś jest? - Wstrzymała oddech.

- Nie, żartowałem. Żadnej rodziny.

Z ulgą wypuściła powietrze.

Choć bardzo pragnęła odnaleźć jakichś krewnych, nie chciała nikogo związanego z Dardenem.

Powinna zadać różne pytania - na przykład, kiedy i jak Jenny umarła - ale chciała najpierw potwierdzić fakt jej śmierci.

Powiedziała więc:

- Dziękuję. Bardzo mi pan pomógł. Ruszyła ku drzwiom.

- Dlaczego pyta pani o Clyde'ów? - zawołał Dudley, znów

wstając.

Casey zawróciła do jego biurka. Po drodze wyciągnęła z torby

nowiutką wizytówkę.

Podawała ją Dudleyowi.

- Jestem psychoterapeutką. Czytałam o Mary Beth. Chciałam z nią porozmawiać.

- Czytała pani? Gdzie?

- Dużo pisano o procesie powiedziała, myśląc o wycinkach przechowywanych na strychu w domu Jenny. Niebyła to odpowiedź napytanie Dudleya, ale najwyraźniej nie zwrócił na to uwagi.

- Może pani pójść na cmentarz i sobie z nią pogadać dowoli. Darden zbudował tam kapliczkę. - Przyjrzał się wizytówce. - Pani jest z Bostonu?

Byłem w Bostonie. Nie daję sobie jednak rady z tym ruchem.

Psychoterapeutką?

Czy pisze pani książkę?

- Być może - odparła Casey, bo uznała, że na takim człowieku jak Dudley powinno to wyrzucić wrażenie.

- Zależy to od tego, czego mi się uda dowiedzieć.

Czekała, żeby coś powiedział- stała tam, czekając, czy nie odwoła wcześniejszy chstów i nie powie, że Jenny jednak żyje. Gdy milczenie się przedłużało, straciła cierpliwość.

- Ma pan moją wizytówkę.

Jeśli przyjdzie panu coś do głowy, będę wdzięczna za telefon.

Pragnąc porozmawiać z kimś innym - kimkolwiek -przeszła między biurkami, wyszła z budynku i przecięła ulicę.

Kawiarenka wyglądała bardzo sympatycznie, a jak na jedenastą rano przebywało w niej zaskakująco dużo ludzi.

Pomieszczenie podzielone było na nieduże boksy.

Casey zasiadła na stołku przy kontuarze i poprosiła o kawę.

Natychmiast postawiono przed nią kubek, ale zdążyła zauważyć, co ma na talerzu siedząca obok kobieta.

- Ten omlet wygląda fantastycznie - powiedziała.

- Co w nim jest?

Za kobietę odpowiedziała kelnerka.

- Mielona marynowana wołowina i ser Monterey Jack.

Może zrobić i dla pani?

- Hm. poproszę -zdecydowała się Casey.

Nie była pewna, ile da radę zjeść, zastanawiając się, czy Jenny

naprawdę nie żyje, uznała jednak, że jeśli przez chwilę porozmawia z miejscowymi/być może uzyska od nich szczerą odpowiedź.

- Jest rzeczywiście fantastyczny - potwierdziła kobieta, siedząca po lewej stronie i jedząca omlet.

Była młodą atrakcyjną blondynką w dżinsach i flanelowej koszuli bez rękawów.

W foteliku samochodowym u jej stóp spało dziecko.

-Jeśli jest tu pani tylko przejazdem i chce posmakować Walker, to taki omlet doskonale się do tego nadaje.

Skąd pani jest?

- Z Bostonu. A pani tu mieszka?

- Całe życie.

-Ile ma maleństwo? - spytała Casey, uśmiechając się do różowego zawiniątka.

- Cztery miesiące.

Jak na razie dobrze sypia, ale jeśli okaże się taka sama jak moje inne dzieciaki, to niedługo zacznie rozrabiać.

Miło zjeść spokojnie późne śniadanie.

Dokąd pani jedzie?

- Przyjechałam tutaj.

Szukam Mary Beth Clyde.

Brwi kobiety strzeliły w górę, sygnalizując natychmiastowe rozpoznanie.

- Mary Beth?

-Córki – dopowiedziała Casey, ponieważ matka Jennyteż nazywała się Mary Beth.

- Och, mój Boże.

Mary Beth nie żyje. - Zawołała do kelnerki: - Lizzie, jak dawno Mary Beth Clyde nie żyje?

- Siedem lat -włączył się mężczyzna, siedzący po prawej stronie Casey i dotychczas zajęty rozmową z sąsiadem.

-Utonęła siedem lat temu.

Siedem lat temu?

- Jesteście tego pewni? - spytała Casey.

Kelnerka potwierdziła.

- To było siedem lat temu. Utonęła w kamieniołomie.

- Pływała?

-Skoczyła - powiedział mężczyzna.

Casey przeszył ostry ból.

Myślała o rozpacz, jaką wyczuwała w Jenny, gdy znów odezwała się kobieta siedząca po jej lewej stronie.

- Nie wiadomo z całą pewnością, czy skoczyła.

Nikt tego nie widział.

Znaleźli jej ubranie na szczycie urwiska, dlatego uważają, że tak się stało.

- Dziwicie się?

- spytała kelnerka.

-Dardena wypuścili z więzienia, a paskudniejszego takiego a takiego trudno sobie wyobrazić.

- Hej, hej, Lizzie - powiedział mężczyzna siedzący dwa stołki na prawo od Casey.

- Czy Darden zrobił ci kiedyś coś złego?

- Nigdy nie zostawia napiwku - stwierdziła Lizzie.

-Wchodzi tu, jakby to miejsce do niego należało, i wymyśla, że jedzenie jest za drogie.

- Ach, nie jest taki zły.

Rozmawiam z nim od czasu do czasu.

Miał trudne życie z żoną, więc zrobił, co zrobił, i zapłacił za to.

A potem dziewczyna zabija się w chwili, gdy on wraca do domu?

To nie ma sensu.

- Zostawiła jakiś list?- spytała Casey, jeszcze nie mogąc zaakceptować faktu, że Jenny nie żyje.

Przypomniała sobie kilka ostatnich wierszy dziennika.

"Jenny Clyde była gotowa rozpostrzeć skrzydła".

Ale to tylko takie wyrażenie.

Przecież niemożna odczytywać go dosłownie.

Casey zrozumiała, że chodziło po prostu o to, żeby wyjechać z miasta, oddalić się, uciec od ojca.

- Nie znaleziono listu – odrzekła Lizzie i schyliła się do okienka z kuchni.

-Ani ciała - dodała kobieta po lewej stronie Casey.

- Co takiego? - spytała Casey.

- Nigdy nie znaleziono jej ciała - potwierdził mężczyzna siedzący po jej prawej.

-No to może wciąż żyje - powiedziała z nadzieją.

- Nic z tego - zaprzeczył mężczyzna siedzący dwa stolki dalej.

- Kamieniołom ich zabiera.

To nie pierwsza osoba, która tam zniknęła.

Tak mówi legenda.

Gdy kelnerka przyniosła omlet, Casey zastanawiała się, czy zdoła go zjeść.

Usiłowała zrozumieć bieg myśli mieszkańców Walker, nieprzejmujących się tym, czy Jenny umarła, czy nie, nieszukających zbyt daleko.

- Czy prowadzono poszukiwania?

- Oczywiście, ile się dało - potwierdził mężczyzna po prawej.

Spojrzał przez ramię i zawołał do człowieka siedzącego w jednym z boksów. - Martin, brałeś udział w poszukiwaniach Mary Beth Clyde, nie?

- Córki?

Jasne.

Szukaliśmy wszędzie: i do samego dna, i w lasach dookoła.

Znaleźliśmy w lesie buicka, ale dziewczyny nie było.

Casey też się obejrzała.

- Jak to możliwe, że nie było ciała?

-To nic dziwnego - powiedział mężczyzna siedzący obok.

- Mogła się zdarzyć jedna z dwóch rzeczy.

Dzień przed jej śmiercią mocno padało, a zresztą całe lato było deszczowe, więc rzeka wezbrała.

Mogła wypłukać ciało z niecki i zabrać z sobą do wodospadów i dalej do jeziora, a tam nikt go już nie znajdzie.

W dużym jeziorze w niektórych miejscach jest ponad trzydzieści metrów głębokości.

Albo chwycił ją potwór z kamieniołomu i połknął.

Jenny Clyde wierzyła w istnienie potwora.

- Czy jest możliwe, że po prostu zostawiła ubranie na górze i odeszła?

-Nie wyobrażam sobie, jak mogłaby to zrobić – odparł mężczyzna w boksie.

- Widzi pani, na górze były ślady stóp dokładnie jej wielkości. Dochodziły do krawędzi i urywały się.

Gdyby zostawiła ubranie i odeszła, ślady prowadziłyby w przeciwnym kierunku.

- A może woda poniosła ją kawałek, a potem Mary Beth wy dostała się i odeszła?

- spytała Casey.

- Znalezione by ją - powiedział mężczyzna po prawej.

-Nie udałoby się jej schować w tłumie.

Wyglądała dziwnie.

- Wcale nie dziwnie – skarciła go kelnerka.

- Po prostu rzucała się w oczy, z tymi rudymi włosami i piegami.

- Są sposoby na ukrycie tych cech - upierała się Casey.

-Może postanowiła pozwolić ludziom myśleć, że umarła, sama zaś wyjechała z przyjacielem?

- Nie miała przyjaciół - parsknął mężczyzna po prawej.

-Miała chłopaka - zapewniła Casey.

- Nie miała.

-Nazywał się Pete - nie ustępowała Casey.

Kelnerka mlasnęła językiem.

- Pete.

Facet na motocyklu.

Tak, pamiętam.

Tylko że nikt go nigdy nie widział, nikt go nigdy nie spotkał, nikt nigdy nie słyszał jego motocykla.

Casey przysła do głowy nagła myśl na temat kobiety zrozpaczonej i mężczyzny, który był zbyt doskonały, żeby był prawdziwy.

Kobieta po lewej stronie odezwała się ponownie, przerywając bieg jej myśli.

- Naprawdę pani myśli, że Mary Beth wciąż żyje?

-Tak - potwierdziła Casey impulsywnie.

- To musi pani porozmawiać z Edmundem O'Keefe'em. To szeryf. Był tam.

- Edmund? Nie Dan? - W dzienniku występował Dan O'Keefe.

- Edmund to ojciec. Dan jest od niego sympatyczniejszy, ale go nie ma.

Casey się cofnęła. – Nie ma? - Jeśli chodzi o kolejną rzekomą śmierć.....

- Wyjechał, odszedł z policji - wyjaśnił mężczyzna po prawej i Casey się odprężyła.

-Szkoda - powiedział mężczyzna dwa stolki dalej.

-Dan był najlepszy. Jego wyjazd to duża strata. Dużo szczęścia z szefem, panienko.

To twarżdział.

Rozdział osiemnasty

Biuro szeryfa znajdowało się w garażu małego domu przy jednej z przecznic Main Street.

Dom pomalowany został na biało, okiennice na bładoniebiesko.

Był tam niewielki ganek, bez fotela na biegunach, ale przed budynkiem rosły krzaki róż, bardzo piękne, choć nieco zbyt wybujałe.

Casey zaparkowała koło wozu patrolowego i żwirowym podjazdem podeszła do bocznych drzwi garażu.

Ściany pokrywał bluszcz - to nie to co glicynia z jej pergoli, ale zielony i ładny.

Otworzyła siatkowe drzwi i weszła do środka.

Panowała tam cisza.

Do jednej ściany przypięto mapy, do drugiej listy gończe.

Z dwójga drzwi przynajmniej jedno prowadziły do czegoś w rodzaju aresztu.

Młody człowiek, siedzący za jedynym w pomieszczeniu biurkiem, czytał gazetę.

Opuścił ją, gdy weszła, ale się nie odezwał.

- Dzień dobry - powiedziała Casey różnym tonem.

-Chyba nie jest pan Edmundem O'Keefe'em?

- Nie, jestem jego zastępcą.

Czym mogę służyć?

Casey doszła do wniosku, że siedem lat wcześniej, gdy rzekomo doszło do utonięcia, młody człowiek nie miał prawa nawet głosować, nie mówiąc już o pełnieniu policyjnej służby.

- Muszę porozmawiać z szefem.

To dość osobista sprawa - powiedziała miękko, prawie konspiracyjnym tonem.

Ostatecznie kwestionowanie wyników dochodzenia w sprawie

samobójstwa, prowadzonego przez szeryfa, rzeczywiście nie było kwestią publiczną.

- Osobista? - powtórzył zastępca. - Cóż, poszedł do domu na lunch.

Jeśli to osobista sprawa, może pani tam zajrzeć.

Wie pani, gdzie mieszka?

Casey podrapała się w czoło.

- Hm, chyba pamiętam. która to ulica?

- Proszę wrócić do Main, skręcić w lewo, potem w prawo w drugą przecznicę.

Właśnie przemalowali dom, więc może go pani nie poznać. Już nie jest niebieski.

Jest brązowoszary. Brązowoszary. To coś zupełnie nowego.

Dot ciągle nie jest pewna, czy jej się podoba, więc proszę jej powiedzieć, że ładnie wygląda.

- Powiem - obiecała Casey z uśmiechem i wyszła, zanim zastępca zdążył zadać jakieś pytanie.

Po chwili znalazła się już na Main Street, skręciła w lewo, potem w drugą przecznicę w prawo.

Brązowoszary dom w stylu wiktoriańskim miał pomalowane na kremowo okiennice i wykończenia i był pierwszym domem po lewej.

Casey uznała, że wygląda całkiem ładnie.

Zaparkowawszy na poboczu, powędrowała betonową ścieżką, weszła na cztery drewniane schodki i przecięła werandę. Stała tu dwuosobowa sofa- huśtawka, zawieszona na stelażu.

Zajrzała do środka przez siatkowe drzwi i zawołała: "Halo?".

Dopiero drugie zawołanie przywiodło do drzwi atrakcyjną, sześćdziesięciu paroletnią kobietę w dżinsach i wyprasowanej bluzce; miała miłą powierzchowność -ciemne włosy, szeroko rozstawione oczy i delikatne rysy.

Otworzyła drzwi z uśmiechem.

- Dzień dobry.

Casey spodobał się jej wygląd i brak pretensjonalności.

- Dzień dobry. Nazywam się Casey Ellis.

Jestem psychoterapeutką i szukam informacji o Mar yBeth Clyde, córce. Jak rozumiem, pani mąż prowadził śledztwo w sprawie jej śmierci. Chciałam go spytać, czy zechce ze mną porozmawiać.

Wiem, że przychodzę w niewłaściwej chwili, bo jecie państwo lunch. Przyjechałam jednak z Bostonu i chyba niedługo powinnam ruszać z powrotem.

- Z Bostonu? – powtórzyła Dot, a jej twarz się rozjaśniła. - Nasz syn mieszka w Bostonie.

- Jest malarzem – dodała ciszej. - Mój mąż nie jest z tego zadowolony, ale ja jestem bardzo dumna.

Kobieta podobała Si Casey coraz bardziej.

- Zawsze żywiłam szacunek dla malarzy.

Moja mama była kimś w rodzaju artystki.

- Naprawdę? Co robiła?

Casey udzieliłaby zdawkowej odpowiedzi i ruszyłaby dalej, gdyby nie wyczuła, że kobieta jest naprawdę zainteresowana.

- Tkała różne rzeczy.

Specjalizowała się w wyrobach z angory.

Hodowała króliki angorskie, farbowała ich sierść, przędła i tkała.

- Angora jest z królików? Zabawne, zawsze sądziłam, że z kóz albo owiec.

- Z królików - potwierdziła Casey z uśmiechem, który jednak szybko zbladł. - To takie słodkie stworzonka. Trochę czasu mi zajęło, zanim znalazłam na środkowym zachodzie tkaczkę, która też miała angory i zechciała po nie przyjechać.

Dot, teraz pełna współczucia, zapytała:

- Czy pani matka nagle umarła?

-Trzy lata temu miała wypadek.

Wciąż żyje, ale tylko pozornie. Leży bez świadomości.

- Tak mi przykro. To musi być dla pani strasznie bolesne. Casey przełknęła ślinę i zmusiła się do uśmiechu.

- Pomaga mi skupienie się na innych rzeczach, nawet na zniknięciu Mary Beth Clyde.

-Większość ludzi tutaj nazwałaby to samobójstwem -ostrzegła Dot. - W każdym razie mój mąż. -Zrobiła zapraszający gest. - Proszę wejść, dość już się najadł.

A pani? Może kanapkę z szynką?

Casey pokręciła głową.

- Bardzo miło z pani strony, ale niedawno zjadłam omlet w kawiarence na Main.

Nie jestem głodna, dziękuję.

- Ledwo zdążyła wejść do holu, gdy z tyłu domu wynurzył się mężczyzna.

Był wysoki, miał gęste siwe włosy i opaloną twarz.

Casey nie dostrzegła ani odznaki, ani broni.

- Ed, to Casey Ellis - powiedziała Dot.

- Chciałaby.

- Wiem, co chciałaby- przerwał jej głębokim, chropawym głosem.

Stał na lekko rozstawionych nogach, podparty rękoma na biodrach.

- Chciałaby informacji na temat Mary Beth Clyde, ale nie ma niczego, czego nie byłoby w raporcie.

To było samobójstwo.

Koniec.

Kropka.

Casey obawiała się, że rozmowa się skończyła, zanim się naprawdę zaczęła, ale Dot ujęła ją za łokieć i wymijając szeryfa, poprowadziła do pokoju.

Był to ładny, słoneczny pokój, utrzymany w stylu kojarzącym się z panią domu:

prostym, naturalnym, pełnym wdzięku.

Zdradzał także jej inteligencję, objawiającą się wrażliwością i zamiłowaniem do piękna.

W pokoju znajdowały się dzieła sztuki zdobiące ściany, eleganckie ramki rodzinnych fotografii, bestsellerowe biografie na stoliku pod lampą i piękne haftowane poduszki na krzesłach.

Casey podniosła jedną z nich.

Był to kwiatowy wzór, zaprojektowany z artystyczną swobodą.

- Czy to pani dzieło?

-Ja haftowałam, a projekt wykonał syn.

Casey spojrzała na dwa obrazy wiszące nad kominkiem.

Był to dyptyk, przedstawiający farmę podczas burzy śnieżnej.

Obrazy cechowała ta sama twórcza swoboda co wzór na poduszkach.

- Czy to też jego dzieła?

-Tak. - Mówiła głośniej, wyraźnie chcąc, by usłyszał to mąż.

-Odnosi spore sukcesy.

Wystawia swoje prace w galeriach w Bostonie i Nowym Jorku.

Nieźle z tego żyje, czego nie da się powiedzieć o większości malarzy.

- Nie przyjechała tu słuchać o Danie- powiedział Edmund, dołączając do nich.

-Nie - potwierdziła cierpliwie Dot.

- Przyjechała spytać o Mary Beth Clyde, ale Dan troszczył się o tę dziewczynę, więc możemy porozmawiać także o Danie.

Casey poczuła się zdezorientowana.

- To właśnie Dan jest malarzem? Myślałam, że są inni synowie.

- Nie, nie mamy innych synów. Dwie córki, ale tylko jednego Dana - powiedziała Dot.

Casey spojrzała na fotografie rodzinne w ramach. Nawet z tej odległości widziała, że są wnuki.

Dot czytała jej w myślach. - Jak na razie, pięcioro wnucząt od dziewczynek. Dan nie znalazł jeszcze swej wymarzonej kobiety.

- Strasznie sentymentalny -prychnął ojciec. - Był za miękki na policjanta.

Czasami trzeba podejmować trudne decyzje. To przypomniało Casey, poco tu przyjechała.

- Na przykład o zakończeniu śledztwa?

-Dlaczego odnoszę wrażenie, że pani nie zgadza się z moimi wnioskami? - spytał szeryf.

-Proszę pamiętać, że nie byłem sam.

Inni też uczestniczyli w dochodzeniu -nawet mój syn, taki uczuciowy. On też uważał, że to samobójstwo, czyste i proste.

Samobójstwo nigdy nie jest czyste i proste.

W swoim zawodzie Casey zdążyła się tego nauczyć.

Miała także dość doświadczenia, by wiedzieć, że kobieta tak zdesperowana jak Jenny Clyde rzeczywiście mogła się zabić.

Ale Casey też była zdeterminowana.

Ojciec ją prosił, by pomogła Jenny.

Nie mogła tego zrobić, jeśli Jenny nie żyje.

To prawda, nie przeczytała zakończenia Flirtu z Pete'em, niewiedziała nawet, czy istnieją jakieś dalsze strony.

Ed O'Keefe nie ruszył się z miejsca.

- Dlaczego pani myśli, że nie zginęła?

-Nie wiem - odrzekła Casey, rozluźniając się nieco.

-Zastanawiałam się tylko nad brakiem ciała. Wiem o rzece i wiem o

potworze z kamieniołomu.

Ale czy nie jest możliwe, że Mary Beth Clyde wyszła z wody i uciekła?

- A dokąd by poszła?- spytał szeryf. -Nie miała żadnych przyjaciół. Nie miała pieniędzy.

Nie znała niczego poza Walker.

- Może pojechała z Miriam Goodman?

Splótł ręce na piersi.

- Po pierwsze, Miriam była tu w mieście, gdy Mary Beth zniknęła.

Przeniosła się na zachód dopiero po paru tygodniach.

I wiem, co pani myśli.

Pani myśli, że gdzieś się schowała, a potem dołączyła do Miriam? -

Pokręcił głową. -Sprawdziłem. Darden mnie zmusił. Myślał tak samo jak pani. Stuknięty człowiek.

- Ostatnie słowa wymruczał pod nosem.

Casey spróbowała z innej strony.

- Przypuścmy, tylko przypuścmy, że przeżyła.

Czy niebyło innych krewnych, z którymi mogła zamieszkać?

- Nie.

-Kogoś, z kim mogła się porozumieć w ciągu lat, które minęły od jej zniknięcia?

- Nie.

-Chłopaka?

- Nie.

-Żadnego oparcia?

- Jedynie Miriam.

Powiedziałem, że sprawdziłem to tylko dlatego, że Darden nie dawał mi spokoju.

A w ogóle, to po co pani chce to wszystko wiedzieć?

Pisze pani książkę?

Być może udzieliłaby tej samej odpowiedzi co w redakcji gazety, gdyby obok nie stała Dot O'Keefe.

Nie potrafiła kłamać przy Dot.

- Nie - odparła cicho. - Nie piszę książki.

Przeczytałam historię przypadku.

To wszystko.

Pożałowała, że użyła tych słów, gdyż szeryf nagle się wyprostował.

- Jaką znowu historię przypadku?

-Może nie historię przypadku.

Może dziennik.

Niewykluczone także, że to beletrystyka. - Zniechęcona, spojrzała na tryptyk nad kominkiem.

Mimo śniegu i zawiei wynikało z niego coś pozytywnego, bo gospodarstwo, przedstawione mgliście i w odcieniach czerwieni, wabiło przez burzę śnieżną. - Prawdopodobnie opowiadanie -mruknęła, podchodząc do kominka.

Spojrzała na mniejsze fotografie rodzinne, stojące na półce pod tryptykiem.

Na jednej była córka, jej mąż i dwoje dzieci.

Na drugiej kolejna córka, jej mąż i troje dzieci.

Była też fotografia ich wszystkich, z Dot i Edmundem oraz innymi krewnymi.

Znajdowała się tam też jedna przedstawiająca obie córki, Dot i Eda oraz mężczyznę, który - jak sądziła Casey - był synem, Danem.

- O rany! - Aż się zachłysnęła i przycisnęła ręce do piersi. -O rany!

Dot podeszła bliżej.

- Co się stało?

Był to Jordan. Jej ogrodnik. Mężczyzna, który od siedmiu lat pracował dla Conniego.

Który często wydawał się zbyt mądry jak na zwykłego ogrodnika.

Który nie spotkał jeszcze swej wyśnionej dziewczyny.

Którego ojciec był policjantem.

Którego nazwiska nie znalazła nigdzie w papierach Conniego.

Tylko Daisy's Mum.

- O rany! - wymknęło jej się ponownie, tym razem niechcący, bo pomyślała o czymś innym, co spowodowało, że jej mózg pracował na najwyższych obrotach, próbując powiązać fakty, uchwycić ich znaczenie.

- Czy coś się stało? - spytała Dot ponownie.

Casey z trudem udało się uśmiechnąć.

- Och, nie - powiedziała słabym głosem. - Nic się nie stało. Po prostu przypomina mi jednego znajomego. Dumna matka uśmiechnęła się do fotografii.

- Przystojny, prawda?

Casey wróciła do samochodu najszybciej jak mogła.

Przez moment grzebała w torbie, po czym z kieszeni wczorajszych

spodni wyciągnęła wizytówkę, którą wsunęła tam, wychodząc z Daisy's Mum.

Gdy ją brała, spodobało jej się logo, ale nie zwróciła uwagi na resztę.

Teraz, ruszając sprzed brązowoszarego wiktoriańskiego domu z ładnymi kremowymi okiennicami, trzymając kierownicę i dłonią przyciskając do niej wizytówkę, przyjrzała się dokładniej.

Na dole znajdował się numer telefonu i nazwisko właściciela: D. O'Keefe.

Wczoraj nie zamigало jej żadne czerwone światełko.

W książce telefonicznej Bostonu były setki O'Keefe'ów.

Poza tym zakładała, że D. to Daisy.

Pomyliła się.

Zakładała także, że Dan to Daniel. Także i to było błędne. Co jeszcze się nie zgadzało?

Podczas jazdy na południe przez głowę przebiegały jej dziesiątki możliwości.

Powolne tempo jazdy na pierwszym odcinku drogi nie pomagało.

Wysłuchiwała wiadomości nagranych przez przyjaciół w poczcie głosowej, zadzwoniła do domu opieki.

Jej zniecierpliwienie rosło, nie wytrzymała biernego czekania za powolnymi niedzielnymi kierowcami, więc parokrotnie zatrąbiła i wyprzedziła kilka samochodów na wąskiej drodze, potem zaś, gdy wyjechała na autostradę, dodała gazu.

Chciała znaleźć się na powrót w Bostonie, i to jak najszybciej.

Po czterech i pół niekończących się godzinach od chwili opuszczenia domu O'Keefe'ów przejechała przez most Tobie i znalazła się w Bostonie.

Było późne popołudnie.

Ruch uliczny nieco ją przyhamował.

Jechała na Beacon Hill, ale nie do domu.

Pojechała wprost do Daisy's Mum, wcisnęła miatę w niewielkie miejsce parkingowe i przeszła na drugą stronę ulicy.

Sklep był już zamknięty, ale tego się spodziewała.

Znacznie bardziej interesowały ją drzwi do domów po obu stronach.

Na jednej widniała tabliczka z nazwiskiem Owens, podeszła więc do drugich.

O'Keefe - przeczytała na tabliczce.

Wściekła, zadzwoniła, potem czekała z rękoma na biodrach, pochyloną głową i zaciśniętymi ustami.

- Tak? - usłyszała głos przez domofon. Jego głos.

- To ja - powiedziała. - Wpuść mnie.

Nastąpiła króciutka przerwa, świadcząca o tym, że on także rozpoznał jej głos.

Odezwał się brzęczyk, odblokował zamek w drzwiach.

Po sekundzie biegła już na górę po kamiennych stopniach, tak starych, że wytartych w środkowej części.

Stał w otwartych drzwiach na pierwszym piętrze, wsparty pod boki.

Oświetlony od tyłu, wydawał się większy i bardziej imponujący niż kiedykolwiek.

Im bardziej się do niego zbliżała, tym więcej widziała szczegółów.

Miał na sobie podkoszulek i szorty.

Na szczęce widniał cień zarostu, włosy miał potargane, stopy bose.

Zatrzymała się tuż przed podestem, bo przyszło jej do głowy, że jego matka miała rację - jest bardzo przystojny.

Zresztą Casey od początku też tak myślała.

Przystojny, seksowny, doskonały ogrodnik, doskonały kochanek - Jordan.

Jeśli właściwie odczytała wyraz jego ust, on także był zdenerwowany.

Nie wiedziała, z jakiego powodu.

Przecież to ją wystrychnięto na dudka.

Jakby ukłuta ta myślą, wspięła się na ostatni stopień i podeszła wprost do niego.

- Właśnie spędziłam fascynujący dzień w mieście zwanym Walker - powiedziała.

- Pojeździłam sobie, obejrzałam, co było do obejrzenia, zjadłam świetny omlet z mielonym mięsem i serem w kawiarence.

I odwiedziłam twoich rodziców.

- Wiem - odrzekł krótko. - Właśnie dzwonili.

Nie zamierzała pozwolić się zastraszyć emanującej z niego irytacji.

- Mówili o swoim synu Danie- kontynuowała - ale nie skojarzyłam faktów, póki nie zobaczyłam zdjęcia na półce nad kominkiem.

Pozwoliłeś mi myśleć, że jesteś ogrodnikiem.

- Jestem ogrodnikiem.

-Niewątpliwie na takiego wyglądałeś - nieogolony, w podartych dżinsach, ubłoconych butach. Podejrzany – tak o tobie myślałam. Nie powiedziałeś mi, że jesteś policjantem.

- Nie jestem policjantem.

-Ale byłeś -wypomniała mu. - Zapytałam cię o to, a ty zaprzeczyłeś.

- Zapytałaś, czy chciałem być policjantem - poprawił.

-Odpowiedziałem, że nie, i taka jest prawda. Nie znosiłem tego. Po co pojechałaś do Walker?

- Po wyjaśnienie - powiedziała.

- Jesteś sentymentalny, by zacytować twego ojca.

Za miękki.

Więc próbowałaś pomóc Jenny Clyde.

Zachęcałaś ją, żeby wyjechała z miasta, zanim jej ojciec wyjdzie z więzienia, ale nie miała dość odwagi.

Więc została i stało się coś strasznego.

W policzku Jordana zadrżał mięsień.

-Widziałaś dziennik.

- Widziałam dziennik.

Nie byłam pewna, czy to wszystko zdarzyło się rzeczywiście, ale musiało, bo ojciec poprosił mnie, bym pomogła Jenny, a ja chciałam zrobić mu przyjemność.

To pierwszy raz, kiedy poprosił mnie o cokolwiek.

Cokolwiek.

Jednak kartki, które znalazłam, nie zawierały końca opowieści, więc zaczęłam szukać.

Little Falls nie ma już na mapie. Trochę trwało, zanim je znalazłam. Nie mogłeś mi powiedzieć?

Podniósł dłoń.

- Chwileczkę. Nie pytałaś.

- Byłeś ogrodnikiem! - zawołała, czując się dotknięta tym faktem bardziej niż czymkolwiek innym. -Jak mogłam pytać cię o Jenny Clyde? Zakładałam, że kartki, które mam, są poufne.

- Skoro tak, to po co pytałaś ludzi w Walker?

-Nie mówiłam im, co przeczytałam. Chciałam ją znaleźć, to wszystko.

- Kogo pytałaś?

-Jakie to ma znaczenie?

- Ma. Muszę wiedzieć, z kim się spotkałaś i co powiedziałaś. Rzeczywiście mówił teraz jak policjant. Tylko że już nim nie był. A Casey chciała znaleźć najpierw odpowiedzi na własne pytania.

- Czy Jenny nie żyje?

-O to właśnie pytałaś?

- Wszyscy uważają, że nie żyje - powiedziała, zamiast odpowiedzieć.

Jordan nabrał powietrza, poruszając prawym ramieniem.

Gdy wypuścił powietrze, wydawało się, że razem z nim uchodzi z niego rozdrażnienie.

Przezesął włosy palcami.

- Och, Casey - powiedział tonem rozpaczy- czy musiałaś tam popędzić?

Jego ton częściowo ją rozbroił.

- Tak - odparła z przekonaniem. - Nie wiedziałam, jak inaczej znaleźć odpowiedzi na wiele pytań.

Masował sobie ramię, którym przed chwilą poruszał.

- Ale ich nie znalazłaś. Rozbudziłaś tylko duchy przeszłości.

- Nieprawda - protestowała zdziwiona. - Zadawałam pytania, a potem wyjechałam.

Jego uśmiech był niewesoły.

- Najwyraźniej nigdy nie mieszkałaś w małym miasteczku.

Dzwonił właśnie tata i powiedział mi nie tylko to, że byłaś u nas w domu.

Po Walker już się rozchodzi wiadomość.

Założę się, że do rana wszyscy w miasteczku będą wiedzieć, że tam byłaś i po co.

- Zadawałam tylko pytania.

-Rozbudzałaś wątpliwości.

Ile razy mamy do czynienia z gwałtowną śmiercią i brakiem ciała, które by o niej świadczyło, budzą się wątpliwości. Śmierć Jenny już poszła w niepamięć. Ty ją stamtąd wyciągnęłaś.

Gdyby krzyczał, spierałaby się bardziej zdecydowanie.

- A co w tym złego? - spytała ostrożnie.

Jordan przyglądał jej się przez chwilę.

Potem ruchem głowy wskazał pokój za sobą i powiedział z rezygnacją:

- Chodź. Sama sobie poczytasz.

Weszła do środka.

Gdy tylko zamknął za nią drzwi, ruszył do następnego pokoju.

Znalazła się w dużym wnętrzu, urządzonej skromnie, ale ładnym i czystym.

Nie widziała obrazów ani na ścianach, ani na sztalugach.

Poza książkami o sztuce, ułożonymi w stosik na prostym drewnianym stoliku, nic nie świadczyło, że interesowało go malarstwo, a tym bardziej że to on namalował obrazy, które widziała w domu jego rodziców.

Casey przeknęła ślinę. Objęła się ramionami.

Nikt jej nie musiał mówić, że Jordan jest właścicielem tego mieszkania, tak samo jak sklepu na dole. Był tu u siebie. Starła się oswoić z myślą, że jej niegrzeczny chłopiec, ogrodnik, to mężczyzna o większych talentach i umiejętnościach, niż początkowo sądziła.

Zamierzała zaszokować Conniego romansem z tym człowiekiem? Ale kawał!

Tylko że to z niej można się śmiać.

Connie niebyły zbulwersowany, bynajmniej.

Czy nie poprosił, przez prawnika, by zatrzymała ogrodnika?

Można nawet uznać, że to Connie ich połączył.

Uznała tę myśl za upokarzającą, ale nie zdążyła głębiej się nad nią zastanowić, ponieważ Jordan wrócił do pokoju z dużą brązową kopertą.

- Chyba właśnie tego d brakuje.

Rozdział dziewiętnasty

LITTLEFALLS

Jenny trzymała głowę prosto i prawie unosiła się nad ziemią, idąc wzdłuż drogi i przecinając powietrze tak przezroczyste, że niemal iskrzyło.

Mgłę, która zalegała nad miasteczkiem przez całą noc, słońce już rozgoniło, oferując jej wyrazisty obraz mijanych miejsc.

Jenny nie marnowała tej okazji.

Wzrokiem szukała ludzi, których zazwyczaj unikała.

Zobaczyła Angie Booth i jej dwa kundle, zamarłe w ciszy na widok uśmiechu Jenny.

Podobnie Hester Johnson i jej siostrę, znieruchomiałe, kiedy wyciągały pocztę ze skrzynki na listy koło krzywej, zardzewiałej bramy.

Nick Farina gapił się bez słowa i to trochę wytrąciło Jenny zrównowagi, ale tylko na chwilę, póki nie przyszedł jej na myśl Pete.

Wtedy uśmiechnęła się również do Nicka.

Niespodziewanie zaczęła nucić.

Była to jedna z piosenek, do których tańczyli z Pete'em w Giro's.

Szła dalej w rytm muzyki.

Z naprzeciwka nadjechał samochód Merle'a Little'a, minął ją i zwolnił.

Wyobraziła sobie, że Merle'a zaskoczył jej uśmiech, ale się nie odwróciła.

Zamiast tego uśmiechnęła się do Essie Bunch, która widząc ją, przerwała zamiatanie werandy.

Choć nie dojrzała Websterów, Cleegówani Myry Ellenbogen, przesłała uśmiech również w kierunku domów rozbrzmiewających dźwiękami telewizora i z przyjemnością wyobraziła sobie ich zaskoczone twarze. Skreśliła w Main Street, gdzie ci sami ludzie co zawsze zaparkowali te same samochody w tych samych miejscach.

Przeszła pod ciemnozielonymi markizami z dużymi białymi literami, koło tych samych ludzi, siedzących znów na tych samych ławkach.

Mimo wszystko trudno jej było wyzbyć się starych przyzwyczajzeń.

Nadrabiając miną, czuła się niepewnie, gdy wszyscy z tak bliska ją obserwowali.

Dzisiaj nie spuściła jednak głowy, nie odwróciła wzroku.

Przypominając sobie, jaką kobietę pomógł jej odnaleźć Pete w niej samej, spojrzała im w oczy i uśmiechnęła się.

Doszła do ostatniej przecznicy, skreśliła w prawo i zatrzymała się pod szyldem Neat Eats.

Miriam była w kuchni, nadziewała właśnie farszem cannelloni.

Podniosła wzrok.

Jej dłonie znieruchomiały. Minęło parę taktów skocznej piosenki country, gdy wreszcie łokciem nacisnęła guzik radia, wyłączając muzykę.

- Jenny, znów wydajesz się zmieniona, i tym razem to nie tylko fryzura. - Odłożyła tubę z farszem. - Dzisiaj Darden wraca do domu, prawda?

Ty tymczasem wydajesz się w dobrym humorze.

Nawet. szczęśliwa?

Jenny rzeczywiście była szczęśliwa. I to jak.

To, czego tak długo się obawiała, wreszcie nadeszło, ale sytuacja nie była wcale tak ponura, jak to przewidywała.

Wybór.

To był klucz.

Teraz miała wybór.

- Chcę, żebyś wiedziała, zanim dowiesz się od innych.

Wyjeżdżam z Little Falls.

- Żartujesz.

- Wcale nie. - Jenny się uśmiechnęła. Jadę z Pete'em.

Pamiętasz, mówiłam ci o nim.

- Jasne, że pamiętam.

To facet w skórzanej kurtce i wysokich butach, motocyklista. Jenny, czy ty go dobrze znasz?

Jenny narysowała serduszko w warstwie cukru pudru zaścielającej brzeg stołu.

- Wystarczająco dobrze.

Poza tym nie jest motocyklistą, nie tak, jak myślisz. Ma motor, ale nie jeździ z bandą. To najmiłsza osoba, jaką kiedykolwiek spotkałam. Daje mi prezenty i zabiera mnie w fajne miejsca.

W niedzielę wieczorem pojechaliśmy do Giro's.

- Hej, ja też tam byłam.

Kiedy przyjechaliście?

- Późno. Około północy.

- Żartujesz?

Ja byłam tam od jedenastej do pierwszej.

Zobaczyłabym cię.

- No to może było w pół do drugiej.

Nie pamiętam, tyle się działo tamtej nocy.

- Wspomnienie przywołało rumieniec na jej twarzy.

Miriam zerknęła przez okno.

- Jest tu?

-Nie, został w domu, przygotowuje się do wyjazdu.

- Ale chciałabym go poznać.

Jenny nie zamierzała ryzykować.

Pete był jej zbawcą.

Jej dumą i radością, życzeniem jej serca.

Nie chciała, by ktokolwiek go spotkał i zaczął krytykować tylko dlatego, że był jej narzeczonym.

- Nie da rady.

Wyjeżdżamy dziś wieczór – powiedziała Jenny.

- Dziś wieczór! Ojej! Po czym dodała ostrożnie: - Czy twój ojciec wie?

Jenny znów wodziła palcem po stole, tym razem rysując w cukrze serce przebite strzałą.

- Jeszcze nie. Ale poczekamy na jego powrót. - Lotki strzały jej się nie udały, więc starła cały rysunek. Nie szkodzi. Nie musiała rysować obrazków, w sercu miała wyryty oryginał.

-W każdym razie chciałam tylko powiedzieć, że nie przyjdę już do pracy.

- Nie szkodzi. Jak już ci mówiłam, zamykam interes.

- Chciałam ci podziękować. Byłaś dla mnie miła.

Miriam ściągnęła wargi. Wytarła ręce w fartuch i objęła Jenny tak mocno, jak tylko mogła, nie brudząc jej cukrem pudrem. Potem przytrzymała ją w wyciągniętych ramionach.

- Dokąd jedziecie?

-Do jego rodzinnego rancza w Wyoming.

Może zajrzysz do nas, jeśli będziesz tamtędy przejeżdżać.

- Jak nazywa się ranczo?

- South Fork.

- Miriam miała sceptyczny wyraz twarzy, więc Jenny wyjaśniła: - Ta nazwa to od rozstajów na drodze, kawałek na południe od Montany.

- Cóż, brzmi ekscytująco.

Powodzenia.

Słuchaj, jeśli chcesz, żebym ci napisała list polecający, to nie ma problemu.

Wspomnę, jaki znakomity z siebie pracownik.

- Och, nie będę pracować.

Pete ma pieniądze, a poza tym będę zajęta na ranczu.

Miriam uścisnęła ją serdecznie.

- Cieszę się za ciebie.

Dobrze, że wyjeżdżasz. Potrzebujesz zmienić otoczenie. Mam nadzieję, że wszystko dobrze pójdzie z tym facetem.

- Pete? - spytał Dan O'Keefe.

Dłoń oparł na otwartych siatkowych drzwiach wiodących do pomieszczenia w jego garażu, które służyło za biuro szeryfa Little Falls. Drzwi od zewnątrz obrastał bluszcz, czyniąc miejsce trochę bardziej przyjaznym.

Ten sam, o którym wolebnny Putty mi wczoraj opowiadał?

Jenny zerknęła mu przez ramię na biurko, na półki z książkami, szafki i sprzęt komputerowy, wszystko to stłoczone na niewielkiej przestrzeni.

Nie pozwoliła, by zwątpienie w jego głosie zepsuło jej dobry nastrój.

- Zabiera mnie ze sobą do Wyoming.

Czekamy tylko, aż Darden wróci do domu.

- Przyjeżdża autobusem?

-Uhm.

- Tym o osiemnastej dwanaście?

- Dan otworzył szerzej drzwi i zaprosił ją do środka ruchem głowy.

Porozmawiajmy o tym.

Pewność siebie Jenny ulotniła się.

Biuro szeryfa przywoływało wspomnienia, do których nie chciała wracać.

Nie zamierzała wchodzić do środka.

Wystarczyło, żeby zerknęła do pomieszczenia przez ładne obramowanie z bluszczu, a już poczuła się marnie.

Dan zawsze jednak traktował ją lepiej niż pozostali.

Chciała, żeby zauważył, że teraz jest spokojna, że wie, co robi, że nie oszalała.

Chciała, żeby zobaczył ją szczęśliwą.

Stał kurz z siedzenia drewnianego krzesła stojącego przed biurkiem i oczyścił z papierów kawałek blatu.

Stała za krzesłem, wbijając palce w oparcie.

- Nie siądziesz?

Pokręciła głową, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się przeprasząco.

- Byliśmy dla ciebie nieprzyjemni, prawda?

Wyglądałaś wtedy na więcej niż osiemnaście lat.

Trudno pamiętać, że miałaś tylko tyle.

Czy Darden wie, że wyjeżdżasz?

- Jeszcze nie.

-Wie o istnieniu Pete'a?

- Jeszcze nie.

-Nie będzie zadowolony.

Jenny poczuła cień dawnej paniki.

Ta stara panika rodziła się jednak nie tyle ze strachu, ile z poczucia winy i zagubienia.

Teraz miała Pete'a, żeby pomógł jej przewyciężyć strach, i choć wina została, poczucie zagubienia zniknęło. Nie zostanie z Dardenem. Nie będzie żyć w ten sposób. Pete dał jej możliwość wyboru. Wiedziała, co ma robić.

Głosy ucichły.

Wyprostowała się, wzięła głęboki wdech i dodała z uśmiechem:

- Powiedziałałam, że będę tutaj, kiedy wróci, więc będę.

Ale potem wyjeżdżam.

Był w więzieniu przez sześć lat.

Ja też.

On wychodzi na wolność, więc ja też.

Chce wrócić do domu, ja chcę wyjechać.

Mam dwadzieścia cztery lata.

Mam prawo decydować, co chcę zrobić z resztą mojego życia.

- Nie musisz mnie przekonywać - odparł Dan.

- To ja mówiłem ci, żebyś wyjechała.

Żałuję tylko, że nie zdecydowałaś się na to wcześniej, nie zostawiłaś go daleko za sobą.

Jenny nie martwiła się tym.

- Nie znajdzie mnie.

-Cóż, nie ma prawa opuszczać stanu bez zezwolenia.

To jeden z warunków jego zwolnienia.

- Potarł bark, jakby go bolał.

-Oczywiście i tak może wyjechać, ale jeśli to zrobi, my ruszymy za nim w pogoń.

Powiedz mi mniej więcej, gdzie będziesz, to zaalarmuję władze, jeśli

pojawi się jakiś problem.

Pokręciła głową. - Ciebie pierwszego Darden zapyta. -Nigdy bym mu tego nie zdradził.

Wiesz, że jestem po twojej stronie. - Uniósł brwi. -Myślisz, że podda mnie torturom, żebym się złamał? - Zachichotał. -Jestem wyższy i silniejszy od niego. Poza tym reprezentuję prawo. Nie podniesie na mnie ręki.

- Ludzie robią różne głupie rzeczy, jeśli są zdesperowani.

-Darden nie jest aż tak szalony.

- To zły człowiek.

Sam to powiedziałeś.

Poza tym – dodała nagle pobudzona - będziemy długo w drodze.

Może upłynąć sporo czasu, zanim oboje z Pete'em dotrzemy na miejsce.

- Chyba powinienem poznać tego Pete'a.

Wtedy mógłbym go bronić, jeśli Darden zacznie wrzeszczeć, że zabrał cię przemocą.

Jest gdzieś w pobliżu?

Było wpoł do dwunastej.

Pete może jeszcze spać. Albo brał prysznic. Albo robił pranie.

Jenny zaproponowała, że upierze mu ubrania, ale odmówił.

Powiedział, że po całych dniach jazdy pralka i suszarka do dyspozycji to wystarczający luksus i że Jenny nie będzie jego niewolnicą.

Wziął nawet kilka jej ubrań do prania ze swoimi.

Ostatnim razem ktoś jej coś uprał, kiedy miała dziewięć lat.

- Jeździ na motocyklu? - spytał Dan z kpiącym uśmiechem.

-Wydaje mi się, że parę lat temu sama chciałaś mieć motor. Kiedy to było.

jakieś trzy, cztery lata temu, kiedy wnuk Nicka Fariny przyjechał takim do miasta?

Stary Nick prawie oszalał.

Nienawidził hałasu, nienawidził wyglądu maszyny, a tobie ślinka ciekła za każdym razem, kiedy go widziałaś.

Tego stary Nick też nienawidził.

Prawie dostał ataku serca, kiedy jego wnuk zastanawiał się, czy ci go nie sprzedać.

Myślę, że Nick wolałby się przeprowadzić, niż co dnia słyszeć motocykl.

To dziwne, nie skarżył się na motor Pete'a.

Jenny się uśmiechnęła.

- Jeśli jedziesz dość szybko, nikt cię nie słyszy ani nie widzi.

- Nigdy o tym nie słyszałem, Jenny Clyde.

- Dan obserwował ją, dając do zrozumienia, że nie jedno wie o różnych sprawach, a Jenny przez krótką chwilę chciała go uściskać za to, że był miłszy niż inni.

Bała się jednak, jak to przyjmie, a potem ochota jej minęła.

Znów potarł bark, marszcząc brwi.

- Martwię się o ciebie.

Wielebny Putty mówi, że cały dzień włóczysz się po domu w koszuli nocnej.

Jenny uśmiechnęła się figlarnie.

- Wielebny Putty się myli.

Włożyłam koszulę nocną, dopiero kiedy przyszedł. - Czekala chwilę, żeby się upewnić, czy Dan zrozumiał, co chciała powiedzieć, potem ruszyła do drzwi. - Muszę lecieć. Przyszłam się tylko pożegnać. Przykro mi, jeśli mój wyjazd przysporzy ci więcej pracy.

- Mnie?

- Z Dardenem.

- Już ja się nim zajmę.

Kiwnęła głową, przesłała mu ostatni uśmiech i wyszła.

Kiedy dotarła do szkoły, zegar pokazywał jedenastą pięćdziesiąt.

Było ciepło. Zdjęła bluzę i zawiązała ją wokół talii, a potem usiadła na skrawku kamiennego murku otaczającego boisko.

Uśmiechała się, przez dziesięć minut przywołując wspomnienia z najwcześniejszego dzieciństwa.

Nie szkodzi, że były częściowo rzeczywiste, a częściowo wymyślone.

Ludziom potrzebne są szczęśliwe wspomnienia, tak jak potrzebują kochających babć i ciotek.

Równo w południe zadzwieczał dzwonek. Joey Battle wybiegł ze szkoły jako jeden z ostatnich. Kłócił się zaciekle z innym chłopcem, który w końcu zdzielił go i odbiegł.

Joey pozbiierał się z ziemi, rzucając tamtemu mordercze spojrzenie, gotów ruszyć w pogoń, kiedy nagle zobaczył Jenny.

W miarę jak się zbliżał, zły wzrok zamienił się w pełen bólu.

Idąc u jego boku, zdjęła mu bejsbolówkę, żeby zobaczyć oczy.

-O co poszło?

- Nazwał mnie mutantem.

-Bycie mutantem nie jest takie złe, jeśli znaczy, że jesteś inny niż on. To łobuz.

Od razu widać.

- Dzieci go lubią bardziej niż mnie.

-Nie lubią go. Tylko się go boją. - Chciałbym, żeby mnie też się bali.

-Nieprawda.

Chcesz, żeby cię lubili. Polubią.

- Kiedy?

-Kiedy i ty ich polubisz. To zaraźliwe.

Kopnął leżący na drodze żołądź.

- Czy dzieci cię lubiły?

-Niektóre.

- Bo ty je lubiłaś.

-Tak.

- To dlaczego teraz cię nie lubią?

-Może dlatego- powiedziała - że się mnie boją.

- Ja się ciebie nie boję.

To był jeden z powodów - nawet pomijając podobny wygląd - dla których się przyjaźnili.

Żałowała, że nie może go ze sobą zabrać, ale nie miała takich możliwości.

Chciałaby mu ułatwić życie tutaj, ale tego też nie mogła zrobić.

Mogła mieć tylko nadzieję, że zapamięta ją jako kogoś, kto go kochał - zastępczą matkę, ciocię, siostrę, co sobie wybierze - i będzie się uśmiechał czasem do swych wspomnień.

Pogłaskała czubek bejsbolówki kryjącej krótkie kosmyki rudych włosów, pozostałości po lokach, obciętych przez Selenę.

Opuściła rękę i palce Joeya znalazły jej dłoń.

Wzięli się za ręce.

Natychmiast poczuła, że zalewają falą czułości.

- Dlaczego tu przyszedłeś? - zapytał.

- Muszę się pożegnać. Wyjeżdżam.

Spojrzał jej w oczy.

- Gdzie jedziesz?

-Do Wyoming.

- Kiedy wrócisz? - To było raczej oskarżenie niż pytanie. Nie mogła wyznać mu prawdy.

Poczuła się winna i ogarnął ją smutek.

- Niezbyt szybko -odparła.

-Kiedy?

Jak wytłumaczyć dziecku?

- Nie chcę, żebyś jechała załam.

Ból serca się nasilił.

- To dlatego, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Dlaczego jedziesz?

-Bo muszę.

- Dlaczego?

-Bo spotkałam mężczyznę.

Joey wyrwał rękę z jej dłoni i odbiegł.

Jej nogi były jednak dłuższe niż jego. Szybko go dopadła.

- Zawsze to samo! - krzyknął, kiedy go zatrzymała. -Najpierw mama, teraz ty.

- Nie.

-Tak.

- Nie. -Jenny uklękła i przytrzymała go. - Nie. To nie to samo.

Ja nie mogę zostać, Joey. Mój ojciec wraca.

- No to co? Powiedziałaś, że nie zabił twojej mamy.

- Nie zabił.

Ale zrobił inne rzeczy.

Robi inne rzeczy.

Nie mogę zostać.

- Zabierz mnie ze sobą.

-Nie mogę.

- Dlaczego nie?

-Bo nie mogę.

- Dlaczego nie? - krzyknął.

Przyciągnęła go bliżej i przytuliła tak, jak przytuliłaby własne dziecko, i przez tę krótką chwilę poddała się bólowi rozstania. Poczuła ucisk w gardle, oczy wypełniły się łzami. Nie wiedziała, że istnieje taki smutek. Ogarnął ją śmiertelny lęk. Upłynęła chwila, zanim zdołała

wyszeptać:

- Tak chciałabym ci wytłumaczyć, ale jesteś za mały, a poza tym nie znalazłabym słów.

-Czy Wyoming jest daleko stąd?

- Tak.

-Czy kiedyś wrócisz?

Zawahała się, po czym spokojnie powiedziała:

- Nie.

-Nigdy cię już nie zobaczę?

Odsunęła go trochę, żeby widzieć jego twarz, piegowatą, brudną buzię umazaną teraz łzami.

- Zobaczysz.

Ale nie tu.

- Gdzie? - Gdzieś indziej.

-Gdzie?

- Nie wiem.

-To skąd wiesz, że się w ogóle zobaczymy?

Jenny przyszedł na myśl Pete - pojawił się właśnie wtedy, kiedy straciła nadzieję - i nagle poczuła pewność.

- Po prostu wiem - powiedziała spokojnie.

Wydawał się wstrzymywać oddech.

- Jesteś pewna?

Skinęła głową.

Uśmiechnęła się.

- To będzie niespodzianka.

Nie będziesz się mnie spodziewał, a nagle będę pojawię się.

Naprawdę.

Tak to już będzie.

- Może w przyszłym roku?

-Może.

- Albo kiedy będę duży?

-Kto wie.

Przesunęła kciukami po jego twarzy, żeby zetrzeć łzy.

Nagle jego oczy się rozjaśniły.

- Kiedy to będzie, zabierzesz mnie do Chucke. Cheese?

Potaknęła.

- Dobra - powiedział z uśmiechem. Potem oddalił się tanecznym

krokiem.

- Muszę lecieć.

Jenny patrzyła, jak biegnie w dół ulicy, unosząc ze sobą kawałek jej serca.

Ból był ostry i piekący, ujarzmiony tylko wielką siłą woli.

Potem - pozwalając sobie wyłącznie na dobre myśli - ruszyła do sklepu.

Kupiła ziemniaki, marchewkę i mięso na gulasz.

Kupiła tapiokę, batony Rice Krispies i cukierki ślazowe.

Pozwoliła sobie na szaleństwo, kupując dla siebie i Pete'a na obiad gotowe kanapki.

Potem wzięła jeszcze dwie na zapas.

Do kompletu dorzuciła torebkę precli.

- Wygląda na to, że organizujesz przyjęcie – powiedziała Mary McKane, gdy Jenny płaciła przy kasie.

-Może – odparła Jenny, biorąc torbę w ramiona.

Myśl, że pojedzie z Pete'em na kraniec ziemi, sprawiła, że przez całą drogę powrotną szła uśmiechnięta.

Dopiero kiedy dom pojawił się w polu widzenia - choć był jeszcze daleko -poczuła niepokój.

Przyspieszyła kroku.

Była coraz bardziej zdenerwowana.

Przełożyła torbę na drugie ramię i zaczęła iść szybciej.

Prawie biegiem wpadła na podjazd i zobaczyła motocykl stojący koło garażu.

Nawet wtedy jednak nie poczuła się lepiej, odetchnęła dopiero, kiedy weszła do kuchni i zobaczyła Pete'a przy kuchence.

Z ulgą oparła się o ścianę.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie.

- Myślałaś, że odszedłem - skarcił ją, biorąc od niej torbę. - Ale ja nie odejdę.

Powiedziałem ci już.

Nie odjadę bez ciebie.

Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć?

- Bo czasem nie mogę uwierzyć, że naprawdę istniejesz.

-Czy nie wyglądam na prawdziwego?

- Wyglądasz.

Położył jej rękę na swojej piersi.

- Czy czujesz, że jestem prawdziwy?

Poczuła bicie serca.

Potaknęła.

- Czyli?

"Powiedz mu, Jenny".

Nie mogę.

"Powiedz mu całą prawdę". Nie mogę zaryzykować. "Kocha cię".

Ale czy kocha wystarczająco?

Zakryła twarz dłonią.

Odsunął ją, po czym przyciągnął bliżej i szepnął w słodkie ciepło jej rudych włosów:

- Przygotowałem gorącą czekoladę na przeprosiny, bo zaspałem na śniadanie.

Ale jest tak gorąco, że może wolałabyś napić się czegoś zimnego?

- Uwielbiam gorącą czekoladę.

-Tak sądziłem - powiedział z uśmiechem, który podciął jej nogi w kolanach i zamącił w głowie.

- Masz trzy wielkie puszki kakao w szafce.

- Napiję się teraz chętnie.

-Nie jest ci za gorąco?

Pokręciła głową, siadła przy stole i czekając na kubek czekolady, wyobraziła sobie, że za oknem pada śnieg.

Przez pierwsze miesiące po śmierci matki Jenny mieszkała głównie w kuchni, wolnym pokoju na piętrze i na strychu.

Dan przysłał kogoś, żeby zmył krew w salonie, ale nie potrafiła się zmusić, żeby tam zajrzeć.

Sypialnie zaś kryły własne zmyślenia.

Po raz pierwszy znów spędziła noc w swoim pokoju całe dwa lata po tym, jak Darden trafił do więzienia, i to tylko dlatego, że z wolnego pokoju wygonił ją szop.

Najpierw jednak wyszorowała sypialnię od sufitu do podłogi.

Sześć lat później nadal unikała salonu.

Sypialnię rodziców odkurzała dwa razy do roku, poza tym drzwi do niej trzymała zamknięte.

We wtorek po południu otworzyła je na oścież, przyniosła pudła czekające w garażu i wypełniła je rzeczami matki.

Nic nie układała, nie zatrzymała się, by pomyśleć, nie dała się ponieść

wspomnieniom.

Kiedy jedno pudło było pełne, zamykała je i sięgała po następne, cały czas przeklinając Dardena, że zwałił to na nią, że nie miał ochoty sam tego zrobić, pożegnać się ze swoją żoną.

Oczywiście zaplanował to jako karę dla Jenny.

Zdawała sobie z tego sprawę.

To była kolejna z jego gier, mających na celu wzbudzić w niej poczucie winy.

W pewnym stopniu mu się udało.

Nawet w pośpiechu, nawet nie patrząc na bluzki, majtki czy spódnice, nawet mimo rozmów z Pete'em i podjętych postanowień czuła winę i żal.

Nagle wszystko ustało.

Jej mózg zbuntował się i wyłączył.

Poczucie winy, żal i ból wrzuciła do pudła wraz z ubraniami matki, zamknęła wieko i wyszła.

Woda pachniała bżowym płynem do kąpieli.

Piana unosiła się wysoko nad wanną jak obłok, z którego wystawały tylko kolana i głowa Jenny.

Leżała z zamkniętymi oczyma, kiedy Pete zastukał do drzwi.

- Cześć- powiedział.

Uśmiechnęła się wstydliwie, bo mimo wszystko był mężczyzną, poza tym słabo jeszcze znanym.

- Dobrze ci?

Pokiwała głową.

- Dziwnie się czuję.

- Wyjazd cię zasmuca?

-Trochę. To dziwne, prawda?

- Nie, to miejsce było dla ciebie domem przez całe życie.

-Usiadł na brzegu wanny i znalazł w pianie jej palce. – Nie byłabyś człowiekiem, gdybyś nie czuła smutku.

- Która godzina?

-Piąta.

Gulasz prawie gotów. Więc to jest jego ulubione danie?

Owszem: gulasz, pudding z tapioki, batony Rice Krispies i piwo.

- Skoro go nienawidzę, to dlaczego tak się przejmuję?

-Bo jesteś dobra. To pierwszy domowy posiłek, jaki zje po

sześciu latach.

- Nie jestem dobra. Staram się go tylko zmiękczyć. Będzie wściekły, kiedy mu powiem, że wyjeżdżam. Może być niemiło.

- Nie miło?

Tego się nie boję, pod warunkiem że wyjedziemy stąd przed północą. To pora, kiedy motocykl zamienia się w dynię.

Uśmiechnęła się.

- Będę pamiętać. O północy.

Zamknął jej usta pocałunkiem tak namiętnym, że Jenny wczepiła się w jego ramię.

Odsunął się i zaczął się rozbierać.

Kiedy już był nagi, Jenny zrobiła mu miejsce w wannie.

Za chwilę ułożyła się na jego kolanach, zaraz potem był już w niej i chwilę potem Jenny czuła serię małych eksplozji w swej najgłębszej głębi.

"Zapowiedź przyszłych atrakcji" - pomyślała i ta wizja przywołała uśmiech na jej twarz w czasie czułych pocałunków, wychodzenia z kąpieli i wycierania się.

Uśmiech osłabł, kiedy wyciągnęła przyslaną przez Dardena kwiecistą sukienkę, a kiedy Pete odprowadził ją do drzwi - zniknął zupełnie.

- Nie dasz się przekonać, żebym z tobą poszedł? - spytał.

Kręcąc głową, poczuła włosy omiatające jej twarz i przypomniała sobie, że są co najmniej o połowę krótsze, niż Darden się spodziewa. Nie spodoba mu się to.

- Muszę jechać sama.

-Mógłbym przynajmniej cię zawieźć. Być twoim szoferem.

"Gdyby to tylko było możliwe" - pomyślała i ruszyła do garażu.

- Muszę jechać sama.

-Ale nie masz prawa jazdy!

- Umiem prowadzić.

- Co miesiąc przez ostatnie sześć lat zapuszczała silnik buicka i zostawiała go na chwilę na biegu.

Czasem nawet jechała kawałek. Ależ owszem, umiała prowadzić.

Możenie najlepiej, ale droga do miasta była prosta, a Jenny umiała jechać prosto.

- A jeśli ktoś cię zatrzyma?

-Kto?

Jeśli ktoś mnie zobaczy, zadzwoni do biura szeryfa, ale dla szeryfa to pora obiadu, a Dan na pewno będzie czekał na autobus w mieście.

- Tak ci powiedział?

- Nie, ale znam Dana.

Cieszyła się zresztą, że tam będzie. Nie wiedziała, co zrobi Darden, widząc jej włosy.

Jenny była pewna, że jej nie uderzy. To nie w jego stylu. Raczej będzie zerował na jej słabości, obudzi poczucie winy i roznieci je, aż wzmocze się ono dziesięciokrotnie, aż będzie tak przygniatające, że ją zadławi, aż będzie gotowa zrobić wszystko, czego on zapagnie, cokolwiek, co by przyniosło jej ulgę.

Jeśli do tego dojdzie, może zacząć się wahać.

Obróciła się i złapała Pete'ego za ramiona.

- Musisz tu być, kiedy wrócę, obiecaj, obiecaj mi, Pete!

Położył rękę na sercu.

Mogłaby zadać to pytanie jeszcze dziesięć razy, a mimo to nie wierzyć w jego odpowiedź.

Nie dlatego, że mu nie ufała, ale ze strachu przed Dardenem. Musiała jednak ruszać.

Spóźnienie nie wyszłoby jej na dobre.

Wsiadła więc do buicki, przekreśliła kluczyk w stacyjce i włączyła stary silnik.

Po chwili wyjechała na szosę i ruszyła w kierunku miasta.

Rozdział dwudziesty

O osiemnastej dwanaście powinno jeszcze być jasno, ale przez całe popołudnie gromadziły się chmury, które teraz wisiały tak nisko, że zachodzące słońce nie było w stanie się przez nie przedrzeć. Światło było blade.

Jenny najpierw usłyszała zbliżający się autobus, ostrzegawczy, narastający szum.

Niemal czuła zapach diesla i kurzu, zanim jeszcze stały się rzeczywistością, gdy pękaty wehikuł wtoczył się do miasta. Syczący dysząc, autobus zatrzymał się przed buickiem.

Drzwi się otworzyły.

Najpierw nic się nie działo.

Jenny patrzyła na drzwi, patrzyła bez mrugnięcia okiem, starając się złapać oddech.

Przez głowę przemknęły jej wszystkie powody, dla których Darden mógłby nie przyjechać, wszystkie komplikacje, które nie pozwoliłyby mu wysiąść z tego autobusu i o które tak się modliła.

"Boże, proszę, niech pojedzie gdzie indziej". Było jej wszystkojedno gdzie, byle daleko od niej.

Nagle pojawił się i Jenny pękłos erce.

Był ubrany w spodniei sweter, które zawiozła mu na ostatnie widzenie, i niósł worek marynarski ze skromnym dobytkiem.

Zszedł jeden stopień, potem drugi i wreszcie stanął na ziemi, nie odrywając wzroku od Jenny.

Wydawał się stać na nogach dość niepewnie i wyglądał staro jak na swoje pięćdziesiąt siedem lat.

Zastanawiała się, czy jest chory, czy po prostu wolność wytrąciła go z równowagi.

Jej w każdym razie wolność nie wytrąciła z równowagi, wręcz przeciwnie, szła jej na spotkanie z otwartymi ramionami.

Musiła jeszcze tyłkowyttrzymać to spojrzenie.

- Cześć, tato. - Przemierzyła niewielką dzielącąich odległość, pocałowała go w policzek i wzięła torbę. -Jak minęła podróż?

Nie spuszczał z niej wzroku.

Za jego plecami drzwi syknęły, zamknęły się i autobus odjechał.

Darden nawet nie drgnął.

Stał jak porażony.

- Gdzie twoje włosy? – wykrztusił wreszcie zduszonymgłosem.

Wypadek przy pracy, mogła powiedzieć.

Przypalił je płomień z zepsutego palnika gazowego. Miała szczęście, dodałaby.

I tak dobrze, że uszła z życiem, powiedziałyby.

- Obcięłam je- odpowiedziała.

-Ale ja lubię, jak są długie. Chciałem zobaczyć je długie.

Chciałem dotknąć długich włosów, MaryBeth - poskarżył się.

Po cholerę je obcięłaś?

Zraniłam się w rękę - mogła powiedzieć.

Wy tłumaczyłaby, że wobec tego nie mogła myć ani czesać tak długich

włosów, dlatego musiała je obciąć.

Ręka?

A tak, już się zagoiła.

Dziękuję, że pytasz.

- Nienawidziłam, jak były długie. Od.. od zawsze. - Spojrzenie Dardena było tak zabójcze, że pod koniec zdania głośzamarł jej wgardle. - Więc tak mnie witasz?

Po to siedziałem za kratami przez sześć lat?

To mi się należy po tym, jak co noc myślałem o twoich włosach?

Jak mogłaś mi to zrobić, kochanie?

Uwielbiałem twoje długie włosy.

Wina, och, ta wina.

"Uspokój się". To mój ojciec. "Nieszkodzi. Nie może cię zmusić dorobienia rzeczy, na które nie masz ochoty". Będzie próbował.

"Wiedziałaś, że będzie, ale nie jesteś już dzieckiem".

- To tylko włosy, tato.

-Obcięłaś je tuż przed moim przyjazdem, wiedząc, co czuję, wiedząc, że chcę, żeby były długie. Zrobiłaś to, by mnie zranić.

- Wcale nie - odparła, choćbyła to prawda.

- Cześć, Darden - powiedział Dan O'Keefe, wynurzając się z cienia. Jak leci?

Darden długo patrzył na Jenny, zanim odpowiedział Danowi krótkim:

- Nieźle.

Jenny spojrzała wymownie na Dana, błagając go w myślach, by nie powiedział nic o jej wyjeździe albo - jeszcze gorzej - nie wymienił imienia Pete'a.

Sama powie Dardenowi w odpowiednim momencie.

- Czyli wyszedłeś na wolność stwierdził zastępca szeryfa.

-Na to wygląda.

- MaryBeth świetnie się spisała, dbając o dom pod twoją nieobecność.

Musisz być dumny, że dokonała tego zupełnie sama.

Parę dni temu zadzwonił do mnie twój kurator sądowy.

Mówi, że planujesz rozkręcić na nowo firmę.

Darden wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy powrót tutaj ma sens.

Nie wiem, czy ludzie będą chcieli zatrudnić byłego więźnia.

Kluczyki są wstacyjce, MaryBeth?

Wóz zaczyna kasać. - Podeszedł do buicka od strony kierowcy.

Dan wziął od Jenny torbę i wrzucił ją na tylne siedzenie, a potem - kiedy wsiadła - zatrzasnął za nią drzwiczki.

Nie musiała na niego patrzeć, żeby słyszeć jego myśli: „Jenny, jeśli będziesz mieć problemy, zadzwoń, o dowolnej porze, zrobię wszystko, co w mojej mocy”.

Nie mógł jednak pomóc.

Teraz, kiedy Darden wrócił, niktej nie mógł pomóc.

Darden wrzucił bieg, zawrócił wóz i wyjechał z miasta.

Kiedy zajechali pod dom, kapuśniak zamienił się w gęsty deszcz.

Darden wprowadził samochód do garażu, wysiadł i złapał Jenny za rękę w momencie, kiedy starała się wymknąć dodomu.

- Chodź tu, kochanie powiedział, przyciągając ją. Uściskaj tatusia.

Jenny starała się udawać, że jest to rodzaj niewinnego uścisku, jakim ojcowie zazwyczaj obdarzają córki.

Objęła go ramionami i przytuliła, starając się nie zwracać uwagi na dotyk jego warg na szyi i sposób, w jaki jego ciało starało się dopasować do jej kształtów, ale nie mogła tego znieść dłużej niż przez sekundę, nie mogła tego wytrzymać.

- Och, mój Boże! - wykrztusiła i starała się wyrwać. - Gulasz się przypali. Muszę iść.

Uścisknie zelżał.

- Tego bardziej mi potrzeba niż jedzenia.

-Ale ja się tak napracowałam, tato! - Starła się uwolnić kolejno różne części swe gościa.

-Wiedziałam, że moja fryzura ci się nie spodoba, więc napracowałam się, żeby ci przygotować dobry obiad. Nie chcę go zmarnować!

Puścił ją.

Zmusiła się do uśmiechu, który jednak deszcz natychmiast zmył.

Pobiegła do domu i mimomokrego ubrania od razu zakrzętnęła się przy kuchni.

Pete był na strychu, kończył pakowanie ich rzeczy.

Oczami duszy zobaczyła go tam, jak czeka, zgodnie z umową pozwalając jej po raz ostatni porozmawiać z Dardenem.

Wiedziała jednak, że nasłuchuje.

Siedział z uchem przy podłodze, tamgdzie dobrze dochodziły głosy z dołu.

Natychmiast by się pojawił, gdyby Darden czegoś próbował.

W odpowiednim momencie zejdzie naparter.

Uczepiła się tej myśli.

Darden upuścił torbę na ziemię.

Ściągnął ścierkę kuchenną z metalowej rączki nadrzwiach piekarnika, żeby wytrzeć deszcz z twarzy i karku.

Jenny wyjęła mu ją z rąk, wręczając w zamian piwo.

- Twoje ulubione. Witaj w domu.

Podniósł butelkę do ust i odchylił głowę.

Piwo spływało w gardło, jabłko Adama podskoczyło raz i drugi, i trzeci.

Kiedy wyprostował kark, butelka była już pusta.

Otworzył lodówkę i wyjął drugie piwo. - Co za beznadziejny dzień.

Najpierw autobus, potem twoje włosy, potem to spojrzenie Dana O'Keefe'a.

Więcej na mnie patrzono w ciągu ostatnich sześciu lat niż w ciągu wszystkich wcześniejszych razem wziętych. - Objął ją w talii i musnął nosem jej ucho. - Teraz chcę, żebyś tylko ty na mnie patrzyła, słyszysz mnie, MaryBeth?

Chciała nabrać oddechu, zakrztusiła się i rozkaszała.

Minęła chwila, nim złapała powietrze.

Wytarła nos ioczy.

- Nie czuję się dobrze - powiedziała.

- To dlatego, że masz mokrą sukienkę.

Idź się przebrać.

Na pewno masz jakiś inny ładny ciuszek.

Jenny miała sukienkę kupioną u panny Jane.

Pobiegła po schodach do swojej sypialni, zrzuciła tę wstrętną, kwiecistą i przekopywała się gorączkowo przez szafę w poszukiwaniu drugiej.

- Pete? - szepnęła w stronę strychu. - Jesteś tam?

- Oczywiście. - Otworzył klapę wiodącą na poddasze.

Wydawał się niezadowolony. - Nie podoba mi się to, Jenny.

Skończyłem tu na górze. Schodzę.

- Nie.

-Możesz mnie przedstawić, powiedziec, że wyjeżdżamy, i ruszymyw drogę.

Sam może sobie wziąć gulaszu.

- Nie, jestem mu to winna. Proszę, tylko obiad.

- Z kim rozmawiasz, kochanie? - krzyknął Darden.

Obróciła się na pięcie, przyciskając do piersi sukienkę od pannyJane.

- Nie rozmawiam, oddycham. Oddycham głęboko.

Wszedł do pokoju.

- Moglibyśmy się razem położyć na trochę.

-Nie, nie, nic mi nie jest. Chcę ci podać obiad. Jest gotowy.

Wyciągnął rękę i szarpnął sukienkę.

Znała to wygłodniałe spojrzenie i mocniej ścisnęła materiał.

- Puść, MaryBeth.

-Obiad - rzuciła błagalnie.

- Daj popatrzeć. Tylko chwilkę.

Wciąż się opierała.

Wtedy wymówił jej imię twardszym tonem, tonem, który mówił, że dostanie, czego chce, choćby siłą; że im bardziej walczy, tym bardziej jest podniecająca; że jeśli się nie podda, nie skończy się na patrzeniu.

Puściła sukienkę, opuściła głowę i - jak dawnymi czasy

-przeniosła się myślami do miejsca, gdzie ból i wstyd nie istnieją. Tym razem jednak jej duch nie chciał tam zostać.

Natychmiast wrócił do sypialni i do Dardena z desperacją wywołującą skurcz w żołądku.

W głębi gardła narastał krzyk i groził, że zerwie ciszę wieczoru.

"Uspokójsię".

Nasłuchiwała deszczu na dachówkach.

"Uspokój się. Podjęłaś decyzję".

- Potrzebna mi sukienka. Podał jej.

- Nierozumiem,co się z tobą dzieje. Kocham cię, córciu.

Uwielbiam patrzeć na ciebie i cię dotykać. No, minęło trochę czasu, ale dawniej to lubiłaś.

- Nigdy tego nie lubiłam- mruknęła w fałdy sukienki.

Ledwie materiał opadł jej na biodra, już spiesznie minęła Dardena i zbiegła ze schodów.

Drżącymi rękami wymieszała gulasz i nałożyła na talerz.

Starła się rozchmurzyć, wracając myślami do Pete'a, Wyoming, wolności, miłości.

Trudno jednak było jej się skupić, gdy w pobliżu był Darden.

Miał dar przeganiania całego dobra z każdego miejsca i pozostawiania tylko zła.

Nawet ta sukienka - tak długo pożądana, tak nadzwyczajna, pierwszy strój, w jakim Peteją zobaczył - teraz była zbrukana. Nigdy jej już nie włoży.

- Czemu nie jesz? - spytał Darden.

Pił już trzecie piwo i zaczął się pocić.

Jenny za żadne skarby świata nie mogłaby nic przełknąć.

- Brzuch mnie boli.

Dobry gulasz?

- Pyszny. Naprawdę pyszny.

Zawsze dobrze gotowałaś, Mary Beth, dużo lepiej niż twoja matka, muszę powiedzieć.

- To ona mnie nauczyła.

-Nigdy nic takiego nie gotowała.

- Gotowała. Pamiętam.

- A ja nie? Już ty mi możesz wierzyć, wiem, co ta kobieta robiła, a czego nie.

Nie umiała gotować, nie umiała myśleć o nikim oprócz siebie samej i nie umiała się pieprzyć.

Ty za to umiesz to wszystko, kochanie.

Jenny odsunęła krzesło i podeszła do kuchenki.

Z wściekłością zamieszała gulasz, przyniosła do stołu cały garnek i nałożyła Dardenowi dokładkę. Popchnęła w jego stronę koszyk z gorącymi bułeczkami.

Obok postawiła naczyniez ciągleciepłym puddingiem z tapioki i kilka kwadratowych batonów RiceKrispies, czekających na swoją kolej.

- Odchodzę, tato - powiedziała, stojąc po drugiej stronie stołu.

-Skąd odchodzisz? - Zmarszczył czoło.

- Stąd.

Westchnął.

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Kiedy byłaś mała, powtarzałaś dziesięć razy na tydzień, że odchodzisz.

Uciekasz, mówiłaś wtedy. Słuchaj, kochanie, czas dorosnąć.

- Właśnie dorosłam. Dlatego wyjeżdżam.

Odsunął krzesło i wlepił w nią wzrok.

Kiedyś skurczyłaby się pod tym spojrzeniem.

Teraz pomyślała, że ma wybór, i spojrzała mu w oczy.

Przecesał palcami włosy.

Były rzadsze niż przed więzieniem.

- Mary Beth, kochanie, nie rób mi tego teraz.

Dla ciebi eprzetrwałem w więzieniu. Nie zaczynaj teraz z groźbami.

- Wyjeżdżam.

-Zamknij się, MaryBeth.

- Wyjeżdżam dziś wieczorem.

Znów westchnął.

- Dobra.

Gdzie się wybierasz tym razem?

Jenny nie obchodziło już, dlaczego Darden udaje, że ona nadal jest dzieckiem.

- To nie ma znaczenia. Chciałam cię tylko poinformować.

- Masz rację, to niema znaczenia. I tak cię znajdę.

Przyjadę po ciebie i przywiozę cię z powrotem.

- Nie.

Wtedy zmarszczył brwi.

- Co się z tobą dzieje?

-Nie mogę. Nie mogę już tego znieść.

- Znieść czego?

Kochanie, jestem twoim ojcem.

Większość dziewczyn dałaby sobie uciąć prawą rękę, żeby je tak kochano, jak ty jesteś kochana. Jenny była innego zdania.

Podszedł do niej szybkim krokiem.

- Przestań natychmiast! Zrobisz to, co ci każę. Jesteś moja, moja, MaryBeth.

Cholernie dużo dla ciebie poświęciłem. Nie zostawisz mnie teraz.

Nagle w drzwiach za Dardenem pojawił się Pete, gestem przyzywając ją do siebie.

Jenny widziała go, ale nie mogła jeszcze wyjść.

Musiała wytłumaczyć Dardenowi, musiała mu dać ostatnią szansę.

Była to winna jemu isobie.

- Nie mogę zostać, tato. To, co robimy, nie jest właściwe.

To chore.

- To chore, że cię Kocham? Chore, że żyję dla Ciebie?

Chore, że im powiedziałem, że to ja uderzyłem Twoją mamę, podczas kiedy to ty zrobiłaś?

Jenny zaparło dech w piersiach.

Głośno wypowiedziane słowa były jak noże.

Przecięły jej wnętrze i sprawiły, że przez stare blizny zaczęła płynąć krew.

Znów szybko zerknęła na Pete'a.

Zwracając wzrok ku Dardenowi, miała już oczy pełne łez.

- Zrobiłam to w obronie własnej!

Zabiłaby mnie, gdybym jej nie powstrzymała!

- Wystarczyłoby, żebyś uderzyła ją raz. Jeden cios i miałaby tylko wstrząs mózgu.

Uderzyłaś ją pięć razy.

- Nie wiedziałam – załkała Jenny.

- Nie wiedziałam, co robię, byłam taka przerażona. -Zgarbiła się, jej ramiona zwisały bez życia.

Żadna modlitwa mogła zmienić nagiej prawdy.

-Tak mnie wszystko bolało, a ona znęcała się nade mną, jak to robiła od tak wielu, wielu dni, więc uderzałam, aż przestała się ruszać.

- Zabiłaś ją, MaryBeth.

Jenny schowała twarz w dłoniach.

- Wiem! Myślisz, że nie wiem?

- Chcesz, żebym o tym powiedział szeryfowi? Albo Danowi?

Chcesz? Tego chcesz, MaryBeth? Opuściła ręce, podniosła głowę.

- Chciałam mu powiedzieć, kiedy to się stało, ale mi nie pozwoliłeś!

Kazałeś mi tu siedzieć i zmyślać, i czuć się winną, bo byłeś w więzieniu, i czuć gniew, bo byłeś w więzieniu, kiedy to ja chciałam trafić za kraty, bo nie wiedziałam, że jestem zdolna kogoś zabić, i nie wiedziałam, do czego jeszcze jestem zdolna, i tak mnie to przerażało, że myślałam, że oszaleję, ale ty i tak nie dałeś mi się przyznać!

Darden zbliżył się jeszcze bardziej.

- Staralem się Ciebie oszczędzić!

Nigdy byś sobie nie poradziła w więzieniu. Zgwałciłiby Cię setki razy i zostawili zhańbioną i chorą. Nawet ja bym Cię nie chciał po tym tknąć,

do cholery. Więc ci tego oszczędziłem i sam odsiedziałem cholerne sześć lat, a ty tak mi się odpłacasz?

Wyjeżdżasz?

Pete wydawał się tak wściekły, że Jenny odgadła, że ma ochotę uderzyć Dardena.

Wtem spojrzała jej w oczy i gniew zelżał.

Ruchem podbródka wskazał drzwi.

Jenny cofnęła się w stronę wyjścia.

- Wyjeżdżam -powtórzyła Dardenowi.

Po prostu nie mogłaby żyć z tym, czego od niej żądał.

- Wziąłem na siebie winę -wymawiał jej. - Ukarano mnie za zbrodnię, której nie popełniłem.

- Popełniłeś zbrodnię! - krzyknęła. -Popełniłeś ich wiele.

Wielokrotnie.

- Więc zostałem ukarany. Czy i ciebie nie powinno się ukarać?

- Ja też zostałam ukarana, tato. Wierz mi. Przez całe lata. I to tak, że sobie nawet nie wyobrażasz. Ale mam tego dość,tato. - Znów się cofnęła.

- Jesteś mi to winna!

Kręcąc głową, Jenny zrobiła kolejny krok do tyłu.

- Dbałam o dom. Trzymałam samochód na chodzie. Czekałam, aż wrócisz do domu, i zrobiłamci kolację, jakiej sobie zażyczyłeś. Wciąż sobie powtarzałam, że jestem ci to winna, ale nie jestem, nie jestem ci winna nic więcej. Gdybyś mnie nie dotykał, nie biłaby mnie, a gdyby mnie nie biła, nie zginęłaby. Była moją matką! Sprawiliś, że mnie znenawidziła!

- Była zazdrosną suką!

-Była twoją żoną!

To z nią miałeś robić te rzeczy, nie ze mną. Dlaczego nie mogłeś jej choć trochę kochać?

Tylko tego chciała!

- Chciała Ethana!

-Potrzebowała cię!

- Ale teraz z pewnością mnie już nie potrzebuje.

Za to ja potrzebuję ciebie,Mary Beth.

Jesteś tutaj, jesteś żywa.

- Urwał i spojrzał na nią z uśmiechem.

-Jesteś jej lepszym wcieleniem, wiesz?

Nawet z krótkimi włosami.

Jenny zrozumiała wtedy, że nic się nie zmieni.

Mogła zdzierać sobie gardło, a oni tak nie usłyszeli ani słowa z tego, co mumówi.

- Teraz wyjeżdżam - powiedziała z całym spokojem, na jaki ją było stać.

Obszedł stół.

- Myślisz, że cię nie znajdę?

Nie oszukuj się.

Pójdę za tobą do piekła i sprowadzę cię z powrotem.

- Wskazał jej krzesło.

-Więc siadaj tu i oszczędź nam fatygi.

Znów zaczęła płakać, ronić łzy jak duże krople bólu, bo wszystko to było tak żałośnie proste.

- Dlaczego nie możesz zostawić mnie w spokoju? - zapytała. -O to tylko proszę.

Żebyś zostawił mnie w spokoju.

- Bo co? Zabijesz mnie, jak ją zabiłaś? Nie ma mowy, kochanie, umiem się bronić.

Ale zagroź mi jeszcze raz, a wszystko wygadam.

Naprawdę, Bóg mi świadkiem. Jeśli wyjedziesz do diabła, to i tak nie będę miał z ciebie pożytku.

Spadnie mi kłopot z głowy, jeśli cię wtedy zamkną.

- To nie ma znaczenia.

-Będzie miało, kiedy cię już zakują w kajdanki, rozbiorą i zamkną w celi.

- Nie zrobią tego. Wyjeżdżam. Mam teraz Pete'a. Zabiera mnie stąd.

- Pete? - skrzywił się Darden. -Kim do diabła jest Pete? Nigdzie nie jedziesz z żadnym Pete'em.

- I tu się pan myli - powiedział Pete gromkim głosem.

Darden nawet nie przerwał.

- Nigdzie nie jedziesz z żadnym facetem oprócz mnie. Jesteś moja.

Moja.

Poza tym jaki facet by cię zechciał?

Masz wszędzie na ciele piętno tatusia, kochanie.

Jaki mężczyzna cię zechce, wiedząc o wszystkim, co zrobiłaś?

- Ja ja zechcę - oświadczył Pete, przechodząc przez kuchnię. Otworzył drzwi i powiedział spokojnie: - Chodź, Jenny. Nie jest wart twoich łez.

Jenny wyslizgnęła się na dwór.

- Wracaj tu natychmiast! – wrzasnął Darden, ale już biegła przez deszcz i noc do garażu.

Gdy tylko do niego dopadła, podjechał motocykl.

Wskoczyła na siodełko za Pete'em i przywarła do jego pleców, kiedy wrzucał bieg.

Motocykl zatoczył się na śliskich kamieniach i pomknął prosto, właśnie w momencie kiedy Darden wbiegł mu pod koła.

Usłyszała trzask i okropny dźwięk - nie wiedziała, czy to krzyk, czy przekleństwo - i niemalże spadła z siodełka, ale niezatrzymała się i nawet nie spojrzała przez ramię.

Dokonała wyboru.

Nie było żadnej nadziei na zmianę, nie było powrotu. Podjęła nieodwracalną decyzję.

Przeżyła to tak mocno, że z początku oddychała ciężko, szlochając urywanie.

Jednak mrok nocy oferował łagodną pociechę, tak jak obmywający ją deszcz.

Poza tym miała Pete'a, przede wszystkim Pete'a, który usłyszał najgorsze i nie porzucił jej.

Co parę chwil zdejmował rękę z kierownicy i głaskał jej palce, dotykał ramienia albo sięgał za siebie, żeby mocniej ją przytulić.

Deszcz osłabł, kiedy przejeżdżali przez centrum miasta.

Gdy dotarli na drugi kraniec, krople zmyły jej łzy i zamieniły się w mgiełkę, w dodatku ciepłą.

Uśmiechnęła się, rozpoznając drogę, którą Pete wybrał, i ucieszyła się. Ale się ucieszyła. Pamiętał o jej marzeniu.

Zaparkował motocykl w ich starej kryjówce i pomógł jej zsiąść. Trzymając ją za rękę, prowadził przez gąszcz sosen, choin i świerków na szczyt kamieniołomu.

Stamtąd, z nawisu pokrytego świeżo wmytym piachem, spojrzeli w dół na sadzawkę.

Należała tylko do nich.

Wcześniej tego dnia byli tam ludzie, ale deszcz spłukał wszystkie ślady ich obecności.

Powietrzepachniało ziemią i mokrymi liśćmi.

Las śpiewał cicho, kiedy krople deszczu spadały z gałęzi na gałąź i na poszycie z mchu.

Tafla stawu była jak lustro, jeśli pominąć marszczące ją tu i ówdzie krople deszczu.

Pete splótł jej palce ze swoimi.

- Ależ tu świeżo.

Zaczynamy wszystko od nowa.

Jesteś ze mną, Jenny, kochanie?

Czuła ucisk w gardle, ale uśmiechnęła się skinęła głową.

- Wiesz, że cię kocham? - spytał.

Znów potaknęła.

Jego głos przybrał zmysłowy ton.

- Wiesz, to właśnie mnie tu przywiodło. Musiałem cię znaleźć i zawieźć do domu.

- Pocałował ją delikatnie.

Jenny schowała twarz na jego ramieniu, żeby nie widział, iż znowu płacze.

Domyślił się jednak.

Pogłaskał ją po plecach, przytulił i szeptał miłe, czułe słowa, aż łza po łzie wypłakała z siebie wszystkie więzi łączące ją z przeszłością.

Wreszcie pociągnęła nosem, odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się.

Kiedy podniosła głowę, zobaczyła w jego oczach miłość i już wiedziała, że dokonała właściwego wyboru.

Przeniósł spojrzenie na staw w dole kamieniołomu.

Podążyła za jego wzrokiem, żeby dostrzec obłoki odbijające się w tafli, potem rozpierzchające się i odsłaniające słodki księżyc w nowiu.

- Popływajmy przy świetle księżycy.

- Podniosła oczy na Pete'a. - Możemy?

Uśmiechnął się.

- Oczywiście, czemu nie. Jest dość ciepło. To twoje marzenie.

Zrzucili ubrania, już i tak mokre.

Jenny złożyła swoje wschłodną kostkę i zrobiłaby to samo z jego odzieżą, gdyby nie złapał jej za rękę i nie przyciągnął.

Zanurzył palce w jej włosy, aż dłonie okalały jej twarz.

- Jesteś najśłodsza, najbardziej niewinna, najpiękniejszą kobietą,
Jenny Clyde.

Chodź popływać z księżycem i ze mną.

Przesunęła rękami po jego ciele.

Wspinając się na czubki palców, objęła twarz Pete'a dłońmi, a on objął jej.

Otworzyła szeroko oczy w oczekiwaniu i potaknęła.

Stanął na samym skraju nawisu.

Miał rzeźbione, smukłe i muskularne ciało, ciemne włosy, jasną cerę.

Wyglądał niezwykle atrakcyjnie.

Światło księżyca zamigotało w jego włosach i oczach i rozświetliło brylancik, który założył na ucho specjalnie dla niej - pewnie też to on zaświecił, zapalając księżycowy rogalik nad ich głowami.

Stanął z palcami stóp nad próżnią, wyciągnął ramiona dla równowagi i, potem opuścił je wzdłuż ciała.

Następnie - ruchem tak pełnym gracji, że Jenny zabrakło tchu - wyprostował się i skoczył w przód i zaraz w dół.

Przeciął powierzchnię wody, prawie jej nie marszcząc, za chwilę wynurzył się i zamachał do Jenny, żeby do niego dołączyła.

Stała nad samym brzegiem nawisu, palce stóp zawiesiła wpustce, wyciągnęła ramiona dla równowagi, opuściła je wzdłuż ciała. Wtem zamarła.

Wiedziała, że nie wykona tego tak pięknie jak on, ale nie miała czasu martwić się, jak wygląda, gdzie wyląduje i czy poczuje ból.

Zaszła już tak daleko.

Nie było odwrotu.

Poniżej czekał Pete, uśmiechając się, ze światłem księżyca wokół siebie i szeroko otwartymi ramionami.

Wzięła głęboki oddech, przygięła kolana do skoku i oderwała się od nawisu z modlitwą na ustach.

Niespodziewanie jej modły zostały wysłuchane.

Ciało dziewczyny wygięło się w idealny łuk, opadło po łagodnej srebrnej linii i zanurzyło się w wodę zaledwie metr od Pete'a.

Wynurzyła się koło niego, wysunęła głowę z wody przy jego oklaskach.

Objął ją, a potem, splatając dłonie, znów się zanurzyli.

Zaprowadził ją głęboko, do bloków granitu oświetlonych blaskiem

księżycy, przebijającym się przez powierzchnię wody daleko nad ich głowami.

Gonili swe cienie i siebie nawzajem znaleźli znakomitego kompana w potworze z kamieniołomu.

Następnie wynurzyli się ze śmiechem w fontannie kropli i całowali się, obejmując ramionami.

- Nadszedł czas na kolejny skok - powiedział wreszcie Pete.

W jego oczach kryło się oczekiwanie, jego uśmiech był cudowny.

- Jesteś gotowa?

Przy świetle księżycy jego twarz była jak witraż; pokazywała jej przysłe życie: nowe miejsca, nowych ludzi, nową miłość.

Wszystko to w niej dostrzegła.

Również dobroć i czułość.

Przyjaźń i sprawiedliwość.

I nadzieję.

Czy była gotowa?

Rozejrzała się po raz ostatni pokamieniołomie, podniosła oczy w niemym pożegnaniu z najwyższymi wiecznie zielonymi konarów i ze słodkim uśmiechem księżycy.

Potem, zapamiętując je w sercu jako najlepsze, co ją spotkało w pierwszym życiu, spojrzała na Pete'a i skinęła głową.

Rozdział dwudziesty pierwszy

BOSTON

Do głębi przejęta, Casey wpatrywała się w ostatnią stronę dziennika, zanim ostatecznie ją odłożyła.

Przed oczyma dalej miała jednak ten obraz.

Wciąż przebywała w kamieniołomie w Little Falls, nieświadoma, że siedzi na skórzanym fotelu, że na rattanowym stoliku stoi filiżanka herbaty, którą zrobił jej Jordan, i na wpół zjedzony kawałek pizzy, że na długiej kanapie naprzeciwko jej fotela czeka sam Jordan.

Przebiegła w myśli wcześniejsze fragmenty dziennika, wychytując pewne sprzeczności, jak obcięte przez Jenny włosy, które Pete wyrównał, wcale nie były równe, bo Miriam znów je wyrównywała, cztery tace klopsów, z których Pete zjadł dwie, a Miriam

miała niezauważyć ich braku, motocykl, którego nikt w mieście nie słyszał, czy wizytaw Giro's, gdzie ich nikt nie widział. Przypomniała sobie, że mężczyzna w kawiarence mówił o jednych tylko śladach stóp na szczycie kamieniołomu koło ubrania Jenny Clyde.

Wszystkie fragmenty tej łamigłówki znalazły swoje miejsce. Podniosła wzrok na Jordana.

- Pete nieistniał. - Wiedziała to jako psychoterapeutka, czuła jako kobieta.

Pete był zbyt doskonały, żeby być prawdziwy.

Dosłownie. - Jenny Clyde miała urojenia. Tak rozpaczliwie pragnęła miłości, że go sobie wymyśliła. Był jej zbawcą.

Dodał jej odwagi, by odejść od Dardena, opuścić Little Falls, odebrać sobie życie.

Nadała mu realny kształt, więc popełnienie samobójstwa stało się łatwiejszym rozwiązaniem.

- Czując przygnębienie, odetchnęła głęboko, wstrząsnął nią dreszcz i opadłana oparcie fotela.

Jordan wstał.

Tym razem nie opuścił pokoju, lecz podszedł do dębowego kredensu stojącego przyścianie i wróciłz plikiem kartek.

- Miałś rację, kwestionując to, co się stało.

Nie zginęła - powiedział, podając jej kartki.

Casey z lękiem patrzyła mu w oczy.

Nie chciała tracić nadziei, ale w jej umyśle rysował się tylko jeden obraz: Jenny Clydew ośrodku rehabilitacji, w stanie podobnym do Caroline, okaleczona na całe życie na skutek upadku ze szczytu kamieniołomu.

- Weź - nalegał łagodnie.

Nie miała wyboru.

Nieświadomość jest gorsza niż cokolwiek napisanego na papierze.

Położyła kartki nakolanach i wzięła pierwszą do ręki.

"Telefon zadzwonił o trzeciej nad ranem.

Dan O'Keefe wskoczył w mundur i pojechał do domu Clyde'ów, nie dlatego, że Darden Clyde o to prosił, nie dlatego, że należało to do jego obowiązków - aczkolwiek i jedno, i drugie było prawdą - ale dlatego, że martwił się o Jenny".

Dalej czytała o tym, jak Dan znalazł Jenny w lesie, otulił ją i

zawiózł do miejscowości oddalonej od Little Falls, gdzie była bezpieczna - pozwalając wierzyć wszystkim w miasteczku, szczególnie zaś Dardenowi, że zginęła.

Lektura nie trwała długo.

Najpierw poczuła ulgę, że Jenny przeżyła i nie odniosła fizycznych szkód, potem zaś podziw dla Jordana.

W następnej kolejności zjawiała się lawina nowych pytań.

Odszukała jego spojrzenie.

Wciąż siedział na kanapie cierpliwie jak przez cały czas, gdy ona czytała, z wyjątkiem krótkich przerw na przyniesienie czegoś do jedzenia i picia.

- Czy twój przyjaciel jest terapeutą? - spytała.

- Tak. Pracuje w Munsey Institute.

To prywatny szpital psychiatryczny w stanie Vermont. Spotkał się z mną w połowie drogi, zabrał Jenny i wrócił z nią do szpitala.

Casey słyszała o tej placówce.

Wiedziała również, że eubezpieczenie nie zawsze pokrywa koszty pobytu w prywatnych szpitalach.

Była ciekawa, czy i to Jordan wziął nasiebie.

- Zapłaciłeś za nią?

-Nie.

Zapłaciłbym, bo zżerało mnie poczucie winy.

Zawiodłem Jenny, tak samo jak reszta miasteczka.

Ale szpital zawsze przyjmuje kilku pacjentów za darmo.

Jenny się udało.

Potrzebowała takiego miejsca, by dojść do siebie.

Była tam bezpieczna.

Drzwi trzymano zamknięte.

Paradoksalnie, podczas gdy większość pacjentów uważała, że jest tamu więziona, Jenny traktowała zamknięcie jako sposób na odgradzenie jej od Dardena.

Wciąż najbardziej obawia się tego, że on po nią przyjedzie.

- Ale nie może stale tam przebywać - powiedziała Casey - ponieważ już od dawna nie stosuje się długotrwałej hospitalizacji, nawet pacjentów o skłonnościach samobójczych.

-Nie.

Przebywała tam trzymiesiące.

Przeszła intensywną terapię indywidualną, a gdy odzyskała równowagę, dodano do tego terapię grupową.

Jest inteligentną i silną kobietą.

Jak mówiłem, najtrudniej jej było przemoc strach przed Dardenem.

- Jeśli wciąż się go boi, to jak dała sobie radę po opuszczeniu szpitala?

Jordan się uśmiechnął.

- Chciałbym móc powiedzieć, że nastąpił wielki psychoterapeutyczny przełom, ale zmiany zachodziły raczej stopniowo. Wysyłałem jej do szpitala lokalne gazety, mogła więc przeczytać o swojej śmierci i pogrzebie, jaki wyprawił jej jDarden.

Czas mijał, a on się nie pojawiał, co dodawało Jenny odwagi.

Potem zmieniła wygląd.

Casey mocno wciągnęła powietrze.

- Podobał mi się jej wygląd - stwierdziła, ale psychoterapeutka natychmiast wzięła w niej górę. - Ale jej nie. Musiała uważać, że za dużo rzuca się w oczy. Przefarbowanie rudych włosów nie było trudne. Ale piegi?

- Dermatolodzy dysponują zdumiewającymi technikami. Jej piegi nie zniknęły całkowicie, ale to, co zostało, łatwo pokryć makijażem.

Blizny nanogach zaś są widoczne tylko dla tego, kto się im dokładnie przygląda.

Poczuła się lepiej, gdy zaczęła wyglądać inaczej.

Po wypisaniu ze szpitala zamieszkała w ośrodku przejściowym, niedaleko stąd.

Nadal odbywała sesje terapeutyczne i pracowała pół etatu w restauracji.

To było dla niej doskonałe miejsce.

Przebywała w kuchni, więc klienci jej nie widzieli.

Pod koniec roku, gdy Darden wciąż się nie pojawiał, była gotowa uczynić następny krok.

- I gdzie poszła?

Jordan opadł na oparcie kanapy z pobłażliwym spojrzeniem pełnym oczekiwania uśmiechem.

Casey potrzebowała minuty, żeby znaleźć odpowiedź.

- Meg? - zawołała zdumiona, przyciskając rękę do piersi.

Pokiwał głową.

- Jenny uważała, że Meg Ryan jest bystra, urocza i zabawna, a ona taka właśnie chciała być, więc wybrała to imię.

-Meg? Moja Meg? - Tuż pod jej nosem, a ona nie odgadła.

Ale wszystko miało sens: włosy tak ciemne i kasztanowe, że mogły być farbowane, blada cera, nawet ograniczone horyzonty Meg Henry i jej naiwny entuzjazm.

Poza tym jej reakcja na niespodziewane dźwięki i pogrzebacz, który trzymała w ręku tego pierwszego dnia.

Nie czyściła wcale kominka - po prostubała się, że to Darden ją odnalazł.

No i te pytania, które Meg zadawała, nieco za szybko, nieco dziwaczne.

"Czy chciałaś kiedyś mieć ciemne włosy? ""Czy lubisz swoje piegi? "

"Nie martwisz się swoim zegarem biologicznym?

""Masz narzeczonego? " Meg Henry wcale nie była bardziej wyrobiona towarzysko niż Jenny Clyde.

-Moja Meg - powtórzyła Casey, zażenowana, że nie dostrzegła tego, co teraz wydawało się tak oczywiste.

- Ale jest moją Meg od nie dawna - myślała na głos.

-Przedtem była Meg Conniego. Najwyraźniej Connie wie dział, kim ona jest.

- Tak.

-Czy dlatego ją zatrudnił?

- Tak.

Jego wieloletnia gospodyni przechodziła na emeryturę. Jenny umiała gotować, umiała sprzątać.

Spodobał mu się pomysł zaopiekowania się nią w ten sposób.

- Ponieważ należy do rodziny - powiedziała Casey i zainteresowała się kolejnym fragmentem układanki.

- Jakie jest między nami pokrewieństwo?

- Miałyście wspólnych pradziadków - odpowiedział Jordan.

- Nazywali się Blinn i pochodzili z okręgu Aroostook, na północy Maine.

- Blinn?

Stąd Cornelius B.

Jordan przytaknął.

- Blinnowie mieli dwie córki. Mary i June.

Między córkami było kilkanaście lat różnicy i nigdy nie były sobie bliskie.

Mary, starsza, wyszła za mąż za Franka Ungera, przeprowadziła się do Abbott i urodziła Conniego.

Wiele lat później June wyszła za mąż za miejscowego chłopaka, Howarda Picota, i urodziła matkę Jenny, MaryBeth. Connie i MaryBeth Picot byli więc cioteczonym rodzeństwem.

MaryBeth poznała Dardena Clyde'a na jarmarku, po ślubie przenieśli się do Walker i urodziła najpierw Ethana, który zmarł, a potem Jenny.

- Nabrał powietrza i wypuścił powoli.

-Więc ty i Jenny jesteście cioteczno-ciotecznymi siostrami.

Casey ni epotrafiłaby może tego wszystkiego powtórzyć, ale zapamiętała najważniejsze punkty.

Connie i Mary Beth Clyde to cioteczne rodzeństwo. Casey i Jenny są cioteczno-ciotecznymi siostrami. Casey i Meg są cioteczno-ciotecznymi siostrami.

Zdumiewające.

- Ale Connie był człowiekiem na świeczniku - powiedziała.

- Czy Dardenowi nie przyszło do głowy, że Jenny może się u niego schronić?

- Connie był uważany za człowieka na świeczniku w twoich kręgach, ale w Walker?

- wyjaśnił Jordan.

-Nikt tam nie znał nazwiska Unger ani nie interesował się psychologią. Poza tym Darden uważał, że Jenny nie żyje.

Uważał.

Czas przeszedł.

Casey przeszedł dreszcz na myśl, że to się mogło zmienić na skutek jej działań.

Odsunęła tę możliwość chwilowo na bok.

- Connie zatrudnił Jenny, wiedząc, że to jego krewna

-powiedziała.

- A ty zacząłeś dla niego pracować wcześniej czy później?

- Wcześniej.

-Skłoniłeś go, by ją zatrudnił?

- Opowiedziałem mu o niej. Sam podjął decyzję.

- A jak to się stało, że zatrudnił ciebie?

-Kwiaciarnia Daisy's Mumod pewnego czasu zajmowała się jego roślinami.

Rozpoznałem jego nazwisko w spisie klientów i sam zacząłem tam pracować.

- Dlaczego ty rozpoznałeś nazwisko, a Darden nie?

Jordan uśmiechnął się sucho.

- Byłem policjantem i synem policjanta.

Dorastałem, słysząc różnego rodzaju informację, których większość ludzi nigdy nie słyszy.

Gdy zginęła MaryBeth i doszło do procesu, przy okazji zajmowaliśmy się takimi drobiazgami jak związki i nazwiska rodzinne.

Wiedziałem więc, kim i czym był Connie.

Potem, kiedy tu przyszedłem i poznałem go, jakoś znaleźliśmy wspólny język.

- Czy wiedział, skąd pochodzisz i jaki jest twój związek z Jenny?

- Powiedziałem mu.

Nie przeszkadzało mu to.

- I jesteś właścicielem sklepu - zauważyła, nie umiając zapanować nad oskarżycielską nutką w głosie.

Jordan przytaknął.

- Kupiłem go, gdy się tu przeprowadziłem.

- Od Daisy?

- Chciała tam pracować, ale nie ponosić ryzyka i odpowiedzialności, jaką ponosi właściciel.

- Nie mówiłeś mi, że jesteś właścicielem.

- Nie pytałaś.

Nie. Nie pytała.

- Dlaczego go kupiłeś?

- Bo kocham rośliny.

Bo chciałem mieć stałe źródło dochodów. Bo musiałem gdzieś zapuścić korzenie. Beacon Hill to dobre miejsce. Daisy's Mum bardzo mi pasowało.

- Ale jesteś malarzem.

Widziałam twoje obrazy w domu twoich rodziców. - Nie powiedziała mi, że uważa je za wspaniałe. Wciąż ją drażniło, że tak wielu rzeczy nie wiedziała. - Jak możesz robić jedno i drugie?

- W dzień zajmuję się roślinami, a maluję w nocy.

-Gdzie malujesz?

- Mam pracownię na górze.

-I sprzedajesz swoje obrazy? -W galeriach w Bostoniei w Nowym Jorku, powiedziała jego matka.

- Zajmuję się też ilustracją.

-Ilustracją?

- Rysuję rośliny.

Dla publikacji o ochronie przyrody, na przykład Audubon.

Casey była pod wrażeniem.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że malujesz?

-Nie pytałaś.

- Musiałeś udawać, że jesteś ogrodnikiem?

-Ależ ja jestem ogrodnikiem - zapewnił, wcale się nie usprawiedliwiając. - Kocham sadić rośliny i pomagać imrosnąć.

Casey nagle przyszło coś do głowy.

- Biuro szeryfa w Walker! Te wszystkie pnącza. I róże koło domu. To ty je zasadziłeś!

Zawahał się.

- Róże wciąż żyją?

-Żyją.

Bluszcz zapewne dobrze by było trochę przyciąć. - Miaławrażenie, że tego ucieszyło, więc spytała: -Nie jeździłeś do domu? - Ostatnio nie. - Usiadł,wyglądajęcna zrezygnowanego.

-Poznałaś mojego ojca. Co o nim sądzisz?

Caseysię uśmiechnęła.

- Masz uroczą matkę.

-Nie o nią pytałem.

- Myślę, że ty i twój ojciec bardzo się różnicie - powiedziała dyplomatycznie.

-Niewątpliwie.

Nie byłby zadowolony, gdyby znał moją rolę w ucieczce Jenny.

- Nawet po tylu latach?

-Nawet.

Zawsze postępuje zgodnie z przepisami.

- Ale Jenny uciekła przedDardenem.

Czy to by go nieucieszyło?

Jordan wzruszył ramionami, pełen wątpliwości.

- Czy to ty napisałeś dziennik?- spytała.

- Nie, Connie.

-Connie? - Tego się nie spodziewała. -Kiedy? Dlaczego?

Kiedy Jenny-Meg zaczęła u niego pracować, wciąż była niepewna siebie i łatwo wpadała w depresję. Chciał jej pomóc, nietraktując jednak jak pacjentki. Zachęcał ją więc do opisanie całej historii, ale nie umiała. Nie potrafiła wypełniać pustych kartek. Więc Connie zgodził się sam zapisywać jej myśli, jeśli będzie mu je opowiadać. Przystała na to. Connie trzymał pióro, ale słowa są głównie jej.

- A ty z nim współpracowałeś przy fragmentach o tobie?

-Tak.

- Czy myślał kiedyś o publikacji?

-Nie. Uważał, że to sprawa poufna. Dla Jenny pisanie miało wartość terapeutyczną.

Opisanie całej historii zmniejszyło jej lęki.

- Czy chciał, żebym zobaczyła ten dziennik? - spytała teraz.

- Nigdy o tym nie wspominał. Ale skoro zostawił go w biurku, to znaczy, że tak.

Connie nie robił niczego przypadkowo.

- Umarł przypadkowo - zauważyła Casey. - Nie planował tego. Nie było żadnego wcześniejszego ostrzeżenia. To był nagły, rozległy zawał. Nie chorował przecież na serce.

Jordan pochylił się, oparł łokcie na kolanach, splótł dłonie i uśmiechnął się smutno.

- Chorował, Casey.

Przeszedł łagodny zawał, zanim go jeszcze poznałem, a w miesiącach poprzedzających śmierć nie czuł się dobrze.

Ruth o tym wiedziała,ale chyba nikt więcej.

Trzymał się, dopóki był wśród ludzi, a potem, po powrocie do domu, jakby zapadał się w siebie.

Widywałem go w domu,więc wiem.

Czuł, co się zbliża, więc pozatławił wszystkie sprawy przed śmiercią.

Casey poczuła dziwną ulgę.

Chciała myśleć, że specjalnie dla niej zostawił początek dziennika w biurku.

To jej jednak przypomniało, jak bardzo zaniepokojony był Jordan, gdy

pojawiła się u jego drzwi.

Connie napisał: "Jak jej pomóc?".

Westchnęła.

- Czy bardzo namącałam? - spytała ostrożnie.

Jordan nie odpowiedział, tak że odebrała to jako głośne i wyraźne potwierdzenie.

- Czy Meg jest w niebezpieczeństwie?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Darden żyje teraz z inną kobietą. Może nie będzie mu się chciało ruszać.

- Mało prawdopodobne - stwierdziła Casey.

Ludzie skłonnościach patologicznych nie odpuszczają tak łatwo.

Zacznij jej szukać, choćby po to, by jej uświadomić, że to on wciąż jest górą.

Będzie za nią chodził.

Będzie się krył w cieniu.

Będzie ją zastraszać, aż to wszystko, czego dokonała, pójdzie na marne.

- "Należy do rodziny. Jak jej pomóc? ". - Powiedziała mi, że mieszka na szczycie wzgórza.

Czy to bezpieczne miejsce?

- Nie ma portiera, ale drzwi frontowe się zamyka.

-No, rzeczywiście - mruknęła Casey sarkastycznie. - Wystarczy, żeby poczekał, aż ktoś otworzy drzwi, i będzie się mógł wślizgnąć do środka z uśmiechem, mówiąc, że odwiedza córkę.

Nikt nie pomyśli, że człowiek w jego wieku stanowi zagrożenie.

- Nie znajdzie mieszkania Meg, jeśli nie pozna jej nazwiska.

Meg Henry nic dla niegonie znaczy.

- Ale Casey Ellis tak.

Przedstawiłam się kilkakrotnie imieniem nazwiskiem. Mówiłam, że jestem z Bostonu.

- W książce telefonicznej znajdzie adres twojego mieszkania, ale nie ma niczego, co wiązałoby mieszkanie z domem Conniego, gdzie pracuje Meg.

Casey przetłknęła ślinę i zacisnęła powieki w bardzo wymowny sposób.

Jordan zrozumiał.

- O, cholera - mruknął.

Nie otwierając oczu, Casey powiedziała:

- Dałam wizytówkę redaktorowi w gazecie.

To moja nowiotka wizytówka z adresem nowego biura, którą dopiero co zrobiłam w Kinko.

- Otworzyła oczy i jęknęła:- Chciałam tylko pomóc.

Nie wiedziałam, gdzie jest Little Falls, więc pojechałam szukać.

Nie wiedziałam, że Jenny miała pozostać martwa- wpatrzyła się w Jordana - ponieważ nie znałam ostatnich stron.

- No, to nie moja wina.

Nie wiedziałem, że Conniew ogóle zostawił ci do przeczytania jakieś kartki.

Gdydał mi ostatnie rozdziały, sądziłem, że dzieli dziennik ze względu na bezpieczeństwo.

Nigdy mi nie powiedział, że są przeznaczone dla ciebie.

- A ja nie pytałam, co masz i co wiesz – jęknęła Casey.

Pochyliła się i przycisnęła twarz do kolan.

- Chciałam pomóc - to znaczy, naprawdę chciałam pomóc.

Nigdy przedtem mnie o nic nie prosił.

Chciałam spełnić jego życzenie.

-Usiadła prosto i rzuciła Jordanowi ponure spojrzenie.

- Mam talent do wprowadzania zamieszania.

Działam, zanim pomyślę.

Naprawdę super impulsywnie.

Siedziałam tam w kawiarence, pytając głośno, skąd ta pewność, że Jenny nie żyje, skoro nie znaleziono ciała.

Zasugerowałam, że mogła spłynąć z prądem, wydostać się i odejść.

Rozważałam, kto mógł jej pomóc.

Gdy spytali, czy moim zdaniem wciąż żyje, powiedziałam "tak", głośno i z przekonaniem.

Więc co teraz możemy zrobić?

- Uważać - odrzekł Jordan.

-Może nikt nie powie Dardenowi- zasugerowała, żywiąc nadzieję, ale wyraz jego twarzy nie zostawiał w tej mierze wątpliwości.

- Wiadomość o twojej wizycie rozniesie się po miasteczku, ale tak samo będą gadać, kiedy Darden wkroczy na ścieżkę wojenną.

Jeśli tato coś usłyszy, zatelefonuje.

- Czy twój ojciec wie, że Jenny żyje?

-Nie. Ale wie, że to przez nią wyjechałem. Doda dwa do dwóch - czas i wszystko inne - i zadzwoni.

Bo choć miałem wiele do zarzucenia jego metodom egzekwowania prawa, nigdy nie miałem powodu wątpić w jego inteligencję.

- Więc po prostu czekamy?

-Niewiele możemy zrobić.

- Czy mówimy Jenny? Zamyślił się na chwilę.

- Jeszcze nie. Nie ma sensu jej straszyć.

- Znienawidzi mnie.

-Nie. Uwielbia cię. Od początku opowiadała mi, jakajesteś bystra isłodka, i piękna.

- Przerwał. -Nie zaprzeczałem.

Poczuła, jak gdzieś w środku robi jej się ciepło.

Gdy tak na nią patrzył, seksownie i porozumiewawczo, znów był jej ogrodnikiem.

Teraz jednak wiedziała, że jest czymś znacznie więcej - przedsiębiorcą, malarzem, zbawcą Jenny Clyde.

Casey potrzebowała czasu, by z tym wszystkim się oswoić.

Odwróciła wzrok.

Po sekundzie zerknęła nazegarek.

Dochodziła ósma, za oknem wciąż było jasno,ale zaczynające już zachodzić słońce świeciło łagodniej.

Zamarzyła nagle o tym, żeby znaleźć się w ogrodzie.

Pragnęła ukojenia, jakie jej niósł.

Nie mogła jednak iść do domu.

Inna potrzeba była jeszcze silniejsza.

Wstała.

- Muszę odwiedzić mamę - powiedziała cicho.

Jordan natychmiast znalazł się na nogach.

- Zawiozę cię.

-Nie trzeba.

Mój samochód stoi przed twoim domem.

- Mój też.

-A jeśli ktoś zadzwoni,by cię ostrzec przed Dardenem?

Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Był mniejszy i nowszej generacji niż jej.

- Ach - powiedziała - powinnam była zgadnąć. Zawsze nosisz go z

sobą?

Skinął głową.

Pomyślała o chwilach, w których stali tak blisko siebie, że ubranie przylegało wprost do skóry.

- Nigdy go nie wyczułam- przyznała.

Patrzył na nią.

"Byłaś zbyt zajęta wyczuwaniem innych rzeczy" - niemal słyszała jego myśli.

Czując rumieniec na policzkach, odwróciła się ku drzwiom.

Jordan poprowadził ją schodami i tylnymi drzwiami do dżipa.

Już chciała zapytać, czy do sekretów nie należy również schowany gdzieś luksusowy samochód, ale pohamowała się, ciesząc się dżipem. Przedsiębiorca, malarz, ogrodnik - to do niego pasowało.

Zręcznie prowadził w nasilającym się ruchu, najwyraźniej wiedząc, dokąd jechać.

Gdy zatrzymał się przed domem opieki bez słowa wskazówki z jej strony, spytała:

- Czy sam przywoziłeś kwiaty od Conniego?

-Czasami.

Ale nigdy nie poznałem twojej matki, jeśli o to pytasz.

O to właśnie jej chodziło.

Casey przypomniała sobie rozmowę, jaką odbyła z nim na ławce w parku.

Opowiadała mu wtedy o stanie Caroline, a on okazywał jej prawdziwe współczucie.

Zadawał odpowiednie pytania.

Nic, co mówił, nie świadczyło, że zna sytuację Caroline, ale także temu nie przeczył.

Mógł osobiście stawiać te kwiaty na komódce Caroline, nawet z nią rozmawiać, a jednak jego pytania były autentycznie szczerze.

Casey otworzyła drzwi i wysunęła się z dżipa.

Gdy się odwróciła, by podziękować mu za podwiezienie, już obchodził samochód.

Położył delikatnie dłoń na jej plecach i poprowadził po schodkach, ona zaś nie protestowała.

Zaraz po wypadku Caroline wielokrotnie przychodziła tu z przyjaciółmi.

Najbliżsi przyjaciele matki z Providence nadal tu niekiedy zaglądali, od czasu do czasu przychodziła z nią Brianna.

Jednak od czasu do czasu nie oznaczało teraz, a Brianna nie była Jordanem.

Ilekcję przychodziła tuż kimś, jak z ogniwem łączącym ją z rzeczywistym światem, ból w środku nie był tak trudny do zniesienia.

Casey uśmiechnęła się do kobiety w rejestratorni i szła dalej ku schodom w towarzystwie Jordana.

Pomachała do nocnej pielęgniarki na drugim piętrze i przecięła hol. Zatrzymała się na progu pokoju matki nie dlatego, że Jordan z nią był, ale ponieważ zobaczyła kroplówkę, maskę tlenową i monitor pracy serca.

To było coś nowego.

- O Boże - szepnęła.

- Kiedy ostatni raz rozmawiałaś z doktorem? - spytał.

- Dziś po południu, gdy jechałam z Maine.

Mówił mi o tym, ale inaczej się to odbiera, widząc na własne oczy.

- Chcesz, żebym poczekał na korytarzu?

Pokręciła przecząco głową.

Pustka w niej będzie straszna, jeśli zostanie sama.

Caroline leżała tyłem do drzwi.

Casey zapaliła małą lampkę. Światło padło na słodki bukiet morelowych róż.

Dotknęła ich, by pokazać Jordanowi, jak jedocenia, po czym obeszła łóżko, by znaleźć się po drugiej stronie matki.

Pocałowała Caroline, ale nie od razu udało jej się znaleźć rękę matki pod przykryciem.

Robiła wrażenie chłodniejszej niż zwykle.

Siadając na brzegu łóżka, Casey rozgrzewała ją ze ściśniętym gardłem.

Przełknęła ślinę i zmusiła się do mówienia ożywionym tonem, choć wcale nie czuła ożywienia.

Caroline wciąż miała na wpółotwarte oczy, co oznaczało, że jeszcze nie śpi.

- Cześć, mamó. Jak leci?

- Caroline niezareagowała, więc Casey ciągnęła dalej: - Nieźle przestraszyłaś lekarzy.

Ale kroplówka chyba działa, bo oddychasz nie gorzej niż zwykle.

- Nie oddychała także lepiej, bo pomiędzy rozchylonych warg wydobywał się cichy charkot, ale Casey nadal mówiła lekkim tonem: -Przyprowadziłam ci gościa.

To mój przyjaciel. - Dodała szeptem "chyba" i spojrzała na Jordana.

Przykucnęła przy łóżku, byznać się na linii wzroku Caroline. - Niewątpliwie. Dobry wieczór, pani Ellis.

- Caroline - poprawiła go Casey.

-Caroline.

- Gdy ukończyłam college, przestała reagować na moich przyjaciół, jeśli nie zwracali się do niej po imieniu - wyjaśniła Casey Jordanowi. - Chciała, żeby i ją uważali za przyjaciółkę.

Prawda, mam? - Gdy Caroline odpowiadała jedynie lekko charczącym oddechem, Casey napomniała ją: -Trzeba się przywitać.

Podłuższej chwili ciszy Casey wciągnęła głęboko powietrze. Rozpacz zderzyła się z rozczarowaniem, co zaowocowało nutą zniecierpliwienia.

- Jordan pracował dla Conniego – opowiadała matce.

-Zaprojektował ogród przy domu.

Jest fantastyczny, mam. Tak samo jak obrazy na ścianach. Sporo z nich namalowała Ruth, żona Conniego. Mieszka w Rockport. Odwiedziłam ją w piątek.

To bardzo miła osoba.

- Casey - odezwał się Jordan ostrzegawczo.

Ale ona ciągnęła dalej. - Opowiem ci jeszcze o Abbott. To nazwa miejscowości, w której Connie dorastał. Byłam tam rano. Czy to rzeczywiście było tego ranka?

Wydaje mi się, że od tamtego czasu minęły wieki.

Nie widziałam domu, w którym mieszkał, ale widziałam wiele takich, w których mógł mieszkać.

Widziałam ruiny starej fabryki butów, w której prawdopodobnie pracowała jego matka.

I widziałam szkołę, do której chodził.

Teraz jest zamknięta, a dzieci są dowożone do rejonowej.

Casey czuła, że Jordan wpatruje się w jej kark. Rzuciłamu gniewne spojrzenie.

- Co? Źle robię, Jordan? Przez ostatnie trzy lata mówiłam tylko o tym, co miłe i pozytywne. Bez skutku. Może tak będzie lepiej. -

Zwróciła się ku Caroline: - Poza tym takchybamnie lepiej rozpoznajesz, co, mamó? Zawsze ci się przeciwstawiłam.

Częściej się z tobą kłóciłam, niż zgadzałam.

Jordan, ten tutaj, jest sympatyczniejszy.

- Mój tata by się z tym nie zgodził - powiedział Jordan, przysuwając sobie krzesło.

- Denerwowałam go. -Usiadł nakrześle.

Bo jesteś sentymentalny?

- Zazwyczaj używał słowa "mięczak".

-Co takiego? - spytała Casey z niedowierzaniem, bo nie mogła sobie wyobrazić mężczyzny mniej mięczakowatego niż Jordan.

- Tak mniena zywiał już wtedy, kiedy byłem dzieckiem.

-Dlaczego?

- Bo lubiłem rysować. Bo lubiłem pracować w ogrodzie. Te czynności w jego rozumieniu nie były stosowne dla "mężczyzny". Więc dałem mu, co chciał.

Słyszała gniew w głosie Jordana. Nie stwierdzał tylko faktu, jak dotąd.

Tym razem mówił jej, co rzeczywiście czuł. Zaciekało ją to.

- To znaczy?

-Grałem w futbol. Wyrabiałem muskuły, robiłem za twardziela. Byłem lokalnym bohaterem. Miasto o mnie mówiło.

Wszystkie dziewczyny chciały się ze mną spotykać.

Czekała.

- No i?

-Spotykałem się z tyloma, z iloma mogłem,wygrywałem jedną przeciw drugiej.

Ulubieniec pań.

Jakiejś części mnie nawet się to podobało.

- A pozostała część?

-Nienawidziła tego.

Wiedziałem, jakie to wszystko płytkie. Na ostatnim roku uszkodziłem sobie bark. Nie zrobiłem tego celowo, ale nie żałowałem, że tak się stało.

- Och - szepnęła Casey, znajdując kolejną wskazówkę, którą przeoczyła.

- Bark Dana. Twoje blizny. Bolał go bark, gdy był spięty. Ty masujesz

swój.

- Układ ciała zmienia się w stresie. Bark reagujena napięcie.

- Co się stało z dziewczynami?

-Kiedy skończył się futbol? Przez chwilę się kręciły jeszcze wokół mnie, ale gdy wróciłem do Walker, zajęły się innymi. - Dlaczego wróciłeś?

-Z dwóch powodów.

Życie tam jest tanie, a ja musiałem przygotować sobie portfolio. I mama błagała, bym wrócił.

Moje siostry powychodziły za mąż i wyjechały z miasta.

- O, to kolejna rzecz - przerwałam Casey. – Nie mówiłeś mi, że masz siostry.

- Nie pytałeś - przypomniał jej. - Widać było, że nie chcesz wiedzieć o mnie niczego osobistego.

Podobał się seks, bo był anonimowy, a zatem niebezpieczny, a poza tym chciałas zaszokować Conniego.

Miała niejasną świadomość, że obok leży jej matka. Ostrzej jednak docierała do niej gorycz głosu Jordana. Miał rację.

Anonimowość, niebezpieczeństwo, szok - rzeczywiście stanowiły podniecie, ale przecież to nie wszystko.

- To nie całkiem tak. Nie rozkoszowałam się anonimowością. Nic, co się łączy z ogrodem, nie było anonimowe. Poczułam tę więź od pierwszej chwili, gdy go zobaczyłam.

-I dodała ciszej: - Od pierwszej chwili, gdy zobaczyłam ciebie.

Wpatrzona w niego, wciąż czuła tę więź.

Było to teraz silniejsze uczucie itak nowe, że budziło mniej lęk.

- Skończ swoją opowieść - poprosiła, by przemoc strach. - O Walker.

pracy z ojcem. Jak dotego doszło, skoro się nie zgodzaliście?

- Potrzebowałam pieniędzy, a ojciec potrzebował pomocy.

Uznałem, że mogę to robić rok czy dwa.

- I naprawdę tak tego nienawidziłeś?

Spojrzał w dół, na swoje ręce.

Gdy podniósł wzrok, miał spokojniejszy głos.

- Nie cały czas. Mieszkańcy Walker to dobrzy ludzie.

Zdecydowanie czuje się tam przynależność do miejsca.

Choć jeżdżenie po mieście wozem patrolowym było nudne, zawsze ktoś

pomachał albo się uśmiechnął, albo wręczył torbę pomidorów z ogródka.

To, czego nienawidziłem, wiązało się z egzekwowaniem prawa.

Zamykanie pijaków, pilnowanie przepisów, ściganie dzieciaków, które ukradły w sklepie papierosy.

Najbardziej bolały mnie te dzieciaki.

Błagałyo uwagę, błagały, by ktoś się nimi trochę zainteresował, ale ojciec tego nie rozumiał.

Jego zdaniem problemem był brak dyscypliny, a rozwiązaniem - noc w areszcie.

"Zamknij ich, Dan" - mówił, jakby był gwiazdą telewizyjną. -

Odetchnął głęboko.

-Więc ich zamykałem, ale potem starałem się rozmawiać z nimi, ile tylko mogłem.

Więc zostałem "sentymentalnym głupcem".

Casey pomyślała, że "sentymentalny głupiec" brzmi lepiej niż "mięczak", gdy przypomniała sobie, co Ruth mówiła o dzieciństwie Conniego.

- Mój ojciec miał podobne doświadczenia ze swoim ojcem.

-Wiem. To nas łączyło.

- Mówiłeś mu o sobie i swoim ojcu?

-Zapytał mnie.

- I opowiedział ci o sobie i swoim ojcu?

-Zapytałem go.

Casey poczuła ukłucie zazdrości, ale Jordan zaraz je złagodził.

- Nie mógłby powiedzieć ci tych rzeczy, Casey. Nie zaryzykowałby, bałby się, że w twoich oczach stanie się słabym człowiekiem. Ja się nie liczyłem. Nie obchodziło go, comyślę. Poza tym, gdy opowiedziałem mu swoją historię, wiedział, żego zrozumie. Kiwnęła głową i spojrzała namatkę.

- Słyszałaś to wszystko, mamó? - spytała, ale odpowiedział jej tylko chrapliwy oddech.

Przytuliła dłoń Caroline do szyi. - Posłuchałaś sporo pasjonujących wieści. -Spojrzała na butelkę kroplówki, z której powoli kapało

lekarstwo, należącą miękko rurkę tlenową i na monitor serca, pikający cicho i równomiernie.

I co myślisz, mamó? - rozważała w milczeniu. -Uważasz, że się

nadaje?

Caroline niewątpliwie powiedziałyby, że tak.

Podobałby jej się jego wygląd. Podobałyby się jego wrażliwość.

Podobałby się fakt, że jest artystą.

A co z jego związkami z Conniem? - zastanawiała się Casey, ale doszła do wniosku, że Jordan wywarłby na Caroline tak wielkie wrażenie, że bez znaczenia byłby fakt, że to Connie go zatrudnił. Caroline uznałaby, że Jordan zdecydowanie przerasta wszystkich dotychczasowych adoratorów Casey.

Ale kłamał mi - argumentowała Casey, lecz skorygowała to w następnej myśli.

- No, może niekłamał, tylko pozwolił mi na błędne domysły.

Tajemniczy ogrodnik? Wielki macho? Co to mówi o jego charakterze?

Caroline tłumaczyłaby Jordana, że przedstawił się jej jako mięśniak, ponieważ dorastał w przekonaniu, że tężyzna fizyczna bardziej pociąga kobiety niż terpentyna i farby.

A może - dodałaby Caroline - zrobił to, by wyrzucić na Casey wrażenie.

A to znaczyło, że mu się podoba.

Oczywiście, że mu się podobam. Seks jest wspaniały.

Caroline wzniosłaby oczy do nieba.

Radziłaby Casey, żeby dorosła, i poinformowała, że miłość to coś więcej niż seks, a na to Casey nie miałaby odpowiedzi. Nie sądziła, być hodziło o miłość.

Na to było zdecydowanie za wcześnie.

Zmieszana i zniechęcona, spojrzała na Jordana.

- Powinniśmy iść.

Casey nie zatrzymała się nawet, by zabrać samochód, ale pozwoliła Jordanowi odwieźć się wprost do domu.

Weszli przez tylną furtkę.

Długą chwilę stała w ciemności, wciągając w płuca zapach lasu.

Miał lecznicze właściwości.

Odczuwała jego działanie.

Jordan pozostał przy furtce.

Obejrzała się i wyczuła jego wahanie.

Wróciła więc do niego, ale tym razem nie uciekała się do żadnych uwodzicielskich gierki czy słodkich minek. Nie była na niego zła. Och, tak, mógł jej od początku powiedzieć, kim jest.

Ale nie kłamał. Był jej ogrodnikiem. To jej wówczas odpowiadało.

Teraz było jej potrzebne coś innego. Wsunęła dłoń w jego dłoń.

- Zostaniesz nanoc? - spytała miękko.

- Jako kto? – odpowiedział pytaniem, które mówiło, że i dla niego zmieniły się odgrywane role.

- Jako ty - powiedziała imodliła się, by nie zadawał więcej pytań, bo nie miała więcej odpowiedzi.

Nie pytał.

Ujął jej dłoń, ucałował palce, objął ją i skierował ku domowi.

Długi czas minął, zanim zasnęli, ale Casey się tym nie przejmowała.

W niedzielę można sobie dłużej pospać.

Nie mówiąc już nawet o kochaniu się, które nie pozwalało martwić się o Caroline, Jenny czy Dardena, rozkoszowała się leżeniem w łóżku z kimś, kto budził w niej ciepłe uczucia.

Gdy obudziła się na chwilę o szóstej rano i wtuliła w Jordana, pomyślała, że chętnie w ten sposób spędziłaby czas do południa.

Jednak los zrządził inaczej.

Rozdział dwudziesty drugi

Najpierw pojawił się Angus.

Gdy wskoczył na łóżko, Casey obudziła się, przejęta nagłym niepokojem.

Uspokoiwszy się szybko, pomyślała, że może uda jej się usiąść i pogłaskać kota.

W tej chwili jednak Angusa interesował jedynie Jordan.

Wspiąwszy się na skotłowaną kołdrę, wdzięcznie przemaszerował przez pierś Jordana na jego drugą stronę, odwrócił się i usiadł.

Nie całkiem zadowolony, oparł łapę na żebrach Jordana.

Potem z królewskim, wyniosłym, nawet wyzywającym wyrazem pyszczka ułożył łepkę i wpatrzył się w nią.

- O rany- mruknęła i może powiedziałaaby coś na temat męskiej solidarności, gdyby nie rozdzwonił się telefon.

Caroline?

Z bijącym sercem spojrzała na nocną szafkę.

Dzwonił telefon Jordana.

Niemalnie otwierając oczu, wyciągnął rękę nad Angusem, by złapać aparat.

Włączył go kciukiem.

- Tak - powiedział.

W tej samej chwili był już całkowicie eobudzony.

-Kiedy? Co mówił?

Spotkał spojrzenie Casey.

Nie słyszała słów wypowiedzianych przez jego rozmówcę, wyraźnie jednak słyszałaż irytowany ton.

- Tak, znam ją - mówił Jordan, patrząc teraz na nią z niepokojem.

- Mogła się o tym dowiedzieć częściowo ode mnie.

Nie, nie wysyłałem jej tam.

Po co miałbym to robić?

Nie wiedziała, że jestem twoim synem. W Bostonie są całe rzesze O'Keefe'ów.

- Oparłszy się na łokciu, słuchał dalej.

-Prawdopodobnie w końcu skojarzyła Jordana i Dana i poczuła się

zażenowana.

To moja wina, nie jej.

Co jeszcze mówił Darden? Jakież groźby?

Doskonale.

Niech mnie przeklina.

Nienawidzi mnie od tej nocy, gdy go Jenny potrafiła.

Wolę, by mnie demonizował, niż wyruszał na poszukiwania.

- Słuchał, poczym westchnął.

-Czekaj, tato.

To była niewinna uwaga.

Jenny nie żyje i została pochowana.

Powiedz to Dardenowi.

Absolutnie nie miałbym ochoty zobaczyć go w drzwiach.

Będiesz wiedział, jeśli wyjedzie z miasta?

Możesz sprawdzić?

Tak, byłbym wdzięczny.

jasne.

Tak.

Skończył rozmowę, położył się na plecach i oparł telefon na brzuchu.

Angus zabrał łapę i siedział, wciąż wpatrując się w Casey.

- Jenny nie żyje i została pochowana - mruknął Jordan tonem usprawiedliwienia.

- Meg żyje i ma się dobrze.

- Czy Darden rozrabia? - spytała Casey, czując i winę, i strach.

- Tak.

Powiedział tacie, że to możliwe, iż wywiozłem Jenny z miasta i gdzieś ją ukryłem.

- Czy mówił, że zamierza jej szukać?

-Nie.

Ale to nie znaczy, że tego nie zrobi.

- Jeśli ma obsesję, to nie popuści.

-Wiem coś o tym – zauważył Jordan sucho.

- Czy powinniśmy uprzedzić Meg?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Jeszcze nie.

Nie będzie wiedział, jak ją znaleźć.

Najpierw odszuka mnie, potem ciebie.

- Mnie?

-Ma twoje nazwisko.

Pewnie dostał w kawiarni.

Twój numer jest w książce telefonicznej.

- Ale telefonu w mieszkaniu.

-Więc módlmy się, by nie trafił tu.

Casey przytrzymała prześcieradło przy piersi i usiadła.

- Tak mi przykro.

Przyglądał jej się z pewnym rozdrażnieniem.

Po chwili jednak twarz rozjaśnił mu spokojny uśmiech.

- Wiem, że ci przykro.

Nie jesteś za to odpowiedzialna.

Gdyby któreś z nas- Connie, ja, nawet Meg – powiedziało ci o tym, zanim pojechałaś do Walker, nie wybrałabyś się tam.

Ale nie wiedziałaś.

Mogę być zły z powodu czynu, ale nie jego intencji.

- Objął palcami jej szyję i przyciągnął głowę do swojej piersi.

Przechasywał długimi palcami jej włosy, gładził, koił.

Casey zamknęła oczy.

Ostatni raz taką pieśczętę przyjmowała z rąk matki i była wtedy za młoda, by to docenić.

Teraz, biorąc pod uwagę stan Caroline i zagrożenie ze strony Dardena, odprężenie nie wydawało się możliwe, ale Jordan był w tym mistrzem.

To, co robił, przynosiło niezwykłą ulgę.

Mruczała z zadowolenia.

- Czy Angus wciąż się przygląda?- spytała po chwili szeptem.

- Tak - odszepnął.

-Czy to dobrze?

- Jasne.

Jest tu, nie?

Jeszcze w zeszłym tygodniu odmawiał wyjścia z pokoju Conniego.

- To dobry kot.

-To dobry dom.

Casey nabrała powietrza.

- Znajomy znajomego chce go kupić.

-Nie możesz go sprzedać.

- Dlaczego?

- Bo kocham ten ogród.

Ktoś inny może nie chcieć, bym się nim opiekował.

- Tym właśnie jesteś - opiekunem?

- Opiekun to mięczakowate słowo.

Jestem ogrodnikiem.

- Jesteś malarzem. - Uwielbiała to mówić. To wciąż było zaskakujące.

- Nie mógłbym być jednym bez drugiego.

- Ale nie z powodu pieniędzy.

- Nie.

Inspiracji.

Myślała, że doskonale to rozumie, gdy tok jej rozważań przerwał dźwięk dzwonka do drzwi.

Usiadła z bijącym sercem.

- Kto to może być? - spytała, wyskakując z łóżka.

Jordan był już na nogach i naciągał szorty.

- Mój samochód stoi na zewnątrz, to nie dobrze.

Sięgnęła po szlafrok.

- Czy Darden by go rozpoznał?

- Oczywiście.

- Zapiął szorty.

- Jeździłem nim do Walker.

- Chwilę mocował się z guzikiem w pasku.

- Dawno tam nie byłem, ale Darden jest pamiętliwy.

Casey wsunęła ręce w rękawy szlafroka.

- A jeśli miał ten adres.

- ...mój samochód tutaj potwierdziłby jego podejrzenia - dokończył Jordan i ruszył do holu.

Poszła za nim, po drodze zawiązując pasek.

- To nie może być Darden.

Dopiero co rozmawiał z twoim tatą w Walker.

Jordan zbiegał ze schodów.

- Rozmawiał z nim wczoraj wieczorem.

Późno.

Ojciec dzwonił do mnie do domu i mnie nie zastał.

Nie przyszło mu do głowy zadzwonić na komórkę, aż mama wspomniała o tym rano.

Casey zbiegała za nim na dół, modląc się w duchu, by nie był to Darden.

Gdyby przyjechał do Bostonu i znalazł Jenny, zniszczyłoby to jej życie. Przeobraziła się w Meg, czuła się bezpieczna.

Jeśli to bezpieczeństwo zostanie zburzone, będzie to wina Casey. Wtedy okaże się, że naprawdę zawiodła Conniego.

Jordan przeciął frontowy holi kładąc rękę na klamce, wyrzwał przez boczne okienko.

Casey, kilka kroków za nim, wstrzymała oddech.

Jordan wypuścił powietrze z płuc, tłumiąc śmiech, i odstąpił o krok.

- Chyba masz gości - powiedział odrobiną żalu w głosie.

Zdziwiona, wyrzała przez okienko.

W tym samym momencie, w którym objęła wzrokiem Jennę, Briannę i Joy, one zobaczyły Casey.

Widziały przedtem także Jordana.

Robiły wrażenie zdumionych, podnieconych i rozbawionych, wskazywały na klamkę, domagały się, by je wpuściła.

Spojrzała na Jordana. - Przeżyjesz to?

- Chyba muszę - odparł, sięgając do klamki.

Otworzył drzwi i stał, zachowując zdumiewającą godność, podczas gdy przyjaciółki Casey taksowały go wzrokiem, a usta im się nie zamykały.

- Nie mogliśmy znaleźć miejsca do parkowania na Court - oznajmiła Brianna.

-Musiałyśmy zaparkować na West Cedar - dodała Jenna.

- Dobrze, że nie zrezygnowałyśmy - oświadczyła Joy.

-No, Casey, ty diablico – mruknęła Brianna.

- Nie spuszczała wzroku z Jordana.

-A ja się martwiłam.

- Unikasz nas – skarżyła się Jenna, również nie odrywając od niego oczu.

-Nie odpowiadasz na telefony - dodała Joy, także w niego wpatrzona.

- Chyba rozpoznaję tego mężczyznę - zakpiła Brianna, bo niewątpliwie go sobie przypominała.

-I ja też – powiedziała Jenna tonem bardziej zdziwionym niż kpiącym.

Wszystkie trzy zamilkły, patrząc na Jordana z wyczekiwaniem. Casey westchnęła z rezygnacją.

- Drogie panie, to Jordan O'Keefe.

Jordan, poznaj Jennę, Briannę i Joy, moje najlepsze przyjaciółki.

Jordan, w pełni panując nad sobą, skinął wszystkim głową na powitanie.

- Bardzo mi przykro.

Gdybym wiedział, że przyjdziecie, ubrałbym się odpowiednio-powiedział.

Jenna zachichotała, Joy parsknęła.

Brianna spojrzała Spod oka.

- Przepraszam, ale czy nie widziałam cię pracującego tu w ogrodzie?

-Ale ja widziałam go gdzie indziej - wtrąciła Jenna, która właśnie go sobie skojarzyła.

- To było na wystawie.

- Jest malarzem - potwierdziła Casey- ale jest także moim ogrodnikiem.

-I najwyraźniej nie tylko - wtrąciła Joy.

Patrzyła na guzik szortów Jordana, którego w pośpiechu nie zapiął do końca.

Brianna zwróciła się do Casey z ledwo ukrywaną radością.

- Przepraszam.

Naprawdę chętnie zajęłabym się naturą twoich stosunków z ogrodnikiem, który jest także malarzem, ale to moja chwila i zamierzam ją w pełni wykorzystać.

- Wyciągnęła lewą rękę, na której widniał piękny, nowy pierścionek z diamentem.

Casey aż się zachłysnęła.

- Brianna!

O rany!

Zdecydowałaś się!

- Uściskała Briannę, po czym odsunęła się, by spojrzeć na pierścionek.

-Jest wspaniały. - Znów ją serdecznie uścisnęła. -Jestem ciebie dumna.

Brianna promieniała.

- Ja też jestem dumna.

-Kiedy go dostałaś?

- W piątek wieczorem.

Powiedziałabym ci wcześniej, gdybyś odpowiadała na telefony.

Jordan wtrącił się, drapiąc się w głowę nieporadnym gestem.

- Hm, to może ja już sobie pójdę, drogie panie.

- Zawarta w tych słowach sugestia, że to on jest odpowiedzialny za nie odbierane przez Casey telefony, dawała jej znakomite alibi i ratowała przed opowieścią o Maine.

-Gratulacje, Brianno - dodał.

- Och, nie odchódź! - zawołała Brianna. -Musimy to uczcić! -

Joy wyciągnęła butelkę szampana, Jenna zaś dużą torbę z piekarni.

-Jeśli Casey ma sok pomarańczowy, to możemy zrobić niedzielne śniadanie.

Pewnie nie tak dobre jak to, które zrobiła Meg, ale będziemy udawać.

W tym momencie, jakby wywołana, na rogu West Cedar pojawiła się Meg.

Szła ze spuszczoną głową.

Z tej odległości wyglądała na samotną, nawet przygnębiałą.

Casey poczuła przyływ nowej czułości.

Meg była jej kuzynką.

Kuzynką.

- No dobra, kochani, wszyscy do środka.

- Zagnała ich do domu, włączając do grupy Jordana. -A ja porozmawiam z Meg i zobaczymy, co się da zrobić.

Owinęła się ciasniej szlafrokiem i –nie przejmując się wcale, że tylko to miała na sobie - zbiegła na bosaka po schodkach i ruszyła chodnikiem.

Meg podniosła głowę.

Jej twarz rozjaśnił uśmiech, dodając jej urody.

Zbliżając się do Meg, Casey odpowiedziała uśmiechem.

- Wiem, że robię z siebie idiotkę, biegając po ulicy boso i w szlafroku, ale właśnie przyszły moje przyjaciółki.

Brianna się zaręczyła!

Czy to nie wspaniałe? - Wsunęła rękę pod ramię Meg i pociągnęła ją ku domowi. -Nie mogłaś przyjść w bardziej odpowiednim momencie.

Czy możemy zrobić niezapowiedzianą uroczystość?

Przyniosły szampana i coś z piekarni, ale to ty wiesz, czy mamy sok pomarańczowy, no i w ogóle co jest w lodówce.

Pomożesz?

Meg wciąż się uśmiechała, ale wyglądała nieco blado.

Casey przyszło do głowy, że po prostu mniej się umalowała.

Dostrzegała słabe kropeczki w miejscach, w których przedtem widniały mocne piegi.

- Oczywiście – powiedziała Meg z ożywieniem. Wciąż trzymając Meg pod rękę, Casey przechyliła ku niej głowę.

To nie było trudne, bo miały podobny wzrost.

- Muszę cię jednak uprzedzić - powiedziała cicho, tonem zwierzenia - że jest tu Jordan.

-Jordan?

- Spędził tu noc.

-Spędził. noc?

Casey spotkała jej spojrzenie, zaciskając usta, by nie uśmiechać się szeroko.

Oczy Meg rozświeciło zrozumienie.

- Ty i Jordan?

-Nie uważasz, że jest wspaniały?

- Tak, ale to. Jordan.

Casey dokładnie wiedziała, skąd pochodzi Meg.

Sama natomiast pochodziła skądinąd.

- No właśnie - powiedziała, wprowadzając Meg po schodach i zamykając drzwi.

Wciągu następnych trzydziestu minut Jordan włożył koszulę, a Casey obcięte džinsy i koszulę bez rękawów, Meg zaś przygotowała pełne śniadanie dla pięciu osób na stole w ogrodzie.

Rododendrony były niemal w pełnym rozkwicie, lilie wyrosły, rozrośnięta werbena świeciła fioletowymi kwiatami.

Wszystko jedno, co składało się na zapach - był on wystarczająco piękny, by uczcić Brianę.

Właśnie zabierali się do huevos rancheros, gdy odezwała się komórka Jordana.

Casey spojrzała na niego z niepokojem, ale już wstał od stołu i rozmawiając, przeszedł do gabinetu.

Uśmiechała się, by nie niepokoić Meg, lecz zerkała w jego kierunku.

Gdy Jordan skończył rozmowę i uchwycił jej spojrzenie, podeszła do niego.

- To był ojciec – powiedział cicho.

- Znikł samochód Dardena.

Casey ścisnęło się serce.

- Co to znaczy "znikł"?

-Niema go ani w garażu, ani na podjeździe, ani na parkingu koło kościoła, ani nigdzie indziej w mieście.

Casey jęknęła.

- Od jak dawna go nie ma?

-Nie wiedzą.

Mógł wyjechać po rozmowie z ojcem wczoraj wieczorem.

Albo wcześniej rano.

- Wybrał numer na klawiaturze telefonu.

-Policjant z Bostonu - mruknął do Casey, po czym powiedział do telefonu: - Cześć, John.

Tu Jordan O'Keefe.

Pamiętasz tę sytuację, o której rozmawialiśmy i mieliśmy nadzieję, że nigdy do niej nie dojdzie?

Właśnie.

Tak, niestety.

Casey zobaczyła teraz innego Jordana.

Słuchając go, zdała sobie sprawę, że ma do czynienia z profesjonalistą. Spokojnie i rzeczowo przedstawił detektywowi informacje, jakimi dysponował na temat Dardena, jego samochodu i tablic rejestracyjnych. Podał adres mieszkania Casey w Back Bay i własnego, ponieważ oba były w książce telefonicznej, a Darden mógł je stamtąd uzyskać. Zdradził adres domu przy Leeds Court, mówiąc, że nie zaszkodzi, jeśli wóz patrolowy na wszelki wypadek przejedzie tędy od czasu do czasu. Podał również adres mieszkania Meg na szczycie wzgórza, zastrzegając, że to informacja poufna.

- Darden nie zna nazwiska Meg Henry- uspokajał w równej mierze siebie co Casey po zakończeniu rozmowy – zresztą jej numer telefonu jest zastrzeżony.

Nie będzie wiedział, gdzie mieszka, chyba że zauważy ją na ulicy i pójdzie za nią.

- Zmieniła wygląd.

- Nie tak bardzo - powiedział Jordan z żalem.
- Dlaczego jedzie chevy, a nie buickiem?
- Buick rozpadł się dawno temu.

Chevy należy do kobiety, z którą żyje.

Nazywa się Sharon Davies.

- I naprawę na tablicach rejestracyjnych ma napis

T-W-A-R-D-Z-I-E-L?

- Tak mówił tato.
- Jeśli jest taka twarda, to co robi z Dardenem?
- On ma dom.

Podobno przenosiła się z miasta do miasta z dwójką dzieci, zatrzymując się, gdzie się dało, i starając się jakoś przeżyć.

Gdy wprowadziła się do Dardena, umowa była taka, że ona gotuje i sprząta, a on jej zapewnia solidny dach na głowę.

- A ona wie, dokąd Darden pojechał?
- Wygląda na to, że jest z nim.
- A dzieci?
- Są w domu, ale nic nie wiedzą.

Nie potrafią powiedzieć, kiedy Darden wyjechał.

Oboje spali.

- Zostawiła dzieci same?
- Nie są takie małe.

Dziewczynka ma szesnaście lat, chłopiec jedenaście.

Casey starała się zachować optymizm.

- Może to tylko niewinna wycieczka powiedziała, ale sama w to nie wierzyła, tak samo jak Jordan, sądząc po wyrazie jego twarzy.

Szybko więc dodała: - Może powinnam zabrać stąd Meg?

- Nie, tylko się zdenerwuje.

Poza tym Dardenowi raczej nie przyjdzie do głowy, by tu przyjechać.

Nie wie, kim był Connie.

Gdyby wiedział, dawno już by tutaj się pojawił.

Jak na razie to miejsce jest dla Meg najbezpieczniejsze.

Brianna, Jenna i Joy wyszły przed południem.

Casey odprowadziła je do samochodu na West Cedar.

Gdy wróciła, Jordan stał na chodniku, rozmawiając z Jeffem i Emily Eisnerami.

Oczywiście zaprosiła ich do domu i do ogrodu.

Zostało trochę jedzenia.

Jeff i Emily byli głodni, Jordan chciał dokładkę, a Casey również chętnie coś jeszcze zjadłaby.

Meg była zachwycona, bo najwyraźniej lubiła Emily.

Poznały się, kiedy Emily odwiedzała Conniego, i łatwo im się ze sobą rozmawiało.

Ani Emily, ani Jeff nie traktowali jej z wyższością.

Wręcz przeciwnie, zachowywali się niemal opiekuńczo - chwalać jej francuskie grzanki, dziękując, gdy przyniosła kolejny dzbanek kawy, rozmawiając o lokalnych sklepikarzach.

Casey zwróciła na to uwagę.

Zauważyła także, jak swobodnie czuł się Jordan, swobodniej niż podczas wizyty Brianny, Jenny i Joy.

Poprzednio przysłuchiwał się głównie damskiej rozmowie kręcącej się wokół zaręczyn Brianny, natomiast w towarzystwie Emily i Jeffa znalazł się w swoim żywiole.

Tej towarzyskiej strony Jordana Casey dotychczas nie знаła.

Doskonale funkcjonował w tej roli.

Myślała o tym, delektując się kolejną filiżanką kawy.

W końcu Eisnerowie podziękowali i poszli.

Jordan odprowadził ich do drzwi frontowych i wrócił z niedzielną gazetą.

Casey patrzyła, jak się zbliża.

Położył gazetę na stole, wyciągnął pierwszą stronę i usiadł.

Dopiero po chwili zorientował się, że Casey wciąż mu się przygląda.

Opuścił gazetę i uniósł brwi w niemym pytaniu: o co chodzi?

- Wychodząc, Emily szepnęła mi do ucha coś bardzo interesującego - wyjaśniła Casey słodko.

- Powiedziała, jak się cieszę, że ona i Jeff są moimi sąsiadami, ona zaś oznajmiła, że jest ci bardzo wdzięczna za sugestię, żeby do mnie wpadła, gdy w zeszłym tygodniu byłam tak przygnębiona.

To manipulacja, Jordan.

Nie odpowiedział, siedział tylko, uśmiechając się lekko.

- Powinnam być wściekła. Wciąż się nie odzywał. Więc czemu nie jestem?

- Ponieważ - udzielił prawidłowego wyjaśnienia - wiesz, że moje serce jest we właściwym miejscu. Wiedziała.

Niezależnie od tego, że czasami ją zwodził, nigdy nie wyczuła w nim ani odrobiny złej woli.

Przekorę? Tak. Jej ogródnik był w zamierzony sposób lakoniczny.

Gdyby się tak nie zachowywał, zdradziłby się.

Był wykształcony i potrafił być rozmowny.

Okazał się przenikliwy.

Wyczuł, że tamtego dnia Casey potrzebowała Emily Eisner, choć nie mógł wiedzieć o stołku przy fortepianie.

Teraz jednak, gdy siedziała, przypatrując mu się, przyszło jej do głowy, że Caroline miała rację.

Nieogolone policzki, rozdarty podkoszulek, znoszone dżinsy, niezasnurowane buty, a także milkliwość tworzyły wizerunek macho.

Tę rolę nauczone go grać, ilekroć miał do czynienia z kobietami.

- Coś cię jeszcze dręczy? - spytał łagodnie.

Uznała, że nie musiał udawać macho, boi bez tego uosabiał męskość w czystej postaci.

Pokręciła głową. Ale potem coś jej przyszło na myśl.

- Jednak tak.

- Rozejrzała się po zalanych słońcem ścieżkach i kwiatach, które z dnia na dzień kwitły coraz bujniej.

- Jak mogę czuć spokój i zadowolenie właśnie teraz?

- Był to niedobry czas, czas oczekiwania, a Darden stanowił zaledwie część problemu.

Była jeszcze Caroline.

Casey czuła lekki niepokój, myśląc o nich dwojgu, ale nie panikowała tak, jak się jej to zdarzało dawniej.

Zamiast odpowiedzieć, Jordan wyciągnął się w fotelu, wyprostował nogi i leniwie się uśmiechnął.

To ogród - mówił.

Ogród był oazą, ucieczką przed nieszczęściami tego świata.

I nie, nie może go sprzedać.

Teraz to rozumiała.

Jej mieszkanie w Back Bay było niczym w porównaniu z Beacon Hill.

Tak samo, mówiąc szczerze, jak farma na Rhode Island.

Ta farma uosabiała Caroline.

Dom z magicznym ogrodem uosabiał Casey.

To tu znalazła swe przeznaczenie.

Wyczuła, że Connie się cieszy, iż zdała sobie z tego sprawę, a to z kolei i jej sprawiło przyjemność.

Jordan wciąż się uśmiechał.

Och, mówił więcej, to prawda.

Mówił, że on tu jest, a to ma wielkie znaczenie.

Miał rację.

Nie chciała tego jednak jeszcze przyznać.

Dźwięki niedzielnego poranka - śpiew ptaków i leniwy szum miasta – zakłócił nagle dźwięk klaksonu.

Po chwili klakson odezwał się po raz drugi, trzeci, czwarty.

Nie był to alarm samochodowy, bo dźwięki rozbrzmiewały nieregularnie, raziły ucho, znamionowały gniew tego, kto go naciskał.

Dochodziły z Leeds Court.

Casey napotkała spojrzenie Jordana.

Rozleniwienie znikło w mgnieniu oka.

Jordan zerwał się z krzesła i pobiegł kamienną ścieżką ku drzwiom.

Była tuż za nim.

- Dudley nie mógł być aż tak głupi.

Jordan pokonywał po dwa stopnie naraz.

- Mógł.

Ucieszyłyby się, mając sprawę do opisania.

Casey przyspieszyła, by go dogonić.

Przebiegli korytarz i hol frontowy.

Jordan otworzył drzwi akurat w chwili, gdy stanęła u jego boku.

Na brukowanej jezdni stał poobijany chevy, jednym kołem na krawężniku, obiegającym rosnące pośrodku drzewa, maską w kierunku przeciwnym niż pozostałe auta na Leeds Court.

Drzwi od strony kierowcy znalazły się na wysokości przerwy między samochodami, tuż na wprost ścieżki do domu Casey.

Nie musiała patrzeć na tablice rejestracyjne, by wiedzieć, że wściekłym kierowcą jest Darden Clyde.

- Wracaj do środka - powiedział Jordan, schodząc po schodkach.

Casey zignorowała jego słowa i ruszyła za nim.

Doszli do furtki w chwili, gdy Darden wysiadł z samochodu.

- Tu nie ma, kurwa, gdzie zaparkować!

- wrzasnął, zbliżając się do Jordana.

-No dobra, O'Keefe, gdzie ona jest?

- Kto? - spytał Jordan.

Stojąc na lekko rozstawionych nogach, z wyprostowanymi ramionami, wydawał się tak duży i niewzruszony, że nawet Casey zatrzymała się za nim.

- Moja córka! - wrzasnął Darden, czerwony na twarzy. Casey przyglądała mu się z niezdrową fascynacją. Gdyby nie znała historii Jenny, uznałaby go za przystojnego.

Miał rzadniejsze już włosy, ale regularne rysy i uderzająco niebieskie oczy.

Wiedziała jednak, jak ją traktował, i teraz patrzyła na niego jak na groźnego drapieżnika.

- Pochowałeś swoją córkę - powiedział Jordan.

-W tym grobie nie ma ciała, a nagle wczoraj pojawia się ta kobieta - spojrzał na Casey z nienawiścią - i zaczyna paplać, że Mary Beth nie umarła, i w domu tej kobiety znajduję ciebie.

Wyjechałeś z miasta zaraz po tym, jak Mary Beth zniknęła.

Jesteś w to zamieszany.

- Mary Beth nie ma, Darden. Umarła.

Casey uważała, że to prawda. Mary Beth umarła.

Tak samo Jenny.

Natomiast Meg żyła i znajdowała się gdzieś za nią w domu.

- Co zrobiłeś, O'Keefe?

- Darden aż się gotował, wysunął szczękę, sapał przez rozszerzone nozdrza. -Wywachałeś coś dobrego w Walker i zabrałeś to sobie? Pete? Nie było żadnego Pete'a. Ty byłeś Pete'em. Ale ona należy do mnie. Słyszysz? Należy do mnie. Nie możesz jej mieć. Przyjechałem ją zabrać.

- Mylisz się - oświadczył Jordan zdecydowanym tonem. -
Wracaj do domu.

- Nie wróć, póki nie dostanę córki.

Nagle podniósł niecowzrok, ujrzał kogoś stojącego za Jordanem, a w

jego oczach pojawił się złośliwy błysk.

- No, no, no.

Cała trójka pod jednym dachem.

Czy żto nie interesujące?

Casey odwróciła głowę.

W otwartych drzwiach frontowych stała Meg, patrząc na Dardena szeroko otwartymi oczyma.

Wyglądała na skamieniałą ze strachu.

Casey wbiegła po schodkach i stanęła przed Meg, zasłaniając jej widok na Dardena.

- Nie odzywaj się do niego.

Nie musisz nic mówić - powiedziała tak cicho i łagodnie, jak umiała, sama drżąc ze strachu.

- Paskudny kolor włosów, Mary Beth -szydził Darden -ale rozpoznałbym cię, choćbyś je przefarbowała na fioletowo.

Nie wiem, w co tym razem grasz, ale i tak ci się nie uda.

Casey odwróciła się tak, że stała plecami do Meg, zasłaniając ją i trzymając za ręce.

Darden wciąż tkwił przy samochodzie, Jordan wciąż blokował ścieżkę.

Jednak Casey widziała, że poza tym na Leeds Court panuje ruch.

Zaczęli się pojawiać wywołania anturą sąsiedzi - prawnik Gregory Dunn, Jeff i Emily, kilkoro innych, których Casey знаła z widzenia, ale nie z nazwiska.

Część była po prostu ciekawa i przyglądała się kilkoro ostrożnie podeszło bliżej.

Prawnik trzymał przy uchu telefon komórkowy.

Casey modliła się w duchu, by łączył się z policją.

Ale Darden był szybszy.

Ze złym uśmiechem wyciągnął z kieszeni rewolwer i wymierzył go w Jordana.

Nie zmieniając wyrazu twarzy, zawołał do Meg:

- To jak będzie, MaryBeth?

Czy tym razem naprawdę mam dla ciebie zabić?

Casey ogarnęło przerażenie.

Kątem oka dostrzegła, że sąsiedzi, którzy podeszli bliżej, teraz się wycofują.

Meg zaszlochała za jej plecami, ale Casey tylko mocniej

uścisnęła jej dłonie.

Wiedziała, że Jordan nie ma broni -mogła przegapić telefon w jego kieszeni, ale nie rewolwer-a to znaczyło, że jest w niebezpieczeństwie. Zastanawiała się, czy ma szansę pokonać Dardena bez strzelaniny, gdy zauważyła jakiś ruch.

Ktoś wysunął się z samochodu tuż za Clyde'em.

Zobaczyła kobietę w obcisłej bluzce bez rękawów, opinającej obfity biust. Poza tym jednak nie była gruba, miała krótkie, ufarbowane na blond włosy i twarde spojrzenie. Sharon Davies.

Casey nie miała co do tego wątpliwości.

- Rzuć broń, Darden zażądała głosem równie twardym jak jej wzrok.

-Nie wtrącaj się - mruknął Darden, nawet się nie oglądając.

- Rzuć broń, powiedziałam- powtórzyła.

Darden wciąż mierzył w Jordana.

- Rzuć to –rozkazał Jordan.

- Naruszenie warunkowego zwolnienia to jedno, napad z niebezpiecznym narzędziem to całkiem coś innego.

Nie pogarszaj swojej sytuacji.

- Pogarszam swoją sytuację?

- wrzasnął Darden, choć Jordan stał zaledwie kilka kroków od niego.

-Jest moja.

Chcę jej.

Jeśli nie mogę jej mieć, nie mam nic do stracenia.

To dla niej kilka lat gniłem w więzieniu.

- Te słowa dodatkowo go rozjątrzyły.

-Nie mam nic do stracenia!

Niedaleko rozległa się policyjna syrena.

Jordan wyciągnął rękę.

- Oddaj broń - powiedział cicho, lecz stanowczo.

-Najpierw piekło zamarznie – warknął Darden.

Chwycił rewolwer obiema rękoma i odbezpieczył.

Trzecia ręka złapała rewolwer.

Casey ledwo zdążyła zdać sobie sprawę, że należy do Sharon, gdy

Darden się odwrócił.

Doszło do szarpaniny.

Jordan skoczył naprzód.

Rozbrzmiał wystrzał.

Meg i Casey krzyknęły.

Casey pobiegłaby do Jordana, gdyby Meg nie zaczęła dygotać i gdyby zdrowy rozsądek nie kazał jej trzymać się z dala od broni.

Odwróciła się i mocno objęła Meg, równocześnie z niepokojem oglądając się przez ramię na Jordana.

Leżał na chodniku, mając pod sobą Dardena.

Po kilku sekundach zobaczyła jednak, że Jordan się porusza.

Nie ruszała się natomiast Sharon Davies.

Stała jak skamieniała, wciąż trzymając w ręku rewolwer Dardena.

Szeroko otwartymi oczyma patrzyła na jego nieruchomą postać.

Jordan podniósł się na kolana.

Przyglądał się przez chwilę Clyde'owi, poszukał tętna, spojrzał na Sharon.

- Nie żyje.

Meg krzyknęła.

Casey nie wiedziała, czy z żalu, czy z ulgi.

Sama niczego nie czuła, dopóki Jordan nie wstał.

Sharon wyglądała na oszołomioną.

Spotkała wzrok Jordana i lekko drgnęła.

Gdy wyciągnął rękę, oddała mu rewolwer i nagle zaczęła robić wrażenie kobiety bardziej udręczonej niż twardej.

- Co on zrobił Mary Beth? - spytała drżącym głosem. - Zawsze słyszałam pogłoski.

Mówiłam sobie jednak, że to nieprawda.

Nawet wtedy, kiedy moja córka powiedziała mi, że dotyka jej tak, jak nie powinien.

Mam z nią problemy.

Pomyślałam, że też usłyszała plotki i próbuje skłócić nas ze sobą.

Ale jak teraz słuchałam Dardena, zrozumiałam. Zgwałcił moją córkę.

Jestem tego pewna. Mówiła prawdę. Cały czas mówiła prawdę.

Za to, co jej zrobił, co zrobił Mary Beth, zasługiwał na śmierć.

Syrena wyła coraz bliżej.

Meg trzęsała się tak, że z trudem stała na nogach, lecz gdy Casey próbowała zabrać ją do domu, oparła się ze zdumiewającą siłą.

Casey chciała więc przesłonić jej widok Dardena, ale ona wyciągała szyję, aż zdołała spojrzeć na ojca, którego niewidzące już oczy

skierowane były w jej stronę.

Casey wciąż ją obejmowała.

Znając przeszłość Meg, wiedząc, co Darden jej zrobił i do czego ją to doprowadziło, wyobrażała sobie, że dziewczyna boi się, by ojciec nie wstał nagle z chodnika i nie zaatakował.

- Wszystko w porządku - mówiła łagodnie. - Wszystko w porządku. Nie może cię już skrzywdzić.

- To mi się śni - wyszeptwała Meg z paniką w oczach. - Cały czas śnię. On nie odpuści.

Po prostu nie odpuści.

Jordan podszedł do nich.

- Już po wszystkim, Meg - powiedział. - Nie żyje. Tym razem to naprawdę koniec. Już cię więcej nie zrani.

Casey objęła go ramieniem, ale miała czas zaledwie rzucić mu jedno pełne wdzięczności spojrzenie, gdy na Leeds Court wjechał wóz policyjny z migającymi światłami i gwałtownie zahamował. Dwaj policjanci wyskoczyli z niego z wyciągniętą bronią.

Dwaj inni wybiegli z West Cedar.

Jordan podszedł donich.

Jeff i Emily minęli go, wchodząc po schodkach. Emily dotknęła pleców Meg.

- Dobrze się czujesz?

Meg z trudem przełknęła ślinę, oderwała oczy od ojca i skinęła głową.

Casey obejmowała ją ramieniem.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała i powtarzała to zapewnienie innym sąsiadom, którzy ostrożnie się do nich zbliżali. Jedno było jasne: wszyscy znali i lubili Meg.

- Opiekowała się naszymi wnukami, gdy przyjechały z wizytą. Nie zaufalibyśmy nikomu innemu - stwierdził jeden z sąsiadów.

- Wyprowadzała psa, gdy mój ojciec miał zawał i musieliśmy natychmiast jechać do domu do Poughkeepsie - powiedział inny.

- Meg gotowała rosół z kurczaka dla mojej chorej żony - dodał Gregory Dunn.

- To była jedyna potrawa, którą mogła jeść.

- Według przepisu Miriam - mruknęła Meg i spojrzała niepewnie na Casey.

Casey uśmiechnęła się i skinęła głową/ potwierdzając, że zna jej historię.

- Miriam to dobry człowiek - powiedziała i poczuła, że Meg odrobinę się odpręży.

Po chwili Meg znów spojrzała na ulicę.

- Czy mogę pójść go zobaczyć?

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

Meg skinęła głową.

Casey rozumiała nurtującą ją potrzebę zamknięcia sprawy.

Choć Darden Clyde był człowiekiem godnym pogardy, Meg była z jego krwi i kości.

Spędziła z nim znacznie więcej czasu niż Casey z Conniem - a jednak teraz Casey mieszkała w domu Conniego, odwiedzała rodzinną miejscowość Conniego, rozmawiała z żoną Conniego, poszukiwała Jenny i Pete'a.

Też chciała w pewien sposób zamknąć ten rozdział.

Były różne przyczyny, dla których Casey zamierzała pomóc Meg.

Jedną z nich była wdzięczność - Casey doceniała wszystko, co Meg zrobiła dla Conniego.

Drugą było współczucie - cierpiała na myśl o tym, co Meg przeżyła, dorastając, i pragnęła dla niej lepszego życia.

Kolejną była rosnąca sympatia - Meg łatwo było polubić, taka była niewinna i chętna do pomocy.

A ukoronowaniem wszystkiego był fakt, że są kuzynkami.

Casey podejrzewała, że już zawsze będzie czuła potrzebę opieki nad Meg, i myślała o tym z przyjemnością.

Trzymając się za ręce, Casey i Meg zeszły ze schodów.

Sanitariusz z przybyłej na miejsce karetki pogotowia zbadał Dardena i orzekł, że nic już nie da się zrobić.

Zakrył jego ciało od pasa w górę i rozmawiał z jednym z policjantów.

Pozostali trzej, atakże Jordan i Gregory, stali z Sharon Davies.

Casey usłyszała że prawnik używał takich wyrażeń, jak "obrona konieczna" i "obrona drugiej osoby".

Wywnioskowała z tego, że ponieważ Sharon zastrzeliła Dardena, by ten nie zastrzelił kogoś innego, nie będzie oskarżona o zabójstwo.

Meg wysunęła ramię z uścisku Casey i podeszła do ciała ojca.

Przyklękła, drżącą ręką odsunęła prześcieradło z jego twarzy, przysiadła na piętach.

- Nie widziałam go od siedmiu lat - powiedziała do Casey cichym głosem.

-Nie miałaś wyboru.

- Kochał mnie.

-Tak.

- Za bardzo.

Casey była zdumiona, że Meg tak dobrze to znosi, biorąc pod uwagę, jakie emocje musiały nią w tej chwili targać.

- Może tak jest lepiej - zauważyła Meg.

- Tak sędzę - odrzekła Casey.

Nie wyobrażała sobie scenariusza, w którym Darden wiedziałyby, gdzie jest Jenny, i zostawiły ją w spokoju.

Tak bardzo jej potrzebował, że przerodziło się to w obsesję, która sama z siebie nigdy by nie ustąpiła.

Śmierć była jedyną rzeczą która całkowicie kładła kres lękom Jenny.

Ona wiedziała to już siedem lat temu.

Tyle czasu trwało -z nieoczekiwanym odwróceniem ról - zanim to się stało.

- Czy wierzysz w duchy? - spytała Meg, wciąż patrząc na Dardena.

Casey miała właśnie powiedzieć "nie", i to właśnie Meg powinna usłyszeć.

Zawahała się jednak.

Nieraz czuła obecność Conniego.

Może nawet Angus ma w sobie odrobinę ducha Conniego.

Meg podniosła wzrok i spojrzała na nią.

- Czy będzie tu czekał, by mnie prześladować?

W jej głosie było tyle lęku, że Casey odpowiedziała zdecydowanie:

- Nie. Dopilnujemy, żeby tak nie było. Zrobimy to razem.

Wrócili sanitariusze.

Casey ujęła Meg za ramiona i łagodnie odprowadziła ją dalej od ciała.

- On nie żyje - powtórzyła dobitnie. To był najlepszy sposób terapii bezpośredniej. - Widziałas to na własne oczy. Czy wrzeszczy teraz na ciebie?

- Nie.

-Czy patrzy ze złością?

- Nie.

-Czy cię dotyka?

- Nie.

-Był agresywnym, nieszczęśliwym człowiekiem.

Może teraz odzyska spokój.

Oczy Meg wypełniły się łzami.

- Chciałabym, żeby tak było.

Nie chcę, żeby był agresywny i nieszczęśliwy.

Był moim ojcem.

Policja zadawała pytania, trzeba też było zorganizować transport ciała Dardena do Walker, by je tam pochować.

Meg postanowiła - i Casey uważała, że zrobiła mądrze – że Jenny pozostanie martwa.

Nie zamierzała wracać do Walker.

Nazywała się teraz Meg i lubiła swoje życie.

Wersja oficjalna, którą Jordan przekazał Edmundowi O'Keefe'owi w rozmowie telefonicznej tegoż popołudnia, brzmiała tak, że opanowany podejrzliwością Darden rzucił się na Jordana z rewolwerem, doszło do walki i Darden zginął na skutek postrzału.

Sharon była jedyną osobą z Walker, która widziała Jenny, jednak współczuła jej tak bardzo, że nie zamierzała nic nikomu mówić. Zresztą dzięki temu mogła wyłączyć z całej historii także własną córkę, a tonie było dla nich obu bez znaczenia.

Późnym popołudniem plac Leeds Court opustoszał.

Casey i Jordan wrócili do ogrodu.

Za ich namową Meg została tam z nimi.

Było to miejsce pełne spokoju, oddzielone nawet od tego, co się działo przed domem.

Można tu było odnaleźć nadzieję.

I obserwować naturę.

Jordan zwrócił im na to uwagę, tym razem podając wszystkie nazwy kwiatów.

Pokazał Casey pąki hortensji, wczesne piwonie i resztki marzanki wonnej.

Wyjaśnił, że kwiaty hortensji kwitną przez większą część lata w barwnych kulach, że agapant i kalina, oba białe, doskonale nadają się na

kwiaty cięte, że czas dzwonekó wkrótce się skończy, a na ich miejsce posadzi petunie.

Powiedział jej, które kwiaty są wieloletnie, a które jednoroczne. Przykląkł przy gardeniach, do których miał wyraźne upodobanie. Dopiero zaczynały kwitnąć, ale już mocno pachniały.

Casey była oczarowana jego opowieściami.

Szła za Jordanem od kwiatu do kwiatu, podczas gdy wokół nich latały ptaki i pszczoły.

Fontanna pluskała ciągłym, kojącym strumieniem.

Meg niewiele mówiła, nie potrafiła też długo usiedzieć spokojnie.

Najmniejszy hałas podrywał ją z krzesła.

Uspokajała się, gdy Jordan powierzał jej drobne zadania, takie jak usuwanie przekwitłych kwiatów rododendronów, obcinanie kiści bzu, które już zaczynały więdnąć, i wrywanie chwastów kiełkujących między kamieniami ścieżki.

Najwyraźniej była szczęśliwa wtedy, gdy miała coś do roboty.

Bezczynność sprzyjała rozpamiętywaniu i zamartwianiu się.

Casey doskonale to rozumiała.

Ilekróć była zajęta, nie pamiętała o stanie Caroline.

Dlatego też po wykładzie Jordana zajęła się przygotowaniem dokumentów do wniosków o ubezpieczenie, a potem udała się do gabinetu, by zadzwonić do kolejnych klientów z informacją, że przyjmie ich w nowym biurze pod nowym adresem.

Właśnie zamierzała wrócić do ogrodu, gdy do domu wkroczył swobodnie Jordan, wnosząc ciepło do chłodnego pomieszczenia.

Miał ołówek za uchem i rękę schowaną za plecami.

Wydawał się zadowolony z siebie.

Powitała go zdziwionym uśmiechem.

Wysunął schowaną dłoń i położył na biurku papierową serwetkę.

Widniał na niej ołówkowy szkic kwiatu gardenii, takiego jak te, które zaczynały kwitnąć w ogrodzie.

Ależ nie.

Dopiero gdy podniosła serwetkę, zdała sobie sprawę, że to było coś więcej niż gardenia.

W płatkach ukryto rysy Casey, tak subtelne, lecz wierne, że była

zdumiona.

Oczy, nos, usta - uchwycił wszystko, nawet kształt jej twarzy w sercu kwiatu, okolony włosami, dziko kręcącymi się na elegancko rozłożonych płatkach.

Taki prosty, a tak piękny rysunek.

Przytuliła serwetkę do mocno bijącego serca.

- Oprawię to.

Zaczerwienił się.

- Nie opraviaj.

To tylko zabawa.

Chciałem, żebyś się uśmiechnęła.

- Masz wielki talent - powiedziała, czując coś na kształt nabożnego lęku.

- Malarz.

Ogrodnik.

Zbawca.

Nie podziękowałam ci nawet za wyratowanie mnie z ostatniej wpadki.

- Jakiej wpadki?

-Wyprawy do Walker.

Zostawienia wizytówki Dudleyowi Wrightowi.

Sprowadzenia tu Dardena.

- Czy to była wpadka?

-Byłaby czymś gorszym, gdybyś zginął.

Byłaby czymś gorszym, gdyby Meg zginęła.

Przechylił się przez biurko i objął jej twarz długimi palcami.

- Tak, ale nic takiego się nie zdarzyło.

Zdarzyło się natomiast to - powiedział, uśmiechając się do niej i patrząc z podziwem - że doprowadziłaś sprawę o końca.

Pojechawszy tam, wymusiłaś rozstrzygnięcie.

Meg jest teraz wolna.

Tak samo córka Sharon Davies.

Zrobiłaś coś dobrego, Casey Ellis.

Connie byłby z ciebie dumny.

Pod wpływem tych słów ciepło, jakie czuła w środku, rozeszło się po całym ciele.

Nie musiał tego mówić.

Niewątpliwie nie musiał tego mówić z takim przekonaniem.

Najwyraźniej jednak wiedział, że tego właśnie najbardziej oczekuje. Mogła kochać człowieka umiejącego tak troszczyć się o nią, mogła go kochać bez żadnych zastrzeżeń.

Uświadomiła to sobie nagle.

Zagościło w niej uczucie -umościło się, rozwijało i potęgowało, dając jej myślom pożywkę na resztę popołudnia i wieczór.

Wkrótce przed dziewiątą, gdy zatelefonowano z domu opieki, że Caroline znów ma drgawki, Casey udała się tam co prędzej.

Rozdział dwudziesty trzeci

W pierwszych dniach po wypadku, gdy Caroline pozostawała zawieszona między życiem a śmiercią, Casey nie denerwowała się tak bardzo jak dzisiaj.

Uparty głos w jej głowie powtarzał, że nie będzie tak źle.

Caroline zawsze udawało się jakoś przetrwać.

Wbrew oczekiwaniom lekarzy pozostała przy życiu przez trzy długie lata.

Kilka więcej nie zaszkodzi.

Kilka więcej, i może ktoś wynajdzie lekarstwo - cudowny przebudzacz, przełomowy naprawiacz mózgu, cokolwiek.

Casey nie chciała się bać.

Nie traciła nadziei.

Jednak wszystkie uparte głosy świata nie potrafiły jej uspokoić tak jak dawniej.

Gwałtowna śmierć Dardena niewątpliwie zrobiła swoje.

Jordan prowadził samochód, Casey siedziała w fotelu pasażera, Meg wślizgnęła się na tylne siedzenie, zanim któreś z nich zdążyło zaproponować, by została w domu - zresztą Casey nie miała zamiaru jej do tego nakłaniać.

Wypełniał ją lęk, jakże różny od pustki, z którą żyła przez całe trzy lata. Towarzystwo innych ludzi jej pomagało.

Jechali w milczeniu i szybko znaleźli się na Fenway.

Na drugim piętrze Casey natknęła się na dyżurnego lekarza.

Miał poważną minę.

- Szczerze mówiąc, dziwię się, że wciąż z nami jest - powiedział ściszym głosem, gdy szli szybko przez hol.

- Drgawki były silniejsze niż kiedykolwiek dotąd.

Mamy pani decyzję, by nie reanimować, więc nie podjęliśmy żadnych działań oprócz podania środków uspokajających, które przerwały napad, choć tym razem potrzebna była znacznie większa dawka.

To stanowi dodatkowe zagrożenie.

Casey przyszło to już do głowy.

Wiedziała dość o lekarstwach i ich skutkach.

Musiała jednak zapytać.

- Jakie zagrożenie?

-Jej organizm sam z siebie działa coraz wolniej.

Jeśli spowolnimy go jeszcze bardziej lekarsstwami, pani matka umrze.

- Ale jeśli nie powstrzymacie drgawek, także umrze.

-Tak.

Ale walcząc.

Nazywamy to "złą" śmiercią.

Wolelibyśmy, by dobrze się czuła.

Wtedy to będzie "dobra" śmierć.

- I stąd środki uspokajające.

-Tak.

W pokoju Caroline przebywała Ann Holmes, niosąc Casey pewną pociechę.

Ją właśnie spośród wszystkich pielęgniarek Casey darzyła największym zaufaniem.

Gdy wchodzili, regulowała jedną z dwóch kroplówek, wiszących na stojaku.

Caroline leżała w masce tlenowej.

Monitor pracy serca cicho pikał.

Caroline oddychała głośno i chrapliwie, wyglądała jednak tak jak zwykle w nocy - leżała na plecach, z zamkniętymi oczyma, lekko otwartymi ustami, rękoma ułożonymi na kołdrze.

Jedynymi śladami drgawek były potargane włosy i zmięta pościel.

Casey przeszła na drugą stronę łóżka.

Pogładziła kosmyki wciąż pięknych, srebrnych włosów za uszami Caroline.

Ujęła rękę matki i przycisnęła do serca.

Nie odezwała się.

Gardło miała ściśnięte.

- Nie było łatwo – powiedziała cicho Ann.

Casey skinęła głową.

- Pielęgniarki wyczuwają różne rzeczy - mówiła dalej Ann tym samym cichym, łagodnym głosem.

- Nie potrafimy powiedzieć, skąd i dlaczego, ale pomijając nawet zmiany fizyczne, wiemy, kiedy taki pacjent jak Caroline objawia chęć odejścia.

Musisz jej pomóc, Casey.

Musisz dać jej znać, że wszystko w porządku. Casey ścisnęło się serce.

- Jest gotowa - szepnęła Ann.

-Ale ja nie -odszepnęła Casey.

Upredzano ją o tej chwili.

Została poinformowana o tym, jak pacjenci zbliżają się do śmierci, co robią, czego potrzebują - i byłaby gotowa, gdyby doszło do tego miesiąc czy dwa po wypadku.

Ale Caroline nie umarła, a Casey się uspokoiła i pogodziła z sytuacją. Mówiła sobie, że zdrowienie po prostu potrwa.

Przyzwyczała się do życia w nadziei.

Teraz Ann mówi, że trzeba pozwolić Caroline odejść.

Niewątpliwie patrzą na to z innego punktu widzenia.

Jak to zaakceptować?

- Czy ona śpi?

- szepnęła Meg zza ramienia Casey.

Casey odchrząknęła.

- W pewnym sensie - odpowiedziała cicho.

-Czy wie, że tu jesteś?

- Hm.

- Casey nie chciała odpowiedzieć na to pytanie, ale w końcu, nie patrząc na Ann, przyznała: - Nie jestem pewna.

Raczej nie.

- Dlaczego tak głośno oddycha?

Casey rzuciła okiem na Jordana.

Stał w nogach łóżka i zapewniał solidne oparcie.

Czerpała z niego siłę.

- Z powodu wydzieliny, którą produkują drogi oddechowe - wyjaśniła.

- Nie ma siły, żeby odchrząknąć, więc wydzielina tam zalega.

- Czy cierpi?

-Nie.

- To dobrze.

- Meg zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Jest bardzo ładna.

Casey uśmiechnęła się, ale znów czuła, jak coś ją ścisną w gardle.

Caroline naprawdę była bardzo ładna.

Zawsze taka zostanie w jej pamięci.

Ujęła dłoń matki, delikatnie rozprostowała szczupłe palce, jeden

po drugim.

Splatając je ze swoimi, odwróciła dłoń Caroline.

Przy tej okazji zobaczyła, że z drugiej strony ręka jest ciemniejsza.

Spojrzała nie spokojnie na Ann.

- To kwestia krążenia- wyjaśniła pielęgniarka.

Nie powiedziała, że nie jest to dobry objaw, ale wyraz żalu na jej twarzy był wystarczająco wymowny - poza tym Casey sama wiedziała, co to znaczy.

Oprócz tego, co jej na początku wyjaśnili lekarze, przeczytała niemal wszystko, co znalazła na temat komplikacji, oznak i zmian chorobowych u osób w takim stanie jak Caroline.

Wszystko zmierzało w jednym kierunku.

Casey zdawała sobie z tego sprawę, ale było jej ciężko na sercu.

Masowała rękę Caroline, jakby to mogło pomóc w "kwestii krążenia".

Wiedziała, że nie pomoże, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- Czy ona się obudzi?

- spytała Meg.

Casey chciała powiedzieć, że tak, obudzi się.

Rozpaczliwie tego pragnęła.

Nie potrafiła jednak wypowiedzieć tych słów.

Jordan poruszył się, przyciągając jej wzrok.

Skinął głową/ pytając milcząco, czy ma zabrać Meg do holu.

Casey szybko zaprzeczyła.

Nie przeszkadzała jej obecność Meg.

Tak samo jak Jordan, Meg stanowiła łącznik z obecnym życiem, a to pomagało jej trzymać się rzeczywistości.

Tego chyba potrzebowała najbardziej.

- Mam nadzieję, że się obudzi – odpowiedziała w końcu - ale nie wygląda to dobrze.

Dwie godziny później wcale nie wyglądało lepiej.

Caroline oddychała coraz głośniej.

Lekarz wciąż odsysał zbierającą się flegmę, ale napływało jej coraz więcej.

Już i tak leżała z uniesioną głową/ teraz podnieśli ją jeszcze wyżej, lecz nie przyniosło to lepszych efektów.

Tak samo stosowane przez Casey masowanie ramienia, dotykanie twarzy czy łagodne słowa nie wpłynęły na poprawę.

Nigdy dotąd nie czuła się tak bezradna.

Przez minione trzy lata nie było jej łatwo patrzeć, jak Caroline wegetuje, ale bierne siedzenie przy łóżku, gdy jej stan się pogarszał, to prawdziwa męka.

Meg drzemała w fotelu.

Jordan stał koło Casey, która siedziała na łóżku u boku Caroline.

- Może powinienes zabrać Meg do domu – powiedziała cicho.

- Potrzebuje snu.

Ty też.

- Ty też.

Casey spojrzała na Caroline ze smutnym uśmiechem.

- Tak samo było zaraz po wypadku.

Siedziałam tu godzinami, czekając, żeby coś się wydarzyło.

Drzemałam w fotelu.

Teraz też tak mogę.

Nie chcę jej zostawiać samej.

- Zadzwoń do ciebie, jeśli coś się zmieni.

-Wiem.

To jednak dziesięć minut drogi stąd.

Z mieszkania miałam bliżej.

-Zaśmiała się z niedowierzaniem.

- Dwa tygodnie temu to mieszkanie było moim domem.

Jak to możliwe, że wszystko tak szybko się zmieniło?

Nie odpowiedział, lecz ujął jej dłoń.

Oparła policzek o jego ramię, bo to przynosiło pociechę.

I wtedy coś jej przyszło do głowy.

-Już wiem!

- Spojrzała w górę, na Jordana.

-Przez te wszystkie miesiące myślałam sobie, że jak mama poczuje się lepiej, zabiorę ją do siebie do domu.

W mieszkaniu nie miałam jednak dość miejsca.

Teraz mam.

Chciałabym jej pokazać Leeds Court.

- Nie zobaczy -przypomniał jej łagodnie.

Nie potrafiła jednak przestać o tym myśleć.

- Może nie, ale co to szkodzi? Leży tu od trzech lat. Może na tym polega problem.

Może potrzebuje zmiany scenerii, żeby się przekonać, że tam na zewnątrz świat wciąż funkcjonuje. W domu Conniego jest mnóstwo miejsca. Będzie jej tam tak samo wygodnie jak tutaj. Za to, co tu płacimy, tam będę mogła wynająć całodobową opiekę pielęgniarstwa.

- Rozważała różne możliwości. -Będę mogła do niej zaglądać między

jednym klientem a drugim.

Będę na miejscu, w razie gdyby coś się działo. Będę miała wrażenie, że wreszcie coś robię.

- Jeszcze jedna myśl przyszła jej do głowy i wywołała uśmiech na wargach. - Czy nie sądzisz, że to rodzaj zwycięstwa dobra nad złem?

Connie podarował mi dom, jej natomiast nigdy nic nie dał.

Uważam, że powinna zobaczyć to miejsce. Mieszkać w nim.

Używać go. - A czy ona by tego chciała? - spytał cicho.

- Jeśli nie - powiedziała wyzywająco - to niech otworzy oczy i powie mi to.

Przeprowadzka odbyła się wcześniej rano następnego dnia.

Karetka przywiozła Caroline na Beacon Hill, gdzie czekali na nią

Casey, Jordan i Meg.

Oraz zatrudniona pielęgniarka.

Już po chwili Caroline zainstalowano w dużym łóżu Conniego.

Casey nie umieściłaby jej nigdzie indziej.

Angus najwyraźniej się z tym zgadzał.

Schował się za zasłonami, dopóki się wszystko nie uspokoiło, poczym wynurzył się i ostrożnie zbliżył do łóżka.

Wskoczył na nie i obwąchał Caroline najpierw z jednej, potem z drugiej strony, po czym - całkowicie nieporuszony faktem, że nie jest to Connie - zwinął się w kłębek u jej stóp i zasnął.

Ten fakt wszystkich ucieszył.

Niestety, jednak Caroline nie dała znaku, że w jakiś sposób odczuła przeprowadzkę.

Poruszała oczyma, ale nie w odpowiedzi na bodźce.

Jej ręce pozostawały bezwładne.

Nawet nie kaszłała, tylko wciąż chrapliwie oddychała.

Casey przypisywała to dużej dozie środków uspokajających, lecz nie ośmielała się poprosić pielęgniarki o zmniejszenie dawki.

Nie poprosiła o to również lekarza, który zajrzał w południe.

Powiedziałaby, że inaczej może dojść do napadu drgawek.

Nikt tego nie chciał, na pewno nie Casey.

Nie zamierzała kusić losu, zbyt już była zmęczona.

Analizując swoje emocje, stwierdziła, że się zmieniły.

Oczekiwała, że przewiezienie matki do domu Conniego wywoła u niej poczucie triumfu, ale nic takiego nie nastąpiło.

Czuła się natomiast dziwnie pogodzona z losem.

Choć brzmiało to absurdalnie, ogarnął ją spokój.

Przeprowadzka była właściwym posunięciem.

Była o tym przekonana.

Sprowadzając tu Caroline, zamykała pewien okres we własnym życiu.

Wciąż czuła lęk, ale był on pod kontrolą na tyle, że nie przeszkadzał jej przyjmować klientów - nie tylko przyjmować, alei dobrze im doradzać.

Zapewne ktoś obcy mógłby ją nazwać zimną i nieczułą, skoro potrafi pracować, podczas gdy jej matka leży w sypialni na górze, nie reagując na świat.

Nikt obcy jednak nie był na miejscu Casey przez ostatnie trzy lata.

Oczywiście, byli i tacy.

Nie ona jedna czuwała przy łóżku kochanego człowieka, leżącego długi czas w śpiączce.

Rozmawiając z kilkoma takimi osobami i czytając historie innych, Casey zrozumiała, że dla przetrwania tych, którzy czekali i czuwali, wielkie znaczenie ma symboliczny choćby powrót do normalności.

W ciągu minionych trzech lat nie mogła całego czasu spędzać przy łóżku matki i przeprowadzka nic pod tym względem nie zmieniła.

Sądziła także, że matka wręcz by sobie tego nie życzyła.

Caroline lubiła działać.

Uszanowałyby fakt, że Casey ma obowiązki wobec klientów.

Wśród klientów tego dnia znalazła się także Joyce Lewellen, ale osoba, która weszła do gabinetu z poczekalni, była Joyce przeobrażoną.

Ta Joyce miała zaróżowione policzki i szła energicznym krokiem.

Wyglądała, jakby wielki ciężar spadł jej z ramion.

- I co?

- spytała Casey z pełnym oczekiwania uśmiechem, gdy już zasiadły na zwykłych miejscach.

- Przegraliśmy –oznajmiła Joyce.

Casey spodziewała się, że usłyszy o wygranej.

Uśmiech na jej ustach zamarł, zgaszony przez zdziwienie.

- Sędzia wydał nieprzychylny dla nas wyrok - wyjaśniła Joyce – ale zdarzyło się coś bardzo dziwnego.

Chciałam wygrać.

Wiesz, jak bardzo tego pragnęłam.

W czwartek w nocy nie mogłam spać.

Cała się trzęsłam, czekając na decyzję w biurze adwokata.

Gdy nadeszła, przeczytał ją najpierw sam, a potem przeczytał mnie.

I odłożył kartkę na biurko.

I wtedy po prostu było po wszystkim.

Wiesz, przebiegły mi przez głowę te wszystkie rzeczy, które mówiłaś, i nagle zrozumiałam.

Próbowałam.

Nikt mi nie może zarzucić, że nie próbowałam.

Staralam się znaleźć kogoś, kto jest winien śmierci Normana.

I mi się nie udało.

Lekarze próbowali go uratować.

No, niewykluczone, że powinni byli przewidzieć, iż Norman może tak zareagować na narkozę.

Może coś w historii jego choroby powinno było dać im do myślenia.

Ale nie dało, a potem naprawdę próbowali go ratować.

Nie mówię, że jestem szczęśliwa.

Normanowi nic nie przywróci życia.

Dziewczynki nie mają ojca, ja wciąż jestem sama.

Ale pogodziłam się z decyzją sędziego.

Zrobiłam, co mogłam.

Tak czy inaczej, próbowałam.

Pogodzona.

Casey tym samym słowem opisała swoje uczucia po sprowadzeniu matki do domu Conniego.

Jej sytuacja nie była lepsza od sytuacji Joyce.

Caroline wciąż się nie wybudziła ze śpiączki.

Ale umieszczając ją tu, Casey coś zrobiła.

Tak samo jak Joyce zrobiła coś przez swój upór w dążeniu do procesu.

- Po śmierci Normana czułaś się bezradna – powiedziała Casey, która czuła się tak samo.

-Kompletnie. Nasze małżeństwo nie było doskonałe, mówiłam ci o tym.

Ale był dla mnie dobry i niewątpliwie był dobry dla dziewczynek.

Uważałam, że jestem mu to winna.

- Tydzień temu opanował cię gniew.

-Wiem.

- A teraz jak się czujesz?
- Powiedziałaś, że bym odpuściła.
Tak było.

Myśląc o tym, Casey wstała, podeszła do biurka i wyjęła z szuflady dwa irysy.

Jeden dała Joyce, a własnego rozwinęła z papierka, siadając na powrót w fotelu.

Włożyła go do ust i złożyła papierek.

Spojrzała na Joyce i powtórzyła pytanie:

- A teraz jak się czujesz?

Tym razem Joyce zastanawiała się przez chwilę.

- Sądzę, że wciąż jestem w stanie się nakręcić.

Ale bańka mydlana pękła i czuję ulgę.

Gdybym mogła przywrócić Normanowi życie, uczyniłabym to, ale nie mogę.

Byłam tam podczas przesłuchań.

Sędzia wydawał się inteligentny i sprawiedliwy.

Podjął decyzję.

Teraz nic już nie mogę zrobić.

Casey zazdrościła Joyce.

Żałowała, że nie ma takiego sędziego, który podjąłby za nią decyzję.

Napisał werdykt mówiący, że na Caroline przyszedł czas.

Caroline powoli odchodziła.

Pozostawało pytanie, czy powinna pozwolić jej odejść.

Caroline nigdy nie zostawała sama.

Gdy niebyło koło niej Casey, opiekowała się nią pielęgniarka, a gdy ta miała przerwę, siedziała z nią Meg, trzymając ją za rękę i cicho śpiewając.

Po południu wpadała Brianna, potem zaglądały Jenna i Joy z kilkorgiem innych przyjaciół.

A także dwie koleżanki z kursu jogi, kilkoro przyjaciół Caroline z Providence oraz Emily.

Przez cały dzień zaglądał także Jordan.

W pewnym momencie, gdy Casey powiedziała z zalem, że nie może zanieść Caroline do ogrodu, przyniósł ogród do Caroline.

Napełnił wazony kaliną i marzanką, dzwonkami, bzem i liliami.

Przyniósł pierwsze piwonie, goździki i serduszka.

Pod wieczór w pokoju Caroline pachniało niemal jak w ogrodzie.

Wczesnym wieczorem Casey siedziała sama z Caroline, podziwiając kwiaty, gdy usłyszała ciche pukanie do drzwi sypialni. Za progiem stała Ruth Unger, robiąc wrażenie znacznie mniej pewnej siebie niż we własnym domu w poprzedni piątek. Najwyraźniej nie wiedziała, czy jest tu mile widziana, a szanowała uczucia innych.

Casey była zaskoczona.

Zapewne zawahałaby się, pamiętając o tym, że Caroline może nie życzyć sobie żadnych kontaktów z żoną Conniego, gdyby nie spędziła z Ruth tych kilku godzin przed trzema dniami.

Wbrew sobie polubiła Ruth.

Teraz zaś poczuła się wzruszona.

Uśmiechnęła się nieśmiało i gestem zaprosiła ją do środka.

- Nie byłam pewna.

- zaczęła Ruth, ale zamilkła, gdy stanęła przy łóżku i spojrzała na Caroline.

Wyglądała na naprawdę przejętą.

- Skąd wiedziałas, że tu jest? - spytała Casey.

- Zawsze w poniedziałek dzwonię do domu opieki. Casey tego nie wiedziała.

Nikt w domu opieki nigdy jej tego nie powiedział.

Oczywiście nie pytała.

- Dlaczego. dzwonisz?

- Żeby się dowiedzieć, jak się czuje - wyjaśniła Ruth, nie odrywając wzroku od Caroline. - Nie sądziłam, by Connie był zdolny sam zatelefonować, ale uważałam, że powinien wiedzieć, gdyby nastąpiła jakaś zmiana.

- Czy kwiaty to też twoja inicjatywa?

-Nie, jego. - Przerwała, uśmiechnęła się nieśmiało. -Wiele razy wyobrażałam sobie, że mogę wpaść na twoją matkę na ulicy, ale nigdy nie sądziłam, że spotkamy się właśnie tak.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - powiedziała Casey, ale bez goryczy.

Choćby nie wiem jak chciała, nie potrafiła czuć niechęci do Ruth.- To ty miałas Conniego.

- Tak, to prawda. I kochał mnie po swojemu.

Ale ona była częścią jego życia.

- Przez jedną noc. To wszystko.

- Jedna noc, jedna córka - poprawiła ją Ruth, uśmiechając się, i

Casey ponownie poczuła wzruszenie.

Ruth nie miała powodu, by sprawić jej przyjemność, a jednak uczyniła to w piątek i dziś.

- Cóż. - zaczęła Casey i urwała.

- Spotkałam na dole Jordana - powiedziała Ruth. - Cieszę się, że tu jest.

- Znasz Jordana?

-Tak, Jordan i ja mamy ze sobą coś wspólnego. I nie chodzi o Conniego.

- Sztukę - odgadła Casey po chwili namysłu.

-Widywaliśmy się na wystawach, zanim odkryliśmy, że jeszcze coś nas łączy.

Jest znacznie bardziej utalentowany niż ja, oczywiście.

- Zapewne by się z tym nie zgodził.

-To dlatego, że jest dżentelmenem - powiedziała Ruth i dodała:

-Przyniosłam coś na kolację. Coq au vin. Meg zabrała, żeby podgrzać.

- To bardzo miło z twojej strony.

-Żałuję, że nie mogę nic więcej zrobić.

- To pomaga, że pomyślałaś, i w ogóle.

Doceniam to, wierz mi.

- Jeśli jest coś innego, w czym mogłabym pomóc, to, proszę, zadzwoń i powiedz.

-Dobrze- odrzekła Casey, uśmiechając się, i mówiła to szczerze.

Ruth pokiwała głową.

Jeszcze przez chwilę przyglądała się Caroline, po czym pogłaskała ramię Casey.

- Dasz mi znać, jak się czuje?

Caroline oddychała coraz ciężiej.

Gdy pielęgniarka przewracała ją na bok, Casey pomagała jej podtrzymać ciało i zachęcała Caroline do odkaszlnięcia tego, co blokowało jej drogi oddechowe.

- No, mam. Możesz to zrobić. Zrób to dla mnie. Jednak Caroline nie reagowała.

Gdy ułożyły ją w półsiedzącej pozycji, chrypiała tak samo jak przedtem.

W głowie Casey tłukło się wyrażenie "śmierć puka".

Ciągle odsuwała je od siebie, ale ono ciągle wracało. Nawet Meg zauważyła zmianę. Stała przy łóżku, naprzeciwko Casey, patrząc na Caroline.

- Zupełnie jakby próbowała ci coś powiedzieć, a ty jej nie słyszysz, więc mówi coraz głośniejsze i głośniejsze. Co takiego próbuje powiedzieć? Casey obawiała się, że wie. Pochyliła się nad Caroline.

- Odezwyj się do mnie, mammo - błagała. - Powiedz, co czujesz.

- Nie było odpowiedzi, więc mówiła dalej: - Zawsze rozmawialiśmy, ty i ja.

Pamiętasz? Nie tyle przed wypadkiem, ile po.

Mówiłaś do mnie, mammo. Wyraźnie cię słyszałam. Myślałaś, a ja słyszałam twoje myśli.

- Czy ktoś inny też je słyszał? - spytała Meg.

Casey uśmiechnęła się smutno.

- Nie.

Ale też nikt nie znał jej tak dobrze, by myśleć jej myśli za nią.

- Skoro to ty "myślałaś jej myśli", toczy były one prawdziwe?

Casey była zaskoczona. Wyprostowała się.

Jeśli celem było trzymanie się realnego świata, to Meg niewątpliwie zadała właściwe pytanie; było to dla Casey nieco przykre, ale przywoływało ją do rzeczywistości.

Meg nie była terapeutką, co więcej, nie miała żadnego specjalistycznego wykształcenia, tylko szkołę średnią.

Przeżyła jednak kryzys emocjonalny, przeszła intensywną terapię, stając się w pełni sprawnym człowiekiem.

To czyniło z niej osobę wiarygodną.

Nagle Casey zacięła się.

- Opowiedz mi o Pecie - poprosiła.

Meg wyglądała na zdziwioną, ale tylko przez chwilę.

- Co. co mam powiedzieć?

- Czy był prawdziwy?

- W mojej głowie tak. Naprawdę prawdziwy? Nie.

- Czy miałaś wymyślonych przyjaciół, jak dorastałaś? Meg pokręciła głową.

- Kiedy go zobaczyłaś po raz pierwszy, czy zdawałaś sobie sprawę, że go wymyśliłaś?

Wydawało się, że jest to dla niej trudne pytanie. Gdy w końcu odpowiedziała, w jej głosie słychać było zażenowanie.

- Chciałabym powiedzieć, że tak. Inaczej wyjdę na wariatkę.

- Meg, ja prowadzę rozmowy z moją matką- przyznała Casey odważnie.

- Czy widzisz jakąś różnicę?

- Owszem - stwierdziła Meg. - Nie działasz na podstawie tego, co sobie wyobrażasz.

- Jak najbardziej. Kiedyś zaplanowałam nam podróż. Zarezerwowałam miejsca na wycieczkę statkiem na Alaskę. Meg się nieco uspokoiła.

- Cały czas, kiedy Pete był ze mną, myślałam, że jest prawdziwy.

Naprawdę. Nie wiedziałam tylko, czy zostanie. Bałam się, że wrócę do domu i stwierdzą, że go nie ma. Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę mnie chce.

Casey przeczytała to wszystko w dzienniku.

- Kiedy zdałaś sobie sprawę, że go wymyśliłaś?

Meg się zastanowiła.

- Dawniej myślałam, że w szpitalu. Kiedy tam trafiłam, byłam jakby na granicy. Czasem wydawało mi się, że po mnie przyjedzie. Kiedy indziej wiedziałam, że tego nie zrobi. Nie może.

Casey wyczuła, że to nie koniec odpowiedzi. Czekala.

W końcu Meg znów odezwała się, tym razem cichutko.

-Kiedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że być może go sobie wymyśliłam? Wtedy, kiedy wyczołgałam się z wody i schowałam w lesie.

Wiesz - powiedziała z pewnym ożywieniem, ale i z cierpieniem w głosie - mieliśmy razem pojechać w jakieś dobre miejsce.

Miał mnie tam zaprowadzić.

Nurkowałam i nurkowałam, ale nie mogłam zostać pod wodą.

- Czy myślałaś, że utonął?

-Och, nie, Pete by nie utonął. Był silny. Był dobrym pływakiem.

- Zażenowana tym wybuchem, uśmiechnęła się do Casey niepewnie.

-Tak sobie każdy m razie wyobrażałam. Ale nie pojawił się na

powierzchni, żeby mnie z sobą zabrać. Byłam zmęczona a jego nie było, żeby mi pomógł zostać pod wodą. Sama nie potrafiłam. Kiedy wyszłam z wody, nie pojawił się za mną. I wtedy poczułam się tak samotna jak zawsze.

Casey pomyślała o kilku ostatnich razach, gdy próbowała rozmawiać z Caroline, a matka nie odpowiadała. Też czuła się wtedy samotna.

Teraz jednak, myśląc, że zostanie osierocona, nie doznawała już tak ostrego bólu.

- Czy czułaś się samotna w szpitalu?

- Początkowo tak - odpowiedziała Meg. - Nikogo nie znałam.

Ale wszyscy byli naprawdę mili. Chcieli pomóc. Nigdy przedtem ludzie nie chcieli mi pomagać. No, z wyjątkiem Miriam. Ale ona nie była jak Pete.

- A czy teraz kiedykolwiek wydaje ci się, że widzisz Pete'a? W sklepie? Na ulicy?

- Jak mogłabym? On nie istnieje. Wymyśliłam go, bo tak bardzo go potrzebowałam.

- Tęsknisz za nim?

Zaczęła kręcić głową, ale przerwała. Znów wyglądała na zakłopotaną.

- Czasami. On mnie kochał.

Casey ogarnęło współczucie.

Kierując się impulsem, obeszła łóżko i objęła Meg.

- Teraz kochają cię także inni. Bardzo łatwo cię kochać.

- Wiesz, o co mi chodzi - mruknęła Meg. Casey wiedziała.

Czytała Flirt z Pete'em. Chodziło o taką miłość, jaką darzył ją Pete.

- Ale to była gra - powiedziała Meg cicho. - Wiem.

Casey odsunęła się na odległość ramienia i przyjrzała się jej twarzy. Meg nie malowała się teraz mocno. Jej piegi były blade, ale wyraźne. Natomiast włosy, z których ciemna farba zaczęła się już wypłukiwać, nabierały bardziej naturalnego, rudego koloru.

- Gra umysłu - mówiła dalej Meg, z większą pewnością siebie odwzajemniając jej spojrzenie. - Potrzebowałam kogoś, kto by mnie zabrał.

Nie chciałam żyć, jeśli miałyby to oznaczać życie z Dardenem.

Byłam zrozpaczona, więc grałam w gry. Tego dowiedziałam się w

szpitalu.

- Wierzysz w to? Zastanowiła się.

- Tak. A ty?

Casey kiwnęła głową. Znała gry, grane przez mózg.

Nosiły nazwę psychozy. Niektóre trwały krótko, inne długo.

Niektóre wycieńczały, inne nie. Psychoza Jenny rozwinęła się w odpowiedzi na silny czynnik stresujący, czyli zbliżający się powrót Dardena z więzienia i perspektywę koszmaru, w jaki zamieni się jej życie.

Z dała od stresującej sytuacji odzyskała zdrowie.

- Czy tak się właśnie czujesz, gdy słyszysz, jak twoja matka mówi?

- spytała Meg.

Casey spojrzała na nią, nie rozumiejąc.

- Zrozpaczona? - wyjaśniła Meg. - Jakbyś chciała zagrać w taką grę?

Casey siedziała po turecku na łóżku, w ciemności.

Rozebrała się na noc, ale zasnęła zaledwie na parę minut.

Była pierwsza w nocy.

Posłała nocną pielęgniarkę na dół do kuchni i sama pilnowała Caroline.

Nie, nie sama.

Był z nią Angus, zwinięty w kłębek w nogach łóżka.

Najwyraźniej zarezerwował dla siebie to miejsce i od przybycia

Caroline właściwie się z niego nie ruszał.

Jordan przeszedł boso przez dywan.

- Hej - szepnął, delikatnie głaszcząc jej kark wierzchem dłoni.

Był to krótki gest, niezwykle czuły, zdumiewająco uspokajający. - Nie możesz spać?

Uśmiechnęła się, pokręciła głową, sięgnęła po jego dłoń. Stał, przyglądając się Caroline.

- Jej oddech.

- Źle brzmi - dokończyła Casey. Nie mogła się dłużej oszukiwać.

Podniósł jej dłoń do ust, pocałował i przytulił do piersi.

- Czego się boisz? - spytał cicho. - Co cię najbardziej dręczy?

Casey nie musiała długo myśleć. Całą noc zadawała sobie to samo pytanie.

- To, że zostanę sama.

Że nie mam w życiu oparcia. Nie zawsze się zgadzałyśmy, ale zawsze wiedziałam, że istnieje. Jest moją matką. Nie wiem, czy ktokolwiek inny potrafi obdarzyć tak bezwarunkową miłością jak matka. Miewałam klientów, którzy nigdy tego nie doświadczyli i to ich prześladowe. Miałam klientów, którzy to mieli i stracili w zbyt młodym wieku. Ale ja mam trzydzieści cztery lata. Powinnam być wdzięczna, że miałam ją przez tyle lat. Dlaczego jestem taka zachłanna i chcę więcej?

- Sama powiedziałaś. Jest twoją matką. To wyjątkowy związek.

- Kochała mnie nawet w złych czasach. Kochała mnie, kiedy naprawdę trudno mnie było kochać. Jordan się uśmiechnęła.

- To niemożliwe.

-Wierz mi, tak było.

Byłam bezczelna. Zbuntowana. Czasami po prostu okropna.

- Musiała wiedzieć, dlaczego taka jesteś.

Łatwo się pogodzić z różnymi rzeczami, jeśli się zna ich przyczynę.

- To taka bezwarunkowa miłość.

Byłam jej jedyną córką.

Miała mnóstwo przyjaciół, ale tylko jedną córkę.

- Używasz czasu przeszłego.

Casey niebyła tego świadoma, po prostu tak się jej powiedziało.

Spojrzała na Caroline, sprawdzając, czy ona też to zauważyła.

Oczywiście nie.

Miała zamknięte oczy, a całą energię życiową skupiła na oddychaniu, wciąganiu powietrza i wydychaniu.

Było to coraz trudniejsze.

Rozpaczliwe.

Casey to czuła.

Usłyszała w głowie słowa Meg: "Zupełnie jakby próbowała ci coś powiedzieć, a ty jej nie słyszysz, więc mówi coraz głośniejszą i głośniejszą.

Co takiego próbuje powiedzieć?".

I zaraz potem słowa Ann Holmes: "Musisz jej pomóc, Casey. Musisz dać jej znać, że wszystko w porządku".

- Czy to jest w porządku? - szepnęła Casey.

Patrzyła na Caroline, ale to Jordan odpowiedział.

- Używanie czasu przeszłego? Jeśli go użyłaś, to w porządku. To ty się tu liczysz, Casey.

- Nie - zaprotestowała. - Tonie o mnie chodzi, tylko o nią.
-Jednak gdy tylko wypowiedziała te słowa, wiedziała, że nie są prawdziwe. Caroline już nie potrafiła rozróżniać czasów gramatycznych. Najważniejszą teraz rzeczą -choć brzmiało to samolubnie - było to, żeby się Casey z tym pogodziła. Użycie czasu przeszłego, po tak długim okresie, w którym starała się mówić tylko w czasie teraźniejszym i przyszłym, było znaczące.

Podświadomość często wie pierwsza.

Jednak świadomość Casey nie zostawała daleko w tyle. Siedząc tu w ciemności, nagle zrozumiała, że jej życie się uporządkowało.

Niezakończone sprawy znajdowały rozwiązanie, potrzeby-
zaspokojenie.

Rozwijała w myślach sprawę więzi między rodzicami, znalazła niezwykłego kochanka w Jordanie, krewną w Meg, nieoczekiwaną przyjaciółkę w Ruth.

Dom jej sprzyjał.

Dobrze rozwijała się samodzielna praktyka.

Miała przyjaciół, którzy ją kochali, i kolegów terapeutów, którzy ją szanowali.

Miała ogród, który był oazą w burzliwych chwilach i prawdziwym rajem w spokojnych momentach.

"Czego się boisz? - spytał Jordan. -Co cię najbardziej dręczy?"

"Że zostanę sama" - odpowiedziała bez namysłu.

Teraz jednak uderzyła ją myśl, że nie jest sama.

Może nie dostrzegała tego wcześniej, ale kilka ostatnich dni uświadomiło jej to dobitnie.

Otaczali ją ludzie, na których jej zależało i którym zależało na niej. Miała bardzo bogate życie.

Sama?

Używała tego słowa po prostu dlatego, że wychowywała ją samotna matka.

Nigdy jednak nie była sama.

Nie tak naprawdę.

Gdyby była swoją klientką, mogłaby zasugerować - delikatnie, bez wdawania się w spór - że użyła słowa "sama" jako wymówki dla złego zachowania, gniewu, nawet litowania się nad sobą.

W tej chwili nie czuła jednak niczego takiego.
Towarzystwo Caroline i Jordana wpływało na nią uspokajająco.
Znikł gniew.
Znikły gorycz i strach.

Matka powiedziałaaby, że w końcu dorosła.
I być może tylko na to czekała Caroline, dlatego właśnie przetrwała te trzy długie lata, trzymając się życia, które życiem przecież nie było.
Czekała, by Casey odnalazła wewnętrzny spokój.
Matka dała jej czas i przestrzeń - czyli to, co dawała jej także w dzieciństwie.

Casey była upartym dzieckiem. Zawsze miała własne zdanie, musiała popełniać własne błędy i sama znajdować odpowiedzi. Teraz je znalazła. Caroline dała jej na to czas. Był to ostatni dar.

Jordan pocałował ją w czubek głowy.

- Rozgrzeję ci łóżko - powiedział, znakomicie odczytując jej myśli i życzenia. - Zawołaj, jeśli będziesz mnie potrzebowała.

Casey stłumiła łzy.

Podejrzewała, że nagła fala emocji zrodziła się w równej mierze z jej uczucia do Jordana, jak z tego, co musi teraz zrobić.

Niezdolna przemówić, kiwnęła tylko głową.

Ze ściśniętym sercem patrzyła, jak wychodzi z pokoju.

Ze łzami w oczach zwróciła się do Caroline: - Jest wspaniały, prawda?

- powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. -Widzisz? - zażartowała.

-Nie protestujesz.

Gdyby to był któryś z moich poprzednich facetów, ostrzegałabyś mnie, że znam go od niedawna i powinnam być ostrożna.

Ale to człowiek, na którego można liczyć, nie sądzisz?

Uniosła dłoń Caroline do ust, ucałowała i oparła na niej brodę.

Gardło miała ściśnięte, ale zmuszała się do mówienia.

Nie mogła dłużej czekać.

Nadeszła pora.

- Mamo? - szepnęła. -Proszę, posłuchaj uważnie, co mam do powiedzenia.

To ważne, naprawdę. - Przerwała, by wytrzeć łzy spływające jej po policzkach.

Zanim się opanowała, dała znać o sobie resztką dawnego strachu.

Gdy raz wypowie te słowa, nie będzie mogła ich cofnąć.

Ale tak trzeba.

Czuła to w głębi serca.

- Wszystko w porządku, mamó - powiedziała bardzo spokojnie. - Możesz przestać walczyć. U mnie wszystko w porządku. Możesz już odpuścić. Możesz odejść.

Tuliła dłoń Caroline, płacząc cicho.

Jednak nie powiedziała jeszcze wszystkiego. Pociągnęła nosem i postarała się opanować.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa. Nie chcę, byś cierpiała więcej, niż to konieczne. Ciężko walczyłaś, jesteś zmęczona i trudno się temu dziwić.

To już zbyt długo trwa. Niech to będzie dobra śmierć. - Jej głos załamał się na ostatnim słowie i znów przez pewien czas szlochała. Dopiero po chwili udało jej się mówić dalej, lekko zachrypniętym głosem. - Jeśli przeciągałaś to ze względu na mnie, to bardzo mi przykro. - Odetchnęła z trudem. - Nie, w rzeczywistości nie jest mi przykro. Trzy lata temu nie byłam gotowa. Teraz jestem. Ułatwiłaś mi to. - Mówiła dalej, już spokojniejsza. - Cieszę się, że poznałaś Jordana.

To ten jedyny, mamó.

Naprawdę tak myślę.

Czy słyszałaś kiedyś, bym to mówiła?

Nie, nie słyszałaś.

Ale on jest tylko jednym z elementów, które wprowadziły ład w moje życie.

- Zaśmiała się nieco histerycznie.

- Czy to znaczy, że uważałam, że moje życie było bezładne?

Nie.

Ale teraz wszystko się tak doskonale układa. - Głos jej zadrżał, znów popłynęły łzy.

- Chciałabym, żeby tobie. też się wszystko ułożyło. Chcę, żebyś odnalazła spokój. Zaslugujesz na to. Tak bardzo cię kocham.

Łkając cichutko, wyciągnęła chusteczkę z pudełka na nocnej szafce i wytarła nos.

Odzyskała panowanie nad sobą, ale nie od razu się odezwała, bo zwróciła uwagę na Angusa.

Nie leżał już zwinięty w kłębek - usiadł i nie spuszczał z Caroline

dużych zielonych oczu. Poszła za jego wzrokiem. Caroline oddychała spokojniej.

W pierwszej chwili pomyślała, że wyobraziła to sobie. Posłuchała więc ponownie, starając się zachować obiektywizm. Odniosła to samo wrażenie.

Casey nie miała złudzeń. Zniknęła już wizja zdrowej Caroline. Rzeczywistość wyparła tamtą nadzieję. Obudziła się jednak nowa - na spokojną śmierć.

Spokojniejszy oddech Caroline przekonał Casey, że mówi to, co matka chce usłyszeć.

- Byłaś wspaniałą matką.

Chyba w głębi duszy zawsze to wiedziałam, także wtedy, gdy cię nienawidziłam.

Jednak zawsze robiłaś to, co trzeba, mamó.

Czasami oznaczało to, że pozwalałaś mi narobić sobie kłopotów i potem się z nich wyplątywać.

Nawet teraz.

Trwasz dla mnie.

Chyba wiedziałas, że Connie umarł, bo wtedy ci się pogorszyło.

A jednak trwałaś dalej.

Ale już w porządku. - Głos Casey zdrzął i się załamał. -Już. dobrze, możesz odpuścić, możesz. odejść.

Znów płacząc, kołysząc się lekko w przód i w tył, przycisnęła rękę Caroline do ust. Nie próbowała powstrzymać łez. Było to ostatnie fizyczne wsparcie, jakie jej matka dawała, a Casey łączywie z tego korzystała. Zapach eukaliptusa słabł.

Wdychała jego resztki.

Z czasem płacz się uspokoił.

Delikatnie gładziła czoło Caroline, jej policzki, włosy.

- Już dobrze - szepnęła. - Zemną już w porządku. Wiesz, nie umrzesz, dopóki ja żyję. Pod wieloma względami jestem tobą. Nigdy tego nie dostrzegałam.

Nigdy nie chciałam tego dostrzec. Chciałam być niezależna i robić wszystko po swojemu, ale to "po mojemu" często nie różniło się od tego, co ty byś zrobiła.

Szczególnie ostatnio. - Udało jej się uśmiechnąć. -Zawsze będziesz ze mną mamó.

Trochę tak, jak wieloletnie rośliny Jordana.

Co roku coś rozkwitnie w moim życiu, co mi przypomni o tobie.

Za każdym razem coś innego, nigdy to samo, ale zawsze będzie dobre.

Miłość nie przemija.

Powiedziawszy to, Casey poczuła spokój.

Nagle wyczerpana, położyła się koło Caroline, objęła ją, rozgrzewała, a w końcu złożyła głowę na sercu matki, aż przestało bić.

Epilog

Lato w ogrodzie było czasem dojrzewania.

Liście brzoź z gęstniały, choiny urosły, liście klonu i dębu nabrały koloru głębokiej zieleni, jałowce zaś - morskiej szarości.

Ptaki, mniej hałaśliwe po zakończeniu okresu godowego, karmiły teraz pisklęta.

Po kilku tygodniach ptasia młodzież dołączyła do rodziców w karmniku.

Pszczoły unosiły się nad rododendronem, a gdy kwiaty opadły - nad gardeniami, a gdy i te przekwitły - nad hortensją.

Czasami do ogrodu przylatywały motyle, piękne dla oka, ale ulotne.

Praktyka Casey też rozkwitała, niemal tak bujnie jak niecierpki Jordana.

Nie wiedziała, czy to jej reputacja przyciągała klientów, czy opinie takich osób jak Emmett Walsh, czy też magnesem był adres gabinetu na Beacon Hill.

Jej plan dnia był zawsze wypełniony.

Po miesiącu spędzonym w gabinecie Conniego czuła się, jakby pracowała tam od zawsze.

Najwyraźniej do takiego samego wniosku doszedł Angus.

Gdy raz zdecydował się wyjść z głównej sypialni, stał się jej cieniem.

Początkowo trzymał się na dystans i poruszał zgodnością.

Jednak zanim funknie w ogrodzie wypuściły fioletowe kwiatostany, układał się przytulony do jej uda podczas spotkań z klientami.

Jeśli rzeczywiście był duchem Conniego, nie mogła narzekać.

Nie mogła narzekać też na Jordana.

Pomógł jej pochować Caroline i przeżyć okres żałoby.

Troszczył się o ogród, w miarę przemijania lata zastępując nowymi

roślinami te, które już przekwitły.

Paprocie zajęły miejsce trójliści, petunie - brodatych goździków, barwinek się rozrósł, łubin zaś obsypany był kwiatami.

Związek Casey z Jordanem rozwijał się w tym samym rytmie.

Niczego nie przyspieszała.

Przez większą część życia była impulsywna - teraz potrzebowała czasu.

Po odejściu najpierw ojca, potem matki czuła się dorosła.

Miłość do Jordana przyszła nagle w trudnym okresie jej życia.

Chciała, by wszystko się unormowało, a wtedy zobaczy, czy to uczucie zapaści korzenie.

Jordan doskonale wyczuwał jej potrzeby.

Zarówno w życiu, jak i w miłości miał bezbłędne wycucie czasu.

Wiedział, kiedy pokazać jej swoje prace i kiedy przedstawić swoich przyjaciół.

Wiedział, kiedy posadzić kwiaty na grobie Caroline, kiedy zaproponować wycieczkę do Rockport w odwiedziny do Ruth, a kiedy pojechać z nią do Amherstna spotkanie z trzynastoletnim chłopcem o rudych włosach.

Joey Battle.

Casey od razu wiedziała, kim jest.

Mieszkał z pewnym małżeństwem, przyjaciółmi Jordana, i chodził do małej prywatnej szkoły, w której zajmowano się nie tylko umysłem, ale i duszą.

Jordan pokrywał chesne.

- Nie mogłem mu pozwolić zostać w Walker - tłumaczył, najwyraźniej zażenowany, gdy Casey wyrażała swój podziw dla jego czynu.

- Nie pomogłem Jenny wtedy, kiedy powinienem.

Nie chciałem po raz drugi popełniać tego samego błędu.

Casey jeszcze bardziej go za to kochała.

Potem było jeszcze więcej powodów do miłości.

W sierpniu zawiózł ją do Walker, by spędzić trochę czasu z rodzicami.

Jego matka już kilkakrotnie odwiedzała ich w Bostonie i zaprzyjaźniła się serdecznie z Casey, miało to być jednak pierwsze od długiego czasu spotkanie Jordana z ojcem.

Ojciec go onieśmiał - Casey zauważyła to od razu.

Jordan był silnym człowiekiem.

Wiedział, kim jest i czego chce od życia.

Ojciec potrafił jednak sprawić, że Jordan milkł, unikał pytań, zaczynał się bronić.

W oczach Casey niczego mu to nie ujmowało.

Nawet gdyby przygotowanie zawodowe nie pomagało jej wyczuwać jego nastrojów, to i tak potrafiłaby je zrozumieć z osobistych powodów. Sama przez to przeszła.

Wciąż przez to przechodziła, pragnąc aprobaty ze strony rodziców, potrzebując potwierdzenia, że ich nie zawiodła.

Rodzice mają zdumiewającą władzę nad dziećmi.

Nie ma znaczenia, jak dorosłe są dzieci czy jak daleko mieszkają na co dzień.

Od chwili urodzenia przyjmują od rodziców różnego rodzaju przesłania. Zapisują się one niemal tak głęboko w ich psychice, jak włosy, oczy i wzrost w genach.

W miarę upływu czasu Jordan zyskał nieco pewności siebie, szczególnie po przyjeździe siostr z rodzinami.

Siostry cieszyły się na jego widok i komplementowały gościa.

Dla Casey, której rodzina ograniczała się do jednej Caroline, był to podniecający dzień.

Nie był to jednak koniec niespodzianek.

Następnego ranka po spotkaniu rodzinnym Jordan zawiózł ją do czystego, niewielkiego miasteczka odległego o godzinę drogi na północ.

Minęli skromne centrum i skręcili w wąską, obrzeżoną drzewami boczną uliczkę.

Zatrzymali się przed niewielkim drewnianym domkiem, żółtym z ciemnozielonymi okiennicami, otoczonym świerkami i sosnami, jałowcami i cisami oraz klombami, na których rosło wiele tych samych kwiatów co w ogrodzie Casey na Beacon Hill.

Między klombami prowadziła wysypana żwirem ścieżka, wiodąc do trzech drewnianych schodków i ganku, obiegającego domek dookoła.

Na ganku stały dwa bujane fotele.

W jednym kołysała się starsza kobieta.

Casey rzuciła Jordanowi pytające spojrzenie, ale nie powiedział ani słowa.

Wysiadł z dzipa, ujął ją za rękę i poprowadził ścieżką.

Kobieta na ganku przestała się kołysać.

Miała białe włosy, pomarszczoną twarz, suknię w kwiaty i biały fartuch i robiła wrażenie niemal tak samo zdziwionej jak Casey.

Wyglądała jednak tak znajomo, och, jak znajomo.

Serce Casey zaczęło bić w szaleńczym tempie.

Kobieta nieodrywana od niej oczu.

Te oczy są niebieskie – stwierdziła Casey, wchodząc po schodkach z Jordanem.

Wyblakłe na skutek wieku, ale niewątpliwie niebieskie.

Niebieskie oczy, białe włosy, które w młodości mogły mieć rudawy odcień, łagodny uśmiech, który Casey chętnie odczytałaby jako kochający.

Kobieta wyciągnęła do Casey drżącą rękę.

Równocześnie Jordan powiedział:

- Oto Mary Blinn Unger. Twoja babcia.

Ma dziewięćdziesiąt sześć lat.

Jesień w ogrodzie była tak wspaniała, jak tylko potrafi być jesień w Nowej Anglii.

Klon płonął pomarańczową barwą, brzozy - żółcią, dąb - czerwienią. Rudbekie rozrosły się, astry rozkwitły różowo, a na kalinie wisały jagody.

Bluszcze, oplatające pergolę, wspinające się po ceglanych ścianach i po szopie, zmieniły się w pomarańczowo- czerwono-brązowy gobelin.

Casey wyszła z domu w pięknej białej sukni, z girlandą bluszczu we włosach i kamienną ścieżką wspięła się na leśny taras, gdzie czekał Jordan z pastorem.

Poprzedzały ją drużny: Brianna i Joy, a także Meg jako pierwsza drużna, piękna z naturalnie rudymi, doskonale przystrzyżonymi włosami.

Casey szła sama, ale nie czuła się samotnie.

Ogród wypełniali przyjaciele i jej przyszła rodzina.

Czuła ducha Caroline tak silnie, jakby matka rzeczywiście stała tam na początku ścieżki.

Oraz Conniego.

Jego gabinet nie byłby tak pełen klientów, jego ogród tak kwitnący, a jego kot tak oddany nowej pani, gdyby Connie nie akceptował tego małżeństwa.

Jordan czekał, tak przystojny, że jego widok zaparł jej dech w piersiach, tak skupiony na niej i tylko na niej, że łzy napłynęły jej do oczu.

Zdarzały się takie chwile, w których Casey -jak Jenny ze swoim Pete'em - zastanawiała się, czy jest on prawdziwy.

Nie musiała się jednak szczypać, by się upewnić.

Wystarczyło, by odwróciła głowę, spojrzała i zawołała jego imię- a już stał przy niej.

Przed końcem listopada spadł śnieg, pokrywając resztki liści na drzewach, bieląc zimozielone rośliny, które już przygotowały się na nadejście zimy, i wyścielając ścieżkę.

Choć Casey uwielbiała przebywać na dworze, była gotowa na zmianę. Zima oznaczała dni spędzane w domu przy płonącym kominku, z gorącym jabłecznikiem i Jordanem.

Był to czas przyzwyczajania się do siebie w nowych rolach, męża i żony, dopracowywania szczegółów wspólnego życia.

Jordan sprzedał mieszkanie, przeniósł biuro do jednej z pustych sypialni na drugim piętrze, atelier do pokoju pod kopułą i uczył Casey krytycznego spojrzenia na swoje prace.

Casey także sprzedała mieszkanie, dała Meg tyle mebli, ile zmieściło się w jej mieszkanku, pozbyła się reszty i otworzyła pierwszy w życiu wspólny rachunek bankowy.

Zanim przebiśniegi uniosły dziewiczo białe główki nad rozmarzającą ziemią, a krokusy rozchyliły żółte, fioletowe i różowe płatki, nadszedł koniec marca i po figurze Casey było już coś widać.

Zanim nadszedł czerwiec z kwitnącym dereniem, glicynią i bogatym listowiem klonu, brzoź i dębu, była już naprawdę gruba.

Zanim na początku sierpnia urodziła córkę, ogród stał się tak bujny i płodny jak ona sama.

Nic dziwnego, że życie Casey dostosowało się do rytmu ogrodu. Oboje jej rodzice kochali kwiaty i drzewa, tak samo jak mąż.

A Casey?

Ogród był jej miejscem na ziemi.

Pomagał zachowywać jasny umysł i umiejętność odróżniania rzeczywistości od złudy.

Dawał nadzieję w chwilach zmartwień i przynosił ulgę w chwilach stresu.

Stanowił świadectwo narodzin wiecznej natury.

Gdy ich córka w słoneczny sierpniowy dzień obchodziła w ogrodzie pierwsze urodziny, na mięciutkich, rudawoblond włoskach miała delikatny wianek ze stokrotek, drewnianą łyżeczką jadła ciastko z czekoladową polewą oraz lody i upadła, biegnąc niepewnie za motylem.

Ojciec uniósł ją w ramionach i łaskotał w brzuszek, niosąc do Casey, która całowała bolące miejsce, aż maleńka znów zaczęła się śmiać.

Życie było wspaniałe.

Podziękowania

Poznałam Jenny Clyde i jej Pete'a siedem lat temu.

Od tamtej chwili nie mogłam przestać myśleć o Flircie z Pete'em, czekając na właściwy moment, kiedy będzie się on mógł ukazać jako moja książka roku.

Teraz, gdy mam ją już przed sobą, zdaję sobie sprawę, jak niepewna jest droga do publikacji i jak łatwo ta książka, której poświęciłam tyle serca, mogła nigdy nie ujrzeć światła dziennego.

W końcu się jednak ukazała - dzięki temu, że nie potrafiłam wyzwolić się od tej historii, a także dzięki nieustającemu poparciu moje jagentki, Amy Berkower.

Amy rozumie Pete'a, moich czytelników i mnie.

Jej zachęta była nieoceniona.

Jak większość moich książek, także i ta wymagała zebrania sporej ilości informacji.

W tym zadaniu wspierały mnie Elizabeth Fisk i moja synowa Sherrie Selwyn Delinsky.

Obie są specjalistkami w swoich dziedzinach.

Jeśli znalazły się tu jakieś błędy, ponoszę za niepełną odpowiedzialność.

Barczo się staram ,by wszystko było jak należy.

Czasami jednak zdarza mi się albo źle zrozumieć, albo niechcący źle sformułować zdanie, albo po prostu założyć, że znam odpowiedź i dlatego nie zadaję właściwego pytania.

Connie Unger nie byłyby ze mnie zadowolony.

Przepraszam jego i was.

Dziękuję moim redaktorom, Michaelowi Kordzie i Chuckowi Adamsowi, że mnie wspierają.

Dziękuję całemu zespołowi w Scribner, począwszy od Susan Moldow, za ich entuzjazm, kreatywność i bystrość.

Dziękuję mojej asystentce Wendy Page za zajęcie się telefonami, bym mogła spokojnie pisać, oraz mojej mistrzyni od internetu Claire Marino za zbadanie ze mną ukrytych ogrodów na Beacon Hill i wspomnienie mnie swoją znajomością roślin.

Moja rodzina wie, ile dla mnie znaczy Flirt z Pete'em.

Dziękuję im wszystkim - Ericowi i Jodi, Andrew, Jeremy'emu i Sherrie-za to, że każde wspomnienie o tej książce budziło ich żywe zainteresowanie.

Memu mężowi Steve'owi za cierpliwość, pobłażliwość i wniesiony wkład - podziękowania i miłość.

Znów, zawsze, wciąż dziękuję moim czytelnikom, których interesuje każda napisana przeze mnie książka, którzy doceniają różnice między nimi i pobudzają mnie, bym pisała coraz lepiej i więcej.

Jesteście dobrymi ludźmi.

Naprawdę mam szczęście.